

JUDITH MCNAUGHT

NA ZAWSZE

(Once and Always)

Przełożyła Anna Wojtaszczyk

Data wydania oryginalnego 1987

Data wydania polskiego 2002

*Ojcu, który zawsze sprawiał, iż wierzyłam,
że jest ze mnie dumny
i matce, która pomagała mi tak postępować,
by musiał być ze mnie dumny.
Jakiż wspaniały tworzycie zespół!*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Anglia

1815

O, tu jesteś, Jasonie - odezwała się kruczowłosa piękność, widząc odbicie męża w lustrze nad toaletką. Kiedy podchodził bliżej, prześlizgnęła się z rezerwą wzrokiem po jego wysokiej, mocnej sylwetce; później z powrotem skierowała uwagę na porozstawiane na blacie toaletki otwarte kasetki z klejnotami. Nerwowo drżącą dłonią wyjęła z etui efektowną diamentową kolię i z przesadnie promiennym uśmiechem podała naszyjnik mężowi. - Pomóż mi to zapiąć, dobrze?

Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem, patrząc na ogromne rubiny i wspaniałe szmaragdy, które już lśniły na piersiach żony, widocznych znad śmiałego wycięcia stanika.

- Czy ta twoja wystawa wdzięków i klejnotów nie jest trochę zbyt wulgarna jak na kobietę, która ma nadzieję udawać wielką damę?

- A cóż ty mógłbyś wiedzieć na temat wulgarności? - odparowała pogardliwie lady Melissa Fielding. - Ta suknia należy do najmodniejszych. Baronowi Lacroix bardzo się podoba - dodała wyniośle. - Prosił mnie, wręcz nalegał, bym włożyła ją na dzisiejszy bal.

- Bez wątpienia nie życzy sobie problemów z nadmierną ilością haftek, kiedy ją z ciebie będzie zdejmował - zareplikował z sarkazmem mąż.

- Właśnie. Jest Francuzem... a oni są tacy impulsywni.

- Na nieszczęście jest również bez grosza.

- On uważa, że jestem piękna - rzuciła urągliwie Melissa, a głos zaczynał jej się łamać z ledwo powstrzymywanej odrazy.

- I ma rację. - Jason Fielding sardonycznym spojrzeniem obrzucił tę śliczną twarz o alabastrowej cerze, lekko skośnych, zielonych oczach i pełnych, czerwonych ustach, a potem przeniósł wzrok niżej, na okrągłe piersi, wychylające się znad głębokiego dekoltu szkarłatnej, aksamitnej sukni. - Jesteś piękną, amoralną i chciwą... suką. - Odwrócił się na pięcie i już miał wyjść z pokoju, ale przystanął. W jego lodowatym tonie pobrzmiwała nieugięta stanowczość. - Zanim wyjdiesz, masz powiedzieć naszemu synowi dobranoc. Jamie jest jeszcze zbyt mały, by zrozumieć, jaka naprawdę jesteś, i tęskni za tobą, kiedy cię nie widzi. Ja za niecałą godzinę wyjeżdżam do Szkocji.

- Jamie! - syknęła Melissa z wściekłością. - Tylko on cię obchodzi... - Nie zadając sobie trudu, by zaprzeczyć, Jason szedł dalej w kierunku drzwi; serce kobiety opanował

gniew. - Kiedy wrócisz, nie zastaniesz mnie tutaj! - zagroziła.

- Dobrze - rzucił, nie zatrzymując się, jej mąż.

- Ty bękarcie! - warknęła, a głos drżał jej od hamowanej wściekłości. - Mam zamiar wszem i wobec rozgłosić, kim naprawdę jesteś, a potem cię porzucić. Nigdy już nie wrócę. Nigdy!

Jason, trzymając dłoń na klamce, odwrócił się; jego rysy zakrzepły w twardą, pogardliwą maskę.

- Wrócisz - szydził. - Wrócisz, jak tylko skończą ci się pieniądze.

Drzwi zamknęły się za nim, a śliczna twarz Melissy przybrała triumfalny wyraz.

- Nigdy nie wrócę, Jasonie - oznajmiła głośno w pustym pokoju - ponieważ nigdy nie skończą mi się pieniądze. Przyślesz mi wszystko, czego tylko będę chciała...

- Dobry wieczór, wielmożny panie - przywitał Jasona kamerdyner dziwnym, pełnym napięcia szeptem.

- Wesołych świąt, Northrup - odpowiedział automatycznie jego pan, otupując śnieg z butów i podając służącemu mokrą pelerynę. Przypomniała mu się nagle ostatnia scysja z Melissą sprzed dwóch tygodni, ale odsunął od siebie to wspomnienie. - Przyszło mi za tę pogodę zapłacić dodatkowym dniem podróży. Czy mój syn już się położył?

Kamerdyner zamarł w bezruchu.

- Jasonie...

W drzwiach prowadzących z marmurowego holu wejściowego do salonu stał mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, z ogorzałą twarzą starego wilka morskiego, i gestem przyzywał Jasona, by do niego podszedł.

- A co ty tutaj robisz, Mike? - zapytał Fielding i przyglądał się zaintrygowany, jak przyjaciel starannie zamyka za nimi drzwi.

- Jasonie - powiedział z napięciem Mike Farrell - Melissa odeszła. Odplynęła razem z baronem na Barbados tuż po twoim wyjeździe do Szkocji. - Przerwał, czekając na jakąś reakcję, ale się nie doczekał. Zaczerpnął powietrza, głęboko i z bólem. - Zabrali ze sobą Jamiego.

W oczach Jasona zapłonęła furia, nieokiełznana niczym piekielne ognie.

- Zabiję ją za to! - syknął, z miejsca ruszając do drzwi. - Znajdę ją i zabiję...

- Już na to za późno. - Głos Mike'a załamał się, a pan domu przystanął w pół kroku. - Melissa nie żyje. Ich statek zatonął w czasie sztormu w trzy dni po wypłynięciu z Anglii. - Oderwał wzrok od rysów Jasona, które już zaczynały wykrzywiać się w straszliwym cierpieniu, i dodał bezdźwięcznie: - Nikt nie przeżył.

Jason bez słowa podszedł do stolika i wziął kryształową karafkę z whisky. Nalał sobie trochę do szklanki, wychylił, potem znowu napełnił, wpatrując się niewidzącymi oczami przed siebie.

- Zostawiła ci to. - Mike Farrell podawał mu dwa listy ze złamaną pieczęcią. Kiedy Jason nie wyciągnął po nie ręki, jego przyjaciel wyjaśnił łagodnie: - Już je przeczytałem. Jeden z nich to list z żądaniem pieniędzy, zaadresowany do ciebie, który Melissa zostawiła w twojej sypialni. Zamierzała wyciągnąć od ciebie jak najwięcej za Jamiego. Drugi miał cię skompromitować; dała go lokajowi z poleceniem, by po jej wyjeździe dostarczył go do „Timesa”. Kiedy jednak Flossie Wilson odkryła, że Jamiego nie ma, natychmiast wypytała służbę, czym Melissa zajmowała się poprzedniego wieczoru, a lokaj wręczył jej ten list, zamiast zanieść do „Timesa”, jak mu polecono. Flossie nie mogła się z tobą skontaktować i powiadomić cię, iż Melissa zabrała Jamiego, więc posłała po mnie i dała mi te listy. Jasonie - ciągnął dalej ochryple Mike - wiem, jak bardzo kochałeś tego chłopca. Przykro mi. Tak mi cholernie przykro...

Udręczony Jason uniósł powoli oczy na wiszący nad obramowaniem kominka portret w złotej ramie. Mężczyzna w bolesnym milczeniu wpatrywał się w podobiznę synka, mocno zbudowanego chłopczyka, z anielskim uśmiechem na buzi ściskającego mocno w piastce drewnianego żołnierza.

Szklanka, którą Jason trzymał w dłoni, roztrzaskała się nagle na kawałki. Ale nie płakał. Dzieciństwo Jasona Fieldinga dawno już pozbawiło go łez.

Portage Nowy Jork

1815

Śnieg zaskrzypiał pod drobnymi stopami Victorii Seaton, kiedy skręciła ze ścieżki i pchnęła białą, drewnianą furtkę, prowadzącą na frontowe podwórze niewielkiego domku, w którym się urodziła. Z zaróżowionymi policzkami i błyszczącymi oczami przystanęła, by zerknąć na rozgwieżdżone niebo i przyglądała mu się ze świeżą radością piętnastolatki uwielbiającej czas Bożego Narodzenia. Zanuciła kilka ostatnich taktów jednej z pieśni, które przez cały wieczór śpiewała razem z resztą kołędników, potem odwróciła się i poszła ścieżką w kierunku pociemniałego domu.

Z nadzieją, że nie obudzi rodziców ani młodszej siostry, otworzyła cichutko drzwi frontowe i wślizgnęła się do środka. Zdjęła pelerynę, powiesiła ją na kołku przy wejściu, potem odwróciła się i zaskoczona zamarła w bezruchu. Księżyc świecił jasno przez okno na piętrze i oświetlał rodziców, którzy stali przed sypialnią matki.

- Nie, Patricku! - Matka szarpała się w silnym uścisku ojca. - Nie mogę! Po prostu nie

mogę!

- Nie odmawiaj mi, Katherine - mówił Patrick Seaton tak błagalnie, że aż szorstko. - Na litość boską, nie...

- Obiecałeś! - wybuchnęła matka, usiłując gwałtownie wyrwać mu się z ramion. Ojciec pochylił głowę i pocałował żonę, ale odwróciła twarz; słowa ze szlochem wyrwały się z jej ust. - Obiecałeś mi tego dnia, kiedy urodziła się Dorothy, że mnie już nigdy więcej nie poprosisz. Dałeś mi słowo!

Victoria stała oszołomiona, zdezorientowana, ogarnięta trwogą, niejasno uświadamiając sobie, że nigdy nie widziała, by jej rodzice się dotykali - ani żartobliwie, ani czule - ale nie miała pojęcia, o co może chodzić ojcu, kiedy błagał matkę, by mu nie odmawiała.

Patrick puścił żonę, ręce mu opadły.

- Przepraszam - powiedział lodowato. Jego żona czmychnęła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi, ale Patrick Seaton, zamiast udać się do siebie, zawrócił i zaczął schodzić wąskimi schodami, mijając córkę w odległości zaledwie pół kroku.

Victoria przywarła do ściany, czując się tak, jakby scena, którą właśnie oglądała, stanowiła jakieś zagrożenie dla bezpieczeństwa i ładu jej świata. Bała się, że jeżeli spróbuje zrobić krok w kierunku schodów, ojciec zauważy ją i zorientuje się, iż była świadkiem tego upokarzającego intymnego epizodu, stała więc i przyglądała się, jak siada na sofie i wbija wzrok w gasnący żar ognia. Butelka alkoholu, która od lat stała na półce kuchennej, znalazła się teraz przed nim na stole obok napełnionej do połowy szklanki. Kiedy pochylił się i sięgnął po trunek, Victoria odwróciła się ostrożnie i postawiła stopę na najniższym stopniu.

- Wiem, że tam jesteś, Victorio - odezwał się ojciec głuchym głosem, nie oglądając się za siebie. - Nie ma sensu udawać, że nie byłeś świadkiem tego, co właśnie zaszło między twoją matką a mną. Czemu tu nie przyjdiesz i nie siądziesz przy ogniu? Nie jestem takim brutalem, jakim ci się muszę wydawać.

Gardło ścisnęło jej się ze współczucia; szybko podeszła i usiadła obok niego.

- Nie wydaje mi się, żebyś był brutalem, papo. Nie mogłabym tak myśleć.

Ojciec pociągnął potężny haust alkoholu ze szklanki.

- Nie obwiniaj również swojej matki - uprzedził ją; mówił nieco bełkotliwie, jakby pił już przez dłuższy czas, zanim Victoria się pojawiła.

Alkohol osłabił jego rozeznanie sytuacji, kiedy więc zerknął na nieszczęśliwą minę córki, założył, że domyśliła się po scenie, której była świadkiem, więcej, niż to miało miejsce. Objął ją pocieszająco ręką za ramiona i próbował uspokoić, ale jego słowa wzmogły tylko

stokrotnie jej smutek.

- To nie jest wina ani twojej matki, ani moja. Ona nie potrafi mnie kochać, a ja nie potrafię przestać jej kochać. I tyle.

Prosto z bezpiecznej przystani dzieciństwa Victoria wpadła w zimną, przerażającą rzeczywistość dorosłych. Usta same jej się otworzyły; wpatrywała się w ojca rozszerzonymi źrenicami i miała wrażenie, że świat wokół niej rozpada się na kawałki. Potrząsnęła głową, starając się zaprzeczyć tej okropności, którą ojciec wypowiedział. Matka musiała kochać jej cudownego ojca!

- Na siłę nikogo pokochać się nie da - ciągnął dalej Patrick Seaton, potwierdzając tę okropną prawdę i wpatrując się z goryczą w szklanekę. - Żeby miłość przyszła, nie wystarczy z całych sił tego pragnąć. Gdyby tak było, matka by mnie kochała. Kiedy się pobieraliśmy, była przekonana, że nauczy się mnie kochać. Ja też w to wierzyłem, oboje chcieliśmy w to wierzyć. Później, oczywiście, sam siebie próbowałem przekonywać, że nie ma znaczenia, czy mnie kocha, czy nie. Wmawiałem sobie, że małżeństwo bez miłości też może być dobre. - Następne słowa wyrwały mu się z piersi z taką udręką, że Victorię aż zapiekło w sercu. - Byłem głupcem! Kochać kogoś, kto cię nie kocha, to piekło! Nie daj się nigdy nikomu przekonać, że będziesz szczęśliwa z człowiekiem, który cię nie kocha.

- Nie... nie dam - odrzekła szeptem, mrugając oczami, by powstrzymać łzy.

- I nigdy nikogo nie kochaj więcej, niż on kocha ciebie, Tory. Nie pozwól sobie na to.

- Do... dobrze - szepnęła znowu Victoria. - Obiecuję. - Tak wezbrały w niej miłość i litość, że nie mogła ich w sobie pomieścić; przelały się łzami na policzki, gdy popatrzyła na ojca i położyła drobną dłoń na jego przystojnej twarzy. - Kiedy przyjdzie czas, papo - wykrztusiła - wybiorę sobie na męża kogoś dokładnie takiego jak ty.

Ojciec uśmiechnął się do niej czule, ale nie odpowiedział. Zauważył tylko:

- Wiesz, nie wszystko było złe. Mamy z matką ciebie i Dorothy do kochania, a to nas łączy.

Świt dopiero rozświetlał niebo, kiedy Victoria wymknęła się z domu, spędziwszy bezsenną noc na wpatrywaniu się w sufit nad łóżkiem. Ubrana w czerwoną pelerynę i ciemnoniebieską wełnianą spódnicę do jazdy konnej, wyprowadziła swego indiańskiego konika i bez wysiłku go dosiadła.

Kwadrans potem zatrzymała się przy strumyku, który płynął wzdłuż gościńca prowadzącego do wioski, i zsiadła. Ostrożnie zesłała po śliskim, pokrytym śniegiem brzegu i przycupnęła na płaskim głazie. Z łokciami opartymi na kolanach i brodą wtuloną w dłoń wpatrywała się w szarą wodę, płynącą powoli pomiędzy zamarzniętymi kawałkami lodu przy

brzegach.

Niebo pożółkło, a potem poróżowiało, a ona siedziała, usiłując odnaleźć radość, którą zawsze tutaj odczuwała, kiedy patrzyła, jak wstaje nowy dzień.

Spomiędzy pobliskich drzew wypadł królik; za jej plecami parsknął cicho koń, a na stromym brzegu dały się słyszeć ciche kroki. Lekki uśmiech pojawił się na wargach Victorii, a w ułamek sekundy później kula śnieżna gwizdnęła jej obok prawego ramienia; dziewczyna odchyliła się zręcznie w lewo.

- Pudło, Andrew - zawołała, nie poruszając się nawet.

Obok niej pojawiła się para błyszczących butów z cholewami.

- Wcześniej wstałaś dziś rano - powiedział Andrew, uśmiechając się szeroko do drobnej, młodziutkiej piękności, siedzącej na głazie.

Victoria szesała do tyłu z czoła swoje rude, połyskujące złotem włosy i umocowała je szylkretowym grzebieniem na czubku głowy, skąd spływały na ramiona niczym falujący wodospad. Jej okolone gęstymi rzęsami oczy miały głęboką, ciemnoniebieską, żywą barwę bratków, a ich kąciaki leciutko unosiły się ku górze. Nosek był mały i kształtny, kości policzkowe delikatne, cera kwitnąca zdrowiem, a na samym środku bródki znajdował się mały, ale intrygujący dołeczek.

Rysy twarzy Victorii wskazywały, że dziewczyna wyrośnie na prawdziwą piękność, ale każdy, kto jej się przyjrzał, zyskiwał przekonanie, że uroda ta bardziej miała być egzotyczna niż krucha, bardziej żywa niż nieskazitelna; podobnie oczywiste było, że drobny podbródek świadczy o uporze, a oczy błyszczą poczuciem humoru. Tego jednak ranka brakowało im zwykłego blasku.

Victoria pochyliła się i nabrała w okryte rękawiczkami dłonie nieco śniegu. Andrew automatycznie się uchylił, ale ona, zamiast jak zwykle cisnąć w niego śnieżką, wrzuciła ją do strumienia.

- Co się stało, promiennooka? - droczył się z nią. - Boisz się, że nie trafisz?

- Oczywiście, że nie - odrzekła z cichutkim, ponurym westchnieniem.

- Przesuń no się i daj mi usiąść.

Zrobiła mu miejsce, a Andrew przyglądał się jej smutnej minie z łagodnym zatroskaniem.

- Czemuż to jesteś taka ponura?

Victorię bardzo korciło, żeby mu się zwierzyć. Mający dwadzieścia lat Andrew był od niej o pięć lat starszy i niewiarygodnie mądry jak na swój wiek. Był jedynym dzieckiem najbogatszej mieszkanki okolicy - wdowy rzekomo podupadłej na zdrowiu, która czepiała się

zaborczo swego jedynego syna, równocześnie zrzucając na niego całą odpowiedzialność za kierowanie olbrzymim domem i tysiącem akrów uprawnej ziemi, która go otaczała.

Andrew wziął Victorię pod brodę okrytą rękawiczką dłonią i uniósł w górę twarz dziewczyny.

- Opowiedz mi - poprosił łagodnie.

Nie potrafiła się oprzeć jego powtórnej prośbie, mając taką rozpacz w sercu. Andrew był jej przyjacielem. W ciągu ich długoletniej znajomości nauczył ją łowić ryby, pływać, strzelać z pistoletu i oszukać przy kartach - twierdził, że to ostatnie jest konieczne, by wiedziała, kiedy ktoś spróbuje ją oszukać. Victoria odpłaciła się za owe starania, nauczywszy się lepiej pływać, lepiej strzelać i lepiej oszukiwać niż on. Byli przyjaciółmi i wiedziała, że może się mu zwierzyć niemal ze wszystkiego. Nie potrafiła się jednak zmusić, by omawiać z nim małżeństwo rodziców. Zamiast tego poruszyła tę drugą sprawę, która ją martwiła - przestrożę ojca.

- Andrew - zapytała z wahaniem - skąd można wiedzieć, czy ktoś cię kocha? Tak naprawdę kocha?

- A czyj aż to miłość cię martwi?

- Tego, kogo kiedyś poślubię.

Gdyby była nieco starsza i bardziej dojrzała, potrafiłaby zinterpretować czułość, jaką zapłonęły złotobrazowe oczy chłopca, zanim szybko odwrócił wzrok.

- Będiesz kochana przez człowieka, którego poślubisz - zapewnił ją. - Możesz mi uwierzyć na słowo.

- Ale on musi mnie kochać równie mocno, jak ja jego.

- Będzie.

- No dobrze, ale skąd ja mam wiedzieć, czy tak jest?

Andrew rzucił ostre, badawcze spojrzenie na jej subtelną twarz.

- Czyżby jakiś tutejszy chłopak dręczył twego ojca prośbami o twą rękę? - zapytał niemal gniewnie.

- Oczywiście, że nie! - parsknęła. - Mam dopiero piętnaście lat, a papa z wielką stanowczością zapowiedział, że muszę czekać aż do osiemnastu, żebym dokładnie wiedziała, czego chcę.

Popatrzył na jej uparty, mały podbródek i zaśmiał się z ulgą.

- Jeżeli doktor Seaton martwi się tylko tym, żebyś wiedziała, czego chcesz, to mógłby ci pozwolić wyjść za mąż nawet jutro. Już w wieku dziesięciu lat wiedziałaś, czego pragniesz w życiu.

- Masz rację - przyznała Victoria wesoło i otwarcie. A po minucie sympatycznego milczenia zapytała od niechcienia: - Andrew, a czy ty kiedyś zastanawiasz się nad tym, z kim się ożenisz?

- Nie - odpowiedział z dziwnym uśmiechem, wpatrując się w drugi brzeg strumienia.

- A czemu nie?

- Bo już wiem, kim ona będzie.

Zaskoczona tą niespodziewaną rewelacją Victoria gwałtownie odwróciła głowę.

- Wiesz? Naprawdę? Powiedz mi! Czy to ktoś, kogo znam? Kiedy Andrew nadal milczał, rzuciła mu spod oka pełne namysłu spojrzenie i zaczęła ugniatać śnieg w twardą kulę.

- Czy zamierzasz wrzucić mi to za kołnierz? - zapytał, przyglądając jej się z podejrzliwym rozbawieniem.

- Oczywiście, że nie - odrzekła, a oczy jej się śmiały. - Miałam raczej na myśli coś w rodzaju zakładu. Jeżeli to ja trafię bliżej kamienia leżącego na tamtym najdalszym głazie, to będziesz mi musiał powiedzieć, kim ona jest.

- A jeżeli to ja trafię bliżej? - rzucił jej wyzwanie Andrew.

- No to sam będziesz mógł wybrać sobie nagrodę - odrzekła wielkodusznie.

- Popełniłem poważny błąd, ucząc cię hazardu - roześmiał się, lecz nie pozostał nieczuły na jej zuchwały uśmiech.

Andrew spuścił głowę do celu o kilkanaście centymetrów. Victoria przez chwilę wpatrywała się w kamień z głęboką koncentracją, potem cisnęła kulę i trafiła go z taką siłą, że razem ze śnieżką spadł ze skały.

- Popełniłem również poważny błąd, ucząc cię rzucać śnieżkami.

- Zawsze umiałam to robić - przypomniała mu zuchwale, opierając ręce na szczupłych biodrach. - A teraz słucham, z kim to chcesz się ożenić?

Andrew wepchnął ręce do kieszeni i szeroko uśmiechnął się do jej czarującej twarzyczki.

- A jak myślisz, niebieskooka, z kim chciałbym wziąć ślub?

- Nie wiem - odpowiedziała poważnie - ale mam nadzieję, że to ktoś wyjątkowy, bo ty jesteś wyjątkowy.

- Ona jest wyjątkowa - zapewnił ją z łagodną powagą. - Do tego stopnia wyjątkowa, że myślałem o niej nawet wtedy, kiedy wyjeżdżałem zimą do szkoły. Właściwie to cieszę się, że jestem w domu, bo mogę się z nią częściej widywać.

- Musi być całkiem sympatyczna - przyznała Victoria sztywno; nagle i nie wiadomo

dlaczego rozżłościła się na tę Bogu ducha winną dziewczynę.

- Powiedziałbym, że lepszym określeniem dla niej byłoby „cudowna” niż „całkiem sympatyczna”. Jest słodka i pełna energii, piękna i naturalna, łagodna i uparta. Kto tylko ją pozna, musi pokochać.

- No to, na litość Pana, czemu się z nią nie ożenisz i nie skończysz z tym! - mruknęła ponuro Victoria.

Wargi Andrew drgnęły. Pieszczotliwym gestem wyciągnął rękę i położył ją na gęstych, jedwabistych włosach dziewczyny.

- Ponieważ - szepnął czule - ona jest jeszcze za młoda. Widzisz, jej ojciec pragnie, by najpierw skończyła osiemnaście lat, żeby dokładnie wiedziała, czego chce.

Olbrzymie niebieskie oczy Victorii otworzyły się szeroko i popatrzyły badawczo w jego przystojną twarz.

- Czy masz na myśli mnie? - wyszeptwała.

- Ciebie - odpowiedział, uśmiechając się uroczyście. - I tylko ciebie.

Świat Victorii, tak niedawno jeszcze zagrożony tym, co wczoraj widziała i słyszała, nagle stał się znowu bezpieczny, pewny i ciepły.

- Dziękuję ci, Andrew - rzekła, nagle onieśmielona. A potem, w jednej chwili zmieniając się z dziewczynki w uroczą, szlachetnie urodzoną młodą damę, dodała miękko: - Jakże miło będzie poślubić najlepszego przyjaciela.

- Nie powinienem był ci o tym wspominać, nie porozmawiawszy wcześniej z twoim ojcem, ale tego jeszcze przez trzy lata nie mogę zrobić.

- On cię ogromnie lubi - zapewniła go dziewczyna. - Kiedy przyjdzie pora, wcale nie będzie oponował. Jakże by mógł, skoro jesteście tak do siebie podobni?

W chwilę później dosiadła konika; czuła się wesoła i radosna, ale jej dobry nastrój prysnął, gdy tylko otworzyła tylne drzwi domu i weszła do przytulnego pomieszczenia, które pełniło dwojaką rolę, służąc jako kuchnia i wspólny pokój rodziny.

Matka pochylała się nad ogniem, zajęta wafelnicą. Włosy miała ściągnięte w gładki kok, jej skromna sukienka była czysta i wyprasowana. Na gwoździach obok komina i nad nim wisiały szeregiem sitka, chochle, tarki, noże do siekania i lejki. Wszystko było czyste i swojskie, tak jak ona. Ojciec siedział już przy stole i popijał kawę.

Patrząc na nich, Victoria poczuła się onieśmielona, nieszczęśliwa i zła na matkę, że odmawia jej cudownemu ojcu miłości, której pragnął i potrzebował.

Ponieważ starszej córce dość często zdarzały się wypadki o wschodzie słońca, żadne z rodziców nie okazało zaskoczenia, kiedy się pojawiła. Obydwoje podnieśli na nią oczy,

uśmiechnęli się i powiedzieli dzień dobry. Victoria odpowiedziała na pozdrowienie ojca, uśmiechnęła się do młodszej siostry, Dorothy, ale prawie nie mogła patrzeć na matkę. Podeszła więc do półek i zaczęła nakrywać do stołu, ustawiając na nim pełny komplet talerzy i sztućców; bez tego, jak stanowczo twierdziła matka, nie mogło być mowy o „cywilizowanym posiłku”.

Chodziła tam i z powrotem między półkami a stołem, skrepowana i zdeprymowana, ale kiedy wreszcie usiadła, wrogość, którą czuła do matki, powoli zaczęła ustępować miejsca zrozumieniu. Obserwowała, jak Katherine Seaton stara się na różne sposoby powetować mężowi to, co się stało: gawędziła z nim wesoło, nie odstępując go na krok, napełniała mu troskliwie kubek parującą kawą, podawała dzbanuszek ze śmietanką i proponowała świeżo upieczone, domowe bułeczki, chyba że akurat szła do komina, gdzie przyrządzała jego ulubione danie śniadaniowe, wafle.

Victoria jadła posiłek w milczeniu, łamiąc sobie głowę nad znalezieniem jakiegoś sposobu, by pocieszyć ojca w jego pozbawionym miłości małżeństwie.

Wpadła na rozwiązanie problemu w chwili, kiedy Patrick wstał i oznajmił, że wybiera się na farmę Jacksona, by zobaczyć, jak się goi złamana ręka Annie. Zerwała się na równe nogi.

- Pojadę z tobą, papo. Chciałam już dawno zapytać, czy nie mógłbyś nauczyć mnie, jak ci pomagać. To znaczy w twojej pracy.

Oboje popatrzyli na nią ze zdziwieniem, bo Victoria nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania profesją ojca. Można by rzec, że do tej chwili była ładniutkim, beztróskim dzieckiem, które interesowało się przede wszystkim wesołą zabawą i niekiedy psotnymi figlami. Pomimo zaskoczenia, rodzice nie oponowali.

Victoria i jej ojciec zawsze byli sobie bliscy, a od tego dnia stali się nierozłączni. Towarzyszyła mu niemal wszędzie, gdzie jeździł, i chociaż stanowczo zabraniał jej pomagać przy leczeniu mężczyzn, z radością przyjmował pomoc córki w każdym innym przypadku.

Żadne z nich ani słowem nie wspomniało nigdy o smutnych sprawach, o których rozmawiali w tamten fatalny wieczór bożonarodzeniowy. Wypełniali sobie natomiast czas miłą rozmową i niefrasobliwymi kpinkami, jako że Patrick Seaton, chociaż w sercu miał smutek, doceniał wartość śmiechu.

Victoria już odziedziczyła po matce zdumiewającą urodę, a po ojcu humor i odwagę. Teraz uczyła się od niego jeszcze współczucia dla ludzi i idealizmu. Jako mała dziewczynka z łatwością podbiła serca mieszkańców wioski swą urodą i promiennym uśmiechem, któremu nie sposób było się oprzeć, a kiedy wyrosła na pełną energii młodą pannę, która przejmowała

się dolegliwościami sąsiadów i rozpraszała ich posępne nastroje, zaczęli ją uwielbiać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Victorio, czy jesteś całkiem pewna, że matka nigdy przy tobie nie wspominała ani o księciu Athertonie, ani o księżnej Claremont?

Dziewczyna oderwała się z trudem od bolesnego rozpamiętywania pogrzebu rodziców i popatrzyła na wiekowego, siwowłosego lekarza, który siedział naprzeciw niej przy stole kuchennym. Doktor Morrison, najstarszy z przyjaciół ojca, wziął na siebie odpowiedzialność za znalezienie nowego domu dla dziewcząt i zajął się pacjentami doktora Seaton, dopóki nie przybędzie nowy lekarz.

- Nie wiemy z Dorothy nic więcej ponad to, że mama poróżniła się ze swymi bliskimi w Anglii. Nigdy o nich jednak nie mówiła.

- Czy to możliwe, by twój ojciec miał jakichś krewnych w Irlandii?

- Papa wychowywał się w sierocińcu, nie miał żadnych krewnych. - Nie mogła już dłużej usiedzieć. - Czy mogę panu przygotować kawę, panie doktorze?

- Przestań się mną przejmować i posiedź na słońcu razem z Dorothy - upomniał ją łagodnie doktor Morrison. - Błada jesteś jak widmo.

- Ale może czegoś by pan sobie życzył, zanim wyjdę? - nalegała Victoria.

- Życzyłbym sobie mieć o kilka lat mniej - odrzekł lekarz z ponurym uśmiechem, ostrząc gęsie pióro. - Za stary już jestem, żeby poddać obciążeniu, jakie stanowią wszyscy pacjenci twojego ojca. Powiniennem siedzieć w Filadelfii, z gorącą cegłą pod stopami i książką na kolanach. Nie mam pojęcia, jak zdołam sobie tutaj radzić jeszcze przez cztery miesiące, zanim przyjedzie nowy lekarz.

- Przykro mi - powiedziała szczerze Victoria. - Wiem, że było to dla pana straszne.

- Dużo jednak gorsze dla ciebie i Dorothy - odrzekł życzliwie starsuszek. - No, biegnij teraz na podwórze i posiedź trochę na słońcu; grzeje wspaniale. Rzadko w styczniu trafia się tak ciepły dzień. A kiedy ty będziesz się wygrzewać, ja napiszę listy do twoich krewnych.

Minął zaledwie tydzień od przyjazdu doktora Morrisona z wizytą do Seatonów, gdy wezwano go do wypadku: powóz, w którym jechał Patrick z żoną, runął z nadrzecznej skarpy i przewrócił się do góry nogami. Doktor Seaton zginął na miejscu. Katherine na chwilę odzyskała przytomność i próbowała odpowiadać na rozpaczliwe pytania Morrisona o krewnych w Anglii. Udało jej się cichutko wyszeptać:

- ... Babka... księżna Claremont...

A potem, tuż przed zgonem, wyszeptała jeszcze jedno imię: „Charles”. Doktor

Morrison z napięciem błagał ją o nazwisko tego mężczyzny; Katherine otworzyła na moment półprzymknięte oczy.

- Fielding - westchnęła. - ... księżę... Atherton.

- Czy to krewny? - pytał natarczywie lekarz.

Po długiej chwili skinęła słabo głową.

- Kuzyn...

Morrisonowi przypadł teraz w udziale obowiązek zlokalizowania tych jak dotychczas nieznanymi krewnymi, skontaktowania się z nimi i dowiedzenia się, czy ktoś z nich zechciałby wziąć Victorię i Dorothy do swego domu: a obowiązek był tym trudniejszy, że o ile wiedział, ani księżę Atherton, ani księżna Claremont nie mieli pojęcia o istnieniu dziewcząt.

Z pełną determinacją miną doktor Morrison zanurzył pióro w kałamarzu, napisał datę u góry pierwszego listu, zawahał się i zmarszczył z namysłem czoło.

- Jak należy zwracać się do księżnej? - zapytał pustego pomieszczenia. Rozważywszy z powagą tę kwestię, podjął decyzję i zaczął pisać.

Droga Pani Księżno!

Przypadł mi w udziale niemiły obowiązek powiadomienia Pani o tragicznej śmierci Pani wnuczki, Katherine Seaton, a co więcej, powiadomienia Pani, że dwie córki pani Seaton, Victoria i Dorothy, znalazły się tymczasowo pod moją opieką. Ja jednak jestem starym człowiekiem, a poza tym kawalerem. Tak więc, Pani Księżno, nie zdołam dłużej zajmować się tymi dwoma osieroconymi młodymi damami.

Przed śmiercią pani Seaton wymieniła tylko dwa nazwiska, Pani i pana Charlesa Fieldinga. Piszę więc do Pani i do pana Fieldinga w nadziei, że jedno z Państwa - lub oboje - przyjmie córki pani Seaton do swego domu. Powinienem też uprzedzić Panią, że dziewczęta nigdzie indziej udać się nie mogą. Mają znikome środki finansowe i rozpaczliwie potrzebny im odpowiedni dom.

Doktor Morrison odchylił się do tyłu na krześle i badawczo przyjrzał się listowi, a czoło powoli marszczyło mu się w zatroskaniu. Przewidywał, że skoro księżna nie podejrzewała dotąd nawet istnienia dziewcząt, może się zdarzyć, że nie będzie miała ochoty zapewnić im dachu nad głową, jeżeli wcześniej czegoś się o nich nie dowie. Zastanawiając się, w jaki sposób najlepiej opisać panienki, odwrócił głowę i spojrzał na nie przez okno.

Dorothy siedziała na ławce - huśtawce, jej szczupłe ramiona przygarbiły się w rozpacz. Victoria z determinacją oddawała się szkicowaniu, starając się opanować smutek.

Doktor Morrison postanowił najpierw opisać Dorothy, jako że było to łatwiejsze.

Dorothy to ładna dziewczyna o włosach jasnobłond i niebieskich oczach. Usposobienie ma łagodne, dobre maniery i wiele uroku. Skończyła siedemnaście lat, więc jest już niemal w wieku, kiedy mogłaby wyjść za mąż, ale nie była skłonna obdarzyć szczególnym uczuciem któregoś z młodych dżentelmenów z okolicy...

Doktor Morrison przerwał i z namysłem pogładził się po brodzie. Prawdę rzekłszy, wielu okolicznych młodych dżentelmenów zadurzyło się w Dorothy na amen. I kto mógłby mieć im to za złe? Była ładna, wesoła i słodka. Prawdziwy anioł, zdecydował, zadowolony, że trafił na określenie, które idealnie do niej pasowało.

Ale kiedy przeniósł uwagę na Victorię, jego krzaczaste brwi ściągnęły się w zakłopotaniu, bo chociaż to Victoria była ulubienicą staruszka, dużo trudniej przyszło mu ją opisać. Nie miała takich złotych włosów jak Dorothy, chociaż nie wydawały się też naprawdę rude; stanowiły raczej żywe połączeniu obu tych kolorów. Dorothy była śliczną, uroczą, skromną młodą damą, która zawracała wszystkim chłopakom w głowach. Idealny materiał na żonę: słodka, łagodna, o miękkim głosie, posłuszna. Krótko mówiąc, należała do tego rodzaju kobiet, które nigdy nie sprzeciwiają się mężowi ani nie okazują mu nieposłuszeństwa.

Natomiast Victoria spędzała bardzo wiele czasu z ojcem i w wieku osiemnastu lat umysł miała rzutki, żywe poczucie humoru i zaskakującą skłonność do własnego zdania w różnych sprawach.

Dorothy będzie myśleć tak, jak każe jej myśleć mąż i zgodzi się robić to, co on każe, ale Victoria zechce myśleć samodzielnie i postępować zgodnie z tym, co sama uzna za słuszne.

Dorothy była istnym aniołem, do takiego wniosku doszedł doktor Morrison, ale o Victorii... nie można tego powiedzieć.

Przymrużywszy oczy, spojrzął zza okularów na swą ulubienicę, która szkicowała kolejny obrazek, przedstawiający obrośnięty pnączami mur ogrodowy; wpatrywał się w jej patrycjuszowski profil i usiłował znaleźć słowa, którymi mógłby ją opisać. Dzielna, tak, wiedział przecież, że rysuje dlatego, że woli się czymś zająć niż rozpamiętywać smutek. I umie współczuć innym, pomyślał, przypominając sobie, jak dokładała starań, by pocieszać i rozweselać chorych pacjentów ojca.

Doktor Morrison potrząsnął głową. Był starym człowiekiem i cieszyły go inteligencja Victorii oraz jej poczucie humoru; podziwiał odwagę dziewczyny, jej energię i zdolność do okazywania współczucia. Ale jeżeli te jej cechy podkreśli w liście do angielskich krewnych, ci z pewnością uznają ją za kobietę niezależną, sawantkę, której w żaden sposób nie uda się wydać za mąż i która już do końca życia będzie im siedzieć na karku. Poza tym wciąż jeszcze

istniała możliwość, że kiedy za kilka miesięcy wróci z Europy Andrew Bainbridge, poprosi oficjalnie dziewczynę o rękę, chociaż doktor Morrison nie był o tym przekonany. Ojciec Victorii i matka Andrew zgodzili się, że zanim młodzi się zaręczą, należy wystawić ich uczucia na próbę podczas sześciomiesięcznej nieobecności Andrew, który miał odbyć skróconą wersję wielkiej podróży po Europie.

Victoria nadal żywiła głębokie uczucie do przyjaciela, o tym doktor Morrison wiedział, ale młodzieniec najwyraźniej zaczynał się wahać w swoich uczuciach do niej. Zdaniem pani Bainbridge, Andrew wydawał się coraz bardziej zainteresowany daleką kuzynką, u której rodziny bawił teraz w Szwajcarii.

Doktor Morrison ciężko westchnął, nie przestając przyglądać się dziewczętom, ubranym w skromne, czarne sukienki; sploty jednej z nich lśniły złotem, druga miała włosy połyskliwe jak jasna miedź. Chociaż tak ponuro ubrane, tworzyły razem ujmujący obrazek, pomyślał z sympatią. Obrazek! Ogarnięty natchnieniem doktor Morrison postanowił rozwiązać cały problem z opisywaniem dziewcząt ich angielskim krewnym, dołączając do każdego z listów miniaturowy portrecik sióstr.

Podjąwszy tę decyzję, zakończył pierwszy list prośbą, by księżna naradziła się z księciem Athertonem, który miał otrzymać identyczny list, i by dała znać, jak zgodnie z życzeniem krewnych postąpić w sprawie opieki nad dziewczętami. Taki sam list napisał do księcia; potem ułożył krótką notatkę do swego doradcy prawnego w Nowym Jorku i polecił temu zacnemu dżentelmenowi, by kazał jakiejś godnej zaufania osobie odszukać adresatów i doręczyć im korespondencję. Westchnąwszy krótko do Boga, by książę lub księżna zwrócili mu pieniądze za poniesione wydatki, doktor Morrison wstał od biurka.

Na zewnątrz, w ogrodzie, Dorothy postukiwała czubkiem pantofelka w ziemię, przez co huśtawka lekko skręcała się na boki.

- Wciąż jeszcze nie mogę w to do końca uwierzyć - mówiła, a w jej delikatnym głosie rozpacz mieszała się z podnieceniem. - Mama była wnuczką księżnej! To czym my jesteśmy, Tory? Czy mamy jakiś tytuł?

Victoria spojrzała na nią z ironią.

- Mamy - odpowiedziała. - Jesteśmy „ubogimi krewnymi”.

Była to prawda, bo chociaż wdzięczni mieszkańcy wioski, którymi doktor Seaton opiekował się przez wiele lat, kochali go i wysoko cenili, nieczęsto stać ich było na to, by płacić lekarzowi gotówką, a sam Patrick nigdy się o to nie upominał. Wyrównywali rachunki takimi towarami i usługami, na jakie ich było stać: zwierzyną, rybami i drobiem na stół, naprawą powozu i domu, świeżo upieczonymi bochnami chleba, kosztami soczystych jagód.

W rezultacie rodzinie Seatonów nigdy nie brakowało jedzenia, ale pieniędzy zawsze było mało, o czym świadczyły często cerowane i farbowane w domu suknie, które nosiły i Dorothy, i Victoria. Nawet dach nad głową zapewnili im mieszkańcy wsi, podobnie jak zapewnili mieszkanie wielebnemu Milby'emu, pastorowi. Wynajmowali im domy w zamian za medyczną czy duchową posługę.

Dorothy zlekceważyła rozsądne podsumowanie ich pozycji społecznej przez Victorię i ciągnęła dalej w rozmarzeniu:

- Naszym kuzynem jest książę, a nasza prababka jest księżną! Wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć, a ty?

- Ja zawsze odnosiłam wrażenie, że mamę otacza jakaś tajemnica - odrzekła Victoria, powstrzymując łzy samotności i rozpacz, które zamgliły jej błękitne oczy. - A teraz wszystko się wyjaśniło.

- Jaka tajemnica?

Victoria zawahała się, ołówek, którym właśnie coś szkicowała, zawisł nad blokiem.

- Chciałam tylko powiedzieć, że mama nie była podobna do żadnej innej znanej mi kobiety.

- Pewnie tak - zgodziła się Dorothy i zamilkła.

Victoria wpatrywała się w leżący na kolanach szkic, a delikatne linie i łuki pnących róż, które rysowała tak, jak je pamiętała z zeszłego lata, zamazały jej się przed zwilgotniałymi oczami. Tajemnica się wyjaśniła. Teraz rozumiała, dlaczego matka nigdy nie czuła się swobodnie wśród innych kobiet z wioski, dlaczego zawsze mówiła kulturalnym językiem angielskiej damy i kategorycznie nalegała, by przynajmniej w jej obecności Victoria i Dorothy wyrażały się tak samo. Pochodzenie matki wyjaśniało, czemu tak bardzo chciała, by nauczyły się czytać i pisać nie tylko po angielsku, ale i po francusku. Tłumaczyło też, dlaczego była taka wybredna. A zwłaszcza ów dziwny, znękany wyraz twarzy, gdy sporadycznie wspominała o Anglii.

Może wyjaśniało nawet dziwną rezerwę, z jaką podchodziła do własnego męża, którego traktowała z łagodną uprzejmością, ale niczym więcej. A przecież na pozór można ją było stawiać za przykład żony. Nigdy nie besztala małżonka, nigdy nie narzekała na swą sytuację, stwarzającą tylko pozory zamożności, nigdy się z nim nie kłóciła. Victoria dawno już przebaczyła matce brak miłości do ojca. Teraz, kiedy zdała sobie sprawę, że matka musiała wychowywać się w niewiarygodnym luksusie, skłonna była raczej podziwiać jej wytrwałość i hart ducha.

Doktor Morrison wyszedł do ogrodu i uśmiechnął się promiennie do dziewcząt, chcąc

dodać im otuchy.

- Skończyłem pisać listy i wyślę je jutro. Jeżeli nam szczęście dopisze, powinniśmy za trzy miesiące, a może nawet szybciej, otrzymać odpowiedź od waszych bliskich. - Patrzył na obie, zadowolony, że znalazł sposób, by połączyć siostry z ich arystokratycznymi angielskimi krewnymi.

- Jak pan sądzi, panie doktorze, co oni zrobią, kiedy otrzymają pana listy? - zapytała Dorothy.

Doktor Morrison poklepał ją po głowie i mrużąc oczy w słońcu, wyteżył wyobraźnię.

- Będą zaskoczeni, tak przypuszczam, ale nie pokażą tego po sobie... Wyższe sfery w Anglii nie lubią okazywać uczuć, jak mi mówiono, no i pedantycznie przestrzegają zasad dobrego tonu. Kiedy już przeczytają listy, prawdopodobnie prześlą sobie nawzajem uprzejmą wiadomość, a potem spotkają się, by omówić waszą przyszłość. Kamerdyner wniesie herbatę...

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie ze wszystkimi szczegółami ten czarujący obrazek. Widział w myśli dwoje dystygowanych angielskich arystokratów, bogatych i życzliwych, którzy spotykają się w eleganckim salonie, by wypić razem wniesioną na srebrnej tacy herbatę, zanim przedyskutują przyszłość swoich dotychczas nieznanych, ale drogich im młodych krewniaczek. A skoro księżę Atherton i księżna Claremont to krewni Katherine, muszą oczywiście być przyjaciółmi i sprzymierzeńcami w tej sprawie...

ROZDZIAŁ TRZECI

Jej Wysokość księżna wdowa Claremont - zaanonsował majestatycznie kamerdyner od drzwi salonu, w którym siedział Charles Victor Fielding, ksiązę Atherton.

Kamerdyner odstąpił na bok i do środka wmaszerowała imponująca stara kobieta, a w ślad za damą wsunął się jej doradca prawny o udręczonej twarzy. Charles Fielding spojrział na gościa, a w jego przenikliwych, orzechowych oczach płonęła nienawiść.

- Nie trudź się, by wstawać, Atherton - warknęła z sarkazmem księżna i spiorunowała go spojrzeniem, kiedy z rozmysłem i bezczelnie nie podniósł się z fotela, tylko w kompletnym bezruchu i lodowatym milczeniu mierzył ją wzrokiem.

Charles Fielding w wieku pięćdziesięciu kilku lat wciąż jeszcze wydawał się atrakcyjnym mężczyzną, o gęstych, przetykanych siwizną włosach i orzechowych oczach, ale przebyta choroba dała mu się we znaki. Był zbyt szczupły jak na swój wzrost, a napięcie i zmęczenie poznały głębokimi zmarszczkami jego twarz.

Księżnej nie udało się wykrzesać z niego żadnej reakcji, naskoczyła więc na kamerdynera.

- W tym pokoju jest za gorąco! - warknęła, postukując laseczką o wysadzanej klejnotami rączce w podłogę. - Proszę rozsunąć zasłony i wpuścić tu trochę powietrza.

- Zostaw! - warknął Charles i aż zadrżał z odrazy, którą budził w nim sam widok tej kobiety.

Księżna zwróciła na niego miażdżące spojrzenie.

- Nie przyszłam tu po to, by się udusić - oznajmiła groźnie.

- A więc proszę wyjść.

Chuda postać księżnej zeszywniała, kamieniejąc wręcz w pełnym wściekłości oburzeniu.

- Nie przyszłam tu po to, by się udusić - powtórzyła przez zaciśnięte zęby. - Przyszłam oznajmić, jaką decyzję podjęłam w sprawie dziewcząt Katherine.

- A więc proszę to zrobić - uciał Charles - a potem wyjść.

Oczy księżnej zwęziły się do płonących furii szparek. Wydawało się, że powietrze aż trzeszczy od jej wrogości, ale zamiast wyjść, powoli opadła na fotel. Chociaż posunęła się już w latach, siedziała prosto niczym królowa; w miejsce korony na jej głowie tkwił fioletowy turban, w dłoni zamiast berła dzierżyła laseczkę.

Charles przypatrywał się starej damie z ostrożnym zaskoczeniem, ponieważ pewien

był, że tylko dlatego upierała się przy tym spotkaniu, by móc z satysfakcją rzucić mu prosto w twarz, że on nie ma nic do powiedzenia w sprawie dzieci Katherine. Nie spodziewał się, że księżna usiądzie, jakby miała coś więcej do przekazania.

- Widział pan miniatury dziewcząt - oznajmiła.

Wzrok księcia opadł na trzymaną w dłoni miniaturę, a jego długie palce zacisnęły się wokół niej konwulsyjnie, opiekuńczo. Ta dziewczyna była wierną kopią swojej matki, kopią jego ślicznej, ukochanej Katherine!

- Victoria jest wierną kopią swojej matki - warknęła nagle Jej Wysokość.

Charles podniósł na nią oczy, a jego twarz momentalnie stwardniała.

- Jestem tego świadom.

- Dobrze. Tak więc zrozumie pan, dlaczego nie wpuszczę tej dziewczyny do mego domu. Wezmę tę drugą. - Wstała, jakby oznajmiła już wszystko, co miała do powiedzenia, i zerknęła na prawnika. - Proszę dopilnować, by doktor Morrison otrzymał przekaz bankowy, pokrywający jego wydatki i jeszcze jeden, na przejazd statkiem dla młodszej z dziewcząt.

- Tak, Wasza Wysokość - powiedział, kłaniając się, prawnik. - Czy coś jeszcze?

- Będzie jeszcze bardzo dużo - warknęła księżna, głos miała napięty i groźny. - Będę musiała wprowadzić tę dziewczyną w towarzystwo, będę musiała zapewnić jej posag. Będę musiała znaleźć dla niej męża, będę...

- A co z Victorią? - przerwał jej ostro Charles. - Jakie są pani plany wobec starszej z dziewcząt?

Księżna popatrzyła na niego wrogo.

- Już panu powiedziałam. Ta dziewczyna przypomina mi swoją matkę i nie wpuszczę jej za próg. Jeżeli ma pan na nią ochotę, może pan ją zabrać. O ile sobie przypominam, miał pan wielką ochotę na jej matkę. A Katherine w oczywisty sposób czuła to samo do pana, nawet w chwili śmierci wypowiedziała jeszcze pańskie imię. Może pan w zastępstwie udzielić schronienia jej córce. Zasługuje pan na to, żeby się zaopiekować tą dziewczyną.

Charlesowi wciąż jeszcze kręciło się w głowie z radosnego niedowierzania, kiedy stara księżna dodała arogancko:

- Może ją pan wydać, za kogo chce, za kogokolwiek, poza tym pańskim bratankiem. Dwadzieścia dwa lata temu nie dopuściłam do połączenia rodziny pana i mojej, teraz nadal tego zabraniam. A ja... - Przerwała nagle, zupełnie jakby wpadła na jakiś całkiem nowy pomysł, a oczy jej zabłysły złośliwą satysfakcją. - A ja wydam Dorothy za syna Winstona! - oznajmiła rozradowana. - Chciałam, by Katherine poślubiła jego ojca, a ona mi odmówiła, przez pana. Wydam Dorothy za jego syna i w końcu skoligacę się z Winstonami, tak jak

chciałam! - Jej pomarszczoną twarz rozjaśniła powolna, mściwa radość i księżna roześmiała się głośno, widząc zwarzoną minę Charlesa. - Po tych wszystkich latach doprowadzę jednak do najwspanialszego małżeństwa dziesięciolecia! - Z tymi słowy wyszła dumnie z pokoju, a za nią podreptał prawnik.

Charles odprowadził ją spojrzeniem, jego uczucia oscylowały między goryczą, nienawiścią i radością. Ta wściekła, stara jędza niechcący spełniła właśnie jego najgorętsze marzenie, dała mu to, czego pragnął bardziej niż samego życia, dała mu Victorię, córkę Katherine. Kopia Katherine! Wezbrało w nim niemal nieznośne poczucie szczęścia, a natychmiast potem zakipiała wściekłość. Ta stara, przebiegła krętaczka, ta nieczuła starucha zamierzała się skoligacić z Winstonami, czego zawsze pragnęła. Kiedyś byłaby bez oporów poświęciła szczęście Katherine, żeby tylko doprowadzić do tego bezsensownego aliansu, a teraz miała zamiar zwyciężyć.

Wściekłość, która ogarnęła Charlesa na myśl, że księżna osiągnie to, czego zawsze pragnęła, przyćmiła niemal radość, że będzie miał u siebie Victorię. I nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Przymrużywszy oczy, rozważał go, zastanawiał się, roztrząsał różne aspekty całej sprawy. I powoli zaczął się uśmiechać.

- Dobson - odezwał się z zapalem do kamerdynera. - Przynies mi pióro i papier. Chcę napisać zawiadomienie o zaręczynach. Dopilnuj, by natychmiast zostało doręczone do „Timesa”.

- Tak, Wasza Wysokość.

Charles popatrzył na starego sługę, a oczy płonęły mu gorączkowym podnieceniem.

- Myliła się, Dobsonie - oznajmił. - Ta stara jędza się myliła!

- Myliła się, Wasza Wysokość?

- Tak, myliła się! To nie ona doprowadzi do najwspanialszego małżeństwa w tym dziesięcioleciu, tylko ja!

To był już cały ceremoniał. Każdego ranka, mniej więcej o dziewiątej, kamerdyner Northrup otwierał masywne drzwi frontowe palladiańskiej wiejskiej rezydencji markiza Wakefielda i odbierał egzemplarz „Timesa” od lokaja, który przywoził gazetę z Londynu.

Zamknawszy drzwi, Northrup przechodził przez marmurowy hol i wręczał gazetę innemu lokajowi, zajmującemu stanowisko u podnóża wspinających schodów.

- Egzemplarz „Timesa” dla wielmożnego pana - oznajmiał Northrup.

Lokaj zanosił gazetę dalej, do jadalni, gdzie Jason Fielding, markiz Wakefield, zwykle kończył właśnie swój poranny posiłek i czytał pocztę.

- Egzemplarz „Timesa” dla wielmożnego pana - półgłosem, z szacunkiem mówił lokaj

i kładł dziennik obok filiżanki z kawą pana markiza, a następnie zabierał talerz. Markiz bez słowa brał gazetę i otwierał ją.

Wszystko to odbywało się z precyzją menueta, perfekcyjnie rozpisanego na role i bezbłędnie wykonanego, jako że lord Fielding był panem wymagającym i żądał, by jego majątki i domy funkcjonowały równie gładko jak dobrze naoliwiona maszyna.

Służba drżała przed nim ze strachu i wpatrywała się weń jak w przerażające, nieprzystępne bóstwo, które rozpaczliwie usiłowała zadowolić.

Rozentuzjasmowane londyńskie piękności, zabierane przez Jasona na bale, do opery i do teatru - oraz do łóżka - miały w stosunku do niego bardzo podobne uczucia, ponieważ większości z nich okazywał równie mało szczerą serdeczność, co swoim służącym. Niemniej jednak wszędzie, gdzie tylko się pojawił, damy spoglądały na niego z nieukrywaną tęsknotą, bo chociaż sposób bycia miał cyniczny, otaczała go niedwuznaczna aura męskości, wprawiająca kobiece serca w drżenie.

Włosy miał kruczoczarne, oczy przenikliwe, koloru hinduskich nefrytów, wargi jędrne i zmysłowo zarysowane. Nieustępliwa, surowa moc biła z każdego rysu jego ogorzalej od słońca twarzy, poczynając od prostych, ciemnobrązowych brwi, do arogancko sterczącego podbródka i szczęk. Sylwetkę również miał absolutnie męską: około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, szeroki w barach, wąski w biodrach, na nogach i udach grały mu twarde mięśnie. Czy to na koniu, czy w czasie tańców na balu, Jason Fielding wyróżniał się spośród innych panów niczym wspianały dziki drapieżnik wśród nieszkodliwych, udomowionych kociąt.

Jak kiedyś zauważyła ze śmiechem lady Wilson - Smyth, Jason Fielding był równie niebezpiecznie pociągający jak grzech - i bez wątpienia równie niegodziwy.

Opinię tę podzielało wielu, bo każdy, kto zajął w jego cyniczne, zielone oczy, mógł stwierdzić, że w tym gibkim, muskularnym ciele nie ostało się już nawet jednego włókienka niewinności czy naiwności. Mimo to, a może dokładniej właśnie dlatego, markiz Wakefield przyciągał damy jak płomień przyciąga ładne ćmy; nie mogły się wprost doczekać, kiedy doświadczą jego namiętności, czy choćby tylko będą się pławić w oślepiającym cieple jednego z rzadkich, leniwych uśmiechów Jasona. Wyrafinowane zameżne kokietki spiskowały, chcąc dostać się do jego łóżka; każda z młodszych, w wieku odpowiednim do zamążpójścia dam marzyła, by okazać się tą, która stopi lodowate serce markiza i powali go na kolana.

Co bardziej rozsądni członkowie towarzystwa zauważali, że lord Fielding miał uzasadnione powody, by stać się cynicznym tam, gdzie w grę wchodziły kobiety. Wszyscy wiedzieli, że zachowanie jego żony, która pojawiła się w Londynie przed czterema laty, było

skandaliczne. Od chwili kiedy piękna markiza Wakefield przybyła do stolicy, pozwalała sobie na jeden rozgłaszany wszem i wobec romans po drugim. Wielokrotnie przyprawiała rogi swemu małżonkowi; wiedzieli o tym wszyscy, łącznie z Jasonem Fieldingiem, który najwyraźniej o to nie dbał...

Lokaj przystanął przy fotelu markiza, z bogato zdobionym, srebrnym dzbankiem kawy w ręce.

- Czy można panu jeszcze służyć kawą, wielmożny panie?

Wielmożny pan potrząsnął głową i przewrócił stronę „Timesa”. Lokaj ukłonił się i wycofał. Nie spodziewał się, by lord Fielding miał odpowiedzieć mu na głos, ponieważ nieczęsto raczył się odzywać do któregoś ze swoich służących. Przeważnie nie wiedział o nich ani tego, jak się nazywają, ani niczego innego, i nie obchodziło go to. Ale przynajmniej nie miał skłonności do awantur i wrzasków, co charakteryzowało wielu szlachetnie urodzonych. Kiedy markiz był niezadowolony, kierował na winnego spojrzenie swych zielonych oczu, tak lodowate, że krew ścinała się w żyłach. Nawet najbardziej wytrącony z równowagi, nigdy nie podnosił głosu.

I z tego właśnie powodu zdumiony lokaj niemalże upuścił srebrny dzbanek z kawą, kiedy Jason Fielding uderzył dłonią w stół i zagrział:

- Co za łotr! - Zerwawszy się na równe nogi, wbił oczy w otwartą gazetę, a jego twarz zakrzepła w wyrazie furii zmieszanej z niedowierzaniem. - Co za przebiegły intrygant... Tylko on mógł się ośmielić!

Rzuciwszy mordercze spojrzenie na lokaja, który stał jak rażony piorunem, wściekły markiz wielkimi krokami wyszedł z pokoju, wyrwał kamerdynerowi pelerynę, wypadł z domu i skierował się prosto do stajni.

Northrup zamknął za nim drzwi frontowe i popędził w kierunku jadalni tak szybko, że załopotaty za nim poły czarnej liberii.

- Co się stało wielmożnemu panu? - zapytał, wpadając do środka.

Lokaj stał obok fotela, z którego dopiero co wstał lord Fielding i wpatrywał się jak urzeczony w otwartą gazetę, trzymając wciąż w dłoni zapomniany dzbanek.

- Musiał chyba przeczytać to w „Timesie” - sapnął i pokazał zawiadomienie o zaręczynach Jasona Fieldinga, markiza Wakefielda, z panną Victorią Seaton. - Nie wiedziałem, że wielmożny pan ma zamiar się zenić - dodał.

- Ciekawe, czy sam wielmożny pan o tym wiedział - odrzekł Northrup i popatrzył ze zdumieniem w dziennik. Nagle uświadomił sobie, że zapomniał się do tego stopnia, iż wdał się w pogaduszki z podwładnym; sprzątnął więc gazetę ze stołu i energicznie ją złożył. - Nie

powinieneś wtrącać się w sprawy lorda Fieldinga, O'Malley. Pamiętaj o tym, jeżeli chcesz tu zagrześć miejsce.

W dwie godziny później powóz Jasona zajechał pędem przed londyńską rezydencję księcia Athertona i gwałtownie się zatrzymał. Stajenny podbiegł szybko, Jason rzucił mu lejce, wyskoczył i zdecydowanym krokiem ruszył w górę po schodach frontowych.

- Dzień dobry, wielmożny panie - powiedział Dobson, otwierając drzwi i odsuwając się z drogi. - Jego Wysokość oczekuje wielmożnego pana.

- Założyłbym się, że mnie oczekuje - rzucił zjadliwie Jason. - Gdzie on jest?

- Jest w salonie, wielmożny panie.

Gość minął go i oddalił się w kierunku salonu, a wydłużony, pośpieszny krok wymownie świadczył o miotającej Jasonem furii; otworzył gwałtownie drzwi i skierował się prosto do pełnego godności, siwowłosego mężczyzny, który siedział przed kominkiem. Bez żadnych wstępów wycedził:

- To pan, jak mi niemam, ponosi odpowiedzialność za to skandaliczne zawiadomienie w „Timesie”?

Charles śmiało spojrział mu w oczy. - Tak.

- A więc będzie pan musiał zamieścić następne, by tamto odwołać.

- Nie - oznajmił nieustępliwie Charles. - Ta młoda kobieta jest teraz w drodze do nas i ty się z nią ożenisz. Pomijając już inne sprawy, pragnę mieć po tobie wnuka, i chcę go wziąć w ramiona, zanim odejdę z tego świata.

- Jeżeli chce pan wnuka - warczał Jason - wystarczy odnaleźć któregoś innego z pańskich bękartów. Jestem pewien, że okaże się, iż spółdzili już dziesiątki wnuków.

Charles wzdrygnął się, ale jego głos tylko groźnie się obniżył.

- Chcę mieć wnuka z prawego łoża, którego przedstawię światu jako mego dziedzica.

- Wnuka z prawego łoża - powtórzył Jason z lodowatym sarkazmem. - Chce pan, bym ja, pański nieślubny syn, dał panu wnuka z prawego łoża. Proszę mi coś powiedzieć: skoro wszyscy wierzą, iż jestem pańskim bratankiem, jakim cudem chce pan uznać mojego syna za swojego wnuka?

- Oficjalnie uznam go za stryjecznego wnuka, ale będę wiedział, że jest prawdziwym wnukiem, a tylko to ma znaczenie. - Wcale nieprzerażony rozszalałą furią syna, księżę zakończył z nieprzejednanym uporem: - Chcę, żebyś mi dał dziedzica, Jasonie.

Na skroni markiza pulsowała żyłka, kiedy usiłował opanować wściekłość. Pochylił się nisko, oparł ręce na poręczach fotela Charlesa i zbliżywszy twarz do twarzy starszego mężczyzny, bardzo powoli i bardzo wyraźnie wygłosił:

- Mówiłem panu już wcześniej i powtarzam po raz ostatni, że nigdy się ponownie nie ożenię. Czy pan mnie rozumie? Nigdy się już nie ożenię!

- Dlaczego? - rzucił ostro jego ojciec. - Nie można powiedzieć, byś tak bez reszty zaliczał się do wrogów kobiet. Powszechnie wiadomo, że miewasz kochanki i że traktujesz je dobrze. Można nawet odnieść wrażenie, że kobiety zakochują się w tobie jedna za drugą. Damy najwyraźniej lubią z tobą dzielić łożę, a ty najwyraźniej lubisz, kiedy się tam znajdują...

- Zamilknij! - wybuchnął Jason.

Rysy Charlesa wykrzywił grymas bólu, uniósł dłoń do piersi, długie palce zacisnęły się na koszuli. Potem ostrożnie opuścił rękę na kolana.

Oczy Jasona się zwęziły, ale chociaż podejrzewał, że księżę tylko udaje ból, zmusił się, by w milczeniu słuchać, kiedy jego ojciec mówił dalej:

- Ta młoda dama, którą wybrałem dla ciebie na żonę, powinna pojawić się tutaj mniej więcej za trzy miesiące. Wyślę po nią do portu powóz, żeby mogła pojechać bezpośrednio do Wakefield Park. Jak nakazuje przyzwoitość, przyjadę do was dwojga i pozostanę tam, dopóki nie odbędą się zaślubiny. Znałem dawno temu jej matkę i widziałem podobiznę Victorii... nie rozczarujesz się. - Podał mu miniaturę. - No, Jasonie - jego głos zrobił się miękki, przymiłny - czy nie jesteś jej choć odrobinę ciekawy?

Rysy jego syna stwardniały na granit.

- Traci pan czas. Nie zrobię tego.

- Zrobisz - zapewnił go Charles, w desperacji uciekając się do gróźb. - Bo jeżeli nie, to cię wydziedziczę. Wydałeś pół miliona funtów ze swoich pieniędzy na przywracanie blasku moim posiadłościom, które nigdy nie będą do ciebie należały, jeżeli nie ożenisz się z Victorią Seaton.

Na tę groźbę Jason zareagował palącą pogardą.

- Pana cenne posiadłości mogą się spalić do gołej ziemi, nie dbam o to. Mój syn nie żyje; na nic mi wszelkie zapisy.

Charles zauważył rozpacz, która błysnęła w oczach Jasona na wspomnienie chłopczyka i jego głos złagodniał z powodu dzielonego z synem bólu.

- Przyznaję, że zadziałałem pochopnie, ogłaszając twe zaręczyny, Jasonie, miałem jednak swoje powody. Może nie uda mi się zmusić cię do poślubienia Victorii, ale przynajmniej nie uprzedzaj się do tej dziewczyny. Zapewniam cię, że nie będziesz miał jej nic do zarzucenia. Spójrz, mam tu jej miniaturę, zobacz sam, jaka jest piękna... - Głos księcia zamarł, kiedy Jason odwrócił się na pięcie, wypadł z pokoju i z ogłuszającym hukiem zatrzasnął za sobą drzwi. Charles popatrzył spode łba na zamknięte odrzwia. - Ożenisz się z

nią, Jasonie - zapowiedział swemu nieobecnemu synowi. - Zrobisz to, choćbym miał ci przystawić pistolet do głowy.

W kilka minut później podniósł wzrok, kiedy do salonu wszedł Dobson, niosąc na srebrnej tacce butelkę szampana i dwa kieliszki.

- Pozwoliłem sobie wybrać coś odpowiedniego na tę okazję - oznajmił radośnie stary sługa, stawiając tacę na stoliku w pobliżu Charlesa.

- Wobec tego powinienesz być raczej wybrać cykutę - stwierdził z ironią jego pan. - Jason już wyszedł.

Kamerdynerowi zrzęda mina.

- Już wyszedł? Ale nie miałem okazji powinszować wielmożnemu panu z okazji jego zbliżających się zaślubin.

- Miałeś prawdziwe szczęście, że nie zdążyłeś. - Księżę ponuro się roześmiał. - Obawiam się, że mógłby cię uderzyć.

Po wyjściu kamerdynera Charles wziął butelkę szampana i nalał sobie kieliszek. Ze zdecydowanym uśmiechem wznosił samotny toast:

- Za twoje przyszłe małżeństwo, Jasonie.

- To zajmie mi tylko kilka minut, proszę pana - powiedziała Victoria, zeskakując z wozu farmera, na który załadowano jej kufry i rzeczy Dorothy.

- Nie śpiesz się - odpowiedział mężczyzna, pykając z fajeczki i uśmiechając się. - Ani ja, ani twoja siostra nie odjedziemy bez ciebie.

- Prędeż, Tory - błagała Dorothy. - Statek nie będzie na nas czekał.

- Mamy mnóstwo czasu - uspokajał je farmer. - Dowiozę was do miasta i dostarczę na statek przed zapadnięciem nocy, obiecuję wam.

Victoria pośpiesznie weszła po schodach do imponującego domostwa Andrew, które spoglądało na wioskę ze szczytu wzgórza, i zastukała w ciężkie, dębowe drzwi.

- Dzień dobry pani - powitała pulchną gospodynię, panią Tilden. - Czy mogę na chwilę zobaczyć się z panią Bainbridge? Chciałabym się z nią pożegnać i zostawić jej do wysłania list dla Andrew, żeby wiedział, gdzie ma do mnie pisać do Anglii.

- Powiem jej, że przyszedł, Victorio - odpowiedziała gospodyni życzliwie, choć z mało zachęcającym wyrazem twarzy - ale wątpię, czy się z tobą zobaczy. Wiesz, jaka jest, kiedy dostanie jednego z tych swoich ataków.

Victoria mądrze pokiwała głową. Wiedziała wszystko na temat „ataków” pani Bainbridge. Zdaniem ojca Victorii, matka Andrew należała do osób wiecznie na coś narzekających i wynajdywała sobie różne dolegliwości, byle nie robić tego, na co nie miała

ochoty i moc manipulować swym synem oraz dyrygować nim. Przed kilku laty Patrick Seaton powiedział to swej pacjentce prosto w twarz, i to na dodatek w obecności Victorii, a matka Andrew nigdy tych słów nie przebaczyła żadnemu z nich.

Victoria wiedziała, że pani Bainbridge symuluje chorobę, wiedział też o tym Andrew. Z tego to powodu jej palpacje, zawroty głowy i drętwienie kończyn nie robiły na żadnym z nich większego wrażenia, a fakt ów, jak wiedziała Victoria, jeszcze bardziej wrogo nastawiał matkę do wybranki syna.

Gospodyni wróciła z ponurym wyrazem twarzy.

- Przykro mi, Victorio, pani Bainbridge mówi, że nie czuje się na tyle dobrze, by się z tobą zobaczyć. Zaniosę na górę twój list do pana Andrew i dam jej, by go wysłała. Chce, żebym wezwała doktora Morrisona - dodała pełnym niesmaku tonem. - Mówi, że dzwoni jej w uszach.

- Doktor Morrison okazuje współczucie z powodu tych wszystkich dolegliwości, zamiast kazać jej podnieść się z łóżka i w jakiś użyteczny sposób wykorzystać czas - podsumowała Victoria ze zrezygnowanym uśmiechem i podała gospodyni kopertę. Żałowała, że przesyłanie korespondencji do Europy jest aż tak kosztowne; gdyby nie ów fakt, mogłaby robić to sama, zamiast prosić panią Bainbridge, by dołączała te listy do swoich dla Andrew. - Sądzę, że pani Bainbridge bardziej podoba się podejście doktora Morrisona niż kiedyś mojego ojca.

- Jakbyś chciała wiedzieć - z gniewem odrzekła pani Tilden - to twój papa odrobinę za bardzo jej się podobał. To było wprost nie do wytrzymania, jak się stroiła, zanim posłała po niego w środku nocy i... - tu urwała i zapewniła pośpiesznie - chociaż twój drogi ojciec nigdy nie wchodził z nią w żadne konszachty.

Kiedy Victoria wyszła, pani Tilden zaniosiła kopertę na górę.

- Proszę pani - powiedziała, podchodząc do łóżka wdowy - tu jest ten list Victorii do pana Andrew.

- Daj mi go - fuknęła pani Bainbridge zadziwiająco silnym głosem, jak na osobę obłożnie chorą - a potem natychmiast poślij po doktora Morrisona. Mam silne zawroty głowy. Kiedy ma przyjechać nowy lekarz?

- W tym tygodniu - odpowiedziała pani Tilden, podając jej list.

Po wyjściu gospodyni pani Bainbridge poprawiła sobie siwe włosy pod koronkowym czepeczkiem i zerknęła z grymasem niesmaku na kopertę, leżącą obok niej na jedwabnej kołdrze.

- Andrew nie ożeni się z tą wiejską myszką - oznajmiła młodej służącej z pogardą. -

Ona jest nikim! Pisał mi już dwa razy ze Szwajcarii, że jego kuzynka Madeline jest śliczna. Mówiłam o tym Victorii, ale ta niemądra dziewczucha nie zwraca uwagi na moje słowa.

- Czy myśli pani, że on przywiezie ze sobą do domu pannę Madeline jako żonę? - zapytała służąca, poprawiając swojej pani poduszki, by były bardziej puszyste.

Chuda twarz pani Bainbridge ściągnęła się ze złości.

- Nie bądź głupia! Andrew nie ma czasu na żadne żony. Powiedziałam mu to. Jest tu aż nadto roboty, by miał się czym zająć, a ma zobowiązania wobec tego domu i wobec mnie.

- Podniosła list Victorii dwoma palcami jak coś plugawego i podała go dziewczynie.

- Wiesz, co masz z tym zrobić - powiedziała zimno.

- Nie wiedziałam, że gdziekolwiek na całym świecie może być tylu ludzi i tyle hałasu - wybuchnęła Dorothy, stojąc na kei pełnego krzątaniny nowojorskiego portu.

Sztauerzy z kufkami na ramionach biegali w górę i w dół po trapach licznych statków; nad głowami ich poskrzypywały wciągarki, które zabierały wyładowane towarami skrzynie z drewnianego pomostu i przenosiły je ponad burtą. Wykrzykiwane przez oficerów rozkazy mieszały się z wybuchami ochryplego śmiechu marynarzy i lubieżnymi propozycjami, które wykrzykiwały jaskrawo wystrojone kobiety, czekające na kejach na schodzących ze statków żeglarzy.

- To podniecające - powiedziała Victoria, przyglądając się, jak dwóch krzepkich tragarzy przenosi na pokład „Guli” dwa kufry, zawierające cały majątek obu dziewcząt.

Dorothy przytaknęła, ale twarz jej się zachmurzyła.

- To prawda, tylko że mnie ciągle przychodzi na myśl kres naszej podróży i nasze rozstanie, a wszystko z winy prababki. Skąd jej się to wzięło, że nie zgadza się przyjąć ciebie?

- Nie wiem, ale nie wolno ci tego rozpamiętywać - odrzekła Victoria, uśmiechem dodając jej odwagi. - Myśl tylko o przyjemnych rzeczach. Popatrz na East River. Zamknij oczy i wdychaj słone powietrze.

Dorothy zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, po czym zmarszczyła nosek.

- Czuję tylko zapach zdechłych ryb. Tory, gdyby prababcia więcej o tobie wiedziała, jestem przekonana, że chciałyby, byś do niej przyjechała. Nie może być taka okrutna i bez serca, żeby nie pozwalać nam się widywać. Opowiem jej wszystko o tobie i skłonię, by zmieniła zdanie.

- Nie wolno ci powiedzieć niczego, czym mogłabyś ją do siebie zrazić - przestrzegła łagodnie Victoria siostrę. - Chwilowo i ty, i ja jesteśmy całkowicie uzależnione od naszych krewnych.

- Nie będę jej do siebie zrażać, jeżeli tylko uda mi się tego nie zrobić - obiecała

Dorothy - ale dam jej do zrozumienia, najdelikatniej, jak potrafię, że powinna natychmiast po ciebie posłać. - Victoria uśmiechnęła się, ale milczała, a Dorothy po chwili westchnęła. - Jest jedna niewielka pociecha w tym, że nas wysyłają do Anglii; pan Wilhelm mówił, że jeżeli będę więcej ćwiczyć i ciężko pracować, może uda mi się zostać pianistką i koncertować. Powiedział, że w Londynie znajdują się doskonali nauczyciele, którzy będą potrafili mną pokierować. Będę prosiła, nie, nalegała, żeby nasza prababka pozwoliła mi poświęcić się karierze muzycznej - zakończyła swą przemowę, okazując determinację, której istnienie niewielu ludzi by podejrzewało, patrząc na słodką i posłuszną dziewczynę.

Victoria powstrzymała się i nie zwróciła siostrze uwagi na przeszkody, jej samej jasno rzucające się w oczy, kiedy rozważała decyzję Dorothy. Z mądrością, wynikającą z półtorarocznego starszeństwa, ograniczyła się do słów:

- Nie nalegaj tylko zbyt natarczywie, kochanie.
- Zrobię to dyskretnie - obiecała Dorothy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Panna Dorothy Seaton? - zapytał uprzejmie jakiś mężczyzna i odsunął się na bok, bo właśnie obok niego trzech potężnych angielskich marynarzy z ciężkimi worami zarzuconymi na ramiona przepychało się w dół, na keję.

- To ja - odezwała się dziewczyna, a głos drżał jej z lęku i podniecenia, kiedy patrzyła na nieskazitelnie ubranego siwowłosego dżentelmena.

- Otrzymałem polecenie od Jej Wysokości, księżnej Claremont, by odwiedzić panią do domu. Gdzie są pani kufry?

- Tutaj - odpowiedziała Dorothy. - Mam tylko jeden.

Dżentelmen obejrzał się przez ramię; dwóch ubranych w liberie służących zeskoczyło z siedzenia na tyłach lśniącej, czarnej karety ze złotym herbem na drzwiczkach i pośpieszyło w ich kierunku.

- Możemy już ruszać w drogę - oświadczył wytworny pan, gdy służący zabrali kufer i umieścili go na dachu karety.

- Ale co z moją siostrą? - zapytała Dorothy, z przerażenia ściskając kurczowo dłoń Victorii.

- Jestem pewien, że osoba, która miała wyjechać po pani siostrę, zjawi się tu niebawem. Statek pań przypląnął o dzień przed terminem.

- Nie martw się o mnie - powiedziała Victoria z beztroską pewnością, której raczej nie czuła. - Jestem przekonana, że powóz księcia nadjedzie lada chwila. A na razie kapitan Gardiner na pewno pozwoli mi pozostać na pokładzie. Biegnij już.

Dorothy przytuliła siostrę mocno do siebie.

- Tory, wymyślę jakiś sposób, by namówić prababcię, żeby cię do nas zaprosiła na stałe, zobaczysz. Boję się. Nie zapomnij pisać. Pisz codziennie!

Nie ruszając się z miejsca, Victoria przyglądała się, jak tamta wsiada zgrabnie do luksusowego ekwipażu ze złotym herbem na drzwiczkach. Podciągnięto schodki, stangret strzelił z bata, cztery konie ruszyły kłusem, Dorothy machała z okienka na pożegnanie, a jej siostra stała na kei, potrącana przez marynarzy, opuszczających statek w niecierpliwym poszukiwaniu „wspaniałego piwa i dziwek”. Nie mogła oderwać wzroku od oddalającej się karety. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak osamotniona.

Następne dwa dni spędziła, nudząc się samotnie w kabinie. Monotonie oczekiwania przerywały tylko krótkie spacerunki po pokładzie i posiłki z pełnym urokiem, ojcowskim

kapitanem Gardinerem, który wydawał się bardzo ucieszony jej obecnością. Victoria często dotrzymywała mu towarzystwa w ciągu minionych kilku tygodni i podczas długiej podróży spożyli dziesiątki wspólnych obiadów. Kapitan znał przyczyny, dla których udawała się do Anglii, i Victoria uznała go za nowego przyjaciela.

Kiedy rankiem trzeciego dnia nikt się nie pojawił, by zabrać ją do Wakefield Park, kapitan Gardiner wziął sprawę w swoje ręce i wynajął podróżną berlinkę.

- Wcześniej wpłynęliśmy do portu, a to nieczęsto się zdarza - wyjaśnił. - Pani kuzyn jeszcze przez kilka dni może się nie dowiedzieć, że trzeba kogoś po panią przysłać. Mam w Londynie kilka spraw do załatwienia, a nie mogę zostawić pani na pokładzie bez opieki. Zanim zdążylibyśmy powiadomić rodzinę, że pani przyjechała, może już pani znaleźć się na miejscu.

Przez długie godziny Victoria przyglądała się bacznie krajobrazom angielskiej wsi w całym ich strojnym, czarodziejskim, wiosennym splendorze. Różowe i żółte kwiatki kwitły obficie w żywopłotach przy drogach, sunących to w górę to w dół po pagórkach i dolinach. Pomimo wstrząsów i podskoków, na które była narażona, kiedy tylko koła berlinki trafiły na jakiś kamień czy koleinę, z każdą chwilą czuła się bardziej podniesiona na duchu. Woźnica postukał w drzwiczki nad jej głową i pokazała się w nich jego rumiana twarz.

- Jesteśmy gdzieś o godzinę od domu, łaskawa panienko...

Miała wrażenie, że wszystko wydarzyło się równocześnie. Koło trafiło w głęboką dziurę, berlinkę dziko szarpnęło w bok, głowa mężczyzny zniknęła, a Victoria poleciała jak długa na podłogę. W chwilę później ktoś gwałtownie szarpnął drzwiczki i woźnica pomógł jej wsiąść.

- Nic się panience nie stało? - zapytał.

Victoria potrząsnęła głową, ale zanim zdołała wykrztusić słowo, woźnica naskoczył na dwóch ludzi w wieśniaczych ubraniach, którzy z baraniami minami ściskali w dłoniach czapki.

- Wy cholerni głupcy! Co wy sobie myślicie, żeby tak wyjeżdżać na drogę! Popatrzcie, coście narobili, oś mi się złamała... - Reszta jego przemowy była mocno zaprawiona przekleństwami.

Victoria delikatnie odwróciła się plecami od hałaśliwej zwady i poprawiła na sobie spódnice, usiłując bez powodzenia wytrząsnąć z niej kurz i brud, który zebrała z podłogi w berlince. Woźnica wlaź pod pojazd, by przyjrzeć się złamanej osi, a jeden z wieśniaków poczłapał w kierunku Victorii, skręcając sponiewieraną czapkę w rękach.

- Panienko, my z Jackiem tośmy okropnie chcieli przeprosić - powiedział. -

Zabierzemy panią do Wakefield Park, znaczy, jak się panienka zgodzi, żeby kufer wsadzić na tył, razem z prosiakami.

Wdzięczna, że nie będzie musiała iść na piechotę, zgodziła się ochoczo. Zapłaciła woźnicy z pieniędzy, które na podróż przysłał jej Charles Fielding i wdrapała się na kozioł między dwóch potężnych mężczyzn. Podczas jazdy chłopskim wozem, choć nie tak prestiżowym jak berlinką, trzęsło niewiele bardziej, a było dużo wygodniej. Świeży wiaterek chłodził jej twarz i miała nieograniczony niczym widok na okolicę.

Z typową dla siebie, nieudawaną życzliwością udało jej się wkrótce nawiązać z wieśniakami rozmowę na temat ich pracy; niewiele o niej wiedziała i przysłuchiwała się z ochotą. Najwyraźniej angielscy dzierżawcy gwałtownie protestowali przeciw wprowadzaniu maszyn na farmy.

- Wszystkich nas pozbawią roboty, tak będzie - poinformował ją jeden z mężczyzn na koniec płomiennej przemowy, w której potępił „te wynalazki z piekła rodem”.

Victoria ledwie go słyszała, ponieważ wóz skręcił właśnie na brukowaną drogę i przejechał przez imponującą, kutą w żelazie bramę, za którą rozpościerała się szeroka, pozornie nieskończona połać wypielęgnowanego parku, ozdobionego tu i ówdzie wyniosłymi drzewami. Ciągnął się w obie strony jak okiem sięgnąć, poprzecinany przez strumień, który wił się po okolicy, a jego brzegi porastały różowe, niebieskie i białe kwiaty.

- Czarodziejska kraina - półgłosem powiedziała Victoria, obrzucając oszołomionym, pełnym podziwu spojrzeniem starannie utrzymane brzegi malowniczego strumyka i rozległy teren. - Muszą tu chyba być dziesiątki ogrodników, żeby utrzymać park w takim stanie.

- I tak jest - powiedział Jack. - Wielmożny pan ma ich czterdziestu, licząc z tymi, co to zajmują się prawdziwymi ogrodami, chodzi mi o ogrody przy domu. - Wlekli się po brukowanym podejździe już od piętnastu minut, kiedy wreszcie wóz wyjechał zza zakrętu i Jack pokazał z dumą palcem. - Oto pałac... Wakefield Park. Gadają, że jest w nim ze sto sześćdziesiąt pokoi.

Victoria aż cicho krzyknęła, czując zawrót głowy i skurcz w pustym żołądku. Przed nią, w całej swej wspaniałości i chwale, rozciągała się trzypiętrowa budowla, której dziewczyna w najśmielszych marzeniach nie potrafiłaby sobie wcześniej wyobrazić. Zbudowano ten pałac z cegły najlepszego gatunku; po bokach wysuwały się do przodu dwa olbrzymie skrzydła, strome dachy upstrzone były kominami, do drzwi frontowych prowadziły zgrabne schody o wielu podestach, a słońce lśniło w setkach szyb wielodzielnych okien.

Zwolnili i zatrzymali się przed domem. Victoria z trudem oderwała na chwilę od niego wzrok, by pozwolić jednemu z gospodarzy zсадzić się z kozła.

- Dziękuję, bardzo byli panowie uprzejmi - powiedziała i powoli ruszyła w górę po schodach.

Bała się tak, że nogi się pod nią uginały, a stopy ciążyły jak ołów. Za jej plecami wieśniacy przeszli na tyły wozu, żeby zdjąć z niego ciężki, nieporęczny kufer, ale gdy tylko opuścili tylną ściankę, ze środka wyskoczyły z pokwikiwaniem dwa prosiaki, plasnęły z głuchym odgłosem o ziemię i ruszyły pędem przez trawnik.

Victoria odwróciła się, słysząc krzyki dzierzawców, i rozchichotała nerwowo, kiedy czerwoni na twarzach mężczyźni zaczęli uganiać się za szybkonogimi zbiegami.

Drzwi do rezydencji, przed którymi stała, otworzyły się; ubrany w zielono - złotą liberię mężczyzna o sztywnym wyrazie twarzy rzucił pełne oburzenia spojrzenie na chłopów, prosiaki i zakurzoną, rozczochraną młodą kobietę, która się do niego zbliżała.

- Z dostawami - oświadczył Victorii głośnym, groźnym głosem - wchodzi się od kuchni. - Uniósł rękę i wskazał władczo na podjazd, który okrążał dom.

Już otwierała usta, by wyjaśnić, że wcale niczego nie dostarcza, kiedy uwagę jej zwrócił jeden z prosiaków, który skręcił i ruszył wprost na nią, ścigany przez zasapanego właściciela.

- Zabierz stąd ten wóz, tę nierogaciznę i swoją osobę! - zagrział mężczyzna w liberii.

Victoria pochyliła się, chwyciła w objęcia prosiaka uciekiniera, a z obezwładniającego rozbawienia aż łzy napłynęły jej do oczu. Ze śmiechem usiłowała coś wyjaśnić.

- Proszę pana, nie zrozumiał pan...

Northrup zignorował ją i zerknął przez ramię na stojącego za nim lokaja.

- Pozbądź się ich wszystkich! Wyrzuć ich z...

- Co się tu, u diabła, dzieje? - zapytał jakiś mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna o kruczoczarnych włosach, pojawiając się w drzwiach.

Kamerdyner pokazał palcem na twarz Victorii, marszcząc brwi z gniewu.

- Ta kobieta jest...

- Nazywam się Victoria Seaton - wtrąciła pośpiesznie, usiłując opanować rozbawienie, choć z powodu napięcia, wyczerpania i głodu czuła się niebezpiecznie bliska ataku hysterii. Kiedy czarnowłosego mężczyzna usłyszał jej nazwisko, zobaczyła na jego twarzy wyraz nieukrywanego szoku i cały jej popłoch rozładował się w wybuchu wesołości.

Trzęsąc się wewnątrz w niepoohamowanym ataku śmiechu, odwróciła się, wcisnęła wierzgające prosię w ramiona zaczerwienionego gospodarza, a potem uniosła zakurzoną spódnicę i usiłowała dygnąć.

- Obawiam się, że zaszło nieporozumienie - powiedziała, tłumiąc chichot. -
Przyjechałam...

Lodowaty głos mężczyzny powstrzymał ją w pół dygu.

- Nieporozumienie polega na tym, że w ogóle pani tu przyjechała, panno Seaton.
Jednak zbyt blisko jest już wieczór, by odesłać panią z powrotem tam, skąd pani przybyła. -
Chwycił ją za rękę i pociągnął szorstko do domu.

Victoria natychmiast spowaźniała; sytuacja przestała wydawać jej się szalenie zabawna i zmieniła się w przerażającą makabrę. Przeszła nieśmiało przez drzwi do wysokiego na trzy piętra marmurowego holu, który był większy niż cały jej dom w stanie Nowy Jork. Po obu stronach holu dwie bliźniacze kondygnacje wspaniałych schodów wznosiły się ku górnym piętrům łagodnie zakręcając, a wielki, nakryty kopułą świetlik zalewał rozproszonym światłem słonecznym całe wnętrze. Victoria odchyliła do tyłu głowę, wpatrując się w okrągły przeszklony sufit wysoko nad sobą. Oczy jej wezbrały łzami, a świetlik zaczął krążyć w obłądnym tańcu: pokonały ją wreszcie wyczerpanie i udręka. Przemierzyła tysiące mil po wzburzonym morzu i pożłobionych koleinami drogach, spodziewając się, że powita ją życzliwy kuzyn. Tymczasem miała zostać odesłana z powrotem, daleko od Dorothy... świetlik wirował jej przed oczami w kalejdoskopie jaskrawych, zamazujących się barw.

- Ona zaraz zemdleje - uprzedził kamerdyner.

- Och, na litość boską! - wybuchnął ciemnowłosa mężczyzna i chwycił Victorię na rękę.

Zaczynała już widzieć wyraźniej, kiedy ruszył w górę po prawym odgałęzieniu szerokich, marmurowych schodów.

- Proszę mnie postawić - zażądała ochryłym głosem, szarpiąc się z zażenowania. -
Jestem całkowicie...

- Spokój! - rozkazał.

Na podeście skręcił na prawo, wpadł do jakiegoś pokoju i skierował się prosto do wielkiego łoża. Było osłonięte niebieskimi i srebrnymi zasłonami, zwisającymi z wysokiej, rzeźbionej drewnianej ramy i zebranych w rogach za pomocą aksamitnych sznurów. Bez słowa rzucił dziewczynę bezceremonialnie na niebieską jedwabną kapę i pchnął na poduszki, kiedy usiłowała usiąść.

Do pokoju wpadł kamerdyner, trzepocząc połamami liberii z pośpiechu.

- Proszę, wielmożny panie... sole - wysapał.

Wielmożny pan wyrwał mu flakonik z dłoni i przycisnął go do nozdrzy Victorii.

- Niech pan przestanie! - zawołała, usiłując odwrócić głowę od okropnego zapachu

amoniaku, ale dłoń czarnowłosego mężczyzny uparcie podążała za jej twarzą. W czystej rozpaczycy chwyciła go za nadgarstek, usiłując odsunąć flakonik, podczas gdy jej dręczyciel nadal uparcie go przysuwał. - Co pan próbuje zrobić! - wybuchnęła. - Nakarmić mnie tym?

- Cóż za rozkoszny pomysł - odpowiedział ponuro, ale nacisk na jej dłoń osłabł; odsunął flakonik od nosa Victorii. Wyczerpana i upokorzona odwróciła głowę w bok, zamknęła oczy i głośno przełknęła, starając się powstrzymać łzy, które dławiły ją w gardle.

- Mam szczerą nadzieję - wycedził pan domu niesympatycznym tonem - że nie zastanawia się pani, czyby nie dostać ataku mdłości na tym łóżku, ponieważ uprzedzam, że to pani będzie je sprzątać.

Victoria Elizabeth Seaton - owoc osiemnastu lat starannego wychowania, które w rezultacie uczyniło z niej uroczą, młodą damę o miłym jak dotąd usposobieniu - powoli odwróciła głowę na poduszce i popatrzyła na niego z palącą wrogością.

- Czy pan jest księciem Charlesem Fieldingiem?

- Nie.

- W takim razie niech pan będzie łaskaw wstać z tego łóżka i mnie również pozwoli się podnieść!

Brwi mężczyzny gwałtownie się ściągnęły; popatrzył w dół na tę małą zbuntowaną przybłędę, piorunującą go zabójczym spojrzeniem jaskrawoniebieskich oczu. Włosy jej rozsypały się po poduszkach, przypominając płynne, złote płomienie i kręciły się teraz samowolnie przy skroniach, tworząc oprawę dla twarzy, która wyglądała, jakby ją wyrzeźbił w porcelanie jakiś artysta. Rzęsy miała niewiarygodnie długie, wargi różowe i delikatne jak...

Zerwał się gwałtownie na równe nogi i wyszedł sztywno z pokoju, a za nim podążył kamerdyner. Drzwi się zamknęły i Victoria została sama w ogłuszającej ciszy.

Powoli usiadła i spuściła nogi z łóżka, a potem wstała wolniutko, obawiając się ponownych zawrotów głowy. Zrobiło jej się zimno z tępej rozpaczycy, ale stała na nogach pewnie, rozglądając się dookoła. Na lewo jasnoniebieskie, gęsto haftowane srebrną nicią portiery, rozsunięte na boki, tworzyły ramę dla całej ściany wielodzielnych okien; na drugim końcu pokoju dwie kanapy w niebiesko - srebrne pasy stały pod kątem prostym do kominka. Przemknęło jej przez myśl określenie „arystokratyczny splendor”; otrzepała spódnice, rozejrzała się raz jeszcze po pokoju, a potem niepewnie usiadła znowu na niebieskiej jedwabnej kapie.

W gardle dławiło ją coraz mocniej okropne rozzalenie; złożyła dłonie na kolanach i usiłowała pomyśleć, co ma teraz począć. Najwyraźniej zostanie odesłana do Nowego Jorku jak nikomu niepotrzebny bagaż. A więc po co w ogóle jej książęcy kuzyn ją tu sprowadzał?

Gdzie on jest? I kim jest ten czarnowłosy arogant?

Nie mogła pojechać do Dorothy i prababki, ponieważ księżna napisała do doktora Morrisona list, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że w jej domu mile widziana będzie Dorothy, i tylko Dorothy. Victoria ściągnęła brwi, jej gładkie czoło zmarszczyło się w zakłopotaniu. Na górę zaniósł ją ten czarnowłosy mężczyzna, więc może on był służącym, a tamten tęgi, siwowłosy pan, który otwierał drzwi, to ksiązę. Na pierwszy rzut oka wydało jej się, że to wysokiej rangi służący, taki jak pani Tilden, gospodyni, która zawsze witała gości w domu Andrew.

Ktoś zastukał do drzwi; Victoria z poczuciem winy zeskoczyła z łóżka i starannie wygładziła kapę, a dopiero potem zawołała:

- Proszę wejść.

Pojawiła się pokojówka w nakrochmalonej czarnej sukience, białym fartuszku i białym czepeczku, ze srebrną tacą w rękach. Za nią, jak marionetki, wmaszerowało jeszcze sześć służących w identycznych czarnych strojach, niosąc wiadra z parującą wodą. Za nimi z kolei weszło dwóch lokajów w zielonych, zdobionych złotą plecionką liberiach, niosąc kufer Victorii.

Pierwsza służąca postawiła tacę na stole pomiędzy kanapami, pozostałe zniknęły w sąsiednim pomieszczeniu, a lokaje ustawili kufer obok łóżka. W chwilę później wszyscy razem wyszli gęsiego, przypominając dziewczynie nakręcanych drewnianych żołnierzyków. Pozostała w pokoju służąca odwróciła się do Victorii, która stała onieśmielona przy łóżku.

- Przyniosłam panience coś do przekąszenia - powiedziała; jej nieładna twarz była starannie wyprana z wszelkiego wyrazu, ale głos wydawał się sympatyczny, choć nieśmiały.

Victoria podeszła do kanapy i usiadła, na widok grzanki z masłem i gorącej czekolady ślinka napłynęła jej do ust.

- Wielmożny pan powiedział, że ma się panienka wykąpać - dodała służąca i ruszyła w kierunku sąsiedniego pokoju. Victoria zamarła z filiżanką w pół drogi do ust.

- Wielmożny pan? - powtórzyła. - Czy to może... ten dżentelmen... którego widziałam przy drzwiach frontowych? Taki tęgi, z siwymi włosami?

- Dobry Boże, nie! - odparła służąca, patrząc na nią dziwnie. - Wielmożny pan jest wysoki i ma czarne, kręcone włosy.

- I to on powiedział, że powinnam się wykąpać? - zapytała Victoria, jeżąc się wewnątrz.

Służąca kiwnęła głową i spłonęła rumieńcem.

- No cóż, chyba rzeczywiście powinnam - przyznała z oporami dziewczyna.

Zjadła grzanekę, dopiła czekoladę, a potem powędrowała do sąsiedniego pomieszczenia, w którym służąca sypała pachnące sole kąpielowe do parującej wody. Zdejmując powoli suknię noszącą liczne ślady odbytej podróży, Victoria pomyślała o króciutkim liście, który przesłał jej Charles Fielding, kiedy zapraszał ją do Anglii. Robił wrażenie, jakby bardzo zależało mu na jej przyjeździe. „Przyjedź jak najprędzej, moja droga”, pisał. „Będiesz tu bardziej niż mile widziana - jesteś oczekiwana z niecierpliwością”. Może więc jednak mimo wszystko jej nie odeślą. Może „wielmożny pan” pomylił się w tej sprawie.

Służąca umyła jej włosy, a potem podała puszysty ręcznik i pomogła wyjść z wanny.

- Ułożyłam pani rzeczy, panienko, i przygotowałam łóżko, gdyby panienka miała ochotę się zdrzemnąć.

Victoria uśmiechnęła się i zapytała, jak jej na imię.

- Mnie? - powtórzyła służąca jakby oszołomiona, że Victoria zechciała o to zapytać. - Ja... ja mam na imię Ruth.

- Dziękuję ci bardzo, Ruth - powiedziała dziewczyna - za to, że poskładałaś moje ubrania.

Pięgowatą twarz służącej oblał jaskrawy rumieniec radości, szybkoitko dygnęła i ruszyła do drzwi.

- Kolacja jest o ósmej - poinformowała Victorię. - Wielmożny pan rzadko się stosuje do zwyczajów wiejskich w Wakefield.

- Ruth - czując się nieco niezręcznie zapytała Victoria, kiedy służąca skierowała się do drzwi - czy tu jest dwóch... „wielmożnych panów”? Chodzi mi o to, że zastanawiałam się, czy pan Charles Fielding...

- Och, panienka ma na myśli Jego Wysokość! - Ruth obejrzała się przez ramię, jakby w obawie, że ktoś może ją podsłuchać i dopiero potem wyjawiała Victorii: - Książę jeszcze nie przyjechał, ale spodziewamy się go dziś wieczorem. Słyszałam, jak wielmożny pan mówił Northrupowi, żeby wysłać Jego Wysokości wiadomość, że pani przyjechała.

- A jaki jest... Jego Wysokość? - zapytała Victoria; czuła się głupio, używając tych wszystkich tytułów.

Ruth miała taką minę, jakby chciała opisać księcia, a potem zmieniła zdanie.

- Przepraszam panienkę, ale wielmożny pan nie pozwala służbie plotkować. Nie wolno nam też spoufalać się z gośćmi. - Dygnęła i uciekła, szeleszcząc nakrochmaloną czarną spódnicą.

Victoria poczuła się nieco spłoszona informacją, że dwóm osobom nie wolno w tym domostwie ze sobą porozmawiać tylko dlatego, że jedna z nich jest pokojówką, a druga

gościem; zastanowiwszy się jednak nad swą krótką znajomością z „wielmożnym panem”, potrafiła sobie doskonale wyobrazić, jak wydaje on takie nieludzkie rozporządzenie.

Wyjęła z szafy nocną koszulę, włożyła ją i wsunęła się między prześcieradła. Zbytorny jedwab pieścił skórę jej ramion i twarzy, a Victoria modliła się, by Charles Fielding okazał się bardziej serdecznym i życzliwym człowiekiem niż ten drugi lord. Długie, ciemne rzęsy zatrzepotały, opadły niczym wygięte wachlarze na policzki i dziewczyna zasnęła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Słońce wlewało się przez otwarte okna strumieniami, a łagodny powiew wiatru pieścił delikatnie twarz śpiącej. Gdzieś na dole, na brukowanym podjeździe zastukotały kopyta końskie, a na parapecie przycupnęły jednocześnie dwa ptaszki i wdały się w hałaśliwą sprzeczkę o prawa terytorialne. Ich gniewne ćwierkanie przeniknęło wreszcie do świadomości Victorii, wrywając ją z radosnych marzeń o domu.

Wciąż jeszcze na wpół pogrążona we śnie przewróciła się na brzuch i wtuliła twarz w poduszkę. Zamiast nieco szorstkiego materiału, z którego uszyta była pościel w domu i który pachniał słońcem i mydłem, policzek napotkał gładki jedwab. Niejasno uświadamiając sobie, że nie może leżeć we własnym łóżku i że na dole mama na pewno nie przygotowuje śniadania, Victoria zacisnęła oczy i usiłowała powrócić do przepojonych spokojem snów, ale było już za późno. Niechętnie odwróciła głowę i otworzyła oczy.

W jasnym świetle późnego poranka przyglądała się srebrno - niebieskim zasłonom, które niczym jedwabny kokon spowijały łóżko, i nagle rozjaśniło jej się w głowie. Była w Wakefield Park. Przespała wieczór i całą noc.

Odsunęła z oczu zmierzwione włosy, podciągnęła się wyżej i oparła plecami o poduszki.

- Dzień dobry, panienko - powitała ją Ruth, stojąca po drugiej stronie łóżka.

Victoria niemal krzyknęła z zaskoczenia.

- Nie chciałam panienki przestraszyć - przeprosiła służąca pośpiesznie - ale Jego Wysokość jest na dole i prosił, by zapytać panienkę, czy zechce mu panienka towarzyszyć przy śniadaniu.

Victoria, ogromnie podniesiona na duchu informacją, że książęcy kuzyn naprawdę chce się z nią zobaczyć, odrzuciła pościel.

- Wyprasowałam panience suknie - powiedziała Ruth, otwierając szafę. - Którą chciałaby panienka włożyć?

Panna Seaton wybrała najlepszą ze swoich pięciu sukien, z delikatnego czarnego muślinu, z głębokim dekoltem karo, ozdobioną drobnymi białymi różyczkami, które starannie wyhaftowała na szerokich rękawach i przy obrąbku sukni podczas długiej podróży. Podziękowała Ruth za pomoc przy ubieraniu, włożyła suknię na halki i zawiązała szeroką, czarną szarfę wokół smukłej talii.

Kiedy Ruth ścieliła łóżko i robiła porządek w nieskazitelnym pokoju, Victoria usiadła

na fotelu przed toaletką i wyszczotkowała sobie włosy.

- Jestem gotowa - oznajmiła, wstając. Oczy płonęły jej pełnym nadziei oczekiwaniem, a policzki rozkwitły zdrowym rumieńcem. - Czy mogłabyś mi powiedzieć, gdzie mam szukać... Jego Wysokości?

Stopy Victorii zapadały się w gruby czerwony dywan, kiedy Ruth prowadziła ją w dół po marmurowych schodach, a potem na drugą stronę holu, gdzie przed bogato rzeźbionymi, mahoniowymi drzwiami trzymało straż dwóch lokajów. Zanim zdążyła zaczerpnąć powietrza, by się uspokoić, mężczyźni bez słowa, eleganckim ruchem pociągnęli skrzydła drzwi ku sobie i Victoria przekroczyła próg obszernego pokoju, w którym nad wszystkim dominował wielki mahoniowy stół, ustawiony symetrycznie pod trzema gigantycznymi, kapiącymi od kryształów żyrandolami. Wzrok jej przesuwiał się po krytych złotym aksamitem krzesłach z wysokimi oparciami, stojących długim szeregiem po obu jego stronach, i w pierwszej chwili wydawało jej się, że pokój jest pusty. A potem usłyszała szelest gazety, dochodzący z okolic fotela widocznego w pobliżu. Nie była w stanie zobaczyć, kto zajmuje fotel, więc powoli obeszła stół i zatrzymała się nagle.

- Dzień dobry - powiedziała cicho.

Charles gwałtownym ruchem odwrócił głowę i zapatrzył się na przybyłą, a cała krew uciekła mu z twarzy.

- Wszchemocny Boże! - powiedział półgłosem i powoli podniósł się, nie spuszczać wzroku z egzotycznej młodej piękności, którą miał przed sobą.

Widział w niej Katherine - dokładnie tak wyglądała przed laty. Jakże dobrze pamiętał i jak czule wspominał tę niewiarygodnie piękną twarz o delikatnych rysach, z wdzięcznie zarysowanymi brwiami i długimi, gęstymi rzęsami, tworzącymi oprawę dla ogromnych oczu koloru opalizujących szafirów. Rozpoznawał delikatne, uśmiechnięte usta, elegancki, mały nosek, ten maleńki, czarujący dołeczek w upartej brodzie i przepiękną masę rudozłotych włosów, które burzą opadały na ramiona.

Położywszy lewą dłoń na oparciu fotela, by utrzymać równowagę, wyciągnął ku dziewczynie rozdygotaną prawą rękę.

- Katherine... - wyszeptał.

Victoria niepewnie wsunęła dłoń w jego wyciągniętą rękę, a długie palce księcia zacisnęły się mocno.

- Katherine - powtórzył ochryple i zobaczyła, że w jego oczach zabłyśły łzy.

- Moja matka miała na imię Katherine - sprostowała łagodnie.

Uścisk palców księcia stał się niemal bolesny.

- Tak - szepnął. Odchrząknął i potrząsnął głową, jakby chciał sobie rozjaśnić myśli. Był zdumiewająco wysoki, zauważyła Victoria, i bardzo szczupły; piwnymi oczami bacznie studiował jej rysy w najdrobniejszych szczegółach. - Tak więc - powiedział energicznym tonem - jesteś córką Katherine.

Przytaknęła, nie całkiem pewna, co ma o nim myśleć.

- Mam na imię Victoria.

W oczach księcia pojawił się osobliwy wyraz tliwości.

- A ja nazywam się Charles Victor Fielding.

- Ro... rozumiem - wymamrotała.

- Nie - odrzekł. - Nie rozumiesz. - Uśmiechnął się łagodnym uśmiechem, który odmłodził go o dziesiątki lat. - Wcale nie rozumiesz. - Po czym, bez żadnego uprzedzenia, mocno ją przytulił. - Witaj w domu, dziecko - powiedział zduszonym ze wzruszenia głosem, klepiąc ją po plecach i mocno obejmując. - Witaj.

A Victorię ogarnęło dziwne uczucie, że może rzeczywiście znalazła się w domu.

Księżę wypuścił ją z zakłopotanym uśmiechem i wskazał jej krzesło.

- Musisz umierać z głodu. O'Malley! - odezwał się do lokaja, który stał na stanowisku przy kredensie, zastawionym półmiskami ze srebrnymi pokrywami. - Oboje jesteśmy bardzo głodni.

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział służący, odwrócił się i zaczął nakładać jedzenie na talerze.

- Jak najgoręcej przepraszam, że nie dopilnowałem, by czekał na ciebie powóz kiedy przyptynęłaś - mówił Charles. - Nie przyszło mi na myśl, że możesz przybyć wcześniej. Mówiono mi, że statki pocztowe z Ameryki zawsze się spóźniają. A czy miałaś miłą podróż? - zapytał, kiedy lokaj stawiał przed nią talerz, napełniony jajkami, ziemniakami, cynaderkami, szynką i chrupiącymi francuskimi bułeczkami.

Victoria zerknęła na leżące szeregiem po każdej stronie talerza ozdobne złote sztuce i w duchu odmówiła dziękczynną modlitwę do matki za to, że nauczyła ją i Dorothy, jak we właściwy sposób każdym z nich się posłużyć.

- Tak, bardzo miłą - odpowiedziała z uśmiechem, a potem dodała nieśmiało i trochę niezręcznie - ... Wasza Wysokość.

- Dobry Boże - roześmiał się Charles - raczej nie sądzę, żebyśmy mieli robić takie ceremonie, bo oficjalnie powinienem zwracać się do ciebie „hrabianko Langston” lub „lady Victorio”. Ale wcale nie byłbym tym zachwycony, dużo bardziej odpowiada mi „wujek Charles” dla mnie, a „Victoria” dla ciebie. Co na to powiesz?

Victoria poczuła, że w jej sercu rodzi się żywa sympatia do tego miłego człowieka, który okazał jej tyle serdeczności.

- Bardzo mi to odpowiada. Jestem pewna, że nie udałoby mi się zapamiętać, iż powinnam reagować na „hrabiankę Langston”, kimkolwiek by ona była, a „lady Victoria” też wcale do mnie nie pasuje.

Charles rzucił na nią uważne spojrzenie i położył sobie serwetkę na kolanach.

- Ale jesteś i jedną, i drugą, Victorio. Twoja matka była jedynym dzieckiem hrabiostwa Langston. Umarli, gdy była młodą dziewczyną, ale ich tytuł miał szkockie pochodzenie i przeszedł na nią. Jesteś najstarszym jej dzieckiem, tak więc teraz ten tytuł należy do ciebie.

W niebieskich oczach Victorii błysnęło rozbawienie.

- A co mam z nim zrobić?

- To samo, co my wszyscy - poradził jej książę ze śmiechem. - Chwalić się nim. - Przerwał, kiedy O'Malley zręcznie podsunął mu talerz. - Wydaje mi się nawet, że gdzieś w Szkocji jest jakiś niewielki majątek, który może należeć do tego tytułu. A może i nie. Co mówiła ci matka?

- Nic. Mama nigdy nie opowiadała o Anglii ani o życiu, jakie tu prowadziła. Dorothy i ja zawsze zakładałyśmy, że była... no, zwyczajną kobietą.

- Twoja matka nie miała w sobie nic „zwyczajnego” - odrzekł cicho książę. Victoria zauważyła cień emocji w jego głosie i zastanowiło ją to, ale zanim zaczęła zadawać pytania o życie matki w Anglii, książę potrząsnął głową i dodał lekkim tonem: - Któregoś dnia wszystko ci opowiem o... wszystkim. Ale jeszcze nie teraz. Na razie poznajmy się lepiej ze sobą.

Przez całą godzinę, która minęła z niewiarygodną szybkością, Victoria udzielała odpowiedzi na sympatycznie sformułowane pytania wujka Charlesa. Uświadomiła sobie, że jeszcze zanim śniadanie się skończyło, wiedział już dokładnie, jak wyglądało jej życie aż do chwili, kiedy pojawiła się u drzwi pałacu z kwiczącym prosiakiem w ramionach. Opowiedziała mu o ludziach ze swojej wioski, o ojcu i o Andrew. Nie rozumiała dlaczego, kiedy mówiła o dwóch ostatnich, jak gdyby stracił humor, a przecież właśnie nimi najbardziej się chyba interesował. Starannie unikał natomiast zadawania pytań na temat matki.

- Wyznam, że czuję się nieco stropiony sprawą twoich zaręczyn z tym Andrew Bainbridge'em - oświadczył, kiedy skończyła; czoło porały mu głębokie zmarszczki. - W liście, który otrzymałem od twego przyjaciela, doktora Morrisona, nie wspominał on o tym. Wręcz przeciwnie, pisał, że ty i twoja siostra zostałyście zupełnie same. Czy ojciec udzielił

temu związkowi swego błogosławieństwa?

- I tak, i nie - wyjaśniła Victoria, zastanawiając się, dlaczego jej zaręczyny tak zmartwiły księcia. - Widzi wuj, Andrew i ja znaliśmy się od zawsze, ale papa nieodmiennie obstawał przy tym, że muszę skończyć osiemnaście lat, zanim oficjalnie będę mogła się zaręczyć. Uważał, że to zbyt poważne zobowiązanie, by mogła je podjąć młodsza kobieta.

- Bardzo mądrze z jego strony - zgodził się Charles. - Jednakowoż osiemnaście lat skończyłaś przed śmiercią ojca, a przecież wciąż jeszcze nie jesteś oficjalnie zaręczona z tym Bainbridge'em, czy mam rację?

- No tak.

- Czy dlatego, że twój ojciec nadal odmawiał przyzwolenia?

- Niezupełnie. Na krótko przed moimi urodzinami pani Bainbridge, owdowiała matka Andrew, uznała, że powinien wyjechać w podróż po Europie, by wystawić na próbę nasze wzajemne przywiązanie i dać mu, jak to nazwała „ostatnią szansę, by się wyszumiał”. Andrew uważał ten pomysł za bezsensowny, ale mój papa w pełni zgadzał się z panią Bainbridge.

- Odnoszę wrażenie, że twój ojciec ze wszystkich sił utrudniał ci poślubienie owego młodego człowieka. W końcu znaliście się już od lat i nie istniała prawdziwa potrzeba, aby wystawiać wasze przywiązanie na próbę. Wygląda mi to dużo bardziej na wymówkę, niż prawdziwy powód. A jeśli już o tym mowa, to wydaje mi się, że matka Andrew również jest przeciwna temu związkowi.

Brzmiało to tak, jakby książę był uprzedzony w stosunku do Andrew, więc Victorii nie pozostało nic innego, tylko przedstawić mu całą żenującą prawdę.

- Papa nie miał żadnych zastrzeżeń co do tego, czy Andrew będzie dla mnie doskonałym mężem. Miał jednak poważne zastrzeżenia co do moich stosunków z przyszłą teściową. To wdowa i w dodatku bardzo przywiązana do syna. Poza tym ma skłonność do wszelakiego rodzaju chorób, co powoduje, że jest dosyć niemiła.

- Aha - powiedział książę ze zrozumieniem. - A na ile te jej schorzenia są poważne?

Policzki Victorii poczerwieniały.

- Zgodnie z tym, co pewnego razu oświadczył jej przy mnie mój ojciec, wszystkie niedomogi są udawane. Kiedy była bardzo młoda, rzeczywiście miała pewne dolegliwości sercowe, ale papa mówił, że dużo lepiej by jej zrobiło, gdyby podniosła się z łóżka, a nie leżała i roztkliwiała się nad sobą. Oni... oni nie bardzo się lubili.

- Tak, i potrafię zrozumieć dlaczego! - roześmiał się książę. - Twój papa miał całkowitą rację, że utrudniał ci zawarcie tego małżeństwa, moja miła. Nie miałabyś

szczęśliwego życia.

- Wcale nie będę nieszczęśliwa - odparła stanowczo Victoria, zdecydowana wyjść za przyjaciela czy to za pozwoleniem księcia, czy bez. - Andrew zdaje sobie sprawę, że matka wykorzystuje swoje choroby, by nim manipulować, i nie przeszkadza mu to postępować tak, jak chce. Zgodził się na tę podróż wyłącznie dlatego, że nalegał na to mój ojciec.

- Czy otrzymałaś od niego wiele listów?

- Tylko jeden, ale widzi wuj, Andrew wyjechał do Europy na dwa tygodnie przed wypadkiem moich rodziców, który miał miejsce trzy miesiące temu, a niemal tyle trwa, zanim wiadomość dojdzie do Europy i z powrotem. Wysłałam do niego list donosząc, co się stało, a potem napisałam jeszcze raz tuż przed wyjazdem do Anglii, żeby powiadomić go, gdzie się zatrzymam. Przypuszczam, że teraz jest już w drodze do domu i sądzi, że jedzie mi na ratunek. Proponowałam, że zatrzymam się w Nowym Jorku i zaczekam, aż wróci, co byłoby dużo prostsze dla wszystkich, ale doktor Morrison nie chciał o tym słyszeć. Był z jakiegoś powodu przekonany, że uczucia Andrew nie przetrwały próby czasu. Bez wątplenia pani Bainbridge musiała mu coś powiedzieć, bo to do niej bardzo podobne. - Victoria westchnęła i wyjrzała przez okno. - Dużo bardziej byłaby zadowolona, gdyby Andrew ożenił się z kimś ważnym, a nie z córką lekarza bez grosza przy duszy.

- A jeszcze bardziej, gdyby nie ożenił się wcale, tylko tkwił przy łożu boleści matki? - podsunął książkę, a jego brwi podjechały w górę. - Wdowa, która symuluje choroby, robi na mnie wrażenie kobiety bardzo zaborczej i despotycznej.

Victoria nie mogła temu zaprzeczyć, zamiast więc potępiać swą przyszłą teściową, taktownie nie podjęła tematu.

- Kilka rodzin z wioski proponowało, bym do powrotu Andrew zamieszkała u nich, ale nie było to zbyt dobre rozwiązanie. Chociażby dlatego, że gdyby wrócił i przekonał się, że zatrzymałam się u którejś z nich, byłby wściekły.

- Na ciebie? - zapytał Jego Wysokość, marszcząc brwi z irytacji na biednego młodzieńca.

- Nie, na swoją matkę, że nie nalegała, bym zamieszkała u niej...

- Och - pokiwał głową książkę, ale chociaż to wyjaśnienie kompletnie uwalniało Andrew od jakiegokolwiek potencjalnej winy, Charles wydawał się nieco przygnębiony. - Ten młody człowiek wydaje się istnym wcieleniem wszelkich cnót - zamruczał.

- Bardzo go wuj polubi - zapowiedziała mu Victoria z uśmiechem. - Przyjedzie tu przecież, żeby mnie zabrać do domu.

Charles poklepał ją po ręce.

- Zapomnijmy chwilowo o Andrew i cieszymy się, że jesteś tutaj, w Anglii. Opowiedz mi teraz, jak ci się ona na razie podoba...

Victoria oznajmiła, że to, co widziała, nadzwyczaj jej się podoba, a Charles w odpowiedzi wyjaśnił, jakie ma dla niej plany na przyszłość. Na początek chciał sprawić jej nową garderobę i dać wyszkoloną pokojówkę do pomocy. Victoria właśnie miała odmówić, kiedy zauważyła ciemną, groźną postać, która zmierzała do stołu w milczeniu, śmiałymi, długimi krokami. Przybyły przypominał jakiegoś niebezpiecznego dzikusa; skórzane spodnie okrywały jego muskularne nogi i uda, biała koszula była rozpięta pod opaloną szyją. Smukła sylwetka Jasona wydawała się tego ranka jeszcze wyższa niż wczoraj i promieniowała wręcz siłą i zdrowiem. Gęste czarne włosy lekko się kręciły, nos był prosty, surowe usta pięknie zarysowane. Właściwie, gdyby nie arogancja i władczość, bijące z mocnych szczęk, i cynizm zimnych, zielonych oczu, Victoria uznałaby tego mężczyznę za tak przystojnego, że jego widok zapierał dech w piersi.

- Jason! - powitał go Charles serdecznie. - Pozwól, że przedstawię ci jak należy Victorię. Jason to mój bratanek - wyjaśnił dziewczynie.

Bratanek! Miała nadzieję, że był tu tylko gościem, ale zamiast tego okazał się krewnym, który, jak sobie uświadomiła, prawdopodobnie mieszkał z wujem Charlesem. Victorii zrobiło się troszkę słabo, ale równocześnie duma kazała jej unieść głowę do góry i spokojnie spojrzeć w bezlitosne oczy Jasona. Odkłonił się zimno, kiedy została mu przedstawiona, a potem usiadł naprzeciw niej i spojrzał na O'Malleya.

- Czy nie będzie z mej strony przesadą, jeżeli wyrażę nadzieję, że zostało jeszcze coś do jedzenia?

Lokaj wyraźnie zadygotał.

- Ja... nie, wielmożny panie. Nie zostało. To znaczy, jedzenie jest jeszcze, ale mogło już wystygnąć. Zaraz zejść do kuchni i każę kucharzowi przygotować coś świeżego i gorącego. - Wypadł z jadalni.

- Jasonie - odezwał się Charles. - Sugerowałem właśnie Victorii, że powinna mieć odpowiednią pokojówkę i garderobę, która bardziej będzie pasowała...

- Nie - uciał stanowczo Jason.

Victoria tak bardzo zapragnęła stamtąd uciec, że uczucie to wzięło górę nad każdą inną, instynktowną reakcją.

- Jeżeli wujek pozwoli - powiedziała - ja... ja mam coś do zrobienia.

Charles rzucił na nią pełne wdzięczności i skruchy spojrzenie i uprzejmie podniósł się, kiedy wstała, ale jego obrzydliwy bratanek siedział nadal rozwalony na krześle i przyglądał

się jej ucieczce ze znudzonym niesmakiem.

- Nic z tego, co się stało, nie jest winą Victorii... - zaczął Charles, kiedy lokaj zamykał za nią drzwi. - Musisz to zrozumieć.

- Czyżby? - wycedził z sarkazmem Jason. - A czy ta skamląca, mała żebraczka rozumie, że to mój dom i że ja jej tu nie chcę?

Drzwi zamknęły się za Victorią, ale dziewczyna usłyszała wystarczająco dużo. Żebraczka! Skamląca żebraczka! Pobiegła na oślep korytarzem, zalewały ją mdlące fale upokorzenia. Najwyraźniej ksiązę zaprosił ją tu bez zgody swego bratanka.

Z twarzą bladą, ale stanowczą, weszła do pokoju i otworzyła kufer.

A w jadalni Charles błagalnym głosem usiłował przekonać siedzącego naprzeciwko zakamieniałego cynika.

- Jasonie, nie rozumiesz...

- To pan sprowadził ją do Anglii - warknął Jason. - Ponieważ tak strasznie chce pan ją tu mieć, niech ją pan zabierze do Londynu, niech mieszka razem z panem.

- Nie mogę tego zrobić! - argumentował ksiązę. - Nie jest jeszcze gotowa, by stanąć przed towarzystwem z wyższych sfer. Czekają nas wiele pracy, zanim będzie mogła debiutować w Londynie. Poza wszystkim potrzebna nam będzie jakaś starsza kobieta, która mogłaby z nią zamieszkać jako przyzwoitka, dla zachowania pozorów.

Jason skinął niecierpliwie głową na lokaja, który krążył w pobliżu ze srebrnym dzbankiem kawy i czekał na pozwolenie, by napełnić filiżankę wielmożnego pana; kiedy skończył, ten odprawił go z pokoju. Potem odwrócił się do Charlesa i powiedział szorstko:

- Chcę, żeby już jutro jej tu nie było, zrozumiano? Niech ją pan zabierze do Londynu albo odeśle do domu, ale proszę się jej stąd pozbyć! Nie mam zamiaru wydać na nią ani pensa. Jeżeli chce pan, by miała sezon w Londynie, to będzie pan musiał znaleźć jakiś sposób, by za wszystko zapłacić.

Ksiązę ze znużeniem potarł sobie skronie.

- Jasonie, wiem, że nie jesteś pozbawiony serca czy uczuć w takim stopniu, jak to w tej chwili dajesz do zrozumienia. Pozwól przynajmniej, bym ci o niej opowiedział.

Jego syn odchylił się do tyłu na krześle i przyglądał mu się z lodowatym znudzeniem, a Charles uparcie ciągnął dalej.

- Jej rodzice zginęli kilka miesięcy temu w wypadku. Jednego tragicznego dnia Victoria straciła matkę, ojca, dom, bezpieczeństwo... wszystko. - Kiedy Jason nadal milczał nieporuszony, wyczerpała się cierpliwość Charlesa. - A niech to! Czy zapomniałeś już, jak się czułeś, kiedy straciłeś Jamiego? Victoria straciła wszystkich troje najbliższych, ukochanych

ludzi, łącznie z młodym człowiekiem, z którym była na wpół zaręczona. Jest tak naiwna, że wierzy, iż ów młodzieniec za kilka tygodni przybędzie tu, by ją zabrać, ale jego matka sprzeciwia się temu związkowi. Siostra jest teraz podopieczną księżnej Claremont, Victoria została pozbawiona nawet jej towarzystwa. Pomyśl, jak ona się czuje, Jasonie! Śmierć i strata bliskiej osoby nie są dla ciebie czymś nieznanym. A może zapomniałeś już, jaki to ból?

Słowa Charlesa trafiły w cel z taką siłą, że młody człowiek się wzdrygnął. Księżę zauważył to i szedł za ciosem.

- To niewinne i zagubione dziecko, Jasonie. Nie ma na świecie już nikogo, poza mną... i tobą, czy ci się to podoba, czy nie. Pomyśl o niej tak, jak w podobnych okolicznościach myślałbyś o Jamiem. Ale Victoria ma odwagę i jest dumna. Na przykład, chociaż się z tego śmiała, widać po niej było, że wczorajsze powitanie strasznie ją upokorzyło. Jeśli poczuje, że nie jest tu mile widziana, znajdzie jakiś sposób, by odejść. A jeżeli to się stanie - zakończył Charles z napięciem - to nigdy ci tego nie daruję. Przysięgam!

Jason gwałtownie odsunął krzesło i wstał, twarz miał zamkniętą i twardą.

- A może ona również jest jednym z pana bękartów?

Twarz Charlesa pobladła.

- Dobry Boże, nie! - A kiedy syn nadal patrzył na niego sceptycznie, dodał w rozpaczy: - Zastanów się, co mówisz! Czy ogłosiłbym wasze zaręczyny, gdyby była moją córką?

To zapewnienie, zamiast uśmierzyć gniew Jasona, przypomniało mu tylko o zaręczynach, które go tak rozwścieczyły.

- Jeżeli ten pana mały aniołek jest taki cholernie niewinny i taki dzielny, dlaczego zgodziła się przefrymarczyć własne ciało za małżeństwo ze mną?

- Och! - Charles machnął lekceważąco ręką. - Zamieściłem ogłoszenie bez jej wiedzy; ona nic o tym nie wie. Jeśli chcesz, nazwij to nadmiarem entuzjazmu z mojej strony - kontynuował gładko. - Zapewniam cię, że ona nie ma najmniejszej ochoty wychodzić za ciebie. - Lodowaty wyraz twarzy Jasona zaczynał tajać i Charles pośpiesznie dorzucił następne zapewnienia. - Wątpię, czy Victoria przyjąłaby cię, nawet gdybyś ty chciał się z nią ożenić. Jesteś zbyt cyniczny, twardy i zblazowany dla takiej delikatnie wychowanej, idealistycznej dziewczyny, jak ona. Podziwiała swojego ojca i powiedziała mi, że chce wyjść za mężczyznę, który będzie do niego podobny: wrażliwego, łagodnego idealistę. Zupełnie kogoś takiego nie przypominasz - ciągnął dalej. Tak poniosło go poczucie bliskiego zwycięstwa, że nie zdawał sobie sprawy, iż jego przemowa graniczy z obrażą. - Powiedziałbym, że gdyby Victoria dowiedziała się, iż ponoć jest z tobą zaręczona, padłaby

zemdlona! Zabiłaby się raczej, niż...

- Chyba już rozumiem - przerwał mu łagodnie Jason.

- To dobrze - podjął Charles z uśmiechem. - Czy mógłbym więc zaproponować, żebyśmy utrzymali tę drobną pomyłkę ogłoszenia zaręczyn w tajemnicy przed Victorią? Zastanowię się, w jaki sposób mógłbym je odwołać, żeby nie skompromitować któregoś z was, ale nie da się tego zrobić natychmiast. - Kiedy oczy syna zwęziły się nagle, księżę szybko spoważniał. - To jeszcze dziecko, Jasonie, dzielna i dumna dziewczyna, która próbuje robić dobrą minę do złej gry na tym okrutnym świecie, a nie jest przygotowana, by stawić mu czoło. Jeżeli zbyt pośpiesznie po jej przyjeździe odwołamy zaręczyny, stanie się pośmiewiskiem Londynu. Będą mówili, że wystarczyło ci na nią rzucić okiem i się wycofałeś.

Przed oczami Jasona przemknął obraz błyszczących, niebieskich, ocienionych ciemnymi rzęsami oczu i twarzy tak ślicznej, że chyba nieprawdziwej. Przypomniał sobie czarujący uśmiech, który pojawił się na jej wargach, zanim zorientowała się, że pan domu jest w jadalni. Jeśli się nad tym zastanowić, dziewczyna robiła wrażenie dość bezbronnego dziecka.

. - Pójdź z nią porozmawiać - błagał Charles.

- Porozmawiam z nią - zgodził się krótko jego syn.

- Ale czy potem poczuje się tu mile widziana?

- Wszystko zależy od tego, co będzie robiła, kiedy ją znajdę.

W swoim pokoju Victoria wyszarpywała kolejne naręcze ubrań z szafy, a słowa Jasona Fieldinga boleśnie łomotały jej w uszach. „Skamląca mała żebraczką... nie chcę jej tutaj... Skamląca mała żebraczką”... Wcale nie znalazłam nowego domu, myślała. Los po prostu spletał jej okrutnego figla. Wepchnęła ubrania do kufra. Wyprostowała się znowu, odwróciła do szafy i z ust wyrwał jej się okrzyk przerażenia.

- Pan! - wykrztusiła, piorunując wzrokiem wysoką, groźną postać, która swobodnie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, opierała się o drzwi. Rozzłościła się na siebie, że pozwoliła, by zobaczył jej lęk i zadarła brodę do góry, bez reszty zdecydowana, że nie da mu się więcej zastraszyć. - Ktoś powinien pana nauczyć, że trzeba pukać do pokoju, zanim się wejdzie do środka.

- Pukać? - powtórzył z ironią. - Kiedy drzwi są otwarte? - Przeniósł uwagę na jej kufer i unióś brwi w górę. - Czy pani wyjeżdża?

- To chyba oczywiste - odparła Victoria.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - wybuchnęła z niedowierzaniem. - Dlatego, że nie jestem skamlącą małą

żebraczką i jeżeli chce pan wiedzieć, to nienawidzę być dla kogokolwiek ciężarem.

Na jego twarzy zamiast skruchy, że posłuszała tę zjadliwą uwagę, pojawił się wyraz lekkiego rozbawienia.

- Czy nikt nigdy pani nie uczył, że nie powinno się podsłuchiwać?

- Wcale nie podsłuchiwałam - zaprotestowała. - Wygłaszał pan opinię o mojej skromnej osobie głosem, który zapewne można było usłyszeć aż w Londynie.

- A gdzie się pani wybiera? - zapytał, ignorując jej złośliwość.

- To już nie pana sprawa.

- Niechże się pani nie upiera! - wycedził, a jego głos stał się nagle zimny i rozkazujący.

Victoria zmierzyła go zbuntowanym spojrzeniem. Stał przy drzwiach, niebezpieczny i niewyciężony. Podwinięte rękawy jego białej koszuli odsłaniały opalone na brąz, bardzo muskularne ręce; ich siły doświadczyła już, kiedy niósł ją poprzedniego dnia na górę. Wiedziała także, że jest w podłym humorze, a sądząc po groźnym wyrazie twardych, nefrytowych oczu, zastanawiał się właśnie, czy nie potrząsnąć nią, by odpowiedziała. Victoria nie miała ochoty dać mu tej satysfakcji, więc rzekła lodowato:

- Mam trochę pieniędzy. Znajdę sobie jakieś lokum we wsi.

- Naprawdę? - odezwał się z sarkazmem. - Z czystej ciekawości pytam, jak będzie pani żyła, kiedy skończy się pani te „trochę pieniędzy”?

- Będę pracowała! - oświadczyła Victoria, usiłując skruszyć to jego opanowanie, które świętego mogłoby doprowadzić do furii.

Brwi Jasona podjechały do góry w sardonicznym rozbawieniu.

- Cóż za niespotykany pomysł: kobieta, która naprawdę chce pracować. Proszę mi wyjawić, jakiego rodzaju pracę umie pani wykonywać? - Smagnął ją tym pytaniem jak batem.

- Czy potrafi pani chodzić za pługiem?

- Nie...

- Czy potrafi pani wbijać gwoździe?

- Nie.

- Czy potrafi pani doić krowę?

- Nie!

- A więc jest pani istotą bezużyteczną i dla siebie, i dla innych, prawda? - zwrócił jej bezlitośnie uwagę.

- Z pewnością nieprawda! - zaprzeczyła z gniewną dumą. - Potrafię robić przeróżne rzeczy, potrafię szyć i gotować, i...

- I doprowadzić do tego, że wszyscy wieśniacy zaczną gadać, jakimi to potworami są Fieldingowie, skoro panią wyrzucili? Może się pani pożegnać z tym pomysłem - oznajmił arogancko. - Nie pozwolę na to.

- Nie przypominam sobie, abym prosiła pana o pozwolenie - zauważyła Victoria buntowniczo.

Na to Jason nie był przygotowany; przyjrzał jej się uważnie. Nieczęsto się zdarzało, by rzucał mu wyzwanie jakiś dorosły mężczyzna, a teraz ośmieliła się to zrobić taka wątpliwa dziewczynka. Gdyby nie to, że zaskoczenie zrównoważyła irytacja, byłby ją wziął pod brodę i szerokim uśmiechem nagroził za odwagę. Zdusił niewczesną chęć odezwania się łagodniejszym tonem i powiedział krótko:

- Jeżeli tak pani zależy, by zarabiać na swoje utrzymanie, w co wątpię, może to pani robić tutaj.

- Bardzo mi przykro - oznajmiła zbuntowana młoda piękność - ale nic z tego nie będzie.

- Dlaczego?

- Ponieważ po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, żebym miała klaniać się, płaszczyć i trząść za każdym razem, kiedy będzie pan przechodził, a tego pan oczekuje po swoich służących. Przecież dziś rano ten biedaczysko z bólem zęba niemal się załamał, kiedy pan...

- Kto? - zapytał Jason. Miejsce irytacji w jego głosie chwilowo zajęło osłupienie.

- Pan O'Malley.

- A kimże, u diabła, jest pan O'Malley? - parsknął, z nadludzkim wysiłkiem opanowując złość.

Victoria przewróciła oczami z oburzeniem.

- Pan nawet nie wie, jak on się nazywa, prawda? Pan O'Malley to ten lokaj, który poszedł po śniadanie dla pana, a policzek miał cały spuchnięty...

Jason odwrócił się na pięcie.

- Charles chce, by pani tu pozostała i na tym sprawa się kończy. - W drzwiach zatrzymał się i odwrócił, a jego groźny wzrok zdawał się przyszpilać ją do podłogi. - Jeżeli zastanawia się pani, czy nie odejść wbrew moim rozkazom, radziłbym tego nie robić. Narobi mi pani kłopotów związanych ze ściganiem pani, a nie spodoba się pani to, co się stanie, kiedy panią znajdę, proszę mi wierzyć.

- Nie boję się pana pogrózek - skłamała dumnie Victoria, gwałtownie roztrząsając, jakie jej jeszcze zostało wyjście. Nie chciała swoim odejściem urazić wuja Charlesa, lecz duma nie pozwalała jej przebywać w domu lorda Fieldinga w charakterze „żebraczki”. Nie

zwracając uwagi na groźny błysk w zielonych oczach, powiedziała: - Zostanę, ale zamierzam pracować na swoje utrzymanie.

- Wspaniale - uciał Jason. Miał uczucie, że nie wiadomo jakim sposobem ona wzięła górę w tym konflikcie. Odwrócił się, żeby wyjść, zatrzymał go jednak jej rzeczowy głos.

- Czy mogę zapytać, jakie będą moje zarobki?

Jason z wściekłością wciągnął powietrze.

- Czy usiłuje mnie pani zdenerwować?

- Wcale nie. Chciałabym tylko wiedzieć, jaką będę miała pensję, żeby mogła zaplanować, kiedy... - Głos jej zamarł, bo Jason już wypadł z pokoju.

Wuj Charles przysłał do niej służącego z prośbą, by zeszła na lunch, który okazał się bardzo miłym posiłkiem, ponieważ Jason był nieobecny. Reszta popołudnia jednak ciągnęła się nieznośnie i dziewczyna, nie mogąc usiedzieć na miejscu, postanowiła się przejść. Kamerdyner zobaczył, że schodzi po schodach i otworzył przed nią drzwi. Próbowwała pokazać mu, że nie żywi żadnej urazy po wczorajszym incydencie i uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję panu bardzo, panie aa...?

- Northrup - odpowiedział uprzejmie, zachowując skrupulatnie neutralny wyraz twarzy.

- Northrup? - powtórzyła Victoria w nadziei, że wciągnie go w rozmowę. - Czy to pana imię, czy nazwisko?

Kamerdyner przelotnie spojrzął na nią i odwrócił wzrok.

- E... nazwisko, panienko.

- Rozumiem - ciągnęła dalej uprzejmie. - A jak długo już pan tu pracuje?

Northrup skrzyżował ręce na plecach i kiwał się na piętach z uroczystym wyrazem twarzy.

- Od dziewięciu pokoleń moja rodzina rodziła się i umierała w służbie Fieldingów, panienko. Spodziewam się kontynuować tę chlubną tradycję.

- Och - powiedziała Victoria, starannie tłumiąc chichot wywołany tak głęboką dumą z zajęcia, które nie wymagało nic ważniejszego niż tylko otwierania przed państwem drzwi i zamykania ich później.

Northrup, zupełnie jakby czytał jej w myślach, dodał sztywno:

- Jeżeli panienka będzie miała jakieś problemy ze służbą, proszę zwrócić się do mnie. Jako stojący na czele służby dołożę starań, by natychmiast zaradzić kłopotom.

- Jestem pewna, że nie zajdzie taka potrzeba. Wszyscy są tu niestęchanie sprawni - powiedziała życzliwie Victoria. A nawet sprawni aż do przesady, pomyślała sobie,

wychodząc na słońce.

Przeszła przez trawniki od frontu, potem skręciła i obeszała dom z zamiarem odwiedzenia stajen, bo miała ochotę zobaczyć konie. Niejasno uświadomiwszy sobie, że dobrze byłoby mieć jabłka, by się zaprzyjaźnić z wierzchowcami, zaszła na tyły domu i zapytała o kuchnię.

Gigantyczna izba pełna była niesłychanie zajętych ludzi, którzy wałkowali ciasto na drewnianych stołach, mieszały coś w kotłach i siekali jarzyny. Na samym środku tego domu wariatów stał niczym jakiś obłąkany monarcha niesłychanie gruby człowiek w nieskazitelnie białym fartuchu o rozmiarach obrusa, wymachiwał chochlą na długiej rączce i wykrzykiwał polecenia po francusku i angielsku.

- Przepraszam - zwróciła się Victoria do kobiety przy najbliższym stole. - Czy mogłabym dostać dwa jabłka i dwie marchewki, jeżeli ma pani ich nadmiar?

Kobieta zerknęła niepewnie na mężczyznę w białym fartuchu, który patrzył na Victorię wilkiem; potem zniknęła w pomieszczeniu sąsiadującym z kuchnią i wróciła po chwili z jabłkami i marchewkami.

- Dziękuję pani, pani...?

- Pani Northrup, panienko - odpowiedziała z zakłopotaniem kobieta.

- Jak miło - rzekła Victoria ze słodkim uśmiechem. - Poznałam już pani męża, kamerdynera, ale nie mówił mi, że pani też tutaj pracuje.

- Pan Northrup jest moim szwagrem - poprawiła ją tamta.

- Och, rozumiem - powiedziała Victoria, wyczuwając, że kobieta niechętnie odzywa się w obecności tłustego, ponurego mężczyzny, który wydawał się tu rządzić. - No to miłego dnia, pani Northrup.

Do stajni prowadziła wyłożona kamiennymi płytami ścieżka, granicząca po prawej stronie z lasem. Victoria szła, podziwiając wspaniały widok rozległych, przystrzyżonych trawników i bujnych ogrodów, kiedy jakiś nagły ruch o kilka kroków na prawo od ścieżki kazał jej się zatrzymać i obejrzeć. Na samym skraju lasu wielkie, szare zwierzę przeszukiwało coś, co przypominało niewielką kupę kompostu. Nagle zwietrzyło człowieka i uniosło głowę, a wzrok dziewczyny napotkał dzikie spojrzenie i krew jej zastygła w żyłach. Wilk! - usłyszała w myślach własny krzyk.

Sparaliżowana z przerażenia stała, jakby wrosła w ziemię, bojąc się poruszyć czy odezwać, a jej odrętwiały umysł wyławiał na chybił trafił różne cechy wyglądu przerażającego stwora. Gęste szare futro bestii było skudłone i brudne, ale mimo to Victoria dostrzegła sterczące pod skórą żebra; wilk miał okropnie wielki pysk; oczy spoglądały

dziko... Sądząc po wprost groteskowym wychudzeniu, zagłodzony był chyba niemal na śmierć. A to znaczyło, że zaatakuje i zje wszystko, co tylko uda mu się pochwycić... łącznie z nią samą. Victoria ostrożnie cofnęła się o krok w kierunku bezpiecznego domu.

Zwierz zawarczał, górna warga odwinęła się, ukazując komplet olbrzymich, białych kłów. Victoria odruchowo cisnęła mu jabłka i marchewki, rozpaczliwie próbując zainteresować go czymś innym niż pożarcie jej samej. Zamiast skoczyć na to, co mu rzuciła, potwór szarpnął się w tył, odskoczył od uczy na kompoście i umknął z podwiniętym ogonem. Victoria okręciła się jak fryga, popędziła do domu i wpadła do środka przez najbliższe drzwi, a potem podbiegła do okna i spojrzała na las. Wilk stał tuż za pierwszymi drzewami i wygłodniałym wzrokiem gapił się na kompost.

- Czy stało się coś złego, panienko? - zapytał z tyłu lokaj, idący do kuchni.

- Zobaczyłam jakiegoś zwierzę - powiedziała Victoria bez tchu. - Wydaje mi się, że to był... - Przyglądała się, jak szara bestia zakrada się z powrotem do ogrodu, by pożreć jabłka i marchew; potem wilk uciekł z powrotem do lasu, podkuliwszy znowu puchaty ogon. Ten zwierzak jest przerażony! - uświadomiła sobie dziewczyna. I wygłodniały. - Czy macie tu jakieś psy? - zapytała, myśląc, że bliska była chyba popełnienia błędu, przez który wyszłaby na strasznego głuptasa.

- Tak, panienko, kilka.

- A czy któryś jest wielki, chudy, czarno - szarej maści?

- To pewnie pies wielmożnego pana, Willie - odpowiedział lokaj. - Ciągłe się tu płacze i żebrze o jedzenie. Nie jest zły, jeżeli to panią martwi. Czy pani go widziała?

- Tak - potwierdziła Victoria, którą ogarnęła złość na wspomnienie wygłodniałego stworzenia, które pożerało zepsute odpadki z kompostu, jakby to były steki. - Zagłodzony jest niemal na śmierć. Ktoś powinien tego biedaka nakarmić.

- Willie zawsze tak się zachowuje, jakby już umierał z głodu - odpowiedział lokaj z kompletną obojętnością. - Wielmożny pan mówi, że jeżeli dostanie więcej jedzenia, to się na nogach nie utrzyma, taki będzie tłusty.

- A jeżeli będzie jadł mniej, to nie starczy mu sił do życia - odparła gniewnie Victoria.

Bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, jak ten bezduszny człowiek głodzi własnego psa. Jak rozpaczliwie wygląda takie zwierzę ze sterczącymi żebrami... i jak makabrycznie! Poszła z powrotem do kuchni i poprosiła o jeszcze jedno jabłko, kilka marchewek i talerz resztek.

Pomimo całego współczucia, podchodząc do kompostu musiała walczyć ze strachem; wypatrzyła wilkopsa, który przyglądał jej się z kryjówki na skraju lasu. Na pewno pies, a nie wilk, teraz to widziała. Pamiętając zapewnienia lokaja, że nie jest zły, podeszła tak blisko, jak

pozwoła jej odwaga, i wyciągnęła talerz z resztkami.

- Masz, Willie - powiedziała cicho. - Przyniosłam ci trochę dobrego jedzenia.

Nieśmiało postąpiła jeszcze krok do przodu. Willie położył uszy na płask i wyszczerzył na nią białe kły, a Victoria straciła odwagę. Postawiła talerz na ziemi i uciekła w kierunku stajni.

Tego wieczoru jadła obiad z księciem, a ponieważ Jason znowu im nie towarzyszył, posiłek był przemiły; ale kiedy się skończył i Charles udał się na spoczynek, dziewczyna przekonała się, że znowu ma dużo wolnego czasu. Poza wycieczką do stajni i przygodą z Williem przez cały dzień wałęsała się tylko to tu, to tam i nie miała nic do roboty. Jutro, postanowiła radośnie, weźmie się do pracy. Przyzwyczajona była do tego, że jest zajęta i rozpaczliwie potrzebowała czegoś, czym mogłaby wypełnić puste godziny. Nie wspominała Charlesowi, że ma zamiar zarabiać na swoje utrzymanie, ale była pewna, że kiedy wuj się o tym dowie, z ulgą przyjmie fakt, że wzięła na siebie jakieś obowiązki, co oszczędzi mu na przyszłość zjadliwych uwag aroganckiego bratanka.

Poszła do swego pokoju i przez resztę wieczoru próbowała ułożyć wesoły, optymistyczny list do Dorothy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka Victoria obudziła się wcześniej, słysząc ćwierkające na drzewie w pobliżu jej otwartego okna ptaki. Odwróciła się na plecy i popatrzyła na jaskrawobłękitne niebo pełne olbrzymich, puchatych, białych chmur, takie niebo, które po prostu aż wołało na spacer.

Pośpiesznie umyła się, ubrała i zeszła na dół po jedzenie dla Williego. Jason Fielding zapytał ją z sarkazmem, czy będzie umiała chodzić za pługiem, wbijać gwoździe albo doić krowy. Pierwszego i drugiego nie potrafiła na pewno, ale w domu często widywała, jak doi się krowy i nie wyglądało to na szczególnie trudne zajęcie. Poza tym, po sześciu tygodniach ograniczonej swobody na statku każda wymagająca ruchu działalność wydawała jej się pociągająca.

Już miała wyjść z talerzem resztek z kuchni, kiedy uderzyła ją pewna myśl. Nie zwracając uwagi na pełne oburzenia spojrzenie mężczyzny w białym fartuchu - jak powiedział jej poprzedniego wieczoru Charles, był on kuchmistrem i spoglądał teraz na nią jak na wariatkę, która wdarła się do jego ozdobionego garnkami królestwa - zwróciła się do pani Northrup.

- Proszę pani, czy mogłabym przydać się do czegoś... to znaczy, żeby tu, w kuchni, pomóc?

Ręka pani Northrup po prostu sama powędrowała do ust.

- Nie, oczywiście, że nie.

Victoria westchnęła.

- W takim razie, czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie mam szukać krów?

- Krów? - powtórzyła kobieta. - A... po co panience krowy?

- Żeby je wydoić - oznajmiła Victoria.

Pani Northrup pobladła i nic nie powiedziała; po chwili pełnej zażenowania ciszy Victoria wzruszyła ramionami i postanowiła, że znajdzie te krowy sama. Wyszła kuchennymi drzwiami, chcąc najpierw poszukać Williego. A pani Northrup otrzepała dłonie z mąki i ruszyła prosto do drzwi frontowych w poszukiwaniu swego szwagra.

Podchodząc do stosu kompostu, Victoria nerwowo rozglądała się wokół, czy nie zobaczy gdzieś psa. Willie - cóż za dziwaczne imię dla tak wielkiego i dziko wyglądającego zwierzęcia, pomyślała. I nagle go dostrzegła: przyczajony na samym skraju lasu, przyglądał się jej bacznie. Krótka sierść na jego karku zjeżyła się, ale Victoria nadal posuwała się z

talerzem resztek do przodu, dopóki wystarczyło jej odwagi.

- Masz, Willie - wabiła go cicho. - Przyniosłam ci śniadanie. Chodź jeść.

Oczy olbrzymiego zwierza przeskoczyły najedzenie, które trzymała w ręce, ale nie ruszył się, czujny i pełen obawy.

- Czy nie podejdziesz chociaż troszkę bliżej? - ciągnęła dalej Victoria.

Skoro nigdy nie uda jej się zaprzyjaźnić z samym Jasonem Fieldingiem, stanowczo postanowiła zaprzyjaźnić się przynajmniej z jego psem.

Ten wcale nie wydawał się bardziej skłonny do nawiązania kontaktu niż jego pan. Nie dał się przywabić i nie spuszczał z niej groźnego wzroku. Victoria z westchnieniem postawiła talerz i odeszła.

Jakiś ogrodnik pokazał jej, gdzie trzymane są krowy; weszła do nieskazitelnej obory, a w nos połaskotała ją swojska woń siana. Zawahała się niepewnie, kiedy dwanaście krów podniosło łby do góry i popatrzyło na nią olbrzymimi, smętnymi, brązowymi oczami, a potem ruszyła wzdłuż boksów. Zatrzymała się obok tego, w którym na ścianie wisiały zydelek i wiadro, w przekonaniu, że ta właśnie krowa może okazać się najłatwiejsza do wydojenia.

- Dzień dobry - powiedziała krowie i poklepała ją uspokajająco po gładkim pysku, usiłując jednocześnie sobie samej dodać odwagi. Teraz, kiedy przyszedł czas na działanie, Victoria wcale nie była pewna, czy aby pamięta dokładnie, jak zabrać się do dojenia.

Żeby zyskać na czasie, obeszła krowę dookoła, wyjęła kilka ździebeł słomy z jej ogona, a potem z oporami zdjęła zydelek i postawiła wiadro pod obwisłym wymieniem. Usiadła, powoli podwinęła rękawy sukni, a potem poprawiła sobie spódnicę. Nie zauważywszy mężczyzny, który właśnie zbliżał się do obory, pogładziła zwierzę po boku i przeciągle, niepewnie westchnęła.

- Równie dobrze mogę być z tobą całkiem uczciwa - wyznała krowie. - Prawda jest taka, że właściwie nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Na to pełne żałości wyznanie wchodzący właśnie do środka Jason zatrzymał się w pół kroku. Przyjrzał się dziewczynie, a oczy zabłysły mu od pełnego fascynacji rozbawienia. Panna Victoria Seaton usadowiła się na zydelku do dojenia krów, fałdy spódnicy rozpostarła wokół niego starannie, jakby siedziała na tronie; przedstawiała sobą bardzo czarujący widok. Głowę lekko przechyliła na bok, skupiając się na zaplanowanym zadaniu, dzięki czemu Jason miał rozkoszny widok na patrycjuszowski profil, elegancki zarys policzków i delikatny nosek młodej damy. Słońce, wpadając przez okno nad jej głową, połyskiwało na włosach, zmieniając je w migoczący, czerwonozłoty wodospad, który spływał na ramiona. Kiedy przygryzła dolną wargę i pochyliła się, by przesunąć wiadro troszkę do przodu, długie,

wywinęte rzęsy rzuciły cienie na gładkie policzki.

Ten ruch przyciągnął wzrok Jasona do pełnych, okrągłych piersi dziewczyny, które wypychały kusząco stanik czarnej sukienki, ale kiedy usłyszał następne słowa, ramiona zatrzęśły mu się w tłumionym wybuchu śmiechu:

- To będzie równie żenujące dla ciebie, jak dla mnie - oznajmiła Victoria krowie, wyciągając z odrazą rękę do przodu. Dotknęła mięsistych wymion i szarpnęła dłonie w tył z głośnym: - Faj!

Potem spróbowała jeszcze raz. Ścisnęła wymię pośpiesznie, raz za razem, następnie pochyliła się i zajrzała z nadzieją do wiadra. Nie wpadła do niego ani jedna kropelka mleka.

- Proszę cię, proszę, nie utrudniaj mi pracy - błagała krowę.

Dwa razy jeszcze powtórzyła całą procedurę, ale nadal bez rezultatu. Poczuli się tak sfrustrowana, że następnym razem szarpnęła za mocno, na co krowa odwróciła się i z wyrzutem, gniewnie na nią spojrzała.

- Ja robię, co do mnie należy - oznajmiła Victoria, piorunując ją wzrokiem w odpowiedzi - a ty mogłabyś przynajmniej trochę się postarać!

Za jej plecami roześmiany męski głos uprzedził:

- Mleko skwaśnieje, jeśli będzie pani na nią patrzeć takim złym okiem!

Victoria podskoczyła i okręciła się gwałtownie na stołku, przez co połyskujące miedzią włosy przesunęły się na jej lewe ramię.

- Pan!?! - wykrzyknęła, rumieniąc się ze wstydu za scenę, której najwyraźniej był świadkiem. - Dlaczego musi pan zawsze podkraść się do ludzi jak kot? Mógłby pan przynajmniej...

- Zapukać? - podsunął, a oczy błyszczały mu wesołością. Powoli, z rozmysłem podniósł dłoń i zastukał dwa razy kostkami w drewnianą belkę. - Czy pani zawsze rozmawia ze zwierzętami? - zapytał, grzecznie podtrzymując rozmowę.

Victoria nie była w odpowiednim nastroju, by słuchać, jak Jason się z niej wyśmiewa, a sądząc po błysku w jego oczach, coś takiego właśnie czynił. Z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć, wstała, wygładziła spódnice i usiłowała go wyminąć.

Ręka mężczyzny wystrzeliła do przodu; chwycił Victorię za ramię mocno, choć nie boleśnie.

- Czy nie ma pani zamiaru dokończyć dojenia?

- Widział pan już, że nie potrafię.

- Dlaczego nie?

Zadarła głowę do góry i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Ponieważ nie wiem, jak to się robi.

Jedna ciemna brew podjechała do góry nad zielonym, rozbawionym okiem.

- Czy chce się pani nauczyć?

- Nie - odpowiedziała, zirytowana i upokorzona. - A teraz, jeżeli zabierze pan rękę z mego ramienia... - tu wyszarpnęła mu się, nie czekając na zgodę - ... spróbuję znaleźć jakiś inny sposób, żeby zarobić na życie.

Odchodząc czuła, że mężczyzna jej się przygląda, ale kiedy znalazła się bliżej domu, myśli jej wkrótce skupiły się na Williem. Widziała, że pies czai się na samym skraju lasu i bacznie ją obserwuje. Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach, lecz postanowiła się nie bać. Dopiero co napędziła jej strachu krowa, dziewczyna postanowiła więc twardo, że nie da się zastraszyć psu.

Jason przyglądał się, jak Victoria odchodzi, a potem wzruszeniem ramion zbył wspomnienie anielskiej dojarki ze słońcem we włosach i wrócił do pracy, od której oderwał się, kiedy do jego gabinetu wpadł Northrup, by zawiadomić swego pana, że panna Seaton poszła doić krowy.

Usiadł przy biurku i rzucił okiem na sekretarza.

- Przy czym byliśmy, Benjaminie?

- Dyktował pan list do pełnomocnika w Delhi, wielmożny panie.

Victoria, poniosłszy porażkę przy dojeniu, ruszyła na poszukiwaniu ogrodnika, który wcześniej skierował ją do obory. Podeszła do starszego, łysego jegomościa, gdyż ten wydawał się kierować innymi, i zapytała, czy nie mogłaby pomóc przy sadzeniu cebulek, które jego podwładni utykali na wielkich, kolistych gazonach na frontowym dziedzińcu.

- Trzymaj się swoich obowiązków w oborze i zejdź nam z drogi, kobieto! - ryknął groźnie ogrodnik.

Victoria się poddała. Nie zadając sobie trudu, by wyjaśnić, że nie ma w oborze nic do roboty, zawróciła na tyły domu w poszukiwaniu jedynej pracy, do której naprawdę się nadawała: poszła do kuchni.

Główny ogrodnik popatrzył w ślad za nią, rzucił na ziemię rydel i ruszył na poszukiwanie Northrupa.

Nie zauważona przez nikogo dziewczyna zatrzymała się tuż za kuchennymi drzwiami; w środku ośmioro służących pracowicie przygotowywało na lunch coś, co przypominało gulasz, a do tego młode, przyprawione sosem jarzyny, świeży, domowy chleb i kilka przystawek. Ostatnie dwie próby, by się okazać użyteczną, przygłębiły Victorię. Teraz patrzyła, dopóki nie nabrała absolutnej pewności, że poradzi sobie z tym, czego chce się

podjąć; dopiero wtedy podeszła do kapryśnego francuskiego kuchmistrza.

- Chciałabym pomóc - oznajmiła stanowczo.

- *Non!* - wrzasnął, najwyraźniej przekonany, że dziewczyna w tak skromnej czarnej sukience musi być służącą. - Precz! Precz! Wyjdz! Zajmij się swoimi obowiązkami.

Victoria miała już serdecznie dość tego, że traktowano ją jak bezużyteczną idiotkę. Bardzo uprzejmie, ale i bardzo stanowczo odrzekła:

- Mogę być tu pomocna, a sądząc po tym, jak wszyscy miotają się w pośpiechu, przydałaby się wam na pewno jeszcze jedna para rąk.

Kuchmistrz wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować.

- Nie zostałeś nauczona! - zagrział. - Wynoś się! Kiedy Andre potrzebuje pomocy, on będzie prosił o pomoc, i to on będzie szkolił!

- Przecież w przyrządzaniu gulaszu nie ma nic skomplikowanego, *monsieur* - zwróciła mu uwagę doprowadzona do rozpaczony Victoria. Lekceważąc fakt, że na tak zdawkowe potraktowanie zawilości uprawianej przez sztuki twarz Andre spurpurowiała, ciągnęła dalej wesołym, rzeczowym tonem: - Wystarczy posiekać jarzyny na tym oto stole - tu postukała w stojący obok niej stół - i wrzucić je do tamtego kociołka. - Pokazała palcem na wiszący nad kuchnią kociołek.

Bliskiemu apopleksji kucharzowi wyrwał się z gardła dziwny, zduszony okrzyk, a potem Andre zerwał z siebie fartuch.

- W pięć minut - zapowiedział, wypadając z kuchni - każę cię wyrzucić z tego domu!

Zostało po nim aż trzeszczące od napięcia milczenie; Victoria rozejrzała się po twarzach pozostałych służących, którzy wpatrywali się w nią, zmartwiali ze zgrozy, a oczy ich odzwierciedlały całą gamę emocji: od współczucia po rozbawienie.

- Na Boga, dziewczyno - odezwała się życzliwie jakaś niewiasta w średnim wieku, ocierając w fartuch ręce z mąki - co cię opętało, żeby go tak wyprowadzać z równowagi? Każe cię za to bez pardonu wyrzucić.

Pierwszy raz się zdarzyło, że przyjaznym tonem odezwał się do Victorii ktoś z licznych w tym domu służących, jeżeli nie liczyć malutkiej pokojówki imieniem Ruth, która troszczyła się o jej pokój. Na nieszczęście współczucie tej kobiety niemal doprowadziło biedaczkę do łez, tak czuła się przybita, że narobiła wszystkim kłopotów, a przecież tylko chciała pomóc.

- Chociaż miałaś absolutną rację - ciągnęła dalej tamta, klepiąc ją łagodnie po ramieniu - ugotowanie gulaszu jest rzeczą całkiem prostą. Każdy z nas mógłby tu pracować dalej i bez tego Francuza, ale wielmożny pan pragnie mieć wszystko, co najlepsze... a Andre

jest najlepszym kuchmistrem w kraju. Równie dobrze możesz iść i spakować rzeczy, bo pewne to jak amen w pacierzu, że nie minie godzina, a cię stąd wyrzucą.

Victoria, z trudem panując nad głosem, starała się uspokoić kobietę w tej kwestii.

- Ja jestem gościem, a nie służącą... myślałam, że pani Northrup wam to powiedziała.

Kobieta otworzyła usta ze zdumienia.

- Nie, panienko, nie powiedziała. Służbie nie wolno plotkować, a już pani Northrup ostatnia by to zrobiła, bo spowinowacona jest przez małżeństwo z Northrupem, kamerdynerem. Wiedziałam, że mamy w domu gościa, ale... - Spojrzenie jej pomknęło ku wyświechtanej, choć niegdyś eleganckiej sukni Victorii i dziewczyna się zarumieniła. - Czy mogę panience przygotować coś do jedzenia?

Ramiona Victorii opadły w rozpacz.

- Nie, aleja... ja chciałabym przyrzucić lekarstwo, żeby przynieść ulgę panu O'Malleyowi, coś na ten jego spuchnięty policzek. To taki domowy środek, robi się go z prostych składników, ale może uśmierzyć ból zainfekowanego zęba.

Kobieta, która - jak powiedziała - miała na nazwisko Craddock, pokazała Victorii, gdzie znajdzie składniki, o które prosiła, i dziewczyna zabrała się do pracy, w pełni przygotowana na to, że w każdej chwili „wielmożny pan” może się tu pojawić i publicznie ją upokorzyć.

Northrup ponownie zastukał do drzwi gabinetu, kiedy Jason właśnie zaczął dyktować ten sam list, który dyktował, gdy doniesiono mu, że Victoria wybrała się do obory doić krowy.

- Słucham, o co teraz chodzi? - zapytał zniecierpliwiony, kiedy kamerdyner przed nim stanął.

Służący odchrząknął.

- To znowu panna Seaton, wielmożny panie. Ona... jak by to... próbowała pomóc głównemu ogrodnikowi przy obsadzaniu grządek. Przez pomyłkę wziął ją za jedną ze służących i teraz, ponieważ wyjaśniłem mu, że to nie służąca, zastanawia się, czy wielmożny pan jest niezadowolony z jego pracy i czy to wielmożny pan posłał ją tam, żeby...

Niski głos Jasona aż wibrował z irytacji.

- Przekaż ogrodnikowi, żeby wracał do roboty, a potem powiedz panie Seaton, żeby mu nie wchodziła w drogę. A ty - dodał ponuro - nie wchodź w drogę mnie. Mam robotę. - Odwrócił się do chudego, noszącego okulary sekretarza i warknął: - No więc, przy czym byliśmy, Benjaminie?

- Zaczęliśmy list do pańskiego człowieka w Delhi, wielmożny panie.

Jason zdążył podyktować tylko dwie linijki, kiedy za drzwiami dało się słyszeć jakieś zamieszanie i do pokoju wpadł kucharz; po piętach deptał mu Northrup, usiłujący prześcignąć Francuza i zablokować mu drogę.

- Albo ona odejdzie, albo ja! - zagrział *monsieur* Andre, maszerując do biurka milorda. - Nie dopuszczę tej rudej dziewczyny do mojej kuchni!

Jason z zabójczym spokojem odłożył pióro i zwrócił lśniąco zielone spojrzenie na rozwścieczoną twarz kucharza.

- Co mówiliście do mnie?

- Mówiłem, że nie dopuszczę...

- Precz - powiedział jego pracodawca jedwabście spokojnym głosem.

Okrągła twarz mistrza pobladła.

- *Oui* - przytaknął spieszenie, zaczynając się wycofywać - już wracam do kuch...

- Precz z mego domu - wyjaśnił bezlitośnie Jason - i z mego majątku. Już! - Zerwał się, przepchnął obok zalanego potem kucharza i ruszył do kuchni.

Na dźwięk poirytowanego głosu pana wszyscy aż drgnęli i odwrócili się natychmiast w jego stronę.

- Czy ktoś z was potrafi gotować? - zapytał Jason, a Victoria doszła do wniosku, że kuchmistrz musiał przez nią złożyć wymówienie. Przerazona zaczęła już wysuwać się do przodu, ale groźne spojrzenie pana domu przyszpiliło ją na miejscu, grożąc okropnymi konsekwencjami, jeżeli ośmieli się zgłosić na ochotnika. Rozejrzał się po obecnych z gniewnym niesmakiem. - Czy chcecie dać mi do zrozumienia, że nikt z was nie potrafi gotować?

Pani Craddock zawahała się i wystąpiła do przodu.

- Ja potrafię, wielmożny panie.

Jason krótko skinął głową.

- Dobrze. Obejmuje pani rządy. Na przyszłość proszę zrezygnować z tych mdlących, ciężkich francuskich sosów, które zmuszony byłem jadać. - Zmierzył lodowatym spojrzeniem Victorię. - A pani - rozkazał groźnie - niech się trzyma z daleka od obory, zostawi uprawę ogrodu ogrodnikom, a gotowanie kucharzom!

Wyszedł, a służba odwróciła się do Victorii, patrząc na nią z mieszaniną szoku i nieśmiałej wdzięczności. Dziewczyna tak bardzo czuła się zawstydzona, że narobiła tyle kłopotów, iż nie śmiała popatrzeć im w oczy, pochyliła tylko głowę i zaczęła przygotowywać lekarstwo dla pana O'Malleya.

- Bierzmy się do roboty - powiedziała pozostałym służącym pani Craddock

energicznym, wesołym głosem. - Musimy udowodnić wielmożnemu panu, że potrafimy sobie bardzo dobrze radzić bez Andre i jego szarpania nas za uszy i dawania po łapach.

Zaszokowana Victoria gwałtownie podniosła głowę i skierowała spojrzenie ku pani Craddock.

- To był tyran o niegodziwym usposobieniu - potwierdziła ta ostatnia. - Bardzo jesteśmy wdzięczni, żeśmy się go pozbyli.

Z wyjątkiem dnia, kiedy zginęli rodzice Victorii, dzisiejszy był chyba najgorszy w jej życiu. Wzięła miseczkę z miksturą uśmierzającą ból chorego zęba, i wyszła.

Nie udało jej się znaleźć O'Malleya, ruszyła więc na poszukiwanie Northrupa. Kamerdyner wychodził właśnie z pełnego książek pokoju. Za niedomkniętymi drzwiami mignął jej za biurkiem Jason, który z listem w ręku rozmawiał z jakimś dżentelmenem w okularach, siedzącym naprzeciw niego.

- Panie Northrup - odezwała się zduszonym głosem, podając mu lekarstwo - czy byłby pan tak uprzejmy i przekazał to panu O'Malleyowi? Proszę powiedzieć mu, żeby kilka razy dziennie smarował tym ząb i dziąsło. Mikstura pomoże uśmierzyć ból i zmniejszy opuchliznę.

Jason, którego uwagę znowu rozproszyły dobiegające z korytarza głosy, cisnął czytany właśnie dokument na biurko, podszedł wielkimi krokami do drzwi i jednym szarpnięciem je otworzył. Nie zauważając Victorii, która ruszyła już na górę po schodach, zapytał ostro Northrupa:

- Co ona znowu, do diabła, narobiła?

- Ona... ona przygotowała to smarowidło na bolący ząb O'Malleya, wielmożny panie - powiedział Northrup dziwnym, napiętym głosem i podniósł z namysłem oczy na strapioną dziewczynę, która wchodziła po schodach.

Jason pobiegł wzrokiem za jego spojrzeniem i źrenice zwęziły mu się na widok smukłej, miejscami zgrabnie zaokrąglonej, przybranej w żałobną czerni postaci.

- Victorio! - zawołał.

Odwróciła się i przygotowała na kolejną reprimendę, ale Jason odezwał się do niej spokojnie, chociaż w głosie jego pobrzmiwała nieugięta stanowczość.

- Proszę się już nie ubierać na czarno. Nie lubię tego.

- Jest mi bardzo przykro, że rażą pana moje czarne stroje - odparła ze spokojną godnością - lecz noszę żałobę po rodzicach.

Brwi Jasona gwałtownie się ściągnęły, ugryzł się jednak w język i milczał, dopóki dziewczyna nie znalazła się poza zasięgiem głosu. Potem zwrócił się do Northrupa:

- Wyślij kogoś do Londynu, żeby przywiózł dla niej jakieś przyzwoite ubrania, i

pozbać się tych czarnych szmat.

Kiedy księżę zszedł na dół na lunch, przygnębiona Victoria wsunęła się na krzesło po jego lewej ręce.

- Wielkie nieba, dziecko, cóż się stało? Błada jesteś jak duch. Wyznała mu, ile głupstw popełniła tego ranka, Charles zaś słuchał, a wargi drgały mu z rozbawienia.

- Wspaniale, wspaniale! - powiedział, kiedy skończyła, i ku jej zdumieniu zaczął się śmiać. - Tylko tak dalej, przewróć mu całe życie do góry nogami, moja droga. Dokładnie tego mu trzeba. Z pozoru może robić wrażenie zimnego i twardego, ale to tylko skorupa, chociaż muszę przyznać, że gruba, lecz odpowiednia kobieta zdoła się przez nią przebić i odkryć jego wewnętrzną życzliwość. A kiedy wydobędzie to uczucie na powierzchnię, Jason uczyni ją bardzo szczęśliwą. Wśród wielu jego zalet jest też ogromna szczodrość... - Uniósł brwi i zostawił to zdanie w zawieszeniu, a Victoria pod jego badawczym spojrzeniem poruszyła się niespokojnie. Zastanawiała się, czy księżę nie żywi przypadkiem nadziei, że to ona będzie tą kobietą.

Ani przez chwilę nie wierzyła, by w sercu Jasona Fieldinga mógł kryć się choćby cień życzliwości do ludzi, a co więcej, chciała mieć możliwie mało z nim do czynienia. Wołała jednak taktownie zmienić temat i nie mówić o tym wujowi Charlesowi.

- W ciągu najbliższych kilku tygodni powinnam dostać jakąś wiadomość od Andrew.

- A, tak, od Andrew - powtórzył wuj i oczy mu pociemniały.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia Charles zabrał Victorię na przejażdżkę kareta do pobliskiej wioski, a chociaż ten spacer przepełnił dziewczynę nostalgiczną tęsknotą za dawnym domem, wspaniale się bawiła. Dookoła wszędzie kwitły kwiaty - w skrzynkach na oknach i w ogrodach, gdzie nie szczędzono im czułej opieki, oraz na wzgórzach i na łąkach, gdzie troszczyła się o nie tylko matka natura. Sama wioska, ze schludnymi chatami i brukowanymi uliczkami, była przeurocza i Victoria wprost się w niej zakochała.

Za każdym razem, kiedy, wychodząc z jednego z malutkich sklepików, pojawiali się na uliczce, mieszkańcy zatrzymywali się i uchylali kapeluszy. Do Charlesa zwracali się „Jego Wysokość”, a chociaż Victoria zauważyła, że księżę zwykle nie potrafił sobie przypomnieć nazwisk swych dzierżawców, każdego traktował ze szczerą sympatią, niezależnie od jego pozycji społecznej.

Zanim po południu wrócili do Wakefield Park, Victoria zaczęła widzieć swe nowe życie w bardziej różowych barwach i żywić nadzieję, że pozna kiedyś lepiej tutejszych wieśniaków.

Nie chciała ściągać sobie na głowę następnych kłopotów, więc przez resztę dnia ograniczyła się do czytania we własnym pokoju i wyprawiała się tylko dwa razy pod las, gdzie bez sukcesu usiłowała namówić Williego, by podszedł do niej bliżej po jedzenie.

Przed kolacją położyła się i zasnęła, ukołysana nadzieją, że uda jej się uniknąć dalszych scysji z Jasonem Fieldingiem, jeżeli po prostu będzie się trzymała od niego z daleka, tak jak dziś.

Nie miała racji. Kiedy się obudziła, Ruth wieszła właśnie w szafie naręcze pastelowych strojów.

- To nie moje suknie, Ruth - zwróciła jej sennie uwagę Victoria, marszcząc brwi w świetle świec i wstając z łóżka.

- Ależ tak, panienko! - odparła z entuzjazmem służąca. - Wielmożny pan posłał po nie do Londynu!

- Proszę przekazać mu, że nie będę ich nosiła - oznajmiła dziewczyna z pełną stanowczością uprzejmością.

Ruth uniosła dłoń do ust.

- Och, panienko, nie mogłabym tego zrobić! Naprawdę nie mogłabym!

- Ale ja mogę! - odparła Victoria i już kierowała się do drugiej szafy w poszukiwaniu

własnych strojów.

- Nie ma ich - powstrzymała ją Ruth z nieszczęśliwą miną. - Ja... ja je wyniosłam. Rozkazy wielmożnego pana...

- Rozumiem - powiedziała Victoria łagodnie, chociaż czuła, że wewnątrz niej zaczyna kipieć porywczy gniew, o jaki się nigdy nie podejrzewała.

Malutka służąca załamywała ręce, blade oczy miała jednak pełne nadziei.

- Panienko, wielmożny pan powiedział, że mogę otrzymać miejsce osobistej pokojówki panienki, jeżeli będę umiała robić wszystko tak, jak powinnam.

- Nie jest mi potrzebna pokojówka, Ruth.

Dziewczyna się przygarbiła.

- To byłoby o wiele przyjemniejsze od tego, co robię teraz...

Victoria nie zdołała się oprzeć jej błagalnej minie.

- Dobrze już, dobrze - westchnęła, próbując na siłę się uśmiechnąć. - A co robi „osobista pokojówka”?

- No, będę panience pomagała się ubierać i dopilnuję, żeby suknie zawsze były wyprasowane i czyste. I będę panience układała włosy. Czy mogę? To znaczy, uczesać panienkę? Ma panienka takie śliczne włosy, a moja mama zawsze mówiła, że ja mam dobrą rękę do włosów, to znaczy, żeby wyglądały ładnie.

Victoria zgodziła się nie dlatego, że zależało jej na fryzurze, tylko dlatego, że musiała się uspokoić, zanim stanie twarzą w twarz z Jasonem Fieldingiem. W godzinę później w milczeniu przeglądała się w lustrze. Miała na sobie układaną, jedwabną brzoskwiniową suknię z szerokimi rękawami, które ozdobione były naszytymi poziomo atłasowymi tasiemkami w brzoskwiniowym kolorze. Ruth skrzyła jej gęste miedziane włosy w lśniące loki, upięła je na czubku głowy i przepłótła brzoskwiniowymi wstążeczkami. Wysokie policzki Victorii zabarwił soczysty, gniewny rumieniec, a promienne, szafirowe oczy połyskiwały z oburzenia i wstydu.

Nigdy nie widziała ani nie wyobrażała sobie równie cudownej sukni, jak ta, którą teraz miała na sobie, z głęboko wyciętym, ściśle dopasowanym stanikiem, unoszącym piersi w górę i odsłaniającym śmiały dekolt. I nigdy własny wygląd nie sprawiał jej tak mało radości jak teraz, kiedy zmuszono ją do okazania frywolnego lekceważenia zmarłym rodzicom.

- Och, panienko! - wykrzyknęła Ruth, składając ręce z pełną zachwyty satysfakcją - jest panienka taka śliczna, wielmożny pan własnym oczom nie uwierzy, jak panienkę zobaczy!

Przepowiednia Ruth się sprawdziła, ale Victoria była zbyt wściekła, by czerpać

najdrobniejszą nawet satysfakcję z oszołomienia, jakie pojawiło się na jego obliczu, kiedy weszła do jadalni.

- Dobry wieczór, wuju Charlesie - powiedziała i przytuliła policzek do twarzy księcia, kiedy Jason wstawał.

Buntowniczo odwróciła się przodem do niego i stała w pełnym oburzenia milczeniu, gdy wielmożny pan zuchwale mierzył ją wzrokiem, od czubka lśniących rudozłotych włosów, przez wypukłości odsłoniętego dekoltu nad stanikiem, w dół, aż do czubeczków delikatnych aksamitnych pantofelków, w które także ją zaopatrzył. Victoria była w pewnym stopniu przyzwyczajona do pełnych podziwu ukradkowych zerknięć dżentelmenów, ale w bezczelnym, leniwie taksującym spojrzeniu, jakim Jason obrzucił jej ciało, nie było nic dżentelmeńskiego.

- Czy skończył pan już może? - zapytała zwięźle.

Bez pośpiechu podniósł wzrok ku oczom Victorii, a kącki surowych ust drgnęły mu w ironicznym uśmiechu, gdy uświadomił sobie wrogość w jej głosie. Wyciągnął rękę, a dziewczyna odruchowo cofnęła się szybko o krok, zanim zrozumiała, że zamierzał po prostu odsunąć jej krzesło.

- Czyżbym popełnił następną gafę towarzyską, jak wtedy, kiedy nie zapukałem? - zapytał niskim, rozbawionym głosem. - Czy nie ma w Ameryce takiego zwyczaju, że dżentelmen odsuwa damie krzesło?

Victoria gwałtownym ruchem odchyliła głowę.

- Czy pan chce pomóc mi usiąść, czy może odgryźć mi ucho?

Wargi Jasona drgnęły.

- Niewykluczone, że dojdzie do tego - odparł - jeżeli nowa kucharka poda nam niedobry posiłek. - Wracając na swoje miejsce, zerknął na księcia. - Wyrzuciłem tego grubego Francuza - wyjaśnił.

Victoria poczuła przelotne wyrzuty sumienia za rolę, jaką odegrała w tej sprawie, ale tak była zła na Jasona, że apodyktycznie polecił wyrzucić jej ubrania, iż nawet poczucie winy nie zdołało złagodzić gniewu. Miała zamiar poruszyć z nim tę sprawę na osobności po obiedzie i wszystkie swoje wypowiedzi kierowała do Charlesa; ale w trakcie posiłku z niepokojem zaczęła sobie uświadamiać, że Jason Fielding przygląda jej się zza świec, stojących na środku stołu.

Jason, obserwując ją, uniósł kieliszek z winem do ust. Widział, że jest na niego wściekła, iż kazał zabrać te wyświechtane suknie, i że nie może się doczekać, kiedy będzie mogła dać upust swym emocjom w pełnej oburzenia tyradzie - sygnalizowały to wyraźnie

błyski w jej oczach.

Cóż za dumna, pełna werwy uroda, oceniał bezstronnie. Już wcześniej wydawała mu się ładniutka, ale nie spodziewał się, że wystarczy, by zrzuciła nietwarzowe, czarne ubiory, aby ujrzeć przed sobą przy kolacji skończoną piękność. Może tak bardzo nienawidził posępnej, melancholijnej żałoby, że wcześniej nie potrafił ocenić dziewczyny obiektywnie. Tak czy owak, nie miał wątpliwości, że za Victorią Seaton mężczyźni musieli szaleć w Ameryce. Nie było też wątpliwości, że tak samo olśni młodych ludzi w Anglii. I młodych, i dojrzałych, poprawił sam siebie.

I w tym cały problem: chociaż była tak bujnie, kusząco zbudowana i chociaż jej uroda wydawała się tak upajająca, szybko zaczynał się przekonywać, że Victoria rzeczywiście jest niedoświadczonym dziewczęciem, dokładnie tak, jak mówił Charles. Naiwnym niewiniątkiem, które los rzucił mu na próg i za które, choć niechętnie, stał się teraz odpowiedzialny. On w roli opiekuna - surowego strażnika cnoty młodej panny. Pomysł był tak niedorzeczny, że Jason niemal w głos się roześmiał, a przecież tę właśnie rolę będzie zmuszony odgrywać. Każdy, kto go znał, podobnie jak on sam, uzna sytuację za absurdalną, zważywszy na złą sławę, jaką cieszył się tam, gdzie w grę wchodziły kobiety.

O'Malley dolał mu jeszcze wina do kieliszka, a Jason wypił je, starając się podjąć decyzję, jaki sposób będzie najbardziej dogodny, by uwolnić się od odpowiedzialności za tę dziewczynę. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że powinien dać jej jeden sezon w Londynie, na czym Charlesowi tak bardzo zależało.

Uroda Victorii okazała się tak olśniewająca, że nie będzie żadnych trudności z wprowadzeniem dziewczyny w towarzystwo. A jeżeli dojdzie zachęta w postaci niewielkiego posagu, który on sam jej zapewni, równie łatwo uda się ją wydać za jakiegoś odpowiedniego londyńskiego fircyka. Z drugiej strony, jeżeli dziewczyna naprawdę wierzy, że ten Andrew po nią przyjedzie, może się upierać, by czekać na niego miesiącami, a nawet latami, zanim zgodzi się na kogoś innego, a taka perspektywa absolutnie Jasonowi nie odpowiadała.

Stosownie do tego na wpół ukształtowanego planu zaczekał, aż nastąpi chwilowa przerwa w rozmowie i zwrócił się do Victorii zwodniczo łagodnym tonem:

- Charles powiada, że praktycznie jest pani zaręczona z... Ansonem? Albertem?
- Z Andrew - odpowiedziała, gwałtownie odwracając głowę.
- Jaki on jest? - podsuwał Jason.

Victoria zastanowiła się, a po jej twarzy przemknął pełen sympatii uśmiech.

- Łagodny, przystojny, inteligentny, życzliwy, pełen względów...
- Sądzę, że z grubsza już rozumiem - przerwał jej sucho Jason. - Proszę przyjąć moją

radę i zapomnieć o nim.

Victoria opanowała chęć, by czymś w niego rzucić, i zapytała:

- Dlaczego?

- To nie jest mężczyzna dla pani. Wystarczyły cztery dni, by przewróciła pani moje domostwo do góry nogami. Jakież rozrywki mógłby dostarczyć pani stateczny wiejski gamoń, który będzie chciał prowadzić spokojne, uporządkowane życie? Mądrze pani zrobi, zapominając o nim szybko i jak najlepiej wykorzystując możliwości, które się tu przed panią otwierają.

- Po pierwsze... - wybuchnęła Victoria, ale Jason z rozmysłem zasiał w jej sercu ziarno wątpliwości.

- Oczywiście, należy się liczyć z tym, że nawet jeżeli pani o Albercie nie zapomni, to Albert zapomni o pani. Czy nie ma takiego powiedzonka, że „co z oczu, to i z myśli”?

Opanowując nadludzkim wysiłkiem wybuch gniewu, zacisnęła zęby i nic nie odpowiedziała.

- Cóż to, ani słowa sprzeciwu? - droczył się Jason, podziwiając równocześnie jej oczy, które ze złości zrobiły się granatowe jak niebo o północy.

Victoria uniosła głowę do góry.

- W moim kraju, proszę pana, panuje przekonanie, iż klótnie przy stole świadczą o złym wychowaniu.

Jej zawołowana reprimenda napełniła go rozbawieniem.

- Musi to być dla wszystkich bardzo niewygodne - zauważył półgłosem.

Charles odchylił się na krześle do tyłu, a jego wargi wygięły się w czułym uśmiechu, kiedy patrzył na walkę słowną syna i tej młodej piękności, która tak bardzo przypominała swoją matkę. Doszedł do wniosku, że idealnie do siebie pasują. Victoria nie boi się Jasona. Jej pasja i serdeczność złagodzą jego charakter, a kiedy już złagodnieje, stanie się takim mężem, o jakim marzą dziewczęta. Uszczęśliwią siebie nawzajem, a ona da Jasonowi syna.

Przepelniony zadowoleniem i radością Charles wyobrażał już sobie tego wnuka. Po latach pustki i rozpaczki będą naprawdę mieli, on i Katherine, wspólnego wnuka. Prawda, że Jasonowi i Victorii nie najlepiej się chwilowo układa, ale tego należało się spodziewać. Jason jest twardym, doświadczonym, zgorzkniałym mężczyzną i ma ku temu powody. Ale Victoria odziedziczyła po Katherine odwagę, łagodność i temperament. A Katherine zmieniła przecież także jego własne życie. Nauczyła go, co znaczy miłość. I strata. Myśli księcia odpłynęły w przeszłość; przypominał sobie chwile, które doprowadziły do tego ważnego wieczoru...

Zanim Charles skończył dwadzieścia dwa lata, zyskał już sobie zasłużoną reputację

rozpustnika, hazardzisty i hulaki. Nie uznawał żadnej odpowiedzialności, żadnych ograniczeń, i nie miał żadnych nadziei na przyszłość, jako że jego starszy brat już odziedziczył tytuł księcia i wszystko, co z tym było związane - to znaczy wszystko poza pieniędzmi. Pieniądzy zawsze brakowało, ponieważ przez czterysta lat wszyscy mężczyźni z rodu Fieldingów wykazywali silną skłonność do wszelkiego typu i rodzaju kosztownych występów. Prawdę mówiąc, Charles nie był gorszy od swego ojca czy przedtem ojca jego ojca. Jedynym Fieldingiem, który objawił pragnienie walki z diabelskimi pokusami, był młodszy brat Charlesa, ale i on zrobił to z typową dla całego rodu przesadą. Postanowił zostać misjonarzem i wyjechał do Indii.

Mniej więcej w tym samym czasie francuska kochanka Charlesa oświadczyła mu, że jest w ciąży. Kiedy Charles zaproponował jej pieniądze, a nie małżeństwo, zaczęła płakać i awanturować się, lecz bezskutecznie. W końcu opuściła go, wściekła. W tydzień po narodzeniu się Jasona pojawiła się znowu u Charlesa, bez ceremonii wcisnęła mu dziecko w ramiona i zniknęła. Nie miał najmniejszej ochoty brać sobie na kark niemowlęcia, ale nie potrafił przemóc się i po prostu porzucić chłopca w sierocińcu. W przypiływie czystego natchnienia wpadł na pomysł, by oddać Jasona swojemu młodszemu bratu i jego brzydkiej żonie, którzy właśnie wybierali się do Indii, by „nawracać pogan”.

Bez chwili wahania przekazał dziecko tym bogobojnym, bezdzielnym, religijnym fanatykom - a do tego dołożył niemal wszystkie pieniądze, jakimi dysponował, żeby mieli za co opiekować się Jasonem - i umył ręce od całej sprawy.

Aż do tamtej chwili udawało mu się niezgorzej żyć z wygranych przy zielonym stoliku, lecz kapryśne szczęście, które zawsze dopisywało, w końcu go opuściło. Zanim skończył trzydzieści dwa lata, musiał spojrzeć w oczy faktom: same zyski z hazardu nie pozwolą mu utrzymać umiarkowanie wysokiego standardu życia, stosownego dla człowieka jego pochodzenia. Ten problem był czymś powszechnie znanym wśród pozbawionych środków do życia młodszych synów wielkich arystokratycznych rodzin i Charles rozwiązał go w uświęcony zwyczajem sposób: postanowił wymienić znakomite rodowe nazwisko na ogromny posąg. Z beztroską obojętnością oświadczył się córce bogatego kupca, młodej damie z wielkim majątkiem, niewielką urodą i mikroskopijną inteligencją.

Wybranka i jej ojciec ochoczo zaakceptowali jego starania, a starszy brat Charlesa, książę, zgodził się nawet wydać przyjęcie, by uczcić zbliżającą się zaślubiny.

I to przy tej pomyślnej okazji spotkał Charles ponownie swą daleką kuzynkę, Katherine Langston, osiemnastoletnią wnuczkę księżnej Claremont. Kiedy ją widział poprzednim razem, składał właśnie jedną z nieczęstych wizyt u brata w Wakefield, a

Katherine była dziesięcioletnim dzieckiem i spędzała wakacje w sąsiedniej posiadłości. Przez całe dwa tygodnie chodziła za nim niemalże krok w krok wszędzie, gdzie tylko się udał, i patrzyła nań z nieskrywanym uwielbieniem w wielkich niebieskich oczach. Charles uważał ją za niezwykle ładną smarkulę o uroczym uśmiechu i pełnym temperamentu charakterze - silniejszym niż miewały damy dwukrotnie od niej starsze; siedząc po męsku na klaczy, skakała razem z nim przez płoty i tak go zauroczyła, że puszczał z nią latawce.

A teraz wyrosła na młodą kobietę o zapierającej dech w piersiach urodzie i Charles oczu nie mógł od niej oderwać.

Pozornie znużony i obojętny, przyglądał się badawczo jej oszałamiającej figurze, nieskazitelnym rysom i cudownym, rudozłotym włosom, a ona stała w zatłoczonym salonie nieco na uboczu, robiąc wrażenie istoty pogodnej i eterycznej. Potem podszedł do niej z kieliszkiem madery w dłoni i niedbale oparł drugą rękę na gzymsie kominka, zuchwale i otwarcie podziwiając jej urodę. Spodziewał się, że chociaż symbolicznie zaprotestuje na taki tupet, ale Katherine nie wyraziła żadnych obiekcji. Nie zarumieniła się pod jego otwarcie szacującym spojrzeniem ani nie odwróciła od niego. Po prostu przechyliła głowę na bok, jakby czekała, aż skończy.

- Witaj, Katherine - powiedział w końcu.

- Witaj, Charlesie - odpowiedziała, a jej delikatny głos był spokojny i niczym niezmałcony.

- Czy i ty moja droga znajdujesz to przyjęcie tak nie do zniesienia nudnym, jak ja? - zapytał zaskoczony jej opanowaniem.

Zamiast wydukać jakiś banał, że przyjęcie jest rozkoszne, Katherine uniosła na niego drażniąco szczere, błękitne oczy i spokojnie odparła:

- To odpowiedni wstęp do małżeństwa, które ma zostać zawarte na podstawie zimnej kalkulacji finansowej i żadnej innej.

Tak bezpardonowa szczerość zdumiała go, daleko mniej jednak niż dziwne, oskarżycielskie spojrzenie, od którego pociemniały jej błękitne oczy, a które rzuciła mu, zanim odwróciła się, by odejść. Charles bez zastanowienia wyciągnął ramię, żeby ją zatrzymać. Kiedy jego dłoń zetknęła się z nagą ręką Katherine, poczuł wstrząs i mrowienie w całym ciele, a ona również musiała to odczuć, bo zeszywniała od stóp do głów. Zamiast przyciągnąć dziewczynę do siebie, Charles poprowadził ją dalej, na zewnątrz, na balkon. Odwrócił się twarzą do niej w świetle księżyca, a ponieważ oskarżenie go zabolalo, głos miał twardy.

- Jest arogancją z twojej strony zakładać, że pieniądze to jedyny powód, dla którego

żenię się z Amelią. Ludzie miewają też inne powody, by się żenić.

I znowu te niepokojące niebieskie oczy wpatrywały się w niego.

- Nie tacy ludzie jak my - zaproponowała spokojnie. - My pobieramy się, by powiększyć majątek rodziny, uzyskać większą władzę lub wyższą pozycję w towarzystwie. W twoim przypadku, żenisz się, by powiększyć majątek.

Nie budziło niczyich wątpliwości, że Charles przehandlował swe arystokratyczne pochodzenie, by zdobyć pieniądze, a chociaż było to postępowanie powszechnie przyjęte, przez tę dziewczynę czuł się tak, jakby zdeprecjonował swe człowieczeństwo.

- A co z tobą? - szydził. - Czy ty nie wyjdiesz za mąż z jednego z owych powodów?

- Nie - odrzekła cicho. - Nie wyjdę. Ja wyjdę za mąż, kiedy kogoś pokocham, z wzajemnością. Nie pogodzę się z takim małżeństwem, jakie zawarli moi rodzice. Chcę czegoś więcej od życia i sama też mogę więcej dać.

Te cicho wypowiedziane słowa przepełnione były tak głębokim przekonaniem, że Charles tylko wpatrywał się w nią, aż wreszcie zauważył:

- Twoja babka nie będzie zadowolona, jeżeli wyjdiesz za mąż z miłości, a nie dla pozycji, moja droga. Chodzą plotki, że księżna pragnie skoligacić się z Winstonami i że to ty masz zapewnić sukces tej sprawie.

Katherine po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego; na widok owego powolnego, czarującego uśmiechu nogi się pod Charlesem ugięły.

- Od dawna już nie możemy dojść z babcią do porozumienia na ten temat, ale jestem zdecydowana w takim samym stopniu jak ona, by postawić na swoim.

Wyglądała tak ślicznie, taka była świeża i niezepsuta, że lodowata zbroja cynizmu, w którą od trzydziestu lat zakuty był Charles, zaczęła topnieć. Poczuł się nagle samotny i pusty. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, uniósł dłoń i z szacunkiem przesunął czubkami palców po policzku dziewczyny.

- Mam nadzieję, że ten, którego pokochasz, będzie tego godzien - powiedział czule.

Przez trwającą w nieskończoność chwilę Katherine przypatrywała się badawczo jego rysom, jakby chciała zajrzeć mu w głąb zmęczonej, rozczarowanej duszy.

- Myślę - wyszeptała cicho - że bardziej jest to kwestia, czy ja będę jego godna. Widzisz, jestem mu chyba bardzo potrzebna, chociaż on dopiero zaczyna zdawać sobie z tego sprawę.

Minęła chwila, a potem znaczenie tej wypowiedzi uderzyło Charlesa jak obuchem; usłyszał swój głos, kiedy wypowiadał jej imię z jękiem, z gorączkową tęsknotą człowieka, który właśnie znalazł to, czego nieświadomie przez całe życie szukał - kobietę, która będzie

go kochała dla niego samego, dla człowieka, którym mógłby być, dla człowieka, którym zapragnął się stać. A Katherine nie miała żadnego innego powodu, by go chcieć czy kochać; pochodziła z rodziny równie arystokratycznej jak on sam, koneksje miała dużo lepsze, a majątkiem przewyższała go niepomniernie.

Charles patrzył na nią, starając się odrzucić opanowujące go uczucia. To czysty obłąd, powiedział sobie. Przecież prawie jej nie znał. Nie był naiwnym młodzikiem, który sądzi, że mężczyźni i kobiety zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia. W ogóle aż do tej chwili nie wierzył w miłość. Teraz jednak w nią uwierzył, bo chciał, by ta śliczna, inteligentna, pełna ideałów dziewczyna kochała jego i tylko jego. Raz w życiu zdarzyło mu się znaleźć coś rzadkiego, wspaniałego i niezepsutego, i zdecydowany był to zachować - ożenić się z tą dziewczyną i troszczyć o nią, chroniąc ją przed cynizmem, który zdawał się przenikać wszystkich ludzi z jego klasy społecznej.

Perspektywa ewentualnego zerwania zaręczyn z Amelią nie budziła w nim żadnych skrupułów, ponieważ nie miał najmniejszych złudzeń co do przyczyny, dla której zgodziła się go poślubić. Pociągał ją, to wiedział, ale wychodziła za niego dlatego, że jej ojciec chciał skoligacić się z rodem książęcym.

Przez dwa pełne szczęścia, wspaniałe tygodnie Charlesowi i Katherine udało się zachować w sekrecie swoją miłość; dwa tygodnie kradzionych chwil we dwoje, spokojnych spacerów po okolicy, wspólnego śmiechu i marzeń o przyszłości.

Pod koniec tego okresu Charles nie mógł już dłużej odkładać nieuniknionego spotkania z księżną wdową Claremont. Chciał ożenić się z Katherine.

Przygotował się na sprzeciw jej babki, bo chociaż jego rodzina była stara i szlchetna, on sam był tylko młodszym synem bez tytułu. Ale takie małżeństwa zawierano dość często i spodziewał się, że czcigodna dama wysunie zastrzeżenia *pro forma*, a potem skapituluje, jako że Katherine pragnęła tego związku równie gorąco jak on. Nie spodziewał się natomiast, że księżna zacznie niemal szaleć z wściekłości, nazywać go „rozwiązłym oportunistą” i „skorumpowanym, lubieżnym degeneratem”. Nie spodziewał się, że będzie lżyć jego przodków i wypominać mu rozpustny tryb życia, utrzymując, że przodkowie Charlesa byli „bez wyjątku nieodpowiedzialnymi szaleńcami”.

A już absolutnie nie spodziewał się, by miała przysiąc, że jeżeli Katherine wyjdzie za niego, to wydziedziczy wnuczkę i pozbawi ją wszystkiego. Tak się po prostu nie postępuje. Ale kiedy wychodził tamtego dnia z domu księżnej, wiedział, że ta kobieta postąpi dokładnie tak, jak groziła. Wrócił do swego mieszkania i przez całą noc targwały nim na przemian furia i rozpacz. Zanim wstał dzień, Charles uświadomił sobie, że nie może - nie chce - ożenić się z

kuzynką, bo chociaż gotów był próbować zarabiać na uczciwe życie własnymi rękami, jeśli znajdzie taka potrzeba, nie zniósłby widoku swojej dumnej, ślicznej Katherine, doprowadzonej z jego winy do nędzy. Nie przyczyni się do tego, by wykluczono ją z rodziny i by publicznie unikali jej ludzie z towarzystwa.

A nawet gdyby sądził, że mógłby jej wynagrodzić niełaszkę, którą musiałaby znosić, nigdy nie pozwoliliby, by zmieniła się w pospolitą, zaharowaną kobietę. Była młoda, była idealistką, była w nim zakochana, ale była również przyzwyczajona do pięknych sukien i służby na każde skinienie. Jeżeli musiałby pracować na ich utrzymanie, w żaden sposób nie zdołałby jej tego wszystkiego zapewnić. Katherine nigdy w życiu nie zmywała, nie szorowała podłogi, nie prasowała koszul, a on nie mógł dopuścić, by została zmuszona do takich prac tylko dlatego, że okazała się na tyle niemądra, by go pokochać.

Kiedy w końcu udało mu się następnego dnia zaaranżować krótkie, ukradkowe spotkanie, powiedział jej, jaką podjął decyzję. Katherine tłumaczyła, że luksusy życia nic dla niej nie znaczą; błagała go, by uciekli razem do Ameryki, gdzie - jak powiadano - każdy mógł zarobić na przyzwoite życie, jeżeli tylko gotów był pracować.

Nie mogąc już znieść jej łez i własnej udręki, powiedział szorstko, że te pomysły są niemądre, że nigdy nie zniosłaby życia w Ameryce. Wtedy spojrzała na niego tak, jakby to on bał się pracą zarabiać na życie, a potem załamującym się głosem oskarżyła go, że pragnął tylko jej posagu, a nie jej samej - dokładnie tak, jak to twierdziła księżna babka.

Charles, który wielkodusznie poświęcił dla Katherine własne szczęście, odczuł to oskarżenie niczym cios nożem.

- Wierz w to, jeżeli chcesz - warknął, z zaciśniętymi zębami odwracając się od niej, by się nie ugiąć i nie uciec z nią jeszcze tego samego dnia. Ruszył do drzwi, ale nie potrafił znieść myśli, że ukochana mogłaby sądzić, iż pragnął tylko jej pieniędzy.

- Katherine - powiedział przystając, nie odwrócił się jednak. - Błagam cię, byś tak o mnie nie myślała.

- Nie myślę - szepnęła łamiącym się głosem.

Nie myślała również, że Charles przetnie ich beznadziejną, pełną udręki szarpaninę, zeniąc się po tygodniu z Amelią. A dokładnie tak właśnie uczynił. Był to jego pierwszy w pełni altruistyczny postępek w życiu.

Katherine zjawiała się na ślubie Charlesa i Amelii razem z babką i do końca życia miał pamiętać, jakim wzrokiem patrzyła na niego, kiedy ją zdradził i przysiągł innej kobiecie, że jej nie opuści aż do śmierci.

W dwa miesiące później wyszła za mąż za irlandzkiego lekarza i wyjechała z nim do

Ameryki. Zrobiła to, jak Charles wiedział, ponieważ była wściekła na księżną i ponieważ dalszy pobyt w Anglii, w pobliżu Charlesa i jego nowej żony, stał się dla niej nie do zniesienia. I jeszcze dlatego, by dowieść mu, w jedyny sposób, w jaki potrafiła, że jej miłość do niego przetrwałaby wszystko - łącznie z życiem w Ameryce.

Nie minął rok, a starszy brat zginął w głupim, pijackim pojedynku i Charles odziedziczył tytuł księcia. Razem z tytułem nie odziedziczył wielkich pieniędzy, wystarczyłoby jednak tego, by zapewnić Katherine pewien luksus. Lecz Katherine już nie było a on nie uwierzył, by jej miłość okazała się na tyle silna, żeby przetrwać drobne niedogodności. Charles nie dbał o pieniądze, które odziedziczył; teraz już o nic nie dbał.

Nie minęło wiele czasu, a młodszy brat, misjonarz, umarł w Indiach. W szesnaście lat później umarła żona Charlesa.

Wieczorem po pogrzebie Amelii upił się w trupa, co mu się często wtedy zdarzało, ale w ten szczególny wieczór, kiedy siedział w ponurej samotności w domu, przyszła mu do głowy nowa myśl: przyjdzie dzień, że on również umrze. A kiedy to nastąpi, posiadłości Fieldingów na zawsze wymkną się z ich rąk. Ponieważ Charles nie miał dziedzica.

Przez szesnaście lat żył w dziwnym zawieszaniu i pustce, lecz tego rozstrzygającego wieczoru, kiedy rozważał swoje pozbawione sensu życie, coś w nim zaczęło narastać. W pierwszej chwili był to tylko niejasny niepokój, który następnie zmienił się w odrazę; odraza przerodziła się w złość, a potem powoli, bardzo powoli przeistoczyła w furję. Stracił Katherine; stracił szesnaście lat życia. Wytrzymał ze swą ckliwą, nudną żoną, wytrzymał małżeństwo bez miłości, a teraz miał umrzeć bez spadkobiercy. Po raz pierwszy od czterystu lat istniało zagrożenie, że rodzina Fieldingów na zawsze utraci tytuł książęcy i Charles nagle postanowił nie zmarnować go tak, jak zmarnował resztę swego życia.

Prawda, że Fieldingowie nigdy nie byli szczególnie poważaną czy zacną rodziną, ale na Boga, ten tytuł przecież należał do nich i Charles zdecydowany był zatrzymać go w rodzinie.

W tym celu jednak potrzebował spadkobiercy, co oznaczało, że będzie się musiał znowu ożenić. Po wszystkich młodzieńczych eskapadach seksualnych, które miał za sobą, sama myśl, że ma się związać z jakąś kobietą i spłodzić z nią dziedzica, wydała mu się bardziej nużąca niż podniecająca. Pomyślał z ironią o tych wszystkich ładnych dziewczuszkach, z jakimi sypiał tak dawno temu - o pięknej francuskiej baletnicy, która była jego kochanką i która dała mu bastarda...

I nagle z radością zerwał się na nogi. Nie musi się powtórnie żenić, ponieważ ma już spadkobiercę! Ma Jasona. Charles nie był pewien, czy prawa dziedziczenia pozwalają, by

tytuł przeszedł na nieślubnego syna, ale nie robiło mu to żadnej różnicy, za czyjego syna będzie uważany Jason. Ten młody człowiek był Fieldingiem, o jego istnieniu wiedziało tylko kilku ludzi, a oni uważali, że jest absolutnie legalnym i ślubnym synem młodszego brata Charlesa. Poza tym stary król Charles obdarzył niegdyś tytułami książęcymi trzech swoich bastardów, a teraz on, Charles Fielding, książę Atherton, miał pójść w ślady swego monarchy.

Następnego dnia Charles wynajął detektywów, którzy mieli przeprowadzić śledztwo, minęły wszakże dwa długie lata, zanim jeden z nich w końcu przysłał mu raport ze szczegółową informacją. Po bratowej wszelki ślad zginął, ale Jasona odnaleziono w Delhi, gdzie najwyraźniej zgromadził majątek, zajmując się transportem morskim i handlem. Raport zaczynał się od podania obecnego miejsca pobytu młodego mężczyzny; kończył się natomiast wszystkimi informacjami, jakie detektywowi udało się odkryć na temat jego przeszłości.

Finansowe sukcesy Jasona rozbudziły w Charlesie pełne dumy, radosne uniesienie, które szybko jednak ustąpiło miejsca grozie, a potem wścieklej furii, kiedy czytał, jak jego koszmarna bratowa znęcała się nad niewinnym dzieckiem, które oddał pod jej opiekę. Kiedy skończył lekturę, zrobiło mu się niedobrze.

Jeszcze silniej utwierdził się w postanowieniu, że uczyni Jasona swym legalnym spadkobiercą i napisał list z prośbą, by syn powrócił do Anglii, żeby mógł go oficjalnie uznać za swego dziedzica.

Jason nie odpowiedział i Charles, z całą stanowczością, która od dawna tkwiła w jego charakterze, sam wyruszył do Delhi. Pełen wyrzutów sumienia i niezachwianej determinacji udał się do wspaniałego domu Jasona. Podczas ich pierwszego spotkania zobaczył na własne oczy to, o czym wcześniej czytał w raporcie detektywa: Jason ożenił się, miał syna i żył jak król. W całkiem niedwuznaczny sposób dał również do zrozumienia, że nie życzy sobie mieć nic wspólnego ani z księciem, ani ze spadkiem, który ten próbował mu ofiarować. Mijały miesiące, a Charles uparcie tkwił w Indiach i powoli zdołał przekonać swego zimnego, powściągliwego syna, że nigdy nie przyłożył ręki do nieopisanych męczarni, które Jason przecierpiał jako dziecko ani nie miał o nich pojęcia. Nie udawało mu się natomiast namówić go, by wrócił do Anglii w roli dziedzica tytułu.

Piękna żona Jasona, Melissa, oczarowana była pomysłem wyjazdu do Londynu jako markiza Wakefield, lecz ani jej awantury, ani błagania księcia nie miały najmniejszego wpływu na Jasona. Nie obchodziły go żadne tytuły i ani odrobinę nie czuł się poruszony tym, że rodowi Fieldingów grozi utrata mitry.

Charles bliski był już rezygnacji, ale przyszedł mu do głowy doskonały argument. Pewnego wieczoru, kiedy przyglądał się, jak Jason bawi się ze swoim synkiem, zaświtało mu,

że istnieje jedna osoba, dla której zrobiłby on wszystko: Jamie. Jason był po prostu rozkochany w chłopcu. Tak więc Charles natychmiast zmienił linię ataku. Zamiast próbować przekonać młodego mężczyznę, jakie korzyści odniesie sam, wracając do Anglii, zwrócił mu uwagę, że jeżeli nie pozwoli, by Charles uczynił go swoim spadkobiercą, pozbawi swego syna tego, co mu się z urodzenia należy. Przecież tytuł książęcy i wszystko, co się z nim łączy, przypadnie w końcu Jamiemu.

Udało się.

Jason znalazł bystrego pracownika, który miał zająć się jego interesami w Delhi, i przeniósł się z rodziną do Anglii. Z mocnym postanowieniem, że stworzy istne „królestwo” dla swego synka, z własnej woli wydawał olbrzymie sumy, by doprowadzić podupadłe majątki księcia Athertona do świetności, jaka nigdy wcześniej nie była ich udziałem.

W czasie kiedy Jason pracowicie nadzorował restaurację dóbr, Melissa pośpiesznie udała się do Londynu, by jako nowa markiza Wakefield zająć należne jej miejsce w wielkim świecie. Nie minął rok, a plotki o jej romansach rozniosły się niczym pożar po całym Londynie. W kilka miesięcy później zaś i ona, i dziecko już nie żyli...

Charles otrząsnął się ze smutnego zamyślenia i podniósł oczy, kiedy ze stołu zaczęto sprzątać nakrycia.

- Może dziś wieczorem zmienimy porządek? - zaproponował Victorii. - My dwaj nie zostaniemy przy stole, tylko, jeżeli ci to nie przeszkadza, będziemy raczyli się portwajnem i cygarami przy tobie w salonie. Nie mam najmniejszej ochoty rezygnować z twojego towarzystwa.

Victoria nie zdawała sobie sprawy z istnienia takiego obyczaju, ale nie miała żadnych oporów, by go złamać i nie kryła tego. W drzwiach do różowo - złotego salonu Charles zatrzymał ją i powiedział przyciszonym głosem:

- Zauważyłem, że przed czasem zrezygnowałaś z żałoby, moja droga. Jeżeli to twoja własna decyzja, w pełni ją pochwalam: twoja matka nie zносиła czerni. Powiedziała mi, że kiedy była małą dziewczynką, zmuszano ją, by nosiła żałobę po rodzicach. - Popatrzył jej w oczy przenikliwym spojrzeniem. - Czy to była twoja decyzja, Victorio?

- Nie - przyznała Victoria. - Pan Fielding kazał dziś zabrać moje rzeczy i zastąpił je innymi.

Charles ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Jason ma awersję do symboli żałoby, a sądząc po zabójczych spojrzeniach, jakie miotłaś na niego przy kolacji, nie jesteś zadowolona z tego, co zrobił. Powinnaś mu to powiedzieć - uznał. - Nie pozwalaj mu się zastraszyć, dziecko; on nie cierpi tchórzy.

- Ale ja nie chcę martwić wujka - odpowiedziała Victoria strapiona. - Słyszałam, że wuj ma niezbyt zdrowe serce.

- Nie martw się o mnie - odrzekł książę ze śmiechem. - Moje serce potrafi sprawiać kłopoty, ale nie aż takie, żeby miało mu zaszkodzić niewielkie podniecenie. Coś takiego pewnie nawet świetnie by mi zrobiło. Przed twoim przyjazdem życie wydawało się mi niewiarygodnie nudne.

Jason usiadł i zaczął rozkoszować się portwajnem i cygarami, a Victoria kilkakrotnie próbowała postąpić zgodnie z radą Charlesa, to znaczy poruszyć sprawę ubrań. Jednak za każdym razem, kiedy spozrzała na swego przeciwnika, opuszczała ją odwaga. Włożył dziś do obiadu pięknie uszyte, ciemnobrązowe spodnie i surdut od kompletu, ciemnoniebieską kamizelkę i perłowoszarą jedwabną koszulę. Pomimo tego eleganckiego stroju i niedbałości, z jaką wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzyżował je w kostkach, zdawał się promieniować bezlitosną siłą, z trudem utrzymywaną w ryzach. Było w nim coś prymitywnego i niebezpiecznego, i Victorię ogarnęło niepokojące uczucie, że to szykowne ubranie i obojętna poza są tylko maską, która ma uspić czujność nieostrożnej istoty i przekonać ją, że Jason Fielding to człowiek cywilizowany, podczas gdy naprawdę taki nie był.

Poruszył się lekko i Victoria znowu na niego zerknęła. Ciemną głowę trzymał odchyloną do tyłu, cienkie cygaro zacisnął między zębami, dłonie spoczywały na poręczach głębokiego fotela, opalone rysy pograżyły się w cieniu. Dreszcz jej przeszedł po plecach, kiedy zastanawiała się, jakie mroczne tajemnice kryje jego przeszłość. Z pewnością musi ich być wiele, skoro stał się taki cyniczny i niedostępny. Wyglądał jak człowiek, który popełnił przeróżnego rodzaju straszne i zakazane czyny, a one z kolei spowodowały, że stał się twardy i zimny. A przecież był przystojny - niegodziwie i niebezpiecznie przystojny: te włosy, czarne jak sierść pantery, zielone oczy i wspaniała sylwetka. Victoria musiała przyznać, że gdyby tak się go nie bała, to miałaby ochotę na rozmowę. Jakże kusząca była próba zaprzyjaźnienia się z tym mężczyzną - kusząca jak grzech, przyznała w duchu, i równie niemądra, jak próba nawiązania przyjaźni z diabłem. I pewnie równie niebezpieczna.

Ostrożnie zaczerpnęła powietrza i przygotowywała się właśnie, by uprzejmie, choć stanowczo, zażądać zwrotu żałobnych strojów, kiedy pojawił się Northrup i oznajmił, że przyjechała pani Kirby z panną Kirby.

Zobaczyła, że Jason zeszytniał i rzucił sardoniczne spojrzenie na Charlesa, a ten zareagował zakłopotanym wzruszeniem ramion i odwrócił się do kamerdynera.

- Odpraw je... - zaczął, ale już było za późno.

- Nie ma potrzeby, byś nas anonsował, Northrup - odezwał się jakiś stanowczy głos i

do salonu wkroczyła tęga kobieta, a za nią pojawiły się kolejno: fioletowobrazowy tren sukni, duszący zapach perfum i śliczna brunetka, mniej więcej w wieku Victorii. - Charles! - powiedziała lady Kirby, patrząc promiennie na księcia. - Doszły mnie słuchy, że byłeś dzisiaj w wiosce z młodą damą o nazwisku Seaton i naturalnie musiałam ją zobaczyć na własne oczy. - Niemal bez chwili przerwy na zaczerpnięcie powietrza odwróciła się do Victorii i oznajmiła radosnym tonem: - Pani musi być panną Seaton. - Przerwała i przymrużonymi oczami przyjrzała się badawczo każdemu rysowi twarzy dziewczyny, przez co ta ostatnia odniosła wrażenie, że lady Kirby szuka jakiejś skazy. I jedną znalazła. - Cóż to za intrygujący dołek masz w brodzie, moja droga. Jakże to się stało? Czy to jakiś wypadek?

- Przy narodzinach - odrzekła z uśmiechem Victoria, zbyt zafascynowana tą dziwną damą, by się obrazić. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy aby Anglia nie jest pełna intrygujących, źle wychowanych weredyków, których ekscentryczne zachowanie albo zyskuje aprobatę, albo jest pomijane milczeniem z powodu ich tytułów i bogactwa.

- Jakże to smutne - powiedziała lady Kirby. - Czy to pani przeszkadza... a może boli? Wargi Victorii drgnęły z rozbawienia.

- Tylko wtedy, kiedy wpatruję się w lustro, szanowna pani - odparła.

Lady Kirby odwróciła się od niej z niezadowoloną miną i znalazła się twarzą w twarz z Jasonem, który podniósł się i stał przy kominku z łokciem opartym o gzyms.

- A więc, Wakefield - odezwała się do niego - sądząc po sytuacji, jaką tu zastałam, zawiadomienie w gazecie musiało chyba być prawdziwe. Powiem panu szczerze, że nigdy w to nie wierzyłam. A więc, jak to jest?

Jason uniósł w górę brew.

- Jak co jest?

W tym momencie wtrącił się grzmiącym głosem Charles, zagłuszając słowa lady Kirby.

- Northrup, przynieś damom coś do picia!

Wszyscy usiedli, panna Kirby zajęła krzesło obok gospodarza, a książkę pośpiesznie, z ożywieniem, zaczął mówić o pogodzie. Lady Kirby słuchała niecierpliwie, dopóki monolog się nie zakończy, a potem odwróciła się do Jasona i zapytała zjadliwie:

- Wakefield, czy pana zaręczyny są aktualne, czy nie?

Ten uniósł kieliszek do ust, spojrzenie miał zimne.

- Nie.

Victoria zauważyła na otaczających ją twarzach różne reakcje na to jedno słowo. Lady Kirby wyglądała na zadowoloną, jej córka była zachwycona, Charles miał nieszczęśliwą

minę, a Jason nieodgadnioną. Pełne współczucia serce Victorii natychmiast przechyliło się na jego stronę. Nic dziwnego, że był taki ponury i nieczuły; kobieta, którą kochał, zapewne zerwała zaręczyny. Uderzyło ją jednak, że nie wiadomo dlaczego w tym momencie panie Kirby odwróciły się do niej, jakby się spodziewały, że będzie miała coś do powiedzenia.

Uśmiechnęła się obojętnie, a lady Kirby podjęła rękawicę.

- No cóż, drogi Charlesie, w takim razie, jak rozumiem, będziesz chciał biedną pannę Seaton wprowadzić w świat podczas sezonu?

- Moim zamierzeniem jest dopilnować, by hrabianka Langston zajęła należne jej miejsce w towarzystwie - poprawił ją chłodno książę.

- Hrabianka Langston!... - niemal wykrzyknęła lady Kirby.

Książę skłonił głowę.

- Victoria jest najstarszym dzieckiem Katherine Langston. Jeżeli nie mylę się w zasadach dziedziczenia, jest teraz dziedziczką szkockiego tytułu swojej matki.

- Tak czy owak - oświadczyła sztywno lady Kirby - nie będzie łatwo znaleźć dla niej odpowiednią partię. - Zwróciła się do Victorii, wręcz ociekając fałszywym współczuciem. - Pani matka wywołała skandal, kiedy uciekła z tym irlandzkim robotnikiem.

Na te słowa o matce Victoria poczuła gwałtowne oburzenie.

- Moja matka wyszła za mąż za irlandzkiego lekarza - poprawiła.

- Bez pozwolenia swojej babki - odparowała lady Kirby. - Szlachetnie urodzone dziewczęta w tym kraju nie wychodzą za mąż wbrew woli rodziny.

Oczywista implikacja, że Katherine nie mogła być szlachetnie urodzona, tak rozgniewała Victorię, że aż wbiła sobie paznokcie w dłonie.

- No cóż, koniec końców towarzystwo zapomina o takich sprawach - ciągnęła dalej wielkodusznie lady Kirby. - Ale będzie się pani musiała wiele nauczyć, jeżeli ma pani zostać przedstawiona arystokratom. Będzie się pani musiała nauczyć, jak we właściwy sposób zwracać się do każdego z nich, do ich żon i dzieci, no i oczywiście istnieje jeszcze kanon związany ze składaniem wizyt oraz bardziej skomplikowane problemy, jak usadzanie gości przy stole. Opanowanie tych spraw może zająć pani całe miesiące: mam na myśli, kogo można obok kogo posadzić przy stole. Mieszkańcy kolonii są wielkimi ignorantami w takich sprawach, ale my, Anglicy, kładziemy ogromny nacisk na sprawy reguł i zasad postępowania.

- Może to wyjaśnia, czemu zawsze pokonujemy was w walce - zauważyła dziewczyna ze słodyczą, sprowokowana do obrony rodziny i kraju.

Lady Kirby zmrużyła oczy.

- Nie chciałam pani obrazić. Jednak będzie pani musiała poskromić swój język, jeżeli

ma pani nadzieję znaleźć odpowiednią partię oraz zmasać własnym postępowaniem odium reputacji matki.

Victoria wstała i odpowiedziała ze spokojną godnością:

- Z wielkim trudem przyjdzie mi dorównać reputacji matki. Moja matka była najbardziej łagodną i życzliwą kobietą na świecie. A teraz przeproszę państwa, mam kilka listów do napisania.

Zamknęła drzwi za sobą i poszła do biblioteki, wielkiego pokoju, zastranego rozrzuconymi po wyfroterowanych podłogach perskimi dywanami, z regałami pełnymi książek pod długimi ścianami. Była za bardzo wściekła i wyprowadzona z równowagi, żeby usiąść przy którymś z biurk i napisać list do Dorothy czy Andrew, więc podeszła do półek z książkami, szukając czegoś, co ukołoby jej duszę. Minęła tomy o historii, mitologii i handlu, i trafiła na dział poezji. Wzrok jej wędrował z roztargnieniem po nazwiskach autorów, z których część już znała - Milton, Shelley, Keats, Byron. W rzeczywistości wcale nie była zainteresowana czytaniem, na chybił trafił wybrała cienki tomik tylko dlatego, że wystawał trochę przed pozostałymi, i zaniósła go do wielkiego fotela.

Podkreśliła lampę naftową, usadowiła się wygodnie i zmusiła do otworzenia książki. Ze środka wyslizgnęła się różowa uperfumowana kartka papieru i spłynęła na podłogę. Victoria automatycznie podniosła ją i już miała wetknąć z powrotem, kiedy rzuciły jej się w oczy pierwsze słowa namiętnego liściku, napisanego po francusku:

Ukochany Jasonie.

Tak za Tobą tęsknię. Czekam niecierpliwie, licząc godziny, aż przyjdiesz do mnie...

Powiedziała sobie stanowczo, że czytanie cudzych listów świadczy o złym wychowaniu, jest niewybaczalne i kompletnie poniżej jej godności, ale sam pomysł, że jakaś kobieta mogła z niecierpliwością czekać na Jasona, wydał jej się tak niewiarygodny, iż nie potrafiła okiełznać ciekawości. Ona sama bardziej byłaby skłonna z niecierpliwością czekać, żeby sobie poszedł! Tak pochłonęło ją to odkrycie, że czytając, nie usłyszała dochodzącego z holu odgłosu kroków Jasona i panny Kirby:

Przesyłam Ci te śliczne wiersze w nadziei, że je przeczytasz i pomyślisz o mnie, o tych czułych, wspólnych nocach, kiedy obejmując się wzajemnie ramionami...

- Victorio! - zawołał z irytacją lord Fielding.

W poczuciu winy zerwała się nerwowo, upuściła książkę z wierszami, podniosła ją spieszenie i znowu usiadła. Usiłowała przybrać taką minę, jakby była pochłonięta bez reszty czytaniem; otworzyła książkę i patrzyła w nią niewidzącymi oczami, absolutnie nie zdając sobie sprawy, że trzyma tomik do góry nogami.

- Dlaczego pani nie odpowiada na wołanie? - zapytał Jason, wchodząc do biblioteki z panną Kirby czepiającą się jego ramienia. - Johanna chciała się z panią pożegnać i udzielić kilku wskazówek, gdyby chciała pani coś kupić w wiosce.

Po nieuzasadnionym ataku ze strony lady Kirby, Victoria nie mogła nie zastanawiać się, czy aby córka tej damy nie chce przez to powiedzieć, że trudno uwierzyć, by Victoria mogła sama zdecydować, co kupić.

- Przepraszam, nie słyszałam, że pan mnie wołał - powiedziała, starając się tak opanować wyraz twarzy, by nie wyglądać ani na rozgniewaną, ani na skruszoną. - Jak państwo widzicie, czytałam i lektura całkowicie mnie pochłonięła. - Zamknęła książkę i położyła ją na stole, a potem zmusiła się, by spokojnie spojrzeć na stojącą przed nią parę. Dostrzegła pełną odrazy i oburzenia minę mężczyzny, i cofnęła się o krok, przestraszona. - Czy... czy stało się coś złego? - zapytała; ogarnęła ją niespokojna pewność, że Jason musiał sobie właśnie przypomnieć, iż to w tej książce znajdował się liścik i że podejrzewa, iż ona go przeczytała.

- Tak - wycedził i zwrócił się do panny Kirby, która wpatrywała się w Victorię z podobnym jak u niego wyrazem twarzy. - Johanno, czy może pani polecić jakiegoś nauczyciela z wioski, który nauczyłby ją czytać?

- Nauczył mnie czytać? - niemal krzyknęła Victoria i aż się wzdrygnęła, widząc pogardliwą litość na pięknej twarzy brunetki. - Niech pan nie będzie niemądry, nie jest mi potrzebny nauczyciel... Doskonale umiem czytać.

Nie zwracając na nią uwagi, Jason popatrzył na pannę Kirby.

- Czy mogłaby pani podać mi nazwisko nauczyciela, który przychodziłby do pałacu i uczył ją na miejscu?

- Tak, wydaje mi się, że tak. Mógłby to zrobić pastor, pan Watkins.

Z miną osoby, która dużo już musiała znieść, ale następnej obelgi nie ścierpi, Victoria oświadczyła bardzo stanowczo:

- Och, to naprawdę jakiś absurd. Nie jest mi potrzebny nauczyciel. Umiem czytać.

Ton Jasona był teraz lodowaty.

- Proszę mi nigdy więcej nie kłamać - ostrzegł. - Gardzę kłamcami, a zwłaszcza kłamliwymi kobietami. Nie potrafi pani jednego słowa przeczytać i cholernie dobrze pani o tym wie!

- Nie mogę uwierzyć własnym uszom! - wykrzyknęła Victoria, nie zwracając uwagi na pełen grozy okrzyk panny Kirby. - Potrafię czytać, zapewniam pana!

Ta skandaliczna próba oszustwa przekroczyła wszelkie granice wytrzymałości Jasona;

zrobił trzy wielkie kroki, podszedł do stolika, chwycił książkę i wepchnął jej do rąk.

- A więc niech pani to przeczyta!

Rozgniewana i upokorzona, że potraktował ją w ten sposób, i to przy panie Kirby, która nie próbowała nawet ukrywać, jak bawi ją trudna sytuacja Victorii, gwałtownie odchyliła okładkę książki i zobaczyła naperfumowany list.

- No, proszę - szydził Jason. - Niech pani czyta, słuchamy.

Spojrzała na niego spod oka, z namysłem.

- Czy jest pan całkowicie pewien, że chce pan, bym to przeczytała na głos?

- Na głos - polecił lakonicznie Jason.

- I to przy panie Kirby? - zapytała niewinnie.

- Albo proszę przeczytać, albo przyznać, że pani nie potrafi - uciął.

- Bardzo dobrze - zgodziła się Victoria. Opanowała śmiech, który aż kipiał jej w gardle i zaczęła dramatycznym tonem:

Ukochany Jasonie.

Tak za Tobą tęsknię. Czekał niecierpliwie, licząc godziny, aż przyjdiesz do mnie... Przesyłam Ci te śliczne wiersze w nadziei, że je przeczytasz i pomyślisz o mnie, o tych czułych, wspólnych nocach, kiedy obejmując się wzajemnie ramio...

Jason wyrwał jej książkę z rąk. Unosząc w górę brwi, Victoria popatrzyła mu prosto w oczy i uprzejmie przypomniała:

- Ten liścik napisano po francusku tak więc, czytając, tłumaczyłam go na bieżąco. - Odwróciła się do panny Kirby i dodała z ożywieniem: - Oczywiście, list jest dłuższy. Ale nie uważam, żeby należało taką lekturę zostawiać na wierzchu, kiedy w pobliżu są młode, dobrze urodzone damy. A pani jak sądzi? - I zanim któreś z nich zdążyło odpowiedzieć, odwróciła się i z wysoko podniesioną głową wyszła z pokoju.

Lady Kirby czekała w holu, gotowa do wyjścia. Victoria chłodno się z obiema paniami pożegnała, a potem ruszyła na górę po schodach w nadziei, że umknie przed nieuniknionym gniewem Jasona, który - tego była pewna - rozpęta się nad jej głową, gdy tylko damy wyjdą. Jednak pożegnalna uwaga lady Kirby wywołała taką eksplozję w jej umyśle, że wszystko inne się zatarło.

- Niech się pani nie martwi zbytnio dezercją lorda Fieldinga, moja droga - oświadczyła owa dama, kiedy Northrup pomagał im założyć peleryny. - Niewiele osób tak do końca uwierzyło w te ogłoszone w gazecie zaręczyny. Wszyscy byli pewni, że kiedy pani wreszcie się tu pojawi, Jason znajdzie jakiś sposób, by się wycofać. Ten ladaco wszystkim dał już jasno do zrozumienia, że nie ma zamiaru z nikim się żenić...

Charles wypchnął lady Kirby za drzwi pod pozorem odprowadzenia jej do powozu, a Victoria zatrzymała się na schodach i odwróciła. Stała, dygocząc z gniewu niczym jakaś piękna, pełna oburzenia bogini, i wpatrywała się w Jasona.

- Czy mam rozumieć - wygłosiła ze znakomitą dykcją i ogromną wściekłością - że owe zaręczyny, które określił pan jako „nieaktualne”, były naszymi zaręczynami?

W odpowiedzi jedynie mocniej zacisnął szczęki, ale brak odpowiedzi tożsamy był z niemym potwierdzeniem i Victoria spiorunowała go wzrokiem, niepomna na obecność służących, którzy wpatrywali się w nią, sparaliżowani ze zgrozy.

- Jak pan śmie! - syczała. - Jak pan śmie podsuwać komukolwiek myśl, że mogłam rozważać pańską kandydaturę. Nie wyszłabym za pana, nawet gdyby był pan...

- Nie przypominam sobie, bym prosił panią, by za mnie wyszła - przerwał jej z sarkazmem Jason. - Jednak podnosi mnie na duchu świadomość, że gdybym kiedyś stracił rozum i zrobił to, okaże pani tyle rozwagi, by mi odmówić.

Victoria była niebezpiecznie bliska łez, ponieważ sama traciła panowanie nad sobą, a tego mężczyzny z równowagi wyprowadzić nie potrafiła. Rzuciła mu spojrzenie pełne palącej wzdargi.

- Jest pan zimnym, gruboskórnym, aroganckim potworem bez serca, pozbawionym szacunku i uczuć dla wszystkich, nawet dla zmarłych! Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie mogłaby pana chcieć! Jest pan... - Tu głos jej się załamał, odwróciła się i pobięła na górę po schodach.

Jason przyglądał jej się z holu, obok zaś dwaj lokaje i kamerdyner, niczym wrośnięte w podłogę posągi, czekali w skamieniałej grozie, kiedy gniew ich pana spadnie na głowę buntowniczkę, która właśnie popełniła czyn niewybaczalny. Po długiej chwili Jason wsunął ręce do kieszeni, obejrzał się na porażonego strachem sługę i uniósł brwi.

- Wydaje mi się, że moim udziałem stało się właśnie coś, co pospolicie nazywane bywa „miażdżącą odprawą”, Northrup.

Ten głośno przełknął ślinę, ale słowem się nie odezwał, dopóki Jason powoli nie poszedł na górę, potem zaś ostro zwrócił się do lokajów:

- Zajmijcie się swoimi obowiązkami i pamiętajcie, żebyście z nikim na ten temat nie plotkowali. - Odszedł wielkimi krokami.

O'Malley gapił się na drugiego lokaja.

- Przygotowała dla mnie miksturę i wyleczyła mój chory ząb - sapnęła ze złości. - A skoro już potrafi leczyć, to może znajdzie też jakiś środek, żeby wyleczyć wielmożnego pana z ataków złości.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył prosto do kuchni, by opowiedzieć pani Craddock i całemu personelowi kuchennemu o zdumiewającym incydencie, którego właśnie był świadkiem. Teraz, kiedy *monsieur* Andre już odszedł - dzięki młodej damie z Ameryki - kuchnia stała się bardzo przytulnym miejscem i można tam było spędzać miłe chwile, gdy baczny wzrok Northrupa skierował się gdzie indziej: na kogoś innego.

Nie minęła godzina, a wśród całej świetnie wyszkolonej, idealnie zorganizowanej służby markiza nie znalazłoby się jednej osoby, która nie wysłuchała z niedowierzaniem opowieści o dramatycznej, rozegranej na schodach scenie. Nie minęło następne pół godziny, a opowieść o niemającym precedensu odstępstwie wielmożnego pana od lodowatej godności na rzecz ciepłego człowieczeństwa, i to wobec bezprzykładnej prowokacji, rozeszła się z pałacu do stajni i chat gajowych.

Victoria była u siebie, na górze. Ręce jej się trzęsły z tłumionej złości, kiedy wyciągała spinki z włosów i zdierała z siebie brzoskwiniową suknię. Nadal walcząc ze łzami, powiesiła ją w szafie, włożyła koszulę nocną i weszła do łóżka. Duszącymi falami przelewała się nad nią tęsknota za domem. Chciała stąd wyjechać, oddzielić się oceanem od ludzi takich jak Jason Fielding czy lady Kirby. Jej matka opuściła Anglię pewnie z tego samego powodu. Jej matka... śliczna, łagodna matka, pomyślała ze zduszonym łkaniem. Lady Kirby niegodna była dotykać rąbka sukni Katherine Seaton!

Wspomnienia dawnego, szczęśliwego życia przelatowały wokół Victorii, aż wypełniły całą sypialnię w Wakefield. Pamiętała dzień, kiedy zebrała dla matki bukiet polnych kwiatów i pobrudziła przy tym sukienkę. „Niech mama popatrzy, czy widziała mama kiedyś coś tak ślicznego? - zapytała. - Zebrałam je dla mamy, ale pobrudziłam przy tym sukienkę”.

„Śliczne są - zgodziła się matka, tuląc ją i nie zwracając uwagi na brudną sukienkę. - Ale najślicniejsza ze wszystkiego, co kiedykolwiek widziałam, jesteś ty”.

Pamiętała, jak mając siedem lat, dostała wysokiej gorączki i była bliska śmierci. Noc po nocy matka siedziała przy jej łóżeczku, chłodziła mokrą gąbką czoło i ręce, a Victoria trwała w zawieszeniu między życiem a śmiercią. Piątej nocy obudziła się w ramionach matki, z twarzą mokrą od łez, które spływały po policzkach Katherine. Matka kołysała ją w przód i w tył, płacząc i szepcząc raz po raz tę samą chaotyczną modlitwę: „Proszę, nie pozwól mojej małej córeczce umrzeć. Ona jest taka malutka i boi się ciemności. Proszę, Boże...”.

Victoria wtuliła twarz w miękkie poduszki, całym jej ciałem wstrząsał rozpaczliwy szloch.

- Och mamó - zanosiła się od płaczu. - Och, mamó, tak za tobą tęsknię...

Jason przystanął pod jej sypialnią i uniósł dłoń, by zapukać, ale nie zrobił tego, słysząc

rozpaczliwe łkania, a czoło mu się zmarszczyło. Pewnie poczuje się lepiej, kiedy się wypłacze, pomyślał. Z drugiej strony, jeżeli nadał będzie płakać tak jak w tej chwili, to z pewnością się rozchoruje. Po kilku sekundach wahania poszedł do własnego pokoju, nalał do kieliszka trochę brandy i wrócił do sypialni Victorii.

Zastukał - tak, jak go arogancko pouczyła wcześniej - ale kiedy nie odpowiedziała, otworzył drzwi i wszedł do środka. Stał przy łóżku, przyglądając się, jak ramiona dziewczyny dygoczą w spazmach szarpiącego bólu, nad którym nie mogła zapanować. Widywał już wcześniej płaczące kobiety, lecz ich łkania były zawsze eleganckie i wyrachowane, miały służyć do uzyskania czegoś od mężczyzny. A Victoria najpierw, stojąc na schodach, miotała w niego słownymi włóczękami niczym rozgniewany wojownik, a potem wycofała się do własnego pokoju, by w tajemnicy przed wszystkimi tak poruszająco zapłakać.

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Victorio...

Przewróciła się na plecy i gwałtownie podciągnęła na łokciach. Oczy miała ciemnoniebieskie jak mokry aksamit, na długich, czarnych jak sadza rzęsach połyskiwały łzy.

- Proszę stąd wyjść! - zażądała ochryplym szeptem. - Proszę natychmiast stąd wyjść, zanim ktoś pana zobaczy!

Jason popatrzył na wzburzoną, niebieskooką piękność, którą miał przed sobą: policzki jej płonęły gniewem, a rozwichrzone tycjanowskie włosy opadały na ramiona. W skromnej białej koszuli nocnej z wysokim kołnierzykiem miała niewinny urok zagubionego, zrozpaczonego dziecka; ale linia podbródka Victorii świadczyła o uporze, a w oczach płonęła gniewna duma, przestrzegająca go, by nie cenił tej dziewczyny zbyt nisko. Przypomniawszy sobie, jak z zuchwałą impertynencją i z rozmysłem przeczytała w bibliotece na głos tamten liścik, a potem nawet nie starała się ukryć zadowolenia, że go wprowadziła w zakłopotanie. Jedyłą kobietą, która kiedykolwiek ośmieliła mu się sprzeciwić była Melissa, ale robiła to wyłącznie za jego plecami. Victoria Seaton sprzeciwiała mu się prosto w twarz i niemalże ją za to podziwiał.

Kiedy Jason nie zrobił żadnego ruchu w kierunku drzwi, Victoria z irytacją otarła łzy z policzków, podciągnęła przykrycie aż pod brodę i zaczęła powoli podsuwać się do góry, aż usiadła oparta o poduszki.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co powiedzieliby ludzie, gdyby wiedzieli, że pan tu jest? - syknęła. - Czy pan nie ma żadnych zasad?

- Absolutnie żadnych - przyznał bez skruchy. - Przedkładam praktyczność nad zasady. - Ignorując groźne spojrzenie dziewczyny, przysiadł na jej łóżku i polecił: - Proszę, niech pani

to wypije.

Trzymał kieliszek bursztynowego płynu na tyle blisko, że poczuła mocny zapach alkoholu.

- Nie - odpowiedziała, potrząsając głową. - Absolutnie nie.

- Proszę wypić - powtórzył spokojnie - albo wleję to pani do gardła.

- Nie zrobiłby pan tego!

- Zrobiłbym, Victorio. A teraz niech pani będzie grzeczną dziewczynką i wypije.

Poczuj się pani lepiej.

Zrozumiała, że sprzeczenie się nic nie da, a zbyt była wyczerpana, by z nim walczyć. Pociągnęła niechętnie łyżeczek obrzydliwej, bursztynowej cieczy i usiłowała wcisnąć mu kieliszek z powrotem do rąk.

- Już czuję się dużo lepiej - skłamała.

W oczach Jasona zapłonęły ogniki rozbawienia, lecz głos miał nieustępliwy.

- Proszę wypić do dna.

- A wtedy pan sobie pójdzie? - zapytała, kapitulując bez wielkiego oporu.

Skinął głową. Victoria przełknęła szybko dwa łyki, starając się traktować brandy jak niesmaczne lekarstwo; potem zakrztusiła się i zwinęła w pół, kiedy palący płyn spływał piekącą stróżką aż do jej żołądka.

- To jest okropne - sapnęła, opadając znowu na poduszki.

Przez kilka minut Jason siedział w milczeniu, czekając, żeby brandy zdążyła rozplynać się kojącym ciepłem po jej całym ciele. Potem powiedział spokojnie:

- Po pierwsze, to Charles zamieścił zawiadomienie o zaręczynach w gazecie, a nie ja.

Po drugie, pani bardziej nie pragnie być po słowie ze mną niż ja z panią. Czy tak jest?

- Dokładnie tak - oświadczyła Victoria.

- A więc czemu pani płacze, skoro nie jesteśmy zaręczeni?

Rzuciła mu pełne wyniosłego lekceważenia spojrzenie.

- Niczego takiego nie robiłam.

- Nie robiła pani? - Jason z rozbawieniem spojrzał na łyżki wciąż jeszcze wiszące na podwiniętych rękach i podał jej śnieżnobiałą chusteczkę. - No to dlaczego ma pani czerwony nos, podpuchnięte oczy, bladą twarz i...

Gdzieś w gardle Victorii zaczął wzbierać nieśmiały chichot, wywołany przez brandy; przyłożyła chusteczkę do nosa.

- To bardzo nie po dżentelmeńsku z pana strony zwracać na to uwagę.

Leniwy uśmiech odmienił całkowicie jego rysy.

- Ależ z pewnością nie zrobiłem nigdy niczego, co mogłoby pani sugerować, że jestem dżentelmenem!

Przesadna konsternacja w jego głosie wywołała uśmiech na wargach Victorii.

- Niczego, absolutnie - zapewniła go. Wypiła jeszcze łyżeczek brandy i oparła się znowu o poduszki. - Wcale nie płakałam przez te śmieszne zaręczyny, one mnie tylko rozżłościły.

- A więc dlaczego pani płakała?

Obracając kieliszek w dłoniach, przyglądała się wirującej cieczy.

- Płakałam z tęsknoty za moją mamą. Lady Kirby powiedziała, że będę musiała własnym postępowaniem zmazać jej złą reputację, a to mnie tak rozwścieczyło, że nie wiedziałam, co zrobić. - Rzuciła na niego spod rzęs szybkie spojrzenie, a ponieważ wydawał się szczerze zatroskany i przynajmniej w tej chwili przystępny, ciągnęła dalej z wahaniem: - Moja matka była życzliwa, łagodna i słodka. Zaczęłam sobie przypominać, jaka była cudowna i dlatego się rozplakałam. Widzi pan, od kiedy umarli moi rodzice, są takie dziwne... są takie chwile, kiedy czuję się zupełnie wspaniale, a potem nagle zaczynam okropnie za nimi tęsknić i wtedy płaczę. - To naturalne, że płacze się z tęsknoty za tymi, których się kochało - zauważył tak łagodnie, iż niemal nie mogła uwierzyć, że to on mówi.

Dziwnie podniesiona na duchu obecnością mężczyzny i jego głębokim, dźwięcznym głosem Victoria potrząsnęła głową.

- Ja płaczę nad sobą - wyznała z poczuciem winy. - Płaczę, bo się użalam nad sobą, ponieważ ich straciłam. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jestem takim tchórzem.

- Widywałem odważnych mężczyzn, którzy płakali, Victorio - powiedział cicho.

Przyjrzała się badawczo twardym, rzeźbionym rysom Jasona. Nawet w łagodnym wyraz twarzy blasku świec wyglądał na kogoś, kogo absolutnie nie można zranić. Nie potrafiła wyobrazić go sobie ze łzami w oczach. Jej normalna powściągliwość została mocno przytłumiona przez brandy; przechyliła głowę na bok i zapytała cicho:

- A czy pan kiedyś płakał?

I poczuła się rozczarowana, kiedy na jej oczach oblicze mężczyzny stało się chłodne. - Nie.

- Nawet kiedy był pan małym chłopcem? - nalegała, usiłując poprawić mu nastrój i drocząc się z nim.

- Nawet wtedy nie - odparł krótko.

Poruszył się tak, jakby chciał wstać, ale Victoria impulsywnie położyła mu dłoń na rękawie. Zmrużywszy oczy, popatrzył na długie palce, spoczywające na jego ręce, a potem podniósł wzrok na szeroko otwarte, dociekliwe oczy.

- Proszę pana - zaczęła niezręcznie, usiłując zachować ten chwilowy rozejm i wzmocnić go, jeżeli się da. - Wiem, że nie chce pan mnie tutaj, i nie zostanę tu długo, tylko dopóki Andrew mnie nie zabierze.

- Proszę zostać tak długo, jak pani zechce - odrzekł chłodno, wzruszając ramionami.

- Dziękuję panu - powiedziała Victoria. Jej śliczna twarz odzwierciedlała zakłopotanie, jakie ogarnęło ją na nagłą zmianę nastroju Jasona. - Ale chciałam powiedzieć coś innego, to znaczy, że bardzo bym chciała, by nasze stosunki mogły być bardziej przyjazne.

- A jakiego rodzaju „przyjazne stosunki” miała pani na myśli, moja droga?

Victoria, której lekko szumiała w głowie brandy, nie zauważyła sarkazmu.

- No, jeżeli się zbytnio nie wdawać w szczegóły, to jesteśmy przecież dalekimi kuzynami. - Przerwała, szukając wzrokiem chociaż śladu ciepła w enigmatycznej twarzy, którą widziała przed sobą. - Nie mam żadnych innych angielskich krewnych poza wujem Charlesem i panem. Czy przypuszcza pan, że moglibyśmy traktować się jak kuzyni?

Jason wyglądał, jakby najpierw poczuł się jej propozycją zaskoczony, a potem rozbawiony.

- Przypuszczam, że moglibyśmy.

- Dziękuję panu.

- Proszę się teraz przespać.

Victoria kiwnęła głową i wtuliła się w pościel.

- Och, zapomniałam przeprosić... za to wszystko, co panu powiedziałam, kiedy byłam zła.

Wargi Jasona drgnęły.

- Czy żałuje pani czegoś konkretnego?

Victoria uniosła w górę brwi i obrzuciła go zuchwałym spojrzeniem.

- Zasłużył pan sobie na każde słowo.

- Ma pani rację - przyznał, szeroko się uśmiechając. - Ale niech pani nie przeciąga struny.

Zdusił w sobie chęć, by wyciągnąć rękę i potargać jej gęste włosy. Wrócił do swego pokoju i nalał sobie brandy, a potem usiadł i oparł nogi na stole. Z ironią zastanawiał się, dlaczego to Victoria Seaton porusza w nim tak osobliwie opiekuńczą strunę. Kiedy przyjechała, miał zamiar z miejsca odesłać ją z powrotem do Ameryki - a to było jeszcze zanim postawiła na głowie całą jego rezydencję. Może dlatego budziła w nim ojcowskie uczucia, że była taka zagubiona i bezbronna - i taka młoda i delikatna? A może wytrącała go z

równowagi jej szczerść? Albo oczy, które wydawały się badać jego rysy, jakby chciały odnaleźć w nim duszę? Nie miała w sobie nic z podstępnej kokietki; nie jest jej to potrzebne, pomyślał z ironią, te oczy świętego by uwiodły.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie potrafię ci powiedzieć, jak jest mi przykro z powodu wczorajszego wieczoru - przepraszał Victorię następnego ranka przy śniadaniu Charles z twarzą pobrużdżoną ze zmartwienia i skruchy. - Popeliłem błąd, ogłaszając twoje zaręczyny z Jasonem, jednak miałem nadzieję, że będziecie do siebie pasowali. A co do lady Kirby, to stara wiedźma, a jej córka od dwóch lat usiłuje złowić Jasona i dlatego galopem tu przyjechały, żeby cię zobaczyć.

- Nie ma powodu, by wujek jeszcze raz to wyjaśniał - zaprotestowała życzliwie Victoria. - Nie stało się nic złego.

- Może nie, lecz wśród swoich wielu niemiłych wad, lady Kirby ma jeszcze i tę, że jest najgorszą z możliwych plotkara. Teraz, kiedy już wie, że tu jesteś, dopilnuje, by dowiedzieli się o tym wszyscy, co oznacza, że wkrótce zaleją nas goście, pragnący cię zobaczyć. A to z kolei oznacza, że będziemy tu musieli sprowadzić odpowiednią przyzwoitkę, by nikt nie mógł rzucać na ciebie kalumnii, że mieszkasz sama z dwoma mężczyznami. - Podniósł przelotnie oczy na Jasona, który właśnie wchodził do pokoju, a Victoria zeszywniała, modląc się w duchu, by ich wieczorny rozejm przetrwał w świetle dnia.

- Jasonie, właśnie wyjaśniałem Victorii, że konieczna jest nam przyzwoitka. Posłałem po Flossie Wilson - dodał, mając na myśli swą niezamężną ciotkę, która kiedyś pomagała zajmować się małym Jamiem. - Wprawdzie głupiutka z niej kobieta, ale to moja jedyna krewna płci żeńskiej i jedyna możliwa do przyjęcia przyzwoitka dla Victorii, o jakiej wiem. Chociaż Flossie brak rozumu, naprawdę wie, jak poruszać się w wielkim świecie.

- Wspaniale - powiedział z roztargnieniem Jason, podchodząc do krzesła dziewczyny. - Mam nadzieję, że nie odczuwa pani żadnych niemiłych skutków wczorajszej alkoholowej eskapady w rejonie deprawacji?

- Absolutnie żadnych - odrzekła promiennie Victoria. - Właściwie brandy nawet mi zasmakowała, kiedy się już do niej przyzwyczaiłam.

Leniwy uśmiech powoli rozjaśnił jego opaloną twarz, a w sercu Victorii aż coś drgnęło. Lord Fielding miał uśmiech, którym mógłby stopić lodowiec!

- Tylko ostrożnie, niech pani jej nie polubi za bardzo... - przestrzegł ją i żartobliwie dodał - ... kuzynko.

Victoria pograżyła się w planach nawiązania przyjaźni z Jasonem i nie zwracała już uwagi, o czym rozmawiają mężczyźni, dopóki pan domu nie zwrócił się do niej bezpośrednio:

- Czy słyszała pani, o czym mówiłem, Victorio?

Popatrzyła na niego zdeorientowana.

- Przepraszam, nie słuchałam.

- W piątek spodziewam się odwiedzin sąsiada, który właśnie wrócił z Francji - powtórzył Jason. - Jeżeli przywiezie ze sobą żonę, chciałbym jej panią przedstawić. - Victoria na moment poczuła radość, że niedawny wróg tak przyjaźnie się do niej odnosi, ale przygasiło ją otwarte wyjaśnienie propozycji. - Hrabina Collingwood będzie dla pani wspaniałym przykładem, jak powinna pani postępować w towarzystwie. Zrobi pani mądrze, przyglądając się jej zachowaniu i naśladowując ją.

Zaczerwieniła się i poczuła jak źle wychowane dziecko, któremu właśnie powiedziano, że ma brać z kogoś przykład. Co więcej, spotkała już czworo angielskich arystokratów: Charlesa, Jasona, lady Kirby i jej córkę. Uważała, że wyjąwszy księcia, utrzymywanie stosunków z nimi jest bardzo uciążliwe, i wcale nie uśmiechało jej się poznanie dwojga następnych przedstawicieli tego świata. Niemniej jednak powściągnęła gniew i opanowała przerażenie.

- Dziękuję panu - powiedziała uprzejmie. - Będę się cieszyła na spotkanie ich obojga.

Następne cztery dni spędziła miło, zajmując się pisaniem listów albo przebywając w towarzystwie Charlesa. Po południu piątego dnia zeszła do kuchni po następny talerz resztek dla Williego.

- Ten zwierzak zrobi się taki tłusty, że będzie go można dosiadać, jeżeli nie przestanie go panienka tak karmić - ostrzegła ją życzliwie pani Craddock.

- Jeszcze ma długą drogę przed sobą, zanim do tego dojdzie - odrzekła Victoria, odpowiadając jej uśmiechem. - Czy mogę dostać też tę wielką kość, która tam leży, czy chce pani wykorzystać ją do zupy?

Pani Craddock dała olbrzymią kość Victorii. Ta podziękowała i miała już wyjść, kiedy sobie coś przypomniała.

- Wczoraj wieczorem pan Fiel... chciałam powiedzieć, wielmożny pan - poprawiła się, patrząc, jak służący zamierają na samo nazwisko Jasona - powiedział, że jeszcze nigdy nie jadł takiej pysznej pieczonej kaczki. Nie jestem pewna, czy pani o tym wspomniał - dodała, wiedząc doskonale, że Jason prawdopodobnie nigdy by sobie czymś takim nie zaprzętał głowy - ale pomyślałam, że miło będzie pani o tym wiedzieć.

Pulchne policzki pani Craddock zaczerwieniły się z radości.

- Dziękuję, jaśnie panienko - odrzekła uprzejmie.

Victoria uśmiechnęła się, słysząc ten tytuł, i machnęła ręką, a potem zniknęła za drzwiami.

- No to mamy w domu prawdziwą damę - oznajmiła pani Craddock pozostałym służącym, kiedy Victoria wyszła. - Jest łagodna, życzliwa i wcale niepodobna do tych mdłych panienek, które można znaleźć w Londynie, ani do tych zadzierających nosa, które wielmożny pan od czasu do czasu tu przywoził. O'Malley mówi, że jest hrabianką. Słyszał, jak Jego Wysokość mówił o tym wtedy wieczorem do lady Kirby.

Victoria zaniósła jedzenie w to samo miejsce, gdzie przez ostatnie dziewięć dni przynosiła Williemu posiłki. Zamiast przez kilka minut tkwić między drzewami, jak zwykle, na jej widok zrobił kilka kroków do przodu.

- Masz - powiedziała, śmiejąc się cichutko - popatrz, co ci przyniosłam.

Serce zaczęło jej walić w poczuciu zwycięstwa, kiedy olbrzymi, srebrno - czarny zwierzak podszedł tak blisko, że niemal go mogła dotknąć, dużo bliżej, niż kiedykolwiek dotąd.

- Jeżeli pozwolisz mi się pogłaskać, Willie - ciągnęła dalej, przysuwając się do niego powolutku i wyciągając miskę - to dziś po kolacji przyniosę ci jeszcze jedną pyszną kość.

Willie przystanął, przyglądając się dziewczynie z mieszaniną lęku i nieufności.

- Wiem, że masz na to ochotę - kontynuowała Victoria i postąpiła jeszcze kroczek w jego kierunku - a ja chcę być twoją przyjaciółką. Pewnie sobie myślisz, że jedzenie to zwykła łapówka - ciągnęła, powoli pochylając się i stawiając miskę między nimi. - I masz całkowitą rację. Widzisz, jestem równie samotna jak ty, ale moglibyśmy się wspaniale zaprzyjaźnić. Nigdy nie miałam psa, wiesz o tym?

Lśniące oczy zwierzaka przesunęły się łakomie na jedzenie, a potem wróciły do niej. Po chwili przysunął się do miski, ale nie spuszczał z dziewczyny oczu, nawet wtedy, kiedy opuścił łeb i zaczął pochłaniać posiłek. Victoria nie przestawała do niego cicho przemawiać, gdy jadł, w nadziei, że doda mu odwagi.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, o czym myślał pan Fielding, kiedy wybierał dla ciebie imię. Wcale nie wyglądasz mi na Williego. Ja nazwałabym cię Wilk, albo Cezar, żeby imię brzmiało równie dziko, jak wyglądasz.

Gdy tylko pies skończył jeść, zaczął się wycofywać, ale Victoria szybko wysunęła do przodu lewą dłoń i pokazała mu olbrzymią kość, którą trzymała.

- Musisz ją wziąć z mojej ręki, jeżeli masz na nią ochotę - uprzedziła go.

Willie przyglądał się kości tylko przez moment, a potem zacisnął na smakołyku szczęki i wyrwał jej go z palców. Victoria spodziewała się, że pies popędzi do lasu, lecz ku jej radości, po pełnym napięciu, podejrzliwym wahaniu, padł na ziemię u jej stóp i zaczął rozgryzać gnata na drzazgi. I nagle miała wrażenie, jakby niebo się przed nią otworzyło. Już

nie czuła się nieproszonym i niechcianym gościem w Wakefield - jej przyjaciółmi byli teraz obydwaj panowie, stary książę i Jason, a niedługo będzie miała jeszcze do towarzystwa Williego. Uklękła i pogłaskała go po olbrzymim łbie.

- Przydałoby się porządnie cię wyszczotkować - powiedziała, przyglądając się, jak białe kły miażdżą kość. - Żałuję, że nie może cię zobaczyć Dorothy - ciągnęła dalej tęsknie. - Od razu nauczyłaby cię robić jakieś sztuczki. - Na samą myśl o siostrze Victoria uśmiechnęła się, a potem poczuła ból samotności.

Późnym popołudniem następnego dnia pojawił się Northrup, by przekazać jej wiadomość, iż przybył lord Collingwood i że lord Fielding pragnie, by przyszła do biblioteki.

Victoria popatrzyła z pewną obawą w lustro nad toaletką, a potem usiadła, by, przygotowując się na spotkanie tęgiego, zimnego, dumnego arystokraty w wieku lady Kirby, upiąć włosy w schludny kok.

- Powóz, którym jechała, rozpadł się po drodze i zabrało ją ze sobą dwóch dzierżawców - opowiadał Jason Robertowi Collingwoodowi z ironicznym uśmiechem na twarzy. - Kiedy zdejmowali jej kufer z wozu, uciekły im prosiaki, a Victoria złapała jednego, akurat w chwili, gdy Northrup otwierał drzwi. Zobaczył ją z prosięciem w ramionach i przez pomyłkę uznał za jakąś wieśniaczkę, więc kazał jej iść do kuchennego wejścia i tam zanieść to, co miała dostarczyć. Kiedy Victoria zaoponowała, rozkazał lokajowi, by wyrzucił ją z posiadłości - dokończył Jason, podając Robertowi Collingwoodowi kieliszek claretu.

- Dobry Boże! - roześmiał się hrabia. - Co za powitanie! - Uniósł kieliszek w toaście i powiedział: - Obyście byli szczęśliwi, a twoja narzeczona nie straciła cierpliwości.

Fielding popatrzył na niego, marszcząc brwi. Robert spróbował wyjaśnić swój toast, który wyraźnie okazał się zbyt zawikłany:

- Skoro panna Seaton nie odwróciła się na pięcie i nie odpłynęła z powrotem do Ameryki, mogę tylko założyć, że posiada ogromne zapasy cierpliwości, a to jak najbardziej pożądana cecha u narzeczonej.

- Ogłoszenie zaręczyn w „Timesie” to robota Charlesa - sprostował stanowczo Jason. - Victoria jest jego daleką kuzynką. Kiedy dowiedział się, że dziewczyna nie ma rodziny i że przyjeżdża tu do niego, doszedł do wniosku, że powinienem się z nią ożenić.

- Nie zasięgając wprawdzie twojej opinii na ten temat? - zapytał z niedowierzaniem Robert.

- Dowiedziałem się, że jestem zaręczony, w ten sam sposób, co wszyscy inni, czytając „Timesa”.

W serdecznych, brązowych oczach hrabiego zapłonęło pełne rozbawienia

współczucie.

- Pewnie byłeś zaskoczony.

- Rozwścieczony - poprawił go Jason. - A skoro już jesteśmy przy tym temacie, miałem nadzieję, że przyjedziesz dziś w towarzystwie żony i że Victoria będzie ją mogła poznać. Caroline jest tylko kilka lat starsza od Victorii i sędzę, że mogłyby się zaprzyjaźnić. Szczerze mówiąc, Victorii przydałaby się jakaś przyjaciółka. Jest sprawą oczywistą, że kiedy jej matka wychodziła za tego irlandzkiego lekarza, musiał wybuchnąć wielki skandal, a wprost bije w oczy, że stara lady Kirby postanowiła odgrzać całą sprawę. Na dodatek prababka Victorii, stara księżna Claremont, najwyraźniej nie ma zamiaru uznać wnuczki. Victoria jest hrabianką, lecz to nie wystarczy, by została naprawdę zaakceptowana przez towarzystwo. Oczywiście, będzie miała za sobą poparcie Charlesa, co niewątpliwie pomoże. Nikt nie ośmieli się zrobić jej afrontu prosto w twarz.

- Będzie też za nią stała waga twoich wpływów, a są one znaczne - zwrócił mu uwagę Collingwood.

- Nie tam - zaprzeczył zimno Jason - gdzie chodzi o wyrobienie młodej damie opinii dziewczyny cnotliwej i niewinnej.

- Prawda - roześmiał się Robert.

- Tak czy owak, Victoria poznała angielską arystokrację tylko w postaci dwóch pań Kirby. Pomyślałem, że twoja żona może dać jej lepsze wyobrażenie o tym świecie. A nawet sugerowałem, by Victoria traktowała Caroline jako dobry przykład ogólnie akceptowanych manier i zachowania...

Robert Collingwood odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

- Naprawdę tak powiedziałaś? No to lepiej miej nadzieję, że lady Victoria nie pójdzie za twoją radą. Maniery Caroline są znakomite. Tak znakomite, że, jak widzę, udało jej się oszukać nawet ciebie i uwierzyłeś, że to istne wcielenie przyzwoitości, aleja bezustannie muszę ją wyciągać z jakichś tarapatów. W życiu nie widziałem bardziej samowolnej kobiety - zakończył, lecz w jego słowach dała się słyszeć czułość.

- Jeżeli tak się sprawy mają, Victoria i Caroline powinny się wspaniale rozumieć - skomentował sucho Jason.

- Okazujesz jej spore zainteresowanie - zauważył Robert, przypatrując mu się z uwagą.

- Tylko jako mimowolny opiekun.

Przed drzwiami gabinetu Victoria poprawiła na sobie spódnicę zielonej jak jabłko, muślinowej sukni, zastukała cicho, a potem weszła do środka. Jason siedział za biurkiem, w

obitym skórą fotelu z wysokim oparciem, i rozmawiał z jakimś trzydziestoparoletnim mężczyzną. Kiedy ją zobaczyli, obydwaj zamilkli i z wielką precyzją, choć przypadkowo, podnieśli się jednocześnie, a ten nieskomplikowany ruch zdawał się podkreślać łączące ich podobieństwo. Podobnie jak Jason, hrabia był wysoki, przystojny i mocno zbudowany, ale włosy miał w kolorze piasku, a oczy ciepłe, brązowe. Otaczała go aura tej samej spokojnej stanowczości co Jasona, był wszakże mniej przerażający. Oczy błyszczały mu wesołością, a uśmiech miał raczej przyjazny niż sardoniczny. Niemniej jednak sprawiał wrażenie człowieka, którego nikt nie chciałby mieć za wroga.

- Proszę mi wybaczyć, że tak się w panów wpatruję - odezwała się cicho Victoria, kiedy Jason skończył ich sobie przedstawiać. - Ale zobaczywszy panów razem, pomyślałam w pierwszej chwili, że jesteście bardzo do siebie podobni.

- Jestem pewien, że miała pani na myśli komplement, milady - odpowiedział z szerokim uśmiechem Robert Collingwood.

- Nie - zażartował Jason. - Na pewno nie.

Rozpaczliwie starała się wymyślić odpowiednią replikę, niestety nic stosownego nie przychodziło jej do głowy. Dalszej konsternacji oszczędził jej hrabia, który rzucił pełne oburzenia spojrzenie na przyjaciela i zapytał:

- Jakież odpowiedzi mogłaby udzielić panna Seaton?

Victoria nie usłyszała repliki Jasona, bo uwagę jej odwrócił jeszcze jeden gość, rozkoszny, mniej więcej trzyletni chłopczyk, który stał obok hrabiego, wpatrywał się w nią z niemałą fascynacją i ścisnął w mocnej łapce zapomniany teraz stateczek. Miał kręcone, piaskowe włosy, piwne oczy i był miniaturową repliką ojca, nosił nawet identyczne jasnobrązowe bryczesy, skórzane buty i jasnobrązowy surducik. Zauroczone nim bez reszty dziewczyna uśmiechnęła się serdecznie.

- Chyba nas jeszcze nikt sobie nie przedstawił... - podpowiedziała.

- Proszę mi wybaczyć - zreflektował się i uśmiechnął z wielką powagą hrabia. - Lady Victorio, proszę pozwolić, że przedstawię pani mego syna, Johna.

Chłopczyk odłożył stateczek na fotel i złożył jej uroczysty, rozkoszny ukłon. Victoria w odpowiedzi przykucnęła w głębokim dygu, na co zaskoczony malec zareagował chichotem. Potem wskazał pulchnym paluszkiem na jej włosy i zerknął na ojca.

- Czerwone? - wygłosił z dziecinnym zachwytem.

- Tak - zgodził się Robert.

Dzieciak się rozpromienił.

- Ładne - wyszeptał, na co jego ojciec nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- John, naprawdę jesteś jeszcze za młody, by wykorzystywać swój talent do czarowania dam - powiedział.

- Och, ale ja nie jestem damą - sprostowała Victoria, która z miejsca poczuła wielką sympatię do tego pełnego uroku chłopczyka. I wesoło zawołała: - Jestem żeglarzem! - Malec miał tak pełną wątpliwości minę, że dodała: - Naprawdę jestem, i to wspaniałym. Mój przyjaciel Andrew i ja często budowaliśmy łódki i puszczaliśmy je na wodę razem z resztą dzieci, chociaż nasze stateczki nie były ani w przybliżeniu tak wspaniałe jak twój. Czy zabierzemy go nad strumień?

Chłopczyk kiwnął głową, a Victoria popatrzyła na jego ojca, czekając na pozwolenie.

- Będę się nim doskonale opiekować - obiecała. - I oczywiście stateczkiem również.

Kiedy hrabia się zgodził, John podał Victorii rączkę i razem wyszli z gabinetu.

- Najwyraźniej lubi dzieci - zauważył Robert, kiedy poszukiwacze przygód ich opuścili.

- Sama jest niewiele starsza - odpowiedział, bagatelizując to spostrzeżenie, Jason.

Hrabia odwrócił głowę i zerknął przez okno na pociągającą młodą kobietę, która szła aleją. Spojrzał ponownie na swego towarzysza, uniósł brwi w górę w pełnym rozbawienia sprzeciwie, ale się nie odezwał.

Victoria spędziła niemal całą godzinę na kocu na brzegu strumienia, który wił się malowniczo po rozległych trawnikach przed domem. Z twarzą skąpaną w słońcu wygrzewała się, siedząc obok malca i wymyślając opowieści o piratach i burzach, rzekomo trapiących jej statek podczas podróży z Ameryki. John słuchał zachwycony, ściskając w rączce długi kawałek linki od wędki, który Victoria dostała od Northrupa i przywiązała do stateczka. Kiedy znudziło ich banalne puszczanie żaglowca na płyciźnie, odebrała od Johna linkę i poszli razem wzdłuż strumienia, przy czym stateczek z biegiem wody prowadziła Victoria, aż do miejsca, gdzie strumień zrobił się bardzo głęboki i wartko przepływał pod szerokim, zgrabnym kamiennym mostem, a woda burzyła się na zwałonym pniu.

- Masz - powiedziała, podając znowu linkę chłopcu. - Tylko jej nie puść, bo osiadziemy na mieliźnie na tamtym sękatym drzewie.

- Nie puszcze - obiecał, uśmiechając się na widok trójmasztowca, który podskakiwał na upstrzonej wirami wodzie.

Victoria oddaliła się o kilka kroków po stromej skarpie i z radością układała bukiet z różowych, niebieskich i białych polnych kwiatów, pokrywających dywanem pochyłość nad wodą, kiedy John nagle wrzasnął i niezgrabnie rzucił się w pogoń za linką, która najwyraźniej wymknęła mu się z ręki.

- Nie ruszaj się! - zawołała Victoria stanowczo i podbiegła do niego.

Malec, mężnie starając się nie płakać, pokazał na stateczek, który kierował się teraz prosto pod most, na gałęzie zwałonego drzewa.

- Już go nie ma - szepnął zduszonym głosem, a w jego piwnych oczach pokazały się dwie łzy. - Wujek George go dla mnie zrobił. Będzie mu smutno.

Victoria z wahaniem przygryzła wargę. Widziała wyraźnie, że woda jest w tym miejscu głęboka i rwąca, ale w Ameryce zdarzało im się ratować swoje łódki z dużo groźniejszej rzeki. Uniosła głowę i przyjrzała się stromej skarpie, pragnąc upewnić się, że ich zasłania i że nikt z domu nic nie zobaczy; potem podjęła decyzję.

- Nie zatonął, tylko osiadł na rafie - powiedziała, lekko przytulając malca. - Przyniosę go. - I już zdejmowała pantofelki, pończochy oraz nową, zieloną sukienkę, którą sprawił jej Jason. - Siedź tutaj - poleciła - a ja go przyniosę.

Ubrana tylko w koszulę i lekką halkę brodziła w strumieniu, dopóki dno nie opadło pod jej stopami, a potem popłynęła szybkimi, wprawnymi ruchami w kierunku drugiego końca drzewa. Pod mostem woda była lodowata i głęboka, przewalała się i kipiała wokół gałęzi, ale Victoria nie miała żadnych kłopotów z odnalezieniem żaglowca. Miała natomiast potężny problem z wyplątaniem mocnej linki z gałęzi. Dwa razy zanurkowała, ku ogromnej radości małego Johna, który najwyraźniej nigdy dotąd nie widział, żeby ktoś pływał albo nurkował. Chociaż woda była zimna, a przemoczone halki ograniczały ruchy, pływanie orzeźwiło Victorię, która rozkoszowała się poczuciem swobody.

- Tym razem już na pewno uwolnię stateczek - zawołała do Johna i pomachała do niego. Sprawdziła, czy dziecko przypadkiem nie zechce pójść za nią i zawołała: - Nie ruszaj się, nie potrzebuję żadnej pomocy.

Chłopiec posłusznie kiwnął główką, a Victoria zanurkowała, zmarzniętymi palcami przesuwając po linie pod drzewem i próbując odnaleźć miejsce, gdzie oplatała się ona wokół gałęzi, i dosięgnąć drugiego końca.

- Northrup mówił, że widział, jak szli w kierunku mostu, mniej więcej... - Jason urwał gwałtownie, kiedy do ich uszu doleciało słowo „pomocy”.

Obydwaj puścili się biegiem i popędzili na ukos przez trawnik w stronę dalekiego mostu. Ślizgając się i zjeżdżając na butach, gnali po pokrytym kwiatami brzegu w stronę Johna. Robert Collingwood chwycił synka za ramiona, głos miał szorstki z przerażenia.

- Gdzie lady Victoria?

- Pod mostem - odparł z szerokim uśmiechem chłopczyk. - Pod tym drzewem, popłynęła po stateczek od wujka George'a dla mnie.

- O, Chryste! Ta mała idiotka... - wykrztusił Jason; już zrywał z siebie surdut i biegł w kierunku wody. Nagle roześmiana, rudowłosa rusałka wyskoczyła na powierzchnię wysokim, efektownym łukiem.

- Mam go, Johnie! - zawołała, a ociekające wodą włosy opadły jej na oczy.

- Dobrze! - wrzasnął malec i zaczął klaskać.

Jason zatrzymał się gwałtownie. Patrzył, jak uradowana Victoria, ciągnąc za sobą stateczek, płynie długimi, zgrabnymi ruchami w kierunku brzegu i ślepa panika zaczynała ustępować miejsca mrocznej furii. Rozstawiwszy szeroko nogi, czekał niecierpliwie, z wściekłym wyrazem twarzy, aż winowajczyni znajdzie się blisko.

Robert Collingwood rzucił współczujące spojrzenie na swego rozwścieczonego przyjaciela i wziął synka za rękę.

- Chodź ze mną do domu, Johnie - polecił stanowczo. - Wydaje mi się, że jest coś, co lord Fielding życzy sobie powiedzieć na osobności pannie Victorii.

- Dziękuję? - zgadywał chłopiec.

- Nie - odpowiedział jego ojciec z ironią. - To nie będzie „dziękuję”.

Victoria brodziła w kierunku brzegu, odwrócona plecami, nawijając po drodze linkę i przemawiając do nieobecnego Johna.

- A widzisz, mówiłam ci, że uda mi się uratować... - Zderzyła się plecami z czymś nieruchomym i w tej samej chwili przypominające imadła dłonie zacisnęły się na jej ramionach i odwróciły ją tak gwałtownie, że aż głowa poleciała jej do tyłu.

- Ty mała idiotko! - warczał rozjuszony Jason. - Ty głupia, mała idiotko, mogłaś się utopić!

- Nie... nie byłam wcale w niebezpieczeństwie - wykrztusiła Victoria, przerażona wściekłym połyskiwaniem jego zielonych oczu. - Jestem przecież doskonałą pływaczką i...

- Doskonale też pływał stajenny, który w zeszłym roku omalże tu się nie utopił! - oświadczył jej strasznym głosem.

- Nic nie pomoże, jeśli mi pan połamie ręce - zaprotestowała, ale daremnie próbowała się uwolnić, dłonie Jasona zacisnęły się tylko boleśnie. Pierś Victorii unosiła się i opadała ze zdenerwowania, lecz dziewczyna rozpaczliwie usiłowała przemówić mu do rozsądku. - Wiem, że pana wystraszyłam, przykro mi, ale nie byłam w niebezpieczeństwie. Niczego złego nie zrobiłam.

- Niczego złego pani nie zrobiła? I nie jest pani w niebezpieczeństwie? - powtórzył groźnie i opuścił wzrok na jej dekolt, gdy z lękiem chwyciła powietrze. Victoria nagle uświadomiła sobie, że ocieka wodą, jest niekompletnie ubrana i że przemoczyła Jasonowi

koszulę, dotykając go piersiami. - A gdyby na tym brzegu stał ktoś inny, a nie ja, i przyglądał się pani, jak pani sądzi, co by się stało?

Victoria przełknęła ślinę i zwilżyła językiem wargi. Przypomniała sobie, jak kiedyś wróciła do domu długo po zapadnięciu zmroku; ojciec zdążył już zorganizować grupę ludzi, która miała przeszukać las. W pierwszej chwili bardzo się ucieszył. Później... nie mogła usiąść wygodnie przez dwa dni.

- Ja... ja nie wiem, co by się stało - odpowiedziała, starając się nadrabiać zuchwałością. - Pewnie ten ktoś, obojętne kto, podały mi ubrania...

Wzrok Jasona opadł na jej wilgotne wargi, potem przesunął się po szyi w dół, w stronę dwóch kuszących wzniesień, które ukazywała oblepiająca je, mokra koszula. Victoria głowę miała odrzuconą do tyłu; oba wzniesienia drżały i kusząco się przeżyły, podkreślając bezsporny fakt, że była pociągającą młodą kobietą, a nie dzieckiem, jak usiłował sobie wmawiać lord Fielding.

- Oto, co by się stało! - warknął nagle i zmiażdżył jej wargi w dzikim, brutalnym pocałunku, który miał ukarać ją i upokorzyć.

Victoria wyslizgiwała mu się w milczeniu, usiłując uwolnić się z uścisku i oderwać usta, tak zaborczo rozgniatane jego wargami. Szarpanina wprawiała Jasona chyba w jeszcze większą złość, bo pocałunek stał się bardziej bolesny.

- Proszę - udało jej się szepnąć pełnym łez głosem, przy czym wargami dotykała jego ust - niech się pan nie gniewa, że pana wystraszyłam...

Powoli uchwyt dłoni mężczyzny rozluźnił się, Jason uniósł głowę, wpatrując się w przerażone oczy Victorii. Odruchowo skrzyżowała ręce na piersiach, włosy spłynęły jej na ramiona jak lawina mokrych, połyskujących złotem rubinów, szafirowe oczy rozszerzyły się ze strachu i poczucia winy.

- Proszę - szeptała, a od obu tych emocji głos jej się łamał, kiedy próbowała uratować rozejm, który trwał między nimi od pięciu dni. - Niech się pan nie gniewa. Przepraszam, że pana przestraszyłam. Pływałam od dzieciństwa, ale dzisiaj nie powinnam była, rozumiem to teraz.

To szczere, niewymuszone przyznanie się do winy kompletnie zaskoczyło Jasona. Od kiedy zrobił majątek i otrzymał tytuł, kobiety wykorzystywały w stosunku do niego każdy babski podstęp, jaki tylko istniał, lecz bez efektu; szczerść Victorii w połączeniu z jej śliczną, zwróconą ku górze twarzą i dotykiem kuszącego ciała, które do siebie przyciskał, zadziałały jak potężny afrodyzjak. Zalało go pożądanie, krew zawrzała mu w żyłach i mocniej przytulił dziewczynę.

Czując zaciskające się na jej ramionach dłonie, Victoria podniosła wzrok i zobaczyła, jak w oczach mężczyzny rozpała się coś prymitywnego i przerażającego. Szarpnęła się do tyłu, w gardle jej wzbierał krzyk, ale wargi Jasona przywarły już do jej ust i głos zamarł, stłumiony władczą natarczywością mężczyzny. Wstrząśnięta Victoria znieruchomiała niczym przerażony królik, schwytyany w pułapkę, a potem próbowała walczyć, aż poczuła, że Jason gładzi ją kojąco w górę i w dół po plecach i ramionach, a wargami wodzi po ustach z rozpalającym zmysły mistrzostwem.

Oszołomiona przesunęła rękami w górę po jego torsie i w poszukiwaniu podpory przylgnęła do tego, co burzyło jej równowagę. Jason zareagował natychmiast na ten niewinny gest. Jego ramiona zacisnęły się mocniej, pocałunek stał się bardziej namiętny. Wodził ustami po wargach dziewczyny z jeszcze większym, żarliwszym głodem, kształtując je i stapiając ze swoimi. Zagubiona w obłoku nienazwanych pragnień, wspięła się na palce, odpowiadając na silny uścisk męskich ramion. Jason jęknął, kiedy się w niego wtuliła, i rozchyłonymi wargami wpił się w jej usta.

Nagle Victoria oderwała się od niego, przerażona tym, co uczynili, i z całej siły go odepchnęła.

- Nie! - wykrzyknęła.

Puścił ją tak gwałtownie, że tracąc równowagę, zrobiła krok do tyłu; potem przeciągle, głośno zaczerpnął powietrza i wstrzymał oddech na niezwykle długą chwilę. Victoria oderwała wrogie spojrzenie od jego torsu, do głębi przekonana, że lord Fielding obarczy ją winą za ten nieprzyzwoity pocałunek.

- Pewnie to też moja wina - rzuciła gniewnie. - Bez wątplenia powie pan, że się prosiłam o takie potraktowanie!

Usta Jasona wykrzywiły się w ponurym uśmiechu i Victoria odniosła przelotne wrażenie, że trudno mu się opanować.

- Pierwszy błąd popełniła dziś po południu pani - powiedział w końcu. - Ale ten uczyniłem ja. Przepraszam.

- Co? - zapytała, uszom własnym nie wierząc.

- Wbrew temu, co najwyraźniej pani sądzi na mój temat - wycedził - nie mam zwyczaju uwodzić niewinnych panien...

- Wcale nie groziło mi uwiedzenie - skłamała dumnie Victoria.

W oczach Jasona zapłonęła leniwa kpina.

- Czy aby? - zapytał z rozbawieniem, pozwalając, by napięcie opuściło jego ciało.

- Z pewnością nic mi nie groziło!

- No to proponowałbym, by włożyła pani suknię, zanim dam się sprowokować i udowodnię, jak bardzo się pani myli.

Victoria otworzyła usta, żeby wygłosić odpowiednio kąśliwą uwagę na temat jego oburzającego zarozumiałstwa, ale kiedy błysnął zuchwałym uśmiechem, poddała się w końcu.

- Jest pan niemożliwy! - powiedziała nieprzekonująco.

- Ma pani rację - zgodził się i odwrócił, by mogła się ubrać.

Zrobiła to pośpiesznie, rozpaczliwie próbując opanować rozszalałe emocje i traktować wszystko równie beztrzesko jak on. Andrew całował ją kilka razy, lecz nigdy w taki sposób. Nigdy. Jason absolutnie nie powinien był tego robić ani nie powinien okazywać teraz takiej trudnej do zniesienia obojętności. Była całkiem pewna, że ma pełne prawo wściekać się na niego, ale może te rzeczy traktowano w Anglii inaczej. Może tutaj damy potrafiły przejść do porządku dziennego nad pocałunkami? Może wyszłaby na idiotkę, gdyby zrobiła z tego wielką sprawę, a może, gdyby się na to zdecydowała, Jason po prostu zbyłby ów epizod wzruszeniem ramion jako coś nieistotnego? Właściwie nawet już to zrobił. Jeżeli teraz rozbudzi jego wrogość, niczego nie zyska, a stracić może wiele. Mimo to nie potrafiła tak do końca opanować urazy.

- Naprawdę jest pan niemożliwy - powtórzyła.

- Już się z tym zgodziłem.

- A do tego nieprzewidywalny.

- Jak to?

- No, już prawie myślałam, że mnie pan uderzy za to, iż pana wystraszyłam, a zamiast tego pan mnie pocałował. - Pochyliła się i podniosła stateczek Johna. - Zaczyna mi się pan wydawać bardzo podobny do swego psa: żaden z was nie jest naprawdę aż tak dziki, na jakiego wygląda.

Zobaczyła, że tym razem na spokojnej fasadzie światowca pojawiły się delikatne rysy.

- Mój pies? - powtórzył, nie rozumiejąc, Jason.

- Willie - wyjaśniła.

- Musi pani chyba obawiać się kanarków, jeżeli uważa pani, że Willie jest dziki.

- Dochodzę do wniosku, że nie ma powodu, by bać któregokolwiek z was.

Kąciki zmysłowych ust mężczyzny uniosły się w lekkim uśmiechu, kiedy brał od niej stateczek.

- Niech pani nikomu o tym nie wspomina, bo zrujnuje mi pani reputację.

Victoria owinęła się kocem, a potem pochyliła głowę na bok.

- A pan ma reputację?

- Jak najgorszą - oświadczył stanowczo i rzucił jej prowokujące spojrzenie. - Czy mam pani opowiedzieć wszystko, łącznie z pikantnymi szczegółami?

- Oczywiście, że nie - odrzekła, sznurując usta. Jason, pocałowawszy ją, czuł się odrobinę winny i miała nadzieję, że dzięki temu okaże się bardziej ustepliwy. Zebrała się więc na odwagę i poruszyła sprawę, która od kilku dni nie dawała jej spokoju. - Jest sposób, aby mógł pan odpokutować za swój „błąd” - powiedziała, kiedy szli w kierunku domu, i zawiesiła głos. Jason spojrzał na nią wnikliwie.

- Powiedziałbym, że jeden błąd znosi drugi. A czego by sobie pani życzyła?

- Chcę odzyskać własne ubrania.

- Nie.

- Nie rozumie pan? - zawołała. Najpierw poruszył ją pocałunek Jasona, a teraz dołożyło się jego nieustępliwe stanowisko. - Noszę żałobę po rodzicach.

- To rozumiem; jednak przekonany jestem, że nie istnieje tak wielki ból, by nie dało się go zamknąć we własnej duszy, a nie mam zaufania do żałoby na pokaz. Co więcej, Charles i ja chcemy, by stworzyła tu sobie pani nowe życie, takie, którym będzie się mogła pani cieszyć.

- Nie potrzebuję nowego życia! - zaprotestowała z desperacją Victoria. - Pozostanę tu tylko do czasu, kiedy przyjedzie po mnie Andrew i...

- On nie ma zamiaru po panią przyjechać, Victorio - przerwał jej Jason. - Napisał do pani przez te wszystkie miesiące tylko jeden list.

Słowa te niczym rozpalone sztylety przeszły jej mózg.

- Przyjedzie po mnie, mówię panu. Zanim wyjechałam, nie było czasu na więcej niż jeden list.

Twarz Jasona stężała.

- Mam nadzieję, że się pani nie myli. Zabraniam jednak pani ubierać się na czarno. Żałobę nosi się w sercu.

- A co pan może o tym wiedzieć? - odparła i odwróciła się twarzą do niego z dłońmi zaciśniętymi w pięści. - Gdyby pan miał serce, nie zmuszałby mnie pan do paradowania w tych strojach, jakby moi rodzice nigdy nie istnieli. Pan nie ma serca!

- Ma pani rację - wycedził przez zęby głosem tym straszniejszym, że cichym. - Nie mam serca. Proszę o tym pamiętać i nie oszukiwać się, że pod srogą fasadą kryje się oswojony piesek pokojowy. Dziesiątki kobiet popełniło już ten błąd i gorzko tego potem żałowały.

Victoria odwróciła się od niego i na trzęsących się nogach ruszyła przodem. Jak mogła

sobie wyobrażać, że uda im się zaprzyjaźnić! Ten zimny, cyniczny i twardy człowiek; miał dziki, wybuchowy charakter; a poza tym z pewnością był psychicznie niezrównoważony! Żaden zdrowy na umyśle mężczyzna nie mógłby tak czule i namiętnie całować kobiety w jednej chwili, a zaraz potem zachowywać się tak zimno i nienawistnie. O nie, nie przypominał pieska pokojowego - był niebezpieczny i nieprzewidywalny jak pantera!

Chociaż szła najszybciej, jak mogła, długonogi Jason bez trudu nadązał za nią i jednocześnie dotarli na kolisty podjazd przed domem.

Hrabia Collingwood czekał na nich, siedząc już na wspaniałym gniadoszu. Trzymał przytulonego Johna przed sobą na siodle.

Zażenowana i rozzłoszczona Victoria lakonicznie pożegnała się z hrabią, półgębkiem uśmiechnęła się do chłopca, podała mu żaglowiec i popędziła do domu.

John popatrzył za nią, przeniósł wzrok na Jasona, a potem niespokojnie zwrócił się do ojca:

- On nie dał pannie Tory lania, prawda?

Hrabia przeniósł rozbawione spojrzenie z mokrego gorsu koszuli przyjaciela na jego twarz.

- Nie, Johnie, lord Fielding nie dał jej lania. - A do Jasona powiedział: - Czy mam poprosić Caroline, by złożyła jutro wizytę pannie Seaton?

- Przyjedź razem z żoną, będziemy kontynuowali rozmowę o interesach.

Robert skinął głową. Objął mocniej ramieniem synka, dotknął obcasem niespokojnego wierzchowca i gniadosz pocwałował przez podjazd.

Jason patrzył w ślad za nimi, a obojętność na jego twarzy ustępowała miejsca ponuremu niezadowoleniu, kiedy po raz pierwszy dogłębnie rozważył, co naprawdę działo się z nim nad strumieniem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nadeszło popołudnie następnego dnia, a Victoria wciąż nie mogła przestać myśleć o szokującym pocałunku Jasona. Siedziała na trawie przy Williem i gładziła go po dumnej głowie, gdy pies ogryzał kość, którą mu przyniosła. Przyglądając mu się pomyślała znowu, jak swobodnie i wesoło zachowywał się Jason już po pocałunku, a kiedy porównała własną naiwność i głupotę z jego wyrafinowaniem i światowym wyrobieniem, poczuła się zawstydzona.

Jak to możliwe, żeby tak zaborczo tulił ją i całował, a zaraz potem z tego kpił? Jakim cudem, zastanawiała się, zdołała dorównać mu w niefrasobliwym nastroju, skoro wcześniej niemal straciła zmysły, a kolana jej się zatrzęsły? I jak on mógł po tym wszystkim patrzeć na nią tymi lodowatymi, zielonymi oczami i radzić, by nie popełniała tego samego błędu, co dziesiątki kobiet przed nią?

Ciekawa była, co powodowało, że właśnie tak się zachowywał. Nie sposób sobie z nim poradzić, nie sposób go zrozumieć. Usiłowała się z nim zaprzyjaźnić, a w rezultacie ją pocałował. Tu, w Anglii, wszystko wydawało się takie inne; może tutaj takie pocałunki nie były niczym niezwykłym, a ona nie miała powodu, by czuć się winna, czy też rozgniewana. Ale tak się czuła. Zalała ją tęsknota za Andrew, i aż się wzdrygnęła ze wstydu, że tak chętnie całowała się z Jasonem.

Podniosła oczy, kiedy podjeżdżał do stajni. Wybrał się rano na polowanie, więc udało jej się uniknąć spotkania z nim; usiłowała w tym czasie jakoś ochłonąć, ale okres wychnienia dobiegał końca, bo powóz hrabiego Collingwooda właśnie zajeżdżał przed dom. Victoria podniosła się niechętnie.

- Chodź, Willie - powiedziała z napięciem. - Chodźmy powiedzieć lordowi Fieldingowi, że hrabiostwo właśnie przyjechali i oszczędźmy biednemu panu O'Malleyowi niepotrzebne dreptanie do stajen.

Pies uniósł swój wielki łeb i spojrzał na nią inteligentnymi oczami, ale się nie poruszył.

- Czas, żebyś już przestał chować się przed ludźmi. Nie jestem twoją służącą, chyba to rozumiesz, i nie będę ci już nosiła tutaj posiłków. Northrup powiedział mi, że zwykle dostawałeś jedzenie przy stajniach. Chodź, Willie! - powtórzyła. Zdecydowała, że pokieruje przynajmniej tą częścią swego życia. Zrobiła dwa kroki i czekała. Pies wstał i popatrzył na nią, czujny wyraz jego oczu przekonał Victorię, że rozumie polecenie.

- Willie - powiedziała rozdrażniona - coraz bardziej mam dość aroganckich samców! - Strzeliła palcami. - Chodź! - I znowu postąpiła krok do przodu, ale tym razem pies powoli ruszył za nią.

Podniesiona na duchu drobnym zwycięstwem ruszyła w kierunku stajni, z której właśnie wyszedł Jason; długą strzelbę trzymał w dłoni.

Przed domem hrabia Collingwood pomógł żonie wyjść z powozu.

- Tam są, z tamtej strony - powiedział, pokazując w kierunku stajen. Przełożył z czułością jej dłoń przez własną rękę i ruszył przez trawnik w stronę drugiej pary. - Uśmiechnij się - droczył się z nią szeptem, kiedy zwolniła kroku. - Wyglądasz, jakbyś miała stanąć przed katem.

- Bo mniej więcej tak się czuję - przyznała Caroline, rzucając mu pełen zmieszania uśmiech. - Wiem, że będziesz się śmiał, ale lord Fielding trochę mnie przeraża. - Kiwnęła głową, widząc zdumioną minę męża. - I nie mnie jedną, niemal wszyscy się go boją.

- Jason to genialny człowiek, Caroline. Każda inwestycja, którą był uprzejmy mi zarekomendować, przyniosła ogromne zyski.

- Może, ale nie zmienia to faktu, że mimo wszystko jest okropnie nieprzystępny i... i posepny. Wiesz, w zeszłym miesiącu zwrócił pannie Farraday uwagę, że nie lubi mizdrzących się kobiet, a zwłaszcza takich, które wdzieczą się i jednocześnie czepiają jego ramienia.

- A co na to panna Farraday?

- A co mogła powiedzieć? Przecież czepiała się jego ramienia i jednocześnie wdzieczyła się do niego. Bardzo to było żenujące. - Nie zwracając uwagi na uśmiech męża, wygładziła białe rękawiczki na długich palcach. - Nie potrafię sobie wyobrazić, co kobiety w nim widzą, a przecież nie przestają się nad nim rozplýwać, gdy tylko gdzieś się pojawi. Prawda, że jest bogaty jak Krezus, ma sześć majątków i Bóg jeden wie, ile funtów rocznie, no i oczywiście odziedziczy książęcy tytuł. I muszę mu oddać sprawiedliwość, że jest niezwykle przystojny...

- Ale nie potrafisz zrozumieć, co kobiety w nim widzą? - droczył się z nią, chichocząc, jej mąż.

Caroline potrząsnęła głową i zniżyła głos, bo zbliżali się już do drugiej pary.

- Wcale nie ma miłych manier. Wręcz przeciwnie, jest szokująco bezceremonialny!

- Nieszczęśnikowi, za którym kobiety tak się uganniają, nie dając mu chwili wytchnienia, ponieważ jest bogaty i utytułowany, należałoby okazać zrozumienie, jeżeli nawet od czasu do czasu straci cierpliwość.

- Może ty tak uważasz, ale ze swojej strony mam wiele współczucia dla biednej panny

Seaton. Pomyśl tylko, jaka musi być przerażona, skoro mieszka w tym samym domu co on.

- Nie wiem, czy jest przerażona, ale odniosłem wrażenie, że czuje się tu samotna i przydałaby jej się przyjaciółka, która pokazałaby jej, jak radzić sobie w Anglii.

- Musi czuć się nieszczęśliwa - zgodziła się ze współczuciem Caroline, przyglądając się Victorii, która właśnie podeszła do Jasona i coś do niego mówiła.

- Przyjechali hrabiostwo - oznajmiła właśnie Victoria uprzejmie i chłodno.

- Widzę. Przyszli tutaj za panią - wyjaśnił Jason. - Znajdują się o kilka kroków za pani plecami, na prawo. - Zerknął na nią ponownie i zamarł, uwagę jego przykuło coś po jej lewej stronie. - Przesuń się! - rozkazał, odsuwając ją szorstko i podnosząc strzelbę do ramienia.

Za sobą Victoria usłyszała niskie, okropne warczenie i nagle zrozumiała, co Jason ma zamiar zrobić.

- Nie! - wrzasnęła. Machnęła dziko ręką, odepchnęła lufę strzelby w bok i padła na kolana, obejmując ramionami Williego i piorunując mężczyznę wzrokiem. - Zwariował pan! Zwariował! Co panu zrobił Willie, że go pan chce zagłodzić i zastrzelić? - pytała wstrząśnięta, gładząc zwierzaka po łbie. - Może pływał w tym pana głupim strumieniu albo ośmielił się nie posłuchać jakiegoś rozkazu, albo...

Strzelba przesuwiała się w zdrtwiałych palcach Jasona, aż w końcu skierował lufę nieszkodliwie w ziemię.

- Victorio - powiedział spokojnym głosem, który stał w sprzeczności z jego napiętą, pobladłą twarzą - to nie jest Willie. Willie jest szkockim owczarkiem, trzy dni temu pożyczyłem go Collingwoodom do ich hodowli.

Dłoń dziewczyny zamarła w pół gestu.

- Jeżeli nie mylą mnie oczy i przed chwilą nie straciłem rozumu, powiedziałbym, że zwierzę, do którego przywarłaś jak matka broniąca własnego dziecięcia, jest przynajmniej w połowie wilkiem.

Victoria przełknęła ślinę i powoli wstała.

- Nawet jeżeli to nie Willie, to i tak jest psem, a nie wilkiem - obstawała uparcie przy swoim. - On rozumie polecenie „chodź”.

- Jest tylko po części psem - zaoponował Jason. Zamierzając odciągnąć dziewczynę od zwierzęcia, zrobił krok do przodu i chwycił ją za rękę. Ten gest wywołał natychmiastową reakcję psa, który wyprężył się, zaczął warczeć i odsłonił kły, a sierść na grzbiecie mu się zjeżyła. Jason puścił rękę Victorii, jego palce powoli przesuwwały się w kierunku cyngla. - Odsuń się od niego, Victorio.

Dziewczyna nie mogła oczu oderwać od strzelby.

- Niech pan tego nie robi! - zawołała histerycznie. - Nie pozwolę panu! Jeżeli pan go zastrzeli, to ja zastrzelę pana, przysięgam. Lepiej umiem strzelać niż pływać, potwierdziłby to każdy, kto mnie znał w Portage. Jasonie! - wykrzyknęła łamiącym się głosem. - To jest pies i on tylko stara się bronić mnie przed panem. Każdy by to zrozumiał! To mój przyjaciel. Proszę, proszę, niech pan do niego nie strzela! Proszę... - Aż osłabła z ulgi, kiedy zobaczyła, że zaciśnięta na strzelbie dłoń mężczyzny rozluźnia się i lufa znowu zbacza niegroźnie w trawę.

- Niech pani przestanie się nad nim trząść - rozkazał. - Nie zastrzelę go.

- Czy da mi pan słowo honoru dżentelmena? - nalegała Victoria, całym ciałem wciąż osłaniając zwierzę, jakby pragnęła zapobiec fatalnej konfrontacji pomiędzy dzielnym psem, który próbował jej bronić, a człowiekiem ze śmiercionośną bronią, który gotów był biedaka za to zastrzelić.

- Daję pani słowo.

Victoria już miała się odsunąć, kiedy przypomniała sobie, co jej kiedyś powiedział i szybko stanęła znowu między dwoma wrogami. Przyglądając się podejrzliwie Jasonowi, przypomniała mu:

- Powiedział mi pan, że nie ma pan żadnych zasad. Skąd mogę wiedzieć, czy uszanuje pan własne słowo honoru, jak to powinien zrobić dżentelmen?

W drapieżnych oczach Jasona zapaliły się płomyki niechętnego rozbawienia, kiedy patrzył na tę bezbronną młodą kobietę, która jednocześnie orędownała za wilkiem i tak stanowczo sprzeciwiała się woli pana domu.

- Uszanuję je. A teraz niech się pani przestanie zachowywać jak Joanna d'Arc.

- Nie jestem pewna, czy panu wierzę. Czy przyrzekłby pan również przed lordem Collingwoodem?

- Przeciąga pani strunę, moja droga - ostrzegł ją cicho Jason.

Chociaż powiedział to spokojnie, w jego słowach niedwuznacznie pobrzmiwała groźba. Victoria jednak posłuchała Jasona nie dlatego, by lękała się konsekwencji buntu, lecz ponieważ instynktownie wyczuła, że on dotrzyma obietnicy. Skinęła głową i odsunęła się, ale wielki pies nadal szykował się do ataku, wbijając groźne spojrzenie w mężczyznę.

Teraz lord Fielding z kolei przypatrywał się zwierzęciu, strzelbę nadal trzymając w pogotowiu przy boku. Victoria w rozpaczy zwróciła się do zwierzaka:

- Siad! - rozkazała, choć prawdę mówiąc nie oczekiwała, by miał jej posłuchać.

Pies zawahał się, a potem usiadł przy jej nodze.

- No, widzi pan! - Wyrzuciła ręce w górę z ulgą. - Ktoś go musiał tresować. On wie,

że strzelba może mu zrobić krzywdę i dlatego nie przestaje pana obserwować. Jest mądry.

- Bardzo mądry - zgodził się szyderczo Jason. - Do tego stopnia, że udało mu się przeżyć tutaj, pod moim nosem, podczas gdy wszyscy mieszkańcy okolicy, ze mną na czele, polowali na „wilka”, który napadał na kurniki i terroryzował wieś.

- Czy to dlatego wyjeżdżał pan codziennie na polowanie? - Kiedy Jason przytaknął, Victoria zalała go potokiem słów, mających nie dopuścić do tego, by powiedział, że pies nie może pozostać w posiadłości. - On przecież nie jest wilkiem, to pies, sam pan widzi. I ja teraz karmię go codziennie, więc nie będzie miał już powodu napadać na kurniki. On jest bardzo mądry i rozumie, co mówię.

- A więc może mogłaby mu pani wspomnieć, że nie jest uprzejmie siedzieć tak, czekając na okazję, by ukąsić rękę, która, przynajmniej pośrednio, go żywiła.

Victoria rzuciła niespokojne spojrzenie na swego nadgorliwego obrońcę, a potem na Jasona.

- Sądzę, że jeżeli wyciągnie pan do mnie dłoń, a ja mu każę, żeby na pana nie warczał, to pojmie, o co chodzi. No już, niech pan to zrobi.

- Miałbym ochotę kark pani skrócić - powiedział na wpeł poważnie Jason, ale chwycił ją za rękę, tak jak prosiła. Zwierzę znów sprężyło się, gotowe do skoku i zaczęło warczeć.

- Nie! - powiedziała Victoria ostro, a rzekomy wilk uspokoił się, zawahał i polizał ją po dłoni.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- No, widzi pan, wszystko w porządku. Ja będę się nim dobrze opiekowała i nikomu nie będzie przeszkadzał, jeżeli pozwoli mu pan tu zostać.

Jason nie potrafił oprzeć się ani jej odwadze, ani błagalnemu spojrzeniu promiennie niebieskich oczu.

- Niech pani tego swojego „psa” uwiąże na łańcuchu - westchnął. A kiedy zaczęła oponować, powiedział: - Każę powiadomić gajowych, że nie wolno mu robić krzywdy, ale jeżeli zapłacze się na ziemię któregoś z sąsiadów, to z miejsca go zastrzelą. Nie próbował nikogo atakować, lecz gospodarze cenią nie tylko swoje rodziny, ale i kurczaki.

Uchronił się od dalszej dyskusji, zastosowawszy prosty wybieg, a mianowicie odwrócił się, by powitać Collingwoodów i dopiero wtedy Victoria przypomniała sobie o ich obecności.

Zrobiło jej się gorąco ze wstydu i zmusiła się, by spojrzeć na kobietę, której postępowanie Jason najwyraźniej uważał za wzorowe. Spodziewała się zobaczyć wyraz wyniosłej pogardy na twarzy lady Collingwood, a tymczasem hrabina przyglądała się jej z

miną wskazującą na pełen rozbawienia podziw. Jason przedstawił je sobie nawzajem, a potem odszedł na bok z hrabią, by omówić jakieś interesy, bezlitośnie porzucając Victorię, by najlepiej jak potrafi tłumaczyła się przed przybyłą damą.

Lady Collingwood pierwsza przerwała niezręczne milczenie.

- Czy mogę towarzyszyć pani, kiedy będzie szła pani uwiązać psa?

Victoria kiwnęła głową, ocierając wilgotne dłonie o spódnicę.

- Musi... musi pani uważać mnie za najgorzej wychowaną kobietę na świecie - powiedziała żałośnie.

- Nie - odrzekła Caroline Collingwood, przygryzając dolną wargę, by powściągnąć wesołość - ale uważam, że niezaprzeczalnie jest pani najodważniejszą ze znanych mi dam.

Victoria poczuła się oszołomiona.

- Dlatego, że nie boję się Williego?

Hrabina potrząsnęła głową.

- Dlatego, że nie boi się pani lorda Fieldinga - poprawiła ją ze śmiechem.

Victoria spojrzała na prześliczną brunetkę, wytwornie i elegancko ubraną, ale widziała przede wszystkim, że w szarych oczach tamtej tańczą figlarne płomyki, a uśmiech zawiera propozycję przyjaźni. Uświadomiła sobie, że w tym pozornie nieprzyjaznym kraju spotkała wreszcie pokrewną duszę i poczuła się jak w niebie.

- Prawdę mówiąc, byłam przerażona - przyznała, idąc w kierunku pałacu. Postanowiła uwiązać psa, dopóki nie uda się jej przekonać Jasona, żeby pozwolił wpuścić zwierzę do środka.

- Ale nie pokazywała tego pani po sobie, a to bardzo dobrze, bo wydaje mi się, że kiedy mężczyzna zda sobie sprawę, że kobieta lęka się czegoś, zaczyna wykorzystywać tę wiedzę w absolutnie okropny sposób. Na przykład, gdy tylko mój brat Carlton zrozumiał, że boję się węży, włożył mi jednego do szuflady z chusteczkami do nosa. A zanim skończyłam histeryzować z tego powodu, mój drugi brat, Abbott, włożył mi następnego do pantofelków do tańca.

Victorię przeszedł dreszcz.

- Czuję obrzydzenie do węży. Ilu ma pani braci?

- Sześciu i wszyscy okropnie mi dokuczali, dopóki nie nauczyłam się odpowiadać im pięknym za nadobne. A czy pani ma jakichś braci?

- Nie, tylko siostrę.

Zanim panowie skończyli omawiać interesy i zasiedli z paniami do wczesnej kolacji, Victoria i Caroline Collingwood mówiły już sobie po imieniu i były na najlepszej drodze, by

się zaprzyjaźnić. Victoria zdążyła wyjaśnić, że jej zaręczyny z lordem Fieldingiem to błąd, popełniony przez Charlesa, ale w jak najlepszych intencjach, i opowiedziała hrabinie o Andrew; Caroline z kolei zwierzyła się, że to rodzice wybrali dla niej lorda Collingwooda, ale sądząc po tym, co mówiła o mężu i jak oczy jej się rozjaśniały za każdym razem, kiedy o nim wspominała, Victoria nie miała wątpliwości, że przyjaciółka musi uwielbiać swego małżonka.

Przy posiłku w powietrzu aż skrzyło się od śmiechu. Victoria i Caroline nie przestawały się sobie zwierzać i porównywać różnych incydentów z okresu dzieciństwa. Nawet lord Collingwood przyłączył się do nich i niedługo stało się oczywiste, że wszyscy troje cieszyli się w tym okresie beztroską i miłością rodziców. A Jason, chociaż nie opowiadał o swej młodości, wydawał się ze szczerą radością przysłuchiwać ich wspomnieniom.

- Czy naprawdę potrafisz strzelać? - zapytała z podziwem Caroline Victorię, gdy dwóch lokajów podawało polanego delikatnym sosem pstrąga *sautee* w maśle i ziołach.

- Tak - przyznała Victoria. - Andrew mnie nauczył, ponieważ chciał, żeby ktoś stawał z nim do zawodów w strzelaniu do tarczy.

- I co? Robiłaś to?

Victoria przytaknęła, a światło świec rozpałiło ogniste błyski w jej włosach, zmieniając je w płynną aureolę.

- I to z nie najgorszym rezultatem. Trudno uwierzyć w coś tak osobliwego, ale za pierwszym razem, kiedy włożył mi strzelbę do ręki, zastosowałam się do jego instrukcji, wycelowałam i trafiłam do celu. Nie wydawało się to wcale trudne.

- A potem?

- Potem zrobiło się łatwiejsze - odrzekła figlarnie Victoria.

- Ja z kolei lubiałam szpadę - wyznała Caroline. - Mój brat, Richard, zgodził się, bym była jego partnerem w szermierce. Wystarczy mieć do tego pewną rękę.

- I bystre oko - dodała Victoria.

Lord Collington się roześmiał.

- A ja lubiłem udawać, że jestem starodawnym rycerzem i stawałem w szranki ze stajennymi. Odnosiłem sporo sukcesów w tych turniejach, no ale stajenni bez wątpienia mieli opory przed zrzuceniem z konia hrabiowskiego pisklęcia, więc pewnie nie byłem aż taki dobry, jak mi się wtedy wydawało.

- Czy w Ameryce bawiliście się w przeciąganie liny? - pytała z entuzjazmem Caroline.

- Tak, i nieodmiennie chłopcy występowali przeciw dziewczętom.

- Ale to wcale nie jest sprawiedliwie, bo chłopcy są zawsze silniejsi.

- Chyba że - odpowiedziała Victoria, uśmiechając się smętnie - dziewczętom udało się

wybrać miejsce, gdzie rośnie jakieś drzewo, a potem zupełnie przypadkiem zaczepić jakoś o nie linę.

- Bezwstydnice! - roześmiał się Jason. - Oszukiwałyście.

- Prawda, ale gdybyśmy tego nie robiły, miałybyśmy mizerne szansę na wygraną, więc tak naprawdę nie było to wcale oszustwo.

- A co pani może wiedzieć o „szansach”?

- Chodzi o karty? - zapytała Victoria, a twarz jej rozjaśniła się zaraźliwą wesołością. - Jeżeli mam wyznać wstydliwą prawdę, z równą niemal biegłością potrafię obliczyć, jakie szansę ma dany układ kart na rękę, jak rozdać je w taki sposób, by właśnie ów układ otrzymać. Krótko mówiąc - przyznała się otwarcie - umiem oszukiwać.

Ciemne brwi Jasona ściągnęły się w lekkim marsie.

- Kto panią tego nauczył?

- Andrew. Powiedział, że to „sztuczki karciane”, których sam się nauczył, kiedy wyjeżdżał do szkoły.

- Proszę mi przypomnieć, bym nigdy nie wysuwał kandydatury Andrew na członka żadnego z moich klubów - powiedział sucho Collingwood. - Nie przeżyłby ani doby.

- On teraz nigdy nie oszukuje - sprostowała lojalnie Victoria. - Uważał, że należy zapoznać się z metodami oszustwa, bo wtedy jakiś pozbawiony skrupułów hazardzista nie zdoła oszukać uczciwego gracza, ale miał wtedy tylko szesnaście lat i nie sądzę, by zdawał sobie sprawę, jak mało było prawdopodobne, by natknął się na kogoś takiego kiedyś...

Jason odchylił się do tyłu i przyglądał się Victorii z pełnym fascynacji zainteresowaniem, zdumiony uroczą swobodą, z jaką odnosiła się do gości i tym, że bez wysiłku oczarowała Roberta Collingwooda, by przyłączył się do rozmowy przy stole. Zauważył, jak twarz dziewczyny rozjaśnia się sympatią, kiedy mówiła o Andrew, a jej uśmiech ożywia całą jadalnię.

Była świeża, żywa i niezsuta. Chociaż taka młoda, miała wrodzone wyrafinowanie, którego źródło stanowiły żywy umysł, duże poczucie humoru i szczere zainteresowanie innymi. Uśmiechnął się pod nosem, przypomniał sobie, jak odważnie broniła psa. Oświadczyła, że od teraz będzie go nazywała Wilkiem, a nie Williem. Jason w swoim życiu poznał kilku odważnych mężczyzn, lecz nigdy nie spotkał odważnej kobiety. Przypomniał sobie, jak nieśmiało reagowała na jego pocałunki, rozpalając w nim niewiarygodnie gorący płomień pożądania.

Victoria Seaton pełna jest niespodzianek, myślał, badawczo jej się przyglądając. Każdy nieskazitelnie rzeźbiony rys jej twarzy tchnął żywą pięknnością, ale urok sięgał dużo

głębiej; miał swoje źródło w melodyjnym śmiechu i wdzięcznych ruchach. Ta dziewczyna skrzyła się i połyskiwała niczym nieskazitelny klejnot; brakowało jej tylko odpowiedniego tła i oprawy - eleganckich strojów, które byłyby dopełnieniem kuszącej figury i subtelnych rysów; wspaniałego domu, w którym mogłaby rządzić jako królowa; męża, który hamowałby jej co dziksze pomysły; dziecka przy piersi, które by tuliła i karmiła...

Siedząc naprzeciw niej, Jason przypomniał sobie dawne, porzucone już marzenie o żonie, rozjaśniającej jego życie serdecznością i śmiechem... o kobiecie, która leżałaby w jego ramionach w łóżku i przegnała pustkę z jego serca... o kobiecie, która kochałaby ich wspólne dzieci...

Pohamował się gwałtownie, zde gustowany naiwnymi, młodzieńczymi mrzonkami i niespełnionym pragnieniem. Wszedł z nimi w dojrzałość i ożenił się z Melissą, mając idiotyczne przekonanie, że dzięki tej pięknej kobiecie jego nadzieje się ziszczą. Jakże był głupi, jak niewiarygodnie naiwny, wierząc, że zależy jej na miłości lub na dzieciach, czy też na czymkolwiek poza pieniędzmi, klejnotami i władzą. Twarz mu pociemniała, kiedy uświadomił sobie, że Victoria Seaton niespodziewanie przypomniała mu wszystkie owe stare, głupie pragnienia, które teraz będą go dręczyły.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy tylko Collingwoodowie wyjechali, Jason skierował się prosto do biblioteki, w której godzinę wcześniej zniknął książkę.

Charles natychmiast odłożył książkę i rozpromieniony popatrzył na syna.

- Czy zwróciłeś uwagę na zachowanie Victorii przy dzisiejszej kolacji? - zapytał z entuzjazmem. - Czyż nie było wspaniale? Ma tyle wdzięku, opanowania, wycucia. Mało brakowało, a byłbym pękł z dumy, kiedy na nią patrzyłem! Przecież ona jest...

- Proszę ją zabrać jutro do Londynu - uciął Jason. - Flossie Wilson może przyjechać tam do was na sezon.

- Do Londynu! - wybełkotał Charles. - Ale dlaczego? Dlaczego musimy tak się śpieszyć?

- Chcę pozbyć się jej z Wakefield i nie mieć jej już na karku. Proszę ją zabrać do Londynu i znaleźć dla niej męża. Sezon zaczyna się za dwa tygodnie.

Książkę pobladł, ale głos miał nadal stanowczy.

- Sądzę, że mam prawo domagać się wyjaśnienia tej nagłej decyzji.

- Podałem je panu: nie chcę jej mieć już na karku. To wystarczające wyjaśnienie.

- To nie takie łatwe - protestował rozpaczliwie jego ojciec. - Nie mogę ogłosić w gazecie, że poszukuję dla niej męża. Musimy się tym zająć we właściwy sposób, przyjmując gości w domu i oficjalnie wprowadzając ją w towarzystwo.

- No to proszę ją tam zabrać i wziąć się do dzieła.

Książkę przecesał palcami siwe włosy i potrząsnął głową, starając się odwieść Jasona od powziętej decyzji.

- Mój dom nie jest w odpowiednim stanie, by wydawać wielkie przyjęcia...

- Więc proszę skorzystać z mojego - zaproponował Jason.

- A wtedy ty nie będziesz się mógł tam zatrzymać - odrzekł Charles, rozpaczliwie szukając argumentu, który przeszkodziłby w realizacji tego planu. - Gdybyś tak postąpił, wszyscy założą, że Victoria to następny z twoich podbojów, a do tego bezwstydnica. Fakt, że jesteś z nią rzekomo zaręczony, nie będzie miał żadnego znaczenia.

- Jeżeli będę w mieście, zatrzymam się w pana domu - zapewnił go z energią Jason. - Proszę zabrać stąd moich ludzi, potrafią przygotować przyjęcie z jednodniowym uprzedzeniem. Zdarzało im się to już wcześniej.

- A co z sukniami i karnetami do Almacka*, i...

- Niech Flossie Wilson zabierze Victorię do madame Dumosse i powie właścicielce, że chcę, by dziewczyna otrzymała to, co najlepsze... i to natychmiast. Flossie będzie wiedziała, jak zatroszczyć się o karnety do Almacka. Coś jeszcze?

- Czy coś jeszcze? - wybuchnął książe. - Na początek, Dumosse jest tak sławna, że nawet ja o niej słyszałem. Nie będzie miała czasu, by zająć się Victorią, kiedy sezon lada chwila ma się zacząć.

- Proszę przekazać madame Dumosse, że poleciłem, by w sprawie garderoby Victorii kierowała się własnym rozeznaniem i nie szczydziła kosztów. Rude włosy Victorii i jej szczupła sylwetka będą dla madame wyzwaniem; wyposaży Victorię tak, że zaćmi ona każdą mdłą blondynkę i każdą wiotką brunetkę w Londynie. Zrobi to, choćby miała się obywać bez snu przez następne dwa tygodnie, a potem policzy mi podwójnie wygórowaną cenę, żeby wynagrodzić sobie ten kłopot. Przechodziłem już przez to wcześniej - dokończył z energią. - A teraz, skoro wszystko zostało ustalone, mogę odejść do własnej roboty.

Zwyciężony Charles westchnął ciężko.

- Bardzo dobrze, ale wyjedziemy za trzy dni, a nie jutro. To da mi czas, by zawiadomić Flossie Wilson, że ma przyjechać do Londynu, a nie tutaj. Jako człowiek niezona, nie mogę mieszkać w tym samym domu co Victoria, zwłaszcza w mieście, chyba że będzie z nami także odpowiednia przyzwoitka. Wyślij przodem swoich ludzi, a ja prześlę wiadomość Flossie Wilson, by pojutrze dołączyła do nas w Londynie. A teraz ja z kolei mam do ciebie prośbę.

- Jaką?

Starannie dobierając słowa, książe powiedział:

- Nie chcę, by ktokolwiek dowiedział się, że twoje zaręczyny z Victorią są nieaktualne, a przynajmniej nie od razu.

- Dlaczego nie? - zapytał niecierpliwie Jason.

Jego ojciec zawahał się, jakby nie znajdował słów, a potem zaczął tłumaczyć:

- Po pierwsze, jeżeli członkowie *ton* będą przekonani, że Victoria jest już z tobą zaręczona, to nie będą jej aż tak bacznie obserwowali. Będzie mogła zachowywać się z nieco większą swobodą i bez pośpiechu przyjrzeć się różnym kandydatom, zanim któregoś wybierze.

Jason miał taką minę, jakby zamierzał to zakwestionować, ale Charles dodał szybko:

* Karnety, dające młodej dziewczynie, debiutującej w towarzystwie, wstęp na bale i przyjęcia.

- Spotka się z dużo większym podziwem i zainteresowaniem, jeżeli londyńscy *beaux* będą przekonani, że ze wszystkich dżentelmenów ciebie właśnie skłoniła do oświadczeń. Pomyśl tylko, każdy kawaler do wzięcia w Londynie uzna, że naprawdę musi być niezwykła, jeżeli ty chcesz się z nią ożenić. Ale jeżeli pomyślą, że ją porzuciłeś, będą się trzymali z daleka.

- Pana „przyjaciółka”, lady Kirby, musiała ich już poinformować, że nasze zaręczyny są nieaktualne - zwrócił mu uwagę Jason.

Książę machnął na to lekceważąco ręką.

- Nikt nie zwróci najmniejszej uwagi na tę plotkarkę, jeżeli ty, będąc w Londynie, nie wyprzesz się tych zaręczyn.

- Świetnie - powiedział Jason, gotów zgodzić się niemal na wszystko, żeby tylko wydać Victorię za męża. - Proszę zabrać ją do Londynu i wprowadzić w świat. Zapewnię jej odpowiedni posag. Proszę wydać kilka balów i zaprosić fircyków z całej Europy. Wezmę osobiście udział w jej debiucie - dodał z sardonycznym uśmiechem. - I zatrzymam się w Londynie, by przyjrzeć się potencjalnym konkurentom. Znalezienie kogoś, kto nas od niej uwolni, nie powinno nastąpić trudności.

Poczuł taką ulgę, że rozwiązali problem dziewczyny, iż nawet nie zastanowił się, że Charles poparł sprzecznymi argumentami swą gorącą prośbę, by nie odwoływać zaręczyn.

Victoria weszła do biblioteki w chwili, gdy lord Fielding stamtąd wychodził. Wymienili uśmiechy; potem Jason zniknął za drzwiami, a ona podeszła do księcia.

- Co z naszą wieczorną partyjką warcabów, wujku Charlesie?

- Co? - zapytał z roztargnieniem. - Tak, oczywiście, moja droga. Czekałem na tę rozmowę przez cały dzień. Zawsze się na nią cieszę.

Usadowili się przy stoliku po dwóch stronach planszy. Szachownica, którą mieli przed sobą, składała się z sześćdziesięciu czterech inkrustowanych pól, w połowie czarnych, a w połowie białych.

Victoria ustawiła dwanaście białych pionków na dwunastu czarnych kwadratach po swojej stronie i rzuciła ukradkowe spojrzenie na wysokiego, eleganckiego, siwowłosego mężczyznę, którego szybko pokochała jak prawdziwego wuja. Tego wieczoru, przy gościach, w swoim dobrze skrojonym, ciemnym surducie wyglądał szczególnie elegancko i śmiał się z ich opowieści z dzieciństwa, a nawet wniósł własny wkład do rozmowy, lecz teraz wydawał się czymś zaabsorbowany i zmartwiony.

- Czy wujek źle się czuje? - zapytała, bacznie mu się przyglądając, kiedy ustawiał dwanaście pionków na czarnych polach po swojej stronie.

- Nie, nic podobnego - zapewnił ją, ale po pierwszych pięciu minutach gry Victoria przeskoczyła przez jego trzy pionki i zabrała je.

- Jakoś nie mogę się skupić na warcabach - przyznał, kiedy zbiła mu czwartą.

- No to porozmawiajmy, zamiast grać - zaproponowała łagodnie dziewczyna.

Zgodził się z pełnym ulgi uśmiechem, a Victoria zaczęła szukać jakiegoś taktownego sposobu, który pozwoliłby jej dowiedzieć się, co trapi księcia. Ojciec był zdeklarowanym rzecznikiem teorii, że ludzie powinni mówić o sprawach, które ich martwią, zwłaszcza ludzie o słabym sercu, ponieważ takie rozmowy często łagodzą wewnętrzne napięcie, mogące doprowadzić do następnego ataku. Przypomniała sobie, że Jason wychodził właśnie od Charlesa, kiedy przyszła, żeby zagrać z nim w warcaby, i owładnęła nią myśl, że najprawdopodobniej to lord Fielding musiał przyczynić się do pogorszenia nastroju księcia.

- Czy dobrze wuj się bawił przy obiedzie? - zapytała z wymuszoną obojętnością.

- Wspaniale - odpowiedział i miał taką minę, jakby mówił szczerze.

- A czy sądzi wuj, że Jasonowi też było miło?

- Dobry Boże, na pewno. Bardzo. Dlaczego pytasz?

- Nic na to nie poradzę, ale zauważyłam, że nie wspominał wraz z nami swojego dzieciństwa.

Charles odwrócił wzrok.

- Może nie potrafił znaleźć niczego zabawnego, co mógłby opowiedzieć.

Victoria nie zwróciła większej uwagi na jego odpowiedź; łamała sobie głowę, jak sprowadzić dyskusję na smutny nastrój księcia.

- Pomyślałam, że może był niezadowolony z czegoś, co powiedziałam albo zrobiłam, i przyszedł to właśnie z wujem omówić.

Charles znowu podniósł na nią wzrok, tym razem jego orzechowe oczy błyszczały rozbawieniem.

- Martwisz się o mnie, moja droga, prawda? I chciałabyś dowiedzieć się, czy się czymś trapię?

Victoria wybuchnęła śmiechem.

- Czy aż tak łatwo mnie przejrzeć?

Charles przesunął swe długie palce na jej dłoń i lekko ją uściśnął.

- Niełatwo cię przejrzeć, Victorio. Jesteś cudowna. Dbasz o ludzi. Patrę na ciebie i zaczynam wierzyć, że świat rokuje jeszcze jakieś nadzieje. Chociaż przez te ostatnie miesiące tyle przecierpiałaś, nadal zauważasz, kiedy stary człowiek wygląda na zmartwionego i obchodzi cię to.

- Wuj wcale nie jest stary - zaprotestowała, patrząc z podziwem, jak do twarzy jest mu w wieczorowym stroju.

- Są dni, kiedy czuję się jeszcze dużo starszy - powiedział z wymuszonym humorem. - Dzisiejszy wieczór jest właśnie taki. Czy mogę ci coś powiedzieć?

- Oczywiście.

- Bywały chwile w moim życiu, kiedy pragnąłem mieć córkę, a ty jesteś dokładnie taka, jaką sobie wymarzyłem.

Wzruszenie zaczęło dławić ją w gardle, a księżę cicho mówił dalej:

- Przyglądam ci się niekiedy, jak spacerujesz po ogrodach albo rozmawiasz ze służbą, a moje serce napętnia duma. Wiem, że musi to się wydawać dziwne, skoro w najmniejszym stopniu nie przyczyniłem się, by ukształtować cię taką, jaką jesteś, ale jednak tak właśnie się czuję. Mam ochotę wykrzyknąć wszystkim cynikom na świecie: „Popatrzcie tylko na nią, jest czystym życiem, odwagą i pięknem. Jest tą, którą miał na myśli Stwórca, kiedy dawał pierwszemu mężczyźnie towarzyszkę. Będzie walczyła o to, w co wierzy, broniła się, kiedy zostanie skrzywdzona, a przecież przyjmie gest przeprosin za zło i przebaczy wszystko bez urazy”. Wiem, że nieraz już przebaczyłaś Jasonowi to, jak cię traktował. Tak sobie myślę, a potem zastanawiam się, co mogę ci dać, by pokazać, jak bardzo jesteś mi bliska? Jaki podarunek może człowiek dać bogini?

Victorii zdawało się, że dojrzała błysk łez w jego oczach, ale nie mogła być pewna, bo jej własne zaszkliły się ze wzruszenia.

- No i popatrz! - powiedział z zakłopotanym śmiechem i mocno, bardzo mocno uścisnął jej dłoń. - Jeszcze trochę, a doprowadzę do tego, że zalejemy łzami całą szachownicę. Ale skoro już odpowiedziałem na twoje pytanie, czy z kolei ja też mogę o coś zapytać? Co myślisz o Jasonie?

Dziewczyna uśmiechnęła się nerwowo.

- Był dla mnie bardzo szczodry - zaczęła ostrożnie, ale Charles machnął ręką na jej słowa.

- Nie o to mi chodzi. Chodzi mi o to, co sądzisz o nim jako o mężczyźnie? Powiedz mi prawdę.

- Ja... ja nie jestem pewna, o co wuj mnie pyta.

- Dobrze, sprecyzuję pytanie. Czy uważasz, że jest przystojny?

Zaskoczona Victoria z trudem powstrzymała się od chichotu.

- Większość kobiet uważa go za bardzo atrakcyjnego - podpowiadał jej Charles, uśmiechając się z pewną dumą, jak pomyślała Victoria. - A ty?

Zdziwiona takim obrotem rozmowy, wywołanym jego pytaniami, opanowała się i kiwnęła głową, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo się czuje zażenowana.

- Dobrze, dobrze. A czy zgodziłabyś się, że jest bardzo... męski?

Ku przerażeniu Victorii jej pamięć wybrała sobie właśnie tę chwilę, by podsunąć jej wspomnienie pocałunków Jasona nad strumieniem. Poczowała, że policzki zaczynają jej płonąć.

- Widzę, że zgodziłabyś się - powiedział Charles ze śmiechem, błędnie interpretując powód, dla którego się zarumieniła. - Wspaniale. A teraz powierzę ci pewną tajemnicę: Jason jest jednym z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek będziesz miała okazję poznać. Nie miał szczęśliwego życia, a jednak przetrwał, ponieważ ma przeogromną siłę umysłu i woli. Leonardo da Vinci powiedział kiedyś: „Im większą człowiek ma duszę, tym głębiej kocha”. Ten cytat zawsze nasuwał mi na myśl Jasona. Głęboko wszystko przeżywa, ale nieczęsto coś pokazuje po sobie. I - dodał książkę z ironią - ponieważ jest taki silny, nieczęsto się zdarza, by mu się ktoś przeciwstawiał, a już nigdy nie robią tego młode damy. To dlatego niekiedy może wydawać ci się nieco... powiedzmy... autokratyczny.

Ciekawość Victorii wzięła górę nad pragnieniem, by unikać wścibstwa.

- Dlaczego nie miał szczęśliwego życia?

- On sam musi ci wszystko opowiedzieć; ja nie mam do tego prawa. Opowie ci któregoś dnia, w głębi serca jestem o tym przekonany. Jednak ja chcę ci oznajmić coś jeszcze: Jason podjął decyzję, że będziesz miała debiut w Londynie, z całą pompą, blaskiem i fanfarami. Wyjedziemy do miasta za trzy dni. Przyjedzie tam do nas Flossie Wilson i przez te dwa tygodnie, zanim zacznie się sezon, nauczy cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć, żebyś mogła obracać się swobodnie w towarzystwie. Zatrzymamy się w domu Jasona, który jest dużo lepiej przystosowany do przyjmowania gości niż mój, a Jason będzie się zatrzymywał u mnie, kiedy przyjedzie do miasta. Tutaj, na wsi, na osobności, mogliśmy mieszkać we trójkę, ale kiedy pojedziemy do Londynu, musi to się skończyć. Victoria nie miała bladego pojęcia, co może oferować sezon w Londynie i słuchała księcia uważnie, kiedy opisywał bale, rauty, wieczorki, spektakle teatralne i weneckie śniadania*, w których miała uczestniczyć. Jej przerażenie przekroczyło już niemal wszelkie granice, zanim Charles napomknął, że Caroline Collingwood też przyjeżdża do Londynu na sezon.

- ...a chociaż pewnie nie zwróciłaś na to szczególnej uwagi przy kolacji - kończył - lady Caroline dwa razy wspomniała, że ma nadzieję, iż ty również wybierzesz się do stolicy i będziecie tam mogły podtrzymywać znajomość. Sprawi ci to przyjemność, prawda?

* Wytworne późne śniadania z alkoholem.

Victoria pomyślała, że przynajmniej część sezonu zapowiada się sympatycznie, choć w głębi serca nie miała najmniejszej ochoty opuszczać Wakefield, by stawić czoło setkom nieznanym ludzi, zwłaszcza jeżeli miałoby przypominać panie Kirby.

- A ponieważ tę sprawę już załatwiliśmy - zakończył Charles, wysunął szufladkę w stoliku i wyciągnął z niej talię kart - pozwól, że o coś cię zapytam; czy twój przyjaciel Andrew nie nauczył cię przypadkiem również grać w pikietę?

Victoria przytaknęła.

- Wspaniale, to zagrajmy sobie. - A kiedy się chętnie zgodziła, rzucił na nią niby to srogie spojrzenie. - Ale nie będziesz oszukiwała, dobrze?

- Absolutnie nie - obiecała mu solennie.

Przesunął karty w jej kierunku, oczy mu się śmiały.

- Najpierw mi pokaż, jaką masz wprawę w rozdawaniu kart. Porównamy nasze techniki.

Victoria wybuchnęła śmiechem. Wzięła talię do pikiety i karty ożyły w jej zręcznych palcach, błyskawicznie przelatując na miejsce z szelestem i traskiem, kiedy je tasowała.

- Najpierw wmówię wujowi, że to wuj szczęśliwy wieczór - powiedziała, zręcznie rozdając po dwie karty, aż mieli ich po dwanaście. Charles popatrzył na trzymane w ręku karty, a potem podniósł na nią oczy z pełnym fascynacji podziwem.

- Cztery króle. Postawię majątek na to, co mam na ręku.

- Przegrałby wuj - zapewniła go Victoria z beztroskim uśmiechem i odkryła swoje karty, w których znalazły się cztery asy.

- A teraz zobaczmy, jak sobie radzisz z rozdawaniem od spodu - zaproponował Charles.

Kiedy mu to zademonstrowała, odrzucił w tył głowę ze śmiechem.

Planowana rozgrywka zmieniła się w farsę, kolejno każde z nich rozdawało partnerowi absurdalnie dobre karty, a w pokoju aż dzwoniło od śmiechu, kiedy wzajemnie próbowali się oszukiwać.

Skupienie Jasona poważnie nadwerżyły dochodzące z biblioteki wybuchy wesołości. Ruszył zbadać sprawę w chwili, kiedy ozdobny stojący zegar wybijał właśnie godzinę dziewiątą. Przekroczywszy próg pokoju, zobaczył Charlesa i Victorię, którzy osunęli się nisko na fotelach i ocierali oczy, gdyż popłakali się z rozbawienia; między nimi na stole leżała talia kart.

- Historyjki, jakie sobie opowiadacie, muszą być jeszcze bardziej zabawne niż te, które poznaliśmy przy obiedzie - zauważył Fielding, wpychając dłonie do kieszeni

dopasowanych spodni i przyglądając im się z nieco zrędlwym wyrazem twarzy. - Słyszałem u siebie w gabinecie, jak się śmiejecie.

- To moja wina - skłamał książę i wstał, mrugając chytrze do dziewczyny. - Victoria ma ochotę na poważną partyjkę pikiety, a ja rozpraszałem jej uwagę dowcipami. Jakoś nie mogę dziś wieczorem zachować powagi. Czy zechciałbyś zasiąść zamiast mnie do gry?

Victoria spodziewała się, że Jason odmówi, ale on, rzuciwszy Charlesowi osobliwe spojrzenie, usiadł naprzeciw niej, a książę zajął miejsce za jego fotelem. Stał tam, dopóki Victoria nie podniosła na niego oczu, a wtedy rzucił jej entuzjastyczne, roześmiane spojrzenie, które wyraźnie mówiło:

- Pobij go, ale porządnie! Oszukuj!

Victorii tak zawróciły w głowie sztuczki karciane, łącznie z tymi, których właśnie nauczył ją Charles, że bez protestów zastosowała się do jego planu.

- Czy woli pan rozdawać, czyja mam to zrobić? - zapytała niewinnie.

- Ależ pani, proszę bardzo - zgodził się uprzejmie.

Starając się wzbudzić w nim fałszywe poczucie bezpieczeństwa, Victoria tasowała karty, nie pokazując zbytnej zręczności, a następnie zaczęła je rozdawać. Jason spojrzął przez ramię na Charlesa i poprosił go o kieliszek brandy, a potem obojętnie rozparł się w fotelu. Zapalił cienkie cygaro, jak to od czasu do czasu lubił robić, i przyjął kieliszek, który podał mu książę.

- Czy nie ma pan zamiaru popatrzeć na swoje karty? - zapytała Victoria.

Jason schował ręce do kieszeni, cygaro zacisnął w zębach i zmierzył ją pełnym namysłu spojrzeniem.

- Zwykle wolę, by rozdawano mi karty od góry talii - wycedził. Przeszył ją wzrokiem, a Victoria, zdusiwszy przerażony chichot, usiłowała blefować.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Uniósł zaczepnie ciemną brew do góry.

- A czy wie pani, jaki los spotyka szulerów?

Victoria poniechała udawania, że jest niewinna, oparła na stoliku łokcie, brodę złożyła na rękach i patrzyła na niego roześmianymi niebieskimi oczami.

- Nie wiem. Jaki?

- Oszukany rzuca wyzwanie osobie, która oszukiwała, i często staczają pojedynek, by rozstrzygnąć tę sprawę.

- Czy chciałby pan wyzwąć mnie na pojedynek? - ośmieliła się zuchwale zapytać, świetnie się bawiąc.

Jason siedział leniwie rozparty w fotelu, bacznie przyglądał się jej roześmianej twarzy i błyszczącym oczom, i pozornie rozważał tę kwestię.

- Czy naprawdę strzela pani tak dobrze, jak zapewniała mnie pani dziś po południu, nastając na moje życie?

- Lepiej - oznajmiła Victoria zuchwale.

- A jak się pani posługuje szpadą?

- Nigdy nie miałam czegoś takiego w ręku, ale może lady Caroline zechce mnie zastąpić. Ona wspaniale umie posługiwać się tą bronią.

Jason uśmiechnął się, a olśniewający urok tego uśmiechu wyczyniał dziwne rzeczy z pulsem Victorii.

- Ciekawe, co też mogło mnie opętać, kiedy pomyślałem, że zapoznanie pani z Caroline Collingwood niczym nie grozi. - Potem dodał coś, co Victoria odebrała jako pełen wdzięku komplement. - Niech Bóg ma w opiece londyńskich *beaux* w tym sezonie. Jednego całego serca nie będzie, kiedy pani tam się znajdzie.

Victoria wciąż jeszcze usiłowała ochłonąć ze zdumienia, że Jason tak wysoko ocenia jej wpływ na londyńskich dżentelmenów, kiedy pan domu wyprostował się na fotelu i wyraźnie ożywił.

- A może teraz rozegramy tę partyjkę, na której pani tak zależało?

Kiedy skinęła głową, odebrał jej karty z ręki.

- Jeśli nie ma pani nic przeciw temu, ja rozdaję - zaproponował. Wygrał trzy razy, zanim Victoria przyłapała go, jak zręcznie podkrada potrzebną mu kartę z tych, które odrzucił i nie powinien był ich dotykać.

- Ależ z pana łotr! - wybuchnęła pełnym oburzenia śmiechem. - Popadłam w towarzystwo dwóch szulerów! Widziałam, co pan przed chwileczką zrobił. Oszukiwał pan, kiedy rozgrywaliśmy to rozdanie.

- Myli się pani - odrzekł z szerokim uśmiechem Jason, podnosząc się na nogi z typowym dla siebie, drapieżnym wdziękiem. - Oszukiwałem przy wszystkich trzech rozdaniach. - Bez ostrzeżenia pochylał się i pocałował ją w czubek głowy, z sympatią potargał jej długie włosy i spokojnie wyszedł z biblioteki.

Victoria poczuła się tak zdumiona jego poczynaniami, że nie zauważyła na twarzy wuja wyrazu niezmaconej niczym radości, gdy książkę przyglądał się wychodzącemu Jasonowi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W dwa dni później „Gazette” i „Times” doniosły, że lady Victoria Seaton, hrabianka Langston, o której zaręczynach z Jasonem Fieldingiem zawiadamiano wcześniej, zaprezentuje się oficjalnie towarzystwu za dwa tygodnie na balu, wydawanym przez jej kuzyna, księcia Athertona.

Ledwie londyński *ton* przetrwał tę podniecającą informację, a już stał się świadkiem nagłej krzątaniny w palladiańskiej rezydencji markiza Wakefielda przy Brook Street pod numerem szóstym.

Najpierw przyjechały dwa powozy, w których siedzieli, oprócz niższych rangą służących, kamerdyner Northrup, O'Malley, główny lokaj, i pani Craddock, kucharka. W ślad za tymi pojazdami pojawił się wielki furgon, wiozący gospodynię, kilka pokojówek, trzech odźwiernych, czterech niższych lokai i górę kufrów.

Nie minęło wiele czasu, a nadjechał następny powóz i przywiózł pannę Flossie Wilson, ciotkę księcia, pulchną starszą damę o anielskiej twarzy w oprawie blond loków i zaróżowionych policzkach. Na jej głowie tkwił rozkoszny, malutki wiśniowy czepeczek, bardziej odpowiedni dla dużo młodszej kobiety; panna Flossie niesłychanie przypominała w nim uroczą, choć starszawą lalkę. Była postacią dobrze znaną wśród wyższych sfer; wysiadając z powozu, pomachała wesoło do dwóch przyjaciółek, które właśnie mijaly pojazd, i popędziła w górę po frontowych schodach rezydencji ciotecznego bratanka.

Cała ta krzątanina przyciągnęła uwagę eleganckich dam i dżentelmenów, którzy przechadzali się bez pośpiechu w swych przewspaniałych strojach po Upper Brook Street, ale było to nic w porównaniu z ogromnym poruszeniem eleganckich spacerowiczów, kiedy następnego dnia ujrzeli wytworny powóz Jasona Fieldinga, koloru czerwonego wina, zaprzężony w cztery roztańczone siwki, który zajechał żwawo przed dom pod numerem szóstym.

Ze wspaniałego wnętrza zdobnego w herby pojazdu wysiadł Charles Fielding, książę Atherton, a za nim młoda panna, która mogła być wyłącznie ową narzeczoną Jasona Fieldinga. Młoda dama wdzięcznie zeszła po stopniach powozu, wsunęła dłoń pod ramię księcia i przystanęła, patrząc z uśmiechem niedowierzania na przebogatą, czteropiętrową rezydencję o szerokich, wykuszowych oknach.

- Dobry Boże, to ona! - wykrzyknął lord Wildshire ze swego punktu obserwacyjnego po drugiej stronie ulicy. - To hrabianka Langston - dodał z entuzjazmem, dając swemu

towarzyszowi szturchańca w bok, by podkreślić to, co mówił.

- A skąd wiesz? - zapytał lord Crowley, wygładzając nieistniejące zmarszczki na swym poszkodowanym surducie.

- To chyba oczywiste dla najmizerniejszego nawet intelektu, kim ona jest. Popatrz tylko, co za piękność. Niedościgniona.

- Przecież nie widzisz jej twarzy - zwrócił mu rozsądnie uwagę przyjaciel.

- Nie muszę jej widzieć, ślepowronie jeden. Gdyby nie była urodziwa, nigdy nie wydusiłaby z Wakefielda deklaracji. Czy zdarzyło ci się widzieć go z kobietą, która nie byłaby skończoną piękną?

- Nie - przyznał lord Crowley. Uniósł *face - a - main*, przymrużył oko i wydał cichy, pełen zaskoczenia gwizd.

- Ma rude włosy. Tego bym się nie spodziewał ani za milion lat.

- Nie są rude, bardziej złote.

- Nie, tycjanowskie - upierał się lord Crowley. Zastanawiał się jeszcze chwilę, po czym dodał: - Kolor tycjanowski wygląda czarująco. Zawsze go przedkładałem nad inne.

- Bzdury! Nigdy nie miałeś skłonności do tycjanowskich włosów. To wcale nie jest ostatni krzyk mody.

- Teraz już jest - przepowiedział z szerokim uśmiechem lord Crowley. Opuścił monokl i posłał przyjacielowi pełne zadowolenia spojrzenie. - Odnoszę wrażenie, że moja ciotka Mersley jest znajomą Athertona, więc pewnie zdobędzie zaproszenia na jej pierwszy bal. Myślę, że wybiorę się tam razem z nią i... - Przestał mówić i wytrzeszczył oczy, gdy rudowłosa piękność odwróciła się w stronę powozu i coś zawołała. W chwilę później z pojazdu wyprysnęła olbrzymia, srebrno - czarna bestia i przypadła jej do nóg, po czym cała trójka ruszyła w górę po schodach. - A niech mnie diabli, jeżeli to nie był wilk! - Lord Crowley aż sapnął z szacunku.

- Szykowna - stwierdził drugi młody człowiek, kiedy odzyskał głos. - Nigdy jeszcze nie słyszałem o kobiecie, która jako domowego ulubieńca trzymałaby wilka. Bardzo szykowna ta hrabianka. Oryginalna, bez dwóch zdań. - I nie mogąc doczekać się, by rozpuścić wieści, iż to właśnie oni pierwsi zdołali zobaczyć tajemniczą lady Victorię Seaton, dwóch młodych dżentelmenów rozdzieliło się i popędziło do swoich klubów.

Przed wieczorem do Londynu zjechał Jason i po raz pierwszy od kilku miesięcy wszedł swobodnym krokiem do klubu White's, z zamiarem miłego zrelaksowania się przy kartach, zanim wybierze się do teatru, ale wieść, że jego narzeczona to oszałamiająca piękność, która z pewnością będzie nadawać ton w towarzystwie, szeroko się już rozeszła i

została przyjęta za fakt. W rezultacie, zamiast spokojnie grać, lord Fielding raz po raz odpowiadał znajomym, którzy przerywali mu hazardową rozrywkę, by pogratulować doskonałego gustu i szczęścia, i zmuszali go do wysłuchiwania gratulacji i najlepszych życzeń na przyszłość.

Wytrzymał dwie godziny tej farsy, podczas której potrzęsano jego dłonią i poklepywano go po ramieniu, a potem przyszło mu na myśl, że wbrew temu, co zdawał się sądzić Charles, nie było to mądre, by *ton* wierzył, że Victoria jest z nim zaręczona. Jason opierał swój wniosek na prostej obserwacji, że żaden z nadających się na męża kawalerów, składających mu gratulacje, nie ośmieliłby się obrazić go, stając w konkurencji do kobiety, z którą był po słowie. Tak więc zaczął zachęcać młodych ludzi do zalotów, dziękując za życzenia, ale obwarowując swe słowa zastrzeżeniem:

- Sprawa nie została jeszcze między nami rozstrzygnięta ostatecznie - odpowiadał półgłosem, albo: - Lady Seaton nie jest jeszcze do końca pewna, czy obdarzyła swoimi uczuciami właśnie mnie. Nie zna mnie wystarczająco dobrze.

Mówił to, ponieważ uznał, że tak trzeba, czuł się jednak do głębi zdegrustowany całą intrygą i krańcowo rozdrażniony, że musi odgrywać rolę człowieka, którego lada chwila może porzucić narzeczona.

Kiedy o dziewiątej podjeżdżał powozem pod elegancki dom przy Williams Street, gdzie ulokował swoją kochankę, był w ponurym nastroju. Wszedł na schody i niecierpliwie zastukał do drzwi.

Pokojówka, która mu otworzyła, rzuciła jedno spojrzenie na jego pełne surowości rysy i cofnęła się nerwowo, przerażona.

- P... panna Sybil poleciła mi powiedzieć panu, że nie życzy sobie więcej pana widzieć.

- O?! - odrzekł Jason jedwabistym głosem. - Czy aby?

Malutka pokojówka wiedziała, że pensję płaci jej ten przerażająco wysoki, potężny i groźny mężczyzna. Kiwnęła głową, przełknęła ślinę i dodała przeproszająco:

- Tak, wielmożny panie. Widzi... widzi wielmożny pan, panna Sybil przeczytała o balu pana narzeczonej i że pan weźmie w nim udział, i położyła się do łóżka. I teraz leży.

- Wspaniale! - stwierdził brutalnie Jason.

Nie był dziś wieczorem w odpowiednim nastroju, by tolerować awantury Sybil, więc wyminął wielkimi krokami służącą, popędził na górę po schodach i gwałtownie otworzył drzwi do sypialni kochanki.

Źrenice zwięziły mu się na widok zachwycającej piękności, która spoczywała na łóżku

wśród stosów atlasowych poduszek.

- Masz atak waporów, moja słodka? - zapytał chłodno, opierając się ramieniem o zamknięte drzwi.

Zielone oczy Sybil błysnęły wściekle w jego kierunku, ale nie raczyła odpowiedzieć.

Jason był już srodze rozdrażniony i bliski wybuchu.

- Wychodź z łóżka i ubieraj się - rozkazał niebezpiecznie spokojnym tonem. - Idziemy dziś wieczorem na przyjęcie. Przystałem ci wiadomość.

- Nigdzie z tobą już nie pójde! Nigdy!

Jason zaczął niedbale rozpinać surdut.

- W takim razie posuń się. Spędzimy wieczór tam, gdzie jesteś.

- Ty lubieżna bestio! - wybuchnęła porywcza piękność i kiedy się do niej zbliżał, zeskoczyła z łóżka, a wokół niej zatrzepotały zwoje bladoróżowego szyfonu. - Jak śmiesz! Jak śmiesz sądzić, że po tym artykule w „Timesie” możesz jeszcze się do mnie zbliżyć! Wynoś się z mojego domu!

Jason przyglądał jej się obojętnie.

- Czy trzeba ci przypominać, że to mój dom? Jestem jego właścicielem.

- No to ja odejde - odpaliła. Chociaż okazała tyle buntu, broda jej się trzęsła i wreszcie Sybil zalała się łzami, zakrywając dłońmi twarz. - Jasonie, jak mogłeś - łkała, zanosząc się płaczem. - Mówiłeś mi, że te zaręczyny to tylko na niby, a ja ci uwierzyłam! Nigdy... nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy...

Gniew ulotnił się z jego twarzy, a nieco zaskoczone oblicze przybrało taki wyraz, jakby Jasonowi było przykro słuchać czegoś, co brzmiało jak szczerzy płacz kobiety o złamanym sercu.

- Czy to ci pomoże mi wybaczyć? - zapytał cicho. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął płaskie, aksamitne etui, podważył kciukiem wieczko i podał kochance.

Sybil wyrzała przez palce i aż cicho krzyknęła, zobaczywszy lśniąca, diamentową bransoletę, spoczywającą na czarnym aksamicie. Ze czcią wyjęła ją z miękkiego gniazdka i przytuliła do policzka. Uniosła błyszczące oczy i patrząc Jasonowi w twarz, powiedziała:

- Kochany, za naszyjnik do kompletu przebaczyłabym ci wszystko!

Jason, który właśnie miał zapewnić ją, że nie ma najmniejszego zamiaru żenić się z Victorią, odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem:

- Sybil - chichotał, potrząsając głową, jakby w równym stopniu śmiał się z siebie, co z kochanki. - Wydaje mi się, że to twoja najbardziej urocza cecha.

- Jaka? - zapytała i na moment, przyglądając się jego sardonycznym rysom,

zapomniała o bransoletce.

- Ta twoja prosta, bezwstydną chciwość - odrzekł bez cienia złości. - Wszystkie kobiety są zachłanne, ale ty przynajmniej jesteś uczciwa. A teraz chodź tu i pokaż mi, jaka jesteś zadowolona z tej nowej błyskotki.

Sybil posłusznie poddała się jego uściskom, ale kiedy unosiła twarz do pocałunku, oczy miała nieco chmurne.

- Ty... ty nie masz najlepszego zdania o kobietach, prawda, Jasonie? Ty nie tylko mną pogardzasz, pogardzasz nami wszystkimi, prawda?

- Uważam - zamruczał wymijająco, rozwiązując atłasowe wstążki pod jej biustem - że kobiety są rozkoszne w łóżku.

- A poza łóżkiem? Co wtedy?

Zignorował pytanie i zsunął jej peniuar z ramion. Potem przywarł do jej ust w gwałtownym pocałunku, chwycił ją na ręce i zaniósł do łóżka. Sybil zapomniała, że nie odpowiedział na pytanie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Victoria siedziała w swoim pokoju na sofie, otoczona stosami dopiero co przyniesionych od madame Dumosse pudeł, zawierających jeszcze więcej strojów. Należało je dołożyć do oszałamiającej różnorodności sukien spacerowych, amazońskich, toalet balowych, czepeczków, szali, długich francuskich rękawiczek i pantofelek, które już wypełniały każdą dostępną przestrzeń w jej apartamentach.

- Jaśnie panienko! - sapnęła z podnieceniem Ruth, rozwijając ciemnoniebieską, aksamitną pelerynę z szerokim kapturem, obszytą futrem z gronostaja. - Czy widziała kiedyś panienka coś tak pięknego?

Victoria podniosła oczy znad listu od Dorothy.

- Jest śliczna - zgodziła się słabym głosem. - To ile już mam peleryn?

- Jedenaście - odpowiedziała pokojówka, gładząc delikatne, białe futerko. - Nie, dwanaście. Zapomniałam o tej z żółtego aksamitu, obszytej sobolami. A może trzynaście? Niech się zastanowię: były cztery aksamitne, pięć aksamitnych, dwie z futra i trzy wełniane. Razem czternaście!

- Trudno uwierzyć, że kiedyś udawało mi się żyć całkiem nieźle z dwiema - westchnęła z uśmiechem Victoria. - A gdy wrócę do domu, trzy albo cztery wystarczą mi aż nadto. To chyba marnotrawstwo, że lord Fielding wyrzuca pieniądze na ubrania, których za kilka tygodni nie będę już mogła używać. W Portage damy nie ubierają się tak strojnie - dokończyła, a jej uwaga skupiła się znowu na liście od Dorothy.

- Kiedy panienka wróci do domu? - szepnęła Ruth przerażona. - Co też panienka może mieć na myśli? Przepraszam, jaśnie panienko, proszę wybaczyć, że zapytałam.

Victoria nie słyszała jej; czytała po raz drugi list, który przyszedł tego dnia.

Najdroższa Tory!

Dostałam przed tygodniem Twój list i byłam bardzo podekscytowana, że wybierasz się do Londynu, ponieważ miałam nadzieję, że przynajmniej teraz się zobaczymy. Powiedziałam babci, że chciałabym tego, ale zamiast zostać w Londynie, następnego dnia wyjechałyśmy do jej wiejskiej rezydencji, która odległa jest o niecałą godzinę jazdy od Wakefield Park. Teraz ja jestem na wsi, a Ty w mieście. Tory, wydaje mi się, że babcia ma zamiar trzymać nas z daleka od siebie, co mnie bardzo smuci i gniewa. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się spotkać, ale zostawię to Tobie, bo jesteś dużo lepsza w planowaniu niż ja.

Zresztą może tylko sobie wyobrażam, że takie są zamiary babci. Nie mogę mieć

pewności. Jest surowa, ale nie bywa dla mnie okrutna. Życzy sobie, bym zrobiła tak zwaną „świetną partię”, a ma przy tym na myśli dżentelmena nazwiskiem Winston. Dostałam dziesiątki nowych sukien we wszystkich możliwych kolorach, chociaż w większości z nich nie mogę się pokazać przed debiutem, co wydaje mi się bardzo dziwnym zwyczajem. A babcia mówi, że mój debiut nie może odbyć się wcześniej, niż Ty się z kimś zaręczysz, co też należy do tradycji. W domu wszystko było dużo prostsze, prawda?

Wyjaśniałam babci niezliczoną ilość razy, że praktycznie jesteś zaręczona z Andrew Bainbridge'em i że ja pragnę poświęcić się karierze muzycznej, ale ona chyba nie słucha.

Nigdy o Tobie nie wspomina, ale ja i tak o Tobie mówię, bo postanowiłam, że musi dać się ubłagać i zaprosić Cię do nas. Ona nie zabrania mi opowiadać o Tobie; tylko że kiedy mówię, nigdy się nie odzywa, przez co mi się wydaje, że woli udawać, że nie istniejesz. Po prostu słucha mnie z takim wyrazem twarzy, który najlepiej określić jako obojętny, i w ogóle słowa nie piśnie.

Prawdę mówiąc, zadręczałam ją o Ciebie niemal na śmierć, ale dyskretnie, tak jak obiecałam. Na początku po prostu wspominałam Cię i wtrącałam Twoje imię do rozmowy, gdzie tylko się dało. Kiedy babcia robiła uwagę, że mam wspaniałą twarz, powiedziałam jej, że jesteś dużo ładniejsza; kiedy chwaliła mnie za okazywane przy fortepianie umiejętności, powiedziałam, że masz większy talent; kiedy zauważyła, że moje maniery możliwe są do przyjęcia, powiedziałam jej, że Ty odznaczasz się doskonałymi manierami.

A kiedy to wszystko zawiodło i nie zdołałam przekazać jej, jak jesteśmy ze sobą żyte i jak za Tobą tęsknię, zmuszona byłam chwycić się bardziej dramatycznych środków, tak więc zaniósłam do bawialni ten Twój mały portrecik, który tak lubię, i postawiłam go na gzymsie kominka. Babcia słowem się nie odezwała, ale następnego dnia wystąpiła mnie na przejażdżkę po Londynie, a kiedy wróciłam, obrazek był z powrotem w moim pokoju.

W kilka dni później spodziewała się odwiedzin kilkorga przyjaciół, więc wślizgnęłam się do jej ulubionego salonu i zrobiłam tam prześliczną wystawę Twoich szkiców okolic Portage - tych, które mi dałaś, żeby mi przypominały dom. Kiedy damy je zobaczyły, wszystkie wykrzykiwały z zachwytem nad twoim talentem, ale babcia nic nie powiedziała. Następnego ranka wystąpiła mnie do Yorkshire, a kiedy wróciłam w dwa dni później, szkice były w szafie w moim pokoju.

Dziś wieczorem babcia znowu przyjmowała i poproszono mnie, bym zagrała dla jej przyjaciół. Zagrałam, ale przy sposobności zaśpiewałam tę piosenkę, którą razem ułożyłyśmy, kiedy byłyśmy dziećmi, nazwałyśmy ją „Siostry nierozłączki”, pamiętasz? Widziałam po obojętnym wyrazie twarzy babci, że bardzo się na mnie zirytowała. Kiedy jej przyjaciele

odjechali, oświadczyła, że postanowiła wystać mnie na cały tydzień do Devonshire.

Jeżeli ją znowu zirytuję, to coś mi się zdaje, że wyśle mnie do Brukseli albo gdzieś dalej na cały miesiąc. Niemniej jednak wytrwam. Ale chwilowo dość już o tym.

Musiłaś się poczuć bardzo zaskoczona, kiedy dowiedziałaś się, że zostały ogłoszone Twoje zaręczyny z lordem Fieldingiem. I jak zmartwiłby się Andrew, gdyby tylko o tym wiedział. Jednak skoro wszystko się już wyjaśniło i nic z tego nie będzie, powinnaś cieszyć się nowymi sukniami i nie mieć wyrzutów sumienia, że nie przestrzegałaś właściwego okresu żałoby po mamie i papie. Ja noszę czarne rękawiczki, co, jak powiada babcia, jest przyjętym w Anglii sposobem okazywania żałoby, chociaż bywają tacy, którzy ubierają się na czarno przez sześć miesięcy, a potem na szaro przez następne sześć.

Babcia jest przekonana, że nie powinno się lekceważyć obowiązujących w świecie zasad, a nawet gdyby przyjęła moje zapewnienia, że jesteś już zaręczona z Andrew, co przecież jest prawdą, nie mogłabym debiutować wcześniej niż na wiosnę w przyszłym roku. Babcia mówi, że musi minąć pełny rok od śmierci kogoś bliskiego w rodzinie, zanim można sobie pozwolić na wzięcie udziału w czymś oprócz spokojnych, nieoficjalnych uroczystości. Ani trochę mnie to nie martwi, ponieważ perspektywa balów i wszystkiego, co się z nimi wiąże, wydaje mi się przerażająca. Musisz napisać do mnie i dać mi znać, czy naprawdę jest to aż takie straszne, jak sądzę.

Babcia od czasu do czasu będzie się wybierała do Londynu, żeby pójść do teatru, co bardzo lubi, i obiecała mi, że niekiedy będę mogła jej towarzyszyć. Prześlę Ci wiadomość, jak tylko się dowiem, kiedy to będzie miało miejsce, i znajdziemy jakiś sposób, by się spotkać.

Muszę już iść, bo babcia zaangażowała nauczycielkę, która ma mnie przeszkolić, żebym umiała poruszać się w towarzystwie, kiedy wreszcie w nie wejdem. Tyle się trzeba nauczyć, że w głowie mi się kręci...

Victoria odłożyła list do szuflady, zerknęła na zegar na kominku i westchnęła. Wiedziała bardzo dobrze, co miała na myśli Dorothy, pisząc ten ostatni akapit, ponieważ panna Wilson już od niemal dwóch tygodni wbijała jej do głowy zasady i sposoby zachowania, a w tej chwili przyszedł czas na następną lekcję.

- Jesteś już - panna Flossie popatrzyła rozpromieniona na Victorię, kiedy ta weszła do jej saloniku. - Dzisiaj, jak sądzę, powinniśmy powtórzyć sobie, jak we właściwy sposób zwracać się do przedstawicieli arystokracji. Nie możemy ryzykować, że popełnisz jakiś błąd na swoim jutrzejszym balu.

Victoria z trudem opanowała nagłą, dziką chęć, by zakasać spódnicę i uciec z domu; usiadła jednak obok Charlesa naprzeciw starszej damy. Od niemal dwóch tygodni, pomiędzy

pozornie niemającymi końca lekcjami manier, tańców i francuskiego panna Flossie ciągnęła ją ze sobą od krawcowej do modystki, a od modystki do przymiarki sukien balowych. Podczas lekcji opiekunka przysłuchiwała się dykcji Victorii, poprawiając najdrobniejsze potknięcia, i przepytowała z osiągnięć i zainteresowań, przez cały czas kiwając swą okrytą loczkami główką i trzepocząc palcami w taki sposób, że przypominała Victorii niespokojnego, małego ptaszka.

- A więc - zaczęła panna Flossie - zaczniemy od książąt. Jak ci już wczoraj mówiłam, książę to najwyższy niekrólewski tytuł arystokracji angielskiej. Książęta to formalnie to samo co królewicze, ale chociaż może ci się wydawać, że królewicz ma wyższą rangę, musisz pamiętać, że synowie królów wynoszeni są do godności książąt. Nasz drogi Charles - zakończyła z triumfem i całkiem niepotrzebnie - jest księciem!

- Tak - zgodziła się Victoria, odpowiadając uśmiechem na sympatyczny uśmiech wuja.

- Po księciu następuje markiz. Markiz jest dziedzicem księcia. I to dlatego naszego drogiego Jasona nazywamy markizem! Następny w kolejności to hrabia, potem wicehrabia i na końcu baron. Czy mam ci to wszystko zapisać, moja droga?

- Nie - zapewniła ją pośpiesznie Victoria. - Już zapamiętałam.

- Takie z ciebie mądre dziecko - powiedziała z aprobatą panna Flossie. - A teraz, jak się do nich zwracać. Kiedy mówisz do księcia, musisz zwracać się do niego „Wasza Wysokość”; nigdy - ostrzegła ją groźnym tonem - nie zwracaj się do księcia „milordzie”. Do księżnej również zwracasz się „Wasza Wysokość”. Poza nimi jednak możesz do wszystkich arystokratów zwracać się „milordzie”, a do ich żon „milady”, bo to jest poprawny sposób tytułowania. Kiedy będziesz księżną, do ciebie też będą się zwracali „Wasza Wysokość” - zakończyła triumfalnie. - Czy to nie podniecające?

- Tak - wymamrotała Victoria, czując się nieswojo.

Wuj Charles wytłumaczył jej, dlaczego to konieczne, by towarzystwo sądziło, że naprawdę jest zaręczona z Jasonem, a ponieważ Flossie Wilson była straszną pleciugą, postanowił, że i ona, podobnie jak wszyscy inni, musi w to wierzyć.

- Otrzymałam pozwolenie od jednej z patronek Almacka, żebyś mogła zatańczyć walca* na swoim pierwszym balu, moja droga. Ale dość już o tym. Może przejrzymy teraz jakiś rozdział z „Wykazu parów” Debretta? - Victorii oszczędził tej udręki Northrup, który

* W tamtych czasach walc uważany był za taniec nieprzyzwoity i debiutantka musiała mieć pozwolenie, aby go zatańczyć. Jeśli nie mógł go udzielić ojciec, dawało je stowarzyszenie dam czuwające nad organizacją balów (Almack).

wkroczył do salonu, odchrząknął i oznajmił, że przyjechała hrabina Collingwood.

- Proszę ją wprowadzić, Northrup - powiedział życzliwie wuj Charles.

Caroline weszła do salonu, zauważyła otwarte książki o etykiecie i tom Debretta, i rzuciła Victorii konspiracyjny uśmiech.

- Miałam nadzieję, że będziesz mogła mi towarzyszyć w przejażdżce po parku - powiedziała do przyjaciółki.

- Niczego bardziej nie pragnę! - wykrzyknęła Victoria. - Czy bardzo miałaby mi pani za złe, panno Flossie? Wuju Charlesie? - Obydwoje udzielili jej pozwolenia i dziewczyna pomknęła na górę, by poprawić włosy i wziąć czepek.

Czekając na nią, Caroline uprzejmie zwróciła się do obojga starszych państwa, siedzących w salonie.

- Wyobrażam sobie, jak niecierpliwie czekają państwo na jutrzejszy wieczór.

- Och, tak, bardzo - odrzekła panna Flossie, kiwając energicznie blond lokami. - Victoria jest rozkoszną młodą damą, czego nie muszę mówić pani, która już ją lepiej poznała. Takie urocze ma maniery, jest swobodna i umie prowadzić rozmowę. A jakie oczy! I taka śliczna figura. Jestem przeświadczona, że odniesie sukces. Ale nic na to nie poradzę, żałuję, że nie jest blondynką. - Panna Flossie westchnęła i zdeprimowana zwiesiła głowę, niepomna na ciemne włosy lady Collingwood. - Kolor blond jest ostatnim krzykiem mody, wiecie państwo. - Jej ptasie spojrzenie przesunęło się na Charlesa. - Czy przypominasz sobie lorda Hornby'ego jako młodzieńca? Zwykłam była uważać, że był najprzystojniejszym ze wszystkich ludzi. Jego brat był taki niski... - ciągnęła dalej, przeskakując z tematu na temat jak z gałęzi na gałąź.

Victoria rozejrzała się po parku, opadła na oparcie otwartego powozu i zamknęła oczy z czystej rozkoszy.

- Jak tu spokojnie - powiedziała do Caroline - i jakże to uprzejmie z twojej strony, że tyle razy ratowałaś mnie po południu tymi przejażdżkami po parku.

- Czego się uczyłaś, kiedy przyjechałam?

- Odpowiedniego tytułowania członków arystokracji i ich żon.

- I opanowałaś to? - zapytała Caroline.

- Bezwzględnie - odrzekła Victoria i zdusiła znużony, nieco lekceważący chichot. - Wystarczy, jeśli będę się zwracała do mężczyzn „milordzie”, z szacunkiem, niemal jak do pana Boga, a do ich żon „milady”, jakbym była ich pokojówką.

Roześmiała się w odpowiedzi na wybuch wesołości Caroline.

- Najwięcej trudności przysparza mi francuski - przyznała. - Matka nauczyła mnie i

Dorothy czytać w tym języku i z książkami radzę sobie całkiem nieźle, ale nie potrafię przypomnieć sobie właściwych słów, kiedy mam coś powiedzieć.

Caroline, która mówiła biegle po francusku, próbowała jej pomóc.

- Niekiedy najlepiej jest uczyć się języka w postaci użytecznych zwrotów, a nie pojedynczych słów; wtedy nie musisz zastanawiać się, jak je poskładać, a z resztą można zaczekać na później. Na przykład, jak poprosiłabyś mnie po francusku o przybory do pisania?

- *Mon pot d'encre veut vous emprunter votre stylo?* - zaryzykowała Victoria.

Wargi Caroline zadrgały z rozbawienia.

- Właśnie powiedziałaś: „Mój kałamarz pragnie pożyczyć pani pióro”.

- Przynajmniej byłam blisko - mruknęła Victoria i obydwie ponownie zaczęły się śmiać.

Jadący w innych powozach odwrócili się, słysząc melodyjny wybuch ich wesołości i znowu zwrócono uwagę, że przekorna hrabina Collingwood okazuje szczególne upodobanie do lady Victorii Seaton, który to fakt już znacznie zwiększył rosnący prestiż Victorii wśród tych przedstawicieli dobrego towarzystwa, którzy dopiero mieli ją poznać.

Victoria wyciągnęła rękę do Wilka, regularnie towarzyszącego im w tych przejażdżkach i pogładziła zwierzaka po łbie.

- Zdumiewające, nieprawdaz? Bez trudu nauczyłam się matematyki i chemii od ojca, a z francuskim sobie nie radzę. Może dlatego nie mogę go opanować, że wydaje mi się to takie bezcelowe.

- Dlaczego miałyby być bezcelowe?

- Ponieważ niedługo przyjedzie Andrew i zabierze mnie do domu.

- Będzie mi ciebie brakowało - odpowiedziała ze smutkiem Caroline. - Najczęściej trwa to latami, zanim człowiek z kimś się zaprzyjaźni do tego stopnia, by czuć się tak swobodnie i dobrze, jak my ze sobą. A jak się spodziewasz, kiedy dokładnie Andrew może po ciebie przyjechać?

- Pisałam do niego w niecały tydzień po śmierci rodziców - odpowiedziała Victoria, z roztargnieniem wsuwając pasemko włosów pod plisowane rondko cytrynowego czepeczka. - Zanim otrzymał list, musiało pewnie minąć ze sześć tygodni, a potem następne sześć tygodni zająłby mu powrót do domu. I jeszcze cztery do sześciu tygodni, aż przyplynie tu z Ameryki. Razem daje to szesnaście do osiemnastu tygodni. Jutro minie dokładnie osiemnaście tygodni, od kiedy do niego pisałam.

- Zakładasz, że otrzymał tamten pierwszy list w Szwajcarii, ale na pocztę europejskiej nie zawsze można polegać. Poza tym przypuścmy, że w tym czasie wyjechał już

do Francji, gdzie, jak mówiłaś, miał się później udać?

- Dałam pani Bainbridge, to znaczy matce Andrew, drugi list do wysłania, do Francji, na wszelki wypadek, gdyby tak się stało. - Victoria westchnęła. - Gdybym była wiedziała, kiedy do niego pisałam, że zamieszkać w Anglii, mógłby zostać w Europie, co byłoby dużo prostsze. Niestety, nie wiedziałam tego, więc napisałam mu tylko w pierwszym liście, że moi rodzice zginęli w wypadku. Jestem pewna, że wyruszył do Ameryki, gdy tylko się o tym dowiedział.

- No to dlaczego nie pojawił się w Ameryce, zanim wyjechałaś do Europy?

- Prawdopodobnie było nieco za mało czasu. Myślę, że mógł przyjechać w tydzień lub dwa po moim wyjeździe.

Caroline z namysłem i wahaniem spojrzała spod oka na przyjaciółkę.

- Victorio, czy mówiłaś księciu Charlesowi, że jesteś pewna, iż Andrew przyjedzie po ciebie?

- Tak, ale on mi nie wierzy. I ponieważ nie wierzy, upiera się stanowczo, że muszę mieć ten sezon.

- A czy nie wydaje się dziwne to jego pragnienie, abyście z lordem Fieldingiem udawali, że jesteście zaręczeni? Nie chciałabym być wścibska - przeprosiła pośpiesznie Caroline. - Jeżeli wolałabyś o tym ze mną nie rozmawiać, zrozumiałam to.

Victoria szybko potrząsnęła głową.

- Marzyłam już dawno, żeby z tobą o tym pogadać, ale nie chciałam wykorzystywać naszej przyjaźni do takich zwierzeń.

- Ja ci opowiedziałam o sobie wszystko - odrzekła na to po prostu Caroline. - Po to się ma przyjaciół, żeby z nimi wszystko omawiać. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie to dla mnie cudowne i jakie niezwykle, mieć przyjaciółkę, która słowa nikomu nie pnie o tym, co mówię.

Victoria się uśmiechnęła.

- Jeżeli tak... Wujek Charles oświadczył, że chce, by wszyscy uważali, że jestem zaręczona, dlatego że umożliwi mi to trzymanie się z daleka od wszelkich intryg i komplikacji. Jako naręczona, tłumaczył, będę mogła się cieszyć całym podnieceniem związanym z pierwszym balem, nie odczuwając najmniejszego nawet nacisku ze strony konkurentów czy towarzyszy, by zawrzeć pożądaną związek.

- W pewnym sensie to racja - zauważyła Caroline, ale twarz miała nieco zakłopotaną - niemniej jednak zadaje sobie wiele trudu, by uchronić cię od natarczywości deklarujących się panów.

Victoria zapatrzyła się z namysłem na grządkę żonkili kwitnących przy ścieżce.

- Wiem, i sama się nad tym zastanawiałam. Wujek Charles mnie lubi i niekiedy odnoszę wrażenie, że wciąż jeszcze żywi nadzieję, że lord Fielding i ja możemy się ostatecznie pobrać, jeżeli Andrew po mnie nie przyjedzie.

Szare oczy przyjaciółki zachmurzyły się z z troskania.

- A czy sądzisz, że istnieje taka szansa?

- Absolutnie nie - odpowiedziała Victoria, uśmiechając się z powagą.

Caroline odetchnęła z ulgą i oparła się o poduszki.

- To dobrze. Martwiłabym się o ciebie, gdybyś wyszła za lorda Fieldinga.

- Dlaczego? - zapytała Victoria, której ciekawość została gruntownie rozbudzona.

- Żałuję, że to powiedziałam - wymamrotała zdeprymowana Caroline - ale skoro już tak zrobiłam, to pewnie powinnam wyjaśnić ci, dlaczego. Gdyby twój Andrew nie przyjechał po ciebie, powinnaś wiedzieć, jakim naprawdę mężczyzną jest lord Fielding. Są takie salony, gdzie przyjmuje się go, choć nie jest mile widziany...

- A dlaczegoż to?

- Po pierwsze, cztery lata temu doszło do jakiegoś skandalu. Nie znam szczegółów, ponieważ byłam w tym czasie zbyt młoda, by mi powtarzano jakiegokolwiek naprawdę skandaliczne plotki. W zeszłym tygodniu prosiłam męża, żeby mi wyjawiał, o co wtedy chodziło, ale jest przyjacielem lorda Fieldinga i nie chce o nim rozmawiać. Mówi, że wszystko to tylko bzdury sfabrykowane przez złośliwe kobiety i zabronił mi pytać kogokolwiek innego, ponieważ, jak twierdził, rozdmucha to tylko na nowo stare historie.

- Panna Flossie mówi, że *ton* zawsze do nieprzytomności podnieca się plotkami i że większość z nich to puste słowa - zauważyła Victoria. - Obojętne, czego one dotyczyły, i tak z pewnością wszystkiego się o tym dowiem w ciągu najbliższych kilku tygodni.

- Nie lódź się - odpowiedziała z emfazą Caroline. - Po pierwsze, jesteś młodą, niezamężną panną, więc nikt nie powie ci niczego, co w najmniejszym nawet stopniu trąciłoby skandalem, z obawy, że urazi twoje delikatne uczucia albo doprowadzi cię do omdlenia. Po drugie, ludzie plotkują o innych, ale rzadko mówią coś w oczy tym, których rzecz dotyczy. W samej naturze plotki leży, że rozpowszechnia się za plecami osób najbardziej sprawą zainteresowanych.

- Gdzie czyni najwięcej szkody i najmilej łechce - zgodziła się Victoria. - Wiesz, plotka nie była czymś nieznanym w Portage, a i tam na ogół okazywało się, że to tylko słowa.

- Może, ale to nie wszystko, przed czym chcę cię ostrzec - ciągnęła dalej Caroline; minę miała skruszoną, ale zdecydowana była chronić przyjaciółkę. - Dzięki swojej pozycji i

majątkowi lord Fielding uważany jest za wspaniałą partię, a do tego bardzo wiele dam uważa go za niesłychanie przystojnego. Z tych trzech powodów kobiety ciągle polują na niego. Jednak on wcale nie traktuje ich miło. A nawet niekiedy bywa zdecydowanie grubiański! Victorio - zakończyła tonem najokropniejszego potępienia - lord Fielding nie jest dżentelmenem. - Hrabina czekała na jakąś reakcję przyjaciółki, ale kiedy Victoria tylko patrzyła na nią tak, jakby ten defekt charakteru Jasona nie był ważniejszy niż pomięty fular, Caroline westchnęła i brnęła dalej: - Mężczyźni boją się go niemal tak samo jak damy, nie tylko dlatego, że jest taki zimny i powściągliwy, ale ponieważ krążyły pogłoski na temat jego pojedynków w Indiach. Powiadają, że walczył dziesiątki razy i zabijał swych przeciwników z zimną krwią, bez cienia emocji czy żalu. Powiadają też, że potrafi wyzwać kogoś za najdrobniejszą nawet urazę...

- Nie wierzę w to - odparła Victoria, podświadomie okazując lojalność wobec Fieldinga.

- Ty możesz nie wierzyć, ale inni wierzą i się go boją.

- Spotyka się więc z ostracyzmem?

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczyła Caroline. - Ludzie po prostu mu schlebiają. Nikt nie ośmieliłby się zrobić mu publicznie afrontu.

Victoria popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Przecież chyba nie wszyscy jego znajomi się go boją?

- Niemal wszyscy. Robert go szczerze lubi i śmieje się, kiedy mówię, że lord Fielding ma w sobie coś posępnego. Jednak słyszałam kiedyś, jak matka Roberta mówiła w gronie swoich przyjaciółek, że lord Fielding jest niegodziwy, wykorzystuje kobiety, a potem je porzuca.

- Nie może być aż taki zły. Sama powiedziałaś, że uznawany jest za wspaniałą partię...

- W rzeczy samej uznaje się go za najlepszą partię w Anglii.

- No więc widzisz! Gdyby w świecie naprawdę uważano, że jest taki okropny, jak ci się wydaje, żadna młoda dama ani jej matka nie starałaby się nigdy o małżeństwo z nim.

Caroline prychnęła z pogardą.

- Są takie, które za tytuł książęcy i wspaniały majątek poślubiłyby Sinobrodego!

Kiedy przyjaciółka tylko zachichotała, Caroline zachmurzyła się, stropiona.

- Victorio, czy tobie nie wydaje się on dziwny i przerażający?

Victoria starannie rozważała odpowiedź na to pytanie, gdy stangret zawracał powóz w kierunku domu Jasona. Przypomniała sobie zjadliwe, miażdżące uwagi lorda Fieldinga zaraz po jej przyjeździe do Wakefield i jego straszny gniew, kiedy przyłapał ją na pływaniu w

strumieniu. Przypomniała sobie też, jak gładko oszukał ją przy kartach, jak pocieszał tego wieczoru, gdy płakała, jak śmiał się, kiedy próbowała wydoić krowę. Przypomniała też sobie, jak tulił ją i przyciskał mocno do siebie, i całował z dziką, namiętą czułością, lecz niemal natychmiast wyrzuciła z myśli to wspomnienie.

- Lord Fielding ma porywczy charakter - zaczęła powoli - ale zauważyłam, że jego gniew szybko mija, a co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Jestem pod tym względem bardzo do niego podobna, chociaż nie tak łatwo popadam w złość. I nie wyzwał mnie na pojedynek, kiedy mu zagroziłam, że go zastrzelę - dodała z humorem - więc nie potrafię uwierzyć, by miał z takim zapałem strzelać do ludzi. Gdybyś prosiła, żebym ci go opisała - kończyła Victoria - to pewnie powiedziałabym, że jest niezmiernie wspaniałomyślnym człowiekiem i może być nawet łagodny pod tym swoim...

- Żartujesz chyba!

Victoria potrząsnęła głową, usiłując wyjaśnić, co ma na myśli.

- Patrzę na niego inaczej niż ty. Ojciec mnie uczył, jak powinno się oceniać ludzi i usiłuję się stosować do jego wskazówek.

- Czy uczył cię, byś była ślepa na błędy innych? - zapytała desperacko Caroline.

- Wcale nie. Ale był lekarzem i nauczył mnie szukać przyczyn, a nie tylko widzieć symptomy. I dlatego kiedy ktoś zachowuje się dziwacznie, zaczynam się zastanawiać, z jakiego powodu tak postępuje; zawsze znajdzie się istotna przyczyna. Czy zwróciłaś na przykład kiedyś uwagę, że ktoś, kto nie czuje się dobrze, bardzo często bywa w złym humorze?

Caroline natychmiast przytaknęła.

- Moi bracia byli źli jak osy, kiedy coś im choć trochę dolegało.

- I o to właśnie mi chodzi: twoi bracia nie byli złymi ludźmi, tylko że kiedy nie czuli się dobrze, zaczynali się złościć.

- Sądysz więc, że lord Fielding jest chory?

- Nie sądzę, aby był bardzo szczęśliwy, a to można przyrównać do złego samopoczucia. Pomijając już tę sprawę, mój ojciec nauczył mnie także przykładać większą wagę do tego, co człowiek robi, niż do tego, co mówi. Jeżeli spojrzeć na lorda Fieldinga w tym świetle, to okazał mi wiele życzliwości. Dał mi dom i więcej pięknych strojów, niż mogłabym zużyć przez całe moje życie, i nawet pozwolił zabrać ze sobą Wilka.

- Musisz chyba nieprzeciętnie dobrze rozumieć ludzi - zauważyła cicho Caroline.

- Nie, wcale nie - zaoponowała z żalem Victoria. - Często wpadam w złość i równie łatwo jest mnie zranić jak innych. Dopiero potem przypominam sobie, że powinnam

próbować zrozumieć, dlaczego dana osoba mogła potraktować mnie tak a nie inaczej.

- I nie boisz się lorda Fieldinga, nawet kiedy się gniewa?

- Tylko troszkę - przyznała ze smutkiem Victoria. - Ale nie widziałam go od naszego przyjazdu do Londynu. Może więc jedynie dlatego czuję się taka dzielna, że dzieli nas spora odległość.

- Już nie - zauważyła Caroline, wskazując znacząco głową elegancki, lakierowany na czarno, ozdobiony złotym herbem na drzwiczkach powóz, który czekał na Upper Brook Street pod numerem szóstym. - Ten czarny powóz z herbem należy do lorda Fieldinga - wyjaśniła, kiedy Victoria spojrzała na nią bez zrozumienia. - A drugi, który zatrzymał się za nim, jest jednym z naszych, co oznacza, że mój mąż musiał zakończyć swoje sprawy wcześniej i postanowił sam po mnie przyjechać.

Na wieść, że przyjechał Jason, serce Victorii jakoś tak dziwnie drgnęło. Przypisała natychmiast ową reakcję poczuciu winy, że rozmawiała o nim z Caroline.

Obydwaj dżentelmeni znajdowali się w salonie i przysłuchiwali się uprzejmie, kiedy panna Flossie dręczyła ich przydługim, chaotycznym monologiem na temat postępów, jakie poczyniła Victoria w ciągu ostatnich dwóch tygodni; monolog naszpikowany był obficie pełnymi zachwytu uwagami, dotyczącymi pierwszego balu panny Wilson przed pięćdziesięcioma laty. Victoria rzuciła jedno spojrzenie na napięte rysy pana domu i doszła do wniosku, że najchętniej udusiłby starszą panią.

- Victorio! - zawołała jej przyzwoitka, radośnie klaszcząc w dłonie. - Wreszcie wróciłaś! Opowiadałam panom, z jakim talentem grasz na fortepianie, i doczekać się wprost nie mogą, by cię usłyszeć. - Radośnie nieświadoma sardonicznego wyrazu, który pojawił się na twarzy Jasona, kiedy usłyszał, że „wprost doczekać się nie może”, panna Flossie podprowadziła swą podopieczną do fortepianu i uparła się, by ta od razu coś zagrała.

Victoria bezradnie usiadła na stołku i zerknęła na Jasona, który skupił się na wyskubywaniu jakiegoś strzępka z nogawki przepięknie skrojonych, ciemnoniebieskich spodni. Był niewiarygodnie przystojny, uświadomiła sobie, i przeszedł ją następny dreszcz zdenerwowania, które jeszcze dziesięciokrotnie się wzmogło, gdy lord Fielding z leniwym, kpiącym uśmiechem podniósł na nią oczy.

- Nie spotkałem jeszcze damy, która potrafiłaby pływać, strzelać, oswajać dzikie zwierzęta i - zakończył - grać na fortepianie. Posłuchajmy, jak sobie pani z tym poradzi.

Victoria zorientowała się po jego tonie, że spodziewał się, iż będzie grała słabo i bardzo pragnęła uniknąć recitalu w tej chwili, kiedy nie wiadomo czemu była taka zdenerwowana.

- Pan Wilhelm udzielał mnie i Dorothy lekcji i w ten sposób rewanżował się mojemu ojcu za leczenie chorych płuc, ale moja siostra jest dużo lepszą pianistką niż ja. Dopiero od dwóch tygodni trochę gram, przedtem nie ćwiczyłam przez całe miesiące i wciąż jeszcze nie odzyskałam wprawy - wyjaśniała pośpiesznie, starając się usprawiedliwić. - Beethoven w moim wykonaniu jest najwyżej średni, a...

Niewielka nadzieja, jaką miała na odroczenie popisu, prysnęła, kiedy pan domu uniósł zaczepnie brew i pokazał znacząco głową na klawiaturę.

Victoria westchnęła i poddała się z rezygnacją.

- Czy jest coś, co szczególnie chcieliby panowie usłyszeć?

- Beethovena - rzucił Jason sucho.

Posłała mu rozpaczliwe spojrzenie, na które tylko szerzej się uśmiechnął, po czym pochyliła głowę i przygotowała się do spełnienia jego prośby. Przebiegła na próbę palcami po klawiaturze, a potem przerwała i dłonie jej zawisły nad instrumentem. Kiedy je znowu opuściła, pokój zadźwięczał wibrującą, rozlewną melodią i triumfalnym crescendo beethovenowskiej sonaty f - moll na fortepian, która eksplodowała pod palcami dziewczyny całą swą mocą, potęgą i śpiewną słodyczą.

W holu przed salonem Northrup przestał czyścić srebrną wazę, z rozkoszą przymknął oczy i słuchał w zachwycie. W przedpokoju O'Malley przestał besztuć podwładnego i przechylił głowę na bok w kierunku salonu, uśmiechając się na dźwięk radującej duszę muzyki, rozlegającej się w domu lorda Fieldinga.

Kiedy Victoria skończyła, wszyscy w pokoju zaczęli impulsywnie klaskać, poza Jasonem, który z ironicznym uśmiechem na ustach odchylił się w fotelu.

- Czy posiada pani jeszcze jakieś „najwyżej średnie” umiejętności? - zażartował, ale w jego oczach Victoria dojrzała szczerą pochwałę, co napełniło ją absurdalnie wielką radością.

Caroline i jej mąż wyszli wkrótce potem, obiecując, że spotkają się następnego wieczora na balu, a panna Flossie odprowadziła ich do drzwi. Victoria, zostawszy sam na sam z lordem Fieldingiem, poczuła się nie wiadomo dlaczego onieśmielona i z miejsca zaczęła coś mówić, żeby to ukryć.

- Ja... zaskoczyło mnie, kiedy pana tu zobaczyłam.

- Chyba nie sądziła pani, że będę się trzymał z daleka podczas jej debiutu? - droczył się z nią z olśniewającym uśmiechem. - Wie pani, nie zatraciłem tak do końca poczucia przyzwoitości. Mamy być zaręczeni. Jakby to wyglądało, gdybym się tu nie pojawił?

- Milordzie... - zaczęła Victoria.

- Jakże to miło zabrzmiało - zauważył ze śmiechem. - Tyle szacunku. Nigdy wcześniej

tak się pani do mnie nie zwracała.

W spojrzeniu, które rzuciła mu Victoria, surowość mieszała się ze śmiechem.

- Nie zrobiłabym tego i teraz, gdyby nie to, że panna Flossie całymi dniami wbijała mi do głowy, jaki kto ma tytuł i jak się do kogo zwracać. Jednak, co zaczynałam właśnie mówić, nie bardzo umiem oszukiwać, i potwornie nieswojo się czuję, wmawiając ludziom, że jesteśmy zaręczeni. Wujek Charles nie chce słuchać żadnych moich zastrzeżeń, ale mnie się wydaje, że to udawanie w ogóle nie jest dobrym pomysłem.

- Nie jest - zgodził się stanowczo Jason. - Istnieje jednak powód, dla którego powinna pani pokazać się w tym sezonie: trzeba mianowicie przedstawić panią potencjalnym kandydatom na męża...

Victoria już otwierała usta, żeby upierać się, że to Andrew będzie jej mężem, ale Jason uniósł dłoń w górę i dokończył ostatnie zdanie:

- Trzeba panią przedstawić potencjalnym kandydatom do małżeństwa, na wypadek gdyby Ambrose nie przybył pani na ratunek.

- Andrew - poprawiła go Victoria. - Andrew Bainbridge.

Fielding lekceważąco wzruszył ramionami.

- Jeżeli ktoś poruszy temat naszych zaręczyn, chcę, by pani mówiła to samo co ja.

- To znaczy co?

- Że nie wszystko jeszcze zostało do końca ustalone albo że nie zna mnie pani wystarczająco dobrze, by mieć pewność, że obdarzyła mnie pani uczuciem. W ten sposób nie zatrzęsniemy drzwi przed innymi konkurentami, a nawet Charles nie będzie mógł wysuwać zastrzeżeń.

- Naprawdę wolałabym powiedzieć prawdę, że wcale nie jesteśmy zaręczeni.

Jason przesunął dłonią po karku, z irytacją masując napięte mięśnie.

- Nie może pani. Jeżeli ktoś z nas w tej chwili się wycofa, tak szybko po pani przyjeździe do Anglii, da to początek wielkiej ilości niesympatycznych domysłów, które z nas się wycofało i dlaczego.

Victoria przypomniała sobie, jak Caroline opisywała jej nastawienie londyńskiego świata do lorda Fieldinga i natychmiast domyśliła się, co ci ludzie pomyśleliby, gdyby to ona się wycofała. Kiedy popatrzyła na całą sprawę od tej strony, chętnie zgodziła się nadal udawać, że są zaręczeni. Za nic na świecie nie odpłaciłaby Jasonowi za jego życzliwość i wielkoduszność, pozwalając komukolwiek sądzić, że jako przyszły mąż okazał się dla niej wstrętny czy przerażający.

- Bardzo dobrze - zgodziła się. - Będę mówiła, że sprawy między nami nie do końca

jeszcze zostały ustalone.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił ją. - Charles przeżył już jeden niemal śmiertelny atak i ma słabe serce. Nie chcę go martwić bez powodu, a powziął nieodwołalne postanowienie, że dopilnuje, by pani dobrze wyszła za mąż.

- Ale co się z nim stanie, kiedy przyjedzie Andrew, żeby mnie zabrać z powrotem? - Oczy Victorii rozszerzyły się z lęku, bo przyszedł jej na myśl jeszcze jeden problem. - I co ludzie sobie pomyślą, kiedy ja... ja pana porzucę, żeby wyjść za Andrew?

Oczy Jasona zabłyśły rozbawieniem na ten dobór słów.

- Jeżeli dojdzie do tego, powiemy, że dotrzymuje pani wcześniejszych zobowiązań, które zaaranżował pani ojciec. W Anglii obowiązkiem córki jest wychodzić za mąż zgodnie z wolą rodziców i wszyscy to rozumieją. Charles będzie za panią tęsknił, lecz jeżeli uwierzy, że będzie pani szczęśliwa, złagodzi to cios. Jednak - dodał - nie sądzę, by miało się tak stać. Charles opowiadał mi o Bainbridge'u i zgadzam się z opinią, że prawdopodobnie jest to słaby mężczyzna pod pantoflem matki. Kiedy była pani w Ameryce, mogła pani wzmacniać jego odwagę i determinację, jednak pod pani nieobecność najpewniej nie będzie miał dość siły, by sprzeciwić się matce i przyjechać po panią.

- Och, na litość... - wybuchnęła Victoria, doprowadzona do rozpaczki tym, jak źle oceniał Andrew.

- Jeszcze nie skończyłem - przerwał jej Jason autorytatywnym tonem. - Jest dla mnie również oczywiste, że pani ojciec nie wydawał się entuzjastycznie nastawiony do tego, abyście się pobrali, jeżeli obstawał przy separacji, mającej wystawić na próbę wasze wzajemne uczucia, a przecież znaliście się przez całe życie. W chwili śmierci ojca nie była pani zaręczona z Bainbridge'em, Victorio - zakończył nieustępliwie. - Tak więc jeżeli ten młody człowiek pojawi się u nas, będzie musiał zdobyć sobie moją aprobatę, zanim pozwolę pani za niego wyjść i wrócić do Ameryki.

Victoria nie wiedziała, czy śmiać się, czy wściekać na jego tupet.

- I pan ma czelność...! - parsknęła, a myśli kłębiły jej się w głowie. - Nigdy go pan nie widział, lecz już pan zdecydował, że wie, jakim jest człowiekiem. Do tego mówi pan, że nie wolno mi z nim wyjechać, jeżeli go pan nie zaaprobuje, pan, który prawie wyrzucił mnie bez pardonu z domu tego dnia, gdy przyjechałam do Wakefield! - Wszystko to było tak absurdalne, że zaczęła się śmiać. - Wie pan, nigdy nie mam bladego pojęcia, co pan robi czy powie, żeby mnie zaskoczyć. Nie wiem, na czym stoję, kiedy chodzi o pana.

- Wystarczy, że przez następne kilka tygodni - powiedział Jason, a kąciki ust zadrgały mu wesoło w reakcji na jej śmiech - poogląda pani sobie tegoroczny korowód londyńskich

fircyków, wybierze tego, który się pani spodoba i przyprowadzi go do mnie po błogosławieństwo. Nic nie mogłoby być prostsze, będę codziennie tu pracował w moim gabinecie.

- Tutaj? - wykrztusiła Victoria. Udało jej się powstrzymać pełen przerażenia chichot, słysząc wskazówki dotyczące tego, jak powinna zabrać się do szukania męża. - Miałam wrażenie, że zamierzał pan zatrzymać się w domu wuja Charlesa.

- Zamierzam tam spać, ale pracować będę tutaj. Dom Charlesa jest bardzo niewygodny. Meble są stare, a pokoje w przeważającej części małe i ciemne. Poza tym, dopóki jest pani pod opieką odpowiedniej przyzwoitki, a tak jest, nikomu nie przyjdzie na myśl nic złego, jeżeli będę tu spędzał dni. Nie ma żadnego powodu, bym miał zaniedbywać pracę. A skoro już mówimy o przyzwoitkach, czy Flossie Wilson udało się już zagadać panią na śmierć?

- Ona jest bardzo słodka - zaproponowała Victoria, ponownie usiłując powstrzymać się od śmiechu.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem, by kobieta tyle gadała, mając tak niewiele do powiedzenia.

- Ma dobre serce.

- Prawda - zgodził się z roztargnieniem, jego uwaga skupiła się z kolei na zegarze. - Umówiłem się na dziś wieczór do opery. Kiedy Charles wróci, niech mu pani powie, że byłem i że zjawię się jutro na czas, by powitać gości.

- Bardzo dobrze. - Victoria rzuciła mu zuchwałe, roześmiane spojrzenie i dodała: - Jednak ostrzegam pana, że ogromnie się ucieszę, kiedy Andrew przyjedzie i będzie pan zmuszony przyznać, że bardzo się pan mylił.

- Proszę na to nie liczyć.

- Och, ale ja liczę na to. Poproszę panią Craddock, żeby upiekła placek z wronami. Za to, że pan tak krakał, zmuszę pana, żeby go pan zjadł i będę się temu przyglądać.

Zaskoczony Jason patrzył w milczeniu na jej uniesioną w górę, roześmianą twarz.

- Nie boi się pani niczego, prawda?

- Nie boję się pana - oznajmiła pogodnie.

- A powinna się pani bać - odpowiedział i z tą enigmatyczną uwagą wyszedł.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Już niemal wszyscy przybyli - entuzjasmowała się podniecona panna Flossie, kiedy Ruth kończyła układać fryzurę Victorii. - Czas na twoje wielkie wejście, moja droga.

Dziewczyna podniosła się posłusznie, ale nogi miała jak z waty.

- Wolałabym stać razem z wujem Charlesem i lordem Fieldingiem, by z nimi witać gości, i po kolei wszystkich poznać. Nie denerwowałabym się tak bardzo.

- Ale nawet w przybliżeniu nie byłoby to tak efektowne - odrzekła beztróska panna Flossie.

Victoria rzuciła ostatnie krytyczne spojrzenie na swoje odbicie, wzięła wachlarz, który podawała jej Ruth, i lekko uniosła suknię.

- Jestem gotowa - powiedziała drżącym głosem.

Kiedy przechodziły przez podest, przystanąła, by spojrzeć na foyer na parterze, które na cześć jej balu zmienione zostało w cudowny ogród kwiatowy, z gigantycznymi donicami paproci i olbrzymimi koszami białych róż. Potem nerwowo zaczerpnęła powietrza i weszła po krętych schodach, które prowadziły na górę, na następne piętro, gdzie znajdowała się sala balowa. Lokaje, w paradnych, zielonych aksamitnych liberiach, obszytych złotą plecionką, stali na baczność wzdłuż schodów pod wysokimi srebrnymi stojakami z następnymi bukietami białych róż. Victoria uśmiechała się do służących, których znała, i kiwała uprzejmie głową pozostałym. Na samej górze miał stanowisko O'Malley, główny lokaj, i Victoria zapytała go cicho:

- Czy dokuczał panu jeszcze ząb? Proszę nie omieszkąć mi powiedzieć, gdyby pana znowu bolał, przygotuję kolejną porcję mikstury.

O'Malley uśmiechnął się do niej szeroko, z oddaniem, nie tracąc kontenansu.

- Nie sprawiał mi żadnych kłopotów, od kiedy jaśnie panienka przygotowała poprzednią.

- Bardzo dobrze, ale niech pan nie próbuje cierpieć w milczeniu, gdyby się znowu zaczęło, dobrze?

- Dobrze, jaśnie panienko. - Zaczekał, aż Victoria zniknie za zakrętem, potem odwrócił się do stojącego obok lokaja. - Wspaniała, czyż nie?

- Dama w każdym calu - zgodził się tamten. - Dokładnie tak, jak pan mówił od samego początku.

- Bardzo nam tu wszystkim życie rozjaśni - przepowiadał O'Malley - i naszemu panu

też, kiedy już zagrzeje jego łożo. Da mu dziedzica, a to go uszczęśliwi.

Northrup stał na galerii z widokiem na salę balową, wyprostowany jak struna, gotów zapowiadać nazwiska wszystkich spóźnionych gości, którzy przejdą pod marmurowym portalem obok niego. Kiedy Victoria się zbliżyła, nogi się pod nią ugiwały.

- Niech mi pan da chwilkę, żebym złapała oddech - błagała go. - A potem może pan nas zaanonsować. Okropnie jestem zdenerwowana - zwierzyła mu się cicho.

Surowa maska kamerdynera prawie, chociaż nie do końca, pękła w uśmiechu, gdy okiem eksperta obrzucał zapierającą dech w piersi młodą damę, którą miał przed sobą.

- Kiedy będzie pani łapać oddech, jaśnie panienko, czy pozwoli pani, że powiem, z jakim wielkim zadowoleniem słuchałem, gdy wczoraj po południu grała pani sonatę Beethovena? To mój prawie ulubiony utwór.

Victoria poczuła się tak zadowolona i zaskoczona niespodziewaną serdecznością tego srogięgo sługi, że niemal zapomniała o hałaśliwym, roześmianym tłumie na dole w sali balowej.

- Dziękuję panu - powiedziała, uśmiechając się łagodnie. - A jaki jest pana najbardziej ulubiony utwór?

Northrup wyglądał na wstrząśniętego jej zainteresowaniem, ale odpowiedział.

- Zagram go jutro dla pana - obiecała mu ze słodyczą.

- To naprawdę bardzo uprzejmie ze strony jaśnie panienki! - odrzekł sztywno z oficjalnym ukłonem. Ale kiedy odwrócił się, by ją zaanonsować, jego głos dźwięczał dumą:

- Lady Victoria Seaton, hrabianka Langston - zawołał - i panna Florence Wilson!

Jakby grom przetoczył się przez tłum: oczekiwanie stłumiło śmiech, urwały się rozmowy, około pięciuset gości odwróciło się niemal jak jeden, żeby tak naprawdę po raz pierwszy popatrzeć na tę urodzoną w Ameryce dziewczynę, która teraz nosiła tytuł swojej matki i którą wkrótce jeszcze bardziej pożądanym tytułem obdarzyć miał lord Fielding.

Zobaczyli egzotyczną postać o tycjanowskich włosach, w fałdzistej, mieniącej się sukni w stylu greckim, z szafirowego jedwabiu, który odcieniem pasował do jej lśniących oczu i opływał łagodnie szczupłe, zmysłowe ciało. Długie rękawiczki opinały ręce, lśniące włosy opadające do tyłu gęstymi, błyszczącymi lokami, przeplecione były sznurami szafirów i diamentów. Zobaczyli twarz o rzeźbionych rysach i niezapomnianej urodzie, o wysokich, delikatnie ukształtowanych policzkach, z idealnym noskiem, wielkodusznymi ustami i maleńkim, intrygującym dołeczkiem na samym środku brody.

Nikt z patrzących nie uwierzyłby, że pod tą królewską, młodą pięknnością kolana niemal się uginają ze strachu.

Kiedy Victoria schodziła po schodach, morze bezimiennych twarzy, które wpatrywały się w nią z uwagą, wydawało się rozstępować i nagle z tłumu wychynął Jason. Wyciągnął rękę, a dziewczyna automatycznie położyła na niej dłoń, ale oczy, które na niego zwróciła, rozszerzone były z lęku.

Jason pochylił się, jakby chciał jej szepnąć jakiś cichy komplement i powiedział:

- Umiera pani ze strachu, prawda? Czy chce pani, bym zaczął teraz przedstawiać pani te setki ludzi, czy też wolałaby pani ze mną zatańczyć i pozwolić im zakończyć dokładne oględziny pani osoby?

- Co za wybór! - odszepnęła Victoria ze zduszonym śmiechem.

- Każę zacząć grać - postanowił rozsądnie i skinieniem głowy dał znak muzykom. Poprowadził ją na parkiet i wziął w ramiona, kiedy orkiestra zagrała pierwsze tony pompatycznego walca. - Czy umie pani tańczyć walca? - zapytał nagle.

- Co za moment na takie pytanie! - parsknęła śmiechem, tak zdenerwowana, że bliska hysterii.

- Victorio! - zwrócił się do niej surowo, choć z olśniewającym uśmiechem na konto baczenie przyglądających się im widzów. - Jest pani tą samą młodą kobietą, która groziła, że palnie mi prosto w łeb ze strzelby. Niech pani teraz nie ośmieli się okazać tchórzem.

- Nie, milordzie - odpowiedziała, rozpaczliwie usiłując dotrzymać mu kroku, gdy zaczął ją prowadzić w pierwszych figurach walca. Tańczył, pomyślała, z tą samą swobodną elegancją, z jaką nosił swe wspaniale uszyte, wieczorowe ubranie.

Nagle ścisnął ją mocniej w tali, aż znalazła się blisko jego potężnego ciała, i ostrzegł cichym głosem:

- Istnieje taki zwyczaj, że tańcząca para prowadzi rozmowę albo oddaje się nieszkodliwemu flirtowi; jeżeli tego nie robi, widzowie postrzegają to jako oznakę, że partnerzy się nie lubią.

Zdenerwowana Victoria wpatrywała się w niego, usta wyschły jej na wiór.

- Niechże pani coś do mnie, do diabła, powie.

Na przekleństwo wypowiedziane z tak promiennym, ugrzecznionym uśmiechem, z ust dziewczyny mimo woli wyrwał się śmiech i chwilowo zapomniała o obserwujących ich gościach. Usiłując zastosować się do polecenia, wypowiedziała pierwszą uwagę, która jej przyszła na myśl:

- Bardzo dobrze tańczy pan walca, milordzie.

Jason uspokoił się i uśmiechnął do niej.

- Chyba ja powinienem powiedzieć to pani.

- Wy, Anglicy, macie przepisy, które regulują absolutnie wszystko - odparowała Victoria z udawanym podziwem.

- Tak się składa, że pani również jest Angielką, madame - przypomniał jej, a potem dodał: - Panna Flossie bardzo dobrze nauczyła panią tańczyć walca. Czego jeszcze się pani nauczyła?

Victoria, troszkę urażona jego założeniem, że wcześniej nie umiała tańczyć walca, rzuciła mu beztroski uśmiech i powiedziała:

- Mogę pana zapewnić, że posiadam już wszystkie umiejętności, które Anglicy uważają za konieczne u młodej damy, dobrze urodzonej i wytwornej.

- To znaczy? - zapytał Jason z szerokim uśmiechem, słysząc jej ton.

- Oprócz znajomości gry na fortepianie umiem też czysto śpiewać, tańczyć walca, nie wywracając się przy tym, i haftować pięknym ścięgiem. Na dodatek potrafię czytać po francusku i z zimną krwią złożyć odpowiedni w sali tronowej ukłon. Wydaje mi się - zauważyła zuchwale - że w Anglii pożądane jest, żeby kobieta była istotą krańcowo beużyteczną.

Jason odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem na tę uwagę. Victoria stanowiła zdumiewające połączenie intrygujących kontrastów: wyrafinowania i niewinności, kobiecości i odwagi, zmysłowej urody i nieodpartego poczucia humoru. Jej ciało jakby zostało stworzone dla męskich dłoni, oczy mogły doprowadzić mężczyznę do szaleństwa z pożądania, uśmiech potrafił być słoneczny albo zmysłowy, a usta wprost prosiły się, by je całować.

- To nieuprzejme tak się w kogoś wpatrywać - zwróciła mu uwagę, bardziej skupiona na zachowaniu pozorów, że dobrze się bawi, niż na tym, w co się wpatrywał.

Jason oderwał spojrzenie od jej ust.

- Przepraszam.

- Mówił pan, że oczekuje się po nas, iż podczas tańca będziemy flirtować - przypomniała mu figlarnie. - Nie mam w tej materii żadnego doświadczenia, a pan?

- Aż w nadmiarze - odparł, podziwiając rumieńce, którymi płonęły jej policzki.

- Bardzo dobrze, niech mi więc pan pokaże, jak się to robi.

Zaskoczony tym zaproszeniem popatrzył w dół, w okolone ciemnymi rzęsami, śmiejące się niebieskie oczy i na moment zatonął w nich całkowicie. Pożądanie gorącą falą przepłynęło przez jego ciało, a ramię automatycznie przyciągnęło ją jeszcze bliżej.

- Nie potrzebuje pani lekcji - zamruczał ochryple. - Bardzo dobrze sobie pani radzi.

- Z czym?

Wyraźne zakłopotanie dziewczyny przywróciło Jasonowi rozum. Rozluźnił uścisk.

- Z pakowaniem się w dużo większe problemy, niż się pani spodziewała.

Stojący z boku młody lord Crowley uniósł *face - a - main* i obejrzał sobie lady Victorię od stóp do głów.

- Znakomita - powiedział do przyjaciela. - Mówiłem ci to, jak tylko ujrzeliśmy ją tamtego dnia, kiedy przyjechała na Brook Street. Nigdy nie widziałem kobiety, mogącej się z nią równać. Jest boska. Niebiańska. Anioł.

- Piękność, prawdziwa piękność! - zgodził się lord Wildshire.

- Gdyby nie Wakefield, sam bym ruszył do niej w konkury - oznajmił Crowley. - Przystąpiłbym do oblężenia fortyfikacji, zwyciężył pozostałych konkurentów, a potem ruszył w pościg!

- Mógłbyś - oznajmił, błaznując, lord Wildshire - ale żeby ją złapać, musiałbyś być o dziesięć lat starszy i dwadzieścia razy bogatszy. Chociaż z tego, co słyszałem, sprawa małżeństwa nie do końca została ustalona.

- Wobec tego postaram się, by mnie jej dziś przedstawiono.

- Ja również - zareagował zaczepnie lord Wildshire i obydwaj ruszyli pośpiesznie na poszukiwanie swych matek, by zgodnie z obyczajem zawrzeć znajomość z hrabianką.

Victoria na swym pierwszym balu odniosła niekwestionowany sukces. Obawiała się, że reszta *ton* będzie bardzo podobna do lady Kirby, ale większość obecnych chyba z sympatią przyjęła ją w swe ekskluzywne szeregi. Niektórzy, a zwłaszcza dżentelmeni, byli nawet aż zabawnie wylewni, kiedy prawili jej komplementy i okazywali względy. Otaczali ją kółkiem, prosili, by ich przedstawiono i by zatańczyła z nimi, a potem tkwili u jej boku i szli ze sobą w zawody, który zwróci na siebie większą uwagę, i błagali, by pozwoliła złożyć sobie wizytę. Victoria nie traktowała tego wszystkiego poważnie, choć do każdego z adoratorów odnosiła się uprzejmie i przyjaźnie.

Sporadycznie udawało jej się dostrzec Jasona i wtedy uśmiechała się doń z sympatią. Wyglądał tego wieczoru tak pięknie, że dech w piersiach zapierało, w kruczoczarnym wieczorowym stroju, który pasował do koloru włosów i ostro kontrastował ze śnieżnobiałą koszulą z żabotem i błyskającymi w uśmiechu zębami. Inni mężczyźni wydawali się przy nim bladzi i bez znaczenia.

Podobne zdanie miało też wiele kobiet, z czego zdała sobie sprawę Victoria w cztery godziny później, kiedy tańczyła z kolejnym partnerem. Kilka z obecnych dam w oburzający sposób flirtowało z lordem Fieldingiem, chociaż przecież miał być z nią zaręczony. Ze skrywanym współczuciem przyglądała się, jak piękna blondynka zaglądała Jasonowi kusząco w oczy, usiłując skupić na sobie jego uwagę, kiedy stał, opierając się niedbale ramieniem o

filar, z protekcyjnalnie znudzonym wyrazem na opalonej twarzy.

Aż do tego wieczora Victoria zakładała, że tylko w stosunku do niej miał tak doprowadzające do szału, żartobliwe nastawienie, ale zdała sobie teraz sprawę, że Jason wszystkie chyba kobiety traktuje z chłodną tolerancją. Bez wątpienia to właśnie zachowanie miała na myśli Caroline, kiedy mówiła, że jest niegrzeczny i nie można go uznać za dżentelmena. A mimo to przyciągał damy niczym niebezpieczny płomień ładne ćmy. I czemu nie, doszła do filozoficznego wniosku dziewczyna, przyglądając się, jak lord Fielding delikatnie wyplątuje dłoń z ręki blondynki i podchodzi do Roberta Collingwooda. Jason był tak nieodparcie, porywająco, fascynująco... męski.

Collingwood popatrzył na przyjaciela i wskazał mu głową adoratorów Victorii, którzy zebrali się wokół Flossie Wilson, czekając, aż młoda dama powróci z parkietu.

- Jeżeli zamierzasz wydać ją za kogoś innego - zauważył - nie będziesz musiał długo czekać. Właśnie stała się królową sezonu.

- I dobrze - odpowiedział Jason, rzucając okiem na tłum adoratorów Victorii i zbywając ich wzruszeniem ramion.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przepowiednia Roberta na temat sukcesu lady Victorii okazała się prawdziwa. W dzień po balu dwunastu dżentelmenów i siedem młodych dam złożyło hrabiance wizytę, nalegając, by przyjęła ich zaproszenia i błagając, by pozwoliła z bliska przyjrzeć się Wilkowi. Northrup był w siódmym niebie, kiedy wprowadzał gości do różnych salonów, wyprowadzał ich i ostro wydawał polecenia lokajom, roznoszącym tace z herbatą.

Wreszcie o dziewiątej podano kolację, ale Victoria czuła się zbyt wyczerpana, by nawet pomyśleć o wzięciu udziału w jakimś balu czy wieczorku, na które zapraszali ją odwiedzający. Poprzedniej nocy położyła się do łóżka już prawie o świcie i teraz oczy jej się zamykały, kiedy leniwie dłubała łyżeczką w deserze na swoim talerzu. A Jason, wręcz przeciwnie, wyglądał równie świeżo i energicznie jak zwykle, chociaż całe popołudnie pracował w swoim gabinecie.

- Victorio, odniosłaś ostatniego wieczoru oszałamiający sukces - powiedział, przenosząc uwagę z Charlesa na nią. - Nie ma wątpliwości, że Crowley i Wildshire zgłupieli na twoim punkcie. Podobnie jak lord Makepiece, a jego w tym sezonie chciałyby złowić każda panna.

Senne oczy dziewczyny zabłyśły śmiechem.

- To szczególne wyrażenie przywodzi mi na myśl halibuty!

W chwilę później przeprosiła panów i poszła się położyć. Jason życzył jej dobrej nocy. Zaśmiał się z żarciku Victorii i wciąż jeszcze widać było na jego ustach rozbawienie. Potrafiła rozjaśnić cały pokój uśmiechem, nawet jeżeli był senny. Pod jej naturalnym obyciem kryła się słodycz, lecz także inteligencja. Pociągnął łyczek brandy, przypominając sobie, jak poprzedniego wieczoru oczarowała towarzystwo swą urodą i wesołością. A już do reszty zawojowała Northrupa, zagrawszy specjalnie dla niego tego wieczoru Mozarta. Kiedy skończyła, stary kamerdyner miał łzy w oczach. Ciąg dalszy nastąpił, gdy poszła po O'Malleya i zagrała dla niego porywającą irlandzką gigę. W końcu przed bawialnią zebrało się z tuzin służących, którzy ociągali się ze swymi zajęciami, żeby móc słuchać jej zaimprovizowanego koncertu. Zamiast kazać im się rozejść do swoich obowiązków, co Jason właśnie miał zamiar zrobić, dziewczyna odwróciła się i zapytała, czy mają jakieś ulubione utwory, które mogłaby dla nich zagrać. Znała każdego z obecnych po nazwisku; wypytywała ich o zdrowie i o rodziny. A chociaż w oczywisty sposób była zmęczona, jej występ przy fortepianie trwał ponad godzinę.

Jason uświadomił sobie, że cała służba jest Victorii oddana. Lokaje uśmiechali się i ze skóry wychodzili, żeby ją zadowolić, pokojówki biegiem spełniały najdrobniejsze życzenia. A ona z wdziękiem dziękowała każdemu z nich za wszystkie usługi. Potrafiła postępować z ludźmi; z równą łatwością podbijała serca baronów i kamerdynerów, może dlatego, że jednych i drugich traktowała z tym samym szczerem, życzliwym zainteresowaniem.

Obracał leniwie w palcach nóżkę kieliszka z brandy. Bez Victorii jadalnia nagle wydała mu się ponura i pusta. Nie zdając sobie sprawy, że Charles przygląda mu się z zadowolonym błyskiem w oku, Jason siedział i z marsmem na twarzy wpatrywał się w pusty fotel dziewczyny.

- Jest niezwykłą młodą kobietą, prawda? - podsunął w końcu książę.

- Tak.

- Zachwycająco piękna, i do tego dowcipna. Nie widziałem, żebyś się przez cały rok śmiał tyle co od przyjazdu Victorii do Anglii! Nie zaprzeczaj, ta dziewczyna jest jedyna w swoim rodzaju.

- Nie zaprzeczam - odparł Jason, przypominając sobie jej intrygujący talent, by w zależności od nastroju i otoczenia wyglądać na hrabiankę, dojarkę, zagubione dziecko albo wyrafinowaną kobietę.

- Jest urocza i niewinna, a jednocześnie pełna werwy i ognia. Odpowiedni mężczyzna mógłby z niej zrobić namiętną, kochającą żonę, która rozplomieniłaby jego łożę i życie. - Książę przerwał, ale jego syn milczał. - Ten jej Andrew nie zamierza się z nią ożenić - ciągnął dalej znaczącym tonem. - Nie mam co do tego wątpliwości. Gdyby zamierzał, byłby się z nią już skontaktował. - Przerwał znowu i znowu Jason się nie odezwał. - Bardziej żałuję tego tam Andrew niż Victorii - dodał Charles z przebiegłą determinacją. - Żał mi każdego mężczyzny, który jest na tyle głupi, że ignoruje tę jedną kobietę na tysiąc, która naprawdę mogłaby go uszczęśliwić. Jasonie - zapytał w końcu - czy ty w ogóle zważasz na to, co mówię?

Ten rzucił mu niecierpliwie spojrzenie.

- Słyszałem każde słowo. Ale co to wszystko ma wspólnego ze mną? - zapytał bez zrozumienia.

- Co to wszystko...? - Charles zaczął bełkotać z irytacji. Ugryzł się w język i ciągnął dalej, już bardziej ostrożnie. - Ma to mnóstwo wspólnego z tobą i ze mną też. Victoria jest młodą, niezamężną damą. Nawet w obecności Flossie jako przyzwoitki nie może tu mieszkać bez końca z jednym kawalerem, podczas gdy drugi spędza w tym samym domu całe dnie. Jeżeli będziemy taką sytuację kontynuowali dłużej niż przez kilka najbliższych tygodni, ludzie przyjmą, że wasze zaręczyny to zwykłe mydlenie oczu, a w rzeczywistości dokonaleś

następnego podboju. A kiedy tak się stanie, zaczną ją zupełnie lekceważyć. Chyba nie chcesz przysporzyć dziewczynie upokorzenia, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie - odrzekł Jason, z roztargnieniem wpatrując się w swój kieliszek z brandy.

- No więc jest tylko jedno wyjście: musi wyjść za mąż, i to szybko. - Księżę czekał, ale jego syn milczał. - Czyż nie, Jasonie?

- Przypuszczam, że tak.

- A więc za kogo powinna wyjść? - zapytał z triumfem Charles. - Kto mógłby zrobić z niej kochającą, namiętną kobietę? Komu potrzebna jest żona, by ogrzała jego łóżko i dała mu spadkobiercę?

Poirytowany lord Fielding wzruszył ramionami.

- A skąd, u diabła, miałbym wiedzieć? To nie ja jestem w tej rodzinie swatem, tylko pan.

Charles zagapił się na niego.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że nie potrafisz wskazać tego jednego jedynego mężczyzny, za którego powinna wyjść?

Jason przechylił kieliszek z brandy do ust i szybko wysączył zawartość do dna, potem odstawił go ze stanowczym stuknięciem na stół i gwałtownie wstał.

- Victoria potrafi śpiewać, grać na fortepianie, dygać i szyć - podsumował, rozstrzygając sprawę. - Musi pan więc znaleźć człowieka z dobrym słuchem, doceniającego damską urodę i kochającego psy. Ale proszę upewnić się, czy ma on łagodne usposobienie, bo jeżeli nie, to Victoria doprowadzi go do rozstroju nerwowego. Takie to proste, i tyle. - A kiedy Charles wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, dodał niecierpliwie: - Mam sześć majątków, którymi trzeba kierować, całą flotę statków, z którymi nie powinienem tracić kontaktu, i ze sto innych drobiazgów, nad którymi muszę się skupić. Zajmę się tym wszystkim. Pan zaś niech zajmie się znalezieniem męża dla Victorii. Będę w tym pomagał i zabiorę ją na kilka balów oraz wieczorków w ciągu następnego tygodnia czy dwóch. Już wywołała sensację. Jeśli jeszcze pokażemy ją na kilku przyjęciach w mieście, będzie miała tylu konkurentów, że nie będzie pan wiedział, co z nimi robić. Proszę im się przyjrzeć, kiedy będą składali wizyty, i sporządzić spis najbardziej pożądanых kandydatów. Przejrzę tę listę i któregoś wybiorę.

Poniósłszy klęskę, księżę przygarbił się ze znużeniem.

- Jak sobie życzysz.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nie widziałem, żeby jakaś kobieta wywołała takie poruszenie, od kiedy Caroline została zaprezentowana towarzystwu - powiedział Robert Collingwood, uśmiechając się szeroko do Jasona. Ten bal odbywał się w tydzień po pierwszym. Stali obydwoj i przypatrywali się Victorii. - Wprawiała w ruch wszystkie języki w mieście. Czy naprawdę powiedziała Roddy'emu Carstairsowi, że pobije go w strzelaniu z jego własnego pistoletu?

- Nie - odparł sucho Jason. - Powiedziała mu, że jeżeli jeszcze raz będzie się do niej zalecał w nieprzystojny sposób, to go zastrzeli, a jeżeli zdarzy jej się chybić, poszczuje na niego Wilka. A jeśli Wilk z nim nie skończy, to żywi głębokie przekonanie, że zrobię to ja. - Roześmiał się i potrząsnął głową. - Po raz pierwszy się zdarza, by nominowano mnie do roli bohatera. Poczuję się jednak nieco zmartwiony, że zająłem dopiero drugie miejsce po psie.

Robert Collingwood rzucił mu dziwne spojrzenie, ale Jason tego nie zauważył. Przyglądał się Victorii. Obstąpili ją niemal zwartym kręgiem adoratorzy, którzy ubiegali się o jej względy. Stała pogodnie wśród nich niczym królowa o tycjanowskich włosach w otoczeniu pełnych uwielbienia dworzan, odziana w bładoniebieską, jedwabną suknię z dobranymi pod kolor rękawiczkami do łokci, a włosy rozsypywały jej się na ramiona w bujnych, swawolnych splotach. Całą salę balową zdominowała swym czarującym wyglądem.

Przyglądając jej się, Jason zauważył, jak lord Warren, który kręcił się tuż obok dziewczyny, zapuszcza żurawia w głąb sporego, zaokrąglonego dekoltu jej sukni. Twarz mu pobladała z gniewu.

- Przepraszam cię - powiedział z napięciem do przyjaciela. - Warren i ja musimy zamienić parę słów.

I wtedy po raz pierwszy *ton* był świadkiem wstrząsającej sceny, która wielokrotnie miała się powtarzać w ciągu najbliższych dwóch tygodni, kiedy lord Wakefield niczym gniewny jastrząb spadał na jakiegoś nadgorliwego amanta, którego nadskakiwanie lady Victorii nadmiernie zaczynało rzucać się w oczy.

W trzy tygodnie po pierwszym balu Victorii księżę wszedł do gabinetu Jasona.

- Przygotowałem listę kandydatów na męża dla Victorii, którą chciałeś obejrzeć - oznajmił głosem człowieka, który został zmuszony do spełnienia niemiłego obowiązku i teraz pragnie już raz z nim skończyć. - Chciałbym ją przeanalizować razem z tobą.

Jason podniósł wzrok znad raportu, który właśnie czytał, i oczy mu się zwięziły na widok arkusza papieru w dłoni księcia.

- Jestem w tej chwili zajęty.

- Niemniej chciałbym ją z tobą przejrzeć. Praca nad jej przygotowaniem okazała się wyjątkowo niemiła. Wybrałem kilku możliwych do przyjęcia kandydatów, lecz nie był to łatwy obowiązek.

- Jestem pewien, że nie - zgodził się sardonicznie Fielding. - Nie znalazłoby się w Londynie takiego fircyka czy głupka, który nie uganiałby się za Victorią. - Powiedziawszy to, skupił się ponownie na raporcie. - No proszę, niech pan czyta te nazwiska, skoro trzeba.

Marszcząc czoło ze zdumienia na tak lekceważące nastawienie Jasona, Charles zajął miejsce naprzeciw niego przy biurku i włożył okulary.

- Po pierwsze, mamy młodego lorda Crowleya, który już prosił mnie o pozwolenie, by mógł o nią zabiegać.

- Nie. Zbyt impulsywny - stwierdził Jason stanowczo.

- Jakież masz powód, by tak mówić? - zapytał Charles nieco zdezorientowany.

- Crowley nie zna Victorii na tyle dobrze, by chcieć „o nią zabiegać”, jak to pan oryginalnie ujął.

- Nie bądźże śmieszny. Pierwszych czterech panów z tej listy już poprosiło mnie, bym pozwolił im o nią się starać, oczywiście pod warunkiem, że ty nie będziesz sobie rościł do niej praw w sposób nieodwołalny.

- Nie, dla wszystkich czterech, z tego samego powodu - oznajmił lakonicznie Fielding i odchylił się do tyłu w fotelu, pochłonięty trzymanym w ręku raportem. - Kto jest następny?

- Przyjaciół Crowleya, lord Wildshire.

- Za młody. Kto następny?

- Arthur Landcaster.

- Za niski - rzucił zagadkowo Jason. - Następny?

- William Rogers - rzucił książkę zaczepnym tonem. - Ma konserwatywne poglądy, jest wysoki, dojrzały, inteligentny i przystojny. Jest również spadkobiercą jednej z najwspanialszych fortun Anglii. Wydaje mi się, że bardzo dobrze pasowałby do Victorii.

- Nie.

- Nie? - wybuchnął Charles. - Dlaczego nie?

- Nie podoba mi się sposób, w jaki Robert siedzi na koniu.

- Nie podoba ci się... - powtórzył książkę z gniewnym niedowierzaniem; potem popatrzył na nieustraszoną twarz syna i westchnął. - Bardzo dobrze. Następny na liście jest lord Terrence. On wyjątkowo dobrze trzyma się w siodle, a w dodatku to wspaniały człowiek. Jest również wysoki, przystojny, inteligentny i bogaty. A więc - zakończył triumfalnie - jakie

ci się uda znaleźć w nim wady?

Szczęki Jasona zacisnęły się groźnie.

- Nie lubię go.

- To nie ty masz za niego wyjść! - odparł Charles, podnosząc głos.

Jego syn szarpnął się do przodu w fotelu i grzmotnął dłonią o biurko.

- Powiedziałem, że go nie lubię - powtórzył przez zaciśnięte zęby. - I na tym koniec.

Gniew na twarzy księcia powoli ustępował miejsca zaskoczeniu, a potem pozbawionemu wesołości uśmiechowi.

- Nie chcesz jej sam, ale nie chcesz też, by miał ją ktoś inny, czy tak?

- To prawda - odpowiedział cierpko Jason - że jej nie chcę.

Od drzwi za ich plecami dobiegł cichy, rozwścieczony głos Victorii.

- Ja pana też nie chcę!

Obydwaj mężczyźni gwałtownie odwrócili głowy, ale kiedy dziewczyna podchodziła bliżej, jej wspaniałe niebieskie oczy skupiały się wyłącznie na niewzruszonej twarzy Jasona. Oparła dłonie na biurku, pierś jej falowała w bolesnym, gniewnym poruszeniu.

- Skoro zadaje pan sobie tyle trudu, by się mnie pozbyć, dołożę wszelkich starań, by znaleźć kilku panów, którzy mogliby zastąpić Andrew, jeżeli on po mnie nie przyjedzie. Ale pan nigdy nie będzie do nich należał! Nie wydaje się pan wart nawet jednej dziesiątej tego, co on. On jest łagodny, życzliwy i dobry, podczas gdy pan jest zimny, cyniczny i zarozumiały i... taki bastard z pana!

Na słowo „bastard” w oczach Jasona gwałtownie zapłonęła furia.

- Na pani miejscu - zareplikował niskim, wściekłym głosem - zacząłbym już szukać tych zastępców, ponieważ stary, poczciwy Andrew nie bardziej panią chce niż ja.

Victoria, nieznośnie upokorzona, okręciła się na pięcie i wyszła sztywno z pokoju, opanowana jedną tylko myślą: musi w jakiś sposób udowodnić Jasonowi Fieldingowi, że są mężczyźni, którzy jej pragną, i to bardzo. Nigdy, przenigdy już nie pozwoli sobie na to, by mu zaufać. Przez ostatnie tygodnie jej czujność została uspijona i zaczęła uważać tego mężczyznę za przyjaciela. Wydawało jej się nawet, że ją polubił. Przypomniała sobie, jak go nazwała, i upokorzenie jej wzrosło w dwójnasób. Jak mogła dopuścić do tego, by sprowokował ją do rzucania wyzwisk!

Kiedy wyszła, książę odwrócił się do Jasona.

- Gratulacje - powiedział z goryczą. - Pragnąłeś, by tobą pogardzała, od dnia kiedy pojawiła się w Wakefield, i teraz już wiem dlaczego. Widziałem, jak jej się przyglądałeś, kiedy sądziłeś, że nikt nie patrzy. Pragniesz jej i obawiasz się, że w chwili słabości poprosisz

ją, by za ciebie wysz...

- Dość!

- Pragniesz jej - ciągnął dalej rozwścieczony Charles - pragniesz jej, zależy ci na niej i nienawidzisz siebie za tę słabość. No cóż, teraz już nie musisz się martwić, upokorzyłeś ją tak bardzo, że nigdy ci tego nie wybaczy. Obydwoje mieliście rację. Ty jesteś bękartem, a Andrew nie zamierza po nią przyjechać. Możesz się napawać swoim zwycięstwem, Jasonie. Nie musisz się już martwić własną słabością. Victoria znienawidzi cię jeszcze bardziej, gdy tylko zda sobie sprawę, że Andrew nie zamierza przyjechać. Ciesz się swoim triumfem!

Jason wziął do ręki raport, który czytał wcześniej. Twarz miał lodowatą.

- Proszę na przyszły tydzień przygotować następną listę i przynieść mi ją.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Książę przekonał się, że obowiązek wybrania najlepszych kandydatów z rosnącej liczby konkurentów do ręki Victorii w celu przygotowania następnej listy jest jeszcze trudniejszy niż poprzednim razem. Pod koniec tygodnia dom przy Upper Brook Street aż pachniał od bukietów, znoszonych przez całą procesję rozentuzjasmowanych adoratorów, z których każdy miał nadzieję, że właśnie on zostanie wyróżniony i zaskarbi sobie łaski dziewczyny.

Nawet elegancki Francuz, markiz de Salle, znalazł się pod jej urokiem, nie tyle pomimo bariery językowej, ile może raczej dzięki niej. Pojawił się pewnego dnia w domu Jasona w towarzystwie swego przyjaciela, barona Arnoffa, i jeszcze jednego znajomego dżentelmena, który zatrzymał się, by złożyć Victorii poranną wizytę.

- Pani francuszczyzna jest doskonała - kłamał markiz z uprzejmą, nic nieznaczącą galanterią, rozsądnie przechodząc na angielski i siadając na wskazanym mu fotelu.

Dziewczyna spojrzała na niego z wesołym niedowierzaniem.

- Jest okropna - oznajmiła z żalem. - Przekonałam się, że te nosowe dźwięki, które trzeba wymawiać we francuszczyźnie, są dla mnie niemal równie trudne do naśladowania jak gardłowa intonacja Apaczów.

- Apacze? - zapytał uprzejmie markiz. - A co to jest?

- To pewien szczep Indian amerykańskich.

- Amerykańskie dzikusy? - powtórzył za nią rosyjski baron, legendarny kawalerzysta z carskiej armii. Wyraz znudzenia na jego twarzy zmienił się w pełne zachwyty zainteresowanie. - Doszły mnie słuchy, że te dzikusy wspaniale jeżdżą konno. Czy to prawda?

- Znałam tylko jednego Indianina, panie baronie, a on był już raczej stary i bardziej uprzejmy niż dziki. Mój ojciec znalazł go w lasach i przyprowadził do nas, by przywrócić mu zdrowie. Nazywał się on Bystra Rzeka i został potem kimś w rodzaju asystenta mego ojca. Wracając jednak do pana pytania, chociaż był tylko na wpół Apaczem, konno jeździł rzeczywiście znakomicie. Miałam dwanaście lat, gdy po raz pierwszy zobaczyłam, jak pokazuje różne sztuki, i aż zaniemówiłam ze zdumienia. Nie używał siodła...

- Na oklep! - wykrzyknął baron.

Victoria przytaknęła.

- Apacze siodła nie mają.

- A jakie sztuczki potrafił robić? - zapytał markiz, dużo bardziej zainteresowany

zachwycającą twarzą dziewczyny niż słowami.

- Kiedyś Bystra Rzeka kazał mi położyć na środku pola chusteczkę, a potem ruszył ku niej pełnym galopem. Kiedy był już blisko, puścił rzemienne wodze, pochylił się na bok i podniósł chusteczkę, a koń wcale nie zwolnił biegu. Mnie też nauczył to robić - przyznała ze śmiechem.

Baron, który mimo woli był pod wrażeniem, powiedział:

- Zanim uwierzę, musiałbym to zobaczyć. Nie przypuszczam, by mogła mi pani pokazać, jak to się robi?

- Nie, przykro mi. Najpierw trzeba konia wytresować na modłę Apaczów.

- A może mogłaby pani nauczyć mnie jednego czy dwóch słów w ich języku? - przekomarzał się z nią markiz z przymilnym uśmiechem. - Ja za to mógłbym poćwiczyć z panią francuski.

- Pana propozycja jest bardzo uprzejma - odpowiedziała Victoria - ale wcale nie byłoby to sprawiedliwe, ponieważ powinnam wiele się nauczyć, a niewiele nauczyć potrafię. Bardzo mało pamiętam słów, których mnie uczył Bystra Rzeka.

- Z pewnością umiałaby pani nauczyć mnie jakiegoś zwrotu? - obstawał przy swoim markiz, uśmiechając się do jej błyszczących oczu.

- Nie, naprawdę...

- Nalegam.

- A więc dobrze - skapitulowała z westchnieniem. - Jeżeli pan nalega. - Wypowiedziała kilka gardłowych dźwięków i spojrzała na markiza. - A teraz proszę spróbować to powtórzyć.

Udało mu się idealnie już za drugim razem i uśmiechnął się zadowolony.

- A co to znaczy? - zapytał. - Co ja powiedziałem?

- Powiedział pan - odrzekła Victoria, patrząc na niego ze skruchą - „Ten człowiek depcze po moim orle”.

- Depcze po moim... - Markiz, baron i cała reszta zebranych w salonie gości zaczęli pokładać się ze śmiechu.

Następnego dnia rosyjski baron i francuski markiz wrócili, by zasilić szeregi wielbicieli dziewczyny, co niesłychanie zwiększyło jej prestiż i popularność.

Tam, gdzie przebywała Victoria, słychać było śmiech i odgłosy ożywionej wesołości. W całej jednak pozostałej części domu panowało wibrujące, groźne napięcie, które miało swe źródło w lordzie Fieldingu i rozpostartymi mackami obejmowało wszystkich obecnych. Tydzień mijał za tygodniem, liczba adoratorów Victorii podwajała się raz za razem, a nastrój

Jasona zmieniał się z groźnego na morderczy. Gdziekolwiek się znalazł, widział coś, z czego był niezadowolony. Skrzyczał kucharkę, że za często przygotowuje jego ulubione danie; zbeształ pokojówkę za pyłek, odkryty pod poręczą; zagroził, że odprawi lokaja, któremu obluzował się guzik przy surducie.

W przeszłości lord Fielding był wymagającym, surowym, ale również rozsądnym panem. Teraz natomiast sprawiał wrażenie, jakby w żaden sposób nie dało się go zadowolić, a każdy służący, który na niego trafił, mógł spodziewać się jadowej reprimendy. Niestety, im bardziej niemożliwy robił się pan domu, tym szybciej i gorliwiej starali się pracować służący i tym bardziej stawali się przy tym nerwowi i niezręczni.

Kiedyś wszystko w domach Jasona działało gładko jak dobrze naoliwiona maszyna. Teraz służba pomykała to tu, to tam, lokaje zderzali się ze sobą, chcąc w rozpaczliwym pośpiechu wypełnić swoje obowiązki, by uniknąć tłącej się nieustannie furii swego pracodawcy. Ich rozedrgany pośpiech doprowadził do tego, że ktoś upuścił bezcenną chińską wazę, a ktoś inny rozlał w jadalni wiadro brudnej wody na dywan z Aubusson. W całym domu zapanował ogólny chaos.

Victoria zauważyła napięcie wśród służby, ale kiedy ostrożnie poruszyła ten temat z Jasonem, oskarżył ją, że „próbuję wzniecić powstanie”, a potem w jadowej tyradzie wyrzucał jej, ile to hałasu robią goście, kiedy on próbuje pracować, i że do mdłości doprowadza go zapach tych wszystkich kwiatów, które przynoszą odwiedzający.

Dwa razy księżę próbował omówić z synem drugą listę konkurentów, lecz usłyszał tylko grubiańskie polecenie, by wyniósł się z gabinetu i trzymał z daleka.

A kiedy zjadliwą reprimendę od Jasona otrzymał sam Northrup, cały dom zaczął wprost iskrzyć od pełnego grozy napięcia, które rozładowało się nagle pewnego popołudnia, w pięć tygodni po pierwszym balu Victorii. Jason pracował w gabinecie i zawołał Northrupa, który właśnie miał włożyć do wazonu świeżo przyniesiony dla dziewczyny bukiet kwiatów.

Kamerdyner wołał nie kazać swemu rozdrażnionemu panu czekać i popędził do gabinetu z bukietem w ręku.

- Tak, wielmożny panie? - zapytał niespokojnie.

- Jakże miło - odezwał się Jason sarkastycznie. - Następne kwiaty? Dla mnie? - I zanim Northrup zdążył odpowiedzieć, dodał jadowicie: - Cały ten cholerny dom śmierdzi kwiatami! Pozbądź się tego bukietu, a potem powiedz Victorii, że chcę się z nią widzieć i przynieś mi to cholerne zaproszenie na dzisiejszą wieczorną imprezę u Frigleyów. Nie mogę sobie przypomnieć, o której się to zaczyna. Potem powiedz mojemu kamerdynerowi, żeby niezależnie od pory przygotował mi wieczorowy strój. No? - warknął. - Na co czekasz? Rusz

się!

- Tak, wielmożny panie. Już idę. - Stary sługa wypadł do holu i zderzył się z O'Malleyem, którego Jason dopiero co zbeształ za to, że buty mu za słabo błyszczą.

- Nigdy go jeszcze nie widziałem w takim nastroju - sapnął O'Malley do Northrupa, który wciskał bukiet do wazonu, żeby zaraz potem pójść po lady Victorię. - Wielmożny pan posłał mnie po herbatę, a potem skrzyczał, że powinienem był przynieść mu kawę.

- Wielmożny pan - zauważył wyniośle jego przełożony - nie pija herbaty.

- Powiedziałem mu to, kiedy o nią prosił - odparł O'Malley z goryczą - a on stwierdził, że jestem zuchwały.

- Bo jesteś - odrzekł Northrup, podtrzymując wrogość, która od dwudziestu lat kwitła pomiędzy nim a irlandzkim lokajem, i z uśmiechem wyższości się oddalił.

W małym saloniku Victoria wpatrywała się odrętwiała w list, który właśnie otrzymała od pani Bainbridge. Oczy ją piekły, a słowa się zamazywały.

... Nie potrafię wyrazić tego w żaden delikatny sposób, ale Andrew ożenił się ze swoją kuzynką w Szwajcarii. Usiłowałam ostrzec Cię przed tym prawdopodobnym wydarzeniem, zanim wyjechałaś do Anglii, ale zdecydowałaś się nie wierzyć w moje słowa. Teraz jednak musisz pogodzić się z faktem, więc proponuję, być rozejrzana się za bardziej odpowiednim mężem dla dziewczyny o Twojej pozycji.

- Nie! Proszę! - szeptała Victoria, a jej nadzieje i marzenia rozsypywały się w pył; razem z nimi traciła wiarę we wszystkich ludzi. W myśli widziała przystojną, roześmianą twarz Andrew, który pędził obok niej na koniu: „Nikt nie jeździ tak jak ty, Tory...”. Przypomniła sobie pierwszy lekki pocałunek w swoje szesnaste urodziny: „Gdybyś była starsza - szepnął cicho - dałbym ci pierścionek, a nie bransoletkę...”.

- Kłamca! - powiedziała do siebie Victoria łamiącym się głosem. - Kłamca! - Gorące łzy paliły ją w oczy, przelały się na policzki i kapały powoli na papier.

Northrup wszedł do salonu i oznajmił uroczyście:

- Lord Fielding chciałby jaśnie panienkę zobaczyć w swoim gabinecie, a lord Crowley właśnie przyjechał. Pytał, czy znalazłaby panienka dla niego... - Głos zamarł mu w pełnym szoku milczeniu, gdy Victoria uniosła pozbawione nadziei, zalane łzami oczy, a potem zerwała się, zakryła twarz rękami i mijając go, wybiegła z pokoju. Kiedy ruszyła z holu na górę po schodach, z piersi wyrwał jej się cichy, udręczony szloch.

Northrup podążał za nią przerażonym spojrzeniem, a potem automatycznie schylił się i podniósł list, który spadł jej z kolan. W przeciwieństwie do pozostałych służących, do których dochodziły tylko strzępy rozmów państwa, stary kamerdyner wtajemniczony był w o

wiele więcej spraw i nigdy nie wierzył w to, o czym przekonana była reszta domu, że lady Victoria poślubi lorda Fieldinga. Co więcej, sam słyszał kilkakrotnie, jak powtarzała, że zamierza wyjść za mąż za dżentelmena z Ameryki.

To nie ciekawość, tylko przerażenie skłoniło go, że rzucił okiem na list, by przekonać się, jakie groźne wieści pograżyły jaśnie panią w tak głębokiej rozpacz. Przeczytał i zamknął oczy, dzieląc smutek dziewczyny.

- Northrup! - zagrział lord Fielding ze swego gabinetu.

Niczym automat kamerdyner posłuchał wezwania.

- Czy powiedziałeś Victorii, że chcę się z nią widzieć? - zapytał jego pan. - Co tam masz... czy to ten list od lady Frigley? Daj mi go. - Wyciągnął rękę, a źrenice zwęziły mu się niecierpliwie, kiedy zeszywniały kamerdyner podchodził bardzo powoli do biurka. - Co się z tobą, u diabła, dzieje? - spytał, wyrывая list z ręki służącego. - Czym ten papier jest taki poplamiony?

- Łzami - wyjaśnił Northrup. Stał wyprostowany, jakby kij połknął; odwrócił wzrok i patrzył na ścianę.

- Łzami? - powtórzył lord Fielding i zmrużywszy oczy, popatrzył na zamazane słowa. - To nie jest tamto zaproszenie, to jest... - W pokoju zapadło milczenie, kiedy Jason w końcu uświadomił sobie, co czyta, i wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Skończył i uniósł pełne gniewu oczy na kamerdynera. - Musiał prosić matkę, aby zawiadomiła jego narzeczoną, że ożenił się z kimś innym. Mięczakowaty sukksyn! Northrup przełknął ślinę.

- Mam dokładnie to samo zdanie.

Po raz pierwszy od niemalże miesiąca w głosie jego pana nie było słychać rozdrażnienia.

- Pójdę z nią porozmawiać - powiedział. Odepchnął fotel od biurka i udał się do sypialni Victorii.

Jak zwykle nie odpowiedziała na jego pukanie i jak zwykle Jason wziął sprawy we własne ręce - wszedł bez pozwolenia. Zamiast płakać w poduszkę, dziewczyna wpatrywała się w okno, twarz miała śmiertelnie bladą, ramiona tak sztywne i wyprostowane, że Jason czuł niemal ów bolesny wysiłek, z jakim trzymała się tak prosto. Zamknął za sobą drzwi i zawahał się w nadziei, że jak zwykle skomentuje cierpko fakt, iż bez zaproszenia wtargnął do jej pokoju, lecz kiedy się w końcu odezwała, głos jej był przerażająco spokojny i pozbawiony emocji.

- Proszę, niech pan wyjdzie.

Jason zignorował to i podszedł bliżej.

- Victorio, tak mi przykro... - zaczął, ale przerwał, widząc, jak w jej oczach zapala się płomienny gniew.

- Założę się, że jest panu przykro! Niech się pan jednak nie martwi, milordzie, nie zamierzam tu pozostać i być dla pana ciężarem!

Wyciągnął ręce, chcąc ją przytulić, ale wzdrygnęła się przed jego dotknięciem i odskoczyła jak oparzona.

- Niech mnie pan nie dotyka! - syknęła. - Niech się pan nie ośmieli mnie dotknąć! Nie chcę, by dotykał mnie jakikolwiek mężczyzna, a zwłaszcza pan. - Rozdygotana, powoli zaczerpnęła powietrza, najwyraźniej próbując odzyskać panowanie nad sobą, a potem ciągnęła dalej z wahaniem: - Zastanawiałam się, w jaki sposób mogę na siebie zapracować. Ja... nie jestem aż tak bezradna, jak pan sądzi - mówiła dzielnie. - Jestem doskonałą szwaczką. Madame Dumosse, która szyła moje suknie, wspominała nieraz, jak trudno jej znaleźć odpowiednio wyszkolone, chętne pracownice. Może będzie mogła dać mi pracę...

- Niech pani nie będzie śmieszna! - uciął Jason. Gniew go ogarnął, że gdy tylko pojawiła się w Wakefield, wypomniał jej bezradność i teraz, kiedy chciał ją pocieszyć, rzuciła mu to prosto w twarz.

- Och, jaka ja jestem śmieszna - wykrztusiła Victoria. - Hrabianka bez grosza, bez domu i już nawet bez dumy. Nie wiem nawet, czy będę na tyle zręcznie władać igłą, by...

- Proszę przestać! - przerwał jej z napięciem w głosie. - Nie pozwolę, by pracowała pani jako zwykła szwaczka, i kropka. - Kiedy zaczęła coś mówić, uciął jej protesty. - Czy odwdzięczy się pani Charlesowi i mnie za gościnność, robiąc nam wstyd wobec całego Londynu?

Ramiona Victorii pochylily się, potrząsnęła głową.

- Dobrze. A zatem proszę już skończyć z tymi bzdurami o pracy dla madame Dumosse.

- A więc co mam zrobić? - szepnęła, patrząc mu prosto w twarz przepełnionymi bólem oczami.

Po twarzy Jasona przemknął jakiś dziwny wyraz; zacisnął szczęki, jakby siłą powstrzymywał się, by czegoś nie powiedzieć.

- Proszę zrobić to, co zawsze robią kobiety - poradził jej szorstko po długiej chwili ciszy. - Wyjść za mężczyznę, który będzie w stanie utrzymywać panią na takim poziomie, do jakiego pani przywykła. Charles otrzymał już z pół tuzina deklaracji. Niech pani wyjdzie za któregoś z konkurentów.

- Nie chcę wychodzić za mąż za kogoś, o kogo w ogóle nie dbam - odparła Victoria z

przebłyskiem stanowczości.

- Zmieni pani zdanie - odrzekł Jason z zimną pewnością.

- Może powinnam - przyznała Victoria urywanym głosem. - Przywiązanie do ludzi za bardzo boli. Ponieważ potem oni cię zdradzają i... Och, Jasonie, niech mi pan powie, co we mnie jest takiego okropnego - zawołała, a jej pełne rozpaczy oczy zrobiły się olbrzymie i błagalne. - Pan mnie nienawidzi, a Andrew...

Jego opanowanie pękło. Objął dziewczynę ramionami i mocno przycisnął do piersi.

- Niczego okropnego w pani nie ma - szeptał, gładząc ją po włosach. - Andrew to tchórzliwy głupiec. A ja jestem jeszcze większym głupcem niż on.

- Wolał kogoś innego ode mnie - płakała w jego ramionach. - A to tak bardzo boli, gdy się o tym wie.

Zamknął oczy i przełknął z wysiłkiem.

- Wiem - szepnął.

Przemoczyła Jasonowi gors koszuli swymi gorącymi łzami, a one z kolei zaczęły nadtapiać lód, który od lat otaczał serce tego mężczyzny. Trzymając Victorię opiekuńczo w ramionach, czekał, aż łkania w końcu przycichną; potem musnął wargami jej skroń i szepnął:

- Czy pamięta pani, jak pytała mnie pani w Wakefield, czy możemy być przyjaciółmi?

Victoria przytaknęła, mimo woli ocierając się policzkiem o jego pierś.

- Bardzo bym tego chciał - mruzczał ochryple Jason. - Czy mógłbym dostać jeszcze jedną szansę?

Victoria uniosła głowę i popatrzyła na niego niepewnie. Potem skinęła głową.

- Dziękuję - odpowiedział z cieniem uśmiechu na twarzy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W ciągu następnych kilku tygodni Victoria doświadczyła pełnej gamy odczuć, wywołanych zdradą Andrew. Na początku była urażona, potem zła, a w końcu ogarnęła ją tępa, bolesna świadomość straty. Ale okazując wiele siły i determinacji, poradziła sobie z jego odejściem i stawiała czoło bolesnej świadomości, że jej dawne życie skończyło się na zawsze. Nauczyła się w samotności, po cichu opłakiwać wszystko, co pozostawiła za sobą, a potem wkładać najlepszą suknię i przywoływać na twarz najbardziej promienny uśmiech dla przyjaciół i znajomych.

Udawało jej się dobrze ukrywać emocje przed wszystkimi poza Jasonem i Caroline Collingwood, którzy śpieszyli jej z pomocą, każde na swój sposób: Caroline zajmowała Victorię niekończącą się ilością imprez towarzyskich, a Jason niemal na wszystkie ją prowadził.

Przeważnie traktował dziewczynę protekcyjnie, niczym starszy brat, zabierał na przyjęcia, do teatru, do opery, a potem, kiedy już się tam znaleźli, zostawiał, by bawiła się z przyjaciółmi, i spędzał czas w swoim własnym gronie. Był jednak uważny i opiekuńczy, gotów niczym jastrzęb spaść na każdego adoratora, którego nie aprobował, i odpędzić go. A kilku z nich wręcz nie znosił. Victorii, która teraz знаła już jego reputację szokującego rozpustnika, wydawało się zabawne, kiedy Jason mroził lodowatym spojrzeniem jakiegoś nadgorliwego wielbiciela i dotąd wpatrywał się w nieszczęśliwca, aż ten mamrotał przeprosiny i pospiesznie się wycofywał.

Innym osobom z towarzystwa zachowanie markiza Wakefielda wydawało się nie tyle zabawne, ile osobliwe, a nawet odrobinę podejrzane. Nikt nie wierzył, by ta para miała się pobrać, skoro adoratorzy lady Victorii byli nadal mile widziani w domu Fieldinga, który nie przestawał powtarzać, że zaręczyny nie są jeszcze sprawą do końca przesądzoną. A ponieważ w dodatku zaręczyny owe ogłoszono, zanim hrabianka stanęła na angielskiej ziemi, panowało powszechne przekonanie, że związek został zaaranżowany przez podupadającego na zdrowiu księcia (który otwarcie okazywał im obojgu swoją sympatię) i że para młodych podtrzymuje pozory narzeczeństwa ze względu na niego.

Teraz jednak tę teorię zaczęła zastępować inna, nie tak życzliwa. Od samego początku kilku ortodoksów wygłaszało zastrzeżenia dotyczące warunków, w jakich mieszkała hrabianka, ale ponieważ wydawała się taką słodką dziewczyną, a lord Fielding nie okazywał jej szczególnych względów, nikt inny wątpliwości nie zgłaszał. Jednak im częściej Jason

pokazywał się z Victorią publicznie, tym bardziej nasilały się plotki, że osławiony lord Fielding postanowił ją następną wciągnąć na listę swych podbojów, o ile już tego nie zrobił.

W najbardziej jadowitych insynuacjach posuwano się nawet do tego, by dawać do zrozumienia, że zaręczyny są wyłącznie poręczną osłoną dla rozpustnych stosunków, utrzymywanych tuż pod nosem nieszczęsnej panny Flossie Wilson. Tę kalumnię powtarzano, ale mało kto w nią wierzył, a powód był prosty: chociaż lord Fielding często odprowadzał Victorię, nie zachowywał się w typowy dla kochanka, zaborczy sposób. Co więcej, lady Victoria zdobyła sobie też bardzo wielu zagorzałych obrońców, łącznie z hrabiną Collingwood i jej wpływowym mężem; oboje hrabiostwo poczytywali za krańcową osobistą ujmę, jeśli ktokolwiek ośmielił się choćby słowem krytykować hrabiankę Langston.

Victoria świadoma była tego, ile zaciekawienia wzbudzają jej stosunki z Jasonem, nie była też ślepa na fakt, iż tak wiele osób z towarzystwa mu nie ufa. Kiedy nowi, elegancy znajomi przestali być dla niej obcy, z dużo większym wyczuleniem zaczęła dostrzegać subtelne zmiany, które pojawiały się na ich twarzach zawsze, kiedy Jason był w pobliżu. Zachowywali się w stosunku do niego podejrzliwie, ostrożnie i mieli się na baczności. Początkowo sądziła, że tylko jej się wydaje, iż ludzie sztywnieją w jego obecności i stają się bardziej oficjalni, jednak nie była to sprawa wyobraźni. Niekiedy do jej uszu dochodziły różne wypowiedzi, tu czy tam podchwycone słowo, strzępy plotek: dawał się w nich słyszeć ton złej woli albo przynajmniej dezaprobaty.

Caroline ostrzegała ją, że ludzie boją się Jasona i nie ufają mu. Pewnego wieczoru starała się ją ostrzec również Dorothy.

- Tory, Tory, to ty! - zawołała siostra, przepychając się przez tłum, który otaczał Victorię przed rezydencją lordostwa Pothamów, gdzie właśnie rozpoczynał się bal.

Victoria, która nie widziała się z Dorothy, od kiedy zeszyły ze statku, popatrzyła na nią zamglonymi ze wzruszenia oczami, a siostra przytuliła ją mocno i opiekuńczo.

- Gdzie ty się podziewałaś! - wyrzucała jej czule Victoria. - Tak rzadko pisziesz, że myślałam, iż nadal „wieśniaczejesz” na prowincji.

- Babcia i ja wróciłyśmy przed trzema dniami do Londynu - tłumaczyła jej pośpiesznie siostra. - Byłabym się od razu do ciebie wybrała, tylko że babcia nie życzy sobie, bym utrzymywała z tobą najlżejszy nawet kontakt. Wypatrywałam cię wszędzie, gdzie byliśmy. Ale to bez znaczenia. Mam niewiele czasu, moja przyzwoitka lada chwila będzie mnie szukała. Powiedziałam jej, że chyba zobaczyłam przyjaciółkę babci i pragnę jej przekazać pozdrowienia. - Obejrzała się niespokojne przez ramię, zbyt zmartwiona przyzwoitką, by zauważyć, że wielbiciele Victorii z ciekawością jej się przyglądają. - Och, Tory, nie posiadam

się wprost ze zmartwienia! Wiem, że Andrew zachował się wobec ciebie jak nędznik, lecz nie wolno ci nawet myśleć o poślubieniu markiza Wakefielda! Nie możesz wyjść za tego człowieka. Nie możesz! Nikt go nie lubi, musisz o tym wiedzieć. Słyszałam, jak lady Faulklyn, dama do towarzystwa babci, opowiadała o nim, i wiesz, co mówiła?

Victoria odwróciła się bokiem do chciwie słuchającej widowni.

- Dorothy, lord Fielding okazał mi bardzo wiele życzliwości. Nie prosź mnie, bym uwierzyła w jakieś niesympatyczne plotki, ponieważ tego nie zrobię. Pozwól natomiast, bym ci przedstawiła...

- Nie teraz! - przerwała jej z desperacją siostra, tak przejęta, że nie zwracała niemal uwagi na nic innego. Próbowwała szeptać, ale przyciszonego głosu nie byłoby słychać w panującym wokół zgiełku, więc musiała mówić głośniej.

- Czy wiesz, co ludzie opowiadają o Wakefieldzie? Lady Faulklyn oświadczyła, że w ogóle by go nie przyjmowano w towarzystwie, gdyby nie był Fieldingiem. Jego reputacja jest poniżej wszelkiej krytyki. Wykorzystuje kobiety dla własnych niegodziwych celów, a potem odwraca się do nich plecami! Ludzie się go obawiają, i ty też powinnaś go się bać! Powiadają... - Urwała, kiedy z powozu, który czekał na ulicy, wysiadła jakaś starsza dama i skierowała się w tłum, najwyraźniej kogoś szukając. - Muszę już iść. To jest lady F.

Dorothy pobiegła, by przeciąć drogę starszej pani, a Victoria przyglądała się, gdy obydwie wsiadły do powozu.

Stojący obok niej pan Warren zażył szczyptę tabaki.

- Ta młoda dama ma całkowitą rację, wie pani - wycedził.

Victoria, oderwana od pełnych tęsknoty myśli o Dorothy, popatrzyła z niesmakiem na fircykowatego młodzieńca, robiącego wrażenie, jakby mógł przestraszyć się nawet własnego cienia, a potem przeniosła spojrzenie na niespokojne twarze pozostałych *beaux*, do których niewątpliwie doszły słowa jej siostry.

Poczuła nagle gniewną pogardę dla nich wszystkich. Żaden nie przepracował uczciwie ani jednego dnia, jak to robił Jason. Byli niemądrymi, płytkimi, do przesady wystrojonymi kukłami, które z bardzo oczywistego powodu rozkoszowały się, słysząc, jak ktoś krytykuje lorda Fieldinga, gdyż był znacznie bogatszy od nich i mimo swojej podejrzaney opinii cieszył się dużo większym wzięciem udam.

Niebezpieczny błysk w oczach dziewczyny zadawał kłam jej promiennemu, zalotnemu uśmiechowi, kiedy spytała:

- Ależ proszę pana, czyżby pan niepokoił się o moje dobro?

- Tak, milady, i nie jestem w tym odosobniony.

- Cóż za krańcowy absurd! - kpiła Victoria. - Jeżeli woli pan usłyszeć prawdę, a nie niemądre plotki, to powiem panu. Prawdą jest, że przyjechawszy tutaj, byłam sama na świecie i nie miałam ani bliskiej rodziny, ani majątku. Byłam całkowicie uzależniona od Jego Wysokości i lorda Fieldinga. A teraz - ciągnęła dalej z niewzruszonym uśmiechem - chciałabym, by mi się pan uważnie przyjrzał. - Ze szczerym rozbawieniem, od którego aż łaskotało ją w środku, patrzyła, jak niemądry młodzieniec przykłada do oka *face - a - main* i dosłownie stosuje się do jej polecenia. - Czy wyglądam na kogoś, kogo źle traktowano? - ciągnęła niecierpliwie. - Czy ktoś mnie próbował zamordować we śnie? Nie, nic się takiego nie stało! Natomiast właśnie lord Fielding użyczył mi swego pięknego, komfortowego domu i ofiarował ochronę, jaką daje jego nazwisko. Mówiąc zupełnie szczerze, proszę pana, przekonana jestem, że wiele kobiet w Londynie marzy w tajemnicy o tym, sądząc z moich obserwacji, by je tak „źle potraktował” ów właśnie dżentelmen. Co więcej, uważam również, że to zazdrość wobec niego stanowi źródło wszystkich tych śmiesznych płotek.

Pan Warren zaczerwienił się, a Victoria popatrzyła na pozostałych dżentelmenów i dodała płomiennie:

- Gdyby panowie znali lorda Fieldinga tak, jak ja go znam, przekonaliby się panowie szybko, że jest on wcieleniem życzliwości, troskliwości, subtelności i... i uprzejmości! - dokończyła.

Za jej plecami odezwał się zabarwiony śmiechem głos Jasona:

- Milady, usiłując wybielić moją czarną reputację, robi pani ze mnie śmiertelnego nudziarza.

Victoria odwróciła się szybko, a jej zażenowane spojrzenie pomknęło ku nadchodzącemu mężczyźnie.

- Jednakże - ciągnął ten dalej z lekkim uśmiechem - wybaczę to pani, jeżeli zaszczyci mnie pani tańcem. - Victoria położyła dłoń na jego wyciągniętej ręce i weszła wraz z nim do pełnej gości sali.

Gdy zebrała się na odwagę, by stanąć w obronie Jasona, ogarnęło ją poczucie dumnego, triumfalnego, radosnego uniesienia, ale teraz, kiedy wziął ją w milczeniu w ramiona na zatłoczonym parkiecie, uczucie to zaczęło słabnąć. Wciąż jeszcze bardzo niewiele wiedziała o tym człowieku, ale na własnej skórze przekonała się, że daremne są próby przekonania go, by coś o sobie wyjawiał, gdyż zawsze cenił własną prywatność. Niepokojnie zaczęła się zastanawiać, czy nie rozgniewał się, że rozmawiała o nim z innymi. Kiedy nadal tańczył z nią w milczeniu, podniosła niepewnie wzrok na jego pełne namysłu, przesłonięte powiekami oczy.

- Czy złości się pan na mnie? - zapytała. - Za to, że publicznie o panu mówiłam?

- Czy to o mnie pani mówiła? - odparł, unosząc brwi. - Z podanego przez panią opisu trudno mi poznać siebie. Od kiedy to jestem życzliwy, troskliwy, subtelny i uprzejmy?

- Jest pan zagniewany - z westchnieniem powiedziała Victoria. Jason zaśmiał się gromko i zacisnął mocniej ramiona, przyciągając ją blisko do szczupłego, muskularnego ciała.

- Nie jestem zagniewany - powiedział głębokim, łagodnym głosem. - Jestem zażenowany.

- Zażenowany? - powtórzyła ze zdumieniem jak echo, przyglądając się jego oczom, w których dostrzegła wzruszenie i serdeczność. - Dlaczego?

- Dla mężczyzny w moim wieku, mojej postury i o mojej zaszarganej reputacji jest to nieco żenujące, kiedy próbuje bronić go przed światem drobniutka, młoda panna.

Zafascynowana czułością w jego oczach Victoria musiała walczyć z absurdalnym odruchem, który nakazywał jej przytulić policzek do bordowego, aksamitnego surduta Jasona.

Kiedy rozeszła się wieść o tym, jak hrabianka publicznie broniła lorda Fieldinga, którego najwyraźniej podziwiała, ale za którego nie za bardzo chciała wyjść za mąż, cały *ton* doszedł do wniosku, że data ślubu mimo wszystko może już się zbliżać, a owa hipoteza tak bardzo wytrąciła z równowagi konkurentów Victorii, że podwoili wysiłki, by jej się przypodobać. Rywalizowali ze sobą o jej względy, kłócili się między sobą, aż w końcu lord Crowley i lord Wildshire stoczyli o nią pojedynek.

- Ona nie chce żadnego z nas - zapewnił ze złością młody lord Crowley lorda Wildshire'a pewnego późnego popołudnia, kiedy odjeżdżali z rezydencji przy Upper Brook Street po krótkiej, niezadowolającej wizycie u Victorii.

- Ależ chce - sprzeczał się z nim tamten zażarcie. - Okazywała mi szczególne względy!

- Ty zarozumiałcu! Ona uważa nas za dandysowatych Anglików, a Anglicy jej się nie podobają - odparł nadąsany Crowley. - Woli kolonialnych gamoni! Nie jest wcale taka słodka, jak ci się wydaje, i ukradkiem się z nas naśmiewa...

- To kłamstwo! - odpalił jego porywczy przyjaciel.

- Czy ty mi zarzucasz kłamstwo, Wildshire? - zapytał rozwścieczony Crowley.

- Nie - oświadczył Wildshire przez zaciśnięte zęby - rzucam ci wyzwanie.

- Wspaniale - odparł Crowley. - Jutro o świcie u mnie. W lasku.

Zawrócił konia i pogalopował w kierunku swojego klubu, skąd wieści o zbliżającym się pojedynku rozprzestrzeniały się, aż wreszcie dotarły do ekskluzywnego salonu hazardu, w

którym markiz de Salle i baron Arnoff grali w kości o bardzo wysokie stawki.

- Cholerni młodzi idioci - zauważył de Salle z pełnym irytacji westchnieniem, kiedy powiadomiono go o zaplanowanym spotkaniu. - Lady Victoria będzie głęboko zmartwiona, kiedy się o tym dowie.

Baron Arnoff zachichotał.

- Ani Crowley, ani Wildshire nie umieją strzelać wystarczająco celnie, by mieli sobie zrobić jakąś krzywdę. Sam byłem świadkiem ich niezręczności, kiedy całą grupą polowaliśmy w majątku Wildshire w Devonie.

- Może powinienem położyć temu kres? - zastanawiał się markiz.

Baron Arnoff potrząsnął głową, miał rozbawioną minę.

- Nie widzę, dlaczego miałby pan to robić, panie markizie. W najgorszym przypadku jeden z nich zastrzelił drugiemu konia.

- Chodzi mi o reputację lady Victorii. Jeżeli będą się o nią pojedynkować, nie odbije się to korzystnie na jej opinii.

W kilka godzin później, przy innym stoliku, wieści o pojedynku doszły do uszu Roberta Collingwooda, który nie potraktował ich tak lekko. Przepraszając przyjaciół, wyszedł z klubu i udał się do londyńskiej rezydencji księcia Athertona, gdzie zatrzymał się Jason. Czekał na jego powrót niemal godzinę, po czym zmusił sennego kamerdynera, by obudził osobistego służącego przyjaciela. W rezultacie licznych namów i perswazji, ten ostatni niechętnie udzielił mu informacji, że jego pan wrócił wcześniej, odprowadzając lady Victorię na raut, a potem poszedł złożyć wizytę pewnej kobiecie na Williams Street pod numerem dwudziestym pierwszym.

Robert wskoczył do swego powozu i podał stangretowi adres.

- I pośpiesz się - rozkazał.

Jego głośnie stukanie obudziło w końcu francuską pokojówkę, która otworzyła drzwi i dyskretnie wyparła się wszelkiej wiedzy na temat lorda Fieldinga.

- Sprowadź tu do mnie natychmiast swoją panią - polecił jej niecierpliwie Robert. - Mam mało czasu. - Pokojówka rzuciła szybkie spojrzenie za jego plecy, zobaczyła herb na powozie, zawahała się i poszła na górę.

Po następnej długiej chwili oczekiwania na dół po schodach zeszła śliczna brunetka, owinięta w półprzezroczysty peniuar.

- Co się, na Boga, dzieje, lordzie Collingwood? - zapytała.

- Czy Jason jest tutaj? - zapytał Robert.

Sybil natychmiast przytaknęła.

- Proszę mu powiedzieć, że o świecie Crowley i Wildshire będę się bili o lady Victorię w lasku obok rezydencji Crowleya - polecił jej Robert.

Jason wyciągnął rękę, kiedy Sybil usiadła obok niego na łóżku. Z zamkniętymi oczami, po omacku znalazł rozcięcie peniuaru i uwodzicielsko pogładził nagie udo.

- Chodź do łóżka - zaprosił ją ochryple. - Potrzebuję cię znowu.

Po twarzy kobiety przemknął tęskny uśmiech, kiedy gładziła kochanka po ogorzałym ramieniu.

- Ty nie potrzebujesz nikogo, mój drogi - szepnęła smutno. - Nigdy nie potrzebowałeś.

Niski, zmysłowy śmiech zahuczał w piersi Jasona. Przewrócił się na plecy i szybko pociągnął ją na swoje nagie, pobudzone ciało.

- Jeżeli to nie jest według ciebie człowiek w potrzebie, to sam nie wiem, jak mnie określisz?

- Co innego miałam na myśli, mówiąc „potrzeba”, wiesz o tym - szepnęła, wyciskając pocałunek na jego ciepłych ustach. - Przestań - dodała pośpiesznie, kiedy jego zręczne dłonie przyciągały ją bliżej. - Nie masz teraz czasu. Jest tu lord Collingwood. Kazał ci powiedzieć, że Crowley i Wildshire zamierzają się pojedynkować o świecie u Crowleya.

Zielone oczy Jasona otworzyły się, wyraz miały czujny, choć nie nadmiernie przejęty.

- Będą się bili o Victorię - dodała Sybil.

W jednej chwili w sypialni zaczęła się błyskawiczna, celowa krzątanina. Jason odepchnął kochankę na bok, wyskoczył z łóżka i pośpiesznie włożył spodnie i buty.

- Która jest? - zapytał krótko, zerkając w kierunku okna.

- Gdzieś za godzinę będzie świtało.

Kiwnął głową, pochylił się, wycisnął krótki, przepaszający pocałunek na czole kobiety, a potem wyszedł; odgłos jego kroków dźwięczał ostro na wyfroterowanej podłodze.

Niebo już jaśniało, kiedy znalazł w końcu lasek w posiadłości Crowleyów i wypatrzył dwóch przeciwników, ustawionych pod cienistymi dębami. Pięćdziesiąt kroków dalej, na lewo od zwaśnionych młodzieńców, groźnie rysowała się sylwetka stojącego pod drzewami czarnego powoziku lekarza. Koń uwiązany był z tyłu. Jason wbił mocno pięty w boki swego wierzchowca, na co czarny ogier pofrunął wręcz po zboczu trawiastego pagórka, wyrzucając kopytami w powietrze ogromne grudy mokrej darniny.

Fielding zatrzymał się z poślizgiem tuż przy młodzikach, zeskoczył z siodła i ruszył do nich biegiem.

- Co się tutaj, u diabła, dzieje! - zapytał ostro Crowleya, znalazłszy się obok niego, a potem popatrzył ze zdumieniem, kiedy z cienia, o kilka kroków od nich, wychynął markiz de

Salle i stanął obok młodego Wildshire'a. - A pan co tutaj robi, de Salle? - zapytał gniewnie. - Przynajmniej pan powinien mieć więcej rozumu od tych dwóch szczeniaków.

- Robię to samo, co pan - wycedził de Salle z cieniem uśmiechu - ale bez większych sukcesów, jak się pan wkrótce przekona.

- Crowley strzelił do mnie - wybuchnął oskarżeniami Wildshire. Twarz mu się wykrzywiła w pełnym złości zaskoczeniu, słowa wymawiał bełkotliwie, gdyż pochłonął wcześniej sporo brandy, by dodać sobie odwagi. - Crowley się nie... nie zachował jak żen... żentelmen. A teraz ja do niego strzelę.

- Wcale nie strzeliłem do ciebie - zagrzmiał rozwścieczony przeciwnik. - Gdybym to zrobił, byłbym cię trafił.

- Nie celowałeś w po... powietrze - odwrzasnął Wildshire. - Nie jesteś... dzentelmenem. Zaslugujesz na śmierć, a ja zamierzam cię zabić!

Ręka mu się trzęsła, kiedy mierzył z pistoletu w swego przeciwnika, a potem wszystko zaczęło się dziać jednocześnie. Broń wypaliła w chwili, kiedy de Salle rzucał się do przodu i próbował wytrącić ją Wildshire'owi z ręki, a Fielding dał nura w kierunku Crowleya i pchnął zeszywniałego młodzieńca na ziemię. Kula gwizdnęła Jasonowi przy uchu, kiedy sam padał, rykoszetowała od pnia drzewa i rozorała mu rękę.

Leżał przez chwilę oszołomiony, a potem usiadł ze sceptycznym wyrazem twarzy. Przyłożył dłoń do pulsującego bólem miejsca i z niemal komicznym niedowierzaniem zagapił się na krew, która pokryła mu palce.

Lekarz, markiz de Salle i młody Wildshire razem podbiegli do niego.

- Niech mi pan pozwoli spojrzeć na tę ranę - powiedział doktor Worthing, machnięciem ręki odprawiając pozostałych i przykucając przy Jasonie.

Rozerwał mu koszulę, a młody Wildshire wydał zduszony jęk, zobaczywszy ciekącą krew.

- O mój Boże! - zawodził. - Milordzie, ja nie chciałem...

- Zamknij się! - warknął doktor Worthing. - Niech no ktoś poda whiskey z mojej torby. - Zwrócił się do Fieldinga. - To tylko powierzchowna rana, Jasonie, ale niestety dosyć głęboka. Będę ją musiał oczyścić i zszyć. - Wziął flaszkę, którą podawał mu markiz de Salle, i popatrzył przepaszająco na przyjaciela. - Będzie piekło jak wszystkie ognie Hadesu.

Jason kiwnął głową i zacisnął zęby, a lekarz przechylił butelkę i zalał rozdarte ciało mocnym alkoholem. Potem podał butelkę rannemu.

- Na twoim miejscu, Jasonie, wypiłbym to do dna. Trzeba ci będzie założyć sporo szwów.

- To nie ja go postrzeliłem - wybuchnął Wildshire, próbując wymigać się od ewentualnego dawania satysfakcji lordowi Fieldingowi, o którego zręczności w pojedynkach chodziły legendy, a który miał pełne prawo domagać się zadośćuczynienia. Cztery pary oczu popatrzyły na niego z niesmakiem. - Wszystkiemu winne jest tamto drzewo. Ja strzeliłem w drzewo i kuła trafiła w pień, a dopiero potem w lorda Fieldinga.

Jason uniósł ciemne, połyskliwe oczy na przerażonego winowajcę i powiedział groźnym głosem:

- Jeżeli będziesz miał wielkie szczęście, Wildshire, to uda ci się nie wchodzić mi w drogę, dopóki nie zestarzeję się za bardzo, by cię zlać batem.

Ten cofnął się, odwrócił na pięcie i czmychnął. Ranny odwrócił głowę i przeszył wzrokiem drugiego młodzieńca, który stał jak sparaliżowany.

- Crowley - uprzedził go cicho - twoja obecność jest dla mnie obrazą.

Crowley ruszył w stronę swego konia i pierzchnął.

Obydwaj oddalili się galopem, a Jason uniósł butelkę z whiskey, pociągnął potężny haust i aż mu dech zaparło, kiedy doktor Worthing przebił nawleczoną igłą jego nabrzmiałą rękę, ściągnął ranę, łącząc jej brzegi, a potem nakłuł znowu. Wyciągnął alkohol w stronę de Salle'a i odezwał się sucho:

- Z żalem stwierdzam brak odpowiedniego szkła; gdyby jednak chciał się pan do mnie przyłączyć, proszę się poczęstować.

Francuz bez wahania sięgnął po podsuniętą flaszkę, wyjaśniając przy tym:

- Udałem się do pana do domu, kiedy wczesnym wieczorem dowiedziałem się o tym pojedynku, ale pana służący oświadczył, że wyszedł pan na cały wieczór i nie chciał wyjawić, dokąd się pan wybrał. - Pociągnął haust mocnej whiskey i wręczył ponownie butelkę Fieldingowi. - Tak więc ruszyłem na poszukiwania doktora Worthinga i przyjechaliśmy tu w nadziei, że ich powstrzymamy.

- Powinniśmy byli pozwolić, żeby się pozabijali nawzajem - mruknął ze złością Jason, a potem zacisnął zęby i zeszywniał, kiedy igła ponownie przebiła jego rękę.

- Prawdopodobnie ma pan rację.

Jason pociągnął jeszcze dwa hausty i poczuł, że alkohol zaczyna paraliżować mu zmysły. Oparł się głową o twardą korę drzewa i westchnął z niepozabawioną wesołości irytacją:

- A co dokładnie moja mała hrabianka zrobiła, żeby sprowokować ten pojedynek?

De Salle zeszywniał na owo czułe określenie, a jego głos przestał być tak uprzejmy i przyjazny.

- Jak zdołałem się zorientować, lady Victoria miała rzekomo nazwać Wildshire'a dandysowatym angielskim gamoniem.

- No to powinien był ją wyzwąć - zachichotał Jason i pociągnął jeszcze łyk whiskey. - Ona by nie spudłowała.

De Salle nie uśmiechnął się, słysząc ten żart.

- Co pan rozumie, mówiąc „moja mała hrabianka”? - zapytał sucho. - Jeżeli jest pańska, nie śpieszy się pan z oficjalnym ogłoszeniem tego faktu, a sam pan powtarzał, że sprawa nie została do końca przesądzona. Czyżby igrał pan z jej uczuciami, Wakefield?

Jason łypnął okiem na nieprzyjazne rysy markiza; potem opuścił powieki, a na jego ustach pokazał się rozdrażniony uśmiech.

- Jeżeli zamierza mnie pan wyzwąć, to mam cholerną nadzieję, że przynajmniej potrafi pan strzelać. Diabelnie to upokarzające dla człowieka o mojej reputacji, żeby go postrzeliło drzewo.

Victoria rzucała się na łóżku i kręciła, zbyt wyczerpana, by zasnąć, ale nie mogła uciszyć kłębiących się myśli. O świcie dała sobie spokój ze snem i usiadła, przyglądając się, jak niebo zmienia kolor z ciemnego na jasnoszary. Myśli jej były równie posępne i ponure, jak zapowiadał się ranek. Oparta o poduszki, skubała bezwiednie aksamitne przykrycie, a życie wydawało się ciągnąć przed nią niczym ciemny, pusty, przerażający tunel. Pomyślała o Andrew, który związał się z inną i był już dla niej stracony; pomyślała o mieszkańcach wioski, których kochała od dzieciństwa i którzy odwzajemniali jej sympatię. A teraz nie miała nikogo. Poza wujkiem Charlesem, oczywiście, ale nawet jego życzliwość nie potrafiła uśmierzyć niepokoju i wypełnić wewnętrznej pustki dziewczyny.

Zawsze czuła się potrzebna i użyteczna; teraz jej życie składało się wyłącznie z niekończącego się cyklu pustych rozrywek, a ich wszelkie koszty ponosił lord Fielding. Była tu taka... niepotrzebna, taka bezużyteczna, czuła się tylko ciężarem.

Usiłowała zastosować się do praktycznej rady Jasona i wybrać sobie innego mężczyznę na męża. Usiłowała, ale po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić siebie jako żony któregoś z tych płytkich londyńskich bawidamków, którzy z takim nakładem wysiłków starali się ją zdobyć. Nie była im potrzebna jako żona; stałaby się tylko dekoracją, ornamentem w ich życiu. Poza Collingwoodami i kilkoma innymi parami małżeństwa w towarzystwie nie miały istotnego znaczenia, zawierano je dla wygody, nic więcej. Pary nieczęsto pojawiały się razem na tych samych przyjęciach, a jeżeli się nawet pojawiły, to zgodnie z nakazem mody nie powinny trzymać się razem. Dzieci narodzone z takich związków z miejsca rzucono w objęcia nianiek i guwernerów. Jakże odmienne znaczenie miało słowo „małżeństwo” w domu,

dumała Victoria.

Tęsknie wspominała mężów i żony z Portage. Pamiętała, jak stary pan Prowther siadywał latem na ganku, z uporem czytając na głos swojej sparaliżowanej żonie, która z trudem zdawała sobie sprawę, gdzie się znajduje. Pamiętała wyraz twarzy państwa Makepeace, kiedy jej ojciec powiedział im, że po dwudziestu latach małżeństwa pani Makepeace spodziewa się dziecka. Pamiętała, jak tych dwoje ludzi w średnim wieku przywarło do siebie i płakało, nie wstydząc się łez radości. Małżeństwa powinny być właśnie takie jak tamte; dwoje ludzi, którzy razem pracują i pomagają sobie w czasach dobrych i złych; dwoje ludzi, którzy razem się śmieją, wychowują dzieci, i nawet razem płaczą.

Victoria pomyślała o własnej matce i ojcu. Chociaż Katherine Seaton nie kochała męża, stworzyła mu jednak przytulny dom i była lojalną towarzyszką życia. Robili razem różne rzeczy, na przykład zimą grywali w szachy przed kominkiem, a latem chodzili o zmierzchu na spacer.

Prostym i niemądrym powodem popularności Victorii w Londynie był fakt, że chwilowo stała się „modna”. W roli żony do niczego nie była potrzebna, do niczego nieprzydatna, poza występowaniem jako dekoracja przy stole naprzeciw męża, gdy przyjmowali wieczorem gości. Wiedziała, że gdyby takie miało być jej życie, nigdy nie czułaby się zadowolona. Chciała je dzielić z kimś, kto by jej potrzebował, chciała tego człowieka uszczęśliwić, chciała być dla niego ważna. Chciała być użyteczna i mieć jakiś cel, a nie tylko służyć jako ozdoba.

Markizowi de Salle szczerze na niej zależało, wyczuwała to, ale jej nie kochał, niezależnie od tego, co mówił.

Victoria, walcząc z bólem, przygryzła wargę, kiedy przypomniała sobie czułe zakłęcia miłosne Andrew. Nie kochał jej naprawdę. Markiz de Salle również jej nie kochał. Może bogacze, określając tą nazwą i Andrew, nie byli zdolni do prawdziwej miłości. Może...

Usiadła sztywno na łóżku, kiedy w holu rozległy się ciężkie, niepewne kroki. Było jeszcze za wcześnie, żeby zaczęła się krzątać służba, a poza tym oni na dobrą sprawę poruszali się po domu biegiem, starając się zadowolić swego chlebobawcę. Coś uderzyło o ścianę i ktoś jęknął. Wujek Charles musiał zachorować, pomyślała. Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Popędziła do drzwi i otworzyła je jednym szarpnięciem.

- Jason! - powiedziała, a serce skoczyło jej do gardła, kiedy ciężko oparł się o ścianę; rękę miał na prowizorycznym temblaku. - Co się stało? - szepnęła, a potem szybko poprawiła się: - Wszystko jedno. Nie próbuj mówić. Zawołam kogoś ze służby, żeby panu pomógł. - Odwróciła się, ale lord Fielding zdumiewająco mocno złapał ją za ramię i z krzywym

uśmiechem na twarzy przyciągnął z powrotem.

- Chcę, żebyś mi ty pomogła - oznajmił i zarzucił jej prawą rękę na ramiona. Victoria niemal osunęła się na kolana pod jego ciężarem. - Zaprowadź mnie do mojego pokoju, Victorio - polecił ochrypłym głosem.

- A gdzie on jest? - zapytała szeptem, kiedy niezgrabnie ruszyli korytarzem.

- Nie wiesz? - strofował ją z zalem w głosie. - Ja wiem, gdzie jest twój pokój.

- A cóż to za różnica? - zapytała nieco gorączkowym tonem, próbując wygodniej podeprzeć Jasona.

- Żadna - zgodził się i zatrzymał przed następnymi drzwiami na prawo. Victoria otworzyła je i weszli do środka.

Po drugiej stronie holu uchyliły się drzwi innej sypialni i stanął w nich Charles Fielding z twarzą niespokojną i zmartwioną, wkładając na siebie atłasowy szlafrok. Zamarł z jedną ręką w rękawie, kiedy Jason odezwał się czule do Victorii:

- A teraz, moja mała hrabianko, zaprowadź mnie do łóżka.

Zauważyła, że ranny dziwnie bełkotliwie wymawia słowa; wydawało jej się nawet, że słyszy w jego głosie uwodzicielskie nuty, ale przypisywała tę dziwną wymowę albo bólowi, albo może utracie krwi.

Kiedy doszli do wielkiego łoża z czterema kolumnkami, Jason zdjął rękę z ramion dziewczyny i czekał potulnie, aż ta odrzuci przykrycia; potem usiadł i popatrzył na nią z niemądrym uśmiechem. Victoria przyglądała mu się, usiłując ukryć niepokój. Stosując łagodny, rzeczowy ton ojca zapytała:

- Czy może mi pan wyjaśnić, co się stało?

- Oczywiście! - odrzekł obrażony. - Wiesz chyba, że nie jestem głupi.

- No więc, co się stało? - powtórzyła, kiedy nie próbował nawet udzielić odpowiedzi na jej pytanie.

- Pomóż mi ściągnąć buty.

Victoria się zawahała.

- Chyba powinnam zawołać Northrupa.

- No to zapomnijmy o butach - mruknął Jason wspaniałomyślnie i położył się, beztrąsko krzyżując obute stopy na bordowej kapie. - Usiądź obok mnie i potrzymaj mnie za rękę.

- Niech pan nie będzie niemądry.

Rzucił jej urażone spojrzenie.

- Powinnaś być dla mnie bardziej sympatyczna, Victorio. W końcu zostałem ranny w

pojedyнку o twój honor. - Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń.

Przeżazona na wzmiankę o pojedyнку, podporządkowała się coraz silniejszemu naciskowi ręki mężczyzny i usiadła obok wyciągniętego wygodnie Jasona.

- O mój Boże, pojedynek? Ale dlaczego? - Badawczo wpatrując się w jego rysy, zobaczyła, jak dzielnie się uśmiechnął i serce jej stopniało w poczuciu winy i skruchy. A więc z jakiegoś powodu naprawdę o nią się bił. - Proszę opowiedzieć mi, dlaczego pan się bił - błagała.

- Ponieważ Wildshire powiedział, że jest pani angielskim gamoniem.

- Co? - zapytała niespokojnie. - Jasonie, ile krwi pan stracił?

- Mnóstwo - zapewniał ją w sposób urągający wszelkim regułom zachowania bohatera. - A jak bardzo mnie pani żałuje?

- Bardzo - odrzekła automatycznie. - A teraz proszę spróbować odpowiadać z sensem. Wildshire pana postrzelił, bo...

Jason przewrócił oczami z niesmakiem.

- Wildshire wcale mnie nie postrzelił... nie umiałby trafić z odległości dwóch kroków w kamienny mur. Postrzeliło mnie drzewo. - Wyciągnął rękę, objął dłońmi zaszokowaną twarz dziewczyny, przyciągnął ją bliżej, a jego głos opadł do szeptu. - Czy ty wiesz, jaka jesteś piękna? - zapytał ochryple i tym razem ostry odór whiskey uderzył ją prosto w twarz.

- Zaproszył pan sobie głowę! - Victoria szarpnęła się do tyłu.

- Masz rację - zgodził się dobrotliwie. - Upiłem się razem z twoim przyjacielem de Salle'em.

- Dobry Boże! - Victoria straciła mowę z wrażenia. - To on też tam był?

Jason kiwnął głową, ale nic nie powiedział, błędził po niej tylko zafascynowanym spojrzeniem. Lśniące włosy spływały na ramiona dziewczyny masą stopionego złota, stanowiąc oprawę dla twarzy o zapierającej dech w piersi urodzie. Skórę miała gładką jak alabaster, brwi delikatnie wygięte, rzęsy gęste i podwinięte. Oczy przypominały świetliste szafiry, gdy z zatroskaniem, badawczo wpatrywała się w niego, usiłując ocenić, w jakim jest stanie. Każdy rys jej twarzy emanował dumą i odwagą, od wysokich policzków i upartego noska, do stanowczego podbródka z maleńkim, czarującym dołeczkiem pośrodku. A przecież usta miała bezbronne i miękkie, równie miękkie jak piersi, które na poziomie jego oczu prześwitywały przez stanik wykończonej koronką, kremowej aksamitnej koszuli nocnej, wprost prosząc się, by ich dotknął. Ale to ust chciał Jason skosztować najpierw... Zaciśnął dłoń na jej ramieniu, przyciągając dziewczynę bliżej.

- Milordzie! - ostrzegła go stanowczo, usiłując się wyrwać.

- Przed chwilą nazywałaś mnie Jasonem. Sam słyszałem, nie ma co zaprzeczać.

- Popeliłam błąd - odpowiedziała z desperacją Victoria.

Wargi Jasona drgnęły w lekkim uśmiechu.

- No to popelnijmy jeszcze jeden. - Mówiąc to, przesunął dłoń na jej kark, objął ją i nieustępliwie przyciągał jej twarz do swojej.

- Proszę, nie - błagała pochylona nad nim Victoria. - Niech mnie pan nie zmusza, żebym się z panem szarpała, rozboli pana rana. - Nacisk jego rąk odrobinę zelżał, nie aż tak, żeby się mogła podnieść, ale Jason przestał ją przyciągać i tylko przyglądał jej się badawczo w pełnym namysłu milczeniu.

Victoria czekała cierpliwie, żeby ją puścił, wiedząc, że utrata krwi, ból i spora dawka alkoholu spowodowały razem, że nie w pełni jest świadom swych czynów. Ani przez moment nie wierzyła, by miał choć trochę jej pragnąć, i patrzyła na niego z czymś w rodzaju rozbawienia.

- Czy ktoś panią kiedyś całował, tak naprawdę całował, oprócz starego Arnolda?

- Andrew - poprawiła go, a jej wargi drgnęły w uśmiechu.

- Nie każdy mężczyzna całuje tak samo, wie pani o tym?

Z ust Victorii wyrwał się chichot, zanim zdołała nad nim zapanować.

- Naprawdę? A ilu mężczyzn pana całowało?

W odpowiedzi na to uśmiech rozchylił wargi Jasona. Zignorował jej żart.

- Pochyl się tu do mnie - polecił jej szorstko - i przyłóż wargi do moich ust. Zrobimy to na mój sposób.

Spokój Victorii ulotnił się, zaczęła wpadać w panikę.

- Jasonie, przestań - błagała. - Ty wcale nie chcesz mnie pocałować. Wcale mnie nie lubisz, chyba że odrobinę, kiedy masz zaproszoną głowę.

Wyrwał mu się z piersi szorstki śmiech.

- Nawet za bardzo cię lubię! - szepnął z goryczą, a potem przyciągnął jej głowę i wpił się w wargi w namiętym, palącym pocałunku, który brał wszystko i nic nie dawał w zamian. Victoria, przerażona już na serio, oparła ręce po obu jego bokach i odepchnęła się mocno, próbując uwolnić usta. Jason szybko wplątał palce w jej gęste włosy nad karkiem i skrzył je silnie. - Nie szarp się! - szepnął przez zaciśnięte zęby. - Sprawiasz mi ból.

- To ty mi sprawiasz ból - wykrztusiła z wargami przy jego ustach. - Daj mi odejść.

- Nie mogę - odpowiedział cicho lecz zaciśnięte na jej włosach dłonie zsunęły się, a hipnotycznie zielone oczy utonęły w jej źrenicach. Mówił urywanym, ochrypłym głosem, jakby zmuszany torturami do tego wyznania: - Setki razy próbowałem dać ci odejść, Victorio,

ale nie mogę.

Zakreśliło jej się w głowie od tych niewiarygodnych słów, a Jason przyciągnął bliżej jej twarz i usta obojga połączyły się w niemającym końca, oszłamiającym pocałunku, który pozbawił dziewczynę tchu i odebrał zdolność ruchu. Jason poruszał wargami po jej ustach z czułą, wygłodniałą tęsknotą, przesuwając się po nich tam i z powrotem, jakby mu wciąż było mało. Gdzieś w głębi serca Victoria wyczuła jego samotność i desperację, i bezwiednie na nie zareagowała. Wargi jej zmiękły i wtopiły się w jego usta. Żar pocałunku Jasona natychmiast się nasilił. Nakłaniając ją, by rozchyliła wargi, muskał je językiem, a gdy tylko ustąpiły, wsunął go między nie łagodnie.

Gwałtowne, rozszalałe fale emocji uderzały w Victorię raz za razem, aż rozgorączkowana, półprzytomna i spragniona dotknęła własnym językiem jego warg. Reakcja mężczyzny była natychmiastowa: jęknął, objął ją zdrową ręką i przycisnął do swego torsu.

Wieczność minęła, zanim oderwał usta i przesunął wargami po jej rozpalonym policzku. A potem bez uprzedzenia przestał ją całować.

Victorii powoli wracały zmysły, a wraz z nimi straszne poczucie własnej niemoralności. Policzek miała mocno przyciśnięty do piersi Jasona i prawie leżała na torsie mężczyzny, jak... jak jakaś bezwstydną rozpustnica! Rozdygotana wewnętrznie zmusiła się, by unieść głowę, przekonana, że będzie na nią patrzył z triumfem albo pogardą. Na nic innego zresztą nie zasługiwała. Niechętnie rozchyliła powieki i zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Mój Boże! - jęknął cicho. Jego zielone oczy płonęły.

Victoria uchyliła się instynktownie, kiedy unióś rękę, ale on, zamiast ją odepchnąć, przyłożył dłoń do jej policzka, czubkami palców delikatnie przesuwając po twarzy. Skonsternowana tym niewytłumaczalnym nastrojem, wpatrywała się badawczo w jego płonące oczy.

- Nie pasuje do ciebie twoje imię - szepnął z namysłem. - „Victoria” to za długie i zbyt lodowate jak na takie małe, ogniste stworzenie.

Kompletnie oczarowana serdecznym spojrzeniem i łagodnością jego głosu, Victoria przełknęła i powiedziała:

- Moi rodzice mówili do mnie „Tory”.

- Tory - powtórzył z uśmiechem. - Podoba mi się... pasuje do ciebie idealnie. - Nie spuszczał z niej hipnotyzującego wzroku i nie przestawał jej uwodzicielsko gładzić, przesuwając dłonią po ramieniu w górę i w dół. - Podoba mi się też to, jak słońce lśni w twoich włosach, kiedy odjeżdżasz powozem z Caroline Collingwood - ciągnął dalej. - I lubię dźwięk twego głosu. I lubię, jak twoje oczy rzucają błyskawice, kiedy się rozgniewasz... A

wiesz, co jeszcze lubię? - ciągnął dalej, a powieki powoli mu opadały.

Victoria potrząsnęła głową, zafascynowana jego głosem i słodyczą słów.

Z zamkniętymi oczami i uśmiechem na ustach wymamrotał:

- Najbardziej... lubię patrzeć na twoje ciało w tej koszuli nocnej, którą masz na sobie...

Victoria szarpnęła się do tyłu urażona i pełna wstydu, a ręka Jasona opadła bezwładnie na poduszce. Pogrążył się w mocnym śnie.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc, co ma czuć ani co myśleć. Doprawdy był najbardziej aroganckim, zuchwałym mężczyzną ze wszystkich, których знаła... W żaden sposób nie udawało jej się wywołać w sobie oburzenia, a patrząc na niego, mimo woli lekko się uśmiechała. Twarde rysy twarzy Jasona złagodniały we śnie, a bez cynicznego skrzywienia ust wyglądał bezbrinnie i niewiarygodnie chłopięco.

Uśmiechnęła się szerzej, kiedy zauważyła, jak skandalicznie gęste miał rzęsy - długie, podwinięte, pozazdrościłaby mu ich każda dziewczyna. Obserwując go, zaczęła się zastanawiać, jaki był jako mały chłopiec. Przecież jako dziecko nie mógł być cyniczny, chłodny i nieprzystępny.

- Andrew zrujnował moje marzenia z dzieciństwa - rozmyślała na głos. - Ciekawa jestem, kto zrujnował twoje. - Jason odwrócił głowę na poduszce i pasemko skręconych, ciemnych włosów opadło mu na czoło. Czując się dziwnie macierzyńska i odrobinę niegodziwa, Victoria wyciągnęła rękę i pogładziła go, odsuwając kosmyk czubkami palców. - Powiem ci coś w sekrecie - wyznała, wiedząc, że jej nie usłyszy. - Ja cię też lubię, Jasonie.

Po drugiej stronie korytarza szczęknęła klamka zamykanych drzwi i Victoria podskoczyła z poczuciem winy, poprawiając na sobie koszulę i przyglądając włosy. Ale kiedy wyjrzała do holu, nikogo tam nie było.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kiedy Victoria zeszła na śniadanie, ze zdumieniem zastała już przy stole wuja Charlesa, choć było dużo wcześniej niż normalnie wstawał; książkę robił wrażenie niesłychanie czymś rozradowanego.

- Wyglądasz równie ślicznie jak zawsze - powiedział rozpromieniony, wstając i odsuwając jej krzesło.

- A wujek wygląda nawet lepiej niż zwykle - odrzekła i uśmiechnęła się, kiedy nalewał jej kawy i mleka.

- W życiu nie czułem się lepiej - oznajmił wylewnie. - Powiedz mi, jak czuje się Jason?

Victoria upuściła łyżeczkę.

- Chodzi mi o to - ciągnął dalej gładko książkę - że słyszałem, jak dziś nad ranem chodził po holu i doszedł do mnie również twój głos. Odniosłem wrażenie, że Jason był odrobinę... - tu zawahał się delikatnie - na rauszu. Czy mam rację?

Victoria wesoło pokiwała głową.

- Był pijany jak bela!

Zamiast to skomentować, Charles powiedział:

- Northrup zawiadomił mnie, że twój przyjaciel, lord Wildshire, przyszedł tu przed godziną, z dosyć rozpaczliwym pytaniem o stan zdrowia Jasona. - Rzucił na nią rozbawione, pełne namysłu spojrzenie. - Ten młody człowiek wydawał się przekonany, jakoby lord Fielding stoczył nad ranem pojedynek i został ranny.

Victoria uświadomiła sobie, że na nic usiłowania, by zataić sprawę przed księciem. Przytaknęła ze śmiechem:

- Zgodnie z tym, co powiedział mi Jason, stoczył pojedynek z lordem Wildshire'em, ponieważ ten nazwał mnie angielskim gamoniem.

- Miałem z Wildshire'em istne utrapienie, żyć mi nie dawał, żeby mi pozwolił oficjalnie o ciebie się starać. Nie potrafię uwierzyć, żeby tak cię miał nazwać.

- Jestem pewna, że tego nie zrobił. Chociażby dlatego, że nie ma to najmniejszego sensu.

- W ogóle żadnego - zgodził się z nią pogodnie Charles. - Ale obojętne, co sprowokowało ten pojedynek, Wildshire najwyraźniej postrzelił Jasona?

Oczy Victorii rozbłysły wesoło.

- Zdaniem lorda Fieldinga w rękę postrzeliło go drzewo.

- Dziwne - odrzekł rozbawiony wuj Charles - ale dokładnie to samo usłyszał Northrup z ust młodego Wildshire'a! - I po chwili dodał: - Wszystko jedno. Rozumiem, że Jasonem zajął się doktor Worthing. Jest i jego, i moim przyjacielem, a poza tym wspaniałym lekarzem. Gdyby zdrowie Jasona w najmniejszym nawet stopniu było zagrożone, już by się tu pojawił. Co więcej, na Worthingu można polegać; utrzyma całą sprawę w tajemnicy. Wiesz przecież, że pojedynki są zabronione.

Victoria pobladła, a księżę pochylił się i pocieszająco uściśnął jej dłoń.

- Absolutnie nie musisz się niczym martwić - mówił dalej, a głos mu drżał od niedającej się niczym wytłumaczyć czułości: - Nie potrafię ci wprost okazać, jak bardzo... jak bardzo czuję się szczęśliwy, moje dziecko, że jesteś tu z nami. Tyle chciałbym ci opowiedzieć o Jas... o wszystkim - dokończył nieprzekonująco. - Już wkrótce nadejdzie czas, że będę mógł to zrobić.

Victoria skorzystała z okazji i ponownie zaczęła nalegać, by opowiedział o czasach, kiedy znał jej matkę, ale wuj Charles potrząsnął tylko głową, a jego twarz przybrała uroczysty wyraz.

- Już wkrótce - obiecał tak, jak to zawsze robił. - Ale jeszcze nie teraz.

Reszta dnia wlokła się nieznośnie. Victoria nerwowo czekała, aż pokaże się Jason i zastanawiała się, jak będzie się zachowywał po ostatniej nocy. Myśli jej krążyły wokół różnych przypuszczeń i nie potrafiła się uspokoić. Może będzie nią pogardzał za to, że pozwoliła się pocałować. Może znienawidzi siebie za to, że przyznał, iż ją lubi i nie potrafi pozwolić, by odeszła. Może żadnego z tych słodkich słówek nie mówił na serio.

Była całkiem pewna, że większość jego wczorajszych postępów spowodował wypity wcześniej alkohol, ale tak bardzo chciała wierzyć, że skoro ostatniej nocy dzielące ich bariery opadły, to nawiąże się między nimi jakaś bliższa, już nie tak chwiejna przyjaźń. W ciągu minionych tygodni bardzo się do niego przywiązała; lubiła go i podziwiała. A w dodatku... poza to wzbraniała się wykraczać nawet myślą.

Dzień mijał powoli, nadzieje Victorii zaczęły zamierać, jej napięcie nadal rosło, a tuzin pełnych niepokoju znajomych, którzy odwiedzili dom, gdyż wszyscy chcieli się dowiedzieć, jak naprawdę wygląda sprawa z pojedynkiem Jasona, stan ów tylko pogarszało. Northrup informował wszystkich, że lady Victoria będzie przez cały dzień nieobecna, a ona czekała i czekała.

O pierwszej w południe Jason zszedł wreszcie na dół, udał się prosto do swego gabinetu i za zamkniętymi drzwiami odbył naradę z lordem Collingwoodem i dwoma innymi

panami, którzy przyszli porozmawiać o jakiejś lokacie kapitału.

O trzeciej Victoria poszła do biblioteki. Była do głębi sobą zdegustowana, że tak ogromnie się martwi, usiłowała skoncentrować się na książce i absolutnie nie potrafiła prowadzić żadnej inteligentnej rozmowy z wujem Charlesem, którzy siedział pod oknem po drugiej stronie pokoju i przerzucał kartki jakiegoś czasopisma.

Zanim Jason przyszedł w końcu do biblioteki, Victoria tak już była rozstrojona, że niemal zerwała się na równe nogi, kiedy go zobaczyła.

- Co pani czyta? - zapytał lekkim tonem, zatrzymując się przed nią i wpychając ręce do kieszeni obcisłych, jasnobrązowych spodni.

- Tomik Shelleya - odpowiedziała po długiej, żenującej chwili milczenia, podczas której usiłowała sobie przypomnieć, jak się nazywał ten poeta.

- Victorio - zaczął i dopiero wtedy zauważyła, że twarz miał napiętą. Zawahał się, jakby szukając właściwych słów, a potem zapytał: - Czy zrobiłem wczorajszej nocy coś, za co powinienem cię przeprosić?

Opanowało ją nagle przygnębienie; on nic nie pamiętał.

- Niczego takiego sobie nie przypominam - odpowiedziała, starając się nie okazać rozczarowania.

Na ustach Jasona pojawił się cień uśmiechu.

- Zwykle trudności z pamięcią ma osoba, która nadmiernie sobie pofolgowała, a nie odwrotnie.

- Rozumiem. Nie, nic pan takiego nie zrobił.

- Dobrze. W takim razie zobaczę się z panią później, kiedy będziemy wychodzili do teatru... - I z promiennym uśmiechem dodał znacząco: - ... Tory. - Potem odwrócił się, by wyjść.

- Powiedział pan, że nic nie pamięta - wybuchnęła, zanim zdołała się powstrzymać.

Jason ponownie odwrócił się do niej ze zdecydowanie wilczym uśmiechem na ustach.

- Ja pamiętam wszystko, Tory. Chciałem tylko dowiedzieć się, czy, pani zdaniem, nie zrobiłem czegoś, za co powinienem przeprosić.

Victoria oddychała szybko, z gardła wyrwał jej się zażenowany, zduszony śmiech.

- Jest pan najbardziej irytującym człowiekiem na całym świecie!

- To prawda - przyznał nieskruszony - lecz przecież i tak mnie pani lubi.

Patrzyła, jak Jason szedł do drzwi, a twarz jej oblewał płomienny rumieniec. Nigdy, w najgorszych wyobrażeniach nie przyszło jej na myśl, że mógł nie spać, kiedy to mówiła. Oparła się tyłem o fotel i zawstydzona do głębi przymknęła oczy. I dopiero wtedy

przypomniało jej się, że w bibliotece znajduje się wuj Charles. Gwałtownie rozchyliła powieki i zobaczyła, że książkę przygląda się jej z wyrazem radosnego triumfu na twarzy.

- Pięknie to rozegrałaś, moje dziecko - zauważył cicho. - Zawsze miałem nadzieję, że się do niego przywiążesz, i widzę, że tak się stało.

- Tak, ale ja go nie rozumiem, wuju.

To wyznanie zdawało się tylko dawać księciu jeszcze więcej satysfakcji.

- Jeżeli czujesz się teraz do niego przywiązana, nie rozumiejąc go, sto razy mocniej się do niego przywiążesz, kiedy w końcu go zrozumiesz, tyle ci mogę obiecać. - Podniósł się. - Pewnie powinienem już ruszać w drogę. Jestem umówiony na resztę popołudnia i wieczór z moim starym przyjacielem.

Kiedy Victoria weszła tego wieczoru do salonu, Jason czekał już na nią, znakomicie prezentując się w surducie i spodniach koloru burgunda; w fałdach nieskazitelnego białego krawata połyskiwał rubin. Para rubinów zamigotała w mankietach koszuli, kiedy wyciągnął rękę, sięgając po kieliszek z winem.

- Zdjął pan temblak! - wykrzyknęła Victoria, kiedy zdała sobie sprawę, czego jej brakuje.

- A pani nie przebrała się do teatru - odparował. - No i Mortramowie wydają bal. Mamy tam pójść po przedstawieniu.

- Tak naprawdę to nie mam ochoty iść ani do teatru, ani na bal. Już wysłałam liścik do markiza de Salle z prośbą, by mi wybaczył, że nie usiądę z nim do kolacji u Mortramów.

- Będzie zrozpaczony - oświadczył z satysfakcją Jason. - Zwłaszcza kiedy się dowie, że poszła pani na kolację ze mną.

- Och, aleja nie mogę!

- Może pani - zapewnił ją krótko.

- Tak bym chciała, żeby pan założył temblak - uchyliła się od odpowiedzi Victoria.

Jason rzucił jej spojrzenie pełne rozbawienia i jednocześnie irytacji.

- Jeżeli pojawię się publicznie z ręką na temblaku, ten osesek Wildshire przekona wszystkich w Londynie, że powaliło mnie drzewo.

- Wątpię, by miał coś takiego rozpowiadać - odrzekła Victoria figlarnie. - Jest bardzo młody, można więc przypuszczać, że raczej będzie się przechwalał, iż sam pana pokonał w pojedynku.

- A to byłoby jeszcze bardziej żenujące, niż gdyby trafiło mnie drzewo. Wildshire nie ma pojęcia - wyjaśniał Jason z obrzydzeniem - który koniec pistoletu należy skierować na cel.

Victoria przełknęła chichot.

- Ale dlaczego w ogóle muszę z panem wychodzić, skoro wystarczy, by pokazał się pan publicznie w dobrym zdrowiu?

- Ponieważ, jeżeli nie będzie u mego boku pani, jakaś inna kobieta, która marzy, by zostać księżną, nie omieszka uwiesić się na mojej obolałej ręce. Poza tym mam ochotę pójść z panią.

Victoria nie potrafiła oprzeć się jego żartobliwej perswazji.

- Bardzo dobrze - zgodziła się w końcu. - Nie wytrzymałabym sama ze sobą, gdybym miała ponosić odpowiedzialność za zrujnowanie pańskiej reputacji człowieka niezwykłego w pojedynkach. - Zaczynała się już odwracać, ale przystanęła z zuchwałym uśmiechem na ustach. - Czy naprawdę zabił pan tuzin przeciwników w pojedynkach w Indiach?

- Nie - odpowiedział otwarcie. - A teraz niech już pani biegnie i zmieni suknię.

Odnieśli wrażenie, że tego wieczora w teatrze zgromadził się cały Londyn i że wszystkie chyba pary oczu kierowały się na nich, kiedy wchodzili do łoży Jasona. Głowy się odwracały, trzepotały wachlarze, podniosły się szepty. W pierwszej chwili Victoria sądziła, że obecni czują się zaskoczeni, iż Jason wygląda świetnie, jakby nie został ranny, ale później zaczęła zmieniać zdanie. Gdy tylko w antrakcie wyszła z nim z łoży, uświadomiła sobie, że coś się zmieniło. Zarówno młode, jak i starsze damy, które w przeszłości zachowywały się przyjaźnie, przyglądały jej się teraz krytycznym okiem i z chłodem na twarzy. Victoria w końcu zdała sobie sprawę dlaczego: rozeszła się wieść, że Jason stoczył o nią pojedynek i jej reputacja ucierpiała.

Stojąca w pobliżu kobieta w białym atlasowym turbanie, spiętym z przodu olbrzymim ametystem, przyglądała się obojgu przymrużonymi oczami.

- A więc - syknęła półgłosem księżna Claremont do swej towarzyszki w podeszłym wieku - Wakefield stoczył o nią pojedynek.

- Tak słyszałam, Wasza Wysokość - zgodziła się lady Faulklyn.

Księżna oparła się na hebanowej laseczce i przyglądała się prawnuczce.

- Jest podobna do Katherine jak dwie krople wody.

- Tak, Wasza Wysokość.

Wyblakłe oczy prababki zmierzyły Victorię od stóp do głów, a potem przesunęły się na Jasona.

- Przystojny czort z niego, czyż nie?

Lady Faulklyn przybladła, jakby lękała się przytaknąć.

Ignorując jej milczenie, księżna postukała palcami po wysadzanej klejnotami rączce

laseczki, nie przestając przyglądać się markizowi Wakefieldowi przymrużonymi oczami.

- Wygląda jak Atherton.

- Jest pewne podobieństwo - ośmieliła się potwierdzić z wahaniem lady Faulklyn.

- Głuptasie! - ucięła księżna. - Wakefield wygląda dokładnie tak samo jak Atherton, kiedy był młody.

- Dokładnie! - przytaknęła lady Faulklyn.

Na chudej twarzy księżnej pojawił się złośliwy uśmiech.

- Athertonowi wydaje się, że wbrew moim życzeniom zaaranżuje małżeństwo między naszymi rodzinami. Czekał dwadzieścia dwa lata, żeby mi zrobić na złość i naprawdę wierzy, że mu się to uda. - Gdzieś z głębi jej piersi rozległ się gdaczący chichot, kiedy przyglądała się przepięknej, stojącej kilka kroków od niej parze. - Atherton się myli - oznajmiła.

Victoria nerwowo odwróciła wzrok od stojącej w pobliżu staruszki o surowej twarzy, w osobliwym turbanie na głowie. Przypatrywali się im obojgu chyba wszyscy, łącznie ze starszymi damami, których wcześniej nie widziała na oczy, jak na przykład ta.

- Popełniłam straszny błąd, przychodząc tu z panem - powiedziała, kiedy Jason podawał jej szklaneczkę ratafii.

- Dlaczego? Z przyjemnością patrzyła pani na sztukę. - Uśmiechnął się szeroko do jej zmartwionych oczu. - A ja z przyjemnością patrzyłem na panią.

- Nie wolno panu patrzeć na mnie, a zwłaszcza nie wolno patrzeć panu tak, jakby to panu sprawiało przyjemność - zaprotestowała, starając się nie zwracać uwagi na falę radości, która ogarnęła ją po tym lekkim komplementcie.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ wszyscy się nam przyglądają.

- Widywali nas już wcześniej razem - zauważył Jason, obojętnie wzruszając ramionami, a potem odprowadził ją z powrotem do łoży.

Sprawy miały się dużo, dużo gorzej, kiedy przybyli na bal Mortramów. Gdy tylko się pojawili, chyba wszyscy zebrani w zatłoczonej sali balowej goście odwracali się, wbijając w oboje zdecydowanie nieprzyjazne spojrzenia.

- Jasonie, to okropne! Jest gorzej niż w teatrze. Tam przynajmniej część ludzi patrzyła na scenę, a tutaj wszyscy gapią się na nas. Proszę - dodała błagalnie, zmieniając temat - czy mógłby pan przestać uśmiechać się do mnie tak czarująco, gdy wszyscy nas obserwują!

- Czy jestem czarujący? - droczył się z nią, ale obrzucił przelotnym, uważnym spojrzeniem twarze zgromadzonych w sali balowej. - Ja natomiast widzę - wycedził, delikatnie pokazując głową na prawo - z pół tuzina zadurzonych w pani wielbicieli, którzy

stoją tam i wyglądają, jakby się zastanawiali, w jaki sposób dałoby mi się poderżnąć gardło i pozbyć się ciała.

Victoria niemal zaczęła tupać nogami z irytacji.

- Z rozmysłem ignoruje pan to, co się stało. Caroline Collingwood wtajemniczona jest we wszystkie plotki. Powiedziała mi, że nikt nie uwierzył, żebyśmy naprawdę byli sobą zainteresowani. Chodzą pogłoski, że podtrzymujemy farsę zaręczyn tylko ze względu na wuja Charlesa. Ale teraz pan stoczył pojedynek z powodu czegoś, co ktoś powiedział o mnie, i wszystko się zmieniło. Oni zastanawiają się, ile czasu pan spędza w domu, kiedy ja tam jestem...

- Tak się składa, że to mój dom - wycedził Jason, a jego brwi ściągnęły się groźnie nad zielonymi oczami.

- Wiem, ale w tej sprawie liczą się zasady. Teraz każdy, a zwłaszcza damy, snuje na nasz temat przeróżne parszywe domysły. Gdyby chodziło o kogokolwiek poza panem, nie miałyby to takiego znaczenia - dodała, myśląc wyłącznie o tym, że zamieszanie wokół ich zaręczyn dolewało tylko oliwy do ognia plotek. - Chodzi o zasadę...

Głos Jasona przycichł do niskiego, lodowatego szeptu.

- Jest pani w błędzie, sądząc, że mnie choć trochę obchodzi, co myślą inni, łącznie z panią. Niech pani nie zadaje sobie trudu, by wygłaszać mi kazania na temat zasad, ponieważ nie mam czegoś takiego, i niech mnie pani błędnie nie uznaje za „dżentelmena”, bo nikim takim nie jestem. Żyłem w miejscach, o których pani nigdy nie słyszała, i wszędzie tam postępowałem tak, że uraziłoby to całą pani purytańską wrażliwość. Jest pani niewinnym, naiwnym dzieckiem. Ja zaś nigdy nie byłem niewinny i nigdy nawet nie byłem dzieckiem. Jednakowoż, skoro tak się pani troszczy o to, co powiedzą ludzie, stosunkowo prosto można temu zaradzić. Może pani spędzić resztę wieczoru ze swoimi wdzięczącymi się adoratorami, a ja sobie znajdę kogoś innego, kto mnie zabawi.

Victoria poczuła się tak zmieszana i tak zabolą ją niesprawiedliwy atak Jasona, że prawie nie mogła myśleć, kiedy od niej odchodził. Niemniej jednak zastosowała się dokładnie do jego niezbyt grzecznej sugestii, a chociaż niemiłe spojrzenia, które na nią rzucano, straciły na intensywności, bawiła się fatalnie. Urażona duma kazała jej zachowywać się tak, jakby cieszyły ją tańce i słuchanie komplementów kolejnych partnerów, ale uszy wychwytywały głęboki głos Jasona, a serce zdawało się wyczuwać, kiedy znalazł się blisko.

Coraz bardziej nieszczęśliwa Victoria zdała sobie sprawę, że lord Fielding z całym wyrachowaniem zgromadził wokół siebie trzy śliczne blondynki, które rywalizowały ze sobą o jego względy i robiły wszystko, żeby tylko zasłużyć na jeden lekki uśmiech Jasona. Od

ostatniej nocy ani raz nie pozwoliła sobie na rozpamiętywanie, jaką rozkosz dawały jego usta. Teraz nie potrafiła myśleć o niczym innym, marzyła, by mieć go u swego boku, by przestał już flirtować z innymi damami, i do diabła z opinią towarzystwa!

Stojący przy niej młody człowiek przypomniał, że obiecała mu następny taniec.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Victoria uprzejmie, lecz bez entuzjazmu. - Czy nie wie pan przypadkiem, która godzina? - zapytała, kiedy prowadził ją na parkiet.

- Ależ wiem - oznajmił z dumą. - Jest wpół do dwunastej.

Victoria zdusiła jęk rozpacz. Ta ciężka próba potrwa jeszcze kilka godzin.

Charles wsunął klucz w zamek i otworzył drzwi w chwili, kiedy Northrup pośpiesznie wchodził do holu.

- Nie było potrzeby, byś czekał na mnie, Northrup - odezwał się życzliwie książe, podając mu kapelusz i laskę. - Która jest godzina?

- Wpół do dwunastej, Wasza Wysokość.

- Jason i Victoria nie wrócą do domu przed świtem, nie musisz więc, na nich czekać - powiedział Charles. - Wiesz, jak długo potrafią ciągnąć się takie zabawy.

Kamerdyner życzył mu dobrej nocy i oddalił się posłusznie. Charles skreślił w drugą stronę i ruszył do salonu, zamierzając odprężyć się nad kieliszkiem portwajnu i leniwie rozmyślać o romansie tych dwojga, który wczoraj w nocy rozkwitł wreszcie. Ruszył przez hol, ale głośne, energiczne stukanie do drzwi frontowych kazało mu przystanąć i zawrócić. Pomyślał, że Jason i Victoria musieli zapomnieć kluczy i wrócili wcześniej, otworzył drzwi, a jego uśmiech przybladł i zmienił się w łagodnie pytający wyraz, kiedy ujrzał przed sobą wysokiego, dobrze ubranego mężczyznę około trzydziestki.

- Proszę wybaczyć mi najście o tak późnej porze, Wasza Wysokość - powiedział dżentelmen. - Nazywam się Arthur Winslow, a moja firma została zaangażowana przez amerykańską spółkę prawniczą, która zaleciła nam zadbać o to, by ten list został panu doręczony bez zwłoki. Mam jeszcze jeden list, do panny Victorii Seaton.

Niedające się opanować przecucie katastrofy grzmotem zahuczało Charlesowi w głowie, kiedy przyjmował list.

- Lady Seaton jest dziś wieczorem nieobecna.

- Wiem o tym, Wasza Wysokość. - Młody człowiek pokazał ponuro przez ramię na stojący na ulicy powóz. - Czekałem, by któreś z państwa lub oboje wrócili do domu od wczesnego wieczoru, kiedy złożono te listy w moje ręce. W przypadku, gdyby lady Seaton była nieobecna, polecono nam oddać przesyłkę panu, z prośbą, by została przekazana adresatce jak najszybciej. - Włożył drugi list w wilgotną dłoń księcia i uchylił kapelusza. -

Życzę dobrej nocy, Wasza Wysokość.

Kiedy Charles zamykał drzwi i otwierał swój list, szukając podpisu nadawcy, lodowata groza szarpała mu serce. Rzuciły mu się w oczy imię i nazwisko „Andrew Bainbridge”. Wpatrywał się w nie, a jego serce zaczynało łomotać w bolesnych skurczach; zmusił się, by otworzyć list. W miarę jak czytał, krew odpływała mu z twarzy, a słowa falowały przed zamglonymi oczyma.

Gdy skończył, ręce mu opadły, a głowa pochyliła się do przodu, ramiona zaczęły drgać, łzy pociekły po twarzy i polały się na podłogę. Marzenia i nadzieje księcia rozwiewały się gwałtownie. Łzy dawno już obeschły, a Charles wciąż stał, wpatrując się niewidzącymi oczami w podłogę. W końcu bardzo powoli wyprostował się i uniósł głowę do góry.

- Northrup - zawołał, ruszając w kierunku schodów, ale głos miał stłumiony do szeptu. Odchrząknął i zawołał znowu: - Northrup!

Kamerdyner wpadł do holu, w pośpiechu wkładając surdut.

- Pan wołał, Wasza Wysokość? - zapytał, spoglądając z przerażeniem na księcia, który, wchodząc na schody, zatrzymał się w pół drogi i opierał o poręcz, mocno zaciskając na niej dłoń.

Charles odwrócił głowę i popatrzył w dół na służącego. - Wezwij doktora Worthinga - polecił. - Powiedz mu, żeby przyjechał natychmiast. Powiedz, że sprawa jest pilna.

- Czy mam posłać po lorda Fieldinga i lady Victorię? - zapytał pośpiesznie Northrup.

- Nie, do cholery! - wychrypiął przez zaciśnięte zęby jego pan, a potem odzyskał kontrolę nad głosem. - Dam ci znać po przyjeździe doktora Worthinga - poprawił się i powoli szedł dalej na górę.

Świtało już prawie, kiedy stangret Jasona podprowadził pełne werwy siwki pod dom przy Upper Brook Street numer sześć. Ani lord Fielding, ani Victoria słowem się do siebie nie odezwali od wyjazdu z balu Mortramów, lecz kiedy Jason gwałtownie wciągnął powietrze, Victoria wyprostowała się i rozejrzała.

- Czyj to powóz? - zapytała.

- Doktora Worthinga. Poznaję jego gniadosze. - Pchnął drzwiczki, wyskoczył z powozu, bezceremonialnie wyciągnął z niego Victorię, a potem, przeskakując po dwa stopnie, popędził do domu, zostawiając swą towarzyszkę, by sama się o siebie troszczyła. Victoria uniosła fałdy długiej sukni i pobiegła za nim, a kiedy drzwi otworzył im zmartwiony Northrup, poczuła nagły przyływ paniki. - Co się stało? - rzucił Jason.

- Pana wuj, milordzie - odpowiedział ponuro kamerdyner. - Miał atak serca. Jest z nim doktor Worthing.

- Dobry Boże! - szepnęła Victoria i z przerażenia mocno chwyciła Jasona za rękaw.

Razem wbiegli po schodach, a Northrup wołał za nimi:

- Doktor Worthing prosił, żeby państwo nie wchodzili do środka, póki go nie zawiadomię o państwa powrocie!

Jason uniósł dłoń, by zastukać do drzwi Charlesa, ale lekarz już je otwierał. Wyszedł na korytarz i stanowczo zamknął drzwi za sobą.

- Tak mi się zdawało, że słyszałem, jak przyjechaliście - wyjaśnił i znieknanym ruchem przeczesał palcami włosy.

- Jak on się czuje? - wykrztusił z napięciem Jason.

Doktor Worthing zdjął okulary w drucianej oprawce i z uwagą przecierał szkła.

- To bardzo poważny nawrót choroby, Jasonie.

- Czy możemy się z nim zobaczyć?

- Tak, ale muszę was oboje przestrzec, żebyście nie robili ani nie mówili niczego, co mogłoby go zdenerwować.

Dłoń Victorii sama uniosła się do ust.

- On... on nie umrze, prawda, panie doktorze?

- Prędzej czy później każdy z nas musi umrzeć, moja droga - odpowiedział lekarz, a wyraz twarzy miał tak posępny, że dziewczyna zaczęła dygotać ze strachu.

Udali się do pokoju umierającego i podeszli do łóżka, Victoria z jednej strony, a Jason z drugiej. Na nocnym stoliku paliły się dwie świece, ale dziewczynie wydawało się, że pokój jest równie ciemny i przerażający jak przygotowany, otwarty grobowiec. Dłoń księcia spoczywała bezwładnie na przykryciu. Victoria, połykając łzy, wyciągnęła rękę i ujęła tę dłoń, usiłując rozpaczliwie przekazać Charlesowi trochę własnych sił.

Powieki chorego zatrzepotały i uniosły się, gdy skupił wzrok na jej twarzy.

- Moje drogie dziecko - szepnął. - Nie zamierzałem umierać tak szybko. Tak bardzo chciałem wcześniej upewnić się, że jesteś szczęśliwa. Kto się tobą zaopiekuje, kiedy odejdziesz? Czy masz kogoś jeszcze, kto by cię przyjął i zatroszczył się o ciebie?

Po policzkach Victorii płynęły strumieniem łzy. Kochała wujka tak bardzo, a teraz miała go stracić. Usiłowała coś powiedzieć, ale udręka i lęk utkwili jej w gardle, tłumiąc głos, mogła tylko jeszcze mocniej ścisnąć dłoń Charlesa.

Ten odwrócił głowę na poduszce i popatrzył na syna.

- Taki jesteś do mnie podobny - szepnął - taki uparty. A teraz zostaniesz tak samo samotny, jak ja zawsze byłem.

- Nie mów nic - ostrzegł go Jason. Głos miał szorstki z bólu. - Odpoczywaj.

- Nie mogę odpoczywać - protestował słabo ksiązę. - Nie mogę umrzeć w spokoju, wiedząc, że Victoria zostanie sama. Oboje będziecie samotni, chociaż w różny sposób. Nie może zostać pod twoją opieką, Jasonie. Towarzystwo nigdy by tego nie wybaczyło... - Głos mu zamarł. Wyraźnie walcząc ze słabością, która nie pozwalała mu mówić, ciągnął dalej, z głową zwróconą w stronę dziewczyny. - Victorio, zostałeś tak ochrzczona po mnie. Twoja matka i ja kochaliśmy się. Ja... ja chciałem ci kiedyś o tym opowiedzieć. Teraz już nie wystarczy mi czasu.

Victoria nie potrafiła już opanować łez. Pochyliła głowę, ramionami jej wstrząsało rozpaczliwe łkanie.

Charles oderwał wzrok od jej zalanej łzami twarzy i popatrzył na Jasona.

- Miałem takie marzenie, że ty i Victoria się pobierzecie. Chciałem, żebyście mieli siebie nawzajem, kiedy odejdę...

Tłumiony z wysiłkiem ból sprawiał, że twarz Jasona przypominała pełną napięcia maskę. Kiwnął głową, mięśnie szyi mu drgały.

- Zaopiekuję się Victorią... ożenię się z nią - oświadczył pośpiesznie, kiedy Charles zaczął oponować.

Victoria, zaszokowana, gwałtownie uniosła zalane łzami oczy na twarz Jasona i uświadomiła sobie, że próbuje on tylko ulżyć Charlesowi w jego ostatniej godzinie.

Ksiązę ze znużeniem opuścił powieki.

- Nie wierzę ci, Jasonie - wyszeptał.

Dręczona obawą i desperacją Victoria osunęła się na kolana przy łóżku, kurczowo ściskając chorego za rękę.

- Nie wolno ci się o nas martwić, wujku Charlesie - zalewała się łzami.

Chory słabym ruchem odwrócił głowę na poduszce, otworzył oczy i wbił wzrok w syna.

- Czy przysięgasz? - wyszeptał. - Przysięgnij mi, że poślubisz Victorię, że zawsze będziesz się nią opiekował.

- Przysięgam - odpowiedział Jason, a niezłomny wyraz jego oczu przekonał Victorię, że to nie oszustwo. Składał przysięgę umierającemu.

- A ty, moje dziecko? - zwrócił się ksiązę do Victorii. - Czy przysięgniesz uroczyście, że go przyjmiesz?

Zesztywniała. Nie czas teraz na sprzeczki, dawne pretensje i nieistotne zawiłości. Poza Charlesem i lordem Fieldingiem nie miała już na świecie nikogo i wiedziała o tym. Przypomniała sobie upajające pocałunki Jasona i chociaż obawiała się jego zewnętrznego

chłodu, wiedziała, że jest silna i że przy tym mężczyźnie będzie bezpieczna. Resztki jej na wpół sprecyzowanych planów, że któregoś dnia sama powróci do Ameryki, ustąpiły przed bardziej pilną koniecznością przeżycia i ulżenia w strapieniu wujowi Charlesowi w jego ostatnich godzinach.

- Victorio? - nalegał słabiutko chory.

- Przyjmę go - szepnęła łamiącym się głosem.

- Dziękuję wam - wyszeptał Charles i z dramatycznym wysiłkiem próbował się uśmiechnąć. Wyciągnął spod kołdry lewą dłoń i chwycił syna za rękę. - Teraz mogę umrzeć w spokoju.

Całe ciało Jasona zeszywniało nagle. Przeniósł wzrok na oczy księcia, a twarz stężała mu w pełną cynizmu maskę. Z jadowitym sarkazmem potwierdził:

- Teraz możesz umrzeć w spokoju, Charlesie.

- Nie! - wybuchnęła płaczem Victoria. - Nie umieraj, wujku, proszę, nie umieraj! - Rozpaczliwie próbując znaleźć jakiś powód, dla którego powinien żyć, łkała: - Jeżeli umrzesz, nie będziesz mógł mnie poprowadzić do ołtarza...

Z cienia wysunął się doktor Worthing i łagodnie pomógł dziewczynie wstać. Skinął na Jasona głową, by poszedł za nim, i wyprowadził ją do holu.

- Wystarczy już, moja droga - mówił uspokajająco. - Rozchorujesz się.

Victoria uniosła zalaną łzami twarz do lekarza.

- Czy sądzi pan, że on przeżyje, panie doktorze?

Życzliwy, niemłody już lekarz poklepał ją łagodnie po ręce.

- Zostanę przy nim i dam wam znać, gdyby zaszła najmniejsza nawet zmiana. - I nie pocieszając ich właściwie ani słowem, cofnął się z powrotem do sypialni i zamknął drzwi za sobą.

Victoria i Jason zeszli na dół do salonu. Jason usiadł obok dziewczyny, pocieszająco objął ją ramieniem i przygarnął do siebie. Victoria wtuliła twarz w jego twardą pierś i szlochała ze smutku i przerażenia, aż zabrakło jej łez. Spędziła resztę nocy w ramionach Jasona, pogrążona w milczącym, modlitewnym błaganiu.

A Charles spędził resztę tej nocy, grając w karty z doktorem Worthingiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wczesnym popołudniem następnego dnia doktor Worthing mógł tylko im donieść, że chory „wciąż jeszcze się trzyma”. Następnego dnia zszedł na dół do jadalni, gdzie Jason i Victoria siedzieli przy obiedzie, i zawiadomił ich, że Charles wydaje się „w dużo lepszej formie”.

Victoria niemal nie potrafiła opanować się z radości, ale Jason uniósł tylko brew w kierunku lekarza i zapytał, czy zje z nimi obiad.

- Hmm... dziękuję wam bardzo - odpowiedział doktor Worthing, rzucając ostre spojrzenie na nieodgadnione rysy lorda Fieldinga. - Zdaje mi się, że mogę na jakiś czas zostawić mojego pacjenta bez opieki.

- Jestem pewien, że pan może - odrzekł z ironią Jason.

- Jak pan sądzi, panie doktorze, czy on wróci do zdrowia? - wybuchnęła Victoria, zastanawiając się, jak Jason może aż do tego stopnia nie okazywać żadnych emocji.

Starannie unikając badawczego wzroku młodego mężczyzny, lekarz skierował zakłopotane spojrzenie na Victorię i odchrząknął.

- Trudno mi powiedzieć. Widzisz, on twierdzi, że chce przeżyć, by zobaczyć wasz ślub. Jest pełen determinacji w tej kwestii. Można powiedzieć, że z tego właśnie powodu czepia się życia.

Victoria zagryzła wargę i zerknęła niespokojnie na Jasona, a dopiero potem zapytała doktora:

- A co się stanie, jeżeli zacznie wracać do zdrowia, a my... my mu powiemy, że zmieniliśmy zdanie?

Odpowiedział jej Jason, cedząc z ironią słowa przez zęby:

- W takim wypadku Charles bez najmniejszych wątpliwości będzie miał kolejny atak.

- Odwrócił się do lekarza i zapytał chłodno: - Czyż nie?

Doktor Worthing umknął oczami przed jego stalowym spojrzeniem.

- Jestem pewien, że znasz go lepiej, niż ja, Jasonie. Jak myślisz, co zrobi?

Lord Fielding wzruszył ramionami.

- Sądzę, że będzie miał następny atak.

Victoria odnosiła wrażenie, że los z rozmysłem ją dręczy. Najpierw odebrał jej dom i ludzi, których kochała, potem zmusił do przyjazdu do obcego kraju, a teraz rzucał w małżeństwo bez miłości z człowiekiem, który jej nie chciał.

Jeszcze długo po wyjściu obydwu panów siedziała przy stole, apatycznie przesuwając jedzenie po talerzu i usiłowała znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji, tak ze względu na Jasona, jak i na siebie. Wróciły jej marzenia o szczęśliwym domu z kochającym mężem u boku i dzieckiem gaworzącym w ramionach, ale wróciły tylko po to, by się z niej naigrawać i Victoria pozwoliła sobie na chwilę rozżalenia nad sobą. W końcu tak niewiele wymagała od życia: nie pragnęła futer ani klejnotów, sezonów w Londynie ani wspaniałych rezydencji, gdzie mogłaby odgrywać rolę królowej. Pragnęła nie więcej, niż miała w Ameryce, tyle że do tego chciała jeszcze męża i dzieci.

Zalała ją fala takiej nostalgii, że pokój aż zawirował jej przed oczami. Zwiesiła głowę. Jakże pragnęłaby cofnąć czas o rok i tam go zatrzymać. Mieć przed sobą uśmiechnięte twarze rodziców, słuchać, jak ojciec opowiada o szpitalu, który chciał wybudować, znaleźć się w otoczeniu wieśniaków, stanowiących jej drugą rodzinę. Zrobiłaby wszystko, wszystko, by znowu pojechać do domu. Jakby na szyderstwo pojawiła się jej przed oczami przystojna, roześmiana twarz Andrew, a Victoria odepchnęła od siebie ów obraz, wzbraniając się przed wylewaniem dalszych łez za niewiernym mężczyzną, którego kiedyś uwielbiała.

Odsunęła krzesło i poszła poszukać Jasona. Andrew zostawił ją własnemu losowi, jednak lord Fielding znajdował się na miejscu i miał obowiązek pomóc jej w obmyśleniu jakiegoś planu, dzięki któremu dałoby się uniknąć małżeństwa, niechcianego przez żadne z nich.

Znalazła go w gabinecie: stał, samotny i ponury, z ręką opartą o gzyms kominka, i wpatrywał się w puste palenisko. W sercu Victorii wezbrało współczucie, kiedy uświadomiła sobie, że chociaż wobec doktora Worthinga udawał człowieka zimnego i pozbawionego uczuć, przyszedł tutaj, by się pomartwić na osobności.

Zdusiła w sobie chęć, by podejść i powiedzieć, że podziela jego uczucia, bo na pewno odrzuciłby ów gest, i odezwała się spokojnie:

- Jasonie?

Uniósł wzrok i popatrzył na nią. Twarz miał kamienną.

- Co my zrobimy?

- W jakiej sprawie?

- W sprawie tego horrendalnego pomysłu wuja Charlesa, który chce nas pożenić.

- Dlaczego horrendalnego?

Victoria poczuła się zdumiona jego odpowiedzią, ale postanowiła nieodwołałnie, że przedyskutuje z nim całą sprawę spokojnie i otwarcie.

- Jest horrendalny, ponieważ nie chcę za pana wychodzić.

Oczy Jasona stwardniały.

- Dobrze sobie z tego zdaję sprawę, Victorio.

- A pan też wcale nie pragnie się ze mną żenić - dodała rzeczowo, błagalnie unosząc dłonie.

- Ma pani rację. - Przeniósł znowu wzrok na kominek i zamilkł.

Victoria czekała, by coś jeszcze powiedział, a nie doczekawszy się, westchnęła i ruszyła do drzwi. Ale słysząc następne słowa Jasona, zawróciła i szeroko otworzyła oczy.

- Małżeństwo jednak mogłoby każdemu z nas dać coś, czego chcemy.

- To znaczy co? - zapytała, przyglądając się jego mocnej twarzy i usiłując zrozumieć, o czym myślał. Jason wyprostował się, odwrócił i spojrzał jej w oczy.

- Pani chce wrócić do Ameryki, zyskać niezależność, zamieszkać wśród przyjaciół i może wybudować ów szpital, o którym marzył pani ojciec. Wszystko to pani sama mi powiedziała. Jeżeli będzie pani wobec siebie samej uczciwa, przyzna pani, że chce również wrócić po to, by pokazać Andrew i wszystkim innym, iż jego zdrada nic już dla pani nie znaczy, że zapomniała pani o nim z równą łatwością, jak on o pani, i że dobrze pani sobie radzi w życiu.

Victoria poczuła się tak upokorzona aluzją do swego ciężkiego położenia, że nie od razu doszły do niej następne słowa mężczyzny.

- A ja - oświadczył zdawkowym tonem - chcę mieć syna.

Jej zdumienie nie miało wprost granic, a Jason ciągnął dalej spokojnie:

- Moglibyśmy ofiarować sobie nawzajem to, czego oboje pragniemy. Proszę za mnie wyjść i dać mi syna. W zamian za to wyślę panią do Ameryki z wystarczającą ilością pieniędzy, by mogła pani żyć jak królowa i wybudować z tuzin szpitali.

Victoria wpatrywała się w niego, nie wierząc własnym uszom.

- Dać panu syna? - powtórzyła. - Dać panu syna, a potem pan wyśle mnie z powrotem do Ameryki? Dać panu syna i zostawić go tutaj?

- Mój egoizm ma swoje granice; mogłaby pani zatrzymać go przy sobie, dopóki nie skończy, powiedzmy, czterech lat. Do tego momentu dziecku potrzebna jest matka. Potem spodziewałbym się, że pozostanie ze mną. Może zdecyduje się pani zamieszkać z nami, kiedy go pani przywiezie. Prawdę mówiąc wolałbym, by pozostała tu pani na stałe, ale zostawię tę decyzję pani. Jest jednak pewna sprawa, jeden warunek, przy którym będę obstawał.

- Jaki warunek? - zapytała Victoria w oszołomieniu.

Jason zawahał się; odniosła wrażenie, że z ostrożnością formułuje odpowiedź, a kiedy się w końcu odezwał, odwrócił wzrok i zapatrzył w pejzaż nad kominkiem, jakby nie chciał

patrzeć jej w oczy.

- Ponieważ przed kilkoma dniami tak gorąco wystąpiła pani w mojej obronie, ludzie przyjęli, że nie pogardza mną pani ani się mnie nie boi. Jeżeli zgodzi się pani na to małżeństwo, będę się spodziewał, że umocni pani wszystkich w tym przekonaniu i nie zrobi ani nie powie niczego, co mogłoby zmienić ich opinię. Innymi słowy, obojętne, jak ułożą się stosunki między nami, kiedy oboje znajdziemy się w miejscu publicznym, będę oczekiwał, że zachowa się pani tak, jakby wychodziła pani za mnie dla czegoś więcej niż tylko dla pieniędzy i tytułu. Albo, jeżeli mam to powiedzieć wprost, jakby pani na mnie zależało.

Właściwie bez żadnego powodu Victorii przypomniały się jego jadowite uwagi na balu u Mortramów: „Jest pani w błędzie, sądząc, że choć trochę mnie obchodzi, co myślą inni...”. Kłamał, zdała sobie sprawę z bolesną czułością. Najwyraźniej przejmował się tym, co myślą ludzie, inaczej nie prosiłby jej o nic takiego.

Popatrzyła na chłodnego, beznamiętnego mężczyznę, który stał teraz przed nią. Robił wrażenie potężnego, powściągliwego i całkowicie pewnego siebie. Nie była w stanie uwierzyć, że mógłby chcieć syna, od niej, czy od jakiegokolwiek innej kobiety, tak samo jak nie potrafiła uwierzyć, że przeszkadza mu to, iż ludzie się go boją i mu nie ufają. Niemożliwe, a jednak prawdziwe. Przypomniała sobie, jaki chłopięcy wydawał się w tę noc pojedynku, kiedy droczył się z nią i namawiał na pocałunek. Przypomniała sobie namiętną tęsknotę tego pocałunku i samotną rozpacz w słowach: „Setki razy próbowałem dać ci odejść, Victorio, ale nie mogę”.

Może pod tą chłodną, beznamiętną fasadą Jason czuł się równie samotny i pusty jak ona? Może potrzebował jej, a nie potrafił się zmusić, by to powiedzieć? A może jednak, chcąc w to uwierzyć, próbuje oszukiwać samą siebie?

- Jasonie - odezwała się, ubierając część swoich myśli w słowa. - Nie możesz się spodziewać, że urodzę dziecko, a potem oddam ci je i odejdę własną drogą. Nie możesz być tak zimny i bez serca, jak się wydawało, gdy składałeś mi tę propozycję. Ja... ja nie potrafię uwierzyć, że taki jesteś.

- Przekonasz się, że nie będę okrutnym mężem, jeżeli o to ci chodzi.

- Wcale nie o to! - wybuchnęła Victoria nieco histerycznie. - Jak możesz mówić o poślubieniu mnie, jakbyś omawiał zrobienie zwykłego... interesu, bez jakichkolwiek uczuć, bez emocji, bez udawanej nawet miłości czy...

- Przecież nie pozostały ci już chyba żadne złudzenia co do miłości - zadrwił z jadowitym zniecierpliwieniem. - Twoje doświadczenie z Bainbridge'em powinno cię było nauczyć, że miłość to uczucie, które wykorzystuje się tylko do manipulowania głupcami. Ani

nie spodziewam się po tobie miłości, Victorio, ani jej od ciebie nie pragnę.

Chwyciła za oparcie stojącego obok niej krzesła; w głowie jej się zakręciło od tych słów. Otworzyła usta, by odrzucić propozycję, ale Jason potrząsnął głową, uprzedzając odmowę.

- Nie odpowiadaj mi, zanim nie rozważysz tego, co powiedziałem. Jeżeli mnie poślubisz, uzyskasz wolność i będziesz mogła robić ze swym życiem, co tylko zechcesz. Mogłabyś wybudować jeden szpital w Ameryce, a drugi w Wakefield i zostać w Anglii. Mam sześć majątków i tysiąc dzierżawców oraz służących. Wystarczyłoby samej służby, by dostarczyć ci tylu chorych, żeby wypełnili twój szpital. A jeżeli nie, będę im płacił, żeby chorowali. - Wargi drgnęły mu w lekkim uśmiechu, Victoria jednak za bardzo czuła się zrozpaczona, by w tej sytuacji widzieć cokolwiek zabawnego. Kiedy zobaczył, że w żaden sposób nie reaguje na jego żart, dodał: - Możesz obwiesić ściany w Wakefield swoimi szkicami, a jeżeli nie wystarczy ci miejsca, wybuduję tam jeszcze jeden dom. - Victoria wciąż jeszcze usiłowała przetrwać zaskakującą informację, że wiedział, iż ona maluje, kiedy wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej napiętym policzku i oświadczył lekko: - Przekonasz się, że będę bardzo szczodrym mężem, zapewniam cię.

Na ostateczność słowa „mąż” zimny dreszcz przebiegł ciało dziewczyny; objęła się ramionami, daremnie próbując się rozgrzać.

- Dlaczego? - zapytała półprzytomnie. - Dlaczego ja? Jeżeli chce pan mieć synów, są w Londynie dziesiątki chętnych kobiet, które tak się palą do ślubu z panem, że aż się niedobrze robi.

- Ponieważ mnie pociągasz, z pewnością wiesz o tym - odrzekł. - I jeszcze - dodał, a w oczach zapaliły mu się figlarne płomyki, kiedy przesunął dłonie na jej ramiona i próbował przyciągnąć ją bliżej - ponieważ mnie lubisz. Powiedziałaś mi to, gdy myślałaś, że śpię. Pamiętasz?

Victoria gapiła się na niego, nie potrafiąc zrozumieć usłyszonej właśnie rewelacji, że naprawdę go pociąga.

- Andrew też mi się podobał - odparła z gniewną impertynencją. - Jeśli chodzi o mężczyzn, mam kiepskie rozeznanie.

- Prawda - potwierdził Jason, a w oczach zatańczyły mu wesołe iskierki.

Poczuła, że nieustępliwie przyciągał ją coraz bliżej.

- Chyba musiał pan rozum stracić! - powiedziała zduszonym głosem. - Myślę, że pan zupełnie zwariował!

- Straciłem rozum i zwariowałem - zgodził się, kładąc ręce na jej plecach i tuląc ją do

siebie.

- Nie zrobię tego. Nie mogę...

- Victorio - powiedział cicho - nie masz wyboru. - Kiedy piersiami dotknęła wreszcie jego koszuli, głos zrobił mu się ochrypliwy i przekonujący. - Mogę dać ci wszystko, czego pragnie kobieta...

- Wszystko, poza miłością - wykrztusiła.

- Wszystko, czego naprawdę pragnie kobieta - poprawił się i zanim Victoria zdołała zrozumieć tę tajemniczą uwagę, jego pięknie wykrojone usta zaczęły powoli, z rozmysłem opadać ku jej wargom. - Dam ci klejnoty i futra - obiecywał. - Będziesz miała więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek marzyłaś. - Objął od tyłu jej głowę, ściskając jedwabiste włosy i odchylając twarz Victorii do pocałunku. - W zamian za wszystko wystarczy, że dasz mi to...

Dziwne, ale przyszło jej na myśl tylko jedno, że on sam zbyt tanio się sprzedaje, że za mało od niej żąda. Był przystojny, bogaty i pożądanym, z pewnością miał prawo chcieć więcej od swojej żony... A potem wszystkie myśli się urwały, bo usta Jasona przywarły do jej ust w niekończącym się, namiętym pocałunku, którego natarczywość powoli narastała, aż Victoria zaczęła drzeć od przenikających ją, palących wrażeń. Jason dotknął językiem jej warg, zachęcając i zmuszając, by się rozchyliły; kiedy tak się stało, wsunął go gwałtownie do środka. Jęknęła, a ramiona mężczyzny zacisnęły się opiekuńczo; przyciągnął ją mocno do siebie, podczas gdy jego dłonie przesuwają się zachłannie po bokach, ramionach i plecach dziewczyny.

Gdy w końcu przestał, Victorii kręciło się w głowie, było jej gorąco i bała się, sama nie wiedząc czego.

- Popatrz na mnie - wyszeptał, unosząc jej twarz. - Cała drżysz - dodał, kiedy zwróciła na niego szeroko otwarte oczy. - Czy boisz się mnie?

Nie zważając na wszystkie emocje, które nią wstrząsały, Victoria zaprzeczyła. Nie bała się go, ale nagle, nie wiadomo dlaczego, przestraszyła się samej siebie.

- Nie - odpowiedziała głośno.

Na ustach Jasona pojawił się cień uśmiechu.

- Boisz się, lecz nie masz ku temu powodów. - Przyłożył dłoń do jej rozpalonej twarzy i powoli przesunął w górę, by przygładzić gęste włosy. - Sprawię ci ból tylko raz, a i wtedy tylko dlatego, że nie da się tego uniknąć.

- Co... dlaczego?

Jason zacisnął szczękę.

- A może mimo wszystko nie sprawię ci bólu. Czy o to chodzi?

- O co? - krzyknęła roztrzęsiona Victoria. - Bardzo bym chciała, żeby przestał pan mówić zagadkami, gdyż mnie już wszystko tak się pomieszało, że prawie nie mogę myśleć.

Z typową dla siebie, błyskawiczną zmianą nastroju, zbył sprawę wzruszeniem ramion.

- To bez znaczenia - odrzekł lakonicznie. - Wszystko mi jedno, co robiłaś z Bainbridge'em. To było wcześniej.

- Wcześniej? - powtórzyła zaszokowana, nie rozumiejąc jego słów. - Wcześniej niż co?

- Wcześniej niż ja - uciął. - Jednak sędzę, że powinnaś z góry wiedzieć, iż nie będę tolerował przyprawiania mi rogów.

Victoria na chwilę straciła mowę z oburzenia.

- Przyprawiania rogów! Zwariował pan. Kompletnie pan zwariował!

Wargi Jasona drgnęły w czymś zbliżonym do uśmiechu.

- Co do tego już się zgodziliśmy.

- Jeżeli ma pan zamiar dalej mówić obraźliwymi aluzjami - ostrzegła go - to idę natychmiast do mojego pokoju.

Jason popatrzył w dół, w te wzburzone niebieskie oczy i zdusił w sobie nagłe pragnienie, by chwycić ją w ramiona i znowu wpić się w jej usta.

- Bardzo dobrze, porozmawiamy na jakieś zwyczajne tematy. Co przygotowuje na dziś pani Craddock?

Dziewczyna poczuła się tak, jakby cały świat i wszystko na nim obracało się w jednym kierunku, ona zaś wirowała uparcie w przeciwnym, zagubiona i półprzytomna.

- Pani Craddock? - zapytała zdezorientowana.

- Kucharka. Widzisz, dowiedziałem się, jak ma na nazwisko. Wiem także, że O'Malley jest twoim ulubionym lokajem. - Uśmiechnął się szeroko. - No więc, co pani Craddock przygotowuje na kolację?

- Gęś - poinformowała go Victoria, starając się odzyskać równowagę. - Czy... czy to będzie mile widziane danie?

- Wspaniałe. Czy zjemy kolację w domu?

- Ja tak. - Z rozmysłem odpowiedziała wymijająco.

- W takim razie ja, naturalnie, również.

Już wchodził w rolę męża, uświadomiła sobie z oszołomieniem.

- A więc dam znać pani Craddock - powiedziała i odwróciła się, mając kompletny zamęt w głowie.

Jason powiedział, że go pociąga. Chciał się z nią ożenić. Niemożliwe. Jeżeli Charles

umrze, będzie musiała za tego człowieka wyjść. Jeżeli wyjdzie za niego teraz, może wuj odnajdzie w sobie wolę życia. I dzieci... Jason pragnął mieć dzieci. Ona też, i to bardzo. Chciała móc kogoś kochać. Może będą razem szczęśliwi; trafiały się takie chwile, kiedy Jason potrafił być uroczy i czarujący, kiedy czuła, że musi odpowiedzieć uśmiechem na jego uśmiech. Powiedział, że jej nie skrzywdzi... Była już w pół drogi do drzwi, kiedy zatrzymał ją jego spokojny głos.

- Victorio...

Odruchowo odwróciła się do niego.

- Sądzę, że podjęłaś już decyzję dotyczącą naszego małżeństwa. Jeżeli brzmi ona „tak”, powinniśmy po kolacji pójść do Charlesa i powiedzieć mu, że ustalamy datę ślubu. Będzie zadowolony, a im szybciej mu o tym powiemy, tym lepiej.

Jason chciał się dowiedzieć, czy zamierza za niego wyjść, uświadomiła sobie Victoria. Zapatrzyła się na tego przystojnego, władczego, dynamicznego mężczyznę - i miała wrażenie, że chwila ta przeciąga się w nieskończoność. Dlaczego wydawało jej się, że z takim napięciem czekał na odpowiedź? Dlaczego musiał jej się oświadczać tak, jakby składał propozycję dotyczącą interesów?

- Ja... - odpowiedziała bezradnie, a w uszach zadzwoniły jej nagle słowa słodkich, tradycyjnych oświadczeń Andrew. „Powiedz, że za mnie wyjdiesz, Victorio. Kocham cię. Zawsze cię będę kochał...”.

Uniosła w górę brodę w odruchu gniewnego buntu. Przynajmniej lord Fielding nie prawił czczych słówek na temat miłości, której nie czuł. Oświadczając się, nie okazał jej również najmniejszej chociaż sympatii, więc przyjęła jego oświadczenia w ten sam pozbawiony emocji sposób, w jaki zostały złożone. Popatrzyła na niego i skinęła sztywno głową.

- Powiemy mu po kolacji.

Mogłaby przysiąc, że z twarzy i ciała Jasona zniknęło napięcie.

Z formalnego punktu widzenia był to wieczór jej zaręczyn i Victoria postanowiła wykorzystać okazję, żeby stworzyć między nimi lepsze stosunki na przyszłość. Rankiem, w dzień pojedynku, Jason mówił, że cieszy go jej śmiech. Jeżeli, co podejrzewała, czuł się równie samotny i pusty jak ona sama, to może uda im się wzajemnie rozjaśnić swoje życie. Stała boso przed otwartą szafą, przeglądając najpiękniejsze stroje i próbując podjąć decyzję, co włożyć na tę niby uroczystą okazję. Zdecydowała się w końcu na suknię z szyfonu w kolorze morskim, z wierzchnią spódnicą usianą migotliwymi, złotymi pająkami, oraz naszyjnik z oprawnych w złoto akwamaryn, otrzymany od Jasona w wieczór pierwszego balu.

Ruth wyszczotkowała jej włosy, aż zaczęły lśnić, a potem rozdzieliła je na środku i rozpuściła; połyskliwe fale otoczyły twarz dziewczyny i rozsypały się po jej ramionach i plecach. Kiedy w końcu Victoria była zadowolona ze swego wyglądu, zeszła na dół do bawialni. Jason najwyraźniej kierował się tym samym impulsem, bo włożył strój wieczorowy: nieskazitelnie leżący surdut i spodnie z aksamitu w kolorze czerwonego wina, białą, brokatową kamizelkę, a do tego rubinową spinkę, która połyskiwała na sztywnym gorsie koszuli.

Nalewał właśnie szampana do kieliszka, kiedy podniósł wzrok, zobaczył ją i zmierzył zuchwałym męskim spojrzeniem z nieukrywaną aprobatą. W tym zaborczym wzroku widać było dumę posiadacza, a Victoria poczuła, że coś nerwowo zaciska się jej w żołądku, kiedy to zauważyła. Nikt nigdy dotąd nie patrzył na nią tak, jakby była jakimś smacznym kąskiem, który za chwilę zostanie bez pośpiechu zjedzony.

- Cechuje panią szalenie niepokojąca zdolność, by w jednej chwili przypominać czarujące dziecko, a zaraz potem niewiarygodnie ponętą kobietę - zauważył Jason.

- Dziękuję panu - odpowiedziała niepewnie Victoria. - Chyba powinnam.

- W zamierzeniu miał to być komplement - zapewnił ją, uśmiechając się lekko. - Zwykle, prawiąc komplementy, nie okazuję aż takiej niezdarności, by nie można ich rozpoznać. Na przyszłość będę bardziej uważny.

Victoria, wzruszona tą drobną oznaką, że próbował się zmienić, by sprawić jej przyjemność, przyglądała się, jak zręcznie nalewa musujący płyn do dwóch kieliszków. Przyjęła jeden z nich i już chciała się odwrócić, by pójść w kierunku foteli, kiedy powstrzymał ją i przyciągnął do siebie. Drugą ręką odchylił wieczko dużego, aksamitnego, jubilerskiego pudrera, które leżało na stoliku, i wyjął potrójny sznur największych, najwspanialszych pereł, jakie w życiu widziała. Bez słowa odwrócił ją twarzą do wiszącego pod ścianą lustra i odsunął długie włosy na bok. Kiedy dotykał jej szyi palcami, zdejmując akwamaryny i wkładając drogocenną kolbę, Victoria poczuła na plecach drobne dreszcze.

Przyglądała się w lustrze pozbawionym wyrazu rysom Jasona, kiedy zapinał diamentowy zameczek z tyłu; skończywszy spojrzął jej w oczy i bacznie przyjrzał się perłom.

- Dziękuję panu - zaczęła skrępowana, odwracając się ku niemu. - Ja...

- Wolałbym, by mi pani podziękowała pocałunkiem - pouczył ją cierpliwie Jason.

Victoria uniosła się na palcach i posłusznie, chociaż dość nieśmiało wycisnęła pocałunek na gładkim, świeżo wygolonym policzku mężczyzny. Dał jej perły i na zimno spodziewał się w zamian za nie pocałunku; coś ją w tym bardzo zmartwiło: zupełnie jakby kupował sobie jej łaski, zaczynając od pocałunku w zamian za prezent. Myśl ta znalazła dość

przerażające potwierdzenie, kiedy Jason powiedział:

- Nie najlepszy to pocałunek za taki piękny naszyjnik - i przywarł do jej ust gwałtownie, natarczywie i władczo. Puściwszy ją, uśmiechnął się zagadkowo do pełnych niepokoju, niebieskich oczu. - Czy nie podobają ci się perły, Victorio?

- Och, bardzo, naprawdę! - odpowiedziała nerwowo; zła była na siebie, że nie potrafi trzymać w ryzach tych głupich, wydumanych lęków. - Nigdy jeszcze takich pięknych nie widziałam. Nawet lady Wilham nie ma takich wielkich. Godne są królowej.

- Należały przed wiekiem do pewnej rosyjskiej księżniczki - wyjaśnił, a Victoria poczuła się dziwnie wzruszona, że najwyraźniej uważał ją za godną tak bezcennego podarunku.

Po kolacji udali się na górę do Charlesa. Twarz księcia odmłodziła z radości o całe lata, kiedy spokojnie powiadomili go o swej decyzji, a gdy Jason z sympatią objął Victorię za ramiona, obłożnie chory aż się zaśmiał. Taki był szczęśliwy, taki przekonany, że postępują słusznie, iż Victoria niemal sama w to uwierzyła.

- Kiedy ślub? - zapytał nagle księżę.

- Za tydzień - odrzekł Jason i zasłużył sobie na pełne zdumienia spojrzenie Victorii.

- Wspaniale, wspaniale! - przytakiwał Charles i patrzył na nich rozpromieniony. - Zamierzam dojechać do siebie, żeby wziąć w nim udział.

Victoria zaczęła protestować, ale palce Jasona ostrzegawczo zacisnęły się na jej rękę, by nie oponowała.

- A co ty tu masz, moja droga? - zapytał wuj i rozpromieniony popatrzył na perły na jej szyi.

Dłoń Victorii automatycznie uniosła się do naszyjnika, na który patrzył.

- Jason dał mi to dziś, żeby przypieczętować naszą umowę... nasze zaręczyny - wyjaśniła.

Kiedy wizyta u Charlesa dobiegła końca, Victoria wytłumaczyła się wyczerpaniem i Jason odprowadził ją do drzwi jej pokoju.

- Coś panią martwi - powiedział spokojnie. - Co?

- Między innymi czuję się okropnie, że mam wyjść za mąż, zanim skończy się żałoba po moich rodzicach. Czuję się winna za każdym razem, gdy szłam na bal. Musiałam uchylać się od odpowiedzi na pytanie, kiedy moi rodzice zmarli, żeby ludzie nie uświadomili sobie, jaką pozbawioną szacunku córką jestem.

- Robiła pani to, co musiała, a pani rodzice zrozumieliby to. Poślubiając mnie bez zwłoki, daje pani Charlesowi powód, by chciał żyć. Widziała pani, o ile lepiej wyglądał, kiedy powiedzieliśmy mu, że ustaliliśmy datę ślubu. Poza tym decyzja, by skrócić okres

żałoby, wyszła ode mnie, a nie od pani, więc nie miała pani w tej sprawie wyboru. Jeżeli musi pani kogoś winić, proszę winić mnie.

Victoria wiedziała, że logicznie rzecz biorąc, miał rację i zmieniła temat.

- Proszę mi coś powiedzieć. - W jej uśmiechniętym głosie dała się słyszeć nutka wyrzutu. - Dowiedziałam się już, że razem postanowiliśmy, iż pobierzemy się za tydzień, ale czy mógłby mi pan wyjawić, gdzie postanowiliśmy się pobrać?

- *Touche* - roześmiał się jej narzeczony. - Bardzo dobrze; postanowiliśmy się pobrać tutaj.

Victoria potrząsnęła głową.

- Proszę, Jasonie, czy nie moglibyśmy pobrać się w kościele, w tym małym wiejskim kościółku, który widziałam w pobliżu Wakefield? Moglibyśmy zaczekać troszkę dłużej, aż wujek Charles wyzdrowieje na tyle, by mógł odbyć tę podróż.

Ze zdumieniem przyglądała się, jak na wzmiankę o kościele w oczach Jasona błysnęła zimna odraza, ale po chwili wahania zgodził się, kiwnąwszy krótko głową.

- Jeżeli chce pani ślubu kościelnego, pobierzemy się tu, w Londynie, w kościele wystarczająco dużym, by pomieścić wszystkich gości.

- Proszę, nie... - wybuchnęła Victoria i położyła mu rękę na rękawie, nieświadoma tego gestu. - Jestem bardzo daleko od Ameryki, milordzie. Ten kościółek w pobliżu Wakefield byłby lepszy, bo przypomina mi dom. A zawsze, od dzieciństwa, marzyłam o tym, by wziąć ślub w małym wiejskim kościółku... - Marzyła o ślubie z Andrew w małym wiejskim kościółku, uświadomiła sobie poniewczasie Victoria i pożałowała, że w ogóle wspomniała o kościele.

- Chcę, by nasz ślub odbył się w Londynie, na oczach całego świata - powiedział Jason głosem niedopuszczającym sprzeciwu. - Jednak pójdziemy na kompromis - zaproponował. - Pobierzemy się tutaj, w kościele, a potem pojedziemy na małą uroczystość do Wakefield.

Dłoń Victorii opadła z jego rękawa.

- Proszę zapamiętać, że wspomniałam cokolwiek o kościele. Proszę zaprosić wszystkich gości tutaj, do domu. Bliskie to byłoby bluźnierstwa, żeby w kościele przypieczętować przysięgą coś, co nie jest niczym więcej niż zwykłą umową w interesach. - I siląc się nieprzekonująco na humor, dodała: - Kiedy przysięgalibyśmy sobie, że się będziemy kochać i szanować, czekałabym tylko na uderzenie pioruna.

- Pobierzemy się w kościele - oświadczył lakonicznie Jason, ucinając jej protesty. - A jeżeli piorun uderzy, poniosę koszty położenia nowego dachu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Dzień dobry, moja droga - odezwał się wesoło Charles, wskazując miejsce na skraju swego łóżka. - Podejdź tu i usiądź przy mnie. To nie do wiary, ile zdrowia przywróciła mi wczorajsza wizyta twoja i Jasona. A teraz powiedz mi, proszę, coś więcej na temat waszych ślubnych planów. Victoria usiadła obok niego.

- Prawdę powiedziawszy, strasznie trudno się w tym wszystkim połapać, wujku Charlesie. Northrup właśnie zawiadomił mnie, że dziś rano Jason spakował rzeczy ze swojego gabinetu i przeprowadził się z powrotem do Wakefield.

- Wiem - potwierdził z uśmiechem książę. - Przyszedł tu do mnie przed wyjazdem i oświadczył, że postanowił to zrobić, by „zachować pozory”. Im mniej czasu będzie spędzał przy tobie, tym mniej stworzy okazji do dalszych plotek.

- Więc to dlatego wyjechał! - wykrzyknęła Victoria, a jej strapiona twarz się rozjaśniła.

Ramiona Charlesa drgały od śmiechu, kiedy kiwał głową.

- Moje dziecko, myślę, że po raz pierwszy w życiu Jason zrobił ustępstwo na rzecz tego, co wypada! Nie było mu to miłe, ale się przemógł. Masz na niego zdecydowanie dobry wpływ - dokończył wesoło. - Może uda ci się jeszcze nauczyć go, by nie drwił z zasad.

Victoria odpowiedziała mu uśmiechem, kamień spadł jej z serca i niespodziewanie poczuła się bardzo szczęśliwa.

- Obawiam się, że nic nie wiem na temat przygotowań do ślubu - przyznała - poza tym, że ma się on odbyć w jakimś wielkim kościele w Londynie.

- Jason już się wszystkim zajmuje. Zabrał do Wakefield swojego sekretarza i najważniejszych służących, żeby wszystko przygotowali. Po ceremonii w pałacu odbędzie się uroczystość weselna dla przyjaciół i mieszkańców wioski. Odnoszę wrażenie, że lista gości i same zaproszenia są już przygotowywane. Tak więc nie musisz nic robić. Wystarczy, żebyś tu była i cieszyła się zaskoczeniem wszystkich znajomych, kiedy uświadomią sobie, że naprawdę zostaniesz następną księżną Atherton.

Victoria puściła jego uwagę mimo uszu i z wahaniem poruszyła sprawę znacznie dla niej ważniejszą.

- Tamtego wieczoru, kiedy był wuj taki chory, wspomniał wuj o mojej matce i o sobie oraz o czymś, co wuj zamierzał mi opowiedzieć.

Charles pośpiesznie odwrócił głowę i popatrzył za okno, a Victoria dodała szybko:

- Nie musi mi wuj opowiadać, jeżeli miałyby to wuja zdenerwować.

- To nie o to chodzi - szepnął, powoli wracając spojrzeniem do jej twarzy. - Wiem przecież, ile w tobie wyrozumiałości i rozsądku, ale jesteś wciąż jeszcze bardzo młoda. Kochałaś swego ojca, prawdopodobnie równie mocno, jak kochałaś matkę. Kiedy wyjawię ci już to, co mam do powiedzenia, możesz zacząć uważać mnie za intruza w ich małżeństwie, chociaż przysięgam ci, że nie miałem żadnego kontaktu z twoją matką od chwili, gdy poślubiła twego papę. Victorio - tłumaczył przygnębiony - usiłuję wyjaśnić ci, że nie chcę, byś mną pogardzała, a obawiam się, że mogłabyś, kiedy usłyszysz moją opowieść.

Ujęła go za rękę i zapytała łagodnie:

- Jakże mogłabym pogardzać kimś, kto był na tyle mądry, że zakochał się w mojej matce?

Książę spuścił oczy na jej dłoń i odezwał się głosem zdławionym przez wzruszenie.

- Odziedziczyłaś również serce po matce, wiesz o tym? - A kiedy Victoria milczała, przeniósł znowu wzrok na okno i zaczął opowiadać, co go łączyło z Katherine. Nie spojrzał na Victorię, dopóki historia nie dobiegła końca, a wtedy w jej oczach nie zobaczył potępienia, tylko smutek i współczucie. - Tak więc widzisz - zamknął opowieść - kochałem ją kiedyś z całego mojego serca. Kochałem ją i usunąłem ze swego życia, choć tylko dla niej warto było żyć.

- To moja prababka zmusiła wuja do tego - zauważyła Victoria. Oczy miała pełne wzburzenia.

- Czy oni byli szczęśliwi, twoja matka i ojciec? Zawsze zastanawiałem się, jakie było ich małżeństwo, ale bałem się zapytać.

Victoria przypomniała sobie ową okropną scenę pomiędzy rodzicami, której świadkiem stała się podczas tamtych świąt Bożego Narodzenia, ale przeważały osiemnaście lat życzliwości i troski, którą sobie okazywali.

- Tak, byli szczęśliwi. Ich małżeństwo w niczym nie przypominało małżeństw zawieranych przez *ton*.

Ostatnie słowa wypowiedziała z taką odrazą, że Charles uśmiechnął się z ciekawości.

- Co masz na myśli, mówiąc o „małżeństwach zawieranych przez *ton*”?

- Taki rodzaj małżeństwa, jakie widzę tu, w Londynie, poza Robertem i Caroline Collingwoodami i kilku innymi parami. Taki związek, w którym mąż i żona rzadko przebywają ze sobą, a jeżeli spotkają się przypadkiem u kogoś, zachowują się jak uprzejmi, dobrze wychowani obcy. Dżentelmeni zawsze gdzieś znikają, oddając się swoim

przyjemnościom, a damy mają swoich *cicisbeo**. Moi rodzice mieszkali razem, w prawdziwym domu, i tworzyliśmy prawdziwą rodzinę.

- Rozumiem, że zamierzasz mieć tradycyjne małżeństwo i tradycyjną rodzinę - droczył się z nią książę, ale wyglądał na bardzo zadowolonego.

- Nie wydaje mi się, żeby Jason chciał tego rodzaju małżeństwa. - Nie mogła zdobyć się na to, by powiedzieć Charlesowi, że początkowo narzeczony zaproponował jej, by dała mu syna, a potem się wyniosła. Pocieszała się świadomością, że chociaż złożył jej tę propozycję, wolał chyba, by została w Anglii razem z nim.

- Bardzo w to wątpię, czy akurat teraz Jason wie dokładnie, czego chce - odrzekł z powagą Charles. - Jesteś mu potrzebna, moje dziecko. Potrzebuje twojej serdeczności i odwagi. Nie chce się przyznać do tego, nawet wobec samego siebie, a kiedy wreszcie to zrobi, wcale nie będzie zadowolony, wierz mi. Będzie z tobą walczył - ostrzegał ją łagodnie. - Ale prędzej czy później otworzy przed tobą serce, a kiedy to zrobi, odzyska spokój. W zamian da ci szczęście, o jakim nawet nie marzyłaś.

Victoria miała tak pełną wątpliwości i sceptyczną minę, że uśmiech księcia zbladł.

- Okaż mu cierpliwość, Victorio. Gdyby nie był tak silny na ciele i duchu, nigdy nie dożyłby wieku trzydziestu lat. Zostały mu blizny, głębokie blizny, ale w twojej mocy jest je uleczyć.

- Jakie blizny?

Charles potrząsnął głową.

- Lepiej będzie dla was obojga, jeżeli sam Jason w końcu opowie ci o swoim życiu, a zwłaszcza o dzieciństwie. Gdyby tego nie zrobił, możesz przyjść do mnie.

W ciągu następnych kilku dni Victoria miała bardzo mało czasu, by zastanawiać się nad Jasonem czy czymkolwiek innym. Gdy tylko wyszła z sypialni księcia, w domu pojawiła się madame Dumosse z czterema szwaczkami.

- Lord Fielding polecił, bym przygotowała dla pani suknię ślubną, mademoiselle - powiedziała, obchodząc już dziewczynę dookoła. - Powiedział, że ma być bardzo bogata i bardzo elegancka. Indywidualna. Godna królowej. I bez falbanek.

Arbitralność narzeczonego spowodowała, że Victoria utknęła gdzieś w pół drogi między złością a rozbawieniem. Zerknęła z ukosa na madame.

- Czy przypadkiem wybrał też kolor?

- Niebieski.

* *cicisbeo* - galant

- Niebieski? - wybuchnęła Victoria, gotowa ze wszystkich sił walczyć o biały, jeżeli będzie trzeba.

Krawcowa przytaknęła, z namysłem przyłożyła do warg palec, a drugą rękę oparła na biodrze.

- Tak, niebieski. Bardzo jasny niebieski. Powiedział, że cudownie pani wygląda w tym kolorze, jak anioł o tycjanowskich włosach, jak to określił.

Victoria doszła nagle do wniosku, że wspaniale będzie wziąć ślub w jasnoniebieskiej sukni.

- Lord Fielding ma doskonały gust - ciągnęła dalej madame, a jej cienkie brwi podjechały w górę nad bystrymi, czujnymi oczami. - Czyżby była pani innego zdania?

- Zdecydowanie doskonały - zgodziła się ze śmiechem Victoria, a potem oddała się w zręczne ręce krawcowej.

W cztery godziny później, kiedy madame w końcu ją zwolniła i oddaliła się pośpiesznie ze swymi szwaczkami do pracowni, zawiadomiono Victorię, że w złotym salonie czeka na nią lady Caroline Collingwood.

- Victorio! - wykrzyknęła hrabina, wyciągając ręce i obejmując przyjaciółkę. - Lord Fielding przyjechał do nas dziś rano, by powiedzieć o ślubie. Jestem zaszczycona, że będę twoją pierwszą druhną, czego, jak lord Fielding mówił, sobie życzysz, ale to takie nagłe, to znaczy ten twój ślub.

Victoria opanowała radosne zaskoczenie na wieść, że Jason okazał taką troskliwość i pamiętał, że będzie jej potrzebna jakaś osoba towarzysząca płci żeńskiej i zatrzymał się, by odwiedzić Collingwoodów.

- Nigdy cię nie podejrzewałam o trwałe przywiązanie do tego mężczyzny - ciągnęła dalej Caroline - i nie daje mi spokoju pewne pytanie. Czy ty naprawdę chcesz za niego wyjść? Nikt cię nie... no, nie zmusza do tego w żaden sposób?

- Tylko los - odrzekła Victoria i uśmiechnęła się, opadając z wyczerpaniem na fotel. Zobaczyła, że przyjaciółka marszczy brwi i pośpiesznie dodała: - Nikt mnie nie zmusza. Tego właśnie pragnę.

Twarz Caroline rozjaśniła się z ulgi i radości.

- Tak się cieszę. Miałam nadzieję, że do tego dojdzie. - Na pełne powątpiewania spojrzenie Victorii wyjaśniła. - Przez ostatnie kilka tygodni poznałam lepiej lorda Fieldinga i w pełni się zgadzam z Robertem, który mówił mi, że to, co ludzie sądzą na temat twojego narzeczonego, wynikało z plotek zainicjowanych przez jedną, szczególnie złośliwą i mściwą kobietę. Wątpię, czy ktoś uwierzyłby w owe pogłoski, gdyby sam lord Fielding nie okazywał

takiej powściągliwości i nie był tak nieprzystępny. Chociaż to oczywiście rozumiały, że człowiek nieszczególnie lubi wszystkich tych, co uwierzyli w przeokropne rzeczy na jego temat, prawda? A jak powiedział Robert, lord Fielding jest dumny, więc nie mógłby płaszczyć się przed opinią publiczną, zwłaszcza kiedy była tak niesprawiedliwa!

Victoria zdusiła chichot na tak gorące poparcie okazywane przez przyjaciółkę człowiekowi, którego kiedyś się bała, ale było to dla Caroline typowe. Wzbraniała się widzieć jakiegokolwiek wady u ludzi, których lubiła, a z drugiej strony niechętnie przyznawała, że ci, których potępiała, mogą mieć jakieś zalety, kompensujące ich braki. Ten kaprys jej żywej osobowości powodował jednak, że była absolutnie lojalna w stosunku do przyjaciół i Victoria czuła się głęboko wdzięczna za jej niewzruszoną życzliwość.

- Dziękuję, Northrup - powiedziała, kiedy kamerdyner wniósł do pokoju tacę.

- Nie potrafię wyobrazić sobie, jak mogłam sądzić, że jest przerażający - mówiła Caroline, gdy Victoria nalewała herbatę. Nie mogąc się wprost doczekać, aż uwolni Jasona od jakiegokolwiek przewiny, którą kiedyś w przeszłości mogła mu przypisywać, ciągnęła dalej. - Źle zrobiłam, że dałam się tak ponieść wyobraźni, co pozbawiło mnie zdrowego rozsądku. Przekonana jestem, że wydawał mi się przerażający dlatego, że jest tak bardzo wysoki i że ma takie czarne włosy, a to było z mojej strony kompletnie absurdalne. Czy wiesz, co powiedział, kiedy dziś rano od nas wyjeżdżał? - zapytała głosem pełnym gorącego zadowolenia.

- Nie - odrzekła Victoria i ponownie zdusiła uśmiech na determinację, z jaką przyjaciółka przemieniła Jasona z diabła w świętego. - Co takiego?

- Powiedział, że zawsze mu przypominałam ślicznego motyla.

- Jak miło - oznajmiła szczerze Victoria.

- Tak, bardzo, ale nawet w przybliżeniu nie tak miło, jak opisał ciebie.

- Mnie? Od czego się to wszystko zaczęło?

- Chodzi ci o te komplementy? - Kiedy Victoria przytaknęła, Caroline wyjaśniła: - Skończyłam właśnie mówić, jaka jestem szczęśliwa, że poślubisz Anglika i zostaniesz tutaj, i będziemy się nadal mogły blisko ze sobą przyjaźnić. Lord Fielding roześmiał się i powiedział, że doskonale się uzupełniamy, ty i ja, ponieważ ja zawsze przypominałam mu ślicznego motyla, a ty jesteś jak polny kwiat, który rośnie bujnie nawet w niesprzyjających warunkach i każdemu rozjaśnia życie. Czy to nie absolutnie urocze z jego strony?

- Absolutnie - przytaknęła Victoria i poczuła się absurdalnie zadowolona.

- Wydaje mi się, że on bardziej jest w tobie zakochany, niż to okazuje - oznajmiła Caroline. - W końcu nawet bił się o ciebie.

Zanim przyjaciółka wyszła, Victoria na wpeł była przekonana, że Jasonowi naprawdę

na niej zależy, a owa wiara pozwoliła jej zachować radosne i pozytywne nastawienie, kiedy następnego dnia rano wprost niekończącym się korowodem zaczęli napływać znajomi, pragnący złożyć jej najlepsze życzenia z okazji ślubu.

Victoria zabawiała właśnie grupę młodych dam, które dokładnie z tego właśnie powodu zjawily się z wizytą, kiedy do błękitnego salonu wkroczył obiekt ich romantycznych zachwyków. Na widok niebezpiecznie frapującej postaci nieobliczalnego markiza Wakefielda, odzianego w czarną jak sadza kurtkę jeździecką i obcisłe czarne bryczesy, w których wyglądał tak obezwładniająco męsko, śmiech przycichł do nerwowych, niepewnych szeptów. Jason, nieświadomy wrażenia, jakie wywarł na czułych panienkach - wiele z nich słodko, w tajemnicy przed wszystkimi marzyło, że go zdobędą - obdarzył wszystkie czarującym uśmiechem.

- Dzień dobry paniom - powiedział; potem odwrócił się do Victorii, a jego uśmiech stał się bardziej intymny. - Czy znalazłaby pani dla mnie trochę czasu?

Victoria przeprosiła panie i poszła za nim do gabinetu.

- Nie będę cię długo trzymał z daleka od przyjaciółek - zapewnił ją, sięgając do kieszeni kurtki. I już bez słowa ujął jej dłoń i wsunął na palec ciężki pierścień. Victoria popatrzyła na klejnot, który zakrywał połowę jej palca. Po obu stronach wielkich szafirów migotały dwa rzędy olśniewających diamentów.

- Jasonie, jest przepiękny - szepnęła. - Aż dech zapiera, tak niewiarygodnie piękny. Dzięki...

- Podziękuj mi pocałunkiem - przypomniał jej cicho, a kiedy Victoria uniosła ku niemu twarz, przycisnął wargi do ust dziewczyny w przeciągłym, chciwym pocałunku, przy którym rozpięchały się jej myśli, a wszelki opór zniknął. Wstrząśnięta tą płomienną namiętnością i własną bezwiedną reakcją, wpatrywała się w zamglone nefrytowe oczy i usiłowała zrozumieć, dlaczego po jego pocałunkach czuje się zawsze jak po trzęsieniu ziemi.

Wzrok Jasona opadł na jej wargi.

- Czy myślisz, że mogłabyś następnym razem zdobyć się na to, by pocałować mnie, chociaż o to nie poproszę?

Victorii wydało się, że w jego głosie słyszy cień zawiedzionej tęsknoty i serce w niej stopniało. Zaproponował, że zostanie jej mężem; w zamian żądał tak mało, tylko tego. Wspięła się na palce, przesunęła dłońmi po twardym torsie Jasona, oplótła rękami szyję narzeczonego i wargi ich się zetknęły. Poczowała, jak całe jego potężne ciało przeszedł dreszcz, kiedy niewinnie wodziła wargami po jego ustach, powoli badając ich ciepły kształt, ucząc się, jak smakują, a one rozchyliły się i w odpowiedzi same zaczęły się przesuwac, podniecając ją

do szaleństwa.

Zatraciła się w tym burzliwym pocałunku, niepomna na coraz twardszy nacisk, jaki czuła na sobie; wsunęła mu palce w miękkie włosy nad karkiem i całym ciałem instynktownie wtuliła się w niego, i nagle wszystko się zmieniło. Ramiona Jasona zamknęły się wokół niej z oszalamiającą siłą. Ogarnięty namiętnością rozchylił swoje i jej usta szerzej, i dotąd muskał ich wnętrze, aż skłonił ją, by dotknęła językiem jego warg. A kiedy to zrobiła, aż cicho krzyknął, przyciągnął ją jeszcze bliżej, i całe jego ciało napięło się jak struna w gorącym pożądaniu.

W końcu uniósł głowę do góry i popatrzył na Victorię z wyrazem dziwnej, pełnej dezorientacji autoironii na rzeźbionych rysach.

- Powinienem był dać ci tamtego wieczoru diamenty i szafiry, a nie perły - zauważył. - Ale nie całuj mnie tak znowu, dopóki nie będziemy po ślubie.

I matka, i panna Flossie ostrzegały Victorię, że dżentelmen może dać się ponieść podnieceniu i w rezultacie zachowa się w jakiś nieokreślony, acz wysoce niewłaściwy sposób w stosunku do młodej damy, która popełni ten błąd, że pozwoli mu stracić głowę. Instynktownie pojęła, że Jason dał jej właśnie do zrozumienia, iż niewiele brakowało, by stracił głowę. A była wystarczająco kobieca, by poczuć drobny dreszczyk satysfakcji, że jej pocałunek, pocałunek niedoświadczonej panny, potrafił tak silnie działać na bardzo przecież doświadczonego mężczyznę, zwłaszcza że na Andrew jej pocałunki chyba nigdy nie miały takiego wpływu. Z drugiej strony nigdy nie całowała Andrew w taki sposób, w jaki Jason lubił, żeby go całować.

- Widzę, że rozumie pani, co mam na myśli - powiedział z ironią. - Osobiście nigdy nadmiernie nie ceniłem sobie dziewiczości. Odnosi się wyraźne korzyści, poślubiając kobietę, która już nauczyła się, jak zadowalać mężczyznę...

Czekał i przyglądał jej się tak, jakby się spodziewał... jakby miał nadzieję... że jakoś zareaguje, ale Victoria tylko odwróciła wzrok i upadła na duchu. Zawsze słyszała, że dziewictwo powinno być darem wysoko przez męża cenionym. A już z pewnością nie miała żadnego doświadczenia w „zadowalaniu mężczyzny”, cokolwiek się z tym wiązało.

- Przykro mi, że pana zawiodłam - szepnęła zażenowana tematem. - Sprawy w Ameryce mają się zupełnie inaczej.

W głosie Jasona pojawiła się nuta smutku, ale słowa były łagodne.

- Nie musisz przeproszać ani mieć takiej nieszczęśliwej miny, Victorio. Nie obawiaj się nigdy mówić mi prawdy. Obojętne, jak byłaby zła, potrafię ją przyjąć, a nawet będę podziwiał cię, że masz odwagę ją wyznać. - Uniósł dłoń, by pogłodzić jej policzek. - To bez

znaczenia - ciągnął dalej kojąco. I nagle z energią dodał: - Powiedz mi, czy podoba ci się pierścionek, a potem biegnij już do swoich przyjaciółek.

- Jest prześliczny - powiedziała, usiłując dotrzymać kroku tym nagłym, niezrozumiałym zmianom nastroju. - Jest taki śliczny, że już się boję, żebym go nie zgubiła.

Jason wzruszył ramionami z absolutną obojętnością.

- Jeżeli go zgubisz, kupię ci następny.

I wyszedł, a Victoria patrzyła na swój zaręczynowy pierścionek, żałując, że tak nonszalancko potraktował jego potencjalną utratę. Wolałaby, żeby pierścionek był dla niego ważniejszy i żeby nie tak łatwo było go zastąpić. Z drugiej strony to rozpaczliwie trafny symbol uczuć Jasona, ponieważ ona też nie jest dla niego ważna i też łatwo mógłby ją zastąpić.

„Jesteś mu potrzebna, dziecko”. Powracające słowa Charlesa podniosły Victorię nieco na duchu. Uśmiechnęła się, pamiętając, że przynajmniej kiedy Jason trzymał ją w ramionach, wydawała się bardzo mu potrzebna. Poczowała się trochę pocieszona i wróciła do salonu, gdzie natychmiast pierścionek zwrócił na siebie uwagę młodych dam, które, jak należało, zaczęły wykrzykiwać słowa zachwyty.

W dniach poprzedzających ślub Victorię odwiedziło niemal trzysta osób, by życzyć jej szczęścia. Eleganckie powozy przejeżdżały tam i z powrotem po ulicy, wysadzając pasażerów i wracając, tak jak wypada, po dwudziestu minutach, by ich zabrać, a Victoria siedziała w salonie, słuchając dostojnych matron w średnim wieku, które udzielały jej rad, jak prowadzić wielki dom i jak przyjmować gości na wielką skalę, czego wymagano od arystokracji. Młodsze mężatki rozmawiały z nią o problemach z wyszukaniem odpowiednich guwernantek i najlepszych sposobach na znalezienie możliwych do przyjęcia nauczycieli dla dzieci. A Victoria, w trakcie całego tego radosnego zamieszania, poczuła nagle, że ma tu swoje miejsce, co ją ucieszyło. Dotychczas nie miała okazji poznać tych kobiet lepiej niż tylko pobieżnie, czy porozmawiać z nimi na jakiegokolwiek tematy, poza najbardziej płytkimi. Skłonna była widzieć w większości z nich bogate, rozpuszczone arystokratki, które nigdy nie myślały o niczym poza sukniami, klejnotami i rozrywką. Teraz ujrzała je w nowym świetle: jako żony i matki, które troszczyły się również o przykładowe wypełnianie swoich obowiązków... i takie dużo bardziej jej się podobały.

Ze wszystkich znajomych tylko Jason trzymał się z daleka, ale robił tak ze względu na zasady przyzwoitości i musiała mu być za to wdzięczna, chociaż czasami budziło się w niej niepokojące uczucie, że wychodzi za mąż za kogoś nieobecnego i obcego. Charles często schodził na dół, by czarować damy rozmową i wyraźnie pokazywał, że Victoria cieszy się

jego pełną aprobatą. Przez resztę czasu nie pokazywał się, „zbierając siły”, jak mówił, żeby mieć szczęście poprowadzenia panny młodej do ołtarza. Ani Victoria, ani doktor Worthing nie zdołali wyperswadować mu, by tego nie robił. Jason nawet nie próbował.

Z upływem dni Victoria naprawdę zaczęła cieszyć się czasem, który spędzała w salonie ze swymi gośćmi - poza chwilami, kiedy wymieniano imię Jasona i wyczuwała wśród nich swojski już nurt niepokoju. Było oczywiste, że jej nowi przyjaciele i znajomi pełni są podziwu dla prestiżu, jakim się miała cieszyć jako żona bajecznie bogatego markiza, ale jednocześnie niepokoiła się, że wciąż jeszcze znalazłoby się wśród nich wielu ludzi, którzy żywili poważne zastrzeżenia w stosunku do jej przyszłego męża. Przykro jej było z tego powodu, bo zaczynała bardzo ich wszystkich lubić i chciała, żeby i oni polubili Jasona. Sporadycznie, kiedy rozmawiała z którymś z gości, dochodziły do jej uszu urywki rozmów na temat lorda Fieldinga z innej części salonu, ale rozmowy te zawsze gwałtownie cichły, kiedy Victoria odwracała się, by z uwagą ich posłuchać. Nie pozwalało jej to stanąć w obronie narzeczonego, ponieważ nie wiedziała, przed czym ma go bronić.

Na dzień przed ślubem kawałki układanki znalazły się wreszcie na swoim miejscu i powstał niesamowity i posepny obraz, który niemal zwałił Victorię z nóg. Żegnając się, lady Clappeston, która była jej ostatnim gościem tego popołudnia, poklepała młodą gospodynię z sympatią po ręce i powiedziała:

- Jest pani rozsądną młodą kobietą, moja droga. I w przeciwieństwie do niektórych z tych czarnowidzów, którzy martwią się o pani bezpieczeństwo, ja przekonana jestem, że będzie pani umiała dobrze postępować z Wakefieldem. W niczym nie przypomina pani jego pierwszej żony. Moim zdaniem lady Melissa zasługiwała na wszystko, czego od niego doświadczyła, jak opowiadała na prawo i lewo. Ta kobieta była po prostu dziwką!

Z tymi słowy lady Clappeston wypłynęła z salonu i zostawiła Victorię, która szeroko otwartymi oczami patrzyła na Caroline.

- Jego pierwsza żona? - wykrztusiła, mając wrażenie, że pogrąża się w jakimś koszmarze. - Jason był już żonaty? Dlaczego... dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

- Ależ ja myślałam, że przynajmniej tyle wiesz - wybuchnęła Caroline, pragnąc się usprawiedliwić. - Naturalnie zakładałam, że twój wuj albo lord Fielding z pewnością powiedzieli ci o tym. Musiały przecież dojść do ciebie jakieś plotki?

- Wszystko, co słyszałam, to strzępy rozmów, które zawsze się urywały, gdy tylko ludzie zauważali moją obecność. - Victoria odwróciła się, blada z wściekłości i szoku. - Słyszałam imię lady Melissy wymieniane w połączeniu z jego imieniem, ale nikt nigdy nie określał jej mianem żony. Ludzie wyrażali się zwykle o niej z taką dezaprobatą, że

zakładałam, iż była... związana... z Jasonem, no wiesz - dokończyła niezręcznie - w taki sam sposób, jak w przeszłości panna Sybil jakaś tam.

- W przeszłości? - powtórzyła Caroline ze zdumieniem, że Victoria użyła czasu przeszłego. I natychmiast ugryzła się w język i spuściła oczy, pozornie zafascynowana wzorem obicia na niebieskiej, krytej jedwabiem sofie.

- Naturalnie, skoro teraz mamy się pobrać, Jason nie będzie... A może będzie? - zapytała Victoria.

- Nie wiem, co robi - odrzekła Caroline z nieszczęśliwą miną. - Niektórzy mężczyźni, tacy jak Robert, rezygnują ze swoich kochanek, kiedy się żenią, a inni nie.

Victoria potarła skronie czubkami palców. W głowie miała taki zamęt, że dyskusja o kochankach rozproszyła jej uwagę.

- Niekiedy Anglia wydaje mi się bardzo dziwna. W moim kraju mężowie nie poświęcają czasu ani uczuć innym kobietom niż żona. A przynajmniej nigdy o czymś takim nie słyszałam. A przecież tu dochodziły do moich uszu uwagi, które nasunęły mi myśl, że spotyka się to z ogólną akceptacją, kiedy bogaty, żonaty dżentelmen zadaje się z... z damą, która nie jest jego małżonką.

Przyjaciółka skierowała rozmowę na bardziej bezpieczny temat.

- Czy to ma dla ciebie tak ogromne znaczenie, że lord Fielding był wcześniej żonaty?

- Oczywiście, że ma. A przynajmniej tak mi się wydaje. Sama nie wiem. Największe znaczenie ma teraz fakt, że nikt z rodziny nie powiedział mi o tym. - Podniosła się tak gwałtownie, że Caroline aż podskoczyła. - Jeżeli mi wybaczysz, chciałabym pójść teraz na górę i porozmawiać z wujem Charlesem.

Zastukała do drzwi księcia, lecz jego kamerdyner przyłożył palec do warg i oświadczył, że chory śpi. Victoria zbyt czuła się rozstrojona, by czekać, aż Charles się obudzi i dopiero wtedy odpowie na jej pytania, więc pomaszzerowała korytarzem do pokoju panny Flossie. Ostatnimi czasy stara dama praktycznie scedowała swe obowiązki przyzwoitki na Caroline Collingwood. W rezultacie Victoria, poza sporadycznymi posiłkami, niemal nie widywała tej sympatycznej i życzliwej kobiety.

Zastukała do drzwi, a kiedy panna Flossie wesoło zaprosiła ją do środka, weszła do ładniutkiego, sąsiadującego z sypialnią saloniku.

- Victorio, moja droga, wyglądasz promiennie, jak przystało na pannę młodą! - zaszczebotała starsza dama z typowym dla siebie, żywym, roztargnionym uśmiechem i równie typowym brakiem rozeznania, bo prawdę mówiąc, dziewczyna była śmiertelnie błąda i wyraźnie zdenerwowana.

- Panno Flossie - odezwała się Victoria, nie owijając sprawy w bawełnę - byłam właśnie u wuja Charlesa, ale on śpi. Jest pani jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. Chodzi o Jasona. Coś jest okropnie nie w porządku.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła przyzwoitka, odkładając robótkę. - Co masz na myśli?

- Właśnie się dowiedziałam, że on był już wcześniej żonaty! - wybuchnęła Victoria.

Panna Flossie przechyliła głowę na bok; przypominała teraz starszawą porcelanową lalkę w małym koronkowym czepeczku na głowie.

- Ojej, a ja myślałam, że powiedział ci o tym Charles albo sam markiz. No cóż, tak czy owak, Jason był wcześniej żonaty, moja droga. Więc teraz już wiesz. - I uporawszy się w ten prosty sposób z problemem, panna Flossie uśmiechnęła się i wzięła do rąk robótkę.

- Ale ja nic nie wiem. A lady Clappeston powiedziała coś bardzo dziwnego: mówiła, że żona Jasona zasłużyła sobie na wszystko, co ją od niego spotkało. Co on jej robił?

- Robił? - powtórzyła, mrugając oczami, panna Flossie. - Ależ ja nic nie wiedziałam, a powinnam. Lady Clappeston zachowała się naprawdę niemądrze, mówiąc, że coś robił, bo o niczym nie mogła wiedzieć, chyba że byłaby jego żoną, a zapewniam cię, że nie była. No, czy teraz już ci lepiej?

- Nie! - wybuchnęła nieco histerycznie Victoria. - Chcę się dowiedzieć, dlaczego lady Clappeston uważa, że Jason zrobił swojej żonie coś złego. Musi mieć jakiś powód, by tak sądzić, i jeśli się nie mylę, nie jest w swoim przekonaniu odosobniona.

- To prawda - zgodziła się panna Flossie. - Widzisz, ta nieszczęsna żona Jasona, niech spoczywa w spokoju - chociaż nie wiem, czy to możliwe, jeśli weźmie się pod uwagę, jak niegodziwie postępowała za życia - na prawo i lewo rozgłaszała wszystkim, że Wakefield ją podle traktuje. Niektórzy najwyraźniej jej uwierzyli, ale sam fakt, że jej nie zamordował, powinien wystarczyć za dowód, że jest człowiekiem o niezwykłym opanowaniu. Gdybym ja miała męża, chociaż oczywiście nie mam, i gdybym robiła to wszystko, co robiła Melissa, na co bym sobie oczywiście nigdy nie pozwoliła, z pewnością by mnie bił. Tak więc, jeżeli nawet lord Fielding bił Melisę, a wcale nie jestem o tym przekonana, byłby więcej niż usprawiedliwiony. Możesz mi uwierzyć na słowo.

Victoria pomyślała o chwilach, kiedy widziała Jasona rozgniewanego, przypomniawszy sobie z trudem powstrzymaną furię w jego oczach i groźną, drapieżną moc, którą niekiedy dostrzegała pod maską oglady. Przemknął jej przez myśl przerażający widok: obraz krzyczącej kobiety, bitej za jakieś trywialne przekroczenie wyznaczonych przez niego zasad postępowania.

- Co... - szepnęła ochryple - co właściwie Melissa zrobiła?

- No cóż, nie da się tego powiedzieć w oględny sposób. Prawdą jest, że widywano ją w towarzystwie innych mężczyzn.

Victorię przeszedł dreszcz. Niemal każdą modną damę w Londynie widywano w towarzystwie innych mężczyzn. Taki był sposób życia zamężnych kobiet, że miały swoich wielbicieli.

- I za to ją bił? - zapytała. Zaczynało jej się robić niedobrze.

- Nie wiemy, czy ją bił - zwróciła jej uwagę panna Flossie z przezorną precyzją. - Prawdę mówiąc, raczej w to wątpię. Słyszałam kiedyś, jak pewien dżentelmen krytykował Jasona, za jego plecami oczywiście, jako że nikt nie miał odwagi powiedzieć mu tego prosto w twarz, że aż tak lekceważy zachowanie Melissy.

Victoria czuła się jak ogłuszona, lecz nagle w jej głowie wykluła się pewna myśl.

- A co dokładnie ów dżentelmen mówił? - zapytała ostrożnie. - Dokładnie - podkreśliła.

- Dokładnie? No cóż, skoro nalegasz, powiedział tak, jeżeli dobrze pamiętam: „Wakefieldowi żona przyprawia rogi na oczach całego Londynu i on cholernie dobrze o tym wie, a przecież ignoruje jej postępowanie i nosi te rogi. Daje zły przykład naszym żonom. Jeżelibyś mnie pytał, powinien zamknąć tę nierządnicę w swoim zamku w Szkocji, a klucz wyrzucić”.

Victoria opuściła głowę na oparcie fotela i zamknęła oczy z uczuciem ulgi i bólu.

- Przyprawiała mu rogi - szepnęła. - Więc to o to chodzi... - Przypomniała sobie, jaki dumny jest Jason i jak bardzo musiały ranić jego dumę jawne zdrady żony.

- Czy jest coś jeszcze, co chciałabyś wiedzieć? - zapytała panna Flossie.

- Tak - powiedziała Victoria wyraźnie nieswoim głosem. Słyszając napięcie w jej głosie, panna Flossie z obawą wzdrygnęła się.

- Mam nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z... wiesz czym - zaszczębiotała nerwowo - ponieważ zdaję sobie sprawę, że skoro jestem teraz twą najbliższą krewną, właśnie na mnie ciąży obowiązek wyjaśnienia ci tej sprawy. Ale prawdę rzekłszy, rozpaczliwie brakuje mi informacji na ten temat. Żywiłam cichą nadzieję, że matka mogła już wytłumaczyć ci wszystko.

Victoria otworzyła z zaciekawieniem oczy, lecz była tak wyczerpana tym, co się wydarzyło, że tylko odpowiedziała miękko:

- Nie całkiem rozumiem, o czym pani mówi, madame.

- Mówię o wiesz czym, a przynajmniej tak moja najdroższa przyjaciółka, Prudence, zawsze to określała, co było bardzo niemądre, bo ja nic nie wiedziałam. Jednakowoż mogę

powtórzyć ci informację, przekazaną mojej przyjaciółce Prudence przez jej matkę na dzień przed ślubem.

- Przepraszam panią? - przerwała jej Victoria; czuła się całkiem oszołomiona.

- Nie musisz mnie przepraszać. To ja ciebie powinnam przeprosić, że nie posiadam informacji, którą powinnam ci wyjawić. Ale damy nie dyskutują o wiesz czym. Czy życzysz sobie usłyszeć, co mówiła na ten temat matka Prudence?

Wargi Victorii drgnęły.

- Tak, panno Flossie - powiedziała, nie mając najbledszego pojęcia, o czym właściwie rozmawiają.

- Bardzo dobrze. W noc poślubną twój mąż przyjdzie do ciebie do łóżka albo może weźmie cię do swojego, nie przypominam sobie. Tak czy owak, pod żadnym pozorem nie wolno ci okazać odrazy, krzyczeć ani mieć spazmów. Musisz zamknąć oczy i pozwolić mu na wszystko. Cokolwiek to jest. Będzie cię to bolało i wzbudzi w tobie wstręt, i za pierwszym razem pokaże się krew, ale musisz zamknąć oczy i wytrwać. Mam wrażenie, że matka Prudence sugerowała, by w czasie, kiedy ma to miejsce, Prudence próbowała myśleć o czymś innym, na przykład o nowym futrze albo sukni, które niedługo będzie mogła sobie kupić, jeżeli mąż będzie zadowolony. Nieprzyjemna sprawa, prawda?

Victorii oczy zaszkliły się z rozbawienia i niepokoju, a ramiona jej drgały i nie była w stanie opanować nerwowego śmiechu.

- Dziękuję pani, panno Flossie - zachichotała. - Bardzo mi pani dodała odwagi.

Aż do tej chwili Victoria nie martwiła się o strony intymne małżeństwa, do których Jason będzie miał prawo i z którego to prawa bez wątplenia skorzysta. Chociaż była córką lekarza, ojciec skrupulatnie przestrzegał, by nigdy nie została narażona na widok obnażonego męskiego ciała. Niemniej jednak o parzeniu się zwierząt coś niecoś wiedziała. Jej rodzina hodowała kury i koguta, i Victoria na własne oczy widziała, jak przy tym akcie trzepoczą skrzydłami i gdaczą, chociaż co dokładnie się wtedy działo, tego nie umiała powiedzieć. Co więcej, zawsze odwracała wtedy wzrok z dziwnym poczuciem, że nie powinno się przeszkadzać, kiedy zajmują się tworzeniem nowych kurcząt.

Pewnego razu, kiedy miała czternaście lat, ojca wezwano do żony farmera, która zaczęła rodzić. Czekając, aż dziecko przyjdzie na świat, Victoria zawędrowała na niewielkie pastwisko, na którym trzymano konie. I tam była świadkiem przerażającego spektaklu, kiedy ogier pokrywał klacz. Zacisnął wściekle zębiska na karku biedaczki i trzymał ją tak, że była bezradna, kiedy robił to, co najgorsze, i tylko rżała z bólu.

Przed oczami Victorii przemaszerowały przerażone klacze i rozgdakane kury,

roztrzepotały się skrzydła; przeszedł ją dreszcz.

- Moja droga dziewczyno, zrobiłaś się całkiem blada, i wcale ci się nie dziwię - wtrąciła panna Flossie, raczej niezbyt pocieszająco. - Jednak dano mi do zrozumienia, że kiedy już żona wywiąże się ze swego obowiązku i da mężowi dziedzica, można liczyć na to, że troskliwy małżonek weźmie sobie metresę i będzie robił wiesz co z nią, a żonę zostawi w spokoju, by mogła cieszyć się życiem.

Spojrzenie Victorii pomknęło niespokojnie ku oknu.

- Metresę - szepnęła, wiedząc, że Jason już kogoś takiego ma, a w przeszłości miał ich wiele; doszły do niej słuchy, że wszystkie były śliczne.

Siedząc w saloniku panny Flossie, przemyślała sobie na nowo swoje wcześniejsze nastawienie do dżentelmenów z towarzystwa i ich kochanek. Sądziła kiedyś, że jest perfidią z ich strony żenić się i nadal utrzymywać kochanki, ale może to wcale nie tak. Może właśnie, jak sugerowała panna Flossie, panowie z towarzystwa byli bardziej cywilizowani, dystyngowani i bardziej troszczyli się o swoje żony. Zamiast je wykorzystywać, by dać upust niskim żądzom, po prostu znajdowali sobie w tym celu inną kobietę, wyposażali ją w ładny dom, służbę i piękne suknie, a biedne żony zostawiali w spokoju. Tak, doszła rozsądnie do wniosku, prawdopodobnie to właśnie był idealny sposób na załatwianie owych spraw. Z pewnością należące do *ton* damy wydawały się tak myśleć, a na pewno miały dużo więcej doświadczenia niż ona.

- Dziękuję pani, panno Flossie - powiedziała szczerze. - Okazała mi pani wiele pomocy i serca.

Stara dama popatrzyła na nią rozpromieniona. Jasne loki podskakiwały jej pod koronkowym czepeczkiem.

- To ja dziękuję tobie, moja kochana. Nie pamiętam, by Charles był kiedykolwiek taki szczęśliwy, a wszystko dzięki tobie. No i markiz oczywiście też - dodała uprzejmie.

Victoria uśmiechnęła się, lecz nie była przekonana, że naprawdę uszczęśliwia Jasona.

Powędrowała do swego pokoju, usiadła przed pustym kominkiem i zmusiła się, by doprowadzić do porządku kłębiące się w niej emocje i nie chować już dłużej głowy w piasek. Jutro rano miała po ślubie Jasona. Chciała go uszczęśliwić, chciała tego tak bardzo, że zupełnie nie mogła poradzić sobie z własnymi uczuciami. Fakt, że był kiedyś żonaty z niewierną kobietą, zbudził w jej sercu współczucie i litość, a nie niechęć... i jeszcze silniejsze pragnienie, by wynagrodzić mu wszystkie nieszczęścia, jakie go w życiu spotkały.

Nie mogła usiedzieć na miejscu. Wstała i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po pokoju. Wzięła do ręki porcelanową pozytywkę z toaletki, potem odłożyła ją i podeszła do

łóżka. Usiłowała wmawiać w siebie, że wychodzi za Jasona, ponieważ nie ma wyboru, ale siadając na łóżku przyznała, że nie jest to tak do końca prawda. Jakaś jej część chciała za niego wyjść. Kochała jego urodę, uśmiech i pełne ironii poczucie humoru. Kochała energiczny i władczy ton głębokiego głosu i pewny, długi, znamionujący siłę krok. Kochała to, jak błyszczały mu oczy, kiedy się do niej uśmiechał, i jak się rozplamieniały, gdy ją całował. Kochała niedbałą elegancję, z jaką nosił swe stroje, i dotyk jego warg...

Victoria oderwała myśli od warg Jasona i popatrzyła ponuro na złociste, jedwabne zasłony przy łóżku. Tak wiele w nim kochała. Zbyt wiele. Nie знаła się na mężczyznach; dowodem na to było jej doświadczenie z Andrew. Oszukiwała samą siebie i uwierzyła, że Andrew ją kochał, ale co do uczuć narzeczonego nie miała żadnych złudzeń. Pociągała go i chciał mieć z nią syna. Lubił ją, o tym też wiedziała, ale poza tym nie czuł do niej nic. Natomiast jej poważnie groziło, że się w nim zakocha. A przecież on nie chciał miłości. Powiedział to, nie owijając niczego w bawełnę.

Całymi tygodniami usiłowała przekonać samą siebie, że jej uczucia do Jasona sprowadzają się do wdzięczności i przyjaźni, lecz teraz zdała sobie sprawę, że sięgają dużo głębiej. Gdyby tak nie było, nie odczuwałaby tej palącej potrzeby uszczęśliwienia go, nie pragnęłaby tak bardzo, by ją pokochał. Ani nie doświadczyłaby takiej wściekłości, kiedy panna Flossie opowiadała o jawnych zdradach jego żony.

Poczula dreszcz trwogi i otarła zwilgotniałe dłonie o jasnocytrynową, muślinową suknię. Jutro rano miała oddać całe swoje przyszłe życie w ręce mężczyzny, który nie chciał jej miłości, mężczyzny, który okazane mu przywiązanie mógł wykorzystać jako broń, by ją zranić. Każda najdrobniejsza cząstka instynktu samozachowawczego przestrzegała ją, żeby za niego nie wychodziła. Od kilku już dni dzwoniły jej w uszach słowa ojca, ostrzegające, by nie szła jutro z Jasonem do ołtarza: „Kochać kogoś, kto cię nie kocha, to piekło!... Nie daj się nigdy nikomu przekonać, że będziesz szczęśliwa z człowiekiem, który cię nie kocha... nie kochaj nigdy nikogo bardziej, niż on kocha ciebie, Tory...”.

Victoria pochyliła głowę, włosy opadły zasłoną na jej napiętą twarz, dłonie zacisnęły się w pięści. Rozum przestrzegał, by nie wychodziła za mąż za tego mężczyznę, uprzedzał, że będzie nieszczęśliwa, lecz serce błagało, by postawiła wszystko na jedną kartę, by wyciągnęła rękę po szczęście, które było bliskie, choć nieosiągalne.

Rozum nakazywał uciekać, ale serca perswadowało, by nie okazała się tchórzem.

Northrup zastukał do jej drzwi, w jego głosie brzmiała dezaprobata.

- Proszę mi wybaczyć, lady Victorio - odezwał się zza zamkniętych drzwi. - Na dole czeka jakaś najwyraźniej strapiona, rozczochrana młoda dama, która nawet nie ma czepeczka

i przyjechała bez przyzwoitki wynajętym powozem. Twierdzi, że jest... hmm... siostrą jaśnie panienki? Nic o tym nie wiem, by miała pani jakąś krewną wśród młodych panien w Londynie, więc naturalnie sugerowałem, by odeszła, ale...

- Dorothy? - wykrzyknęła Victoria, otworzyła gwałtownie drzwi i pośpiesznie odgarnęła włosy z czoła. - Gdzie ona jest? - pytała z rozpromienioną twarzą.

- Umieściłem ją w małym saloniku od frontu - odrzekł Northrup z wyraźną konsternacją. - Ale jeżeli to siostra panienki, to oczywiście zaproszę ją do bardziej wygodnego żółtego salonu i...

Jego głos ucichł, bo Victoria już była na końcu korytarza i zbiegała po schodach.

- Tory! - wybuchnęła Dorothy i przytuliła Victorię w szaleńczym, opiekuńczym uścisku; słowa jej się plątały, głos drżał od śmiechu i łez. - Żebyś ty widziała, jakim spojrzeniem ten kamerdyner obrzucił mój powóz! Było niemal równie okropne, jak to, którym obrzucił mnie.

- Dlaczego nie odpisałaś na mój ostatni list? - zapytała Victoria, mocno ją ściskając.

- Bo dopiero dzisiaj wróciłam z Bath. Jutro wysyłają mnie na dwa miesiące do Francji, żebym nabrała czegoś, co babcia nazywa polorem. Będzie zła jak osa, kiedy się dowie, że tu byłam, ale nie mogłam po prostu stać z boku i pozwolić ci wyjść za tego człowieka. Tory, co oni ci zrobili, że się zgodziłaś? Czy cię bili albo głodzili...

- Nic z tych rzeczy - odparła Victoria, uśmiechając się i przyglądając złociste włosy siostry. - Ja chcę go poślubić.

- Nie wierzę ci. Próbujesz mnie tylko oszukać, żebym się nie martwiła...

Jason rozparł się w powozie, uderzając leniwie rękawiczkami po kolanie i wyglądał przez okno, patrząc, jak przesuwały się za nim rezydencje mijane po drodze do domu przy Upper Brook Street. Jutro jego ślub...

Kiedy przyznał się wreszcie sam przed sobą, że pożąda Victorii i zdecydował się z nią ożenić, pragnienie to stało się tak natarczywe, że niemal irracjonalne. Była mu coraz bardziej potrzebna, a to powodowało, że czuł się bezradny i niespokojny, bo wiedział z przeszłych doświadczeń, jak zdradliwa potrafi być „słabsza płeć”. Nie bardziej jednak potrafił powstrzymać się od tego, by jej pragnąć, niż zdusić naiwną, chłopięcą nadzieję, że wzajemnie przyniosą sobie szczęście.

Życie z nią nigdy nie stanie się spokojne i monotonne, pomyślał z ironicznym uśmiechem. Victoria będzie go kolejno bawić, irytować i przeciwstawiać się mu, był tego równie pewien, jak tego, że wychodzi za niego, ponieważ nie ma innego wyboru. I równie pewien, jak faktu, że swoje dziewictwo oddała już Andrew.

Uśmiech gwałtownie zniknął z jego warg. Miał tamtego popołudnia nadzieję, że zaprzeczy; zamiast tego odwróciła wzrok i powiedziała: „Przykro mi”.

Nienawidził prawdy, którą wówczas usłyszał, ale podziwiał Victorię, że nie ukrywała niczego przed nim. W głębi serca nie potrafił jej winić, że się oddała Andrew. Zbyt łatwo było mu zrozumieć, jak do tego doszło. Potrafił sobie bez trudu wyobrazić, jak największy bogacz w okolicy przekonuje niewinną, młodą, wychowaną na wsi dziewczynę, że zostanie jego żoną. A kiedy już Bainbridge ją o tym przekonał, prawdopodobnie nie było mu zbyt trudno skraść jej dziewictwo. Victoria była serdeczną, wielkoduszną dziewczyną i pewnie z równą prostotą obdarzyła sobą człowieka, którego kochała, jak obdarzała służbę sympatią czy Wilka przywiązaniem.

Byłoby szczytem hipokryzji, gdyby Jason, który sam prowadził tak swobodne życie, potępiał swą narzeczoną za to, że oddała się człowiekowi, którego kochała, a Jason brzydził się hipokryzją. Niestety podobne uczucia budził w nim obraz Victorii, leżącej nago w ramionach innego mężczyzny. Andrew dobrze ją wyszkolił, myślał z napięciem, kiedy powóz podjeżdżał pod numer szósty przy Upper Brook Street. Nauczył ją, jak całować mężczyznę i jak wzbudzić w nim pożądanie...

Oderwał się z trudem od tych bolesnych myśli; było mu trochę głupio, że pojawia się u niej w przeddzień ślubu. Nie miał żadnego powodu, by przyjeżdżać, chciał jedynie nacieszyć się widokiem narzeczonej i spodziewał się, że sprawi jej przyjemność wiadomością, iż znalazł dla niej indiańskiego konika i kazał załadować go na któryś ze swoich statków, płynących z Ameryki. Miał to być jeden ze ślubnych prezentów, ale mówiąc całkiem szczerze, Jason nie mógł się po prostu doczekać, aż Victoria zademonstruje mu swoje umiejętności jeździeckie. Wiedział, jak ślicznie będzie wyglądała, kiedy jej zgrabna postać pochyli się nisko nad karkiem konia, a wspaniałe włosy rozblęsną w słońcu...

- Dobry wieczór, Northrup. Gdzie jest lady Victoria?

- W żółtym salonie, wielmożny panie - odpowiedział kamerdyner. - Ze swoją siostrą.

- Z siostrą? - zapytał Jason i uśmiechnął się z zaskoczeniem i przyjemnością, kiedy Northrup przytaknął. - Najwyraźniej ta stara czarownica zniosła zakaz, niepozwalający Dorothy tu przyjeżdżać - dodał, już idąc. Zadowolony, że będzie miał okazję poznać młodszą siostrę Victorii, o której ta tyle mu opowiadała, otworzył drzwi do żółtego salonu.

- Nie zniosę tego. - Młodsza z dziewcząt łkała w chusteczkę. - Cieszę się, że babcia nie chce pozwolić mi wziąć udziału w waszym ślubie. Nie mogłabym stać i patrzeć, jak idziesz do ołtarza i wiedzieć, że wyobrazasz sobie, że on to Andrew...

- Najwyraźniej pojawiłem się w niezbyt niedogodnym momencie - wycedził Jason.

Nadzieja, którą w tajemnicy przed wszystkimi żywił w głębi serca, że Victoria naprawdę chce za niego wyjść, zginęła szybko, bolesną śmiercią, kiedy usłyszał, że narzeczona musi udawać, że on to Andrew, aby pójść z nim do ołtarza.

- Jason! - wykrzyknęła Victoria i skonsternowana odwróciła się twarzą do niego, gdy uświadomiła sobie, że usłyszał niemądre słowa Dorothy. Odzyskała panowanie nad sobą i wyciągnęła ręce do narzeczonego, mówiąc z łagodnym uśmiechem: - Tak się cieszę, że pan przyszedł. Chciałabym, aby pan poznał moją siostrę. - Zdawała sobie sprawę, że nie uda się załagodzić sytuacji jakimś litościwym kłamstwem, próbowała więc wyjaśnić mu wszystko, mówiąc prawdę. - Dorothy usłyszała pewne potępiające pana uwagi, wygłaszane przez damę do towarzystwa mojej prababki, lady Faulklyn, i na ich podstawie uznała, że jest pan okrutnym potworem. - Zagryzła wargi, kiedy Jason, sardonicznie unosząc brew, spojrzał na gościa i nie odpowiedział; potem pochyliła się nad siostrą. - Dorothy, proszę, okaż trochę rozsądku i pozwól przynajmniej, bym przedstawiła ci lorda Fieldinga, żebyś sama się mogła przekonać, jaki jest miły.

Dorothy podniosła bez przekonania wzrok na zimną, nieustępliwą twarz mężczyzny, który z rękami skrzyżowanymi na szerokim torsie wznosił się nad nią groźnie niczym jakiś mroczny, gniewny olbrzym. Oczy jej się zaokrągliły i bez słowa wstała, ale zamiast dygnąć, popatrzyła na niego hardo.

- Milordzie - powiedziała buntowniczo - nie wiem, czy jest pan miły czy nie. Jednak ostrzegam pana, że jeżeli kiedykolwiek ośmieli się pan skrzywdzić moją siostrę, nie będę miała najmniejszych skrupułów, by... by pana zastrzelić! Czy wyraziłam się dostatecznie jasno? - Głos jej drżał z gniewnej trwogi, ale dzielnie patrzyła wprost w zimne, zielone oczy mężczyzny.

- Całkowicie.

- Tak więc, ponieważ nie potrafię przekonać mojej siostry, by od pana uciekła - dokończyła Dorothy - wróć teraz do domu babki. Do widzenia.

Wyszła z pokoju z Victorią depczącą jej po piętach.

- Dorothy, jak mogłaś - pytała żałośnie Victoria. - Jak mogłaś być tak niegrzeczna?

- Lepiej, żeby uważał mnie za niegrzeczną, niż żeby mu się wydawało, iż może cię źle traktować, a nikt go nie pociągnie do odpowiedzialności.

Victoria przewróciła oczami, uściśnęła siostrę na do widzenia i pośpiesznie wróciła do salonu.

- Przepraszam pana - powiedziała ze skruchą do Jasona, który stał przy oknie i patrzył, jak powóz z Dorothy odjeżdża.

Jason obejrzał się przez ramię i uniósł w górę brwi.

- Czy ona potrafi strzelać?

Victoria, niepewna, w jakim nastroju jest jej narzeczony, zdusiła nerwowy chichot i potrząsnęła głową. Kiedy Jason bez słowa odwrócił się znowu do okna, usiłowała mu wyjaśnić:

- Dorothy ma żywą wyobraźnię i nie chce uwierzyć, że nie wychodzę za pana dlatego, że rozpaczam po Andrew.

- A nie rozpacza pani? - zapytał szyderczo.

- Nie.

Wtedy odwrócił się twarzą do niej, a jego oczy przypominały odłamki lodowatozielonego szkła.

- Kiedy jutro będzie pani szła do ołtarza, Victorio, nie będzie na panią czekał drogi Andrew, tylko ja, proszę o tym pamiętać. A jeżeli nie jest pani w stanie znieść tej prawdy, proszę jutro do kościoła nie przychodzić.

Przyjechał, by powiedzieć Victorii, że ma dla niej indiańskiego konika; zamierzał podroczyć się z narzeczoną i przywołać uśmiech na jej twarz. A odszedł bez jednego słowa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Niebo było zachmurzone i szare, gdy polakierowana na czarno kareta Jasona, ciągnięta przez cztery roztańczone kasztany we wspaniałej, srebrnej uprzęży, kołysała się łagodnie, przejeżdżając przez zatłoczone, londyńskie ulice. Poprzedzało ją sześciu forysiów w zielonej, aksamitnej liberii, a za powozem sunęło jeszcze czterech jeźdźców w paradnych strojach. Wysoko na koźle siedziało dumnie dwóch stangretów, a następnych dwóch stało z tyłu powozu.

Victoria kuliła się na miękkich, luksusowych poduszkach, spowita w niewiarygodnie piękną i ekstrawagancko kosztowną suknię, a myśli miała równie ponure, jak panująca na zewnątrz pogoda.

- Czy nie zimno ci, moja droga? - spytał troskliwie siedzący naprzeciw niej książę.

Victoria potrząsnęła głową, zastanawiając się nerwowo, dlaczego Jason upierał się, by robić taki spektakl ze swego ślubu.

W kilka minut później położyła dłoń na rękę Charlesa, wysiadła z powozu i ruszyła powoli w górę po długich schodach masywnego gotyckiego kościoła jak dziecko prowadzone przez rodziców na jakąś przerażającą ceremonię.

Czekając obok Charlesa w kruchcie, usiłowała nie zastanawiać się nad doniosłością podjętej decyzji i błędziła bez celu wzrokiem po tłumach ludzi. Jej rozproszona uwaga odnotowała olbrzymią różnicę pomiędzy londyńskimi arystokratami, wystrojonymi w jedwabie i wspaniałe brokaty, którzy przyszli, by na własne oczy zobaczyć tę uroczystość, a prostymi, przyjaznymi wieśniakami, których obecności na własnym ślubie zawsze się spodziewała. Większości z przybyłych prawie nie znała, niektórych nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Starannie odwracając wzrok od ołtarza, przy którym miał na nią czekać Jason, a nie Andrew, wpatrywała się w stalle. W pierwszej ławce na prawo jedno miejsce pozostało puste dla księcia, ale reszta pełna była gości. Dokładnie po drugiej stronie przejścia, w ławce normalnie zarezerwowanej dla najbliższej rodziny panny młodej, siedziała jakaś starsza dama; opierała się na hebanowej laseczce, a włosy miała ukryte pod jaskrawofioletowym, jedwabnym turbanem.

Ta nakryta turbanem głowa wydawała się Victorii w niejasny sposób znajoma, ale dziewczyna była zbyt zdenerwowana, by przypomnieć sobie, gdzie wcześniej widziała ową nieznaną. Charles przerwał jej wysiłki, kiwając głową zbliżającemu się lordowi Collingwoodowi.

- Czy Jason już przyjechał? - zapytał, kiedy Robert podszedł do nich.

Hrabia, który był drużbą Jasona, pocałował Victorię w rękę i powiedział:

- Jest tutaj i czeka, aż państwo będziecie gotowi.

Pod Victorią zaczęły dygotać kolana. Nie była gotowa. Wcale nie była gotowa, żeby to zrobić!

Caroline poprawiła obszyty diamentami tren niebieskiej jedwabnej sukni przyjaciółki i uśmiechnęła się do męża.

- Czy lord Fielding jest podenerwowany?

- Mówi, że nie - odrzekł Robert. - Ale chciałby, by ceremonia już się rozpoczęła.

Taki zimny, pomyślała Victoria, a jej lęk zaczął przeradzać się w panikę. Taki wyprany z emocji. Cały Jason. Księżę nie mógł już opanować niecierpliwości.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił z entuzjazmem. - Zaczynamy.

Victoria, czując się jak marionetka, za której sznurki pociągają wszyscy dookoła, położyła dłoń na rękę Charlesa i rozpoczęła ciągnącą się w nieskończoność drogę wzdłuż oświetlonego świecami przejścia. Płynęła w ich świetle w obłoku mieniącego się, błękitnego jedwabiu, jej włosy, szyja i welon usiane były migotliwymi diamentami, połyskującymi niczym gwiazdki. Wysoko w górze śpiewał chór, ale go nie słyszała. Za jej plecami, z każdym krokiem dalej, zostawały śmiech i beztrioskie dni dzieciństwa. Przed nią... przed nią stał Jason, we wspaniałym surducie z aksamitu ciemnoniebieskiego jak noc. Twarz narzeczonego częściowo ukryta była w cieniu, wyglądał na bardzo rosnącego i bardzo mrocznego. Równie mrocznego jak ta nieznana... jak jej mroczna przyszłość.

„Co ty robisz?” - krzyczał do Victorii przerażony rozum, kiedy Charles prowadził ją do Jasona.

„Nie wiem - odpowiedziała w duchu. - Jason mnie potrzebuje”.

„To żaden powód! - wołał rozum. - Możesz jeszcze uciec. Odwróć się i wybiegnij”.

„Nie mogę!” - wołało serce.

„Możesz. Po prostu odwróć się i uciekaj. Teraz, zanim będzie za późno”.

„Nie mogę. Nie mogę go po prostu tak zostawić”.

„Dlaczego nie?”.

„Gdybym tak zrobiła, zostałby bardziej upokorzony niż kiedykolwiek przez swoją pierwszą żonę”.

„Pamiętaj, co mówił twój ojciec. Nie daj się nigdy nikomu przekonać, że będziesz szczęśliwa z człowiekiem, który cię nie kocha... Przypomnij sobie, jaki był nieszczęśliwy. Uciekaj! Szybko! Uciekaj stąd, zanim będzie za późno!”.

Serce Victorii przegrało tę walkę. Kiedy Charles wsunął lodowatą dłoń panny młodej w ciepłą rękę Jasona i cofnął się, całe jej ciało naprężyło się do ucieczki, wolna ręka chwyciła spódnicę, a oddech przyśpieszył. Zaczęła wyszarpywać dłoń z ręki Jasona, ale w tym samym momencie jego palce zacisnęły się niczym stalowa pułapka. Odwrócił ostro głowę, spojrzął jej w oczy pełnym napięcia, zimnym spojrzeniem, jakby ostrzegał, by niczego takiego nie próbowała. Potem nagle uścisk rozluźnił się; oczy zrobiły się nieobecne, bez wyrazu. Puścił jej rękę, pozwalając, by opadła z przodu na szeroką spódnicę i popatrzył na arcybiskupa.

Chce odwołać ślub! - uświadomiła sobie oszołomiona Victoria, kiedy arcybiskup pochylał się i pytał:

- Czy możemy zaczynać, milordzie?

Jason krótko potrząsnął głową i otworzył usta.

- Nie! - szepnęła Victoria, usiłując go powstrzymać.

- Co pani mówiła? - zapytał arcybiskup, patrząc na nią ze zmarszczonymi brwiami.

Victoria podniosła oczy na narzeczonego i zobaczyła upokorzenie, które kryło się za maską cynicznej obojętności.

- Taka jestem zdenerwowana, milordzie. Proszę, niech mnie pan weźmie za rękę.

Jason zawahał się, popatrzył jej badawczo w oczy i wyraz ulgi rozjaśnił jego stalowe, posępne rysy. Dotknął ręką dłoni Victorii i uściśnął jej palce, dodając odwagi.

- Czy teraz możemy już zaczynać? - szepnął arcybiskup z oburzeniem.

Wargi Jasona drgnęły.

- Ależ proszę.

Kiedy arcybiskup zaczął odprawiać długie nabożeństwo, Charles patrzył z radością na państwa młodych, a jego serce tak nabrzmiało uczuciem, jakby miało zaraz pęknąć; nagle kątem oka dostrzegł błysk fioletu, a wrażenie to połączyło się z niesamowitym odczuciem, że ktoś mu się przygląda. Zerknął na bok i zeszywniał zaszokowany, kiedy jego spojrzenie zderzyło się ze spojrzeniem pary bladoniebieskich oczu, należących do księżnej Claremont. Charles wbił w nią wzrok, twarz mu ożyła w zimnym triumfie, a potem z ostatnim pogardliwym spojrzeniem odwrócił się i usunął ją z myśli. Przyglądał się, jak jego syn stoi obok Victorii, jak tych dwoje wspaniałych, pięknych, młodych ludzi składa przysięgę, mającą połączyć ich ze sobą na zawsze. Łzy go zapiekły, gdy arcybiskup powiedział uroczyście:

- Czy ty, Victorio Seaton...

Katherine, moja ukochana - szeptał księżę w głębi serca - czy widzisz nasze dzieci? Czyż nie wyglądają pięknie razem? Twoja babka nie pozwoliła, byśmy mieli wspólne dzieci, moja najdroższa, i to zwycięstwo należało do niej, ale teraz zwyciężyliśmy my. Będziemy

mieli zamiast tego wnuki, moja słodka. Moja słodka, śliczna Katherine, będziemy mieli wnuki...

Pochylił głowę, nie chcąc, by ta kobieta po drugiej stronie przejścia zobaczyła, że płacze. Ale księżna Claremont niczego nie widziała z powodu łez, które płynęły jej z oczu i ściekały po pomarszczonych policzkach.

Katherine, kochanie - szeptała w głębi serca - popatrz tylko, co ja narobiłam. Przez mój głupi, ślepy egoizm nie pozwoliłam ci wyjść za niego i mieć z nim dzieci. Ale teraz tak pokierowałam sprawami, żebyście zamiast tego mieli wnuki. Och, Katherine, tak cię kochałam. Chciałam, byś miała cały świat u stóp i nie potrafiłam uwierzyć, że nie chcesz niczego poza nim jednym...

Arcybiskup poprosił Victorię, by powtarzała za nim słowa przysięgi i przypomniała sobie, że obiecała wobec wszystkich zachowywać pozory głębokiego przywiązania do narzeczonego. Spojrzała mu w twarz, usiłując mówić wyraźnie i pewnie, ale kiedy przyrzekała, że będzie go kochać, Jason podniósł nagle oczy w kierunku kopuły kościoła, a wargi drgnęły mu w sardonicznym uśmiechu. Victoria uświadomiła sobie, że czeka, by piorun uderzył w sklepienie i całe jej napięcie rozładowało się w zduszonym chichocie, przez co zasłużyła sobie na spojrzenie głębokiej dezaprobaty ze strony arcybiskupa.

Rozbawienie skończyło się jak nożem uciął, kiedy w kościele rozległ się głęboki, dźwięczny głos Jasona, który obdarzał ją całym swym doczesnym majątkiem. I nagle było po wszystkim.

- Może pan pocałować pannę młodą - powiedział arcybiskup.

Jason odwrócił się i popatrzył na nią, a oczy błyszczały mu triumfem tak intensywnym, tak nieoczekiwanym i tak przerażającym, że kiedy objął ją ramionami, Victoria zeszywniała. Pochylił głowę i przywarł do ust żony długim i zuchwałym pocałunkiem, aż arcybiskup spiorunował go wzrokiem, a kilku gości zachichotało; potem puścił Victorię i wziął ją pod rękę.

- Milordzie - szepnęła błagalnie, kiedy szli przez kościół w stronę wyjścia - proszę... nie mogę za panem nadażyć.

- Mów do mnie Jason - zwrócił jej ostro uwagę, ale zwolnił. - I następnym razem, gdy będę cię całował, udawaj, że sprawia ci to przyjemność.

Jego lodowaty ton uderzył w nią jak chluśnięcie zimną wodą, jakoś jednak wytrzymała przed kościołem, stojąc między Charlesem i Jasonem i uśmiechając się sztywno, kiedy każdy z ośmiuset gości zatrzymywał się, by im życzyć szczęścia.

Książę odwrócił się, żeby porozmawiać z jednym z przyjaciół akurat w chwili, kiedy z

kościół wychodził ostatni gość, opierając się ociężale na wysadzanej klejnotami rączce hebanowej laseczki.

Kompletnie ignorując pana młodego, księżna podeszła do Victorii i zajrzała jej przenikliwie w błękitne oczy.

- Czy wiesz, kim jestem? - zapytała bez wstępów, kiedy dziewczyna uprzejmie się do niej uśmiechnęła.

- Nie, pani - odpowiedziała Victoria. - Bardzo mi przykro, ale nie wiem. Wydaje mi się, że gdzieś już panią wcześniej widziałam, kogoś mi pani przypomina, ale...

- Jestem twoją prababką.

Dłoń dziewczyny zacisnęła się kurczowo na rękę Jasona. A więc to była jej prababka, kobieta, która odmówiła jej schronienia i zniszczyła szczęście matki. Victoria dumnie uniosła podbródek do góry.

- Ja nie mam prababki - powiedziała z zabójczym spokojem.

Ta stanowcza wypowiedź wywarła bardzo dziwny wpływ na księżną wdowę. Oczy jej rozblęskły podziwem, a cień uśmiechu złagodził surowe rysy.

- Ależ masz, moja droga - zapewniła. - Masz - powtórzyła niemal czule. - Bardzo przypominasz z wyglądu swoją matkę, ale ten buntowniczy charakter odziedziczyłaś po mnie. - Roześmiała się, potrząsając głową, kiedy Victoria chciała zaprzeczyć. - Nie... nie zadawaj sobie trudu, by ponownie wypierać się mego istnienia, bo w twoich żyłach płynie moja krew, a w twoim podbródku widzę mój własny upór. Oczy masz po matce, upór po mnie...

- Proszę się trzymać od niej z daleka! - syknął z wściekłością Charles, odwróciwszy gwałtownie głowę. - Proszę stąd odejść!

Księżna zeszywniała, a jej oczy zapłonęły gniewem.

- Niech pan się nie ośmiela mówić do mnie tym tonem, Atherton, bo...

- Bo co pani robi? - odparł Charles. - Proszę nie zadawać sobie trudu, by mi grozić. Mam już teraz wszystko, czego pragnąłem.

Księżna wdowa Claremont spojrzała na niego z góry. Minę miała triumfującą.

- Ma pan wszystko, ponieważ ja to panu dałam, głupcze. - I nie zwracając uwagi na oszołomione, pełne wściekłości spojrzenie księcia, odwróciła się znowu do Victorii, a w jej wzroku pojawiła się serdeczność. Wyciągnęła rękę, przyłożyła kruchą dłoń do policzka dziewczyny, a oczy jej się zamgliły. - Może przyjedziesz do Claremont House, żeby zobaczyć się z Dorothy, kiedy wróci z Francji. Niełatwo było trzymać ją z daleka od ciebie, ale wszystko by zepsuła swoim niemądrym gadaniem na temat tamtego starego skan... tamtych starych plotek - poprawiła się szybko. Odwróciła się następnie do Jasona, a jej twarz

przybrała bardzo surowy wyraz. - Powierzam panu moją prawnuczkę, Wakefield, i czynię pana osobiście odpowiedzialnym za jej szczęście. Czy to jasne?

- Całkowicie jasne - odrzekł uroczyście, ale patrzył na tę drobniutką kobietę, która mu w zawoalowany sposób groziła, z ledwo ukrywanym rozbawieniem.

Księżna badawczo przyjrzała się jego spokojnej twarzy, a potem kiwnęła głową.

- A więc, jeżeli się zrozumieliśmy, pożegnam się teraz. - Uniosła dłoń. - Może pan ucałować moją rękę.

Z idealnym spokojem Jason ujął uniesioną dłoń i wycisnął na niej pełen szacunku pocałunek.

Księżna odwróciła się do Victorii i powiedziała posepnie:

- Pewnie spodziewałabym się zbyt wiele, prosząc...?

Dziewczyna nie bardzo mogła połączyć się we wszystkim, co zaszło przez te kilka minut, od kiedy prababka do niej podeszła, ale z absolutną pewnością wiedziała, że uczucie, które zobaczyła w oczach starej kobiety, było miłością... miłością, i strasliwym żalem.

- Babciu - szepnęła łamiącym się głosem i nagle znalazła się w mocnym uścisku ramion prababki.

Księżna cofnęła się o krok, uśmiechnęła się szorstko, a zarazem nieśmiało, potem zaś skierowała władcze spojrzenie na pana młodego.

- Wakefield, postanowiłam nie umierać, dopóki nie wezmę w ramiona mojego praprawnuka. Ale ponieważ nie mogę żyć wiecznie, nie będę tolerowała żadnej opieszałości z pańskiej strony.

- Zajmę się tą sprawą bez zwłoki, Wasza Wysokość - powiedział Jason, zachowując poważną minę, ale w jego nefrytowych oczach czał się śmiech.

- Nie będę sankcjonowała również żadnego wahania z twojej strony, moja droga - ostrzegła księżna swą rumieniącą się prawnuczkę. Poklepała Victorię po ręce i dodała odrobinę tęsknym tonem: - Postanowiłam wycofać się na wieś. Claremont znajduje się tylko o godzinę jazdy od Wakefield, więc może od czasu do czasu złożysz mi wizytę. - Mówiąc to, skinęła na swego prawnika, który stał w drzwiach kościoła, i dodała majestatycznym tonem: - Podaj mi ramię, Weatherford. Zobaczyłam to, co chciałam zobaczyć i powiedziałam, co miałam do powiedzenia. - Rzuciwszy ostatnie triumfalne spojrzenie na oszołomionego Charlesa, odwróciła się i odeszła wyprostowana, niemal nie opierając się na laseczce.

Wokół stało wciąż wielu gości, czekających na swoje powozy, kiedy Jason prowadził żonę przez tłum i pomagał jej wsiąść do ich karety. Victoria automatycznie uśmiechała się, gdy ludzie do niej machali i patrzyła, jak się rozjeżdżają, ale w ciągu tego dnia tyle emocji

opanowało jej umysł, że nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, dopóki nie znaleźli się w pobliżu Wakefield. Wzdrygnęła się z poczuciem winy i uświadomiła sobie, że przez ostatnie dwie godziny powiedziała do Jasona nie więcej niż dziesięć słów.

Spod na wpół opuszczonych rzęs zerknęła ukradkiem na przystojnego mężczyznę, który był teraz jej mężem. Siedział z twarzą odwróconą w bok, jego profil przypominał twardą, rzeźbioną maskę, wypraną z wszelkiego współczucia czy zrozumienia. Gniewał się na nią, że usiłowała opuścić go przed ołtarzem, widziała to, gniewał się i nie miał zamiaru jej przebaczyć. Lęk przed jego ewentualną zemstą szarpnął jej sercem i nałożył się na już przeciążoną emocjami dziewczynę. Zaczęła się gwałtownie zastanawiać, czy nie stworzyła między nimi rozdźwięku, którego załagodzić się nie da.

- Jasonie - odezwała się, nieśmiało zwracając się do niego po imieniu - przepraszam cię za to, co stało się w kościele.

Milczał, co wzmogło tylko niepokój Victorii. Kareta skręciła i zjechała do niedużej malowniczej wioski w pobliżu Wakefield. Właśnie miała ponownie go przeprosić, kiedy nagle rozdzwoniły się dzwony i zobaczyła, że wzdłuż drogi stoją dzierzawcy, wystrojeni w najlepsze, odświętne stroje.

Uśmiechali się i machali, kiedy powóz ich mijał, a małe dzieci, zaciskając mocno w piąstkach bukiety polnych kwiatów, podbiegały i przez otwarte okno karety podawały wiązanki Victorii.

Pewien mniej więcej czteroletni chłopczyk potknął się o gruby korzeń przy drodze i wylądował plackiem na swoim bukiecie.

- Jasonie - zwróciła się błagalnie Victoria do męża, zapominając o trwającym między nimi napięciu - każ się stangretowi zatrzymać, proszę!

Spełnił jej życzenie i Victoria otworzyła drzwiczki.

- Jakie śliczne kwiatki! - wykrzyknęła do malca, który gramolił się właśnie na nogi przy powozie, podczas gdy starsi chłopcy szydzili z niego i pokrzykiwali. - Czy to dla mnie? - zapytała z entuzjazmem, pokazując na sfatygowany bukiet.

Chłopczyk pociągnął nosem i otarł łzy z oczu brudną, małą piąstką.

- Tak...śnie pani, one były dla jaśnie pani, zanim ja na nie upadłem.

- Czy możesz mi je dać? - spytała z uśmiechem. - Ślicznie będą wyglądały, kiedy dołączę je do mojego bukietu.

Chłopczyk bojaźliwie wyciągnął do niej połamane łodyżki.

- Sam je zbierałem - szepnął z dumą i oczy mu zabłyśły, kiedy Victoria starannie wsunęła dwie łodyżki do własnego wspaniałego bukietu. - Mam na imię Billy - dodał, patrząc

na nią lewym okiem, a prawe uciekło mu w kierunku kącika przy nosie. - Mieszkam tam, w sierocińcu.

Victoria uśmiechnęła się i powiedziała łagodnie:

- A ja mam na imię Victoria. Ale moi najbliżsi przyjaciele nazywają mnie Tory. Czy chciałbyś mówić do mnie Tory?

Chłopiec wyprostował się z dumą, lecz rzucił ostrożne spojrzenie na wielmożnego pana i czekał, aż milord skinie głową, zanim sam przytaknął, tryskając wprost radością.

- Czy miałbyś ochotę przyjść któregoś dnia do Wakefield i pomóc mi puszczać latawca? - ciągnęła dalej, a Jason przyglądał jej się z pełnym zdumienia namysłem.

Uśmiech malca przybladł.

- Ja za dobrze nie biegam. Często się wywracam - przyznał żałośnie.

Victoria pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Prawdopodobnie przez to twoje oko. Ale wiem, w jaki sposób można je wyprostować. Znałam kiedyś chłopczyka, który miał taki sam kłopot jak ty. Pewnego dnia, kiedy bawiliśmy się w osadników i Indian, wyrócił się i skaleczył sobie dobre oko, więc mój ojciec musiał mu na nie założyć przepaskę, dopóki rana się nie zagoiła. No i w tym czasie, kiedy zdrowe oko było zakryte, to drugie zaczęło się prostować; mój ojciec sądził, że dlatego, że musiało pracować podwójnie, kiedy dobre oko było zakryte. Gdybyś miał ochotę mnie odwiedzić, wypróbowałibyśmy tę przepaskę.

- Dziwnie bym wyglądał...śnie pani - odpowiedział malec z wahaniem.

- A my uważaliśmy, że Jimmy, tamten chłopczyk, wyglądał dokładnie tak jak pirat - pocieszyła go Victoria - i niewiele czasu minęło, a wszyscy próbowaliśmy chodzić z przepaskami na oku. Czy miałbyś ochotę mnie odwiedzić i pobawić się w piratów?

Chłopczyk pokiwał głową i zawrócił do starszych dzieci z pełnym zadowolenia uśmiechem.

- Co jaśnie pani ci powiedziała? - pytali, gdy Jason dał znak stangretowi, by jechał dalej.

Billy wepchnął piąstki do kieszeni, wypiął pierś i z dumą oznajmił:

- ...śnie pani powiedziała, że ja do niej mogę mówić Tory.

Dzieci przyłączyły się do dorosłych i wszyscy razem ruszyli pod górę za powozem; Victoria przypuszczała, że musi to być jakiś uroczysty, wiejski zwyczaj, związany ze ślubem dziedzica. Zanim konie przejechały przez masywną, kutą bramę Wakefield Park, szła za nimi już cała procesja wieśniaków, a następnii czekali wzdłuż obsadzonej drzewami alei, biegnącej przez park. Victoria zerknęła niepewnie na Jasona i przysięgłaby, że jej mąż ukradkiem się

uśmiecha.

Powód tego uśmiechu stał się jasny, gdy tylko powóz podjechał pod wielki dom. Mówiła Jasonowi, że zawsze planowała, iż jej ślub odbędzie się w małej wiosce i że wszyscy mieszkańcy przyjdą wziąć udział w uroczystości, a ten zagadkowy mężczyzna, którego właśnie poślubiła, spróbował ziszczyć przynajmniej częściowo jej marzenie. Trawniki Wakefield zmieniły się w baśniową, kwiatową altanę. Gigantyczne girlandy z białych storczyków, lilii i róż rozciągały się nad olbrzymimi stołami, zastawionymi srebrem, porcelaną i jedzeniem. Pawilon na końcu trawnika pokryty był kwiatami i obwieszony sznurami kolorowych lampionów. Wszędzie, gdzie tylko padło spojrzenie Victorii, paliły się jasno pochodnie, odpędzając napływający ze wszystkich stron zmierzch i dodając całej scenerii uroczystego, tajemniczego blasku.

Zamiast złościć się, że większość gości weselnych została w Londynie, Jason najwyraźniej wydał fortunę, by dla swej żony uczynić Wakefield oazą efemerycznego piękna, a potem zaprosił całą wioskę, by przyszła i świętowała ich zaślubiny. Nawet natura wydawała się współdziałać z jego planem, bo chmury zaczęły się rozpraszać, przegnane promieniami zachodzącego słońca, które udekorowało niebo plamami żywego różu i purpury.

Powóz zajechał przed dom; rozejrzawszy się, Victoria widziała wokół siebie dowody troski męża; troski, która stała w bezpośredniej sprzeczności z jego normalną maską nieczułego zobojętnienia. Zerknęła na męża, zauważyła leciutki uśmiech, od którego pojawiły mu się zmarszczki w kącikach oczu, chociaż dokładał wszelkich starań, by go ukryć, i położyła miękko dłoń na jego ręce.

- Jasonie - szepnęła, a głos jej drżał ze wzruszenia. - Dzięki... dzięki ci.

Przypomniała sobie, jak zwracał jej uwagę, by dziękowała mu pocałunkiem, położyła dłoń na jego twardej piersi i pocałowała go z nieśmiałą czułością, która rozpływała się po całym jej ciele.

Do rzeczywistości przywołał ją jakiś roześmiany męski głos, który z irlandzkim akcentem zapytał:

- Jasonie, mój chłopcze, czy masz zamiar wysiąść wreszcie z tego powozu i przedstawić mnie swojej żonie, czy będę musiał sam jej się zaprezentować?

Jason gwałtownie się odwrócił i wyskoczył z powozu, a na jego opalonej twarzy odmalowała się pełna zaskoczenia radość. Wyciągnął dłoń, by potrząsnąć potężną łapą Irlandczyka, ale ten zamknął go już w niedźwiedzim uścisku.

- A więc - powiedział wreszcie obcy, chwytając przyjaciela za ramiona i patrząc na niego z promiennym, nieskrywanym uczuciem - w końcu znalazłeś sobie żonę, która ogrzeje

ten twój wielki, zimny pałac. Mogłeś przynajmniej poczekać, aż mój statek zawinie do portu, żebym wziął udział w ślubie - droczył się z nim.

- Nie spodziewałem się, byś wrócił wcześniej niż w przyszłym miesiącu - odpowiedział Jason. - Kiedy przybędziecie?

- Zostałem, żeby dopilnować rozładunku i dziś wróciłem do domu. Przyjechałem tu przed godziną, ale zamiast zastać cię pogrążonego w pracy, dowiedziałem się, że jesteś bardzo zajęty żeniactwem. No to jak, zamierzasz przedstawić mnie twojej żonie, czy nie? - pytał dobrodusznie.

Jason odwrócił się, by pomóc Victorii wysiąść, a potem przedstawił jej Irlandczyka jako kapitana Mike'a Farrella. Kapitan Farrell miał około pięćdziesiątki, jak domyślała się Victoria, gęste, kasztanowe włosy i najweselsze orzechowe oczy, jakie w życiu widziała. Jego twarz była opalona i wysmagana wichrem, od kąćców oczu rozchodziły się drobniutkie zmarszczki, świadectwo życia spędzonego na pokładzie. Victorii spodobał się od pierwszego wejrzenia, lecz kiedy usłyszała po raz pierwszy, jak ktoś mówi o niej jako o żonie Jasona, wstrząsnęło to nią ogromnie, tak że powitała Mike'a Farrella powściągliwie i sztywno, zgodnie z zasadami, których kazano przestrzegać w Anglii.

Kiedy to zrobiła, wyraz twarzy kapitana się zmienił. Z jego oczu zniknęła serdeczna aprobata, a oficjalne odpowiedzi dalece przekraczały sztywność Victorii.

- Z radością poznaję panią, lady Fielding - oznajmił grzecznie, z krótkim, chłodnym ukłonem. - Wybacz pani, że nie jestem odpowiednio ubrany. Nie miałem pojęcia, wybierając się do Wakefield, że trafię na początek przyjęcia. A teraz, jeżeli pani pozwoli, po sześciu miesiącach spędzonych na morzu pragnę już gorąco powrócić w domowe pielesze.

- Och, nie może nas pan zostawić! - zareagowała Victoria ze szczerą serdecznością, która przychodziła jej dużo łatwiej niż sztywna etykieta. Widziała, że kapitan Farrell musi być wyjątkowo dobrym przyjacielem Jasona i rozpaczliwie pragnęła, by poczuł się w Wakefield mile widziany. - Mój mąż i ja jesteśmy do przesady wystrojony jak na tę porę dnia - zażartowała. - Poza tym, spędziwszy tylko sześć tygodni na morzu, marzyłam już o tym, by usiąść do stołu, który nie będzie się przechylał i kiwał, a jestem pewna, że nasze stoły nie będą tego robiły.

Kapitan Farrell bacznie się jej przyglądał, jakby nie był pewien, co ma o niej myśleć.

- Rozumiem z pani słów, że nie sprawiła pani przyjemności owa podróż, lady Fielding? - zapytał wymijająco.

Victoria potrząsnęła głową z zaraźliwym uśmiechem.

- Więcej miałam przyjemności, gdy sobie złamałam rękę albo gdy zachorowałam na

odre, przynajmniej mnie wtedy tak nie mdliło, jak przez cały tydzień na morzu. Obawiam się, że kiepski byłby ze mnie marynarz, bo kiedy, jeszcze zanim przeszła mi *mai de mer*, rozpętała się burza i bałam się tak, że aż mi teraz wstyd.

- Dobry Boże! - odrzekł kapitan Farrell, a do jego uśmiechu powróciła częściowo wcześniejsza serdeczność. - Proszę się nie nazywać z tego powodu tchórzem. Podczas sztormu na Atlantyku doświadczonym żeglarzom zdarza się bać, że umrą.

- Ale ja - odparła Victoria ze śmiechem - bałam się, że nie umrę.

Mike Farrell odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się, a potem chwycił obie ręce Victorii w swoje wielkie, pokryte odciskami łapy i spojrzał na nią serdecznie.

- Z rozkoszą zatrzymam się tu i przyłączę do pani i Jasona. Proszę mi wybaczyć moje... chwilowe wahanie.

Victoria radośnie pokiwała głową. Później poczęstowała się kieliszkiem wina z tacy trzymanej przez lokaja, i poszła porozmawiać z dwoma gospodarzami, którzy wraz z prosiętami przywieźli ją na samym początku do Wakefield.

Kiedy odeszła, Mike Farrell odwrócił się do Jasona i powiedział cicho:

- Widziałem, jak cię pocałowała w powozie i spodobała mi się od razu, Jasonie. Ale kiedy powitała mnie w ten afektowany, poprawny sposób, z oczami tak pustymi, jakby mnie w ogóle nie widziała, przeraziłem się na moment, że znowu ożeniłeś się z taką wyniosłą suką, jak Melissa.

Jason przyglądał się, jak Victoria ośmiela czujących się nieswojo dzierżawców.

- W żadnym wypadku nie jest wyniosła. Poza tym pływa jak ryba, a jej pies jest na wpół wilkiem. Moja służba świata za nią nie widzi, Charles ją uwielbia, a każdy głupi londyński fircyk wyobraża sobie, że jest w niej zakochany.

- Łącznie z tobą? - zapytał znacząco Mike Farrell.

Jason przyglądał się, jak Victoria dopija wino i sięga po następny kieliszek. Udało jej się zmusić dziś rano, by za niego wyjść, tylko dzięki temu, że wyobrażała sobie, że on to Andrew, a mimo to niemal porzuciła go u ołtarza na oczach ośmiuset ludzi. Nigdy wcześniej nie widział, by przełknęła więcej niż łyczek wina, a teraz brała już drugi kieliszek. Uznał, że pragnie przytępić odrazę, jaką czuła na myśl o ich nocy poślubnej.

- Nie wyglądasz mi na bardzo szczęśliwego pana młodego - zauważył Mike Farrell, przyglądając się, jak jego przyjaciel mrocznie zmarszczył brwi.

- W życiu nie byłem szczęśliwszy - odpowiedział gorzko i poszedł witać się z gośćmi, których nazwisk nie znał, żeby przedstawić ich kobiecie, która zaczynała żałować, że za niego wyszła.

Odgrywał rolę gospodarza i pana młodego, zachowując wszelkie pozory radosnej serdeczności, a przez cały czas pamiętał o tym, że Victoria niemal uciekła od niego w kościele. To wspomnienie było gorzkie, bolesne i upokarzające, i nie potrafił przestać o nim myśleć.

Na niebie migotały już gwiazdy, kiedy Jason stał z boku i przyglądał się, jak Victoria tańczy z dziedzicem z sąsiedztwa, a potem z Farrellem i kilkoma dzierżawcami. Z rozmysłem go unikała, wiedział o tym, a przy tych rzadkich okazjach, kiedy ich spojrzenia się zetknęły, szybko odwracała wzrok.

Dawno już zdjęła welon i poprosiła, by orkiestra grała żywsze utwory, a później oczarowała bez reszty wieśniaków, kiedy zaproponowała, by nauczyli ją lokalnych tańców. Zanim księżyc podniósł się wysoko na niebie, tańczyli już wszyscy, klaskali i świetnie się bawili, łącznie z Victorią, która wychyliła pięć kieliszków wina. Najwyraźniej musi się upić do nieprzytomności, myślał z sarkazmem Jason, zauważając rumieniec na jej policzkach. Żołądek skurczył mu się z niesmaku, kiedy przypomniał sobie, jakie nadzieje wiązał z tą nocą, z ich wspólną przyszłością. Jak głupiec uwierzył, że szczęście jest wreszcie w zasięgu jego ręki.

Oparłszy się nonszalancko o drzewo, przyglądał się jej i zastanawiał, dlaczego wydaje się kobietom taki atrakcyjny, dopóki za niego nie wyjdą, a potem napęlnia je obrzydzeniem. Znowu to zrobiłem, myślał rozwścieczony. Popełnił drugi raz ten sam błąd. Ożenił się z kobietą, która się zgodziła, bo chciała czegoś od niego, a nie chciała jego samego.

Melissa pożądała każdego mężczyzny, który wpadł jej w oko, poza nim. Victoria pragnęła tylko Andrew, poczciwego, łagodnego, pozbawionego kręgosłupa Andrew.

Jedyna różnica między Melissa a Victorią polegała na tym, że Victoria była dużo lepszą aktorką - do takiego wniosku doszedł Jason. Wiedział od samego początku, że Melissa to samolubna, wyrachowana suka, ale sądził, że Victorii bliżej jest do anioła... oczywiście upadłego anioła, dzięki Andrew, ale za to jej wcześniej nie potępiał A teraz już tak. Pogardzał nią, że z własnej woli oddała się tamtemu, a postanowiła unikać świadomego oddania się mężowi, gdyż właśnie do tego chciała doprowadzić, pochłaniając takie ilości wina, żeby stracić przytomność. Drżała w jego ramionach i unikała jego spojrzenia, gdy tańczył z nią przed kilkoma minutami, a potem cała się wzdrygnęła, gdy zaproponował, że pora iść do domu.

Jason beznamiętnie zastanawiał się, dlaczego potrafi doprowadzić swe kochanki do tego, że krzyczą z rozkoszy, ale kobiety, z którymi się żenił, nie chciały mieć z nim nic do czynienia od chwili, kiedy zostały wypowiedziane słowa przysięgi. Dlaczego z taką łatwością

przychodzi mu robienie pieniędzy, a szczęście zawsze mu umyka? Ta wściekła, stara suka, która go wychowała, najwyraźniej miała rację: był diabelskim nasieniem, niezasługującym nawet na życie, nie mówiąc już o szczęściu.

Jedynie trzy kobiety, które kiedykolwiek odgrywały rolę w jego życiu: Victoria, Melissa i przybrana matka, widziały w nim coś, co w ich oczach czyniło go obrzydliwym i wstrętnym, chociaż obydwie jego żony ukrywały swą odrazę przed ślubem, po którym bogactwo Jasona wreszcie do nich należało.

Z nieustępliwą stanowczością podszedł do Victorii i dotknął jej ręki. Drgnęła i odskoczyła, jakby jego dotknięcie ją parzyło.

- Jest już późno i pora iść do domu - powiedział.

Nawet w świetle księżycy widać było, jak jej twarz blednie, a oczy rozszerzają się niespokojnie, jak w pułapce.

- A... ale jeszcze nie jest naprawdę późno...

- Jest na tyle późno, że trzeba już iść do łóżka, Victorio - oświadczył bez ogródek.

- Aleja ani trochę nie jestem śpiąca!

- To dobrze - stwierdził Jason z rozmyślną brutalnością. Wiedział, że zrozumiała, bo całe jej ciało zaczęło się trząść. - Zawarliśmy umowę - powiedział szorstko - i spodziewam się, że ze swej strony jej dotrzymasz, obojętne, jaki niesmak czujesz na myśl o pójściu ze mną do łóżka.

Ten lodowaty, władczy głos przejął ją chłodem do szpiku kości. Skinęła głową, weszła sztywno do domu i ruszyła na górę, do swoich nowych pokoi, sąsiadujących z apartamentem Jasona.

Wyczuwając rezerwę pani, Ruth pomogła jej w milczeniu zdjąć suknię ślubną i założyć negliż z kremowego atłasu i koronek, który madame Dumosse stworzyła specjalnie na użytek poślubnej nocy.

Victorii żołądek podchodził do gardła, a wnętrzności skręcały się z przerażenia, kiedy Ruth poszła przygotować łóżko. Od wina, które wypła w nadziei, że ukoji nim skołatane nerwy, robiło jej się niedobrze i kręciło się w głowie. Zamiast ją uspokoić, jak kiedyś, wywołało teraz gwałtowne mdłości i nie pozwalało opanować emocji. Jeden jedyny raz wypła więcej niż łyczek, a było to po pogrzebie rodziców, kiedy doktor Morrison uparł się, by wypła dwa kieliszki. Wtedy też zbierało jej się na wymioty, a stary lekarz powiedział, że może należeć do ludzi, którzy nie tolerują alkoholu.

Podeszła do łóżka, mając w pamięci ponure opisy panny Flossie. Wkrótce jej krew rozleje się po tych prześcieradłach, myślała w popłochu. Ile krwi? Ile bólu? Oblął ją zimny

pot i poczuła gwałtowny zawrót głowy, gdy Ruth poprawiała poduszki. Jak marionetka weszła do łóżka, usiłując opanować dreszcze i wzbierające mdłości. Nie wolno krzyczeć ani okazywać odrazy, tak mówiła panna Flossie. Ale kiedy Jason otworzył drzwi i wszedł do sypialni ubrany w bordowy szlafrok, odsłaniający sporą część nagiego torsu i nóg, Victoria nie potrafiła powstrzymać cichego krzyku przerażenia.

- Jasonie! - zawołała, wciskając się plecami w poduszki.

- A kogo się spodziewałaś, Andrew? - zapytał swobodnie. Jego dłonie odszukały pasek, który nie pozwalał się rozchylić połom szlafroka, i przerażenie Victorii wzrosło do paniki.

- Nie... nie rób tego - błagała, nie mogąc ani mówić, ani myśleć rozsądnie. - Przecież dżentelmen chyba nie rozbiera się przed damą, nawet jeżeli są po ślubie.

- Wydaje mi się, że tę rozmowę mamy już za sobą, ale na wszelki wypadek, gdybyś zapomniała, przypomnę ci, że nie jestem dżentelmenem. - Pociągnął za końce atłasowego paska. - Jeżeli wszakże widok mojego niedżentelmeńskiego ciała razi twoje delikatne uczucia, możesz ten problem rozwiązać, zamykając oczy. Jedyne inne rozwiązanie wymagałoby ode mnie, bym najpierw położył się do łóżka, a szlafrok zdejmował potem, a ta propozycja uraża moje delikatne uczucia. - Rozchylił szlafrok i strząsnął go z siebie. Oczy Victorii rozszerzyły się na widok jego potężnego, muskularnego ciała.

Jeżeli Jason żywił jeszcze w tajemnicy jakiś strzęp nadziei, że Victoria może z ochotą poddać się jego czułościom, nadzieja ta zgasła, kiedy żona zamknęła oczy i odwróciła od niego twarz.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem z rozmyślną brutalnością wyszarpnął jej prześcieradło z rąk i odrzucił je na bok. Położył się obok niej, bez słowa rozwiązał kokardę przy atłasowokoronkowym negliżu i głośno wciągnął powietrze, kiedy zobaczył naga doskonałość jej ciała.

Piersi Victorii były pełne i dojrzałe, talia wąska, a biodra łagodnie zaokrąglone. Nogi miała długie i niewiarygodnie kształtne, uda smukłe, łydki szczupłe. Kiedy błędził po niej wzrokiem, kremową skórę zabarwił rumieniec, a gdy położył dłoń na jednej z ponętnych półkul, całe ciało Victorii zaczęło drżeć i zrobiło się sztywne, odrzucając jego dotknięcie.

Jak na kobietę doświadczoną była zimna i twarda jak kamień. Po prostu leżała z wykrzywioną z odrazy twarzą. Jason rozważał, czyby nie skłonić jej pieścizotą, aby mu się oddała, lecz odrzucił z pogardą tę myśl. Niemalże zostawiła go dziś rano przy ołtarzu i najwyraźniej nie miała najmniejszej ochoty znosić żadnych dłuższych pieścizot.

- Nie rób tego - błagała go gwałtownie, kiedy pogładził jej pierś. - Niedobrze mi się

robi! - krzyczała, starając się wyrwać z łóżka. - Przez ciebie będzie mi niedobrze!

Jej słowa wbijały się Jasonowi w mózg niczym ostre gwoździe. Poczuł gwałtowną wściekłość. Wcisnął dłonie w rozkoszne włosy żony i przetoczył się na nią.

- W takim razie - zawarczał zimnym, zduszonym głosem - lepiej skończmy z tym jak najszybciej.

Wizje krwi i okropnego bólu przemknęły przez głowę Victorii, zwiększając jeszcze poczucie grozy wywołane mdłościami, powodowanymi przez wino.

- Ale ja nie chcę! - zawołała żałośnie.

- Zawarliśmy umowę i dopóki pozostajemy małżeństwem, dotrzymasz słowa - szepnął, rozchylając siłą jej zeszywniałe uda. Victoria jęknęła, ale gdzieś w głębi serca wiedziała, że Jason ma rację w sprawie tej umowy i przestała się bronić. - Odpręż się - ostrzegł ją w ciemności, pochylając się nad jej twarzą - może nie jestem taki czuły, jak twój drogi Andrew, nie chcę jednak zrobić ci krzywdy.

To bezlitosne przypomnienie ukochanego w takiej chwili zraniło ją do głębi serca, a udręka skończyła się okrzykiem bólu, kiedy Jason wdarł się w jej ciało. Victoria skręcała się pod nim ze wstydu, a gorące łzy upokorzenia ciekły jej z oczu, kiedy mąż korzystał ze swych praw bez życzliwości i najmniejszej troski o nią.

Gdy tylko przestała czuć jego ciężar, obróciła się na bok, wtuliła twarz w poduszkę i zanosła się płaczem, po części z przerażenia, po części z szoku.

- Wynoś się - wykrztusiła, podciągając kolana do piersi i zwijając się w pełen cierpienia kłębek. - Wynoś się, wynoś!

Jason zawahał się, a potem stoczył z łóżka, podniósł szlafrok i poszedł do swego pokoju. Zamknął drzwi, ale ściagały go odgłosy jej płaczu. Nagi podszedł do toaletki, chwycił kryształową karafkę z brandy i nalał sobie pół szklanki mocnego trunku. Wychylił go do dna, usiłując utopić w alkoholu wspomnienie oporu i rozpaczliwej odrazy Victorii, wymazać z myśli jej smutną twarz, kiedy przy ołtarzu chciała mu wyrwać dłoń.

Jakież był głupi, kiedy wierzył, że w pocałunkach tej dziewczyny wyczuwa serdeczność. Kiedy pierwszy raz proponował jej, by się pobrali, odrzekła, że nie chce go poślubić. Przedtem, gdy dowiedziała się, że są rzekomo zaręczeni, powiedziała, co naprawdę o nim myśli: „Jest pan zimnym, gruboskórnym, aroganckim potworem... Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wyszłaby za pana... Nie jest pan wart ani jednej dziesiątej tego co Andrew...”.

A więc wszystko to mówiła serio.

Jakież był głupi, kiedy wmawiał w siebie, że naprawdę jej na nim zależy... Odwrócił

się, by odstawić szklankę i nagle ujrzał własne odbicie w lustrze. Na udach miał ślady krwi.

Krwi Victorii.

Mogła sercem należeć do Andrew, ale swym ślicznym ciałem do niego nie należała... oddała się tylko jemu, Jasonowi. Patrzył na własne odbicie, a obrzydzenie do siebie trawiło mu serce niczym kwas. Tak czuł się urażony, że chciała odejść od niego przy ołtarzu, tak się zapamiętał w zazdrości, że dziewictwo Victorii umknęło jego uwadze.

Zamknął oczy, czując dręczące wyrzuty sumienia. Nie mógł znieść własnego widoku. Nie okazał swojej żonie więcej czułości czy względów niż pijany marynarz płatnej dziwce.

Przypomniał sobie, jaka się wydawała mała i krucha w jego ramionach, jak brutalnie ją wykorzystał, i poczuł świeżą, rozdzierającą falę mdlącego żalu.

Otworzył oczy i patrzył na swoje odbicie w lustrze, wiedząc, że obrócił ich noc poślubną w koszmar. Victoria naprawdę była tym łagodnym, odważnym, pełnym werwy aniołem, którym wydawała mu się od samego początku. A on... on okazał się dokładnie tym, czym w dzieciństwie nazywała go przybrana matka: nasieniem szatana.

Narzucił szlafrok, wyjął z szuflady aksamitne etui i wrócił do pokoju żony. Stał przy jej łóżku i przyglądał się, jak śpi.

- Victorio - szepnął, a ona wzdrygnęła się przez sen na dźwięk jego głosu. Przeszył go kolejny bolesny wyrzut sumienia. Jakaż wyglądała bezbronna i zraniona; jaka niewiarygodnie była piękna, z rozsypanymi po poduszkach i połyskującymi w świetle świecy włosami.

Przyglądał się w udręczonym milczeniu, nie chcąc jej budzić. W końcu wyciągnął rękę, delikatnie pogładził nagie, szczupłe ramiona dziewczyny, a potem odgarnął jej gęste włosy z czoła.

- Przepraszam cię - szepnął do swej śpiącej żony.

Zdmuchnął świecę i położył aksamitne etui na stoliku przy łóżku, gdzie musiała je zobaczyć, kiedy się obudzi. Diamenty ukoją jej ból. Przecież za diamenty kobieta wybaczy ci wszystko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Victoria otworzyła oczy i zagapiła się na ciemne, zaciągnięte chmurami niebo za oknem. Sen wciąż spowijał ją niby ciężka pajęczyna i plątał myśli na jawie, kiedy bezmyślnie wyglądała zza obcych, różowozłotychn zasłon, zwisających w narożach łóżka.

Czuła się niemrawa i oszołomiona, jakby wcale nie spała, a przecież nie miała szczególnej ochoty ani przyłożyć się znowu do poduszki, ani do reszty się obudzić. Myśli jej błądziły bez celu, a potem nagle zaczęło jej się rozjaśniać w głowie.

Dobry Boże, jest mężatką! Naprawdę mężatką. Żoną Jasona Fieldinga.

Zdusiła okrzyk rozpaczliwego protestu i gwałtownie usiadła, kiedy uderzyło ją dokładne wspomnienie ostatniej nocy. A więc to przed tym usiłowała ją ostrzec panna Flossie. Nic dziwnego, że kobiety o tym nie rozmawiały! Już miała wyskoczyć z łóżka, posłuszna instynktowi, który poniewczasie kazał jej uciekać, potem jednak opanowała się, poprawiła poduszki i znowu na nie opadła, przygryzając dolną wargę. Upokarzające szczegóły nocy poślubnej wracały z bolesną klarownością i aż się skuliła, kiedy przypominała sobie, jak Jason brutalnie obnażył się przed nią. Wzdrygnęła się na wspomnienie, jak naigrawał się z Andrew, a potem ją wykorzystał. Wykorzystał ją, jakby była zwierzęciem, tępym zwierzęciem bez żadnych uczuć i wrażliwości, niewartym czułości czy troski.

Łza pociekła jej po policzku na myśl o nocy dzisiejszej i jutrzejszej, o wszystkich tych, które ją czekały, dopóki w końcu nie zajdzie w ciążę. Ile razy tak będzie trzeba? Tuzin? Dwa tuziny? Więcej? Nie, proszę, tylko nie więcej. Nie zdoła znieść dużo więcej.

Gniewnie otarła łzę, wściekła na siebie, że poddała się lękowi i słabości. Jason powiedział wczoraj w nocy, że zamierza nadal z nią tak paskudnie, upokarzająco postępować, że zgodnie z umową taki jest jej obowiązek. Ale teraz, kiedy wiedziała już, co ten obowiązek naprawdę za sobą pociąga, zapragnęła tę umowę natychmiast rozwiązać!

Odrzuciła przykrycia i wysunęła się z jedwabnego kokonu, który miał wynagrodzić jej trwające do końca życia cierpienia, narzucone przez cynicznego, pozbawionego serca mężczyznę. Tylko że ona nie jest żadną wdzięczną się angielską panią, lękającą się stanąć twarzą w twarz ze światem. Wolałaby raczej stanąć przed plutonem egzekucyjnym niż przeżyć jeszcze jedną taką noc jak ta ostatnia! Potrafi obyc się bez luksusów, jeżeli w taki sposób trzeba za nie płacić.

Rozejrzała się po pokoju, usiłując zaplanować następny krok, i spojrzenie jej padło na aksamitne etui na stoliku przy łóżku. Wzięła je do ręki i otworzyła zameczek, a potem aż

zgrzytnęła zębami na widok okazałego diamentowego naszyjnika, który leżał w środku. Przypominał delikatną wiązanekę kwiatów, z diamentami ułożonymi w różne kształty, by tworzyły płatki albo liście tulipanów, róż i storczyków.

Wściekłość skłębiła się w niej czerwoną mgłą, kiedy wyjęła naszyjnik za zameczek, a później, trzymając go dwoma palcami, jakby był jadowitym wężem, wrzuciła bezceremonialnie z powrotem do etui.

Teraz rozumiała, co zawsze martwiło ją w prezentach, które Jason jej dawał i w jego prośbach, by dziękowała mu pocałunkiem. On ją kupował! Naprawdę wierzył, że można jej zapłacić jak jakiejś taniej, portowej ladacznicy. Nie, nie taniej - kosztownej, niemniej ladacznicy.

Po ostatniej nocy Victoria już czuła się wykorzystana i skrzywdzona; naszyjnik dołożył jeszcze jedną obelgę do wydłużającej się listy przewinień męża. Z trudem przychodziło jej uwierzyć, że zdołała sobie wmówić, iż on o nią dba, że jej potrzebuje. Nie dbał o nikogo i nikogo nie potrzebował. Nie chciał być kochany i nie miał w sobie miłości, którą mógłby komuś dać. Nie powinna się dziwić, sam jej to powiedział.

Mężczyźni! Myśli Victorii kłębiły się jak szalone, jej blade policzki poczerwieniały ze złości. Cóż to za potwory: Andrew, ze swymi fałszywymi wyznaniem miłości; Jason, który sądził, że może ją wykorzystać i zapłacić jej jakimś głupim naszyjnikiem.

Skrzywiła się, czując ból między nogami, wyszła z łóżka i pomaszerowała do marmurowej łazienki, która przylegała do jej sypialni po przeciwnej stronie niż apartamenty męża. Zdobędzie rozwód. Słyszała o czymś takim. Powie Jasonowi, że chce rozwodu, i to już!

Ruth pojawiła się w chwili, gdy Victoria wychodziła z wanny.

Wchodząc na paluszkach do pokoju, mała służąca miała na twarzy tajemniczy uśmiech. Rozejrzała się wokoło. Nie wiadomo, czego się spodziewała, ale najwyraźniej nie widoku pani, która wojowniczym krokiem, w pełni obudzona i wykapana, chodziła owinięta w ręcznik po pokoju i energicznie szczotkowała sobie włosy. Nie spodziewała się też, by nowa żona Jasona Fieldinga, który - jak głośno plotki - był ponoć zniewalającym kochankiem, miała powiedzieć lodowatym tonem:

- Nie ma żadnego powodu, żebyś się skradała po tym pokoju, jakbyś się bała własnego cienia, Ruth. Potwór jest w drugim pokoju, nie w tym.

- Potwór, panienko? - wyjąkała biedna pokojówka, nie pojmując. - Och - zachichotała nerwowo, sądząc, że źle zrozumiała.

- Powiedziałam „potwór”. - Victoria niemal na nią warknęła. Usłyszawszy jednak zjadliwy ton swego głosu, poczuła się winna. - Przepraszam cię, Ruth. Jestem odrobinę...

powiedzmy... zmęczona.

Nie wiadomo z jakiego powodu mała służąca zaczerwieniła się i zachichotała, co zirytowało Victorię, i tak już bliską hysterii, chociaż z wysiłkiem wmawiała sobie, jaka to jest zimna, logiczna i zdecydowana. Czekala, stukając palcami, aż Ruth wyjdzie z pokoju. Zegar na kominku pokazywał godzinę jedenastą, kiedy podeszła do drzwi apartamentu, przez które wczoraj wieczorem wszedł Jason. Zawahała się z dłonią na klamce, usiłując się opanować. Całe jej ciało dygotało jak galareta na samą myśl, że ma stawić mu czoło i zażądać rozwodu, ale zamierzała dokładnie tak właśnie postąpić i nic jej nie powstrzyma. Gdy już oznajmiła mężowi, że ich małżeństwo się skończyło, nie będzie miał żadnych więcej praw do niej. Później podejmie decyzję, dokąd się udać i co zrobić. A może będzie potrzebowała jego pozwolenia? Ponieważ nie miała pewności, doszła do wniosku, że lepiej nie zrażać Jasona do siebie bez potrzeby i nie irytować tak, by z miejsca odmówił.

Victoria wyprostowała się sztywno, zawiązała mocniej pasek przy aksamitnym szlafroku, nacisnęła klamkę i wmaszerowała do pokoju męża.

Zdusiła w sobie chęć, by dać mu po głowie porcelanowym dzbankiem, stojącym przy łóżku, i powiedziała uprzejmie:

- Dzień dobry.

Jason gwałtownie otworzył oczy. Jego twarz przybrała natychmiast wyraz ostrożny, niemal czujny, a potem się uśmiechnął. Ten senny, zmysłowy uśmiech, który dawniej powodował, że serce w niej topniało, teraz kazał jej zacisnąć zęby z wściekłości. Jakoś udało jej się zachować uprzejmy, niemal miły wyraz twarzy.

- Dzień dobry - odpowiedział mąż głębokim głosem; błędził oczami po jej pociągającej figurze, odzianej w miękkie połyskujący złoty aksamit. Przypomniawszy sobie, jak ją zgwałcił w nocy, z trudem oderwał oczy od głębokiego wycięcia szlafрока Victorii i przesunął się, robiąc jej obok siebie miejsce na łóżku. Czuł się głęboko wzruszony, że przyszła powiedzieć mu dzień dobry, kiedy miała pełne prawo pogardzać nim za tę noc, wskazał więc miejsce, z którego się odsunął i zapytał łagodnie: - Czy zechciałabyś usiąść?

Victoria tak była pochłonięta rozważaniem, w jaki sposób naprowadzić rozmowę na to, co miała do powiedzenia, że automatycznie przyjęła zaproszenie.

- Dziękuję - odrzekła uprzejmie.

- Za co? - zapytał żartobliwie.

To były dokładnie te słowa wstępne, których szukała.

- Dziękuję ci za wszystko. Na wiele sposobów okazałeś mi ogromną życzliwość. Wiem, jaki byłeś niezadowolony, kiedy pokazałam się na twoim progu kilka miesięcy temu,

ale chociaż mnie tu nie chciałeś, pozwoliłeś mi zostać. Kupiłeś mi piękne stroje i zabierałeś mnie na przyjęcia, co było nadzwyczaj uprzejme z twojej strony. Walczyłeś o mnie w pojedynku, co wcale nie było konieczne, lecz bardzo rycerskie. Ożeniłeś się ze mną w kościele, chociaż nie miałeś najmniejszej ochoty tego zrobić, i wydałeś dla mnie wczoraj wieczorem cudowne przyjęcie, tylko po to, by sprawić mi przyjemność. Za to wszystko ci dziękuję.

Jason uniósł dłoń i leniwie potarł knykciami jej blady policzek.

- Proszę cię bardzo.

- A teraz proszę cię o rozwód.

Jego dłoń zamarła.

- O co? - zapytał groźnym szeptem.

Palce Victorii zaciskały się i prostowały kurczowo na kolanie, trwała jednak mocno w swoim postanowieniu.

- Proszę cię o rozwód - powtórzyła z pozornym spokojem.

- Tak po prostu? - zapytał okropnym, jedwabistym głosem. Chociaż całym sercem gotów był przyznać, że potraktował ją ostatniej nocy bardzo źle, czegoś takiego się nie spodziewał. - Po jednym dniu małżeństwa chcesz rozwodu?

Victoria zerknęła tylko w jego błyszczące oczy, w których zaczynał płonąć gniew, i pośpiesznie wstała, ale ręka Jasona zacisnęła się na jej przegubie i szarpnęła ją w dół.

- Nie maltretuj mnie, Jasonie - ostrzegła.

Kiedy opuszczał jej pokój poprzedniej nocy, wyglądała jak zranione dziecko, a teraz stała przed nim kobieta, której nie poznawał: płonąca zimnym gniewem, piękna furia. Zamiast przeprosić ją, co jeszcze przed minutą miał zamiar zrobić, oświadczył:

- Jesteś absurdalna. W Anglii przez ostatnie pięćdziesiąt lat było tylko kilkanaście rozwodów i między nami rozwodu nie będzie.

Victoria wyrwała mu rękę z taką siłą, że niemal ją sobie wywichnęła w ramieniu, i z piersią falującą z wściekłości i strachu cofnęła się, żeby mieć pewność, że mąż jej nie dosięgnie.

- Jesteś zwierzęciem! - syknęła. - Wcale nie jestem absurdalna i nie pozwolę się więcej wykorzystać jak zwierzę!

Wypadła z jego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi, a potem głośno przekręciła w zamku klucz.

Zdażyła się od nich oddalić tylko na kilka kroków, kiedy z nagłym trzaskiem wyleciały z framugi i zawisły na jednym zawiasie. W ziejącej na ich miejscu dziurze stał

Jason. Twarz mu zbielała z wściekłości, gdy wysyczał przez zaciśnięte zęby:

- Żebyś do końca życia nigdy nie zamykała przede mną drzwi. I nigdy mi już nie groź rozwodem! Ten dom jest według prawa moją własnością, tak samo jak moją własnością jesteś ty. Rozumiesz?

Victoria urywanym ruchem kiwnęła głową, a w duszy aż wzdrygnęła się na widok oślepiającej gwałtowności w jego oczach. Jason odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, a ona stała, trzęsąc się ze strachu. Nigdy u żadnej istoty ludzkiej nie widziała wybuchu tak straszliwej wściekłości. Jason nie był zwierzęciem, lecz oszalałym potworem.

Czekała i przysłuchiwała się odgłosom otwieranych i zamykanych szuflad, kiedy się ubierał, gwałtownie usiłując wymyślić jakiś sposób, by wyplątać się z koszmaru, w który zmieniło się jej życie. Kiedy usłyszała, jak za Jasonem trzasnęły drzwi, podeszła od łóżka i opadła na nie bezwładnie. Siedziała tak pogrążona w myślach niemal przez godzinę, ale żadnego wyjścia nie znalazła. Powiedział prawdę: była częścią jego dobytku, podobnie jak dom czy konie.

Jason nie godził się na rozwód, a ona nie miała pojęcia, jak mogłaby go uzyskać na własną rękę. Nie była nawet pewna, czy ma wystarczające powody, by przekonać sąd, że powinien udzielić jej rozwodu, ale musiała przyznać się przed sobą samą, że w żadnym wypadku nie zdoła wyjaśnić grupie ustrojonych w peruki mężczyzn sędziów, co Jason zrobił jej ostatniej nocy.

Kiedy dziś rano wymyśliła sprawę rozwodową, rozpaczliwie chwyciła się owej nadziei jak tonący brzytwy. Zdała sobie sprawę, że taki pomysł był wręcz niemożliwie radykalny i westchnęła z przygnębieniem. Pułapka zatrzasnęła się i nie wydostanie się z niej, dopóki nie da Jasonowi syna, którego chciał. A potem istnienie potomka, który mógłby ją wyzwolić, przywiąże ją do Wakefield, bo wiedziała, że nigdy w życiu nie odejdzie i nie zostawi mężowi własnego dziecka.

Rozejrzała się po luksusowym pokoju niewidzącymi oczyma. Jakoś trzeba będzie zaadaptować się do nowego życia i brać rzeczy z najlepszej strony, dopóki sam los nie wtrąci się, by jej pomóc. Do tego czasu musi zachować zdrowe zmysły, postanowiła, i ogarnął ją odrętwiający spokój. Może spędzać czas z innymi ludźmi, zostawić ten dom i zająć się własnymi sprawami. Będzie musiała obmyślić różne miłe rozrywki, które pozwolą jej przestać myśleć o własnych problemach. Zaczynając od zaraz. Nienawidziła litowania się nad sobą i nie zamierzała czynić tego teraz.

Zaprzyjaźniła się już z kilkoma osobami w Anglii; wkrótce urodzi dziecko, które będzie mogła kochać i które będzie ją kochało. Wykorzysta to puste życie jak najlepiej i

wypełni je sobie wszystkim, co tylko jej przyjdzie do głowy, byle nie zwariować.

Odgarnęła włosy z pobladłej twarzy i wstała z mocnym postanowieniem, że dokładnie tak właśnie zrobi. Mimo to, dzwoniąc po Ruth, aż westchnęła z przygnębienia. Dlaczego Jason aż tak nią pogardza, zastanawiała się z rozpaczą. Bolesnie pragnęła z kimś porozmawiać, komuś się zwierzyć. Wcześniej zawsze byli przy niej matka albo ojciec, albo Andrew. Mogła z nimi rozmawiać i słuchać ich. Jak się opowiedziało o kłopotach, to zawsze robiło się lżej. Ale od kiedy Victoria przyjechała do Anglii, nie miała nikogo. Zdrowie Charlesa szwankowało i od pierwszego dnia po przyjeździe musiała demonstrować księciu dzielną, wesołą minę. Poza tym Jason był jego bratankiem, więc w żadnym wypadku nie mogła przecież omawiać lęków, dotyczących Jasona, z jego własnym wujem, nawet gdyby ten był w Wakefield. Caroline Collingwood to dobra i lojalna przyjaciółka, znajdowała się jednak daleko i Victoria wątpiła, czy tamta potrafiłaby zrozumieć Jasona, nawet gdyby ona sama chciała o nim rozmawiać.

Nie pozostaje mi nic innego, doszła do wniosku, tylko stłumić wszystko w sobie i udawać, że jest szczęśliwa, aż któregoś dnia może naprawdę tak się poczuje. Przyjdzie taka chwila, przyrzekała sobie ponuro, kiedy bez obawy będzie mogła myśleć o nadchodzącej nocy, nie bojąc się, że Jason wejdzie do pokoju. Przyjdzie taka chwila, kiedy będzie mogła patrzeć na niego i nie czuć nic, ani lęku, ani bólu, ani upokorzenia, ani samotności. Przyjdzie taki dzień, prędzej czy później, ale przyjdzie! Gdy zajdzie w ciążę, mąż zostawi ją w spokoju, modliła się tylko, by stało się to szybko.

- Ruth - odezwała się z napięciem, kiedy mała służąca pojawiła się w pokoju. - Czy zechcesz poprosić kogoś, żeby zaprzął jednego z koni do najmniejszego powoziku, jaki mamy, takiego, którym zdołam sama kierować? I proszę, poproś tego, kto to będzie robił, żeby wybrał najłagodniejszego konia ze wszystkich, gdyż nie jestem obeznana z powożeniem. Kiedy to zrobisz, poproś panią Craddock, żeby zapakowała kilka koszy z resztkami jedzenia z wczorajszego przyjęcia, żebym je mogła wziąć ze sobą.

- Ale, wielmożna pani - powiedziała z wahaniem Ruth - proszę tylko popatrzeć w okno. Zrobiło się chłodno i idzie burza. Proszę, niech pani sama zobaczy, jak pociemniało niebo.

Victoria rzuciła niepewne spojrzenie na ołowiane chmury.

- Nie wygląda na to, żeby się miało rozpadać przez najbliższe kilka godzin, jeżeli w ogóle - oświadczyła nieco rozpaczliwie. - Chciałabym wyjechać za pół godziny. Och, czy lord Fielding wyszedł, czy jest na dole?

- Wielmożny pan wyszedł, wielmożna pani.

- Nie wiesz przypadkiem, czy wyjechał z majątku, czy tylko wyszedł się przejść? - zapytała Victoria; nie udało jej się ukryć rozpaczliwego niepokoju w głosie.

Chociaż postanowiła, że będzie uważała Jasona za kogoś całkiem obcego i w ten właśnie sposób będzie go traktować, nie miała najmniejszej ochoty spotkać się z nim akurat w tej chwili, kiedy czuła się jeszcze tak wewnętrznie obolała. Poza tym była dosyć pewna, że rozkaże jej zostać w domu i nie pozwoli wyjechać, gdy zbierało się na burzę. A ona koniecznie musi się na trochę wydostać z tego domu. Musi!

- Lord Fielding kazał zaprząć konie do faetonu i odjechał. Powiedział, że zamierza złożyć kilka wizyt. Widziałam na własne oczy, jak odjeżdżał - zapewniła ją Ruth.

Kiedy Victoria zeszła na dół, powozik był już wyładowany jedzeniem i czekał na nią na podjeździe.

- Co mam powiedzieć wielmożnemu panu? - zapytał niezmiernie zmartwiony Northrup, kiedy jaśnie pani uparła się, że pojedzie, chociaż ponuro przepowiadał, że burza wisi w powietrzu.

Victoria odwróciła się, by zarzucić jej na ramiona lekką, jasnofioletową pelerynę.

- Proszę go ode mnie pożegnać - odrzekła wymijająco.

Wyszła na zewnątrz, skręciła na tyły domu i odpięła łańcuch Wilka, a potem wróciła na podjazd. Główny stajenny pomógł jej wsiąść do powoziku, a pies wskoczył obok niej. Wyglądał na tak uszczęśliwionego, że go spuściła z łańcucha, iż Victoria uśmiechnęła się i poklepała go po królewskiej głowie.

- W końcu jesteś wolny - powiedziała olbrzymieniu zwierzęciu. - I ja też.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Victoria szarpnęła lejcami z pewnością, jakiej wcale nie czuła. Pełen energii koń skoczył do przodu, jego atłasowa sierść połyskiwała w półmroku.

- Tylko spokojnie - szepnęła ze strachem młoda kobieta.

Najwyraźniej, zgodnie z przekonaniem Jasona, nie było potrzeby trzymać w stajni statecznych koni. Zaprzężoną do powoziku, efektowną klacz wyjątkowo trudno było opanować. Harcowała i tańczyła, aż Victorii porobiły się pęcherze na dłoniach. Poczerwieniała z wysiłku, by zmusić zwierzę do wolnego truchtu.

Kiedy podjeżdżała do wioski, wiatr przybrał na sile. Niebieskie zygzaki błyskawic rozłupywały niebo na poszarpane kawały, grzmoty huczały groźnym ostrzeżeniem, a niebo zrobiło się niemal tak czarne jak w nocy. W kilka chwil później otworło się sklepienie niebieskie i deszcz lunął oślepiającymi strumieniami; wiatr siekł nim prosto w jej twarz, przeszkadzając patrzeć i zmieniając pelerynę w przemoczone brzemie.

Victoria wysilała wzrok, by zobaczyć drogę przed sobą, odgarniając włosy z czoła i dygocząc. Nigdy nie widziała sierocińca na oczy, ale kapitan Farrell opisał jej, która droga tam prowadzi, jak również do jego własnego domu. Młoda kobieta przebijała wzrokiem ciemność i wreszcie zobaczyła przed sobą rozwidlenie. Coś, co mogło być jedną z opisanych przez żeglarza dróg, odchodziło w lewo, więc skierowała tam konia, nie mając pewności, czy jedzie do sierocińca, czy do domu kapitana. W tej akurat chwili było jej to obojętne, jeżeli tylko jechała do jakiegoś ciepłego, suchego miejsca, gdzie będzie mogła schronić się przed ulewą. Droga skręciła i zaczęła piąć się pod górę przez coraz bardziej gęsty las, minęła dwie opuszczone chałupy, a potem zrobiła się tak wąska, że bardziej przypominała ścieżynę, która podczas ulewnej nawałnicy szybko zmieniała się w grzęzawisko.

Błoto chlupało pod kołami powoziku, klacz z coraz większym mozołem wyciągała za każdym krokiem kopyta z głębokiej brei. Przed sobą Victoria zobaczyła niewyraźne światło, mrugające spoza drzew. Drżąc z ulgi i zimna, skręciła na ścieżkę, którą osłaniało kilka bardzo starych dębów. Ich gałęzie stykały się nad jej głową niczym ociekający wodą parasol. Nagle błyskawica rozdarła niebo i oświetliła domek, wystarczająco duży, by pomieścić niewielką rodzinę, ale na pewno zbyt mały dla dwadzieściorga sierot. Rozległ się ogłuszający grzmot i klacz szarpnęła się w uprzęży, niemal stając dęba. Victoria zeskoczyła na ziemię.

- Spokojnie - przemawiała do klaczy kojącym tonem i sięgnęła po uzdę nerwowego zwierzęcia. Stopy jej zapadały się w błoto, kiedy podprowadzała konia do słupa przed

domkiem i uwiązywała go tam.

Mając u boku Wilka, by jej bronił, uniosła przemoczone spódnice, weszła po prowadzących do domu stopniach i zapukała.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i w świetle wesołego, płonącego w kominku ognia pokazała się mocna twarz kapitana Farrella.

- Lady Fielding! - wykrzyknął i wyciągnął rękę, by wciągnąć Victorię szybko do środka.

Zamarł w pół gestu, a oczy rozszerzyły mu się, kiedy ujrzał przemokniętą, szarą bestię, która warczała na niego, odsłaniając białe kły.

- Wilk, przestań! - rozkazała ze znużeniem Victoria i zwierzę się uciszyło.

Nie spuszczać baczniego spojrzenia z dziko wyglądającego potwora, kapitan ostrożnie wprowadził Victorię do środka. Wilk deptał jej po piętach, nie spuszczać żółtych ślepi z Mike'a Farrella.

- Na miłość boską, co pani robi na zewnątrz w taką pogodę? - zapytał zatroskany gospodarz.

- P... p... pływam - usiłowała żartować Victoria, ale zęby jej dzwoniły, a całe ciało dygotało z zimna, kiedy kapitan ściągał z niej pelerynę i rzucał na oparcie krzesła przed kominkiem.

- Będzie musiała pani zdjąć przemoczone rzeczy albo na śmierć się pani przeziebi. Czy ta wielka bestia zgodzi się spuścić panią z oczu na tak długo, by mogła pani włożyć na siebie coś suchego?

Victoria objęła się ramionami i kiwnęła głową, mierzając spojrzeniem swego wiernego psiego opiekuna.

- Zostań tu, Wilk.

Pies opadł na podłogę przed kominkiem i położył łeb na wielkich łapach, wbijając spojrzenie w drzwi do sypialni, za którymi zniknęli.

- Podłóżę do ognia - odezwał się życzliwie kapitan Farrell, wręczając jej suche spodnie i jedną z własnych koszul. - Nic lepszego pani zaproponować nie mogę. - Victoria już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale ją uprzedził. - Nie będę słuchał żadnych niemądrych argumentów, jak niestosowną rzeczą jest przywdziewanie męskich ubrań, młoda kobieto - oświadczył autorytatywnie. - Proszę skorzystać z wody w dzbanku i umyć się, a potem włożyć te rzeczy i owinąć się w koc. Kiedy będzie pani gotowa, proszę przyjść, aby się ogrzać. Jeżeli zastanawia się pani, czy Jason nie będzie miał mi za złe, że włożyła pani moje ubrania, proszę przestać się martwić. Znam go od czasów, kiedy był małym chłopcem.

Victoria w defensywie uniosła głowę.

- Wcale nie troszczę się o to, co sobie pomyśli Jason - powiedziała, nie potrafiąc stłumić buntowniczej nuty w głosie. - Nie mam najmniejszego zamiaru zamarzać, żeby mu dogodzić. Jemu czy komukolwiek innemu - poprawiła się szybko, uświadomiwszy sobie, jak wiele ujawniła.

Kapitan Farrell rzucił jej dziwne, baczne spojrzenie, ograniczył się jednak do kiwnięcia głową.

- Dobrze. Bardzo rozsądny sposób myślenia.

- Gdybym była rozsądna, zostałamby dziś w domu - uśmiechnęła się blado Victoria, usiłując ukryć rozżalenie, że w tak niemądry sposób chciała umilić sobie życie.

Zanim wyszła z sypialni, kapitan Farrell zdążył już umieścić jej konia w niewielkiej szopie przy domu, podłożył do ognia i przygotował filiżankę herbaty. Podał Victorii duży ręcznik.

- Proszę tym sobie wytrzeć włosy - polecił życzliwie i pokazał, aby usiadła w fotelu, który przysunął do ognia.

- Czy nie będzie pani przeszkadzało, jeżeli sobie zapalę? - zapytał, biorąc fajkę i siadając naprzeciw gościa.

- Absolutnie nie - odpowiedziała uprzejmie.

Napełnił główkę fajki tytoniem i zapalił, a potem pykał leniwie; niepokojąco bezpośrednie spojrzenie skupił na twarzy Victorii.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła? - zapytał w końcu.

- Dlaczego nie zrobiłam czego?

- Dlaczego nie została pani dziś w domu?

Victoria zastanawiała się chwilę, czy widać po niej, jaka się czuje w tym momencie winna i nieszczęśliwa, a potem wymijająco wzruszyła ramionami.

- Chciałam zawieźć jedzenie do sierocińca. Tyle go zostało po tym naszym wczorajszym przyjęciu.

- Ale w oczywisty sposób zanosiło się na deszcz, poza tym mogła pani wysłać kogoś ze służby do sierocińca, który, nawiasem mówiąc, znajduje się jeszcze dalej. Zamiast tak postąpić, postanowiła pani stawić czoło pogodzie i sama znaleźć przytułek.

- Ja musiałam... to znaczy chciałam... wydostać się z domu, chociaż na trochę - odrzekła Victoria, skupiając całą uwagę na mieszaniu herbaty, co wcale nie było konieczne.

- Zdumiony jestem, że Jason nie nalegał, by pani została - obstawał uparcie przy swoim gospodarz.

- Nie uważałam za stosowne prosić go o pozwolenie - odparła; czuła się nieswojo z powodu dociekliwych pytań kapitana i jego uważnego spojrzenia.

- Musi się zamartwiać na śmierć pani nieobecnością.

- Bardzo wątpię, czy się dowie, że mnie nie było.

Albo czy go to obejdzie, gdyby nawet wiedział, pomyślała z żalnością.

- Lady Fielding?

Pod uprzejmym tonem kryła się bezceremonialność i Victoria wolałaby nie kontynuować tej rozmowy. Z drugiej strony miała niewielką możliwość wyboru.

- Tak, kapitanie? - zapytała ze znużeniem.

- Widziałem się dziś rano z Jasonem.

Poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

- Ach, tak?

Ogarnął ją lęk, że z jakiegoś powodu mąż mógł przyjechać tutaj i rozmawiać o niej ze swoim starym przyjacielem. Poczuła się tak, jakby cały świat obrócił się przeciw niej.

Najwyraźniej Farrell wyczuł jej podejrzliwość, ponieważ wyjaśnił:

- Jason jest właścicielem dużej floty, a ja dowodzę jednym z jego statków. Chciał porozmawiać ze mną o sukcesie, jakim zakończyła się moja ostatnia podróż.

Victoria uczepliła się tego tematu i usiłowała odwrócić uwagę kapitana od siebie.

- Nie wiedziałam, że lord Fielding wie cokolwiek o statkach i jest z nimi w jakiś sposób związany - rzuciła wesołym, obojętnym tonem.

- To dziwne.

- Co?

- Być może jestem prostym i staroświeckim mężczyzną, ale wydaje mi się to dosyć osobliwe, aby żona nie wiedziała, iż jej mąż spędził całe lata swego życia na statku.

Victoria zagapiła się na niego. Zgodnie z tym, co wiedziała, Jason był angielskim lordem, aroganckim, bogatym, zblazowanym i zepsutym arystokratą. Jedno tylko odróżniało go od reszty szlachetnie urodzonych, a mianowicie przesiadywał długo w gabinecie, pracując, podczas gdy inni bogaci dżentelmeni, których poznała w Anglii, wydawali się spędzać życie w pościgu za przyjemnościami i rozrywkami.

- A może po prostu nie interesują pani jego dokonania? - naciskał kapitan Farrell. W jego zachowaniu dawał się wyczuć chłód. Przez chwilę pykał z fajki, a potem zapytał bez ogródek: - Dlaczego pani za niego wyszła?

Oczy Victorii otworzyły się szeroko. Czuła się jak królik w pułapce. Ostatnio zresztą doświadczała tego uczucia coraz częściej i zaczynało straszliwie drażnić jej dumę. Uniósł

głowę i popatrzyła na przesłuchującego ją mężczyznę ze źle ukrywaną niechęcią. Z całą godnością, jaką udało jej się przywołać, odparła wymijająco:

- Poślubiłam lorda Fieldinga ze zwyczajnych powodów.

- Pieniądze, wpływy i pozycja towarzyska - podsumował gospodarz ze zjadliwym niesmakiem. - No cóż, osiągnęła pani to wszystko. Gratulacje.

Tego już było za wiele, Victoria nie zdołała ze spokojem znieść tak niesprawiedliwego ataku. W oczach jej ukazały się łzy wściekłości i zerwała się, tuląc do siebie koc.

- Panie kapitanie, nie jestem ani tak bardzo przemoczona, ani tak nieszczęśliwa, ani aż tak zdesperowana, by siedzieć tutaj i uważać, że mam obowiązek wysłuchiwać, jak mnie pan oskarża, że jestem wyrachowana i... samolubna... i że jestem pasożytem...

- Czemu nie? - rzucił. - Najwyraźniej jest pani tym wszystkim.

- Nie obchodzi mnie, co pan o mnie myśli. Ja...

Głos jej się załamał i ruszyła w kierunku sypialni, zamierzając przebrać się w swoje mokre rzeczy, ale kapitan dźwignął się z fotela, stanął przed nią, gniewnie wpatrując się w jej oczy, jakby chciał zajrzeć do samej duszy.

- Dlaczego chce pani rozwodu? - zapytał ostro, lecz wyraz jego twarzy odrobinę złagodniał, kiedy popatrzył w dół na śliczne, delikatne rysy młodej kobiety.

Victoria Seaton, nawet owinięta w zwykły, wełniany koc, była niewiarygodnie piękna. Ogień połyskiwał na jej rudozłotych włosach, a wspaniałe niebieskie oczy błyszczały bezradną niechęcią. Miała charakter, było jednak wyraźnie widać po łzach, które połyskiwały na jej rzęsach, że coś ją niemal złamało. A nawet wyglądała tak, jakby za chwilę miała się cała rozlecieć.

- Dziś rano - obstawał przy swoim kapitan - zapytałem żartem Jasona, czy jeszcze go pani nie zostawiła. Powiedział, że wprawdzie go pani nie porzuciła, lecz poprosiła pani o rozwód. Założyłem, że miał to być żart, ale gdy przed chwilą pani się tu pojawiła, z pewnością w niczym nie przypominała pani szczęśliwej młodej żony.

Victorii niewiele brakowało, by pogrążyła się w całkowitej rozpacz. Popatrzyła teraz w nieustępliwą, ogorzałą twarz swego dręczyciela, walcząc ze łzami i starając się zachować godność.

- Czy zechce pan zejść mi z drogi? - zapytała ochryple.

Zamiast się odsunąć, chwycił ją za ramiona.

- Zyskała już pani to wszystko, dla czego wychodziła pani za niego za mąż: pieniądze, wpływy i pozycję w towarzystwie. A więc czemu chce pani rozwodu? - pytał.

- Niczego nie zyskałam! - wybuchnęła Victoria, niemal zalewając się łzami. - A teraz

niech mnie pan puści!

- Nie, dopóki nie zrozumie, jak mogłem panią tak źle ocenić. Wczoraj, kiedy rozmawiała pani ze mną, wydała mi się pani cudowna. Dostrzegłem radość w pani oczach, i widziałem, jak traktuje pani wieśniaków. Pomyślałem sobie, że jest pani prawdziwą kobietą, taką z sercem i duszą, a nie wyrachowaną, rozpuszczoną, tchórzliwą egoistką!

Oczy Victorii napełniły się palącymi łzami za tak niesprawiedliwe potraktowanie przez kompletnie obcego człowieka, w dodatku przyjaciela Jasona.

- Niech mnie pan, do diabła, zostawi w spokoju! - zażądała łamiącym się głosem i usiłowała go odepchnąć.

Zdumiewające, ale objął ją ramionami i przyciągnął do swej szerokiej piersi.

- Płacz, Victorio! - rozkazał jej szorstko. - Na miłość boską, płacz!

Zadrżała, a on szeptał:

- Pozwól łzom płynąć, dziecko. - Gładził ją szeroką dłonią po plecach. - Jeżeli spróbujesz dusić w sobie wszystko, zniszczy cię to.

Victoria wiedziała, jak reagować na tragedię i wrogość; nie potrafiła jednak poradzić sobie z życzliwością i zrozumieniem. Łzy gwałtownie napłynęły jej do oczu i pociekły po policzkach, a ciałem wstrząsnęło szarpiące łkanie; zaniósła się szlochem. Nie miała pojęcia, kiedy kapitanowi Farrellowi udało się namówić ją, by usiadła obok niego na prostej sofie naprzeciw kominka, ani kiedy zaczęła opowiadać mu o śmierci rodziców i o tym, jakie wydarzenia doprowadziły do tego, że Jason jej się oświadczył, nie okazując ani odrobiny uczucia. Z twarzą wtuloną w jego ramię odpowiadała na pytania dotyczące swego męża i tłumaczyła, dlaczego za niego wyszła. A kiedy skończyła, poczuła się lepiej niż przez ostatnie kilka tygodni.

- Rozumiem - odpowiedział Farrell z lekkim, pełnym podziwu uśmiechem. - Chociaż oświadczyły Jasona były tak zimne, chociaż właściwie nie wiesz o nim nic, wciąż jeszcze zdawało ci się, że jesteś mu potrzebna?

Onieśmiona Victoria wytarła oczy i kiwnęła zmieszana głową.

- Widzę teraz, że to niemądre i wydumane z mojej strony, bywały wszakże chwile, kiedy wydawał mi się taki osamotniony; patrzyłam, jak stoi w zatłoczonej sali balowej, otoczony ludźmi, na ogół kobietami, i nachodziło mnie takie dziwne uczucie, że jest równie samotny jak ja. A wujek Charles też mówił, że Jason mnie potrzebuje. Myliliśmy się oboje. Jason potrzebuje syna, to takie proste. Nie potrzebuje mnie ani mnie nie chce.

- Jesteś w błędzie - odparł kapitan Farrell łagodnie, ale stanowczo. - Jason potrzebował takiej kobiety jak ty od dnia swoich narodzin. Potrzebuje cię, żebyś uleczyła jego

rany, które są bardzo głębokie, żebyś nauczyła go, jak dać się kochać, i żeby cię także pokochał. Gdybyś więcej o nim wiedziała, zrozumiałabyś, dlaczego to mówię. - Wstał, podszedł do małego stolika i wziął butelkę. Nalał trochę do dwóch szklaneczek, a potem podał jej jedną z nich.

- Czy opowie mi pan o nim? - zapytała Victoria, kiedy podszedł do kominka i spoglądał na nią z góry.

- Tak.

Zerknęła na ostro pachnącą whiskey, którą jej podał, i już miała odstawić szklanekę na stolik.

- Jeżeli chcesz posłuchać opowieści o Jasonie, proponowałbym, żebyś wypila - odezwał się kapitan Farrell posepnie. - Przyda ci się.

Victoria pociągnęła łyczek palącego płynu, a potężnie zbudowany Irlandczyk uniósł szklaneczkę i przełknął jednym haustem połowę jej zawartości, jakby jemu również była potrzebna.

- Zamierzam opowiedzieć ci o Jasonie coś, o czym wiem tylko ja, ujawnić sprawy, o których najwyraźniej nie chce, abyś wiedziała, albo wkrótce opowiedziałby ci o nich sam. Mówiąc ci to, zawiodę jego zaufanie, a aż do tej chwili byłem jednym z niewielu bliskich mu ludzi, którzy go nigdy nie zdradzili. Jest dla mnie jak syn, Victorio, więc boli mnie to, co robię; czuję jednak, że to konieczne, abyś go zrozumiała.

Victoria powoli potrząsała głową.

- Może nie powinien mi pan nic mówić, kapitanie. Lord Fielding i ja przez większość czasu nie zgadzamy się ze sobą, lecz nie chciałabym, by któremuś z was dwóch stała się krzywda z powodu tego, co mi pan opowie.

Ponure rysy kapitana Farrella rozjaśnił przelotny uśmiech.

- Gdybym choć przez chwilę sądził, że możesz wykorzystać to, co ci powiem, jako broń przeciw niemu, zachowałbym milczenie. Ale wiem, że tego nie zrobisz. Jest w tobie jakaś łagodna siła, współczucie i zrozumienie, które widziałem na własne oczy tamtego pierwszego wieczoru, obserwując cię wśród wieśniaków. Przyglądałem się, jak z nimi gawędziłaś i jak ich ośmielałaś, i wydałaś mi się wtedy cudowną, młodą kobietą, idealną żoną dla Jasona. Nadal tak uważam. - Zacerpnął głęboko powietrza i zaczął mówić: - Pierwszy raz zobaczyłem twojego męża w Delhi. Zdarzyło się to przed wielu laty, pracowałem wówczas dla bogatego dehlijskiego kupca nazwiskiem Napal, który rozsyłał towary z Indii statkami na cały świat. Napal nie tylko był właścicielem rzeczy, którymi handlował, miał również cztery statki, przewożące towary po morzach. Ja byłem pierwszym oficerem na jednym z tych

statków.

Wracalem właśnie po sześciu miesiącach z niezmiernie dochodowej podróży, a kiedy zawinąłem do portu, kupiec zaprosił kapitana i mnie do siebie do domu na małe, prywatne przyjęcie.

W Indiach jest zawsze gorąco, ale tamtego dnia upał wydawał mi się jeszcze gorszy, zwłaszcza że zgubiłem się, usiłując odnaleźć dom Napala. Jakoś tak się stało, że trafiłem w istny labirynt uliczek, a kiedy w końcu udało mi się z nich wydostać, znalazłem się na nędznym, małym placu, pełnym brudnych, obdartych Hindusów, a ich nędza przekraczała wszelkie wyobrażenie. Tak czy owak, rozejrzałem się bez większej nadziei, że znajdę kogoś, kto będzie potrafił mówić po francusku albo angielsku, abym mógł go zapytać o drogę.

Zobaczyłem tłumek ludzi zgromadzonych na jednym końcu placu; wpatrywali się w coś, nie mogłem zobaczyć w co, i podszedłem do nich. Stali przed budynkiem i obserwowali, co dzieje się w środku. Już miałem zawrócić, kiedy zobaczyłem toporny drewniany krzyż, przybity do ściany. Sądząc, że to jakiś kościół i może znajdę tam kogoś, kto będzie umiał posługiwać się moim językiem, przepchnąłem się przez tłum i wszedłem do środka. Rozpychałem się łokciami między setką obdartych Hindusów, żeby przedostać się na przód pomieszczenia, skąd dobiegały fanatyczne wrzaski jakiejś kobiety, po angielsku, na temat chuci i zemsty Wszechmogącego.

W końcu znalazłem się w miejscu, z którego było coś widać, i zobaczyłem ją, gdy stała na drewnianym rusztowaniu z małym chłopcem u boku. Pokazywała na dziecko i darła się, że to diabeł. Wrzeszczała, że jest owocem chuci i niegodziwości, a potem szarpnęła głowę dzieciaka do góry i zobaczyłem jego twarz.

Poczułem się wstrząśnięty widząc, że chłopiec jest biały, że to nie Hinduś. Kobieta wrzeszczała do wszystkich, by „patrzyli na diabła i zobaczyli, jaką pomstę weźmie Pan”; potem odwróciła chłopca, by pokazać tę „pomstę Pana”. Zobaczyłem plecy dziecka i zrobiło mi się niedobrze. - Kapitan Farrell głośno przełknął ślinę. - Victorio, plecy tego chłopczyka były czarne i sine od ostatniej chłosty, poznaczone bliznami po Bóg wie ilu wcześniejszych. Wyglądało na to, że kobieta właśnie przestała go bić na oczach zgromadzenia. Hindusi nie zabraniają tego rodzaju barbarzyńskiego okrucieństwa. - Twarz mu się wykrzywiła, lecz mówił dalej. - Kiedy tam stałem, ta obłąkana wiedźma wrzasnęła na dziecko, by padło na kolana i modliło się do Pana o przebaczenie. Chłopiec patrzył jej prosto w oczy, nie powiedział nic, ale się nie poruszył, a ona opuściła bat na jego ramiona z taką siłą, że powaliłaby dorosłego na kolana. Chłopiec uklęknął. „Módl się, ty diable”, wrzeszczała na klęczące dziecko i znowu go uderzyła. Malec nic nie mówił, tylko patrzył prosto przed siebie;

i wtedy zobaczyłem jego oczy... Oczy miał suche. Nie widziałem w nich śladu łez. Ale był tam ból. Boże, były tak pełne bólu!

Victorię przeszedł dreszcz litości dla tego nieznanego dziecka; zastanawiała się, czemu kapitan Farrell opowiada jej tę szkaradną historię, zanim powie coś Jasonie.

- Nigdy nie zapomnę udręki w jego oczach - wyszeptał ochryplym głosem - ani tego, jakie mi się w tamtej chwili wydawały zielone.

Szklaneczka Victorii upadła na podłogę i roztrzaskała się z brzękiem. Dziewczyna kręciła głową jak szalona, starając się zaprzeczyć temu, co jej mówił.

- Nie - jęknęła boleśnie. - Och, proszę, nie...

Jakby nieświadomy przejmującej ją grozy, kapitan Farrell ciągnął dalej, wpatrując się gdzieś przed siebie, zatopiony we wspomnieniach.

- Wtedy chłopczyk zaczął się modlić. Złożył razem dłonie i recytował: „Klęczę przed Bogiem, prosząc go o przebaczenie”. Kobieta kazała mu to powtarzać głośniej, raz za razem, a kiedy wreszcie była zadowolona, poderwała go na nogi. Pokazała na brudnych Hindusów i kazała dzieciakowi błagać prawych ludzi o przebaczenie. Potem wręczyła mu małą miszkę. Stałem i przyglądałem się, jak chłopczyk wszedł w tłum, klękał u stóp członków tej kongregacji, całował obrąbki ich brudnych szat, i „błagał ich o wybaczenie”.

- Nie - jęczała Victoria, obejmując się mocno ramionami; zamknęła oczy, starając się nie widzieć tego małego chłopca z kręconymi, czarnymi włosami i dobrze znanymi, zielonymi oczami, którego narażono na tak obłąkane, niegodziwe traktowanie.

- Wtedy coś się we mnie zatrzęsło - ciągnął dalej Farrell. - Hindusi to fanatycy i nie interesują mnie ich sposoby postępowania ze swymi pobratymcami. Ale kiedy zobaczyłem dziecko mojej własnej rasy, które tak ohydnie dręczono, coś się ze mną stało. I nie tylko to. Było w tym chłopczyku coś, co chwyciło za serce; stał tam brudny, obdarty, niedożywiony, a przecież w jego udręczonych oczach widać było dumę i bunt, od których serce mi mało nie pękło. Zaczekałem, aż skończy klękać przed Hindusami stojącymi naokoło mnie, by całować rąbki ich szat i prosić o przebaczenie, kiedy wrzucali mu monety do drewnianej miseczki. Odniósł naczynie kobiecie, a ona się uśmiechnęła. Odebrała pieniądze i uśmiechnęła się do niego; powiedziała, że teraz jest dobry, uśmiechając się obłąkanym, fanatycznym uśmiechem! Patrzyłem na tę plugawą kobietę, która stała na prowizorycznym ołtarzu, trzymając krzyż, i miałem ochotę ją zabić. Z drugiej strony nie wiedziałem, jak bardzo ta kongregacja była względem niej lojalna, a ponieważ nie zdołałbym w pojedynkę z nimi wszystkimi walczyć, zapytałem, czy nie sprzedałaby mi chłopca. Powiedziałem jej, że moim zdaniem trzeba mężczyzny, by go odpowiednio ukarać. - Kapitan Farrell oderwał wzrok od jakiegoś

dalekiego punktu i popatrzył na Victorię ze smutnym uśmiechem na twarzy. - Sprzedała mi go za sześciomiesięczną gażę, którą miałem przy sobie. Mąż tej więdźmy umarł rok wcześniej i potrzebowała pieniędzy tak samo jak kogoś, nad kim mogłaby się znęcać. Jeszcze zanim odszedłem z placyku, obsypywała pieniędzmi zgromadzonych i wykrzykiwała, że to Bóg zsyła im swoje dary. Była obłąkana. Całkowicie obłąkana.

Głos Victorii opadł do błagalnego szeptu.

- Czy myśli pan, że Jasonowi było lepiej, zanim zmarł jego ojciec?

- Ojciec Jasona nadal żyje - odpowiedział sztywno kapitan Farrell. - Pani mąż jest nieślubnym synem Charlesa.

Pokój zawirował jej przed oczami; przycisnęła dłoń do ust, walcząc z mdłościami i zawrotami głowy.

- Czy aż tak brzydzi panią wieść, że poślubiła pani bękarta? - zapytał kapitan, bacznie obserwując jej reakcję.

- Jak może pan mówić coś tak głupiego! - wybuchnęła z oburzeniem.

Uśmiechnął się, widząc jej reakcję.

- Dobrze. Nie sądziłem, żeby się pani tym miała przejąć, ale Anglicy w tej kwestii potrafią być bardzo wybredni.

- A to już - odparła z zawziętością w głosie Victoria - krańcowa hipokryzja z ich strony, ponieważ trzech książąt krwi królewskiej, których mogłabym wymienić, jest bezpośrednimi potomkami trzech bastardów króla Karola. Poza tym nie jestem Angielką, tylko Amerykanką.

- Jesteś cudowna - odrzekł łagodnie kapitan.

- Czy zechciałby pan opowiedzieć mi do końca wszystko, co pan wie o Jasonie? - zapytała, a serce niemal już pękało jej ze współczucia.

- Reszta nie jest aż tak ważna. Tego samego wieczoru zabrałem chłopca do domu Napala. Jeden ze służących umył go i przysłał do nas. Dziecko nie chciało nic mówić, ale kiedy wreszcie się odezwało, było oczywiste, że jest bystre i inteligentne. Opowiedziałem kupcowi całą historię, zrobiło mu się Jasona żal i wziął go do swego przedsiębiorstwa jako kogoś w rodzaju chłopca na posyłki. Mały nie otrzymywał żadnych pieniędzy, ale miał łóżko na tyłach biura Napala, przyzwoite jedzenie i ubranie. Sam nauczył się czytać i pisać, gdyż cechowało go nienasycone pragnienie zdobywania wiedzy. Zanim skończył szesnaście lat, dowiedział się już od Napala o kupiectwie wszystkiego, czego ten mógł go nauczyć. Jason był nie tylko mądry i bystry, ale też ze wszystkich sił dążył do sukcesu; wyobrażam sobie, że dlatego, iż jako dziecko zmuszany był do żebrania z drewnianą miską. Tak czy owak, Napal

na starość zmiękł, a ponieważ nie miał własnych dzieci, zaczął uważać chłopaka bardziej za syna, niż kiepsko opłacanego, przepracowanego urzędnika. Jason przekonał go, by pozwolił mu popłynąć na jednym ze swoich statków, żeby mógł się osobiście zapoznać z morskim handlem. Ja w tym czasie zostałem kapitanem i przez pięć lat pracowałem pod moimi rozkazami.

- Czy był dobrym żeglarzem? - zapytała miękko Victoria; czuła się straszliwie dumna z tego chłopca, który wyrósł na człowieka, odnoszącego takie sukcesy.

- Najlepszym. Zaczął od prostego marynarza, ale w wolnym czasie uczył się ode mnie nawigacji i wszystkiego innego. Napal zmarł w dwa dni po naszym powrocie z jednej z podróży. Siedział akurat w biurze i serce mu stanęło. Jason robił wszystko, żeby go przywrócić do życia, próbował nawet wdmuchiwać mu do ust powietrze ze swoich własnych płuc. Pozostali pracownicy biura sądzili, że zwariował, ale widzisz, on kochał tego starego skapca. Całymi miesiącami rozpaczał po nim. Nie przelał jednak ani jednej łzy - mówił cicho Mike Farrell. - Jason nie umie płakać. Ta wiedźma, która go wychowywała, przekonana była, że „diabły” nie potrafią płakać i jeszcze mocniej go biła, jeżeli uronił łzę. Chłopak w końcu wyznał mi to, kiedy miał z dziewięć lat. Kiedy Napal zmarł, okazało się, że zostawił wszystko Jasonowi. On zaś przez następne sześć lat zrobił to, do czego wcześniej usiłował przekonać swojego chlebodawcę: stworzył całą flotyllę statków, i w końcu wielokrotnie pomnożył odziedziczony majątek.

Kapitan Farrell w milczeniu zapatrzył się w ogień, a Victoria zapytała:

- A potem się ożenił, prawda? Dowiedziałam się o tym dopiero przed kilkoma dniami.

- O tak, ożenił się - odrzekł Mike, skrzywił się, podszedł do butelki z whiskey i nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę. - W dwa lata po śmierci Napala Jason stał się jednym z najmajątniejszych ludzi w Delhi. Kiedy już zdobył bogactwo, zwrócił na siebie wyrachowaną uwagę pięknej amoralnej kobiety imieniem Melissa. Jej ojciec był Anglikiem, mieszkał w Delhi i pracował w jakimś urzędzie. Melissa miała urodę, dobre maniery i elegancję, wszystko, oprócz tego, czego najbardziej jej było trzeba: pieniędzy. Poślubiła Jasona, bo mógł jej to dać.

- A dlaczego się z nią ożenił? - chciała się dowiedzieć Victoria.

Mike Farrell wzruszył ramionami.

- Był młodszy niż ona i pewnie zawróciła mu w głowie jej uroda. Poza tym, owa dama... używam tego terminu nieprecyzyjnie... miała, jak by to powiedzieć, miała w sobie coś takiego, że każdy mężczyzna mógł się spodziewać, iż znajdzie w jej ramionach ciepło. Sprzedawała to ciepło Jasonowi za wszystko, co tylko mogła od niego wyłudzić. A dawał jej mnóstwo: klejnoty, które zadowolilyby królową. Brała je i uśmiechała się do niego. Miała

piękną twarz, lecz z jakiegoś powodu, kiedy uśmiechała się do Jasona, przypominała mi tamtą obłąkaną kobietę z drewnianą miską.

Victorii stanął przed oczami wyraźny i bolesny obraz mężczyzny dającego jej perły i szafiry i proszącego, by podziękowała mu pocałunkiem. Ze smutkiem zastanawiała się, czy on nie uważa, że musi płacić, by kobieta okazała mu uczucie.

Mike podniósł szklaneczkę i pociągnął duży łyk.

- Melissa okazała się dziwką i po ślubie z Jasonem przenosiła się z jednego łóżka do drugiego. Najśmieszniejsze jednak było to, że dostała niemal ataku furii, kiedy dowiedziała się, że Jason jest bękartem. Byłem w ich domu w Delhi, kiedy przyjechał tam książę Atherton i zażądał rozmowy ze swoim synem. Melissa oszalała niemal z wściekłości, kiedy doszło do niej, że Jason jest nieślubnym synem Charlesa. Wydaje się, że naruszyło to jej zasady, skaziło genealogię! Nie urażało to jednak jej zasad, gdy obdarowywała swym ciałem każdego mężczyznę z własnej klasy, który zaprosił ją do łóżka. Osobliwa to etyka, nie uważasz?

- Krańcowo! - zgodziła się Victoria.

Kapitan Farrell uśmiechnął się szeroko, słysząc jej lojalną odpowiedź, a potem dodał:

- Jeżeli nawet Jason żywił w stosunku do niej jakieś cieplejsze uczucia, kiedy się z nią żenił, wspólne życie szybko je zniszczyło. Dała mu jednak syna i z tego powodu utrzymywał ją w największym luksusie i ignorował romanse. Szczerze mówiąc, sądzę, że nie dbał o to, co jego żona robi.

Victoria, która nie miała pojęcia, że Jason miał syna, wyprostowała się i wpatrywała w oszołomieniu w kapitana Farrella, który ciągnął dalej:

- Jason tego malca uwielbiał. Zabierał go ze sobą niemal wszędzie, gdzie tylko się udawał. Zgodził się nawet przyjechać do Anglii i wydawał pieniądze na odnowienie podupadłych posiadłości Charlesa Fieldinga, żeby Jamie mógł odziedziczyć prawdziwe królestwo. A w końcu wszystko nadaremnie. Melissa próbowała uciec ze swoim ostatnim kochankiem i zabrała ze sobą Jamiego, żeby wziąć za niego później od Jasona okup. Ich statek zatonął podczas sztormu. - Dłoń kapitana Farrella zacisnęła się na szklaneczce, usta drgały mu konwulsyjnie. - To ja pierwszy dowiedziałem się, że ta kobieta zabrała ze sobą Jamiego. To ja musiałem powiedzieć Jasonowi, że jego synek nie żyje. Ja płakałem - wyznał. - A Jason nie. Nawet wtedy nie płakał. On nie umie płakać.

- Panie kapitanie - powiedziała Victoria zduszonym głosem - chciałabym już pojechać do domu. Robi się późno, Jason może się o mnie martwić.

Smutek zniknął z twarzy mężczyzny, a jego mocne rysy rozpromieniły się w uśmiechu.

- Wspaniały pomysł - zgodził się. - Ale zanim odjedziesz, chcę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Nie pozwól, by Jason oszukał ciebie czy siebie i uwierzył, że nie chce od ciebie niczego poza dzieckiem. Znam go lepiej niż ktokolwiek inny i widziałem, jak cię wczoraj wieczorem obserwował. Już prawie się w tobie zakochał, chociaż wątpię, czy sam tego chciał.

- Nie winie go, że nie chce pokochać żadnej kobiety - szepnęła smutno Victoria. - Nie potrafię sobie wyobrazić, jak udało mu się przeżyć wszystko, co mu się przytrafiło, i zachować zdrowe zmysły.

- On jest mocny - zapewnił ją kapitan Farrell. - Nie znałem nigdy silniejszego człowieka niż Jason. I wspanialszego. Nie wzbraniaj się, by go pokochać, Victorio. Wiem, że tego pragniesz. I naucz go, jak kochać ciebie. Ma w sobie bardzo wiele miłości, którą może kogoś obdarzyć, ale najpierw musi się nauczyć mieć do ciebie zaufanie. Kiedy już ci zaufa, złoży ci u stóp cały świat.

Victoria wstała, lecz oczy miała chmurne od niepokoju.

- Jak może pan być tak pewien, że wszystko ułoży się po pana myśli?

Głos Irlandczyka zrobił się miękki, a spojrzenie nieobecne.

- Ponieważ znałem kiedyś dziewczynę taką jak ty, dawno temu. Miała twoją serdeczność i twoją odwagę. Nauczyła mnie, jak to jest, kiedy się ufa, kiedy się kocha i jest się kochanym. Nie obawiam się śmierci, ponieważ wiem, że ona tam jest, że na mnie czeka. Większość mężczyzn zakochuje się łatwo i często, ale Jason jest podobny do mnie. On pokocha tylko raz... ale już na zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Victoria wkładała wciąż jeszcze wilgotne ubrania, a kapitan Farrell wyprowadzał w tym czasie konia i powozik z małej szopy na tyłach domu. Pomógł dziewczynie wsiąść i dosiadł własnego wierzchowca. Ulewa zelżała i kiedy w zapadłym wczesnie mroku jechali w kierunku Wakefield, siąpiła tylko ponura, uporczywa mżawka.

- Nie ma powodu, by jechał pan ze mną całą drogę do domu - powiedziała Victoria. - Nie zabłądzę.

- To konieczne - ostrzegł ją Mike. - Drogi nie są po zmroku bezpieczne dla samotnej kobiety. W zeszłym tygodniu po drugiej stronie wioski ktoś zatrzymał powóz, obrabował pasażerów, a jednego z nich zastrzelił. Dwa tygodnie wcześniej jedna ze starszych dziewcząt z sierocińca oddaliła się nocą od domu i została znaleziona martwa w rzece. Nie miała całkiem dobrze w głowie, więc trudno powiedzieć, co właściwie się stało, ale nie wolno pani ryzykować.

Victoria słyszała go, lecz myśli jej skupiły się na Jasonie, a serce przepęniała serdeczność dla człowieka, który opiekował się nią, odkąd przybyła do Anglii, dawał jej prześliczne rzeczy, żartował, kiedy się czuła samotna, i w końcu się z nią ożenił. To prawda, że często zachowywał się z rezerwą i nieprzystępnie, lecz im dłużej zastanawiała się nad tą sprawą, tym bardziej była przekonana, że kapitan Farrell ma rację: Jasonowi musi na niej zależeć, inaczej nigdy nie zaryzykowałby ponownego ożenku.

Przypomniała sobie jego złaknione miłości pocałunki przed ślubem i umocniła się jeszcze bardziej w swoim przekonaniu. Mimo całej udręki, którą jako dziecko przecierpiał w imię religii, poszedł do kościoła i wziął tam ślub, ponieważ o to prosiła.

- Sądzę, że nie powinien pan już dalej jechać - powiedziała, kiedy znaleźli się w pobliżu kutych bram do Wakefield.

- Dlaczego?

- Bo jeżeli Jason dowie się, że spędziłam popołudnie z panem, to gdy tylko zacznę się zachowywać inaczej w stosunku do niego, będzie podejrzewać, że opowiadał mi pan o nim.

Kapitan Farrell uniósł w górę brwi.

- A czy zamierza się pani inaczej zachowywać?

Victoria przytaknęła w ciemnościach.

- Tak mi się coś wydaje, że zamierzam. - I cicho, półgłosem dodała: - Spróbuję oswoić panterę.

- W takim razie ma pani rację. Najlepiej nie mówić Jasonowi, że dojechała pani do mojego domu. Wcześniej minęła pani po drodze dwie opuszczone chaty, więc może pani powiedzieć, że tam się schroniła; ale ostrzegam, że Jason brzydzi się oszustwem. Niech się pani nie da przyłapać na kłamstwie.

- Ja również mam awersję do oszustwa - odrzekła Victoria i przeszedł ją lekki dreszcz.

- A jeszcze większą awersję czuję do tego, by mnie Jason na oszustwie przyłapał.

- Bardzo się obawiam, że będzie zmartwiony i zły, jeżeli już wrócił i dowiedział się, że wyjechała pani sama w taką burzę.

Jason rzeczywiście wrócił i był zmartwiony. Był również wściekły. Victoria usłyszała jego podniesiony głos, dochodzący od frontu domu, gdy tylko weszła do środka kuchennymi drzwiami, uwiązawszy Wilka na zewnątrz. Idąc przez hol nie mogła się doczekać, by zobaczyć męża, a jednocześnie się go bała. Weszła do gabinetu. Jason spacerował tam i z powrotem i odwrócony plecami do niej, zwracał się do grupy sześciorga przerażonych służących. Białą koszulę miał przemoczoną, lepiła mu się do szerokich barów i pleców, a brązowe buty do jazdy konnej pokryte były błotem.

- Powtórz mi jeszcze raz, co powiedziała lady Fielding - wściekał się na Ruth. - I przestań się, do cholery, mazać! Zaczynj od początku i powtórz mi dokładnie jej słowa.

Służąca załamywała ręce.

- Pani... ona powiedziała, żeby zaprzęgnąć najłagodniejszego konia wielmożnego pana do najmniejszego powoziku, ponieważ, mówiła, że nie jest... że nie zna się dobrze na powożeniu. Potem powiedziała mi, że bym kazała pani Craddock, znaczy kucharce, spakować do koszy resztki po wczorajszym przyjęciu i wstawić kosze do powozu. Ja o... ostrzegałam ją, że zbiera się na burzę, a ona na to, że jeszcze kilka godzin burzy nie będzie. Potem mnie zapytała, czy jestem całkiem pewna, że wielmożny pan wyjechał z domu, a ja powiedziałam jej, że tak. A potem pojechała.

- I wy pozwoliliście jej odjechać? - wybuchnął Jason, obrzucając służących wściekłym spojrzeniem. - Pozwoliliście tej impulsywnej kobiecie, niemającej zielonego pojęcia o powożeniu, odjechać w burzę, z jedzeniem, które wystarczy jej na miesiąc, i ani jeden z was nie miał dość rozumu, żeby ją zatrzymać! - Spiorunował stajennego wzrokiem. - Słyszałeś, jak mówiła do psa, że w końcu są wolni, i nie wydało ci się to dziwne?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił mordercze spojrzenie na Northrupa, który stał przed nim niczym dumny skazaniec przed plutonem egzekucyjnym, przygotowany na spotkanie strasznego i niesprawiedliwego losu.

- Powtórz no mi jeszcze raz, co do ciebie powiedziała, słowo w słowo.

- Zapytałem wielmożną panią, co mam powiedzieć milordowi, kiedy pan wróci - odrzekł sztywno kamerdyner. - A ona poleciła: „Pożegnaj go ode mnie”.

- I nie wydało ci się to ani odrobinę dziwne? - warczał Jason. - Młoda żona opuszcza dom i każe pożegnać męża!

Służący zaczerwienił się aż po korzonki siwych włosów.

- Jeśli uwzględnić inne sprawy, wielmożny panie, nie wydało mi się to „dziwne”.

Jason przestał chodzić tam i z powrotem i nie rozumiejąc, z wściekłością wbił wzrok w kamerdynera.

- Uwzględniając jakie inne sprawy? - zapytał ostro.

- Uwzględniając to, co powiedział pan do mnie, kiedy godzinę przed wielmożną panią wyjeżdżał pan z domu, założyłem naturalnie, że poróżnili się państwo i że milady jest wytrącona z równowagi.

- Uwzględniając to, co ja powiedziałem, kiedy wyjeżdżałem? - zapytał morderczym głosem Jason. - A co ja takiego, do cholery, mówiłem?

Wąskie wargi Northrupa zadrżały z urazy.

- Kiedy wielmożny pan wychodził z domu, życzyłem milordowi miłego dnia.

- I? - zapytał przez zęby Jason.

- A wielmożny pan powiedział mi, że ma już inne plany. Tak więc naturalnie przyjąłem, że nie zamierza pan mieć miłego dnia i kiedy wielmożna pani zeszła na dół, przyjąłem, że poróżnili się państwo.

- Fatalna sprawa, że nie „przyjąłeś”, że ona chce mnie zostawić i że jej nie zatrzymałeś.

Serce Victorii skurczyło się w poczuciu winy. Jason sądził, że go opuściła, a musiał chyba szaleć ze zdenerwowania, by przy swojej dumie przyznać się do czegoś takiego przed służbą. W najbardziej nawet obłądnych wyobrażeniach nie przyszło jej na myśl, że mógłby dojść do takiego wniosku, ale teraz, kiedy wiedziała już, czego się dopuszczała Melissa, potrafiła zrozumieć, dlaczego tak się stało. Zdecydowana ratować jego dumę, przywołała na twarz promienny, pojednawczy uśmiech, podeszła po miękkim dywanie i stanęła u boku męża.

- Northrup nigdy nie byłby taki niemądry, by pomyśleć, że miałabym cię opuścić, milordzie - powiedziała pogodnie, wsuwając Jasonowi rękę pod ramię.

Okręcił się tak gwałtownie, że niemal ją wyrzucił. Victoria odzyskała równowagę i dodała cicho:

- Może i jestem impulsywna, ale mam nadzieję, że nie jestem kompletnie głupia.

W oczach Jasona odbiła się ulga, której miejsce natychmiast zajęła furia.

- Gdzie ty, u diabła, byłaś? - syknął.

Victoria zlitowała się nad potwornie zażenowaną służbą i rzekła ze skruchą:

- Masz pełne prawo mnie skarcić i widzę, że masz również taki zamiar, ale spodziewam się, że nie będziesz tego robił przy ludziach.

Jason tak silnie zacisnął szczękę, że na policzku zaczęła pulsować mu jakaś żyłka, jednak powściągnął złość i kiwnął głową w kierunku zgromadzonych, odpowiadając im tym krótkim gestem. Nastąpiła pełna napięcia chwila milczenia, kiedy służący biegiem wypadali z pokoju. Ostatni z nich zamknął za sobą drzwi. Gdy tylko trzasnęły, Jason dał upust wściekłości.

- Ty idiotko! - warknął przez zaciśnięte zęby. - Przewróciłem całą okolicę do góry nogami, szukając ciebie.

Victoria patrzyła na jego przystojną, surową twarz o stanowczych, zmysłowych ustach i twardym podbródku, ale przed oczami stał jej bezradny, brudny chłopczyk z kręconymi włosami, który dostawał chłostę za to, że był „niegodziwy”. Poczowała dławiącą ją falę czułości i nie zastanawiając się, co robi, przyłożyła dłoń do jego policzka.

- Przykro mi - powiedziała z bólem.

Pod jej dotknięciem Jason szarpnął się do tyłu, brwi ściągnęły mu się gwałtownie nad zjadliwie zielonymi oczami.

- Przykro ci? - szydził z niej jadowicie. - Za co ci jest przykro? Czy żałujesz tych ludzi, którzy wciąż jeszcze gdzieś tam szukają twoich śladów? - Odwrócił się, jakby nie mógł znieść jej bliskości, i podszedł do okna. - A może żałujesz tego konia, którego zajechałem prawie na śmierć?

- Przykro mi, że pomyślałeś, że cię zostawiłam - przerwała mu łamiącym się głosem. - Nigdy bym tego nie zrobiła.

Stał znowu twarzą do Victorii i popatrzył na nią z ironią.

- Uwzględniając to, że wczoraj niewiele brakowało, a zostawiłabyś mnie przy ołtarzu, dziś rano zaś zażądałaś rozwodu, uważam tę twoją ostatnią wypowiedź za nieco zaskakującą. Czemu powinienem przypisać obecną zmianę, ten atak wierności małżeńskiej?

Chociaż na zewnątrz okazywał sarkastyczną obojętność, Victoria usłyszała, jak rwał mu się głos, kiedy wspomniał, że chciała zostawić go przy ołtarzu, i upadła na duchu. Najwyraźniej bardzo go to zabolowało.

- Mój panie... - zaczęła miękko.

- Och, na litość boską! - zawarczał. - Przestań nazywać mnie swoim panem i nie

płaszcz się. Nienawidzę, gdy ktoś się płaszczy.

- Wcale się nie płaszczę! - odparła, a w myślach zobaczyła, jak Jason klęka pod uderzeniem czarnego bicia. Aż zachryła od wstrzymywanych łez i musiała odchrząknąć, zanim mogła mówić dalej. - Chciałam właśnie powiedzieć, że próbowałam dzisiaj tylko zawieźć resztę jedzenia do sierocińca. Przykro mi, że się martwiłeś i nie zrobię tego więcej.

Jason zapatrzył się na nią, a gniew odpływał mu z twarzy.

- Możesz robić, co chcesz, Victorio - odrzekł ze znużeniem. - To małżeństwo było największym błędem, jaki w życiu popełniłem.

Victoria zawahała się, ale wiedziała, że dopóki Jason jest w takim nastroju, nie zdoła powiedzieć nic, co skłoniłoby go do zmiany zdania, więc w końcu przeprosiła go mówiąc, że musi pójść się przebrać. Nie usiadł z nią do posiłku; poszła do łóżka w przekonaniu, że mąż przyjdzie do niej, chociażby tylko po to, by zmusić ją do dotrzymania umowy, że da mu syna.

Jason nie pojawił się jednak ani tej nocy, ani żadnej z następnych trzech. Victoria zauważyła, że dokładał wszelkich starań, by jej unikać. Pracował przez cały dzień w swoim gabinecie, dyktował listy sekretarzowi, panu Benjaminowi, i umawiał się z ludźmi, którzy przyjeżdżali do niego z Londynu, by porozmawiać o inwestycjach, handlu morskim oraz przeróżnego rodzaju niewyobrażalnych transakcjach. Jeżeli spotkał się z Victorią przy posiłku albo mijał się z nią w holu, pozdrawiał ją uprzejmie, ale oficjalnie, jakby była dla niego kimś obcym.

Skończywszy pracować, szedł na górę, przebierał się i jechał do Londynu.

Ponieważ Caroline wyjechała na południe Anglii, w odwiedziny do jednego z braci, którego żona miała niedługo rodzić, Victoria spędzała większość czasu w sierocińcu, organizując dla dzieci różne zabawy, i odwiedzała wieśniaków, żeby ich ośmielić. Ale obojętne, jak bardzo była zajęta, nie przestawała tęsknić za Jasonem. Kiedyś w Londynie spędzał dużo czasu w jej towarzystwie. Odprowadzał ją niemal wszędzie, gdzie się udawała, na bale, przyjęcia i do teatru, a chociaż nie pozostawał przy niej, wiedziała przynajmniej, że jest blisko, baczny i opiekuńczy. Tęskniła za jego żartobliwymi uwagami, tęskniła nawet za jego chmurną miną. Po tym, jak przyszedł list od matki Andrew, Jason w ciągu kilku tygodni stał się jej przyjacielem, i to bardzo bliskim.

A teraz był uprzejmym obcym człowiekiem, który może i jej potrzebował, ale z rozmysłem i umiejętnie trzymał ją na dystans. Wiedziała, że już się na nią nie gniewa; po prostu wyrzucił ją ze swego serca i umysłu, jakby nigdy nie istniała.

Czwartego wieczoru znowu pojechał do Londynu, a Victoria leżała nie śpiąc, wpatrywała się w różowy jedwabny baldachim nad łóżkiem i głupio tęskniła za tym, żeby

znowu zatańczyć z Jasonem, jak to tyle razy wcześniej robiła. Cudownie z nim się tańczyło; poruszał się z takim naturalnym wdziękiem...

Zastanawiała się, co jej mąż porabia w ciągu tych długich, spędzanych w Londynie wieczorów, zanim wróci do domu. Doszła do wniosku, że pewnie gra w karty w którymś z ekskluzywnych męskich klubów, do jakich należał.

Piątego wieczoru w ogóle nie zadał sobie trudu, by wrócić na noc do domu. Następnego ranka przy śniadaniu Victoria rzuciła okiem na dział plotkarski w „Gazette”, który donosił o wydarzeniach w *haute ton* i dowiedziała się, co Jason porabiał w Londynie. Wcale się nie zajmował hazardem ani nie spotykał z ludźmi interesu. Był na balu lorda Muirfielda i tańczył ze śliczną żoną starszawego lorda. Wspomniano także, że poprzedniego wieczoru widziano lorda Fieldinga w teatrze w towarzystwie pewnej brunetki, tancerki z opery, której nazwiska nie podano. Victoria wiedziała o kochance Jasona trzy rzeczy: miała na imię Sybil, była tancerką z opery, była brunetką.

Poczuła, jak rozkwita w niej gwałtowna, mdląca zazdrość. Zaskoczyło ją to kompletnie, bo nigdy wcześniej nie doświadczyła tak gorzkiej udręki.

Jason wybrał akurat tę nieodpowiednią chwilę, by wejść do jadalni; miał na sobie ten sam strój, w którym poprzedniego wieczoru wyjechał do Londynu. Tylko że teraz przerzucił niedbale przez lewe ramię przepięknie skrojony czarny surdut, krawat miał rozwiązany, jego końce zwisały luźno, a biała batystowa koszula rozpięta była pod szyją. Nie było wątpliwości, że nie spędził nocy w swoim londyńskim domu, w którym trzymał komplet garderoby.

Skinął jej chłodno głową, podszedł do kredensu i nalał sobie filiżankę parującej czarnej kawy.

Victoria powoli wstała z fotela, dygocząc z bólu i furii.

- Jasonie - zaczęła; głos miała chłodny i oficjalny.

Zerknął na nią pytająco przez ramię, potem zobaczył kamienny wyraz jej twarzy i odwrócił się przodem.

- Tak? - zapytał, unosząc filiżankę do ust i spoglądając na Victorię.

- Czy przypominasz sobie, jak się czułeś, gdy twoja pierwsza żona, będąc w Londynie, dopuszczała się wszelkiego rodzaju brudnych sprawek?

Filiżanka opadła nieco, lecz rysy Jasona pozostały obojętne.

- Bardzo dobrze - odpowiedział.

Victoria, zaskoczona własną odwagą, która jej samej nieco zaimponowała, popatrzyła znacząco na gazetę, a potem uniosła głowę do góry.

- Mam więc nadzieję, że nie każesz mi się jeszcze raz czuć w ten sam sposób.

Jason zerknął na gazetę, a potem znowu na żonę.

- O ile dobrze pamiętam, nie obchodziło mnie zbytnio, co robiła.

- Ale mnie obchodzi! - wybuchnęła Victoria, ponieważ nie mogła się powstrzymać. - Rozumiem doskonale, że troskliwi mężowie miewają... metresy, ale powinieneś zachowywać się dyskretniej. Wy, Anglicy, macie reguły, które rządzą wszystkim, a jedną z nich jest podobno dyskrecja. Kiedy popisujesz się swoimi... swoimi przyjaciółkami, mnie to upokarza i boli. - Opuściła pokój, czując się jak nikomu niepotrzebny, wyrzucony but.

Wyglądała zaś jak piękna, młoda królowa, a jej długie włosy kołysały się, spływając w miękkich falach i grubych lokach na plecy, gdy szła z wrodzoną gracją przez jadalnię. Jason przyglądał się żonie w milczeniu, trzymając w dłoni zapomnianą filiżankę. Czuł dobrze już mu znane, palące pożądanie, trwające od kilku miesięcy pragnienie, by chwycić Victorię w ramiona i zatracić się w niej. Ale nie zrobił ani kroku w jej kierunku. Może coś w stosunku do niego czuła, nie były to jednak ani miłość, ani pożądanie. Sądziła, że to objaw „troski” z jego strony, że dyskretnie utrzymuje kochankę, by zaspokajać swą obrzydliwą żądę, pomyślał z goryczą. A przecież ubodło to dumę Victorii, że widywano go publicznie z tą właśnie kobietą.

To tylko urażona duma, nic więcej. Jason przypomniał sobie jednak, jak potwornie okaleczył już jej dumę ów ukochany Andrew, i przekonał się, że nie ma serca zadawać żonie więcej bólu. Rozumiał, co to duma; pamiętał, jak bardzo był załamany i wściekły, kiedy pierwszy raz dowiedział się o perfidii Melissy.

Zatrzymał się po drodze w gabinecie, żeby zabrać stamtąd jakieś dokumenty, a potem poszedł na górę po schodach, niosąc surdut i czytając papiery po drodze.

- Dzień dobry, wielmożny panie - odezwał się kamerdyner, rzucając pełne wyrzutu spojrzenie na surdut zahaczony o kciuk pana.

- Dzień dobry, Franklinie - odpowiedział Jason, nie odrywając oczu od dopiero co przysłanych dokumentów.

Franklin przygotował kubek do golenia, brzytwę i pas, a potem szybko zabrał surdut do garderoby i tam zaczął go czyścić.

- Czy na dzisiejszy wieczór życzy pan sobie strój oficjalny czy nieoficjalny, wielmożny panie? - zapytał uprzejmie.

Jason przewrócił stronę w dokumentach.

- Nieoficjalny - mruknął z roztargnieniem. - Lady Fielding uważa, że spędzam zbyt wiele wieczorów poza domem.

Ruszył w kierunku marmurowej łazienki, sąsiadującej z jego sypialnią, nie

zwróciwszy uwagi na to, że twarz kamerdynera rozjaśniła się radością. Franklin patrzył w ślad za swym panem, dopóki Jason nie zniknął w łazience, a potem odłożył surdut i pośpieszył na dół, by podzielić się radosną wieścią z Northrupem.

Dopóki lady Victoria nie wpadła do tego domu przed kilkoma miesiącami niczym trąba powietrzna i nie rozbiła w puch uporządkowanego, zdyscyplinowanego i nudnego życia, pan Franklin i pan Northrup zazdrośnie strzegli każdy swojej pozycji zaufanego sługi. Można by nawet powiedzieć, że przez ostatnie cztery lata skrupulatnie się unikali. Teraz jednak dwaj dawni wrogowie sprzymierzyli się we wspólnej trosce o pomyślność i dobro państwa.

Pan Northrup znajdował się w holu frontowym w pobliżu salonu i polerował stół. Pan Franklin rozejrzał się, by mieć pewność, że nie podsłuchuje żaden z niższych stopniem służących i śpiesznie podszedł do swego sojusznika, chcąc donieść, jak rozwija się burzliwy romans wielmożnego pana, a raczej burzliwy brak romansu, i dowiedzieć się, czy pan Northrup nie miałby jakiejś nowej, poufnej wiadomości. Przysunął się blisko do sprzymierzeńca, błogo nieświadom obecności O'Malleya, który był w salonie i przyciskał ucho do ściany, chcąc podsłuchać rozmowę.

- Wielmożny pan zamierza jeść dziś wieczorem kolację w domu, panie Northrup - oświadczył konspiracyjnym, scenicznym szeptem. - Przekonany jestem, że to dobry znak. Doprawdy, bardzo dobry znak.

Northrup wyprostował się z taką miną, jakby wiadomość nie zrobiła na nim większego wrażenia.

- To niezwykle wydarzenie, jeśli uwzględnić nieobecność wielmożnego pana przez ostatnie pięć wieczorów, ale nie jestem przekonany, czy wzbudza we mnie jakieś szczególne nadzieje.

- Nie rozumie pan: wielmożny pan oświadczył, że zostaje w domu, ponieważ milady życzyła sobie tego!

- No, panie Franklin, to już budzi pewne nadzieje! - Northrup rozejrzał się szybko dookoła, czy aby w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby podsłuchiwać, a potem powiedział: - Wydaje mi się, że powód prośby wielmożnej pani może znajdować się w pewnym artykule w „Gazette”, który milady zobaczyła dziś rano, a który doprowadził ją do wniosku, że wielmożny pan mógł zabawić pewną damę, należącą do szczególnej klasy... tancerkę z opery, jak mi się wydaje.

O'Malley oderwał ucho od ściany i wypadł przez boczne drzwi na kuchenny korytarz, z którego korzystali służący, gdy donosili do salonu przekąski.

- Udało jej się! - zapał triumfalnie, wpadając do kuchni.

Pani Craddock przestała wałkować ciasto i wyprostowała się, z takim zapałem czekając na to, co O'Malley ma do powiedzenia, że nie zwróciła nawet uwagi, kiedy chwycił jabłko ze stołu.

- Co jej się udało?

O'Malley oparł się o ścianę, odgryzł wielki kęs soczystego jabłka, a niedojedzoną resztką wymachiwał w powietrzu, by podkreślić swoje słowa.

- Objechała wielmożnego pana, ot co! Słyszałem, jak Franklin rozmawiał z Northrupem. Wielmożna pani przeczytała w gazecie, że milord był z panną Sybil i wielmożna pani powiedziała lordowi Fieldingowi, że ma siedzieć w domu, gdzie jego miejsce. I w dodatku on zamierza tak zrobić. Mówiłem wam wszystkim, że ta dziewczyna poradzi sobie z panem. Wiedziałem to od chwili, kiedy powiedziała mi, że jestem Irlandczykiem! Ale ona naprawdę jest damą - dodał lojalnie. - Zawsze taka łagodna i uśmiechnięta.

- Biedulka, przez te ostatnie dni smutna z niej była dama - powiedziała pani Craddock, mając wciąż jeszcze nieco zmartwioną minę. - Prawie nic nie je, kiedy jego tu nie ma, a ja przyrządzałam wszystkie jej ulubione potrawy. I zawsze mi tak uprzejmie dziękuje. Wystarczy to, żeby się człowiek popłakał. Nie potrafię sobie wyobrazić, czemu on nie spędza nocy w jej łóżku, gdzie jego miejsce...

O'Malley ponuro potrząsnął głową.

- Nie było go tam od ich nocy poślubnej. Ruth mówi, że jest tego absolutnie pewna. A wielmożna pani też u niego nie śpi, bo pokojówki na górze mają oko na jego pokoje i nigdy więcej niż jedna poduszka nie jest pognieciona. - W markotnym milczeniu dokończył jabłko i sięgnął po następne, ale tym razem pani Craddock dała mu ścierką po łapach.

- Przestań podbierać mi jabłka, Danielu. Są do placka, który robię na deser. - I nagle jej życzliwe rysy rozjaśniły się w uśmiechu. - Nie, proszę, weź sobie to jabłko. Postanowiłam dla nich na wieczór przygotować coś innego. Coś bardziej uroczystego niż placek.

Najmłodsza podkuchenna, nieładna, hoża dziewczyna w wieku około szesnastu lat, zapiszczała:

- Jedna młodsza praczka opowiadała mi o takim proszku, co to go można wsypać człowiekowi do wina i daje mu wtedy nastrój, żeby chciał kobietę, jeżeli to z męskością są kłopoty. Dziewczyny w pralni wszystkie myślą, że chyba wielmożny pan powinien szczyptę tego proszku dostać, może by to trochę pomogło.

Wszystkie służące w kuchni zamruczały potakująco, ale O'Malley wykrzyknął pogardliwie:

- Na Boga, dziewczyno! Skąd ci się wziął taki pomysł? Milord żadnych takich

proszków nie potrzebuje i możesz wszystkim w pralni powiedzieć, że słyszałaś to ode mnie! Przecież Johnowi, stangretowi, jak rok długi z nosa się leje przez ten katar, którego się nabawił, czekając niemal co wieczór w zeszlą zimę na koźle powozu, aż wielmożny pan wyjdzie z łóżka panny Hawthorne. Panna Hawthorne - dokończył wyjaśniająco - była jego kamelijką przed panną Sybil.

- On wczoraj wieczorem był z panną Sybil? - zapytała pani Craddock, która już odmierzała mąkę do „uroczystego” deseru. - Czy może to tylko takie gazetowe gadanie?

Wesoła twarz O'Malleya spoważniała.

- Był z nią, nie ma dwóch zdań. Słyszałem to od jednego ze stajennych. Oczywiście nie wiemy na pewno, że do czegoś doszło podczas jego obecności. Może ją po prostu sflaczał.

Pani Craddock rzuciła mu blady, powątpiewający uśmiech. - No, przynajmniej dziś wieczorem zostaje w domu na kolację ze swoją żoną. To dobry początek.

I dlatego ze wszystkich stu czterdziestu osób w Wakefield Park jedynie Victoria poczuła się zaskoczona, kiedy tego wieczoru Jason wkroczył do jadalni.

- Zostajesz dziś wieczorem na kolacji w domu? - wybuchnęła z pełną zdumienia ulgą, kiedy siadał u szczytu stołu.

Jason zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Odniosłem wyraźne wrażenie, że tego właśnie ode mnie chciałaś.

- Tak, to prawda - przyznała Victoria, zastanawiając się, czy wygląda najkorzystniej w szmaragdowej sukni, którą miała na sobie i żałując, że Jason siedzi tak daleko od niej, przy drugim końcu długiego stołu. - Tylko że tak naprawdę nie spodziewałam się, że to zrobisz. Mam na myśli... - Urwała, kiedy O'Malley odwrócił się od kredensu, niosąc tacę z dwoma lśniącoimi, pełnymi wina, kryształowymi kieliszkami. I jak tu prowadzić rozmowę z mężem na taką odległość. Było to niemożliwe zarówno pod względem emocjonalnym, jak i fizycznym.

Westchnęła, widząc, że lokaj kieruje się prosto do niej z dziwnie zdecydowanym błyskiem w oku.

- Pani wino, milady - powiedział, zamasztyjąc ruchem zdjętą kieliszek z tacy i zakreślając nim przesadne esyfloresy, postawił go na stole; kieliszek przechylił się, co było nieuniknione, a wino rozlało się tuż przed Victorią po całym płóciennym obrusie.

- O'Malley...! - syknął przez zęby Northrup ze swego stanowiska przy kredensie, skąd rutynowo nadzorował podawanie posiłków.

Podwładny rzucił mu pełne niewinności spojrzenie, z wielkim szacunkiem odsunął krzesło lady Victorii, pomógł jej wstać i poprowadził do tego końca stołu, przy którym

siedział Jason.

- Proszę, milady - powiedział, tryskając wprost skruchą i niepokojem, kiedy odsuwał krzesło na prawo od Jasona. - Migiem przyniosę wielmożnej pani więcej wina. Potem posprzątam tamten bałagan. Pachnie to okropnie, nieprawdaż, takie rozlane wino. Najlepiej trzymać się z daleka od niego. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogło dojść do tego, że je rozlałem - dodał, porwał ze stołu serwetkę i rozłożył ją Victorii na kolanach. - Ręka coś mi dokucza od kilku dni i pewnie przez to tak się stało. Nic poważnego, czym wielmożna pani miałaby się kłopotać, po prostu stara kość, która przed laty była złamana.

Victoria poprawiła sobie suknię i popatrzyła na niego ze współczującym uśmiechem.

- Przykro mi, że dokucza panu ręka, O'Malley.

Wtedy O'Malley odwrócił się do lorda Fieldinga, zamierzając wygłosić jeszcze kilka fałszywych usprawiedliwień, ale w ustach mu zaschło, kiedy napotkał przeszywające, nieustępliwe spojrzenie Jasona i zobaczył, jak wielmożny pan przesuwając palcem po ostrzu noża, jakby sprawdzał jego ostrość.

Lokaj wsunął palec między kołnierzyk i szyję, odchrząknął, i pośpiesznie wymamrotał do Victorii:

- Już... już przynoszę następny kieliszek wina dla wielmożnej pani.

- Lady Fielding nie pija do kolacji wina - wycedził Jason, co zatrzymało lokaja w pół kroku. Zerknął na żonę i dodał jakby po namyśle: - A może zmieniłaś swoje zwyczaje, Victorio?

Potrząsnęła głową, zakłopotana milczącą wymianą zdań, która zdawała się toczyć między Jasonem a biednym panem O'Malleyem.

- Ale myślę, że dziś chyba trochę się napiję - dodała, usiłując załagodzić sytuację, której nie rozumiała.

Służba wycofała się i zostawiła ich, by spożyli posiłek w przygniatającej wspaniałością, długiej i zimnej jadalni. Przez cały czas, kiedy jedli, panowało między nimi ciężkie milczenie, przerywane tylko sporadycznym pobrzękiwaniem sztućców o porcelanę z Limoges. Milczenie owo dla Victorii było tym bardziej okropne, że miała dojmującą świadomość, iż gdyby Jason pojechał do Londynu, a nie został z nią w domu, bawiłby się teraz w atmosferze oszałamiającej radości.

Zanim posprząrano talerze i wniesiono deser, smutek Victorii zmienił się w desperację. Dwukrotnie próbowała przebić się przez barierę milczenia męża, poruszając nieprowadzące do zadrażnień tematy, jak pogoda i doskonałość ich dziesięciodaniowego posiłku. Odpowiedzi Jasona na te towarzyskie gambity były uprzejme, lecz zniechęcająco

lapidarne.

Bawiła się łyżeczką, wiedząc, że musi coś zrobić, i to szybko, bo przepaść pomiędzy nimi poszerza się z minuty na minutę, pogłębia się z dnia na dzień, aż wkrótce żadną miarą nie da jej się zasypać.

Zapomniała na chwilę o swym rozpaczliwym niepokojem, kiedy do jadalni wmaszerował z deserem O'Malley i z trudem kryjąc uśmiech, postawił między nimi mały, śliczny torcik, ozdobiony dwiema przeplatającymi się, kolorowymi flagami: jedną brytyjską, a drugą noszącą gwiazdy i pasy Ameryki.

Jason rzucił okiem na torcik i podniósł sardoniczne spojrzenie na wścibskiego lokaja.

- Czy mam założyć, że pani Craddock jest dziś w patriotycznym nastroju?

O'Malleyowi mina zrzędała, a oczy przybrały ostrożny wyraz, gdy pan przyglądał mu się z zimnym niezadowoleniem.

- Czy może ma mi to przypomnieć, w sposób symboliczny, że jestem żonaty?

Lokaj zbladł.

- W żadnym wypadku, milordzie. - Tkwił w miejscu jak przyszpilony spojrzeniem pana, aż wreszcie ten odprawił go krótkim kiwnięciem głowy.

- Jeżeli ma to przedstawiać nasze małżeństwo - wtrąciła z niezamierzonym humorem Victoria - to pani Craddock powinna była torcik udekorować dwoma skrzyżowanymi mieczami, a nie flagami.

- Masz rację - zgodził się z nią obojętnie Jason i, nie zwracając uwagi na deser, wyciągnął rękę po kieliszek z winem.

Sprawił wrażenie, jakby kompletnie nie interesował go stan ich małżeństwa. Doprowadzona do furii Victoria wpadła w panikę i zdecydowała się poruszyć kwestię, o której przez cały wieczór chciała porozmawiać.

- Ja nie chcę mieć racji! - Zmusiła się, by podnieść wzrok na jego nieodgadzioną twarz. - Jasonie, proszę, chcę, żeby sprawy między nami inaczej się układały.

Mąż, z lekko zaskoczonym wyrazem twarzy, odchylił się do tyłu i przyglądał jej się bacznie i beznamiętnie.

- A jaki dokładnie układ miałaś na myśli?

Zachowywał się z tak wielką rezerwą i obojętnością, że zdenerwowanie Victorii wzrosło w dwójnasób.

- Chciałabym na przykład, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi. Przecież kiedyś śmiałyśmy się razem i rozmawialiśmy.

- Proszę, rozmawiaj - zaproponował.

- Czy chciałbyś poruszyć jakiś szczególny temat? - zapytała poważnie.

Oczy Jasona podniosły się na jej cudowną twarz. Pomyślał: chcę cię zapytać, dlaczego musisz się do nieprzytomności upijać, zanim możesz pomyśleć o tym, żeby pójść ze mną do łóżka. Chcę wiedzieć, dlaczego robi ci się niedobrze, kiedy cię dotykam. Ale rzekł tylko:

- Nic szczególnego.

- Bardzo dobrze, więc zacznę ja. - Zawahała się, a potem zapytała: - Jak ci się podoba moja suknia? To jedna z tych, które kazałeś dla mnie uszyć madame Dumosse.

Wzrok Jason opadł na kremowe wzgórki, które kusząco zaokrągląły się nad głębokim wycięciem sukni. Victoria wygląda porywająco w zieleni, pomyślał, ale żeby podkreślić ten strój, powinna mieć na smukłej szyi szmaragdy. Gdyby sprawy się miały inaczej, odprawiłby służących, wziął ją na kolana, a potem rozpiąłby jej suknię, żeby odsłonić te rozkoszne piersi dla swych oczu i dłoni. Całowałby jedną i drugą, później zaś zaniósł Victorię na górę i kochał się z nią, aż oboje osłabliby tak, że nie mogliby się ruszyć.

- Suknia jest wspaniała. Przydałyby się do niej szmaragdy - powiedział.

Dłoń Victorii podskoczyła z zażenowaniem do nagiej szyi. Nie miała żadnych szmaragdów.

- Uważam, że ty też bardzo pięknie wyglądasz - szepnęła podziwiając, jak kosztowny, ciemnoniebieski surdut opina jego szerokie ramiona. Jason miał tak opaloną twarz i tak ciemne włosy, że biel koszuli i krawata ostro z nimi kontrastowały. - Bardzo jesteś przystojny - dodała tęsknie.

Na jego wargach pojawił się cień pełnego zaskoczenia uśmiechu.

- Dziękuję ci - powiedział. Wyraźnie nie spodziewał się niczego takiego.

- Proszę cię bardzo - odrzekła Victoria. Uznała, że jest chyba zadowolony z komplementu, więc uczepiła się jego wyglądu jako możliwego do przyjęcia tematu rozmowy.

- Kiedy cię zobaczyłam po raz pierwszy, wydałeś mi się przerażający, wiesz o tym? Oczywiście było niemal ciemno, a ja się denerwowałam, ale... wydałeś mi się taki wielki, że się wystraszyłam.

Jason zakrztusił się winem.

- O czym ty mówisz?

- O naszym pierwszym spotkaniu - wyjaśniła niewinnie Victoria. - Pamiętasz? Stałam na zewnątrz, w słońcu, trzymając na rękach prosiaka, którego później oddałam gospodarzowi, a ty wciągnąłeś mnie do środka i zrobiło się ciemno w porównaniu z tym, jak było na zewnątrz...

Jason podniósł się gwałtownie.

- Przykro mi, że potraktowałem cię nieuprzejmie. A teraz, jeżeli pozwolisz, resztę wieczoru spędzę przy pracy.

- Nie - przerwała mu Victoria pośpiesznie - proszę cię, nie pracuj. Zróbmy coś innego, coś, co możemy zrobić razem. Coś, czego byś chciał.

Jasonowi serce załomotało w piersi. Spuścił wzrok na jej zarumienione policzki i zobaczył zaproszenie w błagalnych niebieskich oczach. W jego piersi nadzieja zderzyła się gwałtownie z niedowierzaniem, dotknął czule jej zaczerwienionego policzka, a potem powoli przesunął dłoń do tyłu i przygładził gęste, jedwabiste włosy.

Victoria zadrżała z radości, bo w końcu potraktował ją serdecznie. Powinna była podjąć inicjatywę już kilka dni temu, zamiast cierpieć w milczeniu.

- Moglibyśmy zagrać w szachy, gdybyś miał ochotę - zaproponowała radośnie. - Nie najlepiej sobie z tym radzę, ale jeżeli masz karty...

Jason gwałtownie cofnął rękę, twarz skrzepla mu w zamkniętą maskę.

- Wybacz mi, Victorio. Mam pracę. - Wyminął ją i zniknął w gabinecie, gdzie pozostał do końca wieczora.

Victoria upadła na duchu, rozczarowana i zdezorientowana; resztę wieczoru spędziła, próbując czytać. Kiedy przyszedł czas, żeby się położyć, podjęła nieodwołalne postanowienie, że nie pozwoli mu wrócić do dawnego rytuału, zgodnie z którym zachowywali się wobec siebie jak uprzejmi obcy ludzie. Zrobi wszystko, co trzeba, żeby sytuację zmienić. Przypomniała sobie, jak na nią patrzył, zanim zaproponowała, żeby zagraли w szachy; zwykle tak patrzył na nią, gdy chciał ją całować. Jej ciało z miejsca to odgadło, zrobiło się ciepłe i zaczęło drżeć. Nie wiedzieć czemu zawsze tak było, kiedy Jason jej dotykał. Może chciał ją pocałować, zamiast grać w szachy. Dobry Boże, mógł przecież nawet chcieć znowu zrobić to coś okropnego...

Dreszcz ją przeszedł na samo wspomnienie, ale gotowa była przystać nawet na ową okropność, jeżeli w ten sposób zostałyby przywrócona między nimi harmonia. Wszystko w niej się skręcało na myśl, że Jason będzie ją pieścił naga, że będzie przypatrywał się jej z taką okropną obojętnością, jak to robił w ich noc poślubną. Może nie byłoby to takie straszne, gdyby był dla niej miły, kiedy to robił, miły w taki sposób, jak wtedy, kiedy ją całował.

Czekała w swoim pokoju, dopóki nie usłyszała, że Jason jest u siebie, potem włożyła turkusowy satynowy szlafroczek, wykończony przy obrąbku i szerokich rękawach szerokimi pasami koronki. Drzwi, łączące jej sypialnię z apartamentem męża, zostały z powrotem zawieszane, nie miały jednak zamka. Otworzyła je i weszła do środka.

- Milor... Jasonie - zaczęła.

Właśnie zdejmował koszulę i pierś miał niemal całkowicie odsłoniętą. Gwałtownie uniósł głowę do góry.

- Chciałabym z tobą porozmawiać - powiedziała stanowczo.

- Wyjdź stąd, Victorio - odrzekł z lodowatą irytacją.

- Ale...

- Ja nie chcę rozmawiać - wycedził z sarkazmem przez zęby. - Nie chcę grać w szachy ani w karty.

- Więc czego chcesz?

- Chcę, żeby cię tu nie było. Czy wyraziłem się jasno?

- Powiedziałabym, że bardzo jasno - odparła z nieugiętą godnością. - Nie będę cię więcej niepokoila. - Wróciła do swojego pokoju i zamknęła drzwi, lecz wciąż jeszcze tkwiło w niej gniewne postanowienie, że doprowadzi do tego, aby ich małżeństwo było szczęśliwe i trwałe. Nie rozumiała, czego mąż się po niej spodziewał. A zwłaszcza nie rozumiała jego samego. Ale знаła kogoś, kto go rozumiał. Jason miał trzydzieści lat, był dużo starszy i dużo bardziej doświadczony niż ona, lecz kapitan Farrell był starszy niż Jason i będzie jej umiał doradzić, co powinna teraz zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Następnego dnia Victoria z determinacją udała się do stajni i czekała, aż chłopak osiodła jej konia. Nowa czarna amazonka miała piękny fason, a obcisły, dopasowany zakieciak podkreślał pełne piersi dziewczyny i jej talię osy. Śnieżnobiały, szeroki krawat przy bluzce kontrastował z żywą cerą, a tycjanowskie włosy upięte były nisko w elegancki kok. Przez ten kok czuła się starsza i bardziej wyrafinowana; uczesanie umacniało w niej zachwianą pewność siebie.

Czekała w stajni, leniwie postukując szpicrutą o nogę; potem uśmiechnęła się promiennie do stajennego, który wyprowadzał roztańczonego wałacha; hebanowa sierść konia błyszczała niczym jedwab.

Victoria z podziwem patrzyła na tego wspaniałego wierzchowca.

- Jest piękny, Johnie. Jak się nazywa?

- To Matador - wyjaśnił stajenny. - Pochodzi z Hiszpanii. Wielmożny pan wybrał go dla pani pod wierzch, dopóki nie dotrze tu za kilka tygodni pani nowy koń.

Jason kupił dla niej konia, uświadomiła sobie Victoria, kiedy stajenny podsadzał ją na siodło. Nie miała pojęcia, dlaczego postanowił kupować jeszcze jednego, skoro, jak mówiono, miał w swoich stajniach najwspanialsze rumaki w całej Anglii; niemniej jednak okazał wielką hojność i, co charakterystyczne, nie zadał sobie trudu, by choć słowem jej o tym nabytku wspomnieć.

Skrećwiwszy na stromą, krętą dróżkę, prowadzącą do domu kapitana Farrella, przyhamowała Matadora do stępa i odetchnęła z ulgą, kiedy gospodarz wyszedł na ganek, by pomóc jej zsiąść.

- Dziękuję - powiedziała, gdy tylko pewnie stanęła na ziemi. - Miałam nadzieję, że pana zastanę.

Kapitan Farrell szeroko się uśmiechnął.

- Zamierzałem przejechać się dziś do Wakefield i przekonać się na własne oczy, jak wam się układa z Jasonem.

- W takim razie - odrzekła Victoria ze smutnym uśmiechem - może dobrze, że nie zadał pan sobie tego trudu.

- Żadnej poprawy? - zapytał ze zdumieniem, wprowadzając ją do domu. Napełnił kociołek wodą na herbatę i postawił go na ogniu.

Victoria usiadła i markotnie potrząsnęła głową.

- Można by nawet powiedzieć, że jest gorzej. No, może niezupełnie. Przynajmniej wczoraj wieczorem Jason został w domu, zamiast pojechać do Londynu w odwiedziny do swojej... wie pan, o kogo mi chodzi - urwała. Nie zamierzała poruszać tak intymnych tematów. Chciała tylko porozmawiać o charakterze Jasona, a nie o ich najbardziej osobistych kontaktach.

Kapitan Farrell zdjął z półki dwie filiżanki i zerknął na Victorię przez ramię ze zdezorientowanym wyrazem twarzy.

- Nie, nie wiem. Co pani ma na myśli?

Rzuciła mu krańcowo zakłopotane spojrzenie.

- No, wykrztuś to z siebie, dziewczyno. Ja byłem z tobą szczery. Musisz wiedzieć, że ty też możesz mi się zwierzyć. Z kim innym mogłabyś porozmawiać?

- Z nikim - przyznała Victoria żałośnie.

- Jeżeli to, co chcesz powiedzieć, jest aż takie trudne, proponuję, byś myślała o mnie jak o swoim ojcu albo ojcu Jasona.

- Ale nie jest pan ani jednym, ani drugim. A ja nie jestem pewna, czy potrafiłabym nawet własnemu ojcu wyjawić to, co pan chce usłyszeć.

Kapitan Farrell odstawił filiżanki i odwrócił się powoli, przypatrując jej się z drugiego końca pokoju.

- Jest jedna jedyna rzecz, której nie lubię, będąc na morzu. Czy wiesz, jaka? - Kiedy potrząsnęła głową, wyjaśnił: - Samotność w mojej kabinie. Czasami mnie ona cieszy, ale jeżeli mam jakieś zmartwienie, kiedy na przykład czuję, że zbiera się na potężny sztorm, nie mam nikogo, komu mógłbym się zwierzyć ze swego lęku. Nie wolno mi dopuścić, by moi ludzie zauważyli, że się boję, bo mogliby wpaść w panikę. Tak więc muszę to dusić w sobie i wtedy lęk rozrasta się wprost nieproporcjonalnie. Czasami, kiedy znalazłem się gdzieś bardzo daleko od domu, nachodziło mnie przecucie, że moja żona zachorowała albo że jej coś grozi, a nie było nikogo, kto by mnie pocieszył i powiedział, że jestem niemądry. Jeżeli nie możesz porozmawiać z Jasonem, a nie zechcesz porozmawiać ze mną, nigdy nie znajdziesz odpowiedzi, których szukasz. Victoria popatrzyła na niego z sympatią.

- Jest pan jednym z najżyczliwszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam, kapitanie.

- No to może wyobrazisz sobie, że jestem twoim ojcem i porozmawiasz ze mną, jakbym nim był?

Doktorowi Seatonowi zwierzało się z przeróżnych rzeczy wielu ludzi, również kobiet, z niewielkim zażenowaniem i bez poczucia wstydu, o tym Victoria wiedziała. Więc jeżeli pragnie kiedykolwiek zrozumieć Jasona, musi porozmawiać z kapitanem Farrellem.

- Bardzo dobrze - zgodziła się i poczuła ulgę, kiedy okazał się tak domyślny, że odwrócił się do niej tyłem i zaczął przygotowywać herbatę. Łatwiej było mówić do jego pleców. - Tak naprawdę to przyjechałam tu, żeby zapytać, czy jest pan pewien, że powiedział mi pan wszystko, co pan wie o Jasonie. Ale odpowiadając na pana pytanie: mój mąż został wczoraj wieczorem w domu po raz pierwszy, od kiedy się z panem widziałam. Wie pan, co wieczór jeździł do Londynu, żeby odwiedzać swoją... - tu głęboko wciągnęła powietrze i dokończyła stanowczo: - ... metrese.

Plecy kapitana Farrella zeszywniały, ale się nie odwrócił.

- Skąd ci coś takiego przyszło do głowy? - zapytał, powoli zdejmując cukiernicę.

- Och, tego jestem pewna. Gazety wczoraj rano robiły do tego aluzje. Jasona nie było przez całą noc, a kiedy wrócił, właśnie jadłam śniadanie. Byłam zdenerwowana...

- Wyobrażam sobie.

- Mało brakowało, a byłabym się rozzłościła, ale usiłowałam zachować się rozsądnie. Powiedziałam mu, że zdaję sobie sprawę, iż troskliwi mężowie utrzymują kochanki, sędzę jednak, że powinien być bardziej dyskretny i...

Kapitan Farrell odwrócił się z wolna i zagapił na nią, trzymając cukiernicę w jednej ręce, a dzbanuszek z mlekiem w drugiej.

- Ty mu powiedziałaś, że uważasz, że utrzymywanie kochanki świadczy o jego troskliwości, ale że powinien być bardziej dyskretny?

- Tak. Czy nie powinnam była tego mówić?

- Ważniejsze jest, dlaczego to powiedziałaś? Dlaczego tak nawet myślisz?

Słyszając naganę w jego głosie, Victoria zeszywniała lekko.

- Panna Wilson... Flossie Wilson wyjaśniła mi, że w Anglii jest taki zwyczaj, że troskliwy mąż ma...

- Flossie Wilson? - wybuchnął kapitan z oburzeniem i politowaniem. - Flossie Wilson? - powtórzył, jakby nie dowierzał własnym uszom. - Flossie Wilson to stara panna, nie wspominając już o tym, że kompletny z niej głuptas! Absolutna gęś! Jason trzymał ją w Wakefield, pomagała zajmować się Jamiem, żeby malec pod jego nieobecność miał obok siebie jakąś kochającą kobietę. Flossie bez wątplenia była serdeczna, ale ta kapuściana głowa któregoś dnia po prostu zgubiła niemowlę. I ty taką kobietę pytałaś o radę, jak postępować z mężem?

- Ja jej nie pytałam, ona sama podsunęła mi tę informację - odpowiedziała, tłumacząc się, zaczerwieniona Victoria.

- Przepraszam, że cię skrzyczałem, dziecko - mruknął kapitan, pocierając sobie kark. -

W Irlandii, jeżeli mąż pójdzie do innej kobiety, to żona łapie za patelnię! To dużo prostsze rozwiązanie, znacznie bardziej bezpośrednie i o wiele skuteczniejsze, jestem tego pewien. Proszę, mów dalej to, co mi próbowałaś powiedzieć. Powiedziałaś, że stawiałaś Jasonowi czoło...

- Naprawdę wolałabym nie kontynuować tego tematu - odrzekła ze znużeniem Victoria. - Pewnie nie powinnam była tu przyjeżdżać. To chyba okropny pomysł. Miałam tylko nadzieję, że pan mi wytłumaczy, dlaczego Jason zrobił się taki daleki od naszego ślubu...

- A co masz na myśli - zapytał z napięciem kapitan Farrell - mówiąc „daleki”?

- Nie wiem, jak mogłabym to wyjaśnić.

Kapitan nalał herbaty do filiżanek i wziął je do rąk.

- Victorio - zapytał, ściągając brwi i odwracając się - czy ty próbujesz mi powiedzieć, że Jason nie przychodzi często do twojego łóżka?

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok na dłonie.

- Prawdę mówiąc, nie był od naszej nocy poślubnej, chociaż bardzo się tego obawiałam, bo wyłamał następnego ranka drzwi, po tym, jak je zamknęłam na klucz...

Kapitan Farrell bez słowa podszedł do kredensu, odstawił filiżanki i napełnił dwie szklaneczki whiskey.

Podszedł do Victorii i wetknął jej jedną do ręki.

- Wypij to - rozkazał stanowczo. - Łatwiej ci będzie mówić, a ja zamierzam usłyszeć całą tę historię do końca.

- Wie pan, przed przyjazdem do Anglii nigdy nawet nie skosztowałam żadnego alkoholu, poza winem po śmierci rodziców - zaprotestowała i wzdrygnęła się, patrząc na zawartość szklaneczki; a kiedy kapitan usiadł, podniosła na niego oczy. - Ale od chwili, kiedy tu przyjechałam, ludzie częstują mnie winem i brandy, a także szampanem, i każą mi to pić, mówiąc, że czuję się lepiej. A ja w najmniejszym stopniu nie czuję się lepiej.

- Spróbuj - polecił.

- Naprawdę próbowałam. Widzi pan, taka byłam zdenerwowana w dniu naszego ślubu, że usiłowałam wyrwać się Jasonowi przy ołtarzu. Więc kiedy przyjechaliśmy do Wakefield, pomyślałam, że trochę wina pomoże mi stawić czoło reszcie tego wieczoru. Wypiłam na naszym weselu pięć kieliszków i tyle z tego miałam, że mnie mdliło, kiedy my... kiedy się położyłam.

- Czy mam zrozumieć, że niewiele brakowało, abyś zostawiła Jasona przy ołtarzu w pełnym gości kościele?

- Tak, ale oni nic nie zauważyli. Tylko on to widział.

- Dobry Boże - szepnął kapitan.

- A w naszą noc poślubną prawie wymiotowałam.

- Dobry Boże - powtórzył. - A następnego ranka zamknęłaś przed Jasonem drzwi na klucz?

Victoria kiwnęła głową; czuła się taka nieszczęśliwa.

- I potem, wczoraj, powiedziałaś mu, że uważasz, że okazuje ci troskliwość, jadąc do innej kobiety? - Kiedy znowu kiwnęła głową, kapitan Farrell zapatrzył się na nią z niemałą fascynacją.

- Próbowałam mu to wczoraj wieczorem wynagrodzić - oznajmiła defensywnym tonem.

- Z ulgą słyszę te słowa.

- Tak, zaproponowałam, że zrobimy, co tylko zechce.

- To z miejsca powinno było poprawić mu nastrój - zauważył kapitan Farrell z bladym uśmiechem.

- Przez moment tak mi się wydawało. Ale kiedy powiedziałam, że moglibyśmy zagrać w szachy albo w karty, on...

- Zaproponowałaś mu szachy? Na litość boską, dlaczego szachy?

Victoria spojrzała na niego z cichą urazą.

- Usiłowałam przypomnieć sobie, co robili moi rodzice. Miałam zaproponować spacer, ale było trochę chłodno.

Gospodarz najwyraźniej nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać; potrząsnął głową.

- Biedny Jason - powiedział na wpół ze śmiechem. Kiedy jednak znowu na nią popatrzył, był śmiertelnie poważny. - Mogę cię zapewnić, że twoi rodzice robili też... coś innego.

- Na przykład co? - zapytała Victoria, przypominając sobie wieczory, kiedy siedzieli naprzeciw siebie przy kominku i czytali książki. Matka gotowała ojcu jego ulubione dania, utrzymywała dom w porządku i naprawiała ubrania, ale Jason miał całą armię ludzi, którzy wykonywali te żonine obowiązki i robili to doskonale. Popatrzyła na kapitana Farrella, który pogrążył się w zakłopotanym milczeniu. - Co pan ma na myśli, kapitanie?

- Mam na myśli te intymne sprawy, którym oddawali się twoi rodzice, kiedy ty już leżałaś w swoim łóżku - powiedział bez ogródek - a oni w swoim.

Przemknęło jej przez głowę bardzo dawne wspomnienie. Wspomnienie rodziców, którzy stali przed drzwiami do sypialni matki i błagalny głos ojca, który nie chciał wypuścić

żony z objąć: „Nie odmawiaj mi ciągle, Katherine. Na litość boską, nie odmawiaj!”.

Matka odmawiała ojcu dostępu do swego łóżka, uświadomiła sobie osłabła nagle z wrażenia Victoria. A potem przypomniała sobie, jak zrozpaczony i zdesperowany wydawał jej się ojciec tamtego wieczoru i jaka wściekła była na matkę, że sprawiła mu taki ból. Jej rodzice byli przyjaciółmi, to prawda, ale matka nie kochała ojca. Katherine kochała Charlesa Fieldinga i dlatego nie dopuszczała ojca do siebie po narodzinach Dorothy.

Victoria przygryzła wargę, wspominając, jaki samotny niekiedy wydawał się papa. Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni czują się samotni, a może raczej odrzuceni, jeżeli żony nie dopuszczają ich do swego łóżka.

Matka nie kochała ojca, o tym Victoria wiedziała, byli jednak przyjaciółmi. Przyjaciółmi... Nagle zdała sobie sprawę, że usiłowała zrobić z Jasona swego przyjaciela, dokładnie tak, jak matka postępowała z ojcem.

- Jesteś serdeczną kobietą, Victorio, pełną życia i odwagi. Zapomnij o tym, jakie małżeństwa widywałeś wśród ludzi z towarzystwa. Są one puste i powierzchowne. Pomyśl zamiast tego o małżeństwie swoich rodziców. Byli szczęśliwi, nieprawdaż?

Rozumiejąc przedłużające się milczenie dziewczyny, kapitan Farrell zmarszczył brwi i podszedł do sprawy inaczej.

- Zapomnijmy o małżeństwie twoich rodziców. Ja znam mężczyzn i znam Jasona, więc chcę, byś jedno zapamiętała. Jeżeli kobieta zamknie przed mężczyzną drzwi, on zamknie przed nią swe serce. A przynajmniej zrobi tak, jeżeli ma choć szczyptę dumy. A Jason ma tej dumy ogromnie wiele. On nie będzie się płaszczył u twoich stóp i błagał o twoje łaski. Odsunęłaś się od niego; teraz do ciebie należy przekonanie go, że nie pragniesz takiego stanu rzeczy.

- A jak mam tego dokonać?

- Na pewno nie dokonasz tego, proponując mu grę w szachy - odrzekł rozsądnie. - Ani uważając, że jest troskliwym mężem, kiedy idzie do innej kobiety. - Potarł mięśnie na karku. - Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak ciężko musi być mężczyźnie wychowywać córkę. Są pewne sprawy, które niesłychanie trudno omawiać z płcią przeciwną.

Victoria nie mogła już usiedzieć.

- Zastanowię się nad wszystkim, co mi pan powiedział - obiecała, usiłując ukryć zażenowanie.

- Czy mogę cię o coś zapytać? - zapytał kapitan z wahaniem.

- Przypuszczam, że tak będzie sprawiedliwie - powiedziała Victoria z uroczym uśmiechem, ukrywając obawę. - W końcu ja panu zadałam bardzo wiele pytań.

- Czy nikt nigdy z tobą nie rozmawiał na temat miłości małżeńskiej?

- To nie jest coś, o czym można mówić z kimkolwiek poza własną matką - odrzekła, znowu się czerwieniąc. - Słyszałam oczywiście o obowiązku małżeńskim, ale jakoś nigdy nie zrozumiałam...

- Obowiązku! - wykrzyknął Farrell z niesmakiem. - W moim kraju panna doczekać się nie może nocy poślubnej. Idź do domu i uwieź swojego męża, dziewczyno, a on już zajmie się resztą. Potem nie będziesz tego traktowała jak obowiązku. Znam tak dobrze Jasona, że mogę cię o tym zapewnić!

- A jeżeli ja... zrobię to, co pan mówi, to czy on będzie ze mną szczęśliwy?

- Tak - zapewnił ją łagodnie, uśmiechając się. - I tobie też da szczęście.

Victoria odstawiła szklaneczkę z nietkniętą whiskey.

- Bardzo mało wiem o małżeństwie, a jeszcze mniej o tym, jak być żoną, a już absolutnie nic o uwodzeniu.

Kapitan Farrell popatrzył na młodą piękność, która stała przed nim i ramiona drgnęły mu w cichym śmiechu.

- Nie sądzę, żebyś musiała bardzo ciężko pracować nad uwiedzeniem Jasona, moja droga. Gdy tylko uświadomi sobie, że chcesz go mieć w swoim łóżku, jestem przekonany, że z radością spełni twoją prośbę.

Victoria zarumieniła się jak róża, uśmiechnęła się blado i ruszyła do drzwi.

Jechała na Matadorze do domu tak zatopiona w myślach, że niemal nie zdawała sobie sprawy, iż koń posuwa się naprzód. Zanim galopem podjechała do bram Wakefield Park, pewna była jednego: nie chciała, żeby Jason czuł się w małżeństwie równie samotny jak jej ojciec.

Oddanie się mężowi nie byłoby takie straszne, zwłaszcza gdyby, jak to czasem robił, pocałował ją znowu tak zuchwale i namiętnie, przyciskając usta do jej warg i wyczyniając językiem różne szokujące rzeczy, od których w głowie jej się kręciło, a ciało płonęło i słabło. Zamiast myśleć o nowych sukniach, jak to proponowała panna Flossie, Victoria pomyślała, że leżąc z Jasonem w łóżku, będzie przypominała sobie, jak ją całował. Kiedy dotarła do tego etapu, przyznała się nawet sama przed sobą, że kocha te jego pocałunki. Szkoda, że mężczyźni czegoś takiego nie robią, kiedy są w łóżku, uznała. Cała ta sprawa byłaby wtedy o tyle miłsza. Najwyraźniej jednak całować powinno się poza łóżkiem, a w łóżku panowie robili to, co im przez cały czas chodziło po głowie.

- Wszystko mi jedno! - mruknęła z wielką determinacją, kiedy stajenny podbiegł, by pomóc jej zsiąść.

Podjęła postanowienie, że dołoży wszelkich starań, byle tylko Jason był szczęśliwy, i przywróci panującą dawniej między nimi bliskość. Zdaniem kapitana Farrella wystarczy, by dała teraz Jasonowi do zrozumienia, że chce dzielić z nim łóżko.

Weszła do holu.

- Czy lord Fielding w domu? - zapytała Northrupa.

- Tak, wielmożna pani - odpowiedział z ukłonem. - Pracuje w swoim gabinecie.

- Czy jest sam?

- Tak, milady. - Northrup znowu się ukłonił.

Victoria podziękowała mu i poszła korytarzem. Otworzyła drzwi gabinetu i cicho wślizgnęła się do środka. Jason siedział przy biurku po drugiej stronie długiego pokoju, odwrócony do niej profilem, przy jego łokciu leżał jeden plik papierów, a pod ręką drugi. Victoria patrzyła na niego i widziała chłopczyka, który zostawił za sobą plugawe dzieciństwo i wyrósł na przystojnego, bogatego, potężnego mężczyznę. Zgromadził fortunę, kupił posiadłości ziemskie, przebaczył swemu ojcu i dał schronienie sierocie z Ameryki. A wciąż był sam. Wciąż pracował, wciąż się starał.

Kocham cię, pomyślała i ta nagła myśl niemal powaliła ją na kolana. Kiedyś przecież kochała Andrew. Ale jeżeli była to prawda, dlaczego nigdy nie odczuwała tego rozpaczliwego pragnienia, by go uszczęśliwić? Kochała Jasona pomimo ostrzeżeń ojca, pomimo ostrzeżeń samego Jasona, że nie pragnie jej miłości, tylko ciała. Jakie to dziwne, że mąż dostał właśnie to, czego nie chciał, a nie to, czego pożądał. Z ogromną determinacją postanowiła, że zmusi go, by zapragnął i jednego, i drugiego.

Przeszła przez pokój, dźwięk jej kroków tłumił gruby dywan; zbliżyła się i stanęła za fotelem męża.

- Dlaczego tak ciężko pracujesz? - zapytała cicho.

Podskoczył na dźwięk jej głosu, ale się nie odwrócił.

- Lubię pracować - odpowiedział krótko. - Czy chciałaś czegoś? Jestem dosyć zajęty.

Nie był to zachęcający początek, i przez ułamek sekundy Victoria zastanawiała się, czy nie powiedzieć Jasonowi bez ogródek, że chce, by ją wziął do łóżka. Ale w głębi duszy nie czuła się aż tak śmiała ani nie paliła się do tego, żeby pójść z nim na górę, zwłaszcza że wydawał się jeszcze chłodniejszy niż w dniu ich ślubu. W nadziei, że poprawi mu humor, powiedziała miękko:

- Muszą cię chyba okropnie boleć plecy, gdy tak siedzisz przez cały dzień. - Zebrała się na odwagę, położyła dłonie na jego szerokich ramionach i zaczęła je masować palcami.

Zesztywniał cały, kiedy tylko go dotknęła.

- Co robisz? - zapytał.

- Pomyślałam, że pomasuję ci ramiona.

- Moje ramiona nie potrzebują twojej czulej troski, Victorio.

- Dlaczego na mnie warczysz? - zapytała i obesła biurko, przypatrując się, jak dłoń Jasona sunie szybko po papierze; pismo miał odważne i stanowcze. Ponieważ nie zwracał na nią uwagi, przycupnęła na skraju biurka.

Rzucił z niesmakiem pióro i odchylił się do tyłu w fotelu, przyglądając jej się bacznie. Noga żony znalazła się tuż przy jego ręce i kołysała się lekko, kiedy Victoria czytała, co napisał. Wbrew woli oczy Jasona przesunęły się w górę, na piersi dziewczyny, a potem przywarły do jej wygiętych ust. Miała wargi, które aż prosiły się, by je całować, a rzęsy tak długie, że rzucały cienie na policzki.

- Zejdź z mojego biurka i wyjdź stąd - wycedził.

- Jak sobie życzysz - odrzekła wesoło i wstała. - Przyszłam się po prostu z tobą przywitać. Co chciałbyś na obiad?

Ciebie, pomyślał.

- To bez znaczenia - odpowiedział.

- W takim razie, czy masz ochotę na coś szczególnego na deser?

To samo, co na obiad, pomyślał.

- Nie - odrzekł, borykając się z natarczywymi, gwałtownymi żądaniami własnego ciała.

- Bardzo łatwo cię zadowolić - stwierdziła Victoria żartobliwie i wyciągnęła rękę, by pogłodzić prostą linię jego brwi.

Jason chwycił w powietrzu jej dłoń i trzymał ją z daleka od siebie. Palce miał z żelaza.

- Co ty, u diabła, sobie wyobrażasz? - zapytał przez zęby. Victoria zadrżała w środku, ale udało jej się lekko wzruszyć ramionami.

- Ciągłe są między nami jakieś drzwi. Pomyślałam, że otworzę drzwi do gabinetu i zobaczę, co robisz.

- Dzieli nas więcej niż tylko drzwi - odparł, puszczając jej rękę.

- Wiem - odpowiedziała smutno, patrząc na niego w dół czułym, wilgotnym spojrzeniem.

Jason oderwał od niej oczy.

- Jestem bardzo zajęty - oznajmił lakonicznie i wziął do ręki papiery.

- Widzę to - odrzekła z dziwną miękkością w głosie. - Zbyt zajęty, by mieć dla mnie czas.

Kiedy przyszedł czas na kolację, pojawiła się w salonie, mając na sobie suknię z brzoskwiowego szyfonu, który opinał każdą wypukłość i wklęsłość jej zmysłowego ciała i był niemal przezroczysty. Oczy Jasona zwęziły się do szparek.

- Czyja za to zapłaciłem?

Victoria zauważyła, że wzroku nie może oderwać od śmiałego, głębokiego wycięcia w szpic przy staniku i uśmiechnęła się lekko.

- Oczywiście, że tak. Ja przecież nie mam żadnych pieniędzy.

- Nie ubieraj się w to poza domem. Jest nieprzyzwoita.

- Wiedziałaś, że ci się spodoba! - powiedziała z uśmiechem, wyczuwając instynktownie, że musi się bardzo podobać mężowi, skoro aż tak zapłonęły mu oczy.

Jason popatrzył na nią, jakby nie wierzył własnym uszom, a potem odwrócił się do kryształowych karafek na kredensie.

- Czy masz ochotę na trochę sherry?

- Dobry Boże, nie! - zawołała i wybuchnęła śmiechem. - Musiałeś już chyba zauważyć, że źle się czuję po winie. Dostaję po nim mdłości. Zawsze tak było. Pamiętasz, co się działo, kiedy wypijałam trochę w dzień naszego ślubu. - Nie zdając sobie sprawy, jak ważne było to, co właśnie powiedziała, odwróciła się, by przyjrzeć się bezcennej wazie z dynastii Ming, która stała na pozlacanym, wykładanym marmurem stoliku; zastanawiała się nad pewnym pomysłem i postanowiła, że go zrealizuje. - Chciałabym jutro pojechać do Londynu - oznajmiła, podchodząc do męża.

- Dlaczego?

Przycupnęła na poręczy fotela, w którym właśnie usiadł.

- Oczywiście po to, żeby wydawać twoje pieniądze.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że dałem ci pieniądze - zamruczał; rozpraszał go widok jej uda tak blisko. W romantycznym świetle świec szyfon robił wrażenie przejrzystego i miał kolor ciała.

- Wciąż jeszcze zostały mi niemal wszystkie te pieniądze, które od początku dostawałam od ciebie jako kieszonkowe. Czy pojedziesz ze mną do Londynu? Kiedy zrobię zakupy, moglibyśmy pójść do teatru i zatrzymać się w twoim domu w mieście.

- Jestem umówiony pojutrze rano.

- To nawet lepiej - odpowiedziała bez zastanowienia. Spędzą sami w powozie kilka godzin i będzie mnóstwo czasu na niespieszną rozmowę. - Wrócimy razem do domu jutro wieczorem.

- Nie wystarczy mi czasu - odmówił krótko.

- Jasonie... - poprosiła miękko i wyciągnęła rękę, by dotknąć jego sprężystych, kręconych włosów.

Jason zerwał się z fotela. Wznosił się nad nią groźnie, w jego głosie słyhać było wzgardę.

- Jeżeli potrzebne ci są pieniądze na wydatki w Londynie, powiedz! Ale przestań się zachowywać jak tania ulicznica albo cię odpowiednio do tego potraktuję i skończysz na tej kanapie ze spódnicą zarzuconą na głowę!

Victoria zapatrzyła się w niego z pełną upokorzenia furją.

- Jeżeli chcesz wiedzieć, wołałabym być tanią ulicznica niż kompletnie ślepym idiotą, takim jak ty, który źle rozumie każdy mój gest i pochopnie wyciąga same niewłaściwe wnioski!

Jason spojrział na nią spode łba.

- A co to właściwie ma znaczyć?

Victoria niemalże zaczęła tupać nogami z zakłopotania i wściekłości.

- Sam się domyśl! Tak wspaniale potrafisz mnie zrozumieć, tylko że zawsze się mylisz! Ale jedno ci powiem: jakbym była ulicznica, to umarłabym z głodu, gdyby tobie pozostawić inicjatywę! Co więcej, możesz sobie zjeść dziś kolację sam i zadręczyć służących zamiast mnie. Jutro pojedę do Londynu bez ciebie! - Z tymi słowy wypadła z pokoju i zostawiła męża, który gapił się za nią, ściągając brwi, jakby nic nie rozumiał.

Popędziła do swego pokoju, zrzuciła z siebie szyfonową suknię i włożyła satynowy szlafrok. Usiadła przed lustrem, a kiedy złość zaczęła mijać, pełne usta Victorii wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu. Wyraz zdumienia na twarzy Jasona, gdy powiedziała mu, że jakby była ulicznica i zostawiła jemu inicjatywę, to umarłaby z głodu, wydawał się niemal komiczny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Victoria wyjechała do Londynu następnego ranka bardzo wcześnie, a z powrotem wyruszyła o zmierzchu. W dłoniach tuliła z czułością przedmiot, który zobaczyła w pewnym sklepie, kiedy przed kilkoma tygodniami po raz pierwszy przyjechała do miasta. Już wtedy przypominał jej Jasona, ale wyglądał na przeraźliwie drogi, a poza tym w tamtej chwili kupowanie mu podarunków nie byłoby rzeczą właściwą. Pamięć o owym prezencie tkwiła jednak w jej głowie przez te wszystkie tygodnie i nie dawała spokoju, aż wreszcie Victoria bała się czekać dłużej i ryzykować, że sprzedadzą tę rzecz komuś innemu.

Nie miała pojęcia, kiedy mu to da; z pewnością nie w tej chwili, gdy ich stosunki układały się tak nieprzyjaźnie, ale nie będzie długo czekać. Wzdrygnęła się na myśl, ile zapłaciła. Jason dawał jej skandalicznie wysokie kieszonkowe, którego niemal nie tknęła, jednak na ten prezent wydała je do ostatniego szylinga i jeszcze dużo ponad tę kwotę, a różnicę właściciel ekskluzywnego sklepu bez najmniejszych oporów zapisał na rachunek, z przyjemnością otwarty dla markizy Wakefield.

- Wielmożny pan jest w gabinecie - oznajmił Victorii Northrup, otwierając drzwi.

- Czy chce się ze mną zobaczyć? - zapytała Victoria, zakłopotana, że kamerdyner tak z miejsca, niepytany, powiedział, gdzie znajduje się jej mąż.

- Nie wiem, wielmożna pani - odrzekł zgębiony. - Ale kilkakrotnie pytał... czy pani już wróciła do domu.

Victoria popatrzyła na znękaną minę Northrupa i przypomniała sobie, jaki niespokojny był Jason, kiedy zniknęła na całe popołudnie, wyjechawszy do kapitana Farrella. Jej podróż do Londynu trwała dwa razy dłużej, niż planowała, ponieważ nie pamiętała dokładnie, gdzie znajdował się sklep, więc pewnie znowu Jason postawił starego kamerdynera pod ścianą.

- Ile razy o mnie pytał? - zagadnęła.

- Trzy - westchnął Northrup. - W ciągu ostatniej godziny.

- Rozumiem - odpowiedziała Victoria z wyrozumiałym uśmiechem, ale poczuła się absurdalnie zadowolona na wieść, że Jason o niej myślał.

Pozwoliła Northrupowi zdjąć z siebie pelisę i poszła do gabinetu męża. Nie mogła zapukać, kiedy trzymała w rękach prezent dla niego, więc nacisnęła klamkę i pchnęła lekko drzwi ramieniem. Zamiast pracować przy biurku, jak się tego spodziewała, Jason stał przy oknie, oparty o framugę, i z ponurym wyrazem twarzy wpatrywał się w opadające tarasami

trawniki. Obejrzał się na pierwszy szmer przy drzwiach i natychmiast się wyprostował.

- Wróciłaś - powiedział i wsunął ręce do kieszeni.

- A myślałeś, że nie wrócę? - zapytała, pilnie obserwując jego twarz.

Jason ze znużeniem wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co zamierzasz zrobić za chwilę.

Biorąc pod uwagę to, jak się ostatnio zachowywała, Victoria potrafiła zrozumieć, że może uważać ją za najbardziej impulsywną i nieprzewidywalną istotę na świecie. Tylko wczoraj była najpierw uwodzicielska i czuła, potem zaś rozwścieczona porzuciła go w salonie. A teraz miała szaloną ochotę objąć go ramionami i poprosić, by jej wybaczył. Wolą jednak nie ryzykować takiego gestu, żeby nie narazić się na podobnie zjadliwą odprawę jak wcześniej, więc stłumiła to pragnienie i, rezygnując z wcześniejszej decyzji, postanowiła dać mu prezent od razu.

- Było coś, co musiałam kupić w Londynie - powiedziała wesoło, pokazując mu owiniętą w papier paczkę, którą trzymała w dłoniach. - Zauważyłam to kilka tygodni temu, tylko nie miałam wtedy dość pieniędzy.

- Powinnaś była mnie poprosić - odrzekł, już kierując się do biurka z wyraźnym zamiarem pogrążenia się w pracy.

Victoria potrząsnęła głową.

- Nie bardzo mogłam prosić cię o pieniądze, gdyż to, co chciałam kupić, miało być dla ciebie. Proszę - powiedziała, wyciągając ręce. - To dla ciebie.

Jason stanął jak wryty i spojrzał na podłużny, zawinięty w srebrny papier przedmiot.

- Co? - zapytał bezmyślnie, jakby nie zrozumiał słów, które do niego powiedziała.

- Pojechałam do Londynu po to, żeby ci to kupić - wyjaśniła Victoria i zagadkowo się uśmiechając, wyciągnęła do niego ręce z ciężką paczuszką.

Jason wpatrywał się w podarunek zdezorientowany, dłonie wciąż trzymał w kieszeniach. Z nagłym skurczem serca Victoria zastanowiła się, czy ktoś mu już kiedyś dał coś w prezencie. Ani jego pierwsza żona, ani kochanki zapewne nie miały takiego zwyczaju. A było sprawą przesądzoną, że owa okrutna kobieta, która go wychowała, na pewno go niczym nie obdarowywała.

Zanim w końcu wyjął ręce z kieszeni, z największym już trudem opanowała pragnienie, by objąć go mocno. Jason wziął prezent i obracał go w dłoniach, patrząc tak, jakby nie był pewien, co teraz powinien zrobić. Victoria ukryła pulsującą w jej sercu czułość za promiennym uśmiechem, przycupnęła na skraju biurka i zapytała:

- Nie masz zamiaru go rozpakować?

- Co? - zapytał bez wyrazu. Opanował się i dodał: - Czy chcesz, żebym go teraz otworzył?

- A kiedy będzie lepszy moment? - zapytała wesoło i poklepała biurko przy swoim biodrze. - Możesz go potem postawić tutaj, ale uważaj, żeby się nie rozbił.

- Jest ciężki - zgodził się i obdarzył ją szybkim, niepewnym uśmiechem, starannie rozwiązując cienki sznureczek i odwijając srebrny papier. Zdjął pokrywkę z dużego, obciążonego skórą pudełka i sięgnął do wyściełanego aksamitem wnętrza.

- Przypominał mi ciebie - powiedziała Victoria i uśmiechnęła się, kiedy delikatnie wyjmował wspaniale wyrzeźbioną z czarnego onyksu panterę o oczach z połyskliwych szmaragdów. Każda gładka linia smukłego ciała zwierzęcia wibrowała życiem, zupełnie jakby rzeźbiarz czarami zatrzymał kota w biegu i zmienił go w onyks; boki pantery promieniowały siłą i gracją, a w bezdennych, zielonych oczach lśniła drapieżność i inteligencja.

Jason, właściciel kolekcji obrazów i rzadkich dzieł sztuki, która, jak twierdzono, należała do najwspanialszych w Europie, przyglądał się panterze z taką admiracją, że patrzącej na niego Victorii aż zaszkliły się oczy. Wiedziała, że to piękna rzeźba, ale on traktował figurkę tak, jakby była bezcennym skarbem.

- To wspaniały kot - powiedział cicho, przesuwając kciukiem po grzbiecie pantery. Z niezwykłą ostrożnością postawił otrzymany prezent na biurku i odwrócił się do Victorii. - Nie wiem, co powiedzieć - przyznał, uśmiechając się jednym kącikiem ust.

Podniosła oczy na jego stanowczą twarz i ten chłopięcy uśmiech, i pomyślała, że nigdy jeszcze uroda męża nie chwytала jej tak za serce. Ogarnięta ogromną radością poradziła:

- Nic nie musisz mówić, wystarczy „dziękuję”, jeżeli chcesz to powiedzieć.

- Dziękuję ci - powtórzył dziwnym, ochrypłym głosem.

„Podziękuj mi pocałunkiem”. Ta myśl nie wiadomo skąd pojawiła się w głowie Victorii, a słowa wyfrunęły jej z ust, zanim zdążyła je powstrzymać.

- Podziękuj mi pocałunkiem - przypomniała mu z wesołym uśmiechem.

Jason wciągnął głęboko powietrze, jakby zbierał siły przed czymś bardzo trudnym; potem oparł płasko dłonie na biurku, pochylił się i dotknął wargami ust Victorii. Słodycz tego pocałunku niemal przerosła jej wytrzymałość. Pod przelotnym dotknięciem warg męża zachwiała się i straciła równowagę. Jason już miał się cofnąć, ale chwyciła go za ręce, by nie upaść do tyłu. Trzymała go, nie pozwalając mu się wyprostować, i Jason poczuł się jak umierający z głodu człowiek, którego proszą na bankiet. Zaczął całować jej wargi w czułym,

dzikim zapamiętaniu, a kiedy oddała mu pocałunek, wpił się w nie jeszcze mocniej. Rozchylił jej usta, drażnił, przynaglał do reakcji.

Victoria nieśmiało musnęła go wargami i Jason stracił panowanie nad sobą. Jęknął, objął ją, podniósł z biurka i przyciągnął do siebie. Czuł, jak jej dłonie przesuwają się po jego piersi, splatają się niecierpliwie na karku, jak przyciągają bliżej jego twarz, a zachęta, którą w tym geście wyczuwał, rozpałała w nim płomień namiętności, prawie pozbawiający go rozumu. Niemal wbrew woli jego dłoń przesunęła się z pleców żony na talię, a potem w górę, i objęła upojnie dojrzałą pełną pierś. Victoria zadrżała, lecz zamiast się cofnąć, czego się spodziewał, przywarła doń całym ciałem i tak samo zatraciła się w namiętności pocałunku jak on.

Z holu, tuż zza drzwi, doszedł do nich wesoły głos kapitana Farrella.

- Nie kłopotuj się, Northrup, znam drogę. - Drzwi otworzyły się i Victoria wyrwała się z objęć męża. - Jasonie, ja... - zaczął gość, wchodząc do gabinetu. Na widok zaróżowionych policzków Victorii i mrocznego marsa na czole przyjaciela stanął jak wryty z przeprasającym uśmiechem na twarzy. - Powinienem był zapukać.

- Już skończyliśmy - powiedział Jason sucho.

Victoria nie mogła zdobyć się na to, by spojrzeć kapitanowi w oczy, rzuciła tylko przelotny uśmiech mężowi i wymamrotała coś, że musi iść na górę przebrać się do kolacji.

Przybyły wyciągnął rękę.

- Jak się masz, Jasonie?

- Nie jestem pewien - odrzekł ten z roztargnieniem, przyglądając się, jak Victoria wychodzi.

Wargi Mike'a Farrella drgnęły w uśmiechu, ale jego rozbawienie szybko zbladło i zmieniło się w zatroskanie, kiedy Jason odwrócił się i powoli podszedł do okna. Jakby niewiarygodnie znużony, przesuwał dłonią po karku, masując napięte mięśnie i stał, wpatrując się w trawnik.

- Czy stało się coś złego?

Odpowiedzią był ponury śmiech.

- Nic złego się nie stało, Mike. A przynajmniej nic takiego, na co bym sobie nie zasłużył. I nic takiego, z czym sobie nie poradzę.

Kiedy w godzinę później Mike wyszedł, Jason opadł na oparcie fotela i zamknął oczy. Pożądanie, które w nim rozpałała Victoria, wciąż jeszcze trawiło go jak ogień. Pragnął jej aż do bólu. Pragnął jej tak bardzo, że musiał zacisnąć zęby i walczyć ze sobą, by nie pobiec na górę i nie wziąć jej od razu. Miał ochotę udusić ją za to, że kazała mu być „troskliwym mężem” i trzymać kochankę.

Ta jego dziewczęca żona doprowadzała go do szaleństwa. Przedtem chciała z nim grać w szachy i karty; teraz próbowała swoich sił w bardziej podniecającej grze: zaczęła z nim flirtować. Stała się uwodzicielką i jak się okazało, miała do tego ogromny wrodzony talent. Siadała mu na biurku lub przysiadła na poręczu jego fotela, ofiarowała prezent, poprosiła o pocałunek. Zastanawiał się brutalnie, czy kiedy całował ją kilka minut temu, wyobrażała sobie, że on to Andrew, tak jak udawała, że on to Andrew, kiedy się pobierali.

Pełen niesmaku do siebie, że jego ciało tak nieustępliwie jej pragnie, dźwignął się z fotela i wszedł szybko po szerokich, krętych schodach. Wiedział, że żeni się z kobietą innego mężczyzny, ale nie spodziewał się, że będzie mu to tak przeszkadzało. Wyłącznie duma nie pozwalała mu zmusić Victorii, by poszła z nim znowu do łóżka. Duma i świadomość, że kiedy będzie po wszystkim, nie więcej poczuje zadowolenia niż w ich poślubną noc.

Victoria usłyszała, że mąż krząta się w swoim pokoju i zapukała w łączące ich drzwi. Zawołał, żeby weszła, ale uśmiech jej gwałtownie przybladł, kiedy znalazła się w środku i zobaczyła, jak kamerdyner Franklin pakuje torbę, a Jason wpycha papiery ze stołu przed kominkiem do skórzanej teczki.

- Dokąd się wybierasz? - Aż jej tchu zabrakło.

- Do Londynu.

- Ale dlaczego? - nalegała, tak rozczarowana, że prawie nie mogła myśleć.

Zerknął na kamerdynera.

- Sam dokończę pakowanie, Franklinie. - Zaczekał, aż służący się wycofa i zamknie drzwi, a potem wyjaśnił krótko: - Lepiej mi się tam pracuje.

- A wczoraj wieczorem mówiłeś, że nie możesz jechać ze mną do Londynu i zatrzymać się tam na noc, bo musisz być tutaj i masz jutro wczesnie spotkać się z jakimiś ludźmi.

Jason przestał wpychać papiery do teczki i wyprostował się nagle. Z rozmyślną brutalnością zapytał:

- Victorio, czy wiesz, co dzieje się z mężczyzną, który całymi dniami, bez żadnej ulgi, trzymany jest w stanie podniecenia seksualnego?

- Nie - odpowiedziała słabo i potrząsnęła głową, żeby podkreślić, że nie wie.

- W takim razie wytłumaczę ci - warknął.

Usiłowała go powstrzymać.

- Chyba... chyba nie powinieneś, nie teraz, kiedy jesteś w takim nastroju.

- Nie miałem żadnych „nastrojów”, dopóki nie poznałem ciebie - wycodził przez zęby. Odwrócił się do niej plecami, oparł ręce o gzyms nad kominkiem i wbił spojrzenie w

podłogę. - Ostrzegam cię, idź do swego pokoju, zanim zapomnę, jakim to „troskliwym” mężem powinienem być i nie zadam sobie trudu, by jechać do Londynu.

Victoria poczuła, że zbiera się jej na mdłości.

- Jedziesz do swojej kochanki, prawda? - zapytała zduszonym głosem, przypominając sobie z niedowierzaniem, jaki uroczy jej się wydawał, kiedy dawała mu podarunek.

- Zaczynasz niezbyt sympatycznie przypominać zazdrosną żonę - wycedził Jason przez zęby.

- Nic na to nie poradzę, jestem twoją żoną.

- Masz bardzo osobliwe poglądy na to, co znaczy być żoną - zadrwił z niej brutalnie. - A teraz wynoś się stąd.

- Niech cię diabli! - wybuchnęła. - Czy nie możesz zrozumieć, że ja nie umiem być żoną? Umiem gotować i szyć, i dbać o męża, do tego jednak nie jestem ci potrzebna, bo masz ludzi, którzy się tobą opiekują. I powiem panu coś jeszcze, milordzie - ciągnęła dalej, rozżłoszczona nie na żarty. - Może ja nie jestem bardzo dobrą żoną, ale pan jest zupełnie niemożliwym mężem! Kiedy proponuję, że zagram z panem w szachy, zaczyna się pan złościć. Kiedy próbuję pana uwieść, robi się pan niemiły...

Zobaczyła, że Jason drgnął gwałtownie, lecz była już taka zła, że nie zwróciła uwagi na oszołomiony wyraz jego twarzy.

- A kiedy przywożę panu prezent, ucieka pan do Londynu do swojej kochanki!

- Tory - powiedział z bólem - chodź tutaj.

- Nie, jeszcze nie skończyłam! - krzyczała, pełna upokorzenia i furii. - Niech pan sobie jedzie do swojej kochanki, jeżeli tego pan chce, ale niech pan nie wini mnie, jeżeli nigdy nie będzie pan miał syna. Może jestem naiwna, nie na tyle jednak głupia, by wierzyć, że powinnam począć to dziecko sama, bez... bez jakiegoś udziału z pana strony!

- Tory, proszę, chodź tutaj - powtórzył Jason ochryple.

Doszła wreszcie do niej bolesna czułość w jego głosie, która gwałtownie przygasiła gniew, ale Victoria wciąż się bała, że mąż ją znowu odtrąci, jeżeli do niego podejdzie.

- Jasonie, wydaje mi się, że ty sam nie wiesz, czego chcesz. Powiedziałeś, że chcesz mieć syna, ale...

- Wiem dokładnie, czego chcę - sprzeciwił się i otworzył przed nią ramiona. - Jeżeli tylko podejdiesz, to ci pokażę...

Zafascynowana uwodzicielskim błyskiem zielonych oczu i aksamitną szorstkością głębokiego głosu Jasona podeszła powoli i znalazła się w miażdżącym uścisku ramion męża. Przywarł do jej warg, rozchylił usta i wodził nimi tam i z powrotem w zapamiętałym, dziko

podniecającym pocałunku, od którego żar oblał ją całą. Dłonie Jasona pieściły zachłannie plecy i piersi Victorii, uśmierzając lęk i rozpalając pożądanie wszędzie, gdzie tylko jej dotknęły.

- Tory - szepnął urywanym głosem i przesunął wargami w dół po szyi, a Victoria aż zadygotała z rozkoszy. - Tory - powtórzył z utęsknieniem i przylgnął znowu wargami do jej ust.

Całował ją powoli, głęboko, potem coraz bardziej pożądliwie, przesuwając rękami po jej ciele, a kiedy objął ją znowu i przyciągnął mocno do siebie, Victorii wyrwał się z gardła jęk.

Nagle porwał ją na ręce i uniósł. Victoria, zatopiona w wibrującej, pełnej żaru magii jego dłoni i ust, poczuła, że pokój się przechylił, gdy mąż delikatnie kładł ją na łóżku. Zacisnęła kurczowo powieki, kiedy ściągał z siebie ubranie. Poczuła, jak łóżko ugięło się pod jego ciężarem i walcząc z paniką czekała, aż Jason rozwiąże jej szlafrok.

Zamiast tego czule pocałował jej zamknięte oczy i objął ją, delikatnie przyciągając do siebie.

- Księżniczko - szepnął, a jego głęboki, lekko ochryply głos zabrzmiał w jej uszach równie słodko, jak to pieszczotliwe określenie - proszę, otwórz oczy. Nie rzucę się na ciebie, przyrzekam.

Victoria usłuchała go; poczuła nieopisaną ulgę, że Jason pomyślał o tym, by zgasić wszystkie świece poza dwiema, które paliły się na kominku po drugiej stronie pokoju.

Jason zobaczył lęk w szeroko otwartych niebieskich oczach żony, oparł się na łokciu i wyciągnął wolną rękę, by czule przygładzić burzę potarganych, rudozłotych loków, które rozsypały się po poduszce. Nie dotykał jej wcześniej żaden inny mężczyzna, myślał z uwielbieniem. Na tę myśl zalała go duma. Ta piękna, dzielna, niezepsuta dziewczyna oddała się jemu i wyłącznie jemu. Chciał jej wynagrodzić ich noc poślubną, chciał, by jęczała z rozkoszy i tuliła się do niego.

- Nie wiem, o czym teraz myślisz - powiedział cicho - ale wyglądasz na śmiertelnie przerażoną. Przecież wszystko jest tak samo, jak było kilka minut temu, kiedy się całowaliśmy.

- Tylko że ty już nie masz na sobie ubrania - przypomniała mu drżącym głosem Victoria.

Jason przygryzł wargę, by się nie uśmiechnąć.

- To prawda. Ale ty masz.

Nie na długo, pomyślała i usłyszała głęboki, zmysłowy śmiech męża, jakby czytał w jej myślach. Pocałował ją w kącik oka.

- Czy chcesz zatrzymać na sobie szlafroczek?

Jego żona, którą pozbawił dziewictwa brutalnie szybko, bez cienia czułości, popatrzyła mu w oczy, położyła dłoń na jego policzku i szepnęła cichutko:

- Chcę, żebyś byś szczęśliwy. A nie wydaje mi się, żebyś chciał, bym miała go na sobie.

Jason jęknął cicho, pochylił się i pocałował ją czule; aż zadygotał, kiedy oddała mu pocałunek z niewinną namiętnością, od której pożądanie rozgorzało w nim świeżym płomieniem. Oderwał wargi od jej ust.

- Tory - powiedział z ironią - gdybyś uszczęśliwiła mnie bardziej, niż kiedy mnie całujesz, to umarłbym ze szczęścia.

Cały rozdygotany zaczerpnął powietrza i rozwiązał aksamitny pasek, lecz kiedy zaczął zdejmować z niej szlafrok, dłoń Victorii zacisnęła się konwulsyjnie na ręce męża.

- Nie rozchylę go, dopóki nie będziesz tego chciała, moja słodka

- obiecał, a jego dłoń spoczywała teraz bez ruchu. - Miałem tylko nadzieję, że już nic nas nie będzie dzieliło, ani nieporozumienia, ani drzwi, ani nawet ubrania. Rozebrałem się, żeby ci się pokazać, a nie żeby cię przestraszyć.

Victoria zadrżała, słysząc to słodkie wyjaśnienie i zdjęła rękę z jego dłoni; a potem, ku ogromnej radości Jasona, objęła go za szyję i oddała mu się całkowicie.

Jak w transie dotknęła palcami jego zmysłowych ust, instynktownie uświadamiając sobie, że bardzo jej pragnął i musiał nad sobą panować, by jej natychmiast nie wziąć.

- Taki jesteś delikatny - szepnęła łamiącym się głosem - taki delikatny...

Z głębi piersi wyrwał mu się niski jęk i powściągliwość prysnęła. Pot mu wystąpił na czoło, kiedy walczył z dręczącymi żądaniami własnego ciała; zanurzył się w niej i zaczął się powoli poruszać, obserwując jej twarz. Victoria przyłgnęła doń cała w drżącym pragnieniu, przyciskając mocno biodra do jego ud i łaknąc tego wybuchu spełnienia, które chciał jej dać. Słyszał teraz jej cichy, rozgorączkowany oddech i zaczął miarowo zwiększać tempo głębokich, mocnych pchnięć.

- Sięgnij po to, Tory - wykrztusił. - Dam ci to, przyrzekam.

Całe ciało Victorii przeszła ekstaza, błyski rozkoszy rozkwitały coraz szybciej i szybciej, aż skumulowały się w eksplozji, która wydarła jej krzyk z gardła. Jason pochylił się i pocałował ją ostatni raz i wreszcie przyłączył do niej w słodkim zatraceniu.

Potem odwrócił się na bok i pociągnął ją za sobą. Kiedy jego ciężki oddech w końcu się wyrównał, pocałował Victorię w czoło i przyglądał potargane, jedwabiste włosy, odgarniając je do tyłu.

- Jak się czujesz? - zapytał miękko.

Dłgie, podwinięte rzęsy Victorii zatrzepotały i uniosły się. Zobaczył jej oczy, przypominające głębokie niebieskie jeziora, pełne omdlewającej błogości.

- Czuję się jak żona - wyszeptła.

Roześmiał się, przesuwając palcem po jej delikatnej twarzy, a Victoria wtuliła się w niego.

- Jasonie - odezwała się, a głos jej drgał z emocji, kiedy podniosła na niego oczy. - Jest coś, co chciałabym ci powiedzieć.

- Co? - zapytał, uśmiechając się do niej czule.

Tak po prostu, bez żadnego zażenowania, wyznała:

- Kocham cię.

Uśmiech męża przybladł.

- Naprawdę. Naprawdę cię...

Przycisnął palce do jej warg, by ją uciszyć i potrząsnął głową.

- Nie, nie kochasz - powiedział ze spokojną, nieustępliwą stanowczością. - I nie powinnaś mnie kochać. Nie dawaj mi więcej, niż już mi dałaś, Tory.

Victoria odwróciła oczy i zamilkła. Nie wyobrażała sobie, że ta odprawa może aż tak ją zboleć. Leżała w jego ramionach, prześladowana słowami: „...nie potrzebuję twojej miłości. I nie chcę jej”.

Stojący w holu Franklin zastukał do drzwi; chciał się przekonać, czy lord Fielding życzy sobie, by mu znieść bagaż. Kiedy nie usłyszał odpowiedzi na swoje pukanie, założył, że wielmożny pan musi być gdzie indziej i, jak to miał w zwyczaju, otworzył drzwi.

Postąpił krok do wnętrza słabo oświetlonego pokoju i zamrugał. Jego spłoszone spojrzenie przykuła leżąca w wielkim łóżu z baldachimem para, a potem oczy przeskoczyły ze zgrozą na stos ubrań, który Jason wyrzucił z szafy i które leżały teraz w sromotnym bezładzie na podłodze obok łóżka. Sumienny kamerdyner przygryzł wargę, żeby powstrzymać odruch, który nakazywał mu podejść na paluszkach, by rozplatać elegancki surdut wielmożnego pana oraz nogawki spodni ze skóry kozłowej. Zamiast to zrobić, rozsądnie wycofał się z pokoju i zamknął za sobą drzwi z cichym szczęknięciem.

Kiedy już znalazł się w holu, troska o tak nonszalancko potraktowaną garderobę lorda Fieldinga ustąpiła miejsca spóźnionej radości, wywołanej dopiero co ujrzaną sceną. Odwrócił się, popędził korytarzem i wypadł na podest, wychodzący na hol na parterze.

- Panie Northrup! - szepnął głośno, wychylając się ryzykownie przez poręcz i wymachując szaleńczo ręką do głównego kamerdynera, który stał w pobliżu drzwi

frontowych. - Panie Northrup, mam wiadomość najwyższej wagi! Niech pan tu podejdzie, żeby nikt nie mógł nas podsłuchać...

Na dole, na lewo od Franklina, dwie czujne pokojówki wypadły z pokoi, w których właśnie sprzątały, zderzyły się ze sobą i w pośpiechu odepchnęły się nawzajem łokciami, byle usłyszeć, co też pan Franklin ma do powiedzenia. Na prawo od niego zmaterializował się nagle w holu jakiś lokaj i zaczął z entuzjazmem polerować lustro woskiem i olejkiem cytrynowym.

- Stało się! - syknął Franklin do Northrupa, zręcznie ubierając swoją wiadomość w formę na tyle niejasną, by mieć pewność, że nikt nie zdoła jej zrozumieć, nawet gdyby ktoś podsłuchiwał.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście, że tak - odparł Franklin urażony.

Sztywna maska Northrupa ustąpiła miejsca przelotnemu uśmiechowi, lecz stary kamerdyner opanował się szybko i przybrał typowy dla siebie, oficjalnie chłodny wyraz twarzy.

- Dziękuję panu, panie Franklin. Jeżeli tak się sprawy mają, każe odprowadzić powóz z powrotem do stajni.

Mówiąc to, Northrup odwrócił się i skierował do drzwi frontowych. Otworzył je i wyszedł w mrok przed dom, gdzie czekał elegancki, polakierowany na bordowo powóz, ozdobiony złotym herbem markiza Wakefielda na drzwiczkach; latarnie jarzyły się jasno w ciemnościach. Cztery lśniące, dobrane kasztany przytupywały niecierpliwie w zaprzęgu, rzucając ciężkimi grzywami, dźwięcząc uprzężą i nie mogąc już się doczekać, kiedy wreszcie ruszą. Northrup nie zdołał zwrócić na siebie uwagi ubranych w liberię stangretów, którzy sztywno wyprostowani siedzieli na koźle, zszedł więc po stopniach na podjazd.

- Wielmożny pan - oznajmił stangretowi swoim najbardziej chłodnym i najbardziej autorytatywnym tonem - nie będzie korzystał z waszych usług dziś wieczorem. Możecie odprowadzić konie.

- Nie będzie mu potrzebny powóz? - wybuchnął ze zdumieniem stangret John. - Ale sam przysłał mi przed godziną polecenie, że chce, by zaprzęgać, i to szybko!

- Jego plany - odparł lodowato Northrup - uległy zmianie.

Zaskoczony John sapnął z irytacją i popatrzył podejrzliwie na sztywnego kamerdynera.

- Mówię panu, to musi być jakaś pomyłka. On wybiera się do Londynu...

- Idioto! On wybierał się do Londynu. Teraz zamiast tego udał się na spoczynek!

- O wpół do siódmej?... - Lecz kiedy Northrup odwrócił się i pomaszerował do domu, pełen zrozumienia uśmiech rozświetlił nagle twarz stangreta. Dał kompanowi sówkę w bok, rzucił na niego chytre, roześmiane spojrzenie i mruknął: - Coś mi się zdaje, że lady Fielding musiała zdecydować, że skończyła się moda na brunetki. - Potem zawrócił konie w stronę stajni, żeby podzielić się tą wieścią ze stajennymi.

Northrup udał się prosto do jadalni, gdzie O'Malley, pogwizdując wesoło pod nosem, sprzątał właśnie delikatną porcelanę, którą wcześniej przygotował do samotnego posiłku Victorii, dowiedziawszy się o nagłej decyzji pana, dotyczącej wyjazdu do Londynu.

- Nastąpiła zmiana, panie O'Malley - zawiadomił go Northrup.

- Ano, panie Northrup - zgodził się wesoło zuchwały lokaj - nie ma co, naprawdę nastąpiła.

- Może pan sprzątnąć nakrycia ze stołu.

- Ano, już sprzątnąłem.

- Niemniej jednak lord i lady Fielding mogą sobie życzyć kolacji o późniejszej porze.

- Na gorze - przewidział, nie kryjąc uśmiechu O'Malley.

Northrup zeszywniał, a potem odwrócił się i odszedł.

- Arogancki, bezczelny Irlandczyk! - mamrotał rozzłoszczony.

- Nadęty, pompatyczny bufon! - odpowiedział za jego plecami O'Malley.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Dzień dobry, jaśnie pani - powiedziała rozpromieniona Ruth. Victoria odwróciła się na bok w łóżku Jasona z rozmarzonym uśmiechem w oczach.

- Dzień dobry. Która godzina?

- Dziesiąta. Czy mam pani przynieść jakiś szlafroczek? - zapytała pokojówka, zerkając na znamiennej płataninę rozrzuconych na podłodze ubrań i pościeli.

Victoria zaczerwieniła się, ale była zbyt ociężała, zbyt rozkosznie znużona, by poczuć cokolwiek poza łagodnym zażenowaniem, że Ruth zastała ją w łóżku męża, a cała podłoga zasłana jest ubraniami. Kochał się z nią jeszcze dwa razy, zanim zasnęli, a potem znowu tego ranka.

- Daj spokój, Ruth - wymamrotała. - Chyba sobie jeszcze trochę pośpię.

Kiedy służąca wyszła, Victoria przewróciła się na brzuch i wtuliła głębiej w poduszki; uśmiechała się przy tym łagodnie. Cały wielki świat uważał Jasona Fieldinga za chłodnego, cynicznego i nieprzystępnego, przypominała sobie z tajemniczym uśmiechem. Ależ poczuliby się wstrząśnięci, gdyby się dowiedzieli, jakim był czułym, namiętym, gorącym kochankiem! Lecz może to nie jest tajemnica, przyszło jej na myśl, a uśmiech trochę przybladł. Widziała, jak chciwie spoglądały na niego mężatki, a ponieważ nie mogły przecież chcieć go poślubić, musiały go pożądać jako kochanka.

Zastanawiając się nad tym, przypomniała sobie, jak często w plotkach łączono jego nazwisko z pięknymi damami, których mężowie byli starzy i brzydcy. Musiało być przed nią w jego życiu wiele kobiet, bo dokładnie wiedział, jak ją całować i gdzie dotykać, by ożywić namiętnością jej ciało.

Odepchnęła od siebie te ponizające myśli. To bez znaczenia, ile kobiet zaznało dzikiego, pogańskiego piękna jego uścisków, ponieważ od teraz był jej i tylko jej. Oczy już się Victorii zamykały, kiedy wreszcie zauważyła płaskie, czarne etui od jubilera, spoczywające na stoliku obok łóżka. Bez większego zainteresowania wysunęła rękę spod jedwabnych prześcieradeł, wzięła puzderko i otworzyła zameczek. W środku leżał wspaniały szmaragdowy naszyjnik, a obok niego kartka od Jasona ze słowami: „Dzięki Ci za niezapomnianą noc”.

Gładkie czoło Victorii zmarszczyła chmura. Tak żałowała, że oponował, kiedy próbowała mu powiedzieć, że go kocha. Tak żałowała, gdy nie powiedział, że on też ją kocha. A najbardziej żałowała, że nie przestaje obsypywać jej klejnotami, jeżeli tylko sprawi mu

przyjemność. Zwłaszcza ta błyskotka niemiło kojarzyła jej się z zapłatą za wykonaną usługę...

Victoria nagle się obudziła. Dochodziła dwunasta, a Jason mówił jej, że do tego czasu spotkanie, które miał tego ranka, powinno się skończyć. Nie mogąc doczekać się, aż go zobaczy i będzie rozkoszować się ciepłem jego serdecznego uśmiechu, ubrała się w ładną lawendową suknię o miękkich, szerokich rękawach, zebranych przy nadgarstkach w szerokie mankiety. Wierciła się niecierpliwie, kiedy Ruth układała jej włosy, najpierw szczotkując je, aby zaczęły lśnić, a potem skręcając w grube loki i wiążąc lawendowymi, aksamitnymi wstążkami.

Gdy tylko pokojówka skończyła, Victoria pobiegła korytarzem, a potem zmusiła się, by już w bardziej przyzwoitym tempie zejść po szerokich schodach. Northrup naprawdę się do niej uśmiechnął, kiedy zapytała, gdzie może znaleźć Jasona, a gdy po drodze do gabinetu męża mijała w holu O'Malleya, przysięgłaby, że irlandzki lokaj puścił do niej oko. Wciąż jeszcze się nad tym zastanawiała, stukając do gabinetu Jasona i wchodząc do środka.

- Dzień dobry - powiedziała promiennie. - Pomyślałam sobie, że może chciałbyś zjeść ze mną obiad.

Jason niemal nie spojrzał w jej kierunku.

- Przepraszam cię, Victorio, ale jestem zajęty.

Poczuła się trochę jak kłopotliwe dziecko, któremu właśnie stanowczo, choć uprzejmie wskazano jego miejsce, i zapytała z wahaniem:

- Jasonie, dlaczego ty tak ciężko pracujesz?

- Bo praca sprawia mi przyjemność - odrzekł chłodno.

Najwyraźniej większą przyjemność niż jej towarzystwo, uświadomiła sobie Victoria, ponieważ z pewnością te pieniądze nie są mu potrzebne.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłam - powiedziała spokojnie. - Nie zrobię tego więcej.

Kiedy zamykały się drzwi, Jason chciał zawołać, że zmienił zdanie, pohamował jednak ten odruch i usiadł znowu przy biurku. Pragnął zjeść z nią obiad, lecz nie byłoby mądrze spędzać w jej towarzystwie zbyt wiele czasu. Pozwoli, by Victoria stanowiła miłą rozrywkę w jego życiu, ale nie dopuści, by stała się tegoż życia punktem centralnym. Takiej władzy nad sobą nie da żadnej kobiecie.

Victoria śmiała się, patrząc, jak mały Billy wymachuje dziecianną szabelką na polu za sierocińcem i rozkazuje jednej z sierot „przygotować się na śmierć”. Z czarną przepaską na zdrowym oku dzielny malec był rozkosznym piratem.

- Czy myśli pani, że ta przepaska to może być sposób na zeza? - zapytał pastor, stając obok niej.

- Nie jestem pewna. Mój ojciec był równie zaskoczony, jak wszyscy wokół, kiedy tak bardzo pomogła tamtemu chłopcu. Po tym, gdy oko się wyprostowało, papa zastanawiał się, czy to nie dlatego, że w takich przypadkach winne jest nie samo oko, tylko mięśnie, które kontrolują jego ruchy. A gdyby tak było, to po zakryciu zdrowego oka mięśnie chorego mogą się wzmocnić, jeżeli są zmuszone do tego przez ciągłe ćwiczenie.

- Zastanawialiśmy się z żoną, czy nie zaszczyciłaby nas pani dziś wieczorem swą obecnością na kolacji po dziecięcym przedstawieniu kukielkowym. Jeżeli mogę tak to ująć, dzieci z sierocińca naprawdę mają szczęście, że znalazły taką szczodłą i oddaną opiekunkę. Ośmielę się powiedzieć, że w całej Anglii nie znajdzie się drugiego przytułku, w którym sieroty byłyby lepiej ubrane czy odżywione, niż te tutaj, dzięki pani szczodrobliwości.

Victoria uśmiechnęła się i właśnie zaczynała dziękować za to pełne życzliwości zaproszenie, kiedy nagle zmieniła zdanie i przyjęła je. Posłała jedno ze starszych dzieci do Wakefield z wiadomością dla Jasona, że będzie jadła wieczorem u pastorstwa, a potem oparła się o drzewo, patrząc, jak dzieci bawią się w piratów, i rozważała, jak mąż zareaguje na jej bezprecedensową wieczorną nieobecność.

Prawdę mówiąc nie miała pojęcia, czy go to obejdzie. Życie stało się bardzo dziwne, bardzo niezrozumiałe. Oprócz biżuterii, którą obdarował ją wcześniej, miała teraz parę szmaragdowych kolczyków i pasującą do naszyjnika bransoletę, diamentowe kolczyki, rubinową broszkę i komplet diamentowych spinek do włosów, po jednym klejnocie za każdą następną noc, po tym wieczorze, gdy się przyznała, że próbowała go uwieść.

Co noc namiętnie się z nią kochał, a raniem zostawiał jej jakiś kosztowny upominek i wykreślał ją z pamięci i swego życia, dopóki nie spotykali się przy kolacji, a potem w łóżku. W wyniku tego dziwnego traktowania, Victoria zaczynała czuć żywą niechęć do Jasona, a jeszcze żywsze obrzydzenie do biżuterii.

Może łatwiej byłoby jej znieść jego postępowanie, gdyby rzeczywiście całymi dniami pracował, ale tak nie było. Znajdował czas na to, by pojechać na przejażdżkę z Robertem Collingwoodem, by odwiedzać sąsiada i robić całe mnóstwo innych rzeczy. Victorię obdarzał swoim towarzystwem wyłącznie przy kolacji i później, kiedy szli do łóżka. Świadomość, że tak ma wyglądać całe ich życie, powodowała, że robiło jej się smutno, a potem zaczynała być zła. Dziś była tak bardzo zła, że z rozmysłem nie wróciła do domu na kolację.

Najwyraźniej Jason chciał małżeństwa typowego dla arystokracji. Spodziewał się, że ona będzie szła swoją drogą, a on swoją. Wyrafinowani małżonkowie nie czepiali się siebie, to wiedziała: uważano takie zachowanie za wulgarne i pospolite. Nie mówili też sobie, że się kochają, ale pod tym względem Jason zachowywał się bardzo dziwnie. Powiedział jej, że ma

go nie kochać, a przecież kochał się z nią co noc, całymi godzinami, tak długo topiąc jej zmysły w rozkoszy, aż w końcu wykrzyczała swoją miłość do niego. Im bardziej chciała powstrzymać słowa „kocham cię”, tym bardziej żywiłowo ją kochał, aż wymuszał na niej to wyznanie dłońmi i ustami, i swoim twardym, natarczywym ciałem. Dopiero wtedy pozwalał jej przeżyć wybuchową ekstazę, którą potrafił jej dać.

Zachowywał się tak, jakby chciał, jakby musiał usłyszeć owo wyznanie miłości; a przecież nigdy, nawet w szczytowym momencie własnego zaspokojenia, sam jej miłości nie wyznał. Sercem i ciałem należała do niego; przykuwał ją do siebie z rozmysłem, zręcznie i umiejętnie, trzymał w niewoli szaleńczej, pełnej żaru rozkoszy, a przecież pod względem emocjonalnym był bardzo daleki.

Po całym tygodniu czegoś takiego Victoria z determinacją postanowiła go zmusić, by podzielił jej uczucie i by się do tego przyznał. Nie mogła, nie potrafiła uwierzyć, że jej nie kocha, wyczuwała miłość w pieszczotliwym dotknięciu jego dłoni i gorących pocałunkach. Poza tym, jeżeli nie chciał jej uczucia, dlaczego z rozmysłem zmuszał ją, by mu wyznawała miłość?

Opierała się na tym, co powiedział jej kapitan Farrell i niemal potrafiła zrozumieć, że Jason nie chce oddać jej swego serca. Potrafiła zrozumieć, ale postanowiła tę sytuację zmienić. Kapitan Farrell mówił, że Jason pokocha tylko raz... Raz i już na zawsze. Rozpaczliwie chciała, żeby to właśnie ją tak pokochał. Może gdyby nie była dla niego tak łatwo dostępna, uświadomiłby sobie, że za nią tęskni, może nawet przyznałby się do tego. Taką przynajmniej miała nadzieję, kiedy wysyłała mu uprzejmy liścik, że nie wróci do domu na kolację.

Podczas występu dzieci Victoria siedziała jak na szpilkach, tak samo później podczas kolacji u pastorostwa. Czekwała na moment, kiedy będzie mogła wrócić do Wakefield i przekonać się na własne oczy, jak mąż zareagował na jej nieobecność. Chociaż protestowała, że to niekonieczne, pastor uparł się, by odprowadzić ją wieczorem do domu, przez całą drogę przestrzegając, jakie niebezpieczeństwa czyhają na kobietę, która jest na tyle niemądra, że odważy się samotnie chodzić po ciemku.

Rojąc cudowne, choć - jak sama musiała przyznać - mało realistyczne marzenia, że natychmiast po jej powrocie Jason przyklęknie na jedno kolano i wyzna jej miłość, ponieważ tak bardzo mu jej brakowało przy wieczornym posiłku, Victoria niemal biegiem przekroczyła próg pałacu.

Northrup powiadomił ją, że lord Fielding, dowiedziawszy się, iż żona ma zamiar zjeść kolację gdzie indziej, postanowił skorzystać z zaproszenia sąsiadów i jeszcze nie wrócił.

Zawiedziona Victoria udała się do swoich pokoi, wzięła długą kąpiel i umyła włosy. Kiedy skończyła, męża wciąż jeszcze nie było, więc położyła się i bez zainteresowania przeglądała jakieś pismo. Jeżeli Jason chciał jej odplącić pięknym za nadobne, myślała z niesmakiem, nie mógł znaleźć lepszego sposobu, chociaż nie wierzyła, by miał zadawać sobie tyle trudu tylko po to, by dać jej nauczkę.

Zanim usłyszała, jak wchodzi do swego pokoju, dochodziła już jedenasta; Victoria natychmiast chwyciła gazetę i zapatrzyła się w nią, jakby w życiu czegoś tak ciekawego nie widziała. W kilka minut później mąż pojawił się w jej pokoju. Zdążył już pozbyć się krawata, a koszulę miał rozpiętą niemal do pasa, przez co widać było sprężyste, gęste włosy na opalonym torsie. Wyglądał tak męsko i przystojnie, że Victorii zabrakło tchu w piersiach i zaschło jej w ustach, ale stanowcza twarz męża była całkowicie spokojna.

- Nie wróciłeś do domu na kolację - zauważył, stając obok łóżka.

- Nie - zgodziła się Victoria, usiłując mówić równie zdawkowym tonem.

- Dlaczego nie?

Rzuciła mu niewinne spojrzenie i powtórzyła udzielone przez niego samego wyjaśnienie, dlaczego ją ignoruje.

- Towarzystwo innych ludzi sprawia mi przyjemność, tak jak tobie przyjemność sprawia praca. - Niestety tu opanowanie odrobinę ją zawiodło i dodała troszkę nerwowo: - Nie sądziłam, żebyś miał się przejąć tym, że mnie nie będzie.

- Wcale się nie przejąłem - powiedział.

Victoria poczuła się smutno rozczarowana jego słowami, a Jason, pocałowawszy ją cnotliwie w czoło, wrócił do własnych pokoi.

Jego żona spojrzała pośpiesznie na puste poduszki obok siebie. W głębi serca nie mogła uwierzyć, że nie obchodzi go to, czy była na kolacji, czy nie. Nie chciała też uwierzyć, że zamierzał tej nocy sam spać i leżeć, czekając na niego, ale nie przyszedł.

Obudzony następnego ranka, czuła się okropnie, a było to jeszcze zanim Jason wszedł do jej pokoju, świeżo ogolony i wprost tryskający energią, i zaproponował od niechcienia:

- Jeżeli czujesz się nieco samotna, Victorio, może pojechałabyś na dzień czy dwa do miasta.

Poczuła ukłucie bólu, a szczotka wysunęła się z jej osłabłych palców. Uratowała ją jednak nieustępliwa duma i udało jej się odpowiedzieć spokojnie, z przylepionym do twarzy promiennym uśmiechem. Albo ją sprawdzał, albo chciał się jej pozbyć. Wszystko jedno, o co mu chodziło, zamierzała postąpić zgodnie z sugestią męża.

- Cóż za wspaniały pomysł, Jasonie. Rzeczywiście chyba tak zrobię. Dziękuję ci za tę propozycję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Victoria pojechała do Londynu i zatrzymała się tam cztery dni, wbrew wszystkiemu wierząc, że może jednak Jason za nią przyjedzie, a ponieważ nie przyjeżdżał, z godziny na godzinę czuła się coraz bardziej rozżalona i samotna. Wybrała się trzy razy do teatru i opery, odwiedzała przyjaciół. Nocami, nie mogąc zasnąć, leżała, usiłując zrozumieć, jak to może być, że mężczyzna w nocy jest taki czuły, a w dzień tak zimny. Nie potrafiła uwierzyć, że widzi w niej tylko środek do zaspokajania swej żądz. To nie mogła być prawda, przecież przy wieczornych posiłkach wydawał się taki zadowolony z jej towarzystwa. Kiedyś nawet pochwalił Victorię za inteligencję i wrażliwość. A kilka razy zdarzyło się, że pytał ją o zdanie na tematy tak rozbieżne, jak ustawienie mebli w salonie i kwestia, czy powinien wysłać na rentę starego rządcę i znaleźć na jego miejsce kogoś młodszego.

Czwartego wieczoru Charles zaprowadził ją do teatru. Po przedstawieniu wróciła do domu Jasona przy Upper Brook Street, żeby przebrać się przed balem, na którym, zgodnie z obietnicą, miała się pojawić. Następnego dnia rano zamierzała wracać do domu, tak z mieszaniną rezygnacji i smutku postanowiła; była gotowa przyznać, że przegrała w zmaganiach siły woli z Jasonem, i podjąć walkę o jego uczucia na froncie domowym.

Spowita w efektowną suknię balową z mieniącego się, naszywanego srebrnymi pajetkami muślinu, weszła na salę, mając po jednej stronie markiza de Salle, a po drugiej barona Arnoffa.

Kiedy wchodziła, głowy obecnych odwracały się w jej stronę i Victoria zauważyła, że ludzie jakoś dziwnie na nią patrzą. Poprzedniego wieczoru również odniosła takie niepokojące wrażenie. Trudno jej było uwierzyć, by *ton* mógł ganić ją tylko za to, że przebywa w Londynie bez męża. Poza tym spojrzenia, które rzucali na nią eleganckie damy i dżentelmeni, nie były krytyczne. Przyglądano jej się z pewnym rodzajem zrozumienia, a może nawet litości.

Caroline Collingwood pojawiła się pod koniec wieczoru i Victoria odciągnęła ją na bok, zamierzając się dowiedzieć, czemu ludzie tak dziwnie się zachowują. Zanim miała okazję zadać to pytanie, przyjaciółka sama udzieliła jej odpowiedzi.

- Victorio - odezwała się z niepokojem - czy wszystko jest w porządku... między lordem Fieldingiem a tobą, mam na myśli? Nie poróżniliście się chyba jeszcze, prawda?

- Poróżnili? - zapytała Victoria bez zrozumienia. - Czy tak właśnie ludzie myślą? Czy dlatego tak dziwnie mi się przyglądają?

- Nie robisz niczego złego - pośpiesznie zapewniła ją Caroline i rozejrzała się szybko, by się upewnić, czy nie ma nigdzie w pobliżu oddanych Victorii adoratorów. - Tylko że w tym akurat przypadku ludzie wyciągają różne pochopne wnioski, na przykład taki, że nie zgadzacie się z lordem Fieldingiem, no i że od niego odeszłaś.

- Że ja co? - wybuchnęła Victoria pełnym niesmaku szeptem. - Dlaczegoż miałiby coś takiego pomyśleć? Przecież lady Calliper też przyszła bez męża, i hrabina Graveron jest bez męża, i...

- Ja również nie przyjechałam z mężem - przerwała jej z desperacją Caroline. - Ale widzisz, żaden z naszych mężów nie był wcześniej żonaty. A twój był.

- I to jest jakaś różnica? - zapytała Victoria, zastanawiając się, jaki horrendalny, nieznanym jej konwenans złamała tym razem.

Ton miał zasady, które rządziły zachowaniem każdej kategorii ludzi, do tego zaś długą listę wyjątków, przez co wszystko robiło się niemożliwie skomplikowane. A przecież nie potrafiła uwierzyć, by tylko pierwszym żonom wolno było poruszać się samym w towarzystwie, natomiast drugim już nie.

- To jest różnica - westchnęła Caroline - ponieważ pierwsza lady Fielding opowiadała straszne rzeczy o tym, jak okrutny był dla niej mąż, no i znaleźli się tacy, którzy jej uwierzyli. Jesteś mężatką od niecałych dwóch tygodni, a już przyjechałaś do Londynu i wcale nie wyglądasz na bardzo szczęśliwą, Victorio, naprawdę. Ludzie, którzy wierzyli opowieściom pierwszej lady Fielding, przypomnieli je sobie, powtarzają teraz to, co mówiła i widzą w tobie potwierdzenie jej słów.

Victoria spojrzała na nią, znękana do ostateczności.

- Do głowy mi to nie przyszło i ani przez chwilę nie wyobrażałam sobie, że mogą tak pomyśleć. Zresztą, tak czy owak, zamierzałam wracać jutro do domu. Gdyby nie to, że jest już późno, wyjechałabyś dziś.

Caroline położyła dłoń na ręce przyjaciółki.

- Jeżeli cię trapi coś, o czym nie chcesz rozmawiać, wiesz, że możesz zatrzymać się u nas. Nie będę niczego na tobie wymuszać.

- Chcę jutro wracać do domu - pośpiesznie zapewniła hrabinę Victoria, potrząsając głową. - Ale dziś nic nie mogę zrobić.

- Możesz postarać się wyglądać na szczęśliwą - poradziła jej sucho Caroline.

Victoria pomyślała, że to wspaniały plan i wprowadziwszy niewielkie, własne udoskonalenia, zabrała się do jego realizacji. Przez następne dwie godziny starała się porozmawiać z jak największą liczbą gości, przy czym za każdym razem naprowadzała

zręcznie rozmowę na Jasona i wypowiadała się na jego temat w jak najgorętszych słowach. Kiedy lord Armstrong zauważył w grupie przyjaciół, że niemożliwością staje się zadowolenie dzierżawców, Victoria szybko wtrąciła, iż jej mąż jest w jak najlepszych stosunkach z wieśniakami.

- Lord Fielding tak mądrze zarządza swoim majątkiem - kończyła bez tchu, głosem zadurzonej młodej żony - że ci ludzie go ubóstwiają, a służba dosłownie go uwielbia!

- Czy aby? - zapytał zaskoczony lord Armstrong. - Będę musiał z nim porozmawiać. Nie wiedziałem, że Wakefield choć krztynę dba o swoich dzierżawców, no ale proszę, musiałem się mylić.

Kiedy lady Brimworthy pochwaliła jej szafirowy naszyjnik, Victoria odpowiedziała:

- Lord Fielding obsypuje mnie podarunkami. Jest bardzo szczodry, życzliwy i pełen troskliwości. I ma doskonały gust, czyż nie?

- Niewątpliwie - zgodziła się lady Brimworthy, podziwiając fortunę w szafirach i diamentach, która spoczywała na smukłej szyi Victorii. - Kiedy ja kupuję klejnoty, Brimworthy po ścianach chodzi - dodała markotnie. - Jak mi następnym razem będzie brzęczał nad uchem, że jestem tak rozrzutna, wspomnę mu o szczodrości Wakefielda!

Kiedy starszawa hrabina Draymore przypomniała Victorii, że oczekuje jej nazajutrz rano na wydawanym przez siebie weneckim śniadaniu, młoda mężatka odpowiedziała:

- Obawiam się, że nie będę mogła, hrabino. Od czterech dni jestem już z dala od męża i prawdę mówiąc, tęsknię za jego towarzystwem. Jest istnym wcieleniem uprzejmości i życzliwości!

Hrabina Draymore otworzyła usta ze zdumienia. A gdy Victoria się oddaliła, starsza dama odwróciła się do przyjaciółek i zamrugała oczami.

- Wcielenie uprzejmości i życzliwości? - powtórzyła zdezorientowana. - Skąd mi przyszedł do głowy pomysł, że ona poślubiła Wakefielda?

A w domu przy Upper Brook Street Jason spacerował tam i z powrotem jak zwierzę po klatce, przeklinał pod nosem starego kamerdynera, który podał mu niedokładne informacje, dokąd poszła Victoria tego wieczoru, i przeklinał sam siebie, że przyjechał za nią do Londynu jak jakiś zazdrosny, chory z miłości młokos. Wpadł wieczorem do Berfordów, bo zdaniem kamerdynera tam wybierała się Victoria, lecz nie zobaczył jej w tłumie gości. Nie było jej też w żadnym z trzech miejsc, w których, jak sądził kamerdyner, mogła być.

Usiłowania Victorii, by wyglądać na oddaną mężowi żonę, zakończyły się takim powodzeniem, że pod koniec balu goście spoglądali już na nią bardziej z rozbawieniem niż z zatroskaniem. I dlatego wciąż jeszcze uśmiechała się radośnie, wchodząc tuż przed świtem do

domu.

Zapaliła świecę, którą służba zostawiła dla niej na stole w holu, i ruszyła na górę po pokrytych dywanem schodach. Właśnie *zaczynana* zapalać świece w swojej sypialni, kiedy zwrócił jej uwagę ukradkowy ruch w sąsiednim pomieszczeniu. Modląc się, by ów ktoś okazał się służącym, a nie grasującym po domu złoczyńcą, Victoria podeszła cicho do drzwi. Drżącą ręką uniosła wysoko świecę i akurat sięgała po klamkę łączących pokoje drzwi, kiedy otworzyły się gwałtownie, co przeraziło ją tak, że aż krzyknęła.

- Jason! - zawołała rozdygotanym głosem, z ręką na piersiach. - Dzięki Bogu, że to ty. Ja... ja myślałam, że to jakiś złoczyńca i właśnie chciałam tam zajrzeć.

- Bardzo dzielnie - odrzekł, patrząc na uniesioną w dłoni Victorii świecę. - A gdybym okazał się złoczyńcą, to co miałaś zamiar zrobić? Zagrozić, że mi rzęsy podpalisz?

Chichot uwiązał jej w gardle, kiedy zauważyła groźny błysk zielonych oczu i nerwowe drganie policzka. Uświadomiła sobie, że za tą sardoniczną maską płonie straszliwy gniew. Odruchowo zaczęła się cofać, kiedy mąż ruszył do przodu, górując nad nią jak wieża. Pomimo wyszukanej elegancji znakomicie skrojonego, wieczorowego stroju nigdy nie wyglądał groźniej czy bardziej władczo niż teraz, kiedy podchodził do niej tym pozornie leniwym, skradającym się krokiem.

Victoria zaczęła cofać się za łóżko, ale przystanąła, tłumiąc w sobie ów szalejący, irracjonalny lęk. Nie zrobiła niczego złego, a zachowuje się jak tchórzliwe dziecko! Wyjaśni z nim całą sprawę rzeczowo i rozsądnie, postanowiła.

- Jasonie - zapytała, a jej pełen rozsądku głos drżał tylko troszkę - czy ty się na mnie gniewasz?

Zatrzymał się o dwa kroki od niej. Odrzucił do tyłu poły aksamitnego surduta, oparł dłonie na biodrach i szeroko rozstawił stopy w zdecydowanie agresywnej pozycji.

- Można by tak powiedzieć - wycedził groźnym głosem. - Gdzie ty, u diabła, byłaś?

- Na... na balu u lady Dunworthy.

- Aż do świtu? - szydził.

- Tak. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Sam wiesz, jak długo takie imprezy...

- Nie, nie wiem - odparł z napięciem. - Przypuśćmy, że wyjaśnisz mi, dlaczego, kiedy tylko spuszczę cię z oka, zapominasz, jak liczyć!

- Liczyć? - powtórzyła Victoria, z chwili na chwilę coraz bardziej wystraszona. - Liczyć co?

- Liczyć dni - wyjaśnił jej cierpko. - Dałem ci pozwolenie na pobyt w mieście przez dwa dni, a nie cztery!

- Nie potrzebuję twojego pozwolenia - wybuchnęła niezbyt rozsądnie. - I nie udawaj, że cię to obchodzi, czy jestem tu, czy w Wakefield!

- Och, ależ obchodzi mnie to - odpowiedział Jason jedwabistym głosem, z powolną celowością zdejmując surdut i rozpinając białą batystową koszulę. - A ty potrzebujesz mojego pozwolenia. Bardzo się robisz zapominalska, moja słodka. Jestem twoim mężem, pamiętasz? Zdejmuj suknię!

Victoria potrząsnęła głową.

- Nie doprowadzaj mnie do takiego gniewu, żebym cię zmusił - ostrzegł ją miękko. - Nie spodoba ci się to, co wtedy się stanie, uwierz mi.

Całym sercem w to wierzyła. Drżącymi palcami sięgnęła do zapięcia sukni, niezręcznie mozoląc się z drobnymi pętelkami.

- Jasonie, na litość boską, co się stało? - pytała błagalnie.

- Co się stało? - powtórzył zjadliwym tonem, rzucając koszulę na podłogę. - Jestem zazdrosny, ot co, moja droga. - Jego dłonie uniosły się do paska przy spodniach. - Jestem zazdrosny, a jak się okazuje, uczucie to jest dla mnie nie tylko czymś nowym, lecz i wyjątkowo niemiłym.

W innych okolicznościach Victoria nie posiadałaby się ze szczęścia, że mąż przyznał się do zazdrości. W tej chwili jednak tylko ją to jeszcze bardziej przeraziło, jej napięcie wzrosło, a palce zrobiły się coraz bardziej niezręczne.

Widząc, że żona czyni niewielkie postępy, Jason wyciągnął ręce, odwrócił ją szorstko i sam porozpinał małe haftki na plecach z wprawą, świadczącą o rozległym doświadczeniu w rozbieraniu kobiet.

- Kładź się - powiedział i pchnął ją w kierunku łóżka.

Zanim chwycił ją w objęcia, Victoria przypominała już kłębek splątanych emocji: rozdygotanego buntu i galaretowatej trwogi. Mąż drapieźnie przycisnął usta do jej warg w twardym, karzącym pocałunku, a ona, cicho krzyknąwszy na ten brutalny akt, zacisnęła zęby.

- Otwórz, do diabła, usta!

Victoria zapała się dłońmi o jego pierś i odwróciła twarz.

- Nie! Nie w ten sposób! Nie pozwolę ci!

Uśmiechnął się twardym, okrutnym uśmiechem, który zmroził jej krew w żyłach.

- Pozwolisz, moja słodka - wyszeptał jedwabistym głosem. - Zanim z tobą skończę, będziesz mnie o to prosiła.

Rozwścieczona Victoria odepchnęła się od piersi Jasona z niespodziewaną, zrodzoną ze strachu siłą i wyturlała się spod niego. Już niemal dotykała stopami dywanu, kiedy mąż

chwycił ją za ramię i szarpnął z powrotem na łóżko, odrzucił jej ręce nad głowę i tam je przytrzymał, a potem nogą przycisnął jej uda.

- To było bardzo niemądre - szepnął i powoli pochylił głowę.

Oczy Victorii ze strachu napełniły się łzami, bo leżała wyciągnięta na plecach niczym przygotowany do pieczenia zajac i mogła tylko patrzeć, jak zdecydowane usta Jasona coraz bardziej się zbliżają. Ale tym razem, zamiast zaatakować boleśnie, jak poprzednio, pocałował ją zuchwale i głęboko, a jego wolna ręka zaczęła błądzić w górę i w dół po jej ciele, obejmując różaną pierś, a potem sunąc w dół po płaskim brzuchu, aż jej zdradzieckie ciało zaczęło reagować na tę zręczną pieszczotę. Szarpnęła się jak szalona, kiedy palce zsunęły się jeszcze niżej, lecz na próżno: wbił nogę między jej kolana i znalazł dostęp do miejsca, którego szukał.

Żyłami Victorii popłynął płynny żar, który w końcu stopił jej siły i zwyciężył opór. Usta jej rozchyliły się pod wargami męża. Z niemym jękiem poddała mu się, odwróciła twarzą do niego i odpowiedziała na pocałunek, a ciało jej stało się uległe jak wosk w jego dłoniach. Gdy tylko się poddała, natychmiast uwolnił jej ręce.

Victorii wyrwał się jęk czystej rozkoszy; wbiła palce w ciemne, kręte włosy Jasona i przyciągnęła jego głowę jeszcze bliżej. Z dziwnym, cichym śmiechem przesunął się nisko, aż nagle zorientowała się, co chce zrobić i gwałtownie próbowała protestować. Ale on chwycił ją dłońmi za biodra, i przywarł do niej ustami. Zanim skończył, całe ciało Victorii wibrowało od rozpalonych do białości emocji i rozpaczliwie pragnęła już spełnienia.

Gdy w końcu uniósł się nad nią, z cichym jękiem wygięła biodra w górę, przyciągając go mocno rękami. Wsuwał się w jej wilgotne ciepło z dręczącą powolnością, potem łagodnie się wycofywał i znowu wsuwał, aż doprowadził Victorię niemal do obłędu z pragnienia, by ją do końca wypełnił. Oplotła go mocno nogami, unosiła się na spotkanie każdego ruchu, twarz miała zaczerwienioną, piersi wznosiły się i opadały w szybkim, płytkim oddechu. Nagle wbił się w nią z taką siłą, że przeszył ją niesamowity błysk czystej rozkoszy, a potem równie nagle się wysunął.

- Nie! - zawołała z uczuciem niespodziewanej straty i oplotła go ramionami.

- Czy chcesz mnie, Victorio? - zapytał szeptem.

Jej zamglone oczy otworzyły się gwałtownie i zobaczyła go; opierał się rękami po obu stronach jej głowy, twarz miał twardą.

- Czy chcesz? - powtórzył.

- Nigdy ci tego nie wybaczę - wykrztusiła.

- Czy chcesz mnie? - powtórzył. - Powiedz mi.

Namiętność wrzała w jej ciele, prowadząc bój z osłabłą dumą, przeciągając ją na stronę Jasona. Był zazdrosny. Obchodziła go. Zaboląła go jej długa nieobecność. Wargi uformowały słowo „tak”, lecz nawet rozszalała namiętność nie mogła zmusić Victorii do wypowiedzenia tego słowa na głos.

Jason zadowolony się milczącym przytaknięciem i dał jej to, czego pragnęła. Jak gdyby chcąc odpokutować to, że ją upokorzył, z bezinteresowną determinacją starał się dać jej jak największą rozkosz, panując nad własnym rozszalałym pożądaniem. Doprowadził ją do burzliwej kulminacji, a potem przycisnął do siebie w miazdzącym uścisku i w końcu pozwolił sobie na spełnienie.

Kiedy było po wszystkim, zapadła między nimi cisza. Jason przez długą chwilę leżał bez ruchu, wpatrując się w sufit; potem wstał z łóżka i poszedł do własnego pokoju. Jeśli nie liczyć nocy poślubnej, był to pierwszy raz, kiedy zostawił ją po tym, gdy się kochali.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Victoria obudziła się z ciężkim, obolałym sercem. Czuła się tak, jakby w ogóle nie spała. Kiedy przypomniała sobie niezasłużoną, upokarzającą zemstę męża z ostatniej nocy, poczuła dławiącą w gardle rozpacz. Odrzuciła z twarzy splątane włosy i oparła się na łokciu, z roztargnieniem wędrując wzrokiem po pokoju. I wtedy spojrzenie jej padło na skórzane puzderko z biżuterią, pozostawione obok łóżka.

Opanowała ją furia, nie dającą się porównać z niczym, czego Victoria kiedykolwiek doświadczyła. Złość zatarła wszystkie inne uczucia. Młoda kobieta wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i chwyciła puzderko.

Biegąc z taką wściekłością, aż szlafrok zafurkotał, otworzyła gwałtownie drzwi do pokoju męża i wpadła do środka.

- Żebyś mi już nigdy więcej nie dawał klejnotów! - syknęła.

Jason stał przy łóżku, jego długie nogi opinały jasnobrązowe spodnie, pierś miał naga. Zdążył unieść oczy w porę, by zobaczyć, jak żona ciska mu puzderkiem w głowę, ale nie drgnął, nie poruszył nawet żadnym mięśniem, by uchylić się przed ciężkim, skórzanym pudełkiem, które przeleciało obok niego, mijając o włos ucho.

Etui uderzyło w podłogę z głośnym łoskotem i upadło pod łóżko.

- Nigdy ci nie daruję ostatniej nocy - krzyczała rozjuszona Victoria, wbijając sobie paznokcie w dłonie. Jej piersi unosiły się i opadały z każdym pełnym furii oddechem. - Nigdy!

- Jestem pewien, że nie - odrzekł obojętnym tonem i sięgnął po koszulę.

- Nienawidzę tych twoich klejnotów, nienawidzę tego, jak mnie traktujesz i nienawidzę ciebie! Nie umiesz nikogo kochać, jesteś cynicznym bastardestem bez serca!

Słowo to wyfrunęło z jej ust, zanim uświadomiła sobie, co mówi, ale obojętne, jakiej reakcji spodziewała się po mężu, i tak ją zaskoczył.

- Masz rację - potwierdził z napięciem w głosie. - Dokładnie tym właśnie jestem. Przykro mi, że przyskają ostatnie złudzenia, jakie mogłaś żywić na mój temat, ale prawda jest taka, że jestem produktem przelotnego, nic nieznaczącego związku pomiędzy Charlesem Fieldingiem i jakąś dawno zapomnianą tancerką, którą utrzymywał w czasach swojej młodości. - Narzucił koszulę na muskularne ramiona, wsunął ręce w rękawy, a do Victorii powoli zaczęło dochodzić, że mąż przekonany jest, iż wyznaje jej coś paskudnego i odpychającego. - Chowała mnie w plugawej nędzy bratowa Charlesa. Później sypiałem w

magazynie. Sam uczyłem się czytać i pisać; nie chodziłem do Oksfordu ani nie oddawałem się takim zajęciom, jak twoi arystokratyczni wyrafinowani wielbiciele. Krótko mówiąc, nie przypominam w niczym człowieka, za jakiego mnie uważasz, nie ma we mnie ani jednej z owych dobrych i miłych cech. - Zaczął zapinać koszulę, uporczywie wpatrując się we własne dłonie. - Nie jestem odpowiednim mężem dla ciebie, Victorio. Niewart jestem, by cię dotykać. Mam za sobą takie przeżycia, od których zrobiłoby ci się niedobrze.

Myśli jej niczym ostrze noża przeszły wspomnienie słów kapitana Farrella: „Ta wiedźma zmuszała go, by klękał przed brudnymi Hindusami i błagał ich o wybaczenie”. Patrzyła na jego dumną, władcą twarz i czuła się tak, jakby serce miało jej zaraz pęknąć. Teraz rozumiała już nawet to, dlaczego nie chciał, nie potrafił przyjąć jej miłości.

- Jestem bękartem - dokończył posepnie - w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa.

- A więc masz doskonałe towarzystwo - odpowiedziała, a głos jej drżał z emocji. - Bękartami byli też trzej synowie króla Karola, a on uczynił ich wszystkich książętami.

Przez moment Jason miał skonsternowaną minę; potem wzruszył ramionami.

- Rzecz w tym, że mówiłaś mi, że mnie kochasz, a ja nie mogę pozwolić, byś tak myślała. Kochałaś jakąś mrzonkę, a nie mnie. Nie znasz mnie nawet.

- O nie, znam ciebie - wybuchnęła Victoria, wiedząc, że to, co teraz powie, raz na zawsze określi całą ich przyszłość. - Wiem o tobie wszystko: kapitan Farrell opowiedział mi ponad tydzień temu. Wiem, co się działo z tobą, kiedy byłeś małym...

Na moment w oczach Jasona zapłonęła wściekłość, potem z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Nie miał prawa ci tego mówić.

- To ty powinienesz być mi wszystko powiedzieć! - zawołała Victoria, nie mogąc już zapanować nad swoim głosem i łzami, które strumieniem płynęły po jej policzkach. - Ale nie chciałeś, bo wstydzisz się tego, z czego najbardziej powinienesz być dumny! - Otarła oczy i dodała łamiącym się głosem: - Żałuję, że mi to powiedział. Zanim to zrobił, kochałam cię tylko trochę. Później, kiedy uświadomiłam sobie, jaki dzielny... i jak naprawdę silny jesteś, pokochałam cię dużo, dużo mocniej, ja...

- Co? - zapytał urywanym szeptem.

- Nigdy wcześniej cię nie podziwiałam - mówiła dalej histerycznie - a teraz cię podziwiam i nie potrafię znieść tego, że...

Przez zasłonę łez niewyraźnie widziała, że się poruszył, poczuła, jak z miażdżącą siłą przyciska ją do swej twardej piersi, i wszystkie uczucia, które dotąd dusiła w sobie, wyrwały się na swobodę.

- Nie obchodzi mnie, kim byli twoi rodzice! - łkała w jego ramionach.
- Nie płacz, kochana - szeptał Jason - proszę cię, nie płacz.
- Nienawidzę, kiedy traktujesz mnie jak bezrozumną lalkę, ubierasz w suknie balowe...

- Już nigdy nie kupię ci żadnej sukni - usiłował żartować, ale głos miał ochryply i pełen bólu.

- I obwieszasz mnie klejnotami...
- Żadnych więcej klejnotów - obiecał, przytulając ją mocniej.
- A kiedy skończysz się mną bawić, odrzucasz mnie w kącie.
- Jestem osłem - przyznał, gładząc ją po włosach i wtulając w nie twarz.
- I nigdy mi nie mówisz, co myślisz ani czego byś chciał, a ja nie potrafię odgadnąć, co ci się kłębi w głowie.

- Nie mam już głowy - odpowiedział szorstko. - Straciłem ją całe miesiące temu.

Victoria wiedziała już, że wygrała, ale ulga, którą jej to przyniosło, była aż bolesna w swej pełni i szczupłe ramiona młodej kobiety zatrzęsły się od szlochu.

- O Boże, proszę, nie płacz tak - jęknął Jason, przesuwając bezradnie dłońmi po jej drżących ramionach i plecach, i rozpaczliwie usiłując ją pocieszyć. - Nie potrafię znieść, kiedy płaczesz. - Wplótł palce w jej włosy, uniósł w górę ku sobie jej twarz i czule przesuwał kciukami po policzkach. - Nigdy już nie dam ci powodu do płaczu - szeptał z udręką w głosie.
- Przysięgam. - Pochylił głowę i pocałował Victorię łagodnie i gwałtownie zarazem. - Chodź ze mną - zamruczał głębokim i natarczywym głosem. - Chodź ze mną do łóżka. Zrobię tak, że zapomnisz o wczorajszej nocy...

W odpowiedzi Victoria oplótła go gwałtownym uściskiem, a Jason porwał ją na ręce, chcąc wynagrodzić jej wszystko w jedyny sposób, w jaki mógł to uczynić. Opuścił ją łagodnie na posłanie i sam pochylił się nad nią, nie odrywając ust, złączonych z jej wargami w nieprzerwanym, gorącym pocałunku.

Kiedy w końcu uniósł się, by zderzyć z siebie koszulę i rozpiąć spodnie, Victoria przyglądała się bez wstydu, zachwycając się wspaniałym ciałem męża: długimi, muskularnymi nogami i wąskimi biodrami, mocnymi rękami i szerokimi barkami, grubymi powrozami mięśni, które falowały na plecach, kiedy odwrócił się na bok... Nagle z piersi jej wydarł się zduszony krzyk.

Jason usłyszał go, i cały zeszytniał, kiedy zrozumiał, co zobaczyła Victoria. Blizny! Zapomniał o tych przeklętych bliznach. Żywo przypominał sobie, jak niegdyś nie udało mu się ich ukryć: pamiętał przerażenie kobiety, którą miał wtedy w łóżku, pogardę i obrzydzenie

na jej twarzy, gdy zobaczyła, że pozwolił, by chłostano go jak psa. Z tego powodu nigdy nie odwracał się plecami do Victorii, kiedy się kochali i zawsze starannie gasił świece, zanim się położył.

- O Boże - wykrztusiła za jego plecami żona, wpatrując się ze zgrozą w białe krzyżujące się szramy. Były ich dziesiątki. Palce jej drżały, kiedy wyciągnęła rękę, by je pogłodzić; pod jej lekkim dotknięciem Jason drgnął. - Czy bolą cię jeszcze? - szepnęła z pełnym bólu zaskoczeniem.

- Nie - odpowiedział z napięciem. Zalewały go mdlące fale wstydu i bezradnie czekał, aż żona w nieunikniony sposób zareaguje na ten jawny dowód jego pohańbienia.

Z krańcowym niedowierzaniem poczuł nagle, że objęły go od tyłu jej ramiona, a wargi dotknęły pleców.

- Jakiż musiałeś być dzielny, żeby to wszystko znieść - szeptała z bólem - jaki silny, żeby to przetrzymać i żyć dalej... - Kiedy zaczęła całować kolejną bliznę, Jason odwrócił się na bok i porwał ją w ramiona.

- Kocham cię - mówił rozdzierającym szeptem, zanurzając ręce w jej bujnych włosach i unosząc ku sobie jej twarz. - Kocham cię tak bardzo...

Jego pocałunki paliły Victorię jak rozżarzone węgle, gdy wargi Jasona przesunęły się z jej ust na szyję, potem na piersi, a ręce gładziły całe ciało, aż jęknęła i zaczęła się wic pod ich delikatnym dotknięciem. Jason oparł się na rękach, unosząc nad nią twarz, głos miał ochryple z pożądania:

- Proszę, dotknij mnie, chcę poczuć twoje dłonie na moim ciele.

Victorii nigdy na myśl nawet nie przyszło, że mógłby chcieć, by dotykała go tak, jak on jej dotykał, i ta prośba przejęła ją dreszczem radości. Położyła mu dłonie na opalonym torsie, powoli rozsunęła palce i zdumiała się, że od tak niewinnej pieszczoty może mu zabraknąć tchu.

Oszołomiona dopiero co odkrytą władzą, jaką miała nad ciałem męża, przewróciła go na plecy i zaczęła wodzić rozchylonymi wargami po jego ustach. Z gardła Jasona wydobył się dziwny ni to śmiech, ni to jęk, wpił się w jej wargi, jedną dłonią podtrzymując głowę od tyłu, a wolną ręką objął ją za biodra, uniósł w górę i opuszczył na siebie.

Zatraciwszy się w gorącym pragnieniu, by ofiarować mężowi szczęście, osunęła się niżej, obsypując pocałunkami jego pierś. Czuła pod sobą jego rozpaloną skórę, i gwałtowny łomot serca tuż przy swoich piersiach. Ale zamiast ją wziąć, jak się spodziewała, popatrzył na nią z szalonym pożądaniem w oczach i pokornie wypowiedział słowa, które chciał wymusić od niej poprzedniej nocy:

- Chcę ciebie - wyszeptał. I jakby sądził, że nie dość jeszcze się upokorzył, dodał: - Proszę, kochanie.

Poczuła się tak, jakby serce miało jej pęknąć z nadmiaru miłości i przelała ją w gorący pocałunek. To wystarczyło. Jason zamknął ją w ciasnym uścisku, przewrócił na plecy i zanurzył się w niej pewnie i szybko.

Victoria wygięła się pod nim w górę w gorączkowym pragnieniu, a przepływające przez jej ciało impulsy nakładały się na siebie i narastały, aż wystrzeliły płomieniami czystej, wibrującej rozkoszy.

Potężną postać Jasona przeszedł dreszcz. Raz za razem drżał konwulsyjnie, kiedy całą sobą wchłaniała gorycz i rozpacz, towarzyszące mu od urodzenia. Wysączyła je do ostatniej kropli i zastąpiła radością. Owa radość rozgorzała teraz w jego sercu i rozplynęła się z krwią po żyłach, a ukojenie, jakie niosła ze sobą, było aż bolesne.

Po wszystkich zakrojonych na wielką skalę finansowych triumfach i czczych podbojach erotycznych znalazł w końcu to, czego podświadomie zawsze szukał: swoje miejsce. Był właścicielem sześciu majątków ziemskich w Anglii, dwóch pałaców w Indiach i całej floty statków. Na każdym z nich miał własną kabinę, a przecież nigdy nie czuł, że ma dom. A teraz znalazł się w domu. Jego domem była ta piękna dziewczyna, która leżała szczęśliwa w jego ramionach.

Wciąż jeszcze ją obejmując, odwrócił się na bok, a potem rozczesał palcami jej potargane, jedwabiste włosy i musnął czułym pocałunkiem skroń.

Rzęsy Victorii zatrzepotały i uniosły się, Jason zaś poczuł się tak, jakby miał zatonać w głębokich, niebieskich jeziorach jej oczu.

- I jak się czujesz? - zapytała żartobliwie, z uśmiechem, bo było to to samo pytanie, które kiedyś on jej zadał.

Z czułą powagą odpowiedział:

- Czuję się jak mąż. - I pochyliwszy głowę, przylgnął do jej ust długim, przeciągłym pocałunkiem, a potem zajrzał w jarzące się, niebieskie oczy. - I pomyśleć, że naprawdę byłem przekonany, że anioły nie istnieją - westchnął, wyciągnął się na poduszkach i rozkoszował prostą radością, że trzyma ją w ramionach, a jej głowa spoczywa na jego ramieniu. - Ależ ja musiałem być niewiarygodnie głupi...

- Jesteś genialny - oznajmiła lojalnie jego żona.

- Nie, nie jestem - zaśmiał się z ironią. - Gdybym miał choć cień inteligencji, byłbym poszedł z tobą do łóżka za pierwszym razem, kiedy tego chciałem, a potem zmusiłbym cię, żebyś za mnie wyszła.

- A kiedy chciałeś to zrobić pierwszy raz? - spytała.

- W dniu, kiedy pojawiłaś się w Wakefield - przyznał, uśmiechając się na samo wspomnienie. - Chyba musiałem się w tobie zakochać, kiedy zobaczyłem, jak stoisz na moim progu z prosiakiem w ramionach, a włosy, które rozwiewał wiatr, były jak płonące złoto.

Victoria spoważniała i potrząsnęła głową.

- Proszę... nie możemy sobie nigdy kłamać, Jasonie. Nie kochałeś mnie wtedy i nie kochałeś mnie, kiedy się ze mną żeniłeś. To nie ma znaczenia, naprawdę nie. Ważne jest tylko to, że kochasz mnie teraz.

Jason wziął ją pod brodę i zmusił, by popatrzyła mu w oczy.

- Nie, moja słodka, mówiłem serio. Ożeniłem się z tobą, ponieważ cię kochałem.

- Jasonie! - Te słowa jej pochlebiły, ale nieodwołalnie postanowiła, że na przyszłość będzie ich obowiązywała uczciwość i szczerłość wobec siebie nawzajem. - Ożeniłeś się ze mną, ponieważ było to życzenie wyrażone przez konającego...

- Życzenie konającego... - Ku zdumieniu Victorii jej mąż wybuchnął śmiechem; potem objął ją mocno i przyciągnął do swej nagiej piersi. - Och, kochana - powiedział i pogładził delikatnie jej policzek - ten „konający”, który wezwał nas do swego łóża i czepiał się twej dłoni, w drugiej ręce ścisnął rozdane karty.

Victoria gwałtownie uniosła się na łokciach.

- Co robił? - zapytała, nie wiedząc, czy śmiać się, czy wściekać. - Jesteś pewien?

- Absolutnie - odpowiedział Jason, nadal się śmiejąc. - Zobaczyłem je, kiedy przesunęło mu się przykrycie. Miał na ręku cztery damy.

- Ale dlaczego urządził nam coś takiego?

Szerokie ramiona Jasona uniosły się lekko.

- Najwyraźniej doszedł do wniosku, że jakoś nie potrafimy sami wystarczająco szybko uporać się ze sprawą ślubu.

- Kiedy pomyślę, jak modliłam się o to, by wyzdrowiał, mogłabym go zamordować!

- To okropne, co mówisz - śmiał się dalej Jason. - Czyżby ci się nie podobał końcowy rezultat jego intrygi?

- Och, podoba mi się, ale dlaczego mi nie powiedziałeś, a przynajmniej nie powiedziałeś Charlesowi, że wiesz, co wyprawia?

Jason ugryzł ją leciutko w ucho.

- Co? Miałbym mu zepsuć całą zabawę? Nigdy w życiu!

Victoria rzuciła mężowi spojrzenie pełne oburzenia.

- Powinieneś był mi powiedzieć. Nie miałeś prawa ukrywać tego przede mną.

- Prawda.

- No to dlaczego mi nie powiedziałeś?

- A czy wyszłabyś za mnie, gdybyś nie uważała, że to absolutna konieczność?

- Nie.

- No to już wiesz, dlaczego nie powiedziałem ci prawdy.

Victoria opadła na jego pierś, całkowicie rozbrojona tą pozbawioną wszelkich zasad determinacją Jasona, by zdobyć to, czego chce, jak również jego absolutnym brakiem skruchy.

- Czy ty w ogóle nie masz żadnych zasad? - zapytała na wpół surowo, a na wpół ze śmiechem.

Jej mąż szeroko się uśmiechnął.

- Najwyraźniej nie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Pewnego późnego popołudnia, kiedy Victoria siedziała w salonie i czekała, aż wróci Jason, który załatwiał jakieś sprawy w mieście, w drzwiach stanął starszawy kamerdyner, mający w swojej pieczy ich londyński dom.

- Jej Wysokość, Księżna Claremont życzy sobie widzieć się z wielmożną panią. Mówiłem...

- Oświadczył mi, że dziś nie przyjmujesz gości - powiedziała Jej Wysokość burkliwie i ku przerażeniu służącego wmaszerowała do pokoju. - Ten głuptas wydaje się nie rozumieć, że ja jestem rodzina, a nie gość.

- Babcia! - wykrzyknęła Victoria i zerwała się na równe nogi, zaskoczona i zaniepokojona niespodziewanym pojawieniem się groźnej starej damy.

Ozdobiona turbanem głowa księżnej odwróciła się do zaszokowanego sługi.

- Słyszałeś? - fuknęła staruszka, wymachując laseczką do kamerdynera. - Słyszałeś to? „Babcia!” - podkreśliła z satysfakcją.

Kamerdyner, mamrocząc uniżone przeprosiny, wycofał się zgięty wpół z pokoju i zostawił niespokojną Victorię twarzą w twarz z jej babką, która usiadła na fotelu i złożyła pokryte błękitnymi żyłkami dłonie na wysadzanej klejnotami główce laseczki, szczegółowo badając wzrokiem rysy Victorii.

- Wyglądasz na szczęśliwą - zauważyła z pewnym zaskoczeniem.

- Czy to dlatego babcia przyjechała ze wsi? - zapytała Victoria, siadając naprzeciw niej. - Żeby zobaczyć, czy jestem szczęśliwa?

- Przyjechałam zobaczyć się z Wakefieldem - oznajmiła Jej Wysokość groźnie.

- Nie ma go - odrzekła Victoria, zaskoczona nagłym marsem na twarzy starej damy.

Mars się jeszcze pogłębił.

- Tak mi powiedziano. Cały Londyn zdaje się wiedzieć o tym, że go tu z tobą nie ma! Zamierzam odnaleźć twego męża i udzielić mu nagany, nawet gdybym miała za nim gonić po całej Europie!

- To zdumiewające - zauważył z rozbawieniem Jason, wchodząc do salonu - Boją się mnie chyba niemal wszyscy poza moją maleńką żoną, młodziutką szwagierką i panią, madame, która jest trzy razy starsza ode mnie, a waży trzy razy mniej. Mogę tylko założyć, że odwaga, a może ryzykanctwo, podobnie jak cechy fizyczne, przekazywane bywa z pokolenia na pokolenie. Jednak - zakończył z szerokim uśmiechem - proszę się nie krępować.

Pozwalam, by udzieliła mi pani nagany tu, na miejscu, w moim salonie.

Księżna podniosła się i patrzyła na niego niemal wrogo.

- Więc to tak! Przypomniał pan sobie wreszcie, gdzie pan mieszka i że ma pan żonę! - fuknęła ze złością. - Powiedziałam panu, że na pańskie barki składam odpowiedzialność za szczęście mojej prawnuczki, a pan jej wcale nie uszczęśliwia. Wcale a wcale!

Jason spojrział z namysłem na Victorię, lecz ta z bezradnym zakłopotaniem potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami. Zadowolony, że to nie żona dała księżnej podstawy do wyrażania takiej opinii, objął Victorię i zapytał łagodnie:

- A w czym to uchybiłem obowiązkom mężowskim?

- W czym? - powtórzyła z oburzeniem staruszka. - Oto stoi pan tu przede mną, tuląc żonę do siebie, ale z najlepszego źródła wiem, że w Wakefield był pan w jej łóżu tylko sześć razy!

- Babciu! - jęknęła ze zgrozą młoda mężatka.

- Cicho, Victorio - skarciła ją księżna i skierowała mordercze spojrzenie na Jasona, mówiła dalej. - Dwoje z pana służących jest spokrewnionych z dwójką moich; donieśli mi, że w Wakefield Park aż się zakotłowało, kiedy przez cały tydzień po ślubie wzbraniałeś się kłaść razem z żoną.

Straszliwie zawstydzonej Victorii wyrwał się cichy jęk, a ręka Jasona zacisnęła się pocieszająco na jej ramieniu.

- No - warknęła księżna - i co ma pan do powiedzenia w tej sprawie, młody człowieku?

Jason spojrział na nią kpiąco, unosząc lekko brew.

- Powiedziałbym, że najwyraźniej powinienem odbyć poważną rozmowę z moją służbą.

- Niech pan się nie ośmiela z tego żartować! Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, jak utrzymać żonę w łóżku i przy sobie. Bóg jeden raczy wiedzieć, ile londyńskich mężatek ganiało za panem przez te ostatnie cztery lata. Gdyby był pan jednym z tych wdzięczących się fircyków, którzy muszą sobie podtrzymywać brodę sztywnym kołnierzykiem, potrafiłabym zrozumieć, że pewnie nie wie pan, jak zabrać się do tego, by dać mi dziedzica...

- Sprawę dziedzica pani zamierzam uczynić mym najważniejszym celem, księżno - oświadczył Jason z pełną rozbawienia powagą.

- Nie zniosę dłużej żadnej opieszałości - ostrzegła go odrobinę łagodniejszym tonem.

- Okazała jej pani już wiele - zgodził się z komicznym wyrazem twarzy.

Nie zwracając uwagi na jego kpiny, księżna kiwnęła głową.

- Teraz, kiedy już się porozumieliśmy, pozwalam wam zaprosić mnie na obiad. Nie mogę jednak zatrzymać się na dłużej.

Jason podał jej z figlarnym uśmiechem ramię.

- Bez wątpienia możemy liczyć na pani dłuższą wizytę w nieco późniejszym terminie, powiedzmy za jakieś dziewięć miesięcy?

- Co do dnia - potwierdziła księżna groźnie, ale kiedy popatrzyła na Victorię, oczy jej błyskały śmiechem. Po drodze do jadalni pochyliła się ku prawnuczce i szepnęła: - Przystojny czort z niego, prawda, moja droga?

- Bardzo - zgodziła się młoda mężatka i poklepała babkę po ręce.

- I pomimo wszystkich plotek, jakie do mnie doszły, jesteś szczęśliwa?

- Nieopisanie - potwierdziła Victoria.

- Miło by mi było, gdybyś niedługo przyjechała do mnie z wizytą. Claremont House leży nie tak daleko od Wakefield, jeżeli pojedziesz drogą nad rzeką.

- Przyjadę bardzo szybko - obiecała Victoria.

- Możesz ze sobą przywieźć męża.

- Dziękuję babci.

W ciągu następnych kilku dni markiz i markiza Wakefield pojawili się na wielu najwspanialszych przyjęciach i balach. Ludzie przestali już szeptać sobie na ucho o rzekomym okrucieństwie markiza wobec pierwszej żony, ponieważ stało się oczywiste dla wszystkich, iż Jason, lord Fielding, jest jak najbardziej oddanym obecnej żonie i szczodrym małżonkiem.

Wystarczyło popatrzeć na tę parę, by przekonać się, że lady Victoria wprost promienieje szczęściem, a jej wysoki, przystojny mąż ją uwielbia. Właściwie to wyższe sfery poczuły się nawet rozbawione, widząc, jak ten do niedawna powściągliwy i surowy Jason Fielding, tańcząc walca ze swą młodą żoną, uśmiecha się do niej z sympatią, albo śmieje się w głos w samym środku przedstawienia z jakiejś wygłoszonej przez nią szeptem uwagi.

Nie minęło wiele czasu, a zapanowała jednomyślna opinia, że wcześniej markiza najniegodziwiej w świecie oczerniano, że go źle rozumiano i niewłaściwie oceniono. Panowie i damy, którzy wystrzegali się uprzednio towarzystwa Jasona Fieldinga i traktowali go nieufnie, zaczęli teraz nawet zabiegać o jego przyjaźń.

W pięć dni po tym, gdy Victoria próbowała położyć kres plotkom na temat swego nieobecnego męża, wyrażając się o nim z jak największym podziwem, lord Armstrong złożył mu wizytę i poprosił o radę, jak ma pozyskać sobie służących i dzierżawców i zdobyć ich lojalność. Markiz w pierwszej chwili poczuł się chyba zaszokowany, a potem szeroko się

uśmiechnął i zaproponował, by lord Armstrong porozmawiał o tym raczej z lady Fielding.

Tego samego wieczoru u White'a lord Brimworthy dobrodusznie zbeształ Jasona za to, że lady Brimworthy nabyła ostatnio skandalicznie drogi garnitur z szafirów. Lord Fielding rzucił mu rozbawione spojrzenie i poszedł z nim o zakład, stawiając pięćset funtów, że w następnym rozdaniu wygra, a w chwilę później gładko uwolnił lorda Brimworthy'ego od wymienionej sumy.

Następnego popołudnia, w Hyde Parku, Jason uczył właśnie Victorię powozić wspaniałym, nowym, wysokim faetonem, który jej kupił, kiedy jakiś powóz gwałtownie się zatrzymał i trzy wiekowe damy zaczęły przyglądać się markizowi.

- Zdumiewające! - zwróciła się hrabina Draymore do swoich przyjaciółek, przypatrując się badawczo twarzy Jasona przez monokl. - Jednak to Wakefielda poślubiła! - Spojrzała na towarzyszące jej damy. - Kiedy lady Victoria zapewniała, iż jej mąż to istne wcielenie uprzejmości i życzliwości, pomyślałam sobie, że musi mówić o kimś innym!

- Wydaje się nie tylko uprzejmy, ale i odważny - zagdakała najstarsza ze starych dam, obserwując, jak pojazd młodej pary porusza się zygzakiem po alejce. - Już dwa razy prawie wywróciła ten faeton!

Dla Victorii życie zmieniło się w jedno pasmo tęczy radości. Nocami Jason kochał się z nią i uczył, jak kochać jego. Zmysły jej pławiły się w rozkoszy. Mąż budził w niej żywiołową namiętność, o której istnienie nigdy się nawet nie podejrzewała. Nauczyła go ufać i teraz oddał jej się kompletnie: ciałem, sercem i duszą. Niczego nie zostawił sobie w rezerwie i dawał jej wszystko: miłość, troskliwość i każdy prezent, jaki mu tylko przyszedł na myśl, od żartobliwych do ekstrawaganckich.

Kazał zmienić nazwę swego smukłego jachtu na „Victorię” i namówił żonę na wspólną żeglugę po Tamizie. Kiedy zauważyła, że dużo milej jest żeglować po Tamizie niż po oceanie, zamówił następny komfortowy jacht do jej wyłącznego użytku; wszystko w nim miało być w kolorach bładoniebieskim i złotym. Ten spektakularnie ekstrawagancki prezent skłonił na pewnym balu pannę Wilber do wygłoszenia wobec grupy przyjaciół pełnej zazdrości uwagi:

- Człowiek siedzi jak na szpilkach, chcąc się dowiedzieć, co Wakefield teraz jej kupi, żeby przebić ten jacht?

Robert Collingwood uniósł w górę brwi i uśmiechnął się szeroko do zawistnej młodej kobiety.

- Może samą Tamizę?

Jason nigdy wcześniej nie zaznał radości, płynącej z tego, że ktoś go kocha i podziwia

nie za to, co posiadał, ani jaki się wydawał, tylko za to, kim jest naprawdę, i ten cichy, wewnętrzny spokój nappełniał go błogością. Nocami tulił żonę do siebie mocno i długo i zawsze mu było mało. W dzień zabierał ją na pikniki i pływał z nią w strumieniu w Wakefield Park. Kiedy pracował, postać Victorii krążyła po obrzeżach jego umysłu, a wtedy Jason się uśmiechał. Pragnął złożyć jej u stóp cały świat, ale zdawała się chcieć wyłącznie jego i ta świadomość nappełniała Jasona głęboką czułością. Podarował majątek na budowę szpitala w pobliżu Wakefield, szpitala imienia Patricka Seatona, a potem zorganizował budowę następnego w Portage, w stanie Nowy Jork, który również miał nosić imię ojca Victorii.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Równy miesiąc po ślubie przyszła wiadomość, że Jason musi udać się do Portsmouth, gdzie jeden z jego statków właśnie zawinął do portu.

Rankiem w dzień odjazdu ucałował Victorię na do widzenia na stopniach Wakefield Park z taką namiętnością, że żona się zarumieniła, a stangret z trudem opanował śmiech.

- Tak bym chciała, żebyś nie musiał jechać - powiedziała, przytulając twarz do muskularnej piersi męża i obejmując go w pasie ramionami. - Sześć dni to prawie jak wieczność, będę bez ciebie bardzo samotna.

- Dotrzyma ci towarzystwa Charles, moja słodka - odrzekł, uśmiechając się do niej, by ukryć własną niechęć do wyjazdu. - A Mike Farrell mieszka tuż za zakrętem. Poza tym zawsze mogłabyś jeszcze złożyć wizytę babci. Będę w domu we wtorek, punktualnie na kolację.

Victoria kiwnęła głową i wspięła się na palce, by pocałować go w gładko wygolony policzek.

Z wielką determinacją zajmowała się przez te sześć dni, czym tylko mogła, pracowała w sierocińcu i nadzorowała dom, lecz mimo to czas płynął bardzo wolno. A noce wlokły się jeszcze bardziej. Wieczory spędzała z Charlesem, który przyjechał do nich z wizytą, ale kiedy się kładła, zegar wydawał się stawać.

W wieczór przed spodziewanym powrotem Jasona wędrowała bez celu po pokoju, odwołując moment, kiedy trzeba będzie samotnie położyć się do łóżka. Weszła do apartamentu męża, uśmiechnęła się, widząc kontrast pomiędzy męskim, rzeźbionym, ciemnym umeblowaniem, a jej własnym pokojem, który urządzone był w stylu francuskim, z cienkimi jak pajęczyna, jedwabnymi draperiami i zasłonami przy łóżku w kolorach różowym i złotym. Czule dotykała palcami inkrustowanych złotem grzbietów jego szczotek. Potem niechętnie wróciła do własnego pokoju i w końcu zasnęła.

Obudziła się następnego dnia o świcie z sercem pełnym podniecenia i zaczęła planować specjalny posiłek na powrót Jasona do domu.

Zmierzchało się, powoli zapadł mrok, a w końcu chłodna, oświetlona gwiazdami ciemność. Victoria czekała w salonie, aż usłyszy na podjeździe stukot powozu męża.

- Wrócił, wujku Charlesie! - zawołała uradowana, dostrzegając przez okno latarnie powozu, które przesuwały się wzdłuż podjazdu w kierunku domu.

- To musi być Mike Farrell. Jasona nie będzie jeszcze przynajmniej przez godzinę czy

dwie - odpowiedział książę i uśmiechnął się do niej z sympatią, kiedy zaczęła wygładzać spódnicę. - Wiem, ile trwa taka podróż, a twój mąż i tak już skrócił ją o jeden dzień, żeby wrócić dziś wieczorem, a nie jutro.

- Przypuszczam, że ma wujek rację, ale jest dopiero wpół do ósmej, a ja prosiłam kapitana Farrella, żeby przyjechał do nas na kolację o ósmej. - Uśmiech zniknął z ust Victorii, kiedy powóz podjechał pod dom i uświadomiła sobie, że nie jest to luksusowy pojazd, którym podróżował Jason. - Chyba poproszę panią Craddock, żeby przesunęła kolację na później - mówiła właśnie, kiedy w drzwiach do salonu pojawił się Northrup z dziwnym, napiętym wyrazem na swojej surowej twarzy.

- Przyjechał pewien dżentelmen i pragnie zobaczyć się z wielmożną panią - zaanonsował.

- Dżentelmen? - zapytała Victoria, zdezorientowana.

- Pan Andrew Bainbridge z Ameryki.

Victoria wyciągnęła drżącą rękę w kierunku najbliższego oparcia krzesła, kostki jej palców zbieleły, kiedy zaciskała na nim dłoń.

- Czy mam go wprowadzić?

Przytaknęła ruchem głowy; usiłowała opanować nagłą falę urazy, która wstrząsnęła nią na wspomnienie jego bezdusznej zdrady i modliła się, by zdołała stawić mu czoło i nie okazać, co czuje. Tak rozpraszały ją własne emocje, że zupełnie nie zauważyła nagłej bledności na twarzy księcia ani tego, jak powoli podniósł się i stanął twarzą do drzwi, jak gdyby zbierał się na odwagę, by stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

W chwilę później Andrew wkroczył do salonu długim i energicznym krokiem. Uśmiechnięta, przystojna twarz młodzieńca była tak ujmująco swojska, że serce Victorii aż krzyknęło w proteście przeciwko wcześniejszemu wiarołomstwu ukochanego.

Zbliżył się i zatrzymał, patrząc na elegancką młodą piękność, którą miał przed sobą, ubraną w kuszącą, jedwabną, opinającą ponętne kształty suknię. Wspaniałe włosy, rozsypywały się burzą po ramionach i smukłych plecach Victorii.

- Tory - odezwał się półgłosem, zaglądając głęboko w jej niebieskie oczy. A potem bez uprzedzenia wyciągnął ręce, przyciągnął ją do siebie niemal szorstko i zanurzył twarz w pachnących splotach. - Zapomniałem, jaka jesteś piękna - szeptał urywanym głosem, przytulając ją jeszcze mocniej.

- Najwyraźniej! - odparła Victoria, która przez chwilę stała jak sparaliżowana, teraz zaś odzyskała panowanie nad sobą. Odepchnęła ręce Andrew i spiorunowała gościa wzrokiem, zdumiona zuchwałością, jaką okazał przyjeżdżając tutaj, nie mówiąc już o

obejmowaniu jej z namiętnością, której nigdy wcześniej nie przejawiał. - Niewątpliwie bardzo łatwo zapominasz o ludziach - dodała cierpko.

Ku jej krańcowemu niedowierzaniu tylko się roześmiał.

- Zła jesteś, bo zajęło mi to dwa tygodnie dłużej, żeby po ciebie przyjechać, niż pisałem ci w liście, czy tak? - I nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej: - Sztorm zepchnął mój statek z kursu w tydzień po tym, gdy wypłynęliśmy, i trzeba było zawinąć na jedną z wysp, żeby dokonać napraw. - Objął ją czule za sztywne ramiona, odwrócił się do Charlesa i z szerokim uśmiechem wyciągnął doń rękę. - Pan musi być Charlesem Fieldingiem - powiedział z naturalną serdecznością w głosie. - Nie wiem, jak mam panu dziękować za opiekę nad Victorią, dopóki po nią nie przyjechałem. Naturalnie będę chciał zwrócić wszelkie poniesione przez pana z jej powodu koszty, łącznie z ceną tej rozkosznej sukni, którą ma na sobie. - Odwrócił się do Victorii. - Nie chciałbym cię poganiać, Tory, ale zarezerwowałem dla nas miejsce na statku, który odchodzi za dwa dni. Kapitan już zgodził się udzielić nam ślubu...

- List? - przerwała mu Victoria, której gwałtownie zakręciło się w głowie. - Jaki list? Nie napisałeś do mnie jednego słowa, od kiedy wyjechałam z domu.

- Napisałem do ciebie nawet kilka - odpowiedział, marszcząc brwi. - Jak ci wyjaśniałem w ostatnim z nich, pisałem do ciebie na adres amerykański, ponieważ w sprawy wmieszała się moja matka i wcale nie przekazywała mi listów od ciebie, więc nie wiedziałem, że wyjechałaś do Anglii. Tory, wszystko to wyjaśniłem ci w moim ostatnim liście, tym, który wyprawiłem do Anglii przez specjalnego posłańca.

- Nie dostałam żadnego listu! - obstawała przy swoim Victoria, histerycznie podnosząc głos.

Wargi Andrew zacisnęły się w gniewie.

- Zanim wyjedziemy, będę musiał złożyć wizytę w londyńskiej firmie, której zapłaciłem niemal majątek za gwarancję, że listy zostaną doręczone do rąk własnych tobie i twojemu księżęcemu kuzynowi. Chcę usłyszeć, co owi posłańcy mają do powiedzenia na swoją obronę!

- Powiedzą, że listy dostarczyli do moich rąk! - odezwał się stanowczo Charles.

Oszołomiona Victoria kręciła głową, pojmując już to, z czym nie mogło pogodzić się jej serce.

- Nie, wujku Charlesie, nie otrzymałeś żadnego listu. Mylisz się. Musi ci chodzić o ten, który dostałam od matki Andrew, ten, w którym pisała, że się ożenił.

Oczy Andrew rozpalily się gniewem, kiedy zobaczył wyraz poczucia winy na twarzy

starszego mężczyzny. Chwycił Victorię za ramiona.

- Tory, posłuchaj mnie! Napisałem do ciebie z tuzin listów, kiedy byłem w Europie, ale wysyłałem je na wasz amerykański adres. O wypadku twoich rodziców dowiedziałem się dopiero po powrocie do domu, dwa miesiące temu. Od dnia ich śmierci moja matka przestała mi wysyłać twoje listy. Kiedy wróciłem, wyjaśniła mi, że twoi rodzice nie żyją, a ciebie zabrał do Anglii jakiś bogaty kuzyn, który zaproponował ci małżeństwo. Powiedziała, że nie ma pojęcia, gdzie jesteś ani jak cię odnaleźć. Znałem cię na tyle dobrze, by nie uwierzyć, że rzucisz mnie dla jakiegoś starego, bogatego, utytułowanego Anglika. Zajęło mi to trochę czasu, jednak w końcu odnalazłem doktora Morrisona i dowiedziałem się, jak naprawdę miały się sprawy z twoim wyjazdem i gdzie cię szukać.

Kiedy powiedziałem matce, że jadę po ciebie do Anglii, przyznała się do pozostałych intryg. Dowiedziałem się o liście, który do ciebie napisała z informacją, jakobym w Szwajcarii ożenił się z Madeline. Potem z miejsca dostała jednego ze swoich „ataków”. Tylko że ten okazał się prawdziwy. Nie mogłem zostawić matki, kiedy jej życie wisiało na włosku, więc napisałem do twego kuzyna... - tu rzucił mordercze spojrzenie na Charlesa - ... który z jakiegoś powodu nie powiedział ci o moich listach. Wyjaśniałem w nich wszystko, co się stało i zawiadaniałem każde z was z osobna, że przyjadę po ciebie najszybciej, jak tylko będę mógł. - Głos mu złagodniał. - Tory - mówił z czułym uśmiechem, tuląc ją w ramionach - kochałem cię od dnia, kiedy zobaczyłem, jak pędzisz po polach na tym swoim indiańskim koniku od Bystrej Rzeki. Nikogo nie poślubiłem, kochana.

Victoria przełknęła, usiłując wydobyć głos mimo dławiącej ją w gardle kuli.

- Ale ja tak.

Andrew cofnął dłonie, jakby jej skóra go oparzyła.

- Co powiedziałaś? - zapytał z napięciem.

- Powiedziałam - powtórzyła Victoria udręczonym szeptem, wpatrując się w jego kochaną twarz - że ja tak. Poślubiłam kogoś.

Andrew zeszywniał cały, jakby próbował wytrzymać mocne uderzenie pięścią. Rzucił pogardliwe spojrzenie na Charlesa.

- Jego? Tego starca? Sprzedałaś się za kilka klejnotów i sukien, czy tak? - warknął wściekle.

- Nie! - niemalże wrzasnęła Victoria, trzęsąc się z gniewu, bólu i smutku.

W końcu odezwał się książę; głos miał pozbawiony wyrazu, a twarz pustą.

- Victoria wyszła za mąż za mojego bratanka.

- Za pańskiego syna! - cisnęła mu w twarz młoda kobieta. Nienawidziła wuja Charlesa

za jego oszustwa, nienawidziła Jasona, że się na nie zgodził.

Dłonie Andrew zacisnęły się na jej ramionach; odczuwała jego cierpienie tak, jakby było jej własną męką.

- Dlaczego? - zapytał, potrząsając nią. - Dlaczego!

- Winę ponoszę ja - wtrącił krótko książę. Wyprostował się na całą swoją wysokość i nie spuszczał oczu z Victorii, błagając ją wzrokiem o zrozumienie. - Od chwili, kiedy przyszedł list pana Bainbridge'a, grozą przejmowała mnie myśl o dniu obrachunku. A teraz, kiedy ów dzień nadszedł, jest gorzej, niż sobie kiedykolwiek wyobrażałem.

- Kiedy wuj otrzymał te listy? - zapytała Victoria, lecz w głębi serca znała już odpowiedź, która ją rozdzierała od wewnątrz na strzępy.

- Wieczorem tego dnia, kiedy miałem atak.

- Pozorowany atak! - poprawiła go, a głos jej drżał z rozgoryczenia i wściekłości.

- Dokładnie tak - wyznał z napięciem Charles, a potem odwrócił się do przybyłego. - Kiedy przeczytałem, że przyjeżdża pan, by zabrać od nas Victorię, przyszło mi do głowy tylko jedno rozwiązanie i zrobiłem to: udałem, że mam atak serca i błagałem ją, by poślubiła mojego syna, żeby miała kogoś, kto mógłby się nią opiekować.

- Ty łotrze! - wycedził Amerykanin przez zaciśnięte zęby.

- Nie spodziewam się, by miał pan w to uwierzyć, ale byłem szczerze przekonany, że Victoria i mój syn będą razem bardzo szczęśliwi.

Andrew oderwał dzikie spojrzenie od swego wroga i popatrzył na Victorię.

- Jedź ze mną do domu - błagał ją rozpaczliwie. - Nie mogą cię zmusić, byś trwała w małżeństwie z mężczyzną, którego nie kochasz. To nie może być legalne, oni cię zniewolili. Tory, proszę cię! Jedź ze mną do domu, a ja znajdę jakiś sposób, żeby z tego wybrnąć. Statek odchodzi za dwa dni. Tak czy tak się pobierzemy. Nikt się nigdy nie dowie...

- Nie mogę! - wyszeptała z udręką.

- Proszę... - powtórzył.

Z oczami pełnymi łez potrząsnęła głową.

- Nie mogę - wykrztusiła.

Andrew głęboko zaczerpnął powietrza i powoli się odwrócił.

Ręka, którą Victoria wyciągnęła do niego w milczącym, bezradnym geście, opadła, kiedy wychodził z pokoju. Odszedł z domu. Odszedł z jej życia.

Minęła minuta nabrzmiałej grozą ciszy, potem następna. Victoria zgarnęła fałdy spódnicy i skręcała je, aż jej zbieleły kostki rąk, a udreńczona twarz Andrew wypalała się w jej pamięci. Przypomniała sobie teraz, jak się czuła, kiedy dowiedziała się o jego ślubie, jaką

udręką było wegetować z dnia na dzień i konać w duchu, mając uśmiech na ustach.

Nagle kipiący w niej ból i gniew wystrzeliły płomieniem; odwróciła się gwałtownie i zaatakowała z wściekłością księcia.

- Jak mógł wuj zrobić coś takiego dwojgu ludziom, którzy mu nigdy nie uczynili żadnej krzywdy! Czy widział wuj wyraz jego twarzy? Czy wie wuj, jaki ból mu sprawiliśmy? Czy wie to wuj?

- Wiem - odpowiedział cicho.

- Czy wie wuj, jak ja się czułam przez te wszystkie tygodnie, kiedy uważałam, że on mnie zdradził i że już nikogo nie mam? Czułam się w domu wuja jak żebraczka. Czy wie wuj, jak się czułam, kiedy sądziłam, że nie mając wyboru, muszę poślubić człowieka, który mnie nie chce... - Głos ją zawiódł i patrzyła na księcia oczami tak zalanymi przez łzy, które usiłowała powstrzymać, że nie widziała cierpienia na jego twarzy.

- Victorio - zaczął mówić chrapliwie - nie wiń za to Jasona. On nie wiedział, że mój atak był udawany, nie wiedział o liś...

- Kłamie wuj! - wybuchnęła, głos jej drżał.

- Nie, przysięgam!

Victoria gwałtownie podniosła głowę; oczy błyszczały jej z oburzenia, że księżę uważają za tak naiwną.

- Jeżeli sądzi wuj, że uwierzę w choć jedno słowo, jakie kiedykolwiek wypowie którykolwiek z was... - urwała przerażona śmiertelną, szarawą bladością na znękanej twarzy Charlesa i wybiegła z pokoju. Potykając się w pośpiechu i nie widząc dobrze przez łzy, popędziła na górę po schodach i wpadła do swego pokoju. W środku oparła się o zamknięte drzwi i z głową odrzuconą do tyłu zacisnęła mocno zęby, próbując opanować gwałtowne emocje.

Przed kurczowo zamkniętymi oczami Victorii znowu stanęła wykrzywiona bólem twarz Andrew; młoda kobieta jęknęła głośno, opanowana mdlącymi wyrzutami sumienia. „Kochałem cię od dnia, kiedy zobaczyłem, jak pędzisz po polach na tym swoim indiańskim koniku... Tory, proszę! Jedź ze mną do domu...”.

Była wyłącznie pionkiem w grze, którą prowadziło dwóch samolubnych, bezdusznych mężczyzn, uświadomiła sobie z drżeniem. Jason przez cały czas wiedział, że Andrew zamierza przyjechać, tak samo jak przez cały czas wiedział, że w nocy po swym udawanym „ataku” księżę grał w karty.

Victoria odskoczyła od drzwi, zdarła z siebie suknię i przebrała się w amazonkę. Jeżeli zostanie w tym domu jeszcze przez godzinę, to zwariuje. Nie może wrzeszczeć na Charlesa i

ryzykować, że będzie miała na sumieniu jego śmierć. A Jason... Miał dziś wieczorem wrócić. Chyba przebiłabym mu serce nożem, gdybym go teraz zobaczyła, pomyślała histerycznie. Porwała z szafy białą wełnianą pelerynę i zbiegła ze schodów.

- Victorio, zaczekaj! - wołał za nią książę, kiedy mknęła korytarzem, prowadzącym na tyły domu.

Victoria odwróciła się, dygocząc od stóp do głów.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - krzyknęła. - Jadę do Claremont. Dość już złego narobiłeś!

- O'Malley! - wychrypiał desperacko Charles, kiedy wybiegła przez kuchenne drzwi.

- Tak, Wasza Wysokość?

- Nie mam wątpliwości, że „przypadkiem słyszałeś”, co działo się w salonie...

O'Malley, znany z podsłuchiwania, skinął posępnie głową, nie starając się nawet zaprzeczyć.

- Czy umiesz jeździć konno?

- Tak, ale...

- Jedź za nią - nalegał Charles w szalonym pośpiechu. - Nie wiem, czy weźmie powóz, czy pojedzie wierzchem, ale jedź za nią. Ona cię lubi, ciebie posłucha.

- Wielmożna pani nie będzie w takim nastroju, żeby kogokolwiek słuchać, i trudno ją za to winić.

- Do wszystkich diabłów, to bez znaczenia! Jeżeli nie wróci, jedź przynajmniej za nią do Claremont i upewnij się, że dotarła tam bezpiecznie. Claremont leży na południe stąd, szlakiem nad rzeką.

- A przypuścimy, że udała się do Londynu, że będzie próbowała wyjechać z tym amerykańskim dżentelmenem?

Książę przeczesał palcami swoje siwe włosy, a potem stanowczo potrząsnął głową.

- Nie zrobi tego. Gdyby chciała z nim wyjechać, zgodziłaby się, kiedy ją o to prosił.

- Ale ja nie jestem za bardzo obeznany z końmi. Nie w tym stopniu, co lady Victoria.

- Po ciemku nie będzie mogła jechać zbyt szybko. Już, idź do stajni i jedź za nią!

I kiedy O'Malley pędził w kierunku stajni, Victoria oddalała się galopem na Matadorze, a Wilk biegł przy koniu.

- Niech jaśnie pani zaczeka, proszę! - wrzasnął lokaj, lecz chyba go nie usłyszała, pochyliła się tylko nisko nad karkiem konia i poganiała go, jakby ją wszyscy diabli gonili.

- Osiodłaj najszybszego konia, jakiego mamy, migiem! - rozkazał O'Malley stajennemu; widział jeszcze przebłyśki białej peleryny Victorii, która zniknęła już na długim,

krętym podjeździe, jadąc w stronę głównego gościńca.

Matador przemierzył trzy mile, zanim Victoria musiała zwolnić ze względu na Wilka. Dzielny pies pędził obok niej, głowę zwiesił nisko, jakby gotów był biec śladem swej pani, aż padnie z wyczerpania. Zaczekała, żeby złapał oddech i właśnie miała kontynuować swą ucieczkę, kiedy usłyszała za sobą stukot kopyt i niezrozumiały okrzyk jakiegoś mężczyzny.

Nie była pewna, czy goni ją któryś z bandytów, polujących nocą na samotnych podróżnych, czy to Jason, który mógł już wrócić i postanowił ją schwytać, zawróciła więc Matadora do lasu przy drodze i pognała konia między drzewami, klucząc to na prawo, to na lewo, by zgubić tego, kto ją ścigał. Chociaż tak się starała, prześladowca przebiegał się nadal jej śladem przez poszycie.

Victoria wyjechała spomiędzy drzew, które powinny były ją ukryć, i na drodze spięła konia ostrogą. W sercu jej wezbrały równocześnie panika i furia. Jeżeli to Jasona miała za plecami, to raczej umrze niż pozwoli, by schwytał ją jak królika. O jeden raz za wiele zrobił z niej idiotkę. Nie, to nie mógł być Jason! Nie minęła jego powozu na podjeździe, kiedy opuściła Wakefield, nie widać go też było nigdzie, kiedy skręcała na drogę nad rzeką.

Złość Victorii rozplynęła się w przejmującej chłodem trwodze. Zbliżała się do tej samej rzeki, w której znaleziono kiedyś utopioną dziewczynę. Przypomniała sobie opowieści o żądnych krwi bandytach, polujących nocą na podróżnych, i pędząc w kierunku jednego z mostów, który spinał brzegi wijącej się rzeki, rzuciła zmartwiłe z lęku spojrzenie za siebie. Zobaczyła, że prześladowca chwilowo zniknął jej z oczu za zakrętem drogi, ale słyszała, że nadjeżdża, że ściga ją z taką pewnością, jakby prowadziła go jakaś gwiazda przewodnia... Jej peleryna! Biała peleryna powiewała na wietrze, jakby ktoś nocą dawał znaki.

- Dobry Boże! - wybuchnęła, kiedy kopyta Matadora załomotały na moście.

Po prawej stronie miała ścieżkę, która biegła wzdłuż brzegu, gościniec prowadził dalej prosto. Ściągnęła konia, aż zarył kopytami w ziemię, wyskoczyła z siodła, rozpięła pelerynę. Usilnie błagając Boga, by jej podstęp się udał, zarzuciła białe okrycie na siodło, skierowała wierzchowca na ścieżkę prowadzącą wzdłuż rzeki i mocno zdzieliła go w bok szpicrutą. Koń ruszył galopem, a Victoria z Wilkiem u boku popędziła do lasu i z łomoczącym w piersi sercem przycupnęła w poszyciu. W minutę później usłyszała, jak koń prześladowcy dudni kopytami na moście. Wyrzała spomiędzy gałęzi krzewów, które ją zasłaniały, i zobaczyła, że jeździec skręcił na ścieżkę biegnącą wzdłuż rzeki, ale nie widziała jego twarzy.

Nie wiedziała, że Matador zwolnił w końcu do stępa, a potem zszedł niżej nad rzekę, by się napić. Nie dostrzegła też, że woda szarpnęła za pelerynę, ściągnęła ją z siodła, kiedy koń pił, i poniosła z prądem trochę dalej, aż białe okrycie zaplątało się w gałęziach częściowo

pograżonego w nurcie zwałonego drzewa.

Victoria nic z tego nie mogła widzieć, ponieważ biegła przez las równoległe do głównej drogi, uśmiechając się do siebie z satysfakcją, że bandyta padł ofiarą najlepszego z podstępów, jakich nauczył ją Bystra Rzeka. Chcąc wprowadzić w błąd ścigającego, wystarczyło wysłać konia w jedną stronę, a samemu ruszyć na piechotę w drugą. Zarzucenie peleryny na siodło było pomysłem improwizacją samej Victorii.

O'Malley gwałtownie zatrzymał konia tuż obok wałacha milady, na którym wszakże nikt nie siedział. Służący biegał we wszystkie strony, przepatrując stromy brzeg, w poszukiwaniu jakichś śladów, bo sądził, że koń musiał ją gdzieś tutaj zrzucić.

- Lady Victorio? - wołał, ogarniając wzrokiem szeroką połąć łąk powyżej, skraj lasu po lewej stronie i w końcu rzekę na prawo... a tam, na powierzchni wody, unosiła się widmowo biała peleryna, która zahaczyła o drzewo. - Lady Victorio! - wysapał O'Malley, jak szalony zdarł z siebie kurtkę i zrzucił buty. - Ten cholerny koń musiał ją zrzucić z mostu do rzeki... - Wskoczył do mętnej, bystrej wody i popłynął w kierunku peleryny. - Lady Victorio! - krzyknął i zanurkował. Wynurzył się, wykrzykując imię pani i nabrawszy powietrza, znowu zanurkował.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kiedy powóz zatrzymał się na podjeździe, cały dom jarzył się od światła. Jason, nie mogąc się doczekać, aż zobaczy Victorię, popędził w górę po długich frontowych schodach.

- Dobry wieczór, Northrup! - uśmiechnął się szeroko, klepnął starego kamerdynera po ramieniu i podał mu płaszcz. - Gdzie moja żona? Czy wszyscy już zjedli? Spóźniłem się na kolację przez to cholerne złamane koło.

Twarz służącego przypominała zmrożoną maskę, głos miał ochrypły.

- Kapitan Farrell czeka na pana w salonie, wielmożny panie.

- Co się dzieje z twoim głosem? - zapytał życzliwie Jason. - Jeżeli dokucza ci gardło, wspomnij o tym lady Victorii. Ona cudownie radzi sobie z takimi sprawami.

Northrup konwulsyjnie przełknął ślinę i nic nie odpowiedział.

Markiz rzucił na niego z lekka zaciekawione spojrzenie, odwrócił się i energicznym krokiem poszedł w kierunku salonu. Otworzył drzwi z niecierpliwym uśmiechem na twarzy.

- Hej, Mike, gdzie moja żona?

Na kominku płonął niewielki ogień, mający rozproszyć wieczorny chłód. Jason rozejrzał się po wesołym pokoju, jakby się spodziewał, że Victoria wyjdzie mu naprzeciw z jakiegoś mrocznego kąta, ale zobaczył tylko pelerynę żony: zwisiała z oparcia fotela, kapłała z niej woda.

- Wybacz moje kiepskie maniery, przyjacielu - zwrócił się do Farrella - ale już od kilku dni nie widziałem Victorii. Pozwól, że pójde i jej poszukam, a potem wszyscy razem siądziemy i pogadamy. Musi być na górze...

- Jasonie - przerwał mu z napięciem kapitan. - Zdarzył się wypadek...

W myśli lorda Fieldinga wdarło się bolesne wspomnienie innego takiego wieczoru... tego wieczoru, kiedy wrócił do domu, spodziewając się zastać tam synka, i kiedy Northrup też dziwnie się zachowywał; wieczoru, kiedy w tym samym pokoju czekał na niego Mike Farrell. Jakby chcąc przegnać grozę i ból, które już ryczącą falą zalewały jego serce, potrząsnął głową i cofnął się gwałtownie.

- Nie! - wyszeptał, a potem jego głos podniósł się do pełnego bólu krzyku. - Nie, niech cię diabli! Nie mów mi tego...!

- Jasonie...

- Żebyś mi się nie ośmielił tego powiedzieć! - krzyczał Jason w udręce.

Stary żeglarz mówił dalej, ale odwrócił głowę, nie chcąc widzieć nieznośnego

cierpienia na spustoszonej bólem twarzy przyjaciela.

- Koń ją zrzucił ze skarpy do rzeki, gdzieś koło mostu. O'Malley skoczył za nią, lecz nie udało mu się jej znaleźć. On...

- Wyjdź - szepnął Jason.

- Tak mi przykro, Jasonie. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo.

- Wyjdź!

Kiedy Mike Farrell wyszedł, Jason sięgnął ręką po okrycie Victorii, jego palce powoli zacisnęły się na mokrej wełnie, przyciągnął pelerynę do siebie. Usta drżały mu konwulsyjnie, kiedy tulił przesiąknięty wodą materiał do piersi, gładził go z miłością, pocierał nim policzek. Każda cząstka jego jestestwa cierpiała katusze, a łzy, których - jak sądził - nie był w stanie już przelać, popłynęły mu z oczu.

- Nie! - łkał w obłądnym cierpieniu. A potem wykrzyczał to słowo na cały głos.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

No, no - moja droga - mówiła księżna Claremont, poklepując prawnuczkę po ramieniu. - Serce mi pęka, gdy widzę cię taką nieszczęśliwą.

Victoria przygryzła wargę i nic nie mówiąc, zapatrzyła się na wypielegnowane trawniki za oknem.

- To niemal nie do wiary, że twój mąż jeszcze nie przyjechał, by przeprosić cię za skandaliczne oszustwo, którego dopuścili się wobec ciebie - oznajmiła z irytacją prababka. - Może jednak mimo wszystko nie wrócił przedwczoraj do domu? - Nie mogła usiedzieć spokojnie, tylko opierając się na laseczce spacerowała po pokoju, a jej żywe oczy pomykały ku oknu, jakby stara dama z każdą chwilą spodziewała się przyjazdu lorda Fieldinga. - Dostarczy mi to wielkiej satysfakcji, jeżeli zmusisz go, by przed tobą uklęknął, kiedy wreszcie się pojawi!

Na delikatnych ustach dziewczyny pojawił się ironiczny, smętny uśmiech.

- A więc czeka babcie rozczarowanie, bo z absolutną pewnością mogę babcie zapewnić, że Jason tego nie robi. Bardziej jest prawdopodobne, że wejdzie tu, będzie mnie próbował pocałować i...

- I oczarować cię tak, żebyś wróciła do domu? - dokończyła bez ogródek księżna.

- Właśnie tak.

- A udałoby mu się to osiągnąć? - zapytała stara dama, przekrzywiając siwą głowę na bok. Chociaż minę miała srogą, oczy jej błysnęły przelotnym rozbawieniem.

Victoria westchnęła, odwróciła się, oparła głowę o framugę okna i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Prawdopodobnie tak.

- No cóż, niewątpliwie nie śpieszy się z przyjazdem. Czy naprawdę jesteś przekonana, że wiedział o listach pana Bainbridge'a? Bo jeżeli wiedział i nie mówił ci o nich, świadczy to o jego kompletnym braku zasad.

- Jason nie ma zasad - odrzekła Victoria z pełnym znużenia gniewem. - On w nic nie wierzy.

Zamyślona księżna podjęła swą przechadzkę i stanęła jak wryta, kiedy znalazła się w pobliżu Wilka, który leżał przed kominkiem. Przeszedł ją dreszcz i zawróciła.

- Doprawdy nie wiem, jakim popełnionym w przeszłości grzechem zasłużyłam sobie na to, by mieć u siebie taką wściekłą bestię.

Victorii wyrwał się smutny chichot.

- Czy mam go uwiązać na zewnątrz?

- Dobry Boże, nie! Wyrwał Michaelsonowi całe siedzenie ze spodni, kiedy ten dziś rano próbował go nakarmić.

- On nie ufa mężczyznom.

- Mądre zwierzę. Chociaż brzydkie.

- A mnie się wydaje ładny na taką dziką, drapieżną modłę... - Jak Jason, pomyślała i szybko odrzuciła od siebie wspomnienie, które pozbawiało ją sił.

- Zanim wysłałam Dorothy do Francji, zdążyła już zaadoptować dwa koty i wróbla ze złamanym skrzydełkiem. Żadnego z tych zwierzątek nie lubiłam, lecz one przynajmniej nie przyglądały mi się tak, jak ta bestia. Mówię ci, że twój Wilk z radością oczekuje chwili, kiedy będzie mógł mnie zjeść. Nawet teraz zastanawia się, jak będę smakowała.

- Obserwuj babcię, bo sądzi, że musi babci pilnować - wyjaśniła z uśmiechem jej prawnuczka.

- Wydaje mu się, że strzeże swego następnego posiłku! Nie, nie - zaprotestowała unosząc dłoń, kiedy Victoria ruszyła w kierunku psa z zamiarem wyprowadzenia go za drzwi.

- Błagam cię, nie narażaj moich następnych służących na niebezpieczeństwo. Poza tym - złagodniała na tyle, by się przyznać - od śmierci twego pradziadka nie czułam się tak bezpieczna we własnym domu.

- Nie musi się babcia martwić, że zakradnie się tu jakiś zbój - zgodziła się Victoria i wróciła, by czuwać przy oknie.

- Że się zakradnie? Moja droga, żaden zbój nawet za ciężkie pieniądze nie zgodziłby się wejść do tego pokoju.

Victoria posiedziała jeszcze minutę przy oknie, potem odwróciła się i bezmyślnie podeszła do lśniącego stolika, na którym leżała porzucona wcześniej książka.

- Usiądźże, moja droga, i pozwól mi przez chwilę pospacerować. Nie ma sensu, żebyśmy się ze sobą zderzały, chodząc tam i z powrotem po dywanie. Jaki powód może mieć ten twój przystojny czort, żeby trzymać się z daleka od naszej kryjówki?

- Może i dobrze, że Jason nie przyjechał wcześniej. - Victoria opadła na fotel i wbiła spojrzenie we własne dłonie. - Tak długo trwało, zanim się uspokoiliam.

Księżna ciężkim krokiem podeszła do okna i wyjrzała na podjazd.

- Czy sądzisz, że on cię kocha?

- Tak mi się wydawało.

- Oczywiście, że cię kocha! - zapewniła z naciskiem staruszka. - Cały Londyn o tym

gada. Ten człowiek zadurzył się w tobie bez reszty. Nie ulega kwestii, że to dlatego podporządkował się intrydze Athertona i zachował w tajemnicy przed tobą fakt, iż przyszedł list od Andrew. Już Atherton usłyszy ode mnie za te swoje oszukańcze machinacje. Chociaż - dodała zuchwale, wciąż jeszcze wyglądając przez okno - prawdopodobnie w tych samych okolicznościach postąpiłabym tak samo.

- Nie potrafię w to uwierzyć.

- Oczywiście, że tak. Gdybym miała do wyboru albo pozwolić ci na poślubienie jakiegoś wieśniaka z kolonii, którego ani nie znałam, ani nie obdarzyłam zaufaniem, albo zgodnie z własnym życzeniem zobaczyć, jak wiążesz się z pierwszą partią w Anglii, z człowiekiem mającym, utytułowanym i urodziwym, całkiem możliwe, że postąpiłabym tak samo jak Atherton.

Victoria powstrzymała się i nie zwróciła prababce uwagi, że ten właśnie sposób myślenia przysporzył Katherine i Charlesowi tak wiele cierpienia.

Księżna leciutko zeszywniała.

- Czy jesteś całkiem pewna, że chcesz wracać do Wakefield?

- Nigdy nie zamierzałam stamtąd wyjeżdżać na stałe. Przypuszczam, że chciałam ukarać Jasona za to, jak Andrew musiał się dowiedzieć, że jestem mężatką. Gdyby babcia widziała wyraz jego twarzy, zrozumiałaby mnie babcia. Od dzieciństwa byliśmy najlepszymi przyjaciółmi; Andrew nauczył mnie pływać, strzelać i grać w szachy. Poza tym wściekła byłam na Jasona i Charlesa, że wykorzystali mnie jak zabawkę, jak pionek, jak jakąś rzecz, pozbawioną uczuć i własnej woli. Nie zdoła babcia uwierzyć, jak bardzo osamotniona i nieszczęśliwa czułam się przez długi czas po tym, gdy się dowiedziałam, że Andrew tak okrutnie mnie porzucił.

- No cóż, moja droga - odpowiedziała księżna z namysłem - nie jest ci pisane, byś miała jeszcze długo być sama. Wakefield właśnie przyjechał... nie, czekaj, wysłał emisariusza! Kim jest ten człowiek?

Victoria wprost pofrunęła do okna.

- Przecież to kapitan Farrell... najlepszy przyjaciel Jasona.

- Ha! - wykrzyknęła rozradowana księżna i stuknęła laseczką w podłogę. - Ha! Przysłał sekundanta. Nigdy bym się tego po Wakefieldzie nie spodziewała, ale niech i tak będzie!

Ponagliła Victorię machnięciem dłoni.

- Biegnij do bawialni i nie pokazuj tu swojej ślicznej buzi, dopóki po ciebie nie przyjdę.

- Co? Babciu, nie! - wybuchnęła nieustępliwie Victoria.

- Tak! - odparła księżna. - I to natychmiast! Jeżeli Wakefield chce to traktować jak pojedynek i przysyła sekundanta, żeby omówić warunki, niechaj tak będzie! Ja będę twoim sekundantem. Nie doczeka się ode mnie żadnej łaski - dodała i z radości zamrugła oczami.

Victoria niechętnie zastosowała się do polecenia starej damy i przeszła do bawialni, lecz pod żadnym pozorem nie zgodziłaby się, by Mike Farrell wyjechał, dopóki się z nim nie rozmówi. Jeżeli prababcia nie wezwie jej za pięć minut, postanowiła, wróci do salonu i sama porozmawia z kapitanem.

Ale po zaledwie trzech minutach drzwi do bawialni gwałtownie się otworzyły i w progu stanęła prababcia, mając na twarzy komiczną mieszaninę szoku, rozbawienia i grozy.

- Moja droga - oznajmiła - wydaje się, że niechący jednak rzuciłaś Wakefielda na kolana.

- Gdzie jest kapitan Farrell? - zapytała niecierpliwie Victoria. - Nie wyjechał jeszcze, prawda?

- Nie, nie, jest nadal tutaj, zapewniam cię. Nieszczęśnik odpoczywa teraz na kanapie i czeka na poczęstunek, który mu wielkodusznie zaproponowałam. Podejrzewam, że uznał mnie za najbardziej pozbawioną serca istotę na świecie, bo kiedy powiedział, z czym przybył, z roztargnienia zamiast kondolencji zaproponowałam mu poczęstunek.

- Babciu! Mówi babcia bez sensu. Czy Jason przysłał pana Farrella z prośbą, żebym wróciła? Czy dlatego kapitan tu przyjechał?

- Absolutnie nie - zaręczyła księżna, unosząc brwi do góry. - Charles Fielding przysłał go do mnie, by przekazał bolesną wiadomość o twojej tragicznej śmierci.

- Moim czym?

- Utonęłaś - poinformowała ją zwięźle starsza dama. - W rzece. A przynajmniej, jak się zdaje, utonęła twoja peleryna. - Zerknęła na Wilka. - Podejrzewają, że to parszywe zwierzę uciekło do lasu, skąd przyszło, zanim się z nim zaprzyjaźniłaś. Cała służba w Wakefield pogrążona jest w żałobie, Charles leży złożony chorobą, zasłużył sobie na to zresztą, a twój mąż zamknął się w gabinecie i nie dopuszcza do siebie nikogo.

Dziewczynę niemal zbiły z nóg te wiadomości; ochłonawszy wszakże nieco, odwróciła się i wybiegła z pokoju.

- Victorio! - wołała księżna, podążając jak mogła najszybciej śladem prawnuczki, która popędziła korytarzem i wpadła do salonu z Wilkiem depczącym jej po piętach.

- Panie kapitanie!

Mike gwałtownie odwrócił głowę i popatrzył na młodą kobietę, jakby zobaczył ducha,

potem zaś obrzucił spojrzeniem drugą „zjawę”, która z poślizgiem wyhamowała na dywanie na czterech łapach i zaczęła na niego warczeć.

- Panie kapitanie, ja nie utonąłam! - wołała Victoria, zaskoczona tym, jak się w nią wpatrywał. - Wilk, przestań!

Farrell dźwignął się na nogi; jego niedowierzenie powoli ustąpiło miejsca radości, a następnie furii.

- Czy twoim zdaniem miał to być dobry żart? - wycedził. - Jason niemal oszalał z rozpaczy...

- Panie kapitanie! - donośnie, władczo odezwała się księżna, prostując się na całą swoją nikłą wysokość. - Będę wdzięczna, jeżeli zechce pan wyrażać się grzecznie, mówiąc do mojej prawnuczki. Nie wiedziała aż do tej chwili, że Wakefield może sądzić, iż przebywa gdziekolwiek poza tym domem. Przecież specjalnie zaznaczyła, że wybiera się do mnie.

- Ale ta peleryna...

- Ktoś mnie ścigał... chyba jeden z tych bandytów, o których pan wcześniej opowiadał... zarzuciłam więc pelerynę na siodło i posłałam konia ścieżką wzdłuż rzeki, myśląc, że w ten sposób odwrócę uwagę złoczyńcy od siebie.

Kapitan potrząsnął głową: z jego twarzy zniknął gniew.

- Ten ktoś, kto cię ścigał, to był O'Malley; niewiele brakowało, żeby się utopił, usiłując cię odnaleźć i uratować z rzeki, gdy zauważył twoją pelerynę.

Victoria przymknęła oczy, dręczona poczuciem winy, a potem jej długie rzęsy się uniosły i dziewczyna nagle przemieniła się w istny tajfun energii. Objęła prababkę, rzucając w pośpiechu chaotyczne słowa.

- Babciu, dziękuję za wszystko. Muszę jechać. Jadę do domu...

- Beze mnie nie pojedziesz! - odparła księżna stanowczo. - Po pierwsze, za żadne skarby świata nie zgodzę się nie uczestniczyć w tym konkretnym powrocie do domu. A po drugie, tylu emocji nie miałam, od kiedy... zresztą, wszystko jedno.

- Może babcia pojechać za mną powozem - zaproponowała Victoria - ale ja pojedę wierzchem, tak będzie szybciej.

- Pojedziesz powozem razem ze mną - oświadczyła Jej Wysokość autorytatywnie. - Jak rozumiem, nie przyszło ci jeszcze na myśl, że kiedy już twój mąż dojdzie do siebie po wybuchu radości, zareaguje pewnie podobnie jak przed chwilą ten jego emisariusz o szokująco złych manierach. - Groźnym spojrzeniem zamknęła usta kapitanowi Farrellovi, a potem ciągnęła dalej. - Tylko że dużo bardziej gwałtownie. Krótko mówiąc, moje drogie dziecko, kiedy cię już ucałuje, a jestem całkowicie przekonana, że tak zrobi, będzie pewnie

miał ochotę zamordować cię za to, co z pewnością uzna za monstrualny żart z twojej strony. Tak więc muszę być w pobliżu, bym mogła przyjść ci z pomocą i potwierdzić twoje wyjaśnienia. I nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów - zakończyła, stukając laseczką w podłogę i w ten władczy sposób wzywając kamerdynera. - Norton! - zawołała. - Proszę natychmiast zaprzęgać!

Odwróciła się do kapitana Farrella i, całkiem jakby zmieniła swe dotychczasowe złe zdanie na temat jego osoby, oznajmiła z królewską łaskawością:

- Pan może pojechać powozem razem z nami... - I natychmiast rozwiła złudzenia, jakoby przebaczyła mu jego wcześniejszą niegrzeczność, dodając: - ... żebym mogła mieć pana na oku. Nie będę ryzykować, że uprzedzi pan Wakefielda o naszym przyjeździe i ten będzie stał na progu, czekając na nas z mordem w oczach.

Zanim powóz tuż po zmierzchu dotarł do Wakefield, serce Victorii waliło już jak młotem. Przed domem nie pojawił się żaden lokaj, by opuścić schodki przy powozie i pomóc wsiąść przybyłym, a w mnóstwie wychodzących na podjazd okien paliło się tylko kilka świateł. Cały dom wygląda niesamowicie, jakby był opuszczony, pomyślała Victoria, a potem ze zgrozą zobaczyła, że dolne okna zasłonięte są kirem, a na drzwiach wisi czarny wieniec.

- Jason nienawidzi wszystkiego, co łączy się z żałobą - wybuchnęła i jak szalona szarpnęła drzwiczki powozu, usiłując je otworzyć. - Powiedzcie Northrupowi, żeby to wszystko natychmiast pozdejmował!

Kapitan Farrell po raz pierwszy przerwał pełne niechęci milczenie, położył dłoń na ramieniu dziewczyny, by ją powstrzymać, i powiedział łagodnie:

- Zrobiono to na rozkaz Jasona, Victorio. On niemal oszalał z rozpaczy. Księżna może mieć po części rację: nie wiem, jak twój mąż zareaguje po tej pierwszej chwili radości, kiedy cię zobaczy.

Victorii obojętne było, co zrobi Jason, byle tylko dowiedział się, że ona żyje. Wskoczyła z powozu, zostawiła kapitana Farrella, żeby się zajął prababką, i pomknęła do drzwi frontowych. Okazały się zamknięte, więc uniosła kołatkę i zaczęła zawzięcie stukać. Wydawało jej się, że trwało to wieki, zanim drzwi powoli się otworzyły.

- Northrup! - wykrzyknęła Victoria. - Gdzie jest pan? Kamerdyner zamrugnął oczami w przyćmionym świetle, a potem jeszcze raz.

- Proszę, nie patrz na mnie tak, jakbym była duchem. To wszystko nieporozumienie! Northrup - mówiła z desperacją, kładąc mu ciepłą dłoń na policzku. - Ja żyję!

- On... on jest... - Napięte rysy Northrupa rozświetlił nagły, szeroki uśmiech. - Milord jest w gabinecie, wielmożna pani, i czy mogę powiedzieć, jaki jestem szczęśliwy...

Victoria jednak nie mogła go wysłuchać; popędziła jak szalona przez hol do gabinetu, przyglądając po drodze palcami włosy.

- Victoria? - wykrzyknął książę z podestu na piętrze. - Victoria!

- Babcia wszystko wyjaśni, wujku Charlesie - zawołała, biegnąc dalej.

Dotarwszy do gabinetu męża, położyła rozdygotaną dłoń na klamce; na moment sparaliżowała ją świadomość, jaką wywołała katastrofę; potem z trudem wciągnęła powietrze i weszła do pokoju, zamykając drzwi za sobą.

Jason siedział na fotelu pod oknem, łokcie trzymał na kolanach, głowę oparł na rękach. Na stoliku przed nim stały dwie puste butelki po whiskey i pantera z onyksu, którą dostał od żony.

Victoria z trudem przełknęła ślinę, bo gardło ścisnęło jej się z ogromnego poczucia winy, i ruszyła do przodu.

- Jasonie - powiedziała cicho.

Głowa mężczyzny uniosła się powoli; jego twarz przypominała spustoszoną bólem maskę, udreżone oczy patrzyły przez nią, jakby była widmem.

- Tory - jęknął w męczarni.

Victoria stanęła jak wryta, dostrzegając ze zgrozą, że głowa Jasona opada z powrotem na oparcie fotela, a jej mąż znowu mocno zaciska oczy.

- Jasonie! - zawołała. - Popatrz na mnie!

- Widzę cię, kochana - szepnął, nie otwierając oczu. Jego ręka przesunęła się na stojącą na stoliku panterę i zaczęła tkliwie gładzić ją po grzbiecie. - Mów do mnie - błagał znękany głosem. - Nie przestawaj nigdy do mnie mówić, Tory. Nie obchodzi mnie to, czy zwariowałem, jeżeli tylko będę mógł słyszeć twój głos...

- Jasonie! - wrzasnęła, podbiegła bliżej i chwyciła go za ramiona. - Otwórz oczy! Ja żyję! Ja się nie utopiłam! Czy mnie słyszysz? Nie utopiłam się!

Otworzył oczy, ale nadal przemawiał do niej tak, jakby była ukochaną zjawą, której rozpaczliwie musi coś wyjaśnić.

- Nie wiedziałem o liście twojego Andrew - szeptał łamiącym się głosem. - Teraz już to wiesz, prawda, kochana? Naprawdę to wiesz... - Nagle podniósł udreżone spojrzenie na sufit i zaczął się modlić, a całe jego ciało trzęsło się jakby z bólu. - Proszę! - jęczał strasznym głosem. - Proszę, powiedz jej, że nie wiedziałem o tym liście. Niech cię diabli! - szalał z wściekłości na Boga. - Powiedz jej, że nie wiedziałem!

Victoria aż się wyprostowała i cofnęła w panice.

- Jasonie! - zawołała z napięciem. - Pomyśl! Potrafię pływać jak ryba, pamiętasz? Ta

peleryna to był tylko podstęp. Wiedziałam, że mnie ktoś goni, ale nie wiedziałam, że to O'Malley. Myślałam, że to jakiś bandyta, więc zdjęłam pelerynę, zarzuciłam ją na konia, a później poszłam na piechotę do babci i... O Boże!

Zanurzyła palce we włosy i rozglądała się po słabo oświetlonym pokoju, usiłując wymyślić jakiś sposób, żeby przekonać męża potem zaś podbiegła do biurka. Zapaliła stojącą na nim lampę, pośpieszyła do kominka i zapaliła pierwszą z pary lamp na gzymsie. Właśnie sięgała po drugą, kiedy ręce Jasona niczym stalowe imadła zacisnęły się na jej ramionach, odwróciły ją i przycisnęły w miążdżącym uścisku do piersi. Zdążyła zobaczyć, że do oczu męża wraca rozsądek, i zaraz jego usta przywarły do jej warg, gwałtowne i złąknione, a dłonie przesuwają się żarliwie w górę i w dół po plecach i biodrach, przyciągając ją jeszcze bliżej, jakby chciał wchłonąć w siebie jej ciało. Całą wysoką postać Jasona przeszedł dreszcz, kiedy Victoria wtuliła się w niego i mocno oplótła mu szyję rękami.

Minęło kilka długich minut, gdy nagle gwałtownie przerwał pocałunek, rozplótł obejmujące jego szyję dłonie żony i popatrzył na nią groźnie. Victoria pośpiesznie cofnęła się o krok i natychmiast zauważyła gniew, który zapłonął w tych pięknych, zielonych oczach.

- A teraz, kiedy to mamy już za sobą - oświadczył jej mąż ponuro - zamierzam sprawić ci takie lanie, że nie będziesz mogła siedzieć.

Jego dłoń wystrzeliła do przodu. Victorii wyrwał się z gardła ni to śmiech, ni to okrzyk strachu. Odskoczyła do tyłu, poza zasięg męzowskich rąk.

- Nie, nie zamierzasz - zaprzeczyła niepewnie; czuła się tak szczęśliwa, że doszedł do siebie, iż nie mogła opanować drżącego uśmiechu.

- O ile chciałabyś się założyć, że nie? - zapytał cicho; krok za krokiem posuwał się do przodu, kiedy ona się cofała.

- Nie o wiele - zapewniła go Victoria słabym głosem, umykając za fotel.

- A kiedy skończę, przykuję cię łańcuchem do swego boku.

- To możesz zrobić - wykrztusiła, okrążając biurko.

- I do końca życia nie spuszczę cię już z oczu.

- Wcale... wcale nie mam ci tego za złe. - Rzuciła pośpieszne spojrzenie na drzwi, oceniając odległość.

- Nawet nie próbuj - ostrzegł ją.

Victoria zobaczyła nagły błysk w jego oczach i zignorowała ostrzeżenie. Uczucie zawrotnego szczęścia w połączeniu z silnym instynktem samozachowawczym kazały jej jednym szarpnięciem otworzyć drzwi; zebrała spódnicę w garść i popędziła korytarzem w kierunku schodów. Jason podążał za nią długim, miarowym krokiem i niemal ją doganiał,

choć nie biegł.

Śmiejąc się bezradnie, Victoria gnała marmurowym holem. Minęła Charlesa, kapitana Farrella i prababkę, którzy razem wypadli z salonu, by mieć lepszy widok na to, co się będzie działo.

Wbiegła do połowy schodów, a potem odwróciła się i szła tyłem, przyglądając się, jak mąż zdecydowanie idzie za nią na górę.

- No, Jasonie - odezwała się, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Wyciągnęła błagalnie rękę i usiłowała zrobić skruszoną minę. - Proszę, bądź rozsądny...

- Idź tam, gdzie idziesz, moja kochana, posuwasz się w dobrym kierunku - odrzekł, zbliżając się krok za krokiem. - Możesz wybierać, twoja sypialnia albo moja...

Jego żona odwróciła się, wbiegła na górę i czmychnęła korytarzem do swoich pokoi. Dobiegła do połowy sypialni, kiedy Jason pchnął drzwi, zamknął je za sobą i przekreślił klucz.

Victoria obróciła się twarzą do niego, serce jej tłukło się z miłości i niepokoju.

- A teraz, moja słodka... - odezwał się jej mąż niskim, wibrującym głosem, patrząc, w którym kierunku zamierzała uciec.

Spojrzała z uwielbieniem na jego przystojną, bladą twarz, a potem pobiegła... prosto do niego, przytuliła się i objęła go ramionami.

- Nie! - zawołała łamiącym się głosem.

Jason stał przez moment jak skamieniały, borykając się z rozszalałymi emocjami, a potem napięcie odpłynęło z jego sztywnego ciała. Dłonie uniosły się do talii Victorii, powoli otoczyły ją, a potem zacisnęły się z miażdżącą siłą; mocno przyciągnął żonę do siebie.

- Kocham cię - szepnął namiętnie, zanurzając twarz w jej włosach. - O Boże! Tak bardzo cię kocham!

Na parterze przy schodach kapitan Farrell, księżna i Charles uśmiechnęli się z ulgą, gdy na górze zapanowała cisza. Księżna odezwała się pierwsza.

- No, Atherton - stwierdziła surowo - pozwolę sobie powiedzieć, że wiesz teraz, jak się czuje człowiek, który wtrąci się w życie młodych ludzi i później musi ponosić konsekwencje swoich czynów, tak jak przez te wszystkie lata było ze mną.

- Powinienem pójść na górę i porozmawiać z Victorią - odrzekł książę, nie spuszczać oczu z pustej galerii. - Muszę jej wyjaśnić, że postąpiłem tak, jak postąpiłem, bo wierzyłem, że będzie szczęśliwsza z Jasonem. - Zrobił krok do przodu, ale laseczka starej damy uniosła się przed nim w górę i zagroziła drogę.

- Nawet nie myśl o tym, żeby teraz im przeszkadzać - rozkazała mu arogancko Jej Wysokość. - Życzę sobie mieć praprawnuka, a o ile się nie mylę, oni w tej właśnie chwili

starają się go sprokurować. - I dodała łaskawie: - Może pan jednakowoż zaproponować mi kieliszek sherry.

Charles oderwał z trudem wzrok od galerii i popatrzył bacznie na tę starą kobietę, której nienawidził ponad dwadzieścia lat. On za swoje intrygi cierpiał tylko przez dwa dni; ona zaś pokutowała przez te wszystkie długie lata. Z wahaniem podał księżnej ramię. Przez długą chwilę babka Katherine patrzyła nań, dostrzegając w tym ruchu gest pojednania, a następnie powoli położyła szczupłą dłoń na jego ręce.

- Atherton - oznajmiła, kiedy księżę prowadził ją w kierunku salonu. - Dorothy wbiła sobie do głowy jakąś głupotę, że wyjdzie za mąż i zostanie pianistką. Ja natomiast postanowiłam, że wydam ją za Winstona i mam w związku z tym pewien plan.